



JODI
PICOULT

DZIEWIĘTNAŚCIE MINUT

Prószyński i S-ka

JODI PICOULT

DZIEWIĘTNAŚCIE

MINUT

(Nineteen Minutes)

Tłumaczyła Katarzyna Kasterska



Wydanie polskie: 2011

Wydanie oryginalne: 2007

Tytuł oryginału

NINETEEN MINUTES

Copyright © 2007 by Jodi Picoult

All rights reserved

Projekt okładki

Ewa Wójcik

Ilustracja na okładce

© Elisa Lazo de Valdez/Corbis

Redaktor prowadzący

Renata Smolińska

Redakcja

Wiesława Karaczewska

Redakcja techniczna

Elżbieta urbańska

ISBN 978-83-7648-742-7

Plik wyprodukowany na podstawie: Dziewiętnaście minut, wyd. I,
Warszawa 2011

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

www.proszynski.pl

www.woblink.com

Plik opracowany przez Woblink i eLib.pl

Dla Emily Bestler, najlepszej redaktorki i najlepszej promotorki, jaką można sobie wymarzyć. Dziękuję za Twoje bystre oko, za entuzjastyczne słowa zachęty, a przede wszystkim – za przyjaźń.

CZEŚĆ PIERWSZA

Jeżeli nie zejdziesz z drogi, którą kroczysz – dotrzesz tam, dokąd wiesz.

PRZYSŁOWIE CHIŃSKIE

Mam nadzieję, że gdy zaczniesz to czytać, będę martwa. Nie można odczytać dokonanego, cofnąć słów, które raz zostały wypowiedziane. Będziesz o mnie myśleć i żałować, że nie zdołałaś mnie powstrzymać. Będziesz się zastanawiać, czy jakaś rozmowa lub gest z twojej strony mogły odwrócić bieg wydarzeń. Pewnie powinnam ci powiedzieć: Nie oskarżaj się, to nie twoja wina, ale przecież to byłoby kłamstwem. Obie wiemy, że nie sama wybrałam drogę, która mnie doprowadziła do tego miejsca.

Będziesz płakać na moim pogrzebie. Mówić, że tak się nie musiało stać. Zachowywać się, jak w podobnych okolicznościach przystało. Ale czy będziesz za mną tęsknić?

A co ważniejsze – czy ja będę tęsknić za tobą?

I czy któraś z nas chciałaby poznać odpowiedź na to pytanie?

6 marca 2007

W dziewiętnaście minut można skosić frontowy trawnik, ufarbować włosy, obejrzeć tercję meczu hokejowego. Dziewiętnaście minut wystarczy, żeby zaplombować ząb, upiec ciastka, poskładać pranie pięcioosobowej rodziny.

W dziewiętnaście minut Tytani z Tennessee wyprzedali bilety na swoje mecze fazy play-off. Dziewiętnaście minut trwa odcinek przeciętnego sitcomu – minus reklamy – i tylko tyle zajmuje przejazd od granicy stanu Vermont do miasteczka Sterling w stanie New Hampshire.

W ciągu dziewiętnastu minut można się doczekać dostawy zamówionej pizzy. Przeczytać dziecku bajkę lub wymienić olej w aucie. Przejsć dwa kilometry. Obrębić dół spódnicy.

W dziewiętnaście minut można wstrzymać świat lub ewakuować się z niego na zawsze.

Dziewiętnaście minut – tyle wystarczy, żeby dopełnić zemsty.

Jak zwykle Alex Cormier była spóźniona. Na dojazd z domu w Sterling do budynku sądu okręgowego hrabstwa Grafton potrzebowała trzydziestu dwóch minut, i to pod warunkiem, że w szaleńczym pędzie przejeżdżała przez Orford.

Zbiegła na dół w samych pończochach, z eleganckimi butami w jednym i dokumentami zabranymi z pracy na weekend w drugim ręku. Gęste miedziane włosy skręciła w węzeł i upięła tuż nad karkiem,

przeobrażając się w postać, jaką codziennie odgrywała poza domem.

Trzydzieści cztery dni temu Alex awansowała w prawniczej hierarchii. Uważała, że skoro przez kilka ostatnich lat doskonale się sprawdzała na stanowisku sędzi sądu dystryktowego, kolejną nominację przypłaci mniejszym stresem. A tymczasem się okazało, że chociaż właśnie stuknęła jej czterdziestka, jest nadal najmłodszym sędzią wyższej instancji w całym stanie New Hampshire. Poza tym musiała na nowo udowodniać swoją bezstronność: zanim się zjawiała w nowej sali rozpraw, wszyscy już wiedzieli, że rozpoczynała karierę w biurze obrońców z urzędu, stąd prokuratorzy podejrzewali ją o tendencję do faworyzowania adwokatów. Kiedy przed kilku laty Alex się ubiegała o stanowisko sędzi, chciała przede wszystkim stać na straży podstawowej zasady każdego cywilizowanego systemu prawnego: człowiek jest niewinny, dopóki mu się nie dowiedzie winy. Nigdy nie przypuszczała, że gdy już zasiądzie za sędziowskim stołem, jej samej się odmówi owego legalistycznego kredytu zaufania.

Aromat świeżo parzonej kawy zwabił Alex do kuchni, gdzie jej córka, Josie, siedziała zgarbiona nad parującym kubkiem i pilnie studiowała jakiś podręcznik. Wyglądała na przemęczoną: niebieskie oczy miała przekrwione, a ciemnokasztanowe włosy ściągnięte w skołtuniony ogon.

– Powiedz, że nie zarwałaś całej nocy – odezwała się Alex.

Josie nawet nie uniosła wzroku znad książki.

– Nie zarwałam całej nocy – powtórzyła mechanicznie.

Alex napełniła filiżankę kawą i wśliznęła się na krzesło naprzeciwko córki.

– Naprawdę?

– Nie chciałaś poznać prawdy – odparła Josie – tylko usłyszeć konkretny tekst.

– Nie powinnaś pić kawy. – Alex zmarszczyła brwi.

– A ty nie powinnaś palić papierosów.

Alex poczuła, jak płoną jej policzki.

– Ja nie...

– Mamo – westchnęła Josie – nawet jeżeli otwierasz okno w łazience na całą szerokość, ręczniki i tak śmierdzą dymem. – Uniosła wyzywająco wzrok, jakby się spodziewała, że matka przypuści teraz atak na jej kolejne występki – poważniejsze niż picie kawy.

Sama Alex, poza okazjonalnym papierosem, nie dopuszczała się żadnych grzechów. Nie miała na to czasu. I chciałyby autorytatywnie stwierdzić, że jej córka jest również bez skazy, jednak zdawała sobie sprawę, że wówczas wpadłaby w tę samą pułapkę pochopnych wniosków, w jaką wpadali inni na widok ślicznej, popularnej, szóstkowej licealistki, która z racji matki sędzi zapewne była bardziej świadoma od swoich rówieśników, do czego może doprowadzić brak rozwagi.

Oto dziewczyna, której pisana świetlana przyszłość. Młoda kobieta, na jaką Alex miała nadzieję ją wychować.

Swego czasu Josie była bardzo dumna, że jej matka jest sędzią. Entuzjastycznie oznajmiała to kasjerom w banku, pracownikom supermarketu, pakującym zakupy, personelowi pokładowemu w samolotach. Wypytywała Alex o rozprawy i wydawane werdykty. Wszystko się jednak zmieniło trzy lata temu, kiedy Josie rozpoczęła naukę w liceum: wówczas powoli, cegła po cegle, wyrósł pomiędzy nimi mur blokujący komunikację. Alex nie przypuszczała, że córka ukrywa przed nią coś więcej niż nastolatki w jej wieku, ale też obie się znajdowały w szczególnej sytuacji: każdy inny rodzic mógł osądzać przyjaciół dzieci jedynie w sensie metaforycznym, tymczasem Alex mogła to robić z punktu widzenia prawa.

– Co masz dziś na wokandzie? – spytała córkę.

– Test z całego działu. A ty?

– Odczytanie zarzutów prokuratury – odparła Alex. Zmrużyła oczy, próbując rozszyfrować tekst podręcznika leżącego do góry nogami. – Chemia?

– Katalizatory. – Josie pomasaowała skronie. – Substancje przyspieszające reakcję, które podczas jej przebiegu same nie ulegają żadnym przemianom. Na przykład, jeżeli weźmiesz tlenek węgla i

wodór, dorzucisz cynk i tlenek chromu... o co chodzi?

– Właśnie mi się przypomniało, czemu z chemii zawsze miałam marną tróję. Jadłaś śniadanie?

– Wypiłam kawę.

– Kawa się nie liczy.

– Tobie wystarczy, kiedy się śpieszysz – wypomniała Josie.

Alex zważyła w myślach, czy w ostatecznym rozrachunku więcej będzie ją kosztować powiększenie spóźnienia o kolejne pięć minut, czy następna krecha na kosmicznym certyfikacie dobrego rodzicielstwa. I czy przypadkiem siedemnastolatka nie powinna już samodzielnie zadbać o własne śniadanie?

Alex wyjęła z lodówki jaja, mleko i bekon.

– Swego czasu przewodniczyłam rozprawie o natychmiastowe przymusowe zamknięcie w zakładzie psychiatrycznym kobiety, której się zdawało, że jest drugim Emerilem. Jej mąż złożył wniosek o hospitalizację tuż po tym, jak wrzuciła pół kilo boczku do blendera, a potem zaczęła jego samego gonić po kuchni z nożem w ręku, wrzeszcząc: „Ciach!”.

Josie podniosła wzrok znad podręcznika.

– Naprawdę?

– Wierz mi, czegoś takiego nie byłabym w stanie wymyślić. – Alex wbiła jajko na patelnię. – Kiedy spytałam, czemu akurat blender, obrzuciła mnie baczynym spojrzeniem, po czym oznajmiła, że musimy się różnić technikami gotowania.

Josie oparła się o blat szafki i obserwowała poczynania matki. Prace domowe nie należały do mocnych stron Alex. Nie miała pojęcia, jak przyrządzić pieczeń, za to się szczyliła, że zna na pamięć numer telefonu każdej pizzerii i chińskiej restauracji w Sterling, które prowadziły bezpłatne domowe dostawy.

– Och, spokojnie – rzuciła Alex oschle. – Myślę, że zdołam usmażyć jajka, nie obracając przy tym domu w dymiące zgliszcza.

Josie jednak wyjęła matce z ręki patelnię, po czym rozłożyła na niej plasterki bekonu – równo, obok siebie, na podobieństwo marynarzy

leżących pokotem na kojach.

– Dlaczego się ubierasz w taki sposób? – zapytała.

Alex zerknęła na swoje buty, spódnicę, bluzkę – i zmarszczyła brwi.

– A co? Za bardzo w stylu Margaret Thatcher?

– Nie. To znaczy... czemu w ogóle zawracasz sobie głowę strojem? I tak nikt nie wie, conosisz pod togą. Równie dobrze mogłabyś – bo ja wiem? – włożyć spodnie od piżamy. Albo ten sweter z dziurami na łokciach, który masz jeszcze od czasów college'u.

– Bez względu na to, czy ludzie to widzą, czy nie, oczekują, że będę się ubierać... z sędziowską rozwagą.

Josie spuściła powieki i spochmurniała, jakby matka udzieliła błędnej odpowiedzi. Alex zawiesiła wzrok na córce – ogryzione paznokcie, pieprzyk za uchem, zygzakowaty przedziałek – i nagle ujrzała małą dziewczynkę, rozplaszczającą nos na szybie w domu opiekunki każdego dnia o zachodzie słońca: w porze, gdy Alex przychodziła ją odebrać.

– Co prawda, nigdy nie włożyłam spodni od piżamy do pracy, ale czasami się zamykam w gabinecie na klucz i ucinam sobie drzemkę na podłodze.

Josie rozciągnęła usta w powolnym, pełnym zdumienia uśmiechu, jakby wyznanie matki było motylem, który przez przypadek przysiadł na jej dłoni – wydarzeniem tak zdumiewającym, że nie można zdecydowanie na nie zareagować, bo natychmiast się je spłoszy. Ale ostatecznie nic nie trwa wiecznie: tego ranka trzeba było przejechać wiele mil, wysłuchać zarzutów przeciwko kilkudziesięciu oskarżonym i zinterpretować sporo równań chemicznych, więc zanim Josie zdążyła wyłożyć bekon na papierowy ręcznik, by go osączyć z nadmiaru tłuszczu – ta niezwykła chwila bezszelestnie uleciała.

– Wciąż nie rozumiem, czemu muszę jadać śniadania, skoro ty je sobie odpuszczasz – mruknęła Josie.

– Bo trzeba osiągnąć określony wiek, żeby nabyć prawo do rujnowania własnego zdrowia i życia. – Alex wskazała na jajka, które córka mieszała na patelni. – Obiecujesz, że to zjesz?

Josie spojrzała matce prosto w oczy.

– Obiecuję.

– W takim razie zmykam.

W drodze do drzwi Alex chwyciła stalowy termokubek, napelniony kawą. Zanim na dobre wycofała samochód z garażu, myślami była już przy pisemnym uzasadnieniu wyroku, jakie musiała wydać jeszcze tego popołudnia, przy aktach oskarżenia, wciśniętych na jej dzisiejszą wokandę, i przy wnioskach procesowych stron; wszystko to niczym mroczne cienie spływało na jej biurko od piątkowego wieczoru. Jednym słowem, Alex porwał w swój wir świat o lata świetlne odległy od jej domu, gdzie właśnie teraz Josie zsuwała usmażone jajka z patelni do śmietnika, nie wzięwszy przedtem do ust ani kęsa.

* * *

Niekiedy Josie odnosiła wrażenie, że jej życie jest jak pokój bez drzwi i okien. Pokój wyjątkowo luksusowy oczywiście – połowa dzieciaków z jej szkoły, Sterling High, dałaby sobie rękę uciąć, byle do takiego wkroczyć – z którego jednak nie było ucieczki. Josie znalazła się w potrzasku: albo mogła być osobą, jaką nie miała ochoty być, albo kimś, kogo nikt by nie chciał mieć w swojej orbicie.

Uniosła twarz ku strumieniom wody, tryskającym z prysznic – wody tak gorącej, że pozostawiała na skórze czerwone pręgi, zapierała dech, pokrywała szyby gęstą parą. Josie policzyła do dziesięciu i dopiero wtedy się wymknęła spod wodnego bicza, po czym mokra i naga stanęła przed lustrem. Twarz miała zaczerwienioną i lekko obrzmiałą; włosy klejące się do ramion przypominały grube sznury. Odwróciła się bokiem i zlustrowała swój płaski brzuch. Wiedziała, co widzi Matt, gdy na nią patrzy – co widzą Courtney, Maddie, Brady, Haley i Drew. Josie często marzyła, żeby zobaczyć to samo, co oni. Bo ilekroć ona spoglądała w lustro, nie widziała tej efektownej powłoki, którą widzieli inni, lecz to, co się pod nią kryje.

Była w pełni świadoma, jak powinna wyglądać i jak się zachowywać. Dlatego miała długie, proste włosy, nosiła ciuchy marki Abercrombie & Fitch, słuchała kapel w rodzaju Dashboard Confessional czy Death Cab for Cutie. Sprawiało jej przyjemność, że inne dziewczyny patrzyły na nią z ledwo skrywanym podziwem, gdy siedzi w kafeterii, poprawiając makijaż kosmetykami pożyczonymi od Courtney. Cieszyło ją, że nauczyciele zapamiętują jej imię już po pierwszych zajęciach. Pochlebiali Josie spojrzenia chłopaków, przesuwające się po jej ciele, gdy szła korytarzem wraz z Mattem obejmującym ją ramieniem.

A jednocześnie gdzieś w zakamarkach umysłu cały czas się kołatała myśl: co by było, gdyby im wszystkim wyjawiała swój sekret – gdyby przyznała, że w niektóre poranki tylko z największym trudem się zwleka z łóżka i wygina usta w sztucznym uśmiechu; że jest nierealnym bytem, tandetną podróbką, która się śmieje wyłącznie z „nieobciachowych” dowcipów, plotkuje na „topowe” tematy i ma takiego faceta, jakiego się od niej oczekuje; podróbką, która już nie pamięta, jak to jest być sobą... która w gruncie rzeczy nie chce pamiętać, ponieważ wówczas cierpiałaby jeszcze bardziej.

Nie było przy niej nikogo, z kim mogłaby o tym porozmawiać. Bo już samo zwątpienie w prawo do miejsca wśród uprzywilejowanej, podziwianej elity skończyłoby się wykluczeniem z tego grona. Naturalnie miała u boku Matta, ale Matt... cóż, jego też przywabiła jedynie maska i powlekający ją werniks. W bajkach, gdy czar pryska, księżę nadal kocha dziewczynę, bez względu na wszystko – i dzięki temu ona się staje księżniczką. Ale w liceum sprawy mają się inaczej. Tym, co uczyniło księżniczkę z Josie, był fakt, że zainteresował się nią ktoś taki jak Matt. Chociaż, zgodnie z regułami pokręconej szkolnej logiki, równie prawdziwe było twierdzenie odwrotne – że Matt się zainteresował Josie, ponieważ była ona jedną z księżniczek Sterling High.

Rozmowa z matką też nie wchodziła w grę. „Po wyjściu z sali rozpraw nie przestaje się być sędzią” – zwykła mawiać Alex. I dlatego poza domem nigdy nie piła więcej niż jeden kieliszek wina, nigdy też

publicznie nie roniła łez ani nie podnosiła głosu. Była dumna z osiągnięć córki – jej świetnych wyników w nauce, doskonałej prezencji, przynależności do śmietanki towarzyskiej szkoły. Rzecz w tym, że Josie nie zdobywała tego wszystkiego dlatego, że jej na tym w jakikolwiek sposób zależało, ale ponieważ zdejmował ją strach na myśl, co się stanie, gdy zejdzie poniżej poziomu perfekcji.

Owinęła się ręcznikiem i przeszła do swojego pokoju. Włożyła dżinsy i dwa T-shirty z długimi rękawami, efektownie opinające ciało, po czym zerknęła na zegar: jeżeli nie chce się spóźnić, musi się pośpieszyć.

Zanim jednak wyszła z pokoju, usiadła na łóżku i zaczęła obmacywać spód nocnej szafki w poszukiwaniu plastikowej torebki, przypiętej pinezką do drewnianej ramy. W środku znajdowały się tabletki nasenne, które lekarz przepisał Alex, a które Josie niepostrzeżenie podbierała po jednej sztuce, żeby przypadkiem nie wzbudzić podejrzeń matki. W ciągu sześciu miesięcy udało jej się zgromadzić zaledwie piętnaście pigułek, ale doszła do wniosku, że jeżeli popije je dwoma szklankami wódki, osiągnie zamierzony efekt. I nie chodzi o to, że opracowała już jakiś strategiczny plan – zdecydowała, że się zabije, powiedzmy, w następnym wtorek lub gdy stopnieje śnieg. Te tabletki były jej wyjściem awaryjnym: gdyby prawda w końcu wyszła na jaw, nikt nie chciałby mieć z nią nic wspólnego, więc logiczne, że w takiej sytuacji ona również nie miałaby ochoty na dalsze przebywanie we własnym towarzystwie.

Ponownie przypięła torebkę pod szafką i zbiegła na dół. Kiedy weszła do kuchni, żeby spakować plecak, na otwartym podręczniku do chemii leżała czerwona róża o długiej, smukłej łodydze.

W rogu, oparty o lodówkę, stał Matt, który zapewne wszedł do domu przez otwarte drzwi garażu. Jak zwykle na jego widok Josie zawirowały przed oczami obrazy wszystkich pór roku. Włosy Matta mieniły się kasztanowo-rdzawymi kolorami jesieni, oczy miały odcień chłodnego błękitu zimowego nieba, a uśmiech był tak promienny, jak przesycony słońcem, upalny dzień lata. Matt miał na sobie

baseballówkę włożoną tyłem na przód i bluzę szkolnej drużyny hokejowej, zarzuconą na termalną koszulkę, którą Josie doprowadziła mu kiedyś na cały miesiąc, schowała w szufladzie na bieliznę i wyciągała, ilekroć chciała poczuć zapach Matta.

– Wciąż jesteś na mnie wkurzona? – spytał.

Josie spojrzała na niego z wahaniem.

– To nie ja dostałam szału.

Matt się odepchnął od lodówki, po czym objął Josie w pasie.

– Przecież wiesz, że nie potrafię nad sobą zapanować.

W jego prawym policzku pojawił się rozkoszny dołek i Josie poczuła, jak cała się rozplywa.

– Nie chodziło o to, że nie chciałam się z tobą zobaczyć – powiedziała cicho. – Po prostu naprawdę musiałam się pouczyć.

Matt odsunął włosy z jej twarzy i zaczął ją całować. Prawdę mówiąc, właśnie dlatego Josie nie chciała, żeby przyszedł zeszłego wieczoru: kiedy był tuż obok, odnosiła wrażenie, że zatracą cielesność. Niekiedy, gdy czuła na sobie jego dłonie, wydawało jej się, że lada chwila się przemieni w obłok pary i rozwieje w powietrzu.

Jego usta miały smak syropu klonowego i skruchy.

– To wszystko twoja wina – oznajmił. – Gdybym cię tak strasznie nie kochał, aż tak bardzo by mi nie odbijało.

Josie natychmiast zapomniała o zgromadzonych tabletkach i o tym, że płakała pod prysznicem. Wszystko zostało wyparte przez jedną myśl: jakże cudownie być uwielbianą. Jestem szczęściarą, powtarzała sobie w duchu, i słowa te przepływały jej przed oczami srebrzystą wstęgą. Szczęściarą, szczęściarą, szczęściarą.

Patrick Ducharme, jedyne oficer śledczy w siłach policyjnych Sterling, usiadł na ławce w kącie szatni i przebijając się, słuchał, jak patrolowi z porannej zmiany dogryzają żółtodziobowi z oponą tłuszczu na brzuchu.

– Hej, Fisher – odezwał się Eddie Odenkirk – to które z was właściwie będzie rodzic: ty czy twoja żona?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i Patrick poczuł przyływ litości dla

dzieciaka.

– Eddie, jest jeszcze cholernie wcześnie – zauważył. – Nie mógłbyś się wstrzymać przynajmniej do czasu, aż wypijemy poranną kawę?

– Mógłbym, kapitanie – przyznał Eddie ze śmiechem. – Ale wygląda na to, że Fisher zżarł już wszystkie pączki i... a co to, u diabła?

Idąc za wzrokiem Eddiego, Patrick spojrzął na własne stopy. Zazwyczaj nie korzystał z szatni dla mundurowych, ale tego ranka przybiegł w dresie na posterunek, żeby spalić nadmiar kalorii wchłoniętych podczas weekendu. Sobotę i niedzielę spędził w Maine wraz z istotą, która obecnie władała jego sercem – swoją pięcioipółletnią chrześniaczką, Tarą Frost. Jej matka, Nina, była najstarszą przyjaciółką Patricka i miłością jego życia, z której prawdopodobnie już nigdy się nie wyleczy, i to bez względu na fakt, że sama Nina doskonale sobie radziła bez jego towarzystwa. W te weekendowe dni z rozmysłem przegrał tysiące rund najnowszej gry planszowej dla przedszkolaków, niezliczone godziny nosił Tarę na barana, pozwolił sobie ufryzować włosy, a także – co się okazało kardynalnym błędem – pomalować paznokcie u nóg cukierkowo różowym lakierem, który zapomniał potraktować zmywaczem.

Ponownie zerknął na swoje stopy, po czym podwinął palce.

– Laski uważają, że to cholernie seksowne – burknął pod nosem, podczas gdy pozostałych siedmiu mężczyzn z trudem się powstrzymywało od wykpienia faceta, który formalnie był ich przełożonym. Patrick szybko włożył cienkie skarpety, skórzane mokasy i wyszedł z krawatem w dłoni. W myślach rozpoczął odliczanie: raz, dwa, trzy... w tej samej chwili w szatni gruchnęła salwa śmiechu, i jej echo ścigało Patricka wzdłuż całego korytarza.

Patrick zamknął drzwi swojego biura, po czym zerknął w niewielkie lusterko. Czarne włosy miał wciąż wilgotne po prysznicu, a twarz zdrowo zarumienioną od biegu. Podciągnął w górę węzeł krawata, poprawił jego położenie i usiadł za biurkiem.

Podczas weekendu napłynęły siedemdziesiąt dwa maile, a zazwyczaj już pięćdziesiąt oznaczało, że przez cały tydzień nie będzie

wracał do domu przed ósmą wieczorem. Patrick zaczął się przez nie przedzierać, raz po raz dopisując coś do piekielnej listy, zatytułowanej „Pilne” – listy, która nigdy nie ulegała skróceniu bez względu na to, jak ciężko harował.

Dzisiaj musiał zawieźć próbkę narkotyków do laboratorium stanowego – banalna rutyna, która jednak oznaczała czterogodzinną wyrwę w jego dniu. Do pomyślnego końca doszło natomiast postępowanie z oskarżenia o gwałt: sprawca został zidentyfikowany na podstawie zdjęć z albumu studentów college’u, i jego spisane zeznania już czekały na przesłanie do biura prokuratora stanowego. Za to wciąż wisiała nad Patrickiem sprawa telefonu komórkowego, zwiniętego z samochodu przez jakiegoś bezdomnego. Lada chwila miały też nadejść wyniki analiz DNA, identyfikujące sprawcę napadu na sklep jubilerski, czekało go poza tym przesłuchanie w sądzie wyższej instancji w związku z wnioskiem obrony o odrzucenie dowodów rzeczowych. A na jego biurku leżała już pierwsza skarga wniesiona tego dnia – kradzież kilku portfeli z kartami kredytowymi. Złodziej zdążył puścić te karty w obieg: pozostawił trop, którym teraz miał podążyć Patrick.

Jako detektyw w niewielkim mieście Patrick działał na wszystkich frontach. Jeżeli gliniarze w metropoliach nie rozwiązali sprawy w ciągu dwudziestu czterech godzin, uznawali ją za nudnego, wlokącego się tasiemca i odkładali do zamrażarki, Patrick natomiast musiał się zajmować wszystkim, co spływało na jego biurko – nie mógł, niczym wisienek z tortu, wybierać tych najbardziej interesujących przypadków, chociaż trudno się podniecać fałszerstwem czeku na niewielką kwotę czy też drobną kradzieżą sklepową, za którą sprawca zostanie ukarany dwustoma dolarami grzywny, natomiast podatnicy zapłacą pięć razy więcej, ponieważ postępowanie dowodowe zajmie Patrickowi tydzień. Ilekroć jednak dochodził do wniosku, że się rozmienia na drobne, stawała mu przed oczami jedna z ofiar przestępstw: zapłakana matka dzieciom, której ukradziono portfel; zdruzgotane starsze małżeństwo jubilerów, obrabowane z dorobku życia; wstrząśnięty profesor uniwersytetu, którego tożsamość przywłaszczył sobie jakiś oszust.

Patrick miał świadomość, że jest jedyną nadzieją dla ludzi, którzy przychodzą do niego po pomoc. Jeżeli on się nie zaangażuje całym sercem, jeżeli nie da z siebie wszystkiego, ofiary już na zawsze pozostaną ofiarami, więc zapewne dlatego od czasu gdy podjął służbę w Sterling, udało mu się rozwiązać każdą sprawę.

A mimo to...

Kiedy leżał samotnie w łóżku i pracowicie nicował własne życie, nie przychodziły mu na myśl sukcesy, lecz potencjalne porażki. Ilekroć obchodził wokół umyślnie zdewastowaną stodołę, ilekroć odnajdował w lesie resztki skradzionego samochodu, rozszabrowanego na części, czy podawał chusteczkę rozszlochanej dziewczynie, zgwałconej na randce, ogarniało go przygnębiające uczucie, że jego kariera zawodowa układa się w pasmo wiecznych spóźnień. Był detektywem, ale nie otrzymał daru owej szczególnej intuicji, która mogłaby zapobiec przestępstwu. I stąd zawsze, bez wyjątku, miał do czynienia z nieszczęściem już dokonany, z potrzaskanymi ludzkimi losami.

To był pierwszy ciepły dzień marca – dzień, w którym się zaczyna wierzyć, że śniegi wkrótce stopnieją, a czerwiec już się czai za rogiem. Na parkingu dla uczniów Josie siedziała na masce saaba należącego do Matta i myślała o tym, że rok szkolny dawno przekroczył półmetek, że do lata jest całkiem blisko i że zaledwie za trzy miesiące stanie się oficjalnie maturzystką.

Stojący obok niej Matt oparł się o przednią szybę i wystawił twarz do słońca.

– Olejmy szkołę – zaproponował. – Jest tak ładnie, że szkoda siedzieć w tych murach.

– Jeżeli się urwiesz z zajęć, dzisiejszy mecz przesiedzisz na ławce.

Tego popołudnia rozpoczynała się faza play-off rozgrywek o mistrzostwo stanu w hokeju na lodzie, a Matt był prawoskrzydłowym napastnikiem pierwszego składu. Sterling zdobyło puchar w ubiegłym roku i wszyscy oczekiwali, że drużyna powtórzy ten wyczyn.

– Przyjdiesz na mecz. – To nie było ze strony Matta pytanie, lecz autorytatywne stwierdzenie.

– A zdobędziesz bramkę?

Matt uśmiechnął się szelmowsko i pociągnął Josie na siebie.

– Ja zawsze idealnie trafiam w punkt – rzucił chętnie, wcale nie mając na myśli hokeja, i Josie oblał gorący pot.

Niespodziewanie poczuła na plecach ciężkie uderzenia gradu. Oboje z Mattem poderwali się raptownie i ujrzeli Brady’ego Pryce’a trzymającego za rękę Haley Weaver, królową piękności ostatniego zjazdu absolwentów¹. Haley wyrzuciła w powietrze drugą garść miedziaków: wedle tradycji Sterling High obrzucanie drobnymi monetami miało zapewnić szczęście sportowcom w zawodach.

– Skop im dzisiaj tyłki, Royston! – wykrzyknął Brady.

Przez parking przechodził również nauczyciel matematyki, niosący podniszczoną, czarną skórzaną teczkę i termos z kawą.

– Hej, panie McCabe! – pozdrowił go Matt. – Jak wypadł mój piątkowy test?

– Na szczęście ma pan inne talenty, na których może pan w życiu polegać, panie Royston – odparł matematyk, sięgając do kieszeni. Mrugnął do Josie, po czym sypnął miedziakami, które spadły z nieba na jej ramiona niczym konfetti – niczym migotliwe gwiazdy uwolnione z galaktyk.

Jakże by inaczej, pomyślała Alex, wciskając z powrotem do torebki całą jej zawartość. Okazało się, że zostawiła w domu elektroniczną kartę, którą mogła otwierać tylne drzwi sądu, przeznaczone jedynie dla personelu. I chociaż milion razy naciskała dzwonek, najwyraźniej w pobliżu wejścia nie było nikogo, kto by mógł ją wpuścić.

– A niech to szlag! – mruknęła pod nosem, lawirując między kałużami, żeby przypadkiem nie zniszczyć szpilek ze skóry aligatora.

¹ W amerykańskich szkołach średnich i na uniwersytetach organizuje się coroczne zjazdy absolwentów – uroczystości trwające kilka dni, z obowiązkowym meczem w sporcie zespołowym (zazwyczaj futbolu amerykańskim), paradą i uroczystym bale. Na ten okres spośród uczniów/studentów ostatnich klas/lat wybiera się królową, a czasami także króla obchodów (przyp. tłum.).

Do jednego z bonusów wchodzenia tylnymi drzwiami należała pewność, że się nie będzie skazanym na podobną ekwilibrystykę. Cóż, przy sprzyjającym układzie planet może się Alex uda przemknąć do gabinetu na skróty, przez pomieszczenia administracyjne – i rozpocząć sesję punktualnie.

Chociaż przed głównym wejściem stała kolejka co najmniej dwudziestu osób, jeden z funkcjonariuszy z biura szeryfa zaprosił Alex skinieniem dłoni do środka. Ponieważ miała w ręku klucze, stalowy termos z kawą i Bóg wie co jeszcze w czeluściach torby, natychmiast zawył wykrywacz metalu. Przeszywający alarm zadziałał niczym sceniczny reflektor – oczy wszystkich zgromadzonych w holu skierowały się w jej stronę, każdy chciał bowiem zobaczyć, kto został przyłapany na przemyście niedozwolonych gadżetów. Pochylając głowę, Alex przyśpieszyła kroku i natychmiast się pośliznęła na błyszczących płytach posadzki. Gdy bezwładnie leciała w przód, podskoczył w jej stronę przysadzisty mężczyzna i uchronił ją przed upadkiem.

– Hej, laluniu – zagaił z lubieżnym uśmiechem – masz ekstrabuty.

Alex bez słowa wyrwała się z jego objęć i szybko ruszyła w stronę części administracyjnej budynku. Podobna przygoda nie mogłaby się przydarzyć żadnemu z pozostałych sędziów, urzędujących w tym przybytku. Sędzia Wagner był miłym facetem, ale jego twarz przywodziła na myśl dynię pozostawioną po Halloween na pastwę gnicia i rozkładu. Sędzia Gerhardt natomiast – druga z kobiet w sędziowskiej palestrze – nosiła bluzki starsze od Alex. Kiedy Alex się tutaj zjawiała, uznała, iż fakt, że jest młodą, dość atrakcyjną kobietą, będzie jej zdecydowanym atutem – walnie się przyczyni do przełamania stereotypu – ale w poranki takie jak dzisiejszy zaczynała wątpić w słuszność tej teorii.

We własnym gabinecie rzuciła torebkę byle gdzie, naciągnęła togę, po czym następne pięć minut przeznaczyła na picie kawy i studiowanie wokandy. Każdy oskarżony miał własną kartotekę, a w przypadku recydywistów dokumenty z poprzednich rozpraw były złączone z aktualnymi aktami gumową opaską. Niekiedy w kartotekach

znajdowały się samoprzylepne karteczki z uwagami innych sędziów. Alex otworzyła jedną z teczek i zobaczyła obrazek kreskowego ludzika za kratami – przesłanie sędzi Gerhardt, że wydany przez nią łagodny werdykt był ostatnią szansą daną oskarżonemu i w wypadku kolejnego złamania prawa należy go posłać do więzienia.

Alex nacisnęła na guzik brzęczyka informującego zastępcę szeryfa, że jest gotowa rozpocząć pracę, po czym spokojnie czekała na wywoławczy anons: „Proszę wstać. Sesji przewodniczy sędzia Alexandra Cormier”. Wkraczając na salę rozpraw, Alex zawsze się czuła tak, jakby wychodziła na broadwayowską scenę w dniu premiery. Każda gwiazda niby wie, że na widowni będzie sporo ludzi wlepiających w nią oczy, a mimo to na moment zapiera jej dech w piersiach i wprost nie może uwierzyć, że oni wszyscy przyszli tutaj tylko po to, aby ją zobaczyć.

Alex energicznie podeszła do sędziowskiego podwyższenia i zasiadła za stołem. Tego dnia czekało na nią siedemdziesiąt oskarżeń wniesionych przez prokuraturę, więc sala była nabita po brzegi. Wywołano pierwszego delikwenta, który – powłócząc nogami i uparcie umykając na boki wzrokiem – przeszedł przez bramkę w barierce oddzielającej strony procesu od widowni.

– Panie O'Reilly – odezwała się Alex i oskarżony wreszcie spojrzał jej w oczy. Natychmiast rozpoznała w nim mężczyznę z holu. Teraz, gdy dotarło do niego, z kim usiłował flirtować, był bardzo zdeprimowany. – Czy to pan jest dżentelmenem, który rycersko ruszył mi na pomoc?

Mężczyzna nerwowo łykał ślinę.

– Tak jest, wysoki sądzie.

– Gdyby pan wiedział, że jestem sędzią, czy również by pan powiedział: „Hej, laluniu, masz ekstrabuty”?

Oskarżony spuścił głowę i wyraźnie było widać, jak polityczna poprawność walczy w nim o lepsze ze szczerością.

– Myślę, że tak, wysoki sądzie – wykrztusił po chwili. – Te buty są naprawdę super.

Cała widownia zamarła w oczekiwaniu na reakcję Alex, a tymczasem ona uśmiechnęła się najradośniej, jak umiała.

– Cóż, panie O'Reilly – odparła. – Zgadzam się z panem w całej rozciągłości.

Lacy Houghton pochyliła się nad łóżkiem i zbliżyła twarz do twarzy łkającej pacjentki.

– Wszystko jest na najlepszej drodze, świetnie ci idzie – oświadczyła stanowczo.

Po szesnastu godzinach akcji porodowej wszyscy byli już bardzo zmęczeni – Lacy, rodząca oraz przyszły ojciec, który w godzinie zero nagle się poczuł zupełnie zbędny, ponieważ to nie jego, ale położną rodząca żona chciała mieć przede wszystkim u boku.

– Stań za Janine – poleciła mężczyźnie Lacy – i obejmij mocno jej plecy. Janine, spójrz na mnie. Jeszcze jedno porządne parcie...

Kobieta zacisnęła zęby i zaczęła przec, zupełnie zatracając własne jestestwo w wysiłku sprowadzenia na świat odrębnej istoty. Lacy wymacała główkę dziecka, gładko przeprowadziła ją przez fałd skóry i wprawnie przerzuciła pępowinę na drugą stronę drobnej szyjki, nie tracąc przy tym ani na moment kontaktu wzrokowego z pacjentką.

– Za dwadzieścia sekund twoje maleństwo będzie najnowszym bytem na tej planecie. Chciałabyś je wreszcie poznać?

Zamiast odpowiedzi – silne parcie, krzyk wyrażający siłę woli, a chwilę później plask śluzu, i w rękach Lacy znalazło się śliskie, czerwonawe ciało, które szybko wcisnęła matce w ramiona, żeby – gdy dziecko wyda z siebie pierwszy krzyk – ktoś natychmiast mógł je ukoić.

Kobieta znowu zaczęła szlochać, ale w jakże inną melodię układa się płacz pozbawiony nuty cierpienia. Świeżo upieczeni rodzice pochylili się nad dzieckiem i Lacy odsunęła się o krok. Jako położna miała jeszcze dużo pracy przy noworodku, ale przede wszystkim chciała popatrzeć uważnie na tę małą istotę. Gdy rodzice odkrywali podbródek identyczny jak u ciotki Marge czy nos jota w jotę jak u dziadunia, ona widziała spojrzenie pełne mądrości i niebiańskiego spokoju; cztery kilogramy emanujące nieskończonością możliwości. Każdy noworodek

przywodził jej na myśl miniaturowego, zatopionego w nirwanie Budę. Ta aura jednak szybko zanikała. Kiedy Lacy widziała te same dzieci tydzień później na badaniach kontrolnych, zdążyły się już przemienić w najzwyczajszych, choć nadal maleńkich ludzi. Po świętości nie zostawało ani śladu i Lacy często się zastanawiała, dokąd ta świętość ulatuje.

Podczas gdy Lacy sprowadzała na świat nowego obywatela Sterling, po drugiej stronie miasta jej syn, Peter Houghton, otrząsał się ze snu. Bez pudła zadziałał jego osobisty budzik: ojciec, który bębnił w drzwi pokoju tuż przed wyjściem do pracy. Peter wiedział, że na dole będzie na niego czekała wystawiona na kuchenny stół miseczka i pudełko z płatkami śniadaniowymi, bo matka nigdy nie zapomniała ich przygotować, nawet jeżeli wzywano ją do porodu w środku nocy. Obok też kładła karteczkę z życzeniami miłego dnia w szkole, co samo w sobie brzmiało absurdalnie.

Peter odrzucił kołdrę i, jeszcze w piżamie, usiadł za biurkiem, żeby się zalogować do Internetu.

Treść maila była dla niego rozmazaną plamą. Sięgnął więc po okulary, które zawsze trzymał przy komputerze, wsunął je na nos, rzucił etui na klawiaturę i wówczas zobaczył słowa, których miał nadzieję nigdy więcej w życiu nie oglądać.

Szybko nacisnął naraz trzy klawisze: CONTROL ALT DELETE, ale i tak wciąż widział przed oczami ten tekst – nawet gdy ekran wypełniła czerni, nawet gdy zacisnął powieki, i nawet wtedy, gdy spod powiek popłynęły łzy.

W miasteczku wielkości Sterling wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich. W pewnym sensie było to kojące: jakby się miało nadzwyczajnie rozgałęzioną rodzinę, którą niekiedy się kocha, a niekiedy... cóż, serdecznie się jej nie cierpi. Ale zdarzało się również, że ta świadomość przytłaczała Josie – jak na przykład teraz, gdy stała w stołówkowej kolejce tuż za Natalie Zlenko, lesbą pierwszej wody, która dawno temu, w drugiej klasie podstawówki, zaprosiła do siebie Josie, a potem namówiła, żeby się wysikały na frontowym trawniku, tak jak to

robią chłopcy. „Co też cię napadło!” – obruszyła się Alex, kiedy przyszła po córkę i zobaczyła ją z gołą pupą nad rabatą z żonkilami. Od tamtego czasu minęło dziesięć lat, a mimo to, ilekroć Josie widziała Natalie – obciętą teraz na krótkiego jeża, z nieodłączną cyfrową lustrzanką zawieszoną na szyi – zawsze się zastanawiała, czy Zlenko na jej widok też przypomina sobie o tamym dniu.

Tuż za Josie stała Courtney Ignatio, bez dwóch zdań samica alfa Sterling High. Ze swoimi włosami w kolorze miodu, spływającymi na ramiona niczym jedwabny szal, i džinsami sprowadzonymi od Freda Segala, stanowiła matrycę rozlicznych klonów. Na tacy Courtney znajdowała się butelka wody mineralnej i leżał jeden niewielki banan. Na tacy Josie stał tekturowy talerz z frytkami. To była druga przerwa i, zgodnie z przewidywaniami matki, Josie zdjął wilczy głód.

– Halo – Courtney podniosła głos, żeby jej słowa dotarły do Natalie i wszystkich innych stojących w kolejce – czy *tavaginatarianka* mogłaby nas przepuścić?

Czerwona jak burak Natalie przywarła do szyby bufetu sałatkowego, pozwalając Courtney i Josie precyzyjnie się do kasy.

Tam zapłącili za lunch i ruszyły przez salę.

Za każdym razem, gdy Josie przechodziła przez kafenię, czuła się jak przyrodnik obserwujący rozmaite gatunki zwierząt w ich naturalnym środowisku. Oto komputerowe świry, pochylone nad podręcznikami, zaśmiewające się z dowcipów, których nikt normalny nawet nie próbowałby zrozumieć. Za nimi maniakalni artyści, palący za boiskiem szkolnym skręcane z koniczyny papierosy, pokrywający marginesy notatników komiksami Manga. Obok kontuaru z przyprawami rozsiadły się matole wciągające hektolitry czarnej kawy, czekające na autobus, który dowoził ich trzy miasta dalej do szkoły zawodowej na zajęcia popołudniowe; dalej ćpuny nawalone już od dziewiątej rano. No i dziwolągi w rodzaju Natalie czy Angeli Phlug, które kolegowaly się ze sobą tylko dlatego, że nikt inny nie chciał mieć z nimi nic wspólnego.

A do tego wszystkiego, oczywiście, dochodził ekskluzywny

wianuszek przyjaciół Josie. Ich grupa zajmowała aż dwa stoliki – nie dlatego, że była szczególnie liczna, ale ponieważ każde z nich potrzebowało przestrzeni do odpowiedniej ekspozycji własnej rozbuchanej osobowości. Emma, Maddie, Haley, John, Brady, Trey, Drew i Courtney. Kiedy Josie zaczęła się obracać w ich towarzystwie, nieustannie myliła imiona tych ludzi. Byli po prostu nierozróżnialni.

Wszyscy wyglądali mniej więcej tak samo: faceci nosili kasztanowe bluzy drużyny hokejowej, a nad czołem, spod paska włożonej tył na przód baseballówki, wystrzeliwały im płomienie blond kosmyków; dziewczyny natomiast, na skutek pilnych zabiegów, były idealnymi kalkami Courtney. Josie szybko się wtopiła w ich towarzystwo, ponieważ ona też tak wyglądała. Niesforne włosy starannie rozprostowywała, aż się stawały gładką jak szkło zasłoną i nosiła ośmiocentymetrowe szpilki, mimo że na ulicach wciąż zalegał śnieg. Ale dzięki temu, że zewnętrznie upodobniła się do tego grona, łatwiej jej było ignorować wewnętrzne rozterki, związane z kryzysem tożsamości.

– Hej – rzuciła Maddie, gdy Courtney usiadła na sąsiednim krześle.

– Hej.

– Słyszałaś już o Fionie Kierland?

W oczach Courtney od razu się pojawił żywy błysk: żaden, nawet najcudowniejszy, związek chemiczny nie był równie doskonałym katalizatorem towarzyskiej interakcji jak plotka.

– Mówisz o tej, która ma cycki różnej wielkości?

– Nie, tamta to Fiona z drugiej klasy, a ja mówię o Fionie z pierwszej.

– Tej, która z powodu alergii zawsze nosi przy sobie pudełko z chusteczkami? – wtrąciła Josie, wślizgując się na swoje miejsce.

– Niekoniecznie z powodu alergii – wtrąciła Haley. – Zgadnijcie, kto wylądował na odwyku za wciąganie koki.

– Nie zalewaj!

– A to nie koniec skandalu – dodała Emma. – Jej dealerem był przewodniczący szkolnego Kółka Biblijnego.

– Ale numer! – wykrzyknęła Courtney.

– No właśnie.

– Hej. – Matt usiadł na krześle obok Josie. – Czemu się tak grzebałaś?

Odwróciła się w jego stronę. Reszta chłopaków siedzących po tej stronie stołu ugniatała bibułki od słomek w kulki-plujki i rozprawiała o snowboardzie.

– Jak myślicie, do kiedy będzie otwarty half-pipe w Sunapee? – spytał John, posyłając plujkę w stronę chłopaka, który spał przy sąsiednim stoliku.

Ten chłopak chodził wraz z Josie na zajęcia fakultatywne z języka migowego. I podobnie jak ona był w przedmaturalnej klasie. Jego głowa i rozrzucone na boki ręce, przypominające chude, blade odnóża pająka, spoczywały bezwładnie na blacie, a z szeroko otwartych ust wydobywało się głośne chrapanie.

– Nie trafiłeś, cieniasie – oznajmił Drew. – Jak zamkną Sunapee, to się przeniesiemy do Killington. Tam śnieg leży do sierpnia czy coś koło tego. – Jego plujka wylądowała we włosach śpiącego chłopaka.

Derek. Ten chłopak miał na imię Derek.

Matt zerknął na frytki Josie.

– Chyba nie zamierzasz tego jeść?

– Umieram z głodu.

Chwycił w dwa palce jej skórę w pasie: gest będący oceną grubości nieistniejącej tkanki tłuszczowej i wyrazem dezaprobaty zarazem. Josie spojrzała na swoje frytki. Jeszcze kilka sekund temu były złociste i wydzielaly niebiański aromat. Teraz widziała jedynie odrażający tłuszcz, znaczący ohydnymi plamami teksturę talerza.

Matt chwycił kilka z nich, a resztę oddał Johnowi i Drew, który w końcu trafił papierową kulką w rozdziawione usta śpiącego chłopaka. Charcząc i plując, Derek gwałtownie się zbudził.

– Super! – Drew przybił piątkę z Johnem.

Derek wypluł rozmięktą bibułkę na serwetkę, z obrzydzeniem wytarł usta, a potem ukradkiem rozejrzał się po sali, żeby sprawdzić, kto jeszcze był świadkiem jego upokorzenia. Josie niespodziewanie

przypomniała sobie pewien znak języka migowego – języka, który w całości wyrzuciła z pamięci tuż po zaliczeniu końcowego egzaminu. Zaciśnięta pięść prawej ręki, zataczająca małe kółka wokół serca, to „przepraszam”.

Matt się nachylił i pocałował ją w szyję.

– Idziemy stąd – zarządził. Pociągnął Josie w górę, a do reszty rzucił przez ramię: – To na razie.

Sala gimnastyczna była zlokalizowana na piętrze, ponad miejscem, które w założeniu miało być basenem, ale z braku środków finansowych zostało w końcu podzielone na trzy klasy, nieustannie rezonujące tupotem rozbieganych stóp i stukotem piłek odbijanych o parkiet. Michael Beach i jego najlepszy przyjaciel, Justin Friedman, obaj pierwszoklasiści, siedzieli tuż za linią boiska do koszykówki, podczas gdy ich nauczyciel WF po raz setny się rozwodził nad techniką dryblingu. Kompletna strata czasu, ponieważ obecne tu dzieciaki albo należały do tej grupy, co Noah James – niekwestionowany ekspert wszelkich gier zespołowych, albo Michael i Justin, którzy, co prawda, biegle się porozumiewali w językach elfów, za to *home run* definiowali jedynie jako cwał do domu natychmiast po zajęciach, żeby uniknąć powieszenia za gacie na hakach w szatni. Teraz siedzieli po turecku, wystawiając na boki chude, gruzłowate kolana, i ponuro kontemplowali pisk tramppek trenera miotającego się od jednego końca boiska do drugiego.

– Zakład o dziesięć dolców, że zostanę wybrany do drużyny jako ostatni – mruknął Justin.

– Dałbym wiele, żeby to się już skończyło – jęknął Michael. – Może będziemy mieli szczęście i ogłoszą próbny alarm przeciwpożarowy.

– Albo nastąpi trzęsienie ziemi – rozmarzył się Justin z błogim uśmiechem.

– Albo tsunami.

– Plaga szarańczy!

– Atak terrorystyczny!

Trampki się zatrzymały tuż przed ich nosem. Trener Spears

skrzyżował ramiona i spiorunował obu wzrokiem.

– Czy raczycie mi powiedzieć, co was tak śmieszy w koszykówce?

Michael zerknął na Justina, po czym przeniósł wzrok na nauczyciela.

– Zupełnie nic – odparł z kamienną twarzą.

* * *

Lacy Houghton wzięła prysznic, a potem zaparzyła sobie kubek zielonej herbaty i ogarnięta błogim spokojem zaczęła wędrować po domu. Kiedy dzieci jeszcze były małe, a ona przytłoczona nadmiarem obowiązków, Lewis często pytał, jak mógłby uprzyjemnić jej życie. Biorąc pod uwagę jego zawód, taka indagacja zakrawała na ironię. Lewis był bowiem profesorem w Sterling College, gdzie wykładał ekonomię szczęścia. Owszem, taka gałąź nauki naprawdę istniała, i owszem, mąż Lacy należał do najwyższej klasy ekspertów w tej dziedzinie. Prowadził rozliczne seminaria, pisał uczone artykuły i udzielał wywiadów dla CNN na temat przełożenia szczęścia i subiektywnego poczucia dobrostanu na wymierne wartości finansowe – a mimo to nie miał bladego pojęcia, w jaki sposób mógłby wnieść trochę radości do życia Lacy. Może miałyby ochotę na obiad w dobrej restauracji? Na profesjonalny pedikiur? Na drzemkę? Kiedy mu wyznała, do czego tęskni najbardziej, nie potrafił tego pojąć. A ona po prostu chciała побыć zupełnie sama we własnym domu, uwolniona od męczącego przeświadczenia, że czekają na nią pilne obowiązki.

Otworzyła drzwi pokoju Petera, odstawiła kubek na komodę i zabrała się do ścielenia łóżka. „To nie ma najmniejszego sensu – oznajmił Peter, kiedy mu suszyła głowę, żeby wreszcie sam się zajął porządkowaniem pościeli. – Przecież za kilka godzin znowu będzie identycznie skłębiona”.

Lacy rzadko wchodziła do pokoju syna pod jego nieobecność. I może dlatego natychmiast ogarnęło ją wrażenie, że brakuje tu jakiegoś integralnego składnika przestrzeni. Z początku uznała, że to dziwne

uczucie pustki jest wywołane nieobecnością Petera, ale po chwili uświadomiła sobie, że komputer – nieustannie wydający niskie szумы, rozbłyskujący zieloną poświatą monitora – teraz jest wyłączony.

Wygładziła prześcieradło i podwinęła jego brzegi pod materac, starannie ułożyła na wierzchu kołdrę, przetrzepała poduszki. Wychodząc, zatrzymała się w progu i z uśmiechem powiodła wzrokiem po pokoju: prezentował się bez zarzutu.

Zoe Patterson od dłuższej chwili roztrząsała w duchu, jak by to było, gdyby się całowała z chłopakiem noszącym aparat korekcyjny na zębach. Co prawda, nie podejrzewała, że coś podobnego jej się przytrafi w najbliższym czasie, ale chciała być przygotowana na podobną ewentualność, żeby w razie czego sytuacja kompletnie jej nie zaskoczyła. W zasadzie ciekawiło ją, jak by to było, gdyby się całowała z jakimkolwiek facetem – niekoniecznie stojącym przed takimi samymi wyzwaniem ortodontycznymi, jakie jej przypadły w udziale. No i, pomijając wszystko inne, cóż lepszego można robić na głupiej lekcji matematyki, niż puszczać wodze fantazji?

Pan McCabe, któremu się zdawało, że jest Chrisem Rockiem algebry, odstawiał swój codzienny numer komediowy, sypiąc na prawo i lewo matematycznymi kalamburami. Zoe wbiła wzrok we wskazówki zegara. Niecierpliwie odliczała minuty, a równo o 9:50 poderwała się z miejsca i wręczyła panu McCabe zwolnienie.

– A, ortodonta – przeczytał na głos nauczyciel. – Panno Patterson, proszę uważać, żeby nie zadrutował pani ust na amen.

Zoe zarzuciła ciężki plecak na ramię i wyszła z klasy. Miała się spotkać z mamą przed szkołą o dziesiątej, a ponieważ zaparkowanie samochodu o tej porze graniczyło z cudem, umówiły się, że mama zgarnie ją w przelocie. Podczas zajęć hol był pusty i każdy, nawet najłżejszy odgłos niósł się po nim głuchym echem – niczym w przepastnym brzuchu wieloryba. Zoe weszła do sekretariatu, gdzie się wpisała na stosowną listę, a potem z takim pośpiechem wypadła za drzwi szkoły, że niemal stratowała jakiegoś dzieciaka.

Na dworze zrobiło się na tyle ciepło, że można było rozpiąć kurtkę,

pomyśleć o lecie, o obozie treningowym żeńskiej drużyny piłki nożnej i o tym, jak się zmieni życie Zoe, kiedy wreszcie przestanie nosić swój podniebienny ekspander. Jeżeli teraz całowałaby się z chłopakiem, który nie nosi aparatu, i zbyt zachłannie wpiła w niego ustami, czy poraniłaby mu dziąsła? Jakiś cichy głos podpowiadał Zoe, że gdyby pokaleczyła faceta do krwi, to najprawdopodobniej już więcej nie miałby ochoty się z nią spotkać. A co by było, jeżeli on także nosiłby aparat, jak ten blondyn, który się przeniósł z Chicago i siedzi przed nią na angielskim? (Co nie znaczy, że on jej się podobał, nic z tych rzeczy, chociaż kiedy się pewnego dnia odwrócił, żeby jej podać poprawioną pracę domową, przytrzymał kartki w palcach odrobinę za długo...). Czy by się zaklinowali jak uszkodzone tryby maszynierii? Czy, żeby je rozczepić, trzeba by ich przewieźć na oddział ratunkowy szpitala? Aż strach myśleć o takim upokorzeniu.

Zoe przejechała językiem po metalowych sztachetach, przytwierdzonych do zębów. Może tymczasowo przyjmą ją do klasztoru.

Westchnęła głęboko i wyrzała na ulicę w nadziei, że w wijącym się sznurze przejeżdżających samochodów wypatrzy zielonego exploraera matki. I właśnie w tym momencie powietrzem wstrząsnął wybuch.

Patrick, rozparty na fotelu nieoznakowanego samochodu policyjnego, stał na światłach przed zjazdem na autostradę. Obok, na siedzeniu pasażera, leżała papierowa torba na dowody, a w niej fiolka z kokainą. Dealer, którego zwinęli na terenie liceum, przyznał od razu, że to koks, a mimo to Patrick musiał tracić pół dnia na wyprawę do laboratorium stanowego, by ktoś ubrany w biały kitel mógł potwierdzić to, o czym on już doskonale wiedział. Pokręcił gałką policyjnego radia i usłyszał, jak dyspozytor wysyła jednostkę straży pożarnej do liceum, gdzie nastąpił jakiś wybuch. Najprawdopodobniej eksplozja bojlera. Szkoła była już na tyle stara, że infrastruktura powoli się sypała. Patrick próbował sobie uprzytomnić, gdzie w Sterling High jest usytuowana kotłownia. Miał nadzieję, że wszystkim dopisze szczęście i nikt nie zostanie poszkodowany w wypadku.

„Oddano strzały...”

Światła się zmieniły na zielone, ale Patrick nie ruszył z miejsca. Użycie broni palnej w Sterling było tak rzadkie, że całą uwagę skupił na policyjnym radiu, czekając na dalsze wyjaśnienia.

„Strzały w liceum... strzały w Sterling High...”

Głos dyspozytora nabrał przyśpieszenia, w jego ton się wkradło napięcie. Patrick gwałtownie zawrócił, włączył czerwono-niebieskie policyjne światła i skierował się w stronę szkoły. W radiu przez elektrostatyczne trzaski przebijały głosy innych policjantów, podających swoją aktualną pozycję w mieście. Dyżurny oficer próbował koordynować ich działania, wzywał także posiłki z Hanover i Lebanon. Słowa się plątały, zagłuszały i blokowały nawzajem, tak że w końcu nikt niczego nie był w stanie zrozumieć.

„Kod tysiąc – zarządził dyspozytor. – Kod tysiąc”.

W całej swojej karierze detektywa Patrick usłyszał wywołanie tego kodu jedynie dwukrotnie. Raz, jeszcze w Maine, kiedy ścigany za niepłacenie alimentów, zdesperowany ojciec wziął policjanta na zakładnika. Po raz drugi już w Sterling, podczas domniemanego napadu na bank, który się szczęśliwie okazał fałszywym alarmem. Kod 1000 oznaczał, że każdy ma natychmiast zwolnić radio do wyłącznej dyspozycji koordynatora akcji. Że nie jest to codzienna, policyjna rutyna, ale sprawa życia i śmierci.

Chaos. Uczniowie wybiegający na oślep ze szkoły, traktujący rannych kolegów. Chłopak w oknie na piętrze, trzymający dużą kartkę z własnoręcznie wypisanym apelem: POMOCY! Łkające, tulące się do siebie dziewczęta. Narastający chaos. Krew znacząca rozbielonym karminem topniejący śnieg. Rodzice napływający powolnym strumieniem, a już chwilę później oceaniczną falą, wykrzykujący imiona dzieci, których nie mogli odnaleźć. Totalny chaos. Podtykane wszystkim pod nos obiektywy telewizyjnych kamer, niedostateczna liczba karet, niedostateczna liczba policjantów i kompletny brak planu działania w sytuacji, gdy dotąd dobrze znany świat zaczyna się rozpadać w proch.

Patrick wjechał kołami na chodnik i chwycił kamizelkę kuloodporną

z tylnego siedzenia. Adrenalina pulsowała mu w żyłach, wyostrowiając zmysły. Odnalazł komendanta O'Rourke, który utknął pośrodku tego pandemonium z megafonem w ręku.

– Nie mamy żadnego rozpoznania sytuacji – poinformował Patricka.
– Chłopcy z oddziału specjalnego już tu jadą.

Patrick miał gdzieś oddział specjalny. Zanim SWAT dotrze na miejsce, może paść setka kolejnych strzałów, mogą zginąć jakieś dzieciaki. Stanowczym ruchem wyszarpnął pistolet z kabury.

– Wchodzę do środka – oznajmił.

– Wykluczone. To wbrew procedurom.

– W podobnym wypadku żadne pieprzone procedury nie mają zastosowania – odpalił Patrick. – Jak będzie po wszystkim, możesz mnie wyłączyć.

Kiedy biegł po schodach w stronę wejścia, zorientował się, że jeszcze dwóch patrolowych zignorowało rozkaz komendanta i ruszyło za nim w strefę zagrożenia. Patrick każdego z nich posłał wzdłuż innego korytarza, a sam zaczął forsować szerokie dwuskrzydłowe drzwi, przepychając się przez masy uczniów, którzy za wszelką cenę usiłowali się wydostać na zewnątrz. Alarmy przeciwpożarowe były tak głośno, że trudno było wychwycić odgłosy wystrzałów. Patrick złapał za poję kurtki jednego z przebiegających obok chłopaków.

– Kto to jest? – krzykiem przedarł się przez ryk alarmu. – Kto strzela?

Dzieciak jął bezradnie potrząsać głową, wyrwał się Patrickowi, po czym jak obłąkany pocwałował korytarzem, pchnął drzwi i zniknął w szerokiej smudze słonecznego światła.

Pędzący uczniowie rozstępowali się przed Patrickiem, a potem znów łączyli w jeden nurt – jakby Patrick był kamieniem, który utknął pośrodku rzeki. Kłęby dymu gryzły go w oczy. Usłyszał kolejne staccato wystrzałów i ostatnim wysiłkiem woli powstrzymał się od pobiegnięcia na oślep w stronę, z której dochodziły złowrogie odgłosy.

– Ilu jest napastników? – wykrzyknął do mijającej go dziewczyny.

– Nie wiem... nie wiem...

Jej biegnący obok kolega odwrócił się i spojrzał uważnie na Patricka, rozdarty pomiędzy chęcią podzielenia się wiedzą a potrzebą jak najszybszego opuszczenia budynku.

– Jeden z uczniów... strzela do każdego...

To wszystko, czego Patrickowi było trzeba. Ruszył pod prąd napierającej ludzkiej fali niczym łosoś płynący w górę strumienia. Podłoga była usiana arkuszami prac domowych dzieciaków, podeszwy butów ślizgały się na łuskach pocisków. Płyty sufitowe przypominały rzeszoto, a leżące tu i ówdzie nienaturalnie powykręcane ciała pokrywał szarawy, gipsowy pył. Patrick nie zwracał uwagi na te widoki; wbrew odruchom wpojonym na niezliczonych szkoleniach biegiem mijał drzwi, za którymi mógł się czaić napastnik, i sale, które powinien przeszukać. Gnał przed siebie z wyciągniętą bronią, a krew pulsowała mu gwałtownie w każdym skrawku skóry. Jakiś czas później wróciły do niego obrazy, których w owej chwili świadomie nie rejestrował: oderwane pokrywy ciasnych szybów wentylacyjnych, gdzie próbowali wpełznąć uczniowie; bezpieczeństwa buty, z których dzieciaki dosłownie wyskoczyły z przerażenia; upiorna antycypacja sceny przestępstwa – zarysy ludzkich sylwetek przed pracownią biologiczną, gdzie podczas zajęć uczniowie odrysowywali na papierze pakowym kontury własnych ciał.

Patrick przebiegał przez korytarze tworzące w jego wyobraźni zamknięty, kolisty labirynt. „Gdzie?” – wykrzykiwał, ilekroć się natknął na uciekających uczniów, bo tylko oni mogli mu dostarczyć jakichkolwiek wskazówek nawigacyjnych. Mijał ściany zbryzgane krwią, dzieciaki leżące bezwładnie na podłodze, ale nie oglądał się za siebie. Popędził w górę głównymi schodami, a w chwili, gdy się znalazł na podeście, uchyliły się jedne z drzwi. Patrick odwrócił się automatycznie, odruchowo wycelował w tamtą stronę broń i ujrzał młodą nauczycielkę, opadającą na kolana z uniesionymi do góry rękami. Za bladym owalem jej twarzy wykwitąło dwanaście innych, z których strach wymazał wszelkie indywidualne cechy. Patricka dobiegł odór uryny.

Opuścił pistolet i wskazał na schody.

– Ruszajcie – zarządził, po czym pobiegł dalej, nie sprawdzając, czy się zastosowali do jego polecenia.

Skręcił za załom ściany, pośliznął się na kałuży krwi i w tym samym momencie usłyszał kolejny wystrzał – tym razem tak głośny, że aż zadźwięczał mu w uszach. Rzucił się przez dwuskrzydłowe drzwi, prowadzące do sali gimnastycznej, gdzie ujrzał kolejne ciała, leżące na podłodze, oraz przewrócony wózek, z którego piłki do koszykówki wyturlały się pod sąsiednią ścianę – ale ani śladu strzelca. Ponieważ w piątkowe wieczory, w ramach nadgodzin, pilnował porządku podczas szkolnych rozgrywek koszykarskich, wiedział, że dotarł do najodleglejszego krańca Sterling High. A to oznaczało, że albo napastnik czai się w pobliżu, albo zdołał przemknąć niepostrzeżenie obok Patricka i teraz mógł zająć go od tyłu.

Z wyciągniętą przed siebie bronią Patrick szybko się odwrócił w stronę wejścia, by wykluczyć podobną ewentualność, i wówczas znowu usłyszał wystrzał. Podbiegł do kolejnych drzwi, które w pierwszej chwili umknęły jego uwadze. Prowadziły do szatni o podłodze i ścianach wyłożonych białymi kafłami. Patrick spojrzął pod nogi, zobaczył wachlarzowaty rozbryzg krwi i wysunął pistolet poza załom ściany.

W jednym rogu szatni leżały dwa nieruchome ciała. W drugim, bliższym Patricka, kucał drobny chłopiec przytulony do szafek. Miał na nosie okulary w cienkich drucianych oprawkach, teraz żałośnie przekrzywione. Konwulsyjnie drżał na całym ciele.

– Nic ci się nie stało? – wyszeptał Patrick, żeby zbyt donośnym głosem nie zdradzić strzelcowi własnej pozycji.

Chłopak nie zareagował, tylko wpatrywał się w niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Gdzie on jest? – spytał bezgłośnie Patrick.

W odpowiedzi chłopak wyciągnął spod uda pistolet i przystawił sobie do skroni.

Patricka oblała fala gorąca.

– Ani, kurwa, drgnij! – wykrzyknął i wycelował. – Rzuć broń albo będę strzelał!

Poczuł, jak na czoło występuje mu zimny pot, jak już spływa wąskimi strużkami po plecach. Poprawił uchwyt na rękojeści, zdecydowany przeszyć gówniarza kulami, jeżeli będzie do tego zmuszony. Zaczął z wolna przesuwając palcem po spuście, a wówczas dzieciak otworzył dłoń i rozczapierzył palce na podobieństwo ramion rozgwiezdy. Pistolet upadł na podłogę i pojechał naprzód po gładkich kaflach.

Patrick natychmiast się rzucił w stronę chłopaka. Jeden z funkcjonariuszy – z którego obecności Patrick do tej pory zupełnie nie zdawał sobie sprawy – zabezpieczył broń rzuconą przez napastnika. Patrick przewrócił dzieciaka na brzuch, wbił kolano w jego kręgosłup i wprawnie skuł mu ręce.

– Gdzie inni? Czy ktoś z tobą współdziałał?

– Nie. Byłem sam – wydusił chłopak.

Patrickowi świat zawirował przed oczami, a puls galopował mu w rytmie wojennych werbli, mimo to dotarła do niego treść meldunku składanego przez mundurowego przez radio: „Sterling, zatrzymaliśmy sprawcę. Nic nie wskazuje na obecność innych napastników”.

Równie niespodziewanie, jak wszystko się zaczęło – dobiegło końca. O ile w ogóle w przypadku podobnego zdarzenia można mówić o końcu. Patrick nie wiedział, czy na terenie szkoły nie ma żadnych innych ładunków wybuchowych poza tymi, które już eksplodowały; ile tak naprawdę jest ofiar; jak wielu rannych może przyjąć Centrum Medyczne Dartmouth-Hitchcock i Szpital Fundacji Alice Peck; nie miał pojęcia, jak się zabrać do zabezpieczenia dowodów na tak rozległym obszarze. Napastnik został ujęty, jednak jakim kosztem? Patrick zaczął drzeć na całym ciele, bo dotarło do niego, że znowu się spóźnił, a cenę za to zapłaciło wielu uczniów, rodziców i obywateli Sterling.

Postąpił naprzód kilka kroków i opadł na kolana, ponieważ najzwyczajniej w świecie nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Udawał jednak, że uczynił to celowo – że chciał się uważniej przyjrzeć dwóm

ciałom, leżącym w kącie. Podświadomie zarejestrował, że sprawca jest wyprowadzany z szatni, że za chwilę się znajdzie w czekającym radiowozie. Ale się nie odwrócił, całą swoją uwagę skupiając na pierwszej z ofiar.

Chłopak ubrany w bluzę hokejową miał ranę postrzałową w czole i leżał w kałuży krwi. Patrick sięgnął po baseballówkę z wyhaftowanym logo drużyny hokeja; wystrzał zdmuchnął czapkę z głowy zabitego i posłał pół metra dalej. Patrick obrócił ją kilka razy w dłoniach, kreśląc daszkiem niezgrabne kółka w powietrzu.

Druga ofiara, dziewczyna, leżała odwrócona twarzą do dołu, a spod jej skroni wypływała strużka krwi. Była boso i miała paznokcie u nóg pomalowane na taki sam cukierkowo różowy kolor, jakim Tara ozdobiła jego stopy. Na ów widok Patrick poczuł skurcz serca. Ta dziewczyna, podobnie jak jego chrześniaczka, jak jej brat i miliony innych dzieciaków, wstała dziś rano i pojechała do szkoły zupełnie nieświadoma, że czeka tam na nią śmiertelne zagrożenie. Wierzyła, że dorośli – że nauczyciele będą ją chronić. Dla podniesienia poziomu bezpieczeństwa po 11 września wszyscy pracownicy placówek edukacyjnych nosili identyfikatory, a drzwi szkół zamykano podczas trwania zajęć, bo przecież wrogiem mógł być tylko ktoś obcy, jakiś intruz z zewnątrz, a nie dzieciak, który siedział w sąsiedniej ławce.

Niespodziewanie dziewczyna się poruszyła.

– Pomocy...

Patrick klęknął u jej boku.

– Jestem przy tobie. – Dotknął jej nieznacznie, próbował oszacować rozmiar obrażeń. – Wszystko będzie dobrze. – Odwrócił ją na tyle, by zobaczyć, że krew płynęła z rany spowodowanej upadkiem, a nie postrzałem w głowę, jak pierwotnie założył. Nieustannie coś do niej mówił, jego słowa nie zawsze się układały w logiczny ciąg, ale przede wszystkim chciał, by miała świadomość, że nie jest już osamotniona. – Jak ci na imię, kochanie?

– Josie... – Dziewczyna zaczęła się szamotać, próbowała usiąść i Patrick się ustawił w strategicznej pozycji, tak by zasłonić sobą ciało

zabitego chłopaka. Dziewczyna i bez tego była w szoku, nie chciał dodatkowo pogarszać jej stanu. Ona tymczasem przytknęła rękę do czoła, a gdy poczuła lepłą krew, wpadła w panikę. – Co... co się stało?

Powinien poczekać, aż ją zbadają ratownicy medyczni. Powinien przez radio wezwać pomoc. Ale słowo „powinien” nie miało już teraz zastosowania. Patrick chwycił więc Josie na rękę, po czym wyniósł ją z szatni, gdzie niemal straciła życie, pośpiesznie zbiegł z nią po schodach i wyskoczył na zewnątrz przez frontowe drzwi, jakby w ten sposób mógł ocalić ich oboje.

Siedemnaście lat wcześniej

Naprzeciwno Lacy siedziało czternaście osób – wzięwszy pod uwagę fakt, że każda z siedmiu kobiet, które się zjawily na jej zajęciach, była w ciąży. Niektóre z nich przysły uzbrojone w zeszyty i ołówki i przez ostatnie półtorej godziny skrzętnie zapisywały wysokość zalecanych dawek kwasu foliowego, nazwy i przyczyny powstawania wad rozwojowych, składniki diet dla przyszłych matek. Podczas omawiania przebiegu prawidłowego porodu dwie z nich pozieleniały na twarzy i musiały gnać do łazienki, nękanie porannymi mdłościami, które – co naturalne – rozciągały się na cały dzień; nazywanie ich „porannymi” było równoznaczne z określaniem wszystkich czterech pór roku mianem kanikuły.

Lacy była zmęczona. Dopiero niecały tydzień temu wróciła do pracy po własnym urlopie macierzyńskim i uważała za wielką niesprawiedliwość losu fakt, że jeżeli w ciągu nocy nie musi się zajmować własnym niemowlęciem, to traci sen na sprowadzanie na świat cudzych dzieci. Piersi ją bolały, przypominając natarczywie, że powinna lada moment ściągnąć pokarm, który zostawi jutro opiekunce dla Petera.

Jednak zbyt kochała swoją pracę, aby na dobre z niej zrezygnować. W liceum miała tak wysokie oceny, że bez trudu się dostała na studia medyczne. Zamierzała zostać ginekologiem aż do dnia, w którym sobie uświadomiła, że nie potrafi siedzieć u boku rodzącej i z profesjonalnym

dystansem podchodzić do jej cierpienia. Doktorzy wznosili mury między sobą a pacjentami, pielęgniarki te mury burzyły. Postanowiła więc zostać dyplomowaną położną, co dawało jej możliwość koncentrowania się w dużej mierze na przeżyciach emocjonalnych przyszłych matek, a nie jedynie na fizjologicznych symptomach. Pewnie niektórzy lekarze ze szpitala uważali ją za stukniętą, ale ona szczerze wierzyła, że jeżeli pytało się pacjentkę: „Jak się pani czuje?”, nie należało się skupiać na bólach i dolegliwościach, ale objawach świadczących o prawidłowym przebiegu procesów fizjologicznych.

Zza plastikowego modelu stadiów płodu wyciągnęła najnowszy bestseller wśród poradników dla kobiet w ciąży.

– Ile z was widziało tę książkę?

Siedem rąk uniosło się w górę.

– Okay. Nie kupujcie jej. Nie czytajcie. Jeżeli już się znalazła w waszym domu, wyrzucie ją na śmietnik. Ten poradnik wpoi w was przekonanie, że będziecie krwawić, cierpieć rozliczne bóle, padniecie trupem lub ofiarą tysiąca różnych przypadłości, które się nigdy nie zdarzają w przebiegu prawidłowej ciąży. A wierzcie mi, procent ciąż prawidłowych jest wielokrotnie wyższy, niż chcieliby wam wmówić autorzy tej książki. – Lacy zerknęła w głąb sali, gdzie jedna z kobiet gwałtownie się złapała za bok. Ostry skurcz?

Kobieta była ubrana w czarną garsonkę, a włosy miała gładko ściągnięte na wysokości karku. Ponownie przycisnęła dłoń do talii, ale tym razem wyjęła spod zakietu niewielki pager.

– Ja... przepraszam – powiedziała, podnosząc się z krzesła. – Ale muszę już iść.

– Czy to, czymkolwiek jest, nie mogłoby poczekać jeszcze kilka minut? – spytała Lacy. – Właśnie miałyśmy się wybrać na zwiedzanie oddziału porodowego.

Kobieta wręczyła jej formularze rozdane na początku zajęć z prośbą o wypełnienie.

– Mam sprawę zdecydowanie bardziej niecierpiącą zwłoki – oznajmiła i pośpiesznie wyszła.

– Cóż, to chyba dobry moment, żeby zrobić przerwę na siusiu – zdecydowała Lacy.

Podczas gdy sześć pozostałych kobiet gęsiego wymaszerowało z sali, ona zerknęła na arkusze trzymane w rękę. „Alexandra Cormier”, przeczytała, po czym pomyślała: Tę muszę mieć na oku.

Poprzednim razem Alex broniła Loomisa Bronchettiego w sprawie o włamanie do trzech domów, skąd wyniósł cały sprzęt elektroniczny, który potem próbował opchnąć na ulicach Enfield. I chociaż był dostatecznie sprytny, by obmyślić i wcielić w czyn śmiały plan kradzieży, nie wpadł już na to, że w miasteczku tak małym jak Enfield trefny towar natychmiast wzbudzi poważne podejrzenia.

Okazało się, że ubiegłej nocy Loomis postanowił rozszerzyć swoje kryminalne dossier i w tym celu wraz z kumplami zasadził się na dealera, który nie dostarczył im zadowalającej ilości marihuany. Kiedy już byli na niezłym haju, związali faceta w kij jak prosię i wrzucili do bagażnika samochodu, a Loomis na dokładkę trzasnął gościa kijem baseballowym, rozłupując mu czaszkę i przyprowadzając go o konwulsje. Gdy delikwent zaczął się dusić własną krwią, Loomis łaskawie przewrócił go na bok, żeby umożliwić mu oddychanie.

– Nie mogę uwierzyć, że oskarżają mnie o napaść – oznajmił zza krat celi. – Przecież uratowałem temu facetowi życie.

– Cóż – odezwała się Alex. – Zapewne moglibyśmy użyć tego argumentu dla potrzeb obrony, gdyby nie fakt, że właśnie ty spowodowałeś uraz, który ściągnął na niego śmiertelne zagrożenie.

– Musi pani zawrzeć ugodę z prokuratorem na wyrok poniżej roku odsiadki. Nie chcę iść do pierdła stanowego w Concord...

– Ciesz się, że nie zostałeś oskarżony o próbę zabójstwa.

Loomis spiorunował ją wzrokiem.

– Zrobiłem gliniarzom przysługę, usuwając takiego śmiecia z ulic.

Dokładnie to samo można by powiedzieć o Bronchettim, gdyby wlepiono mu karę kilku lat pozbawienia wolności i wysłano go do

więzienia stanowego. Ale jej zadanie nie polegało na osądzaniu Loomisa. Miała ciężko pracować na rzecz klienta, bez względu na to, co o nim myślała; chować się za maską beznamiętnego profesjonalizmu, nigdy nie ukazując własnej twarzy; nie dopuścić, by jej odczucia i emocje kolidowały z działaniami na rzecz uniewinnienia Loomisa Bronchettiego.

– Zobaczą, co się da zrobić – obiecała.

Lacy dobrze wiedziała, że każde niemowlę jest inne – każde to mała istota z własnymi upodobaniami i dziwactwami, pragnieniami i fobiami. Ale niekiedy miała nadzieję, że drugie podejście do macierzyństwa przyniesie w efekcie latorośl podobną do jej pierworodnego – Joeya, złotego chłopca, na którego widok ludzie się oglądali na ulicy lub wręcz przystawali przy wózku i rozplýwali się w zachwytach. Peter był dzieckiem równie ślicznym, ale o wiele bardziej wymagającym. Często płakał, cierpiąc na kolkę, i wówczas jedynym sposobem uspokojenia malucha było zapakowanie go do fotelika samochodowego, który następnie należało postawić na wibrującej suszarce do bielizny. W jednym momencie Peter ssał pierś matki, a już w następnym gwałtownie się przeżył i odwracał od niej główkę.

Dochodziła druga w nocy i Lacy próbowała ponownie uśpić synka. W odróżnieniu od Joeya, który zapadał w sen tak gwałtownie, jakby stawiał krok w przepaść, Peter zapierał się przed snem rękami i nogami. Lacy poklepywała go po plecach, masowała wąską przestrzeń między łopatkami, a on i tak wciąż zawodził, wstrząsany przy tym czkawką. Prawdę powiedziawszy, ona też była już bliska płaczu. Przez ostatnie dwie godziny oglądała puszczaną w kółko reklamę japońskich noży, liczyła paski na obiciu poręczy sofy, aż zaczęły jej się rozmywać przed oczami. Była tak wyczerpana, że bolał ją każdy skrawek ciała.

– O co chodzi, mój okruszku? – westchnęła. – Czym mogłabym cię uszczęśliwić?

Według Lewisa, szczęście to pojęcie względne. Większość ludzi

wybuchala śmiechem, gdy Lacy wyjaśniała, że jej mąż zajmuje się zawodowo finansową wyceną psychicznego dobrostanu, ale przecież praca wszystkich ekonomistów w gruncie rzeczy polega na przypisywaniu wartości pieniężnej rozmaitym aspektom ludzkiego życia. Koledzy Lewisa ze Sterling College pisali uczone rozprawy na temat materialnego wymiaru poziomu wykształcenia, dostępności do powszechnej opieki zdrowotnej czy satysfakcji z wykonywanego zawodu. Dyscyplina jej męża była nie mniej ważna, tyle że dość nieortodoksyjna. Ale też dzięki niej Lewis był popularnym gościem w stacji Ogólnonarodowego Radia Publicznego, w programie Larry'ego Kinga czy na seminariach korporacyjnych, co dobitnie świadczyło, że dyskusja na temat finansów znacznie zyskuje na atrakcyjności, gdy na dolary przelicza się serdeczny śmiech bądź też chichot wywołany idiotycznym dowcipem o blondynkach. Na przykład w kategoriach poczucia szczęścia regularny seks miał taką samą wartość jak podwyżka rocznej pensji o pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jednakże podobny wzrost płacy nie wzbudziłby równie wielkiej radości beneficjenta, gdyby dostali ją wszyscy inni pracownicy. Na podobnej zasadzie to, co uszczęśliwiało nas kiedyś, nie musiało czynić szczęśliwymi obecnie. Pięć lat temu Lacy oddałaby wszystko za bukiet róż, przyniesiony przez męża; teraz popadłaby w ekstazę, gdyby jej zafundował dziesięciominutową drzemkę.

Poza dokonaniem z dziedziny statystyki Lewis przejdzie do historii ekonomii jako twórcy matematycznej formuły na szczęście – R/O – Realia dzielone przez Oczekiwania. Zgodnie z owym ilorazem szczęście można zwielokrotnić na dwa sposoby: poprzez poprawę aktualnego bytu lub obniżenie oczekiwań. Pewnego razu, podczas przyjęcia u znajomych, Lacy zapytała męża, co by było, gdyby ktoś niczego nie oczekiwał od życia. Przecież nie istnieje dzielenie przez zero. Czy więc nigdy się nie zazna szczęścia, jeżeli ze stoickim spokojem będzie się przyjmowało wszystko, co niesie los? W drodze powrotnej do domu Lewis oskarżył ją o wystawianie jego pracy na pośmiewisko.

Lacy nie próbowała się zastanawiać, czy jej rodzina jest naprawdę

szczęśliwa. Można by pomyśleć, że facet, który opracował matematyczny model szczęścia, wie, jak wcielić go w życie, ale teoretycy rzadko bywają dobrymi praktykami. Nie bez dania racji stara ludowa mądrość głosi: „Szewc bez butów chodzi”. Mimo to, gdy Lewis siedział długo na uczelni, bo gonił go kolejny termin oddania publikacji do druku, a Lacy była tak wykończona, że mogłaby zasnąć na stojąco w szpitalnej windzie, próbowała przekonać samą siebie, że przechodzą jedynie określony etap w życiu – szkołę przetrwania dla dwójki pracujących ludzi z małeńkimi dziećmi, po której nastąpi faza zadowolenia i doświadczania wszelkich pozytywnych wartości, jakie się składają na parametry szczęścia, opracowywane przez Lewisa za pomocą mądrych programów komputerowych. Ostatecznie Lacy miała kochającego męża, dwóch zdrowych synów i wyjątkowo satysfakcjonującą pracę. Czyż to samo z definicji nie czyniło jej szczęśliwą?

Nagle zdała sobie sprawę, że – o cudzie nad cudami – Peter zasnął, przyciskając aksamitny policzek do jej nagiego ramienia. Na palcach weszła po schodach na piętro i położyła synka w kołysce, a potem spojrzała na łóżeczko, w którym leżał Joey oświetlony poświatą księżycy. Zastanawiała się, czy Peter wyrośnie na chłopczyka podobnego do Joeya. I czy naprawdę można aż dwukrotnie w życiu doświadczyć tak szczęśliwego zrzędzenia losu?

Alex Cormier była młodsza, niż się Lacy zdawało. Miała zaledwie dwadzieścia cztery lata, ale emanowała tak niezwykle pewnością siebie, że robiła wrażenie starszej o dziesięć lat.

– No więc – zagadnęła Lacy – jak się zakończyła ta niecierpiąca zwłoki sprawa?

Alex spojrzała pytająco na położną, ale po chwili przypomniała sobie, o co chodzi: zwiedzanie oddziału porodowego, z którego się urwała w zeszłym tygodniu.

– Prokurator poszedł na ugode.

– A więc jesteś prawniczką? – Lacy zerknęła na nią znad notatek.

– Adwokatem w biurze obrońców z urzędu. – Alex uniosła wojowniczo głowę, jakby oczekiwała ze strony położnej deprecjonującego komentarza na temat relacji łączącej ją z wyrzutkami społeczeństwa.

– To musi być bardzo wymagająca praca – nieoczekiwanie oświadczyła Lacy. – Czy współpracownicy wiedzą, że jesteś w ciąży?

Alex pokręciła głową.

– To nie ma żadnego znaczenia – odparła sucho. – Nie pójdę na urlop macierzyński.

– Niewykluczone, że zmienisz zdanie, kiedy...

– Nie chcę tego dziecka.

Lacy rozsiadła się wygodniej na krześle.

– Rozumiem. – Nie do niej należało osądzanie kobiet, które podejmowały decyzję o rezygnacji z macierzyństwa. – Możemy więc porozmawiać o różnych dostępnych opcjach – zaproponowała.

Alex była w jedenastym tygodniu ciąży, mogła więc jeszcze bez najmniejszych przeszkód dokonać aborcji.

– Umówiłam się na zabieg – wyznała Alex, jakby czytała w myślach Lacy. – Ale się nie stawiłam w wyznaczonym terminie. I to dwukrotnie.

Lacy doskonale wiedziała, że można popierać prawo do wolnego wyboru, a jednocześnie nie móc lub nie chcieć się poddać aborcji – ostatecznie na tym właśnie polegał ów wolny wybór.

– Cóż, w takim razie mogę ci udzielić informacji na temat agencji adopcyjnych, o ile sama do tej pory z żadną się nie skontaktowałaś. – Sięgnęła do szuflady i wyciągnęła z niej kilka broszur agencji powiązanych z różnymi organizacjami religijnymi czy też z kancelariami prawniczymi, wyspecjalizowanymi w prywatnych adopcjach.

Alex je przyjęła i rozsunęła w palcach niczym wachlarz lub talię kart.

– Teraz jednak skupmy się na tobie i twoim samopoczuciu – dodała Lacy.

– Czuję się świetnie – odparła Alex gładko. – Nie mam nudności, nie odczuwam zmęczenia. – Zerknęła na zegarek. – Za to grozi mi spóźnienie na ważne spotkanie.

Lacy od razu spostrzegła, że Alex jest silną kobietą, przywykłą do całkowitego panowania nad wszystkimi aspektami swojego życia.

– Warto nieco zwolnić obroty, gdy się jest w ciąży. Twój organizm tego potrzebuje.

– Umiem o siebie zadbać.

– Ale może powinnaś pozwolić, żeby od czasu do czasu ktoś inny zrobił to za ciebie?

Przez twarz Alex przebiegł cień irytacji.

– Nie potrzebuję sesji terapeutycznej. Naprawdę. Doceniam troskę, jaką mi okazujesz, ale...

– Czy twój partner popiera decyzję o rezygnacji z dziecka?

Alex na ułamek chwili odwróciła głowę, ale szybko nad sobą zapanowała.

– Nie mam partnera – oznajmiła chłodno.

Alex zaszła w ciążę, gdy pozwoliła, żeby jej ciało wzięło górę nad rozumem. Wszystko, jak to zazwyczaj bywa, zaczęło się całkiem niewinnie: Logan Rourke, profesor prowadzący seminarium adwokackie, wezwał Alex do swojego gabinetu, żeby ją pochwalić za wysokie kompetencje procesowe. Oświadczył, że żaden przysięgły nie będzie w stanie oderwać od niej wzroku – i że to samo on może powiedzieć o sobie. Alex uważała wówczas, że Logan jest Clarence'em Darrowem, F. Lee Baileyem i Panem Bogiem w jednej osobie. Prestiż i władza są niezwykle atrakcyjne – a z Logana uczyniły mężczyznę, o jakim Alex marzyła przez całe życie.

Wierzyła mu bez zastrzeżeń, gdy mówił, że w ciągu dziesięciu lat swojej akademickiej kariery nie spotkał studentki równie błyskotliwej jak ona. Wierzyła, kiedy utrzymywał, że jego małżeństwo istnieje jedynie na papierze. I uwierzyła mu, gdy pewnej nocy odwiózł ją z

kampusu do domu, ujął jej twarz w dłonie i powiedział, że tylko dla niej codziennie rano wstaje z łóżka.

Prawo to dziedzina, która bazuje na faktach i namacalnych dowodach, nie na emocjach. Alex popełniła kardynalny błąd w chwili, gdy o tym zapomniała i związała się z Loganem. Zanim się obejrzała, zaczęła odkładać na bok własne plany i całymi dniami wyczekiwała na telefon od niego; czasami telefon dzwonił, a czasami nie. Udawała, że nie dostrzega jego flirtów ze studentkami pierwszego roku, które patrzyły na niego z takim samym uwielbieniem, z jakim swego czasu patrzyła Alex. A kiedy zaszła w ciążę, wmówiła sobie, że pisane jej szczęśliwe, wspólne życie z tym wspaniałym mężczyzną.

Logan kategorycznie zażądał aborcji. Umówiła się więc na zabieg, ale zapomniała zaznaczyć jego termin w kalendarzu. Umówiła się ponownie, ale ponieważ się zorientowała, że data zabiegu koliduje z datą jej końcowego egzaminu. Po tym wszystkim raz jeszcze poszła na rozmowę z Loganem.

– To znak z nieba – argumentowała.

– Niewykluczone – odpowiedział. – Ale jego przesłanie jest inne, niż ci się wydaje. Zachowaj, proszę, rozsądek. Samotna matka nigdy nie zrobi kariery jako adwokat procesowy. Będzie musiała wybierać: albo praca zawodowa, albo dziecko.

Mówiąc to, miał tak naprawdę na myśli, że Alex będzie musiała wybierać pomiędzy dzieckiem a nim, Loganem.

Kobieta wyglądała znajomo, była jednak pozbawiona przynależnego jej kontekstu – jak sprzedawczyni z pobliskiego supermarketu, którą się niespodziewanie spotyka w kolejce do okienka bankowego, lub listonosz siedzący w kinie po przeciwnej stronie przejścia. Alex przyglądała się tej kobiecie jeszcze przez moment i nagle zdała sobie sprawę, że elementem zdecydowanie zaburzającym kontekst jest niemowlę. Ruszyła przez hol w stronę stanowiska skarbowego, przy którym stanęła Lacy Houghton, by zapłacić mandat.

– Potrzebujesz prawnika? – zagaiła Alex.

Lacy podniosła na nią wzrok, balansując jednocześnie nosidełkiem zawieszonym w zgięciu łokcia. Potrzebowała chwili, żeby zidentyfikować tę twarz, nie widziała bowiem Alex od czasu jej ostatniej wizyty, od której minął już dobry miesiąc.

– O, witam! – Uśmiechnęła się szeroko, gdy wreszcie się zorientowała, kogo ma przed sobą.

– Co cię sprowadza w moje rejony?

– Muszę wpłacić kaucję za mojego eks... – Lacy poczekała, aż oczy Alex rozszerzą się ze zdumienia, po czym wybuchnęła śmiechem. – Żartuję. Przyszłam zapłacić mandat.

Alex nagle przyłapała się na tym, że nie może oderwać oczu od synka Lacy. Miał na sobie niebieską, wiązaną pod brodą czapkę, i jego okrągłe policzki wylewały się ponad skraj miękkiej wełny. Coś kapło mu z nosa, a kiedy zauważył na sobie wzrok Alex, poczęstował ją przepastnym, bezzębny uśmiechem.

– Miałabyś ochotę na filiżankę kawy? – spytała Lacy.

Wetknęła kwit mandatowy wraz z banknotem dziesięciodolarowym w rozwartą paszczę okienka, a potem podsunęła nieco wyżej nosidło na rękę, wyszła z sądu i ruszyła w stronę kafeterii po przeciwnej stronie ulicy. Po drodze przystanęła jeszcze na moment, żeby dać drugą dziesięciodolarówkę żebrakowi siedzącemu nieopodal sądu i Alex mimowolnie przewróciła oczami – nie dalej jak wczoraj, kiedy wychodziła z pracy, widziała tego samego faceta, znikającego w drzwiach pobliskiego baru.

Kiedy już usiadły przy stoliku, Lacy wprawnie ściągnęła z synka kilka zbędnych warstw ubrania, a potem posadziła go sobie na kolanach. Nie przerywając rozmowy, zarzuciła kocyk na ramię i zaczęła karmić Petera.

– Czy to trudne? – wyrwało się Alex.

– Karmienie piersią?

– Nie tylko karmienie. Także cała reszta.

– Z czasem nabiera się wprawy. – Lacy uniosła synka nieco wyżej na

ręku, a on kopnął ją obutą nóżką, jakby już teraz była mu potrzebna prywatna przestrzeń. – Ale w porównaniu z twoją pracą macierzyństwo to zapewne bułka z masłem.

Alex natychmiast przypomniała sobie, jakim śmiechem wybuchnął Logan Rourke na wieść, że postanowiła się zatrudnić w biurze obrońców z urzędu. „Nie wytrwasz tam dłużej niż tydzień. Jesteś za miękka”.

Niekiedy Alex zadawała sobie pytanie, czy stała się tak dobrym adwokatem dzięki zdobytej wiedzy, czy raczej dlatego, że postanowiła za wszelką cenę udowodnić Loganowi, jak bardzo się mylił. W każdym razie na użytek pracy przeobrażała się w osobę, która walczyła o równe prawa dla każdego oskarżonego, a jednocześnie nigdy nie pozwalała sobie na skracanie dystansu wobec osób z jej zawodowego życia.

Raz w życiu popełniła podobną pomyłkę – z Loganem – i nie zamierzała jej powtarzać.

– Czy już się skontaktowałaś z jakąś agencją adopcyjną? – spytała Lacy.

Alex nawet nie zabrała do domu otrzymanych broszur; zostawiła je na kontuarze w recepcji, gdzie być może leżały zapomniane do dzisiaj.

– Zadzwoiłam w kilka miejsc – skłamała gładko.

Kontakt z agencjami wpisała na swoją listę priorytetów, tyle że zawsze wypadało jej coś bardziej naglącego.

– Czy mogę ci zadać osobiste pytanie? – odezwała się Lacy i Alex bez przekonania pokiwała głową; szczerze mówiąc, nie znosiła osobistych pytań. – Dlaczego się zdecydowałaś oddać dziecko?

Alex zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę to ona podjęła taką decyzję, czy raczej ktoś inny zdecydował za nią.

– To nie jest odpowiednia pora na macierzyństwo.

Lacy parsknęła śmiechem.

– Nie jestem pewna, czy na macierzyństwo kiedykolwiek przychodzi odpowiednia pora. Nie da się ukryć, że dzieci wywracają człowiekowi życie do góry nogami.

Alex spojrzała jej prosto w oczy.

– Nie mam ochoty na żadne rewolucje.

Lacy przez chwilę koncentrowała uwagę na synku.

– W gruncie rzeczy nasze zawody nie różnią się tak bardzo od siebie – oznajmiła nieoczekiwanie.

– Procent recydywy jest zapewne zbliżony – zauważyła Alex.

– Nie o to mi chodzi. Obie mamy do czynienia z ludźmi w najtrudniejszych momentach ich życia. To właśnie lubię w swoim zawodzie. Prawdziwą siłę człowieka poznaje się po sposobie, w jaki się zмага z cierpieniem. – Zerknęła spod oka na Alex. – Czyż to nie zdumiewające, że w swojej najgłębszej istocie wszyscy jesteśmy bardzo do siebie podobni?

Alex pomyślała o oskarżonych, którzy się przewinęli przez jej zawodowe życie. Wszyscy się zlewali w jej pamięci w jedno. Pytanie tylko, czy z tego powodu, że – jak twierdziła Lacy – mieli tak wiele ze sobą wspólnego, czy może raczej dlatego, że Alex stała się z czasem mistrzynią w ignorowaniu indywidualnych cech swoich klientów?

Lacy posadziła sobie teraz synka na kolanach. Peter zaczął uderzać rączkami po blacie stolika, wydając z siebie dźwięki podobne do gruchania gołębia. Nagle Lacy poderwała się z miejsca i pchnęła dziecko w stronę Alex, której nie pozostało nic innego, jak tylko je pochwycić, jeżeli nie chciała, żeby wylądowało na podłodze.

– Popilnuj, proszę, przez chwilę Petera. Muszę natychmiast biec do łazienki.

Alex ogarnęła panika. „Czekaj! – wrzasnęła w myślach. – Nie mam pojęcia, co robić!”. Tymczasem dziecko wierzgało nogami niczym postać z kreskówki, która właśnie sfrunęła z wysokiego klifu.

Alex niezdarne posadziła sobie niemowlaka na kolanie. Był cięższy, niż przypuszczała, a jego skóra przypominała w dotyku wilgotny aksamit.

– Peterze – odezwała się oficjalnym tonem. – Mam na imię Alex.

Niemowlę sięgnęło po filiżankę z gorącą kawą i Alex nerwowo rzuciła się do przodu, żeby ją usunąć z zasięgu małych rąk. W tej samej chwili twarz Petera wykrzywił taki grymas, jakby go napojono

piołunem, i dziecko wybuchnęło płaczem.

Jego wycie było ogłuszające, naładowane setkami decybeli, rozpaczliwe.

– Uspokój się – błagała Alex, podczas gdy oczy wszystkich obecnych w kafeterii zwróciły się w jej stronę. Zerwała się z krzesła i zaczęła poklepywać Petera po plecach, tak jak to wcześniej robiła Lacy. Modliła się przy tym w duchu, żeby dzieciak się nagle zadławił, żeby gwałtownie zapadł na nieżyt migdałków lub po prostu się ulitował nad jej kompletnym brakiem doświadczenia. Niespodziewanie Alex, która zawsze umiała błysnąć ciętą ripostą i nawet z najgorszego prawniczego koszmaru gładko wychodziła obronną ręką, poczuła się kompletnie zagubiona.

Ponownie usiadła i chwyciła Petera pod pachy. Teraz jego twarz była koloru dojrzałego pomidora, na którego tle puch włosów odbijał bielą platyny.

– Posłuchaj – postanowiła się odwołać do zdrowego rozsądku chłopca – zapewne nie mnie chciałbyś mieć teraz u boku, ale na razie jesteśmy na siebie skazani.

Jeszcze jedno głośne czknięcie i dziecko zaczęło się uspokajać. Intensywnie skupiło wzrok na Alex, jakby próbowało odnaleźć jej obraz w pamięci.

Z uczuciem wielkiej ulgi Alex ułożyła sobie Petera na rękę i odważyła się nawet wygodniej usiąść. Zerknęła na małą główkę, na pulsujące ciemiączko.

Kiedy przestała kurczowo przytrzymywać dziecko, ono też się rozluźniło. Czyżby to było aż tak banalnie proste?

Alex powiodła palcem po czubku głowy Petera. Wiedziała, że dziecko się rodzi z niezrośniętymi kośćmi czaszki. Dzięki temu łatwiej przechodzi przez kanał rodny. Czaszka zasklepia się na dobre dopiero po kilkunastu miesiącach. Wszyscy przychodzimy na świat jako bezbronne istoty i dopiero z upływem czasu obrastamy w pancerz ochronny.

– Wybacz. – Lacy szybkim krokiem podeszła do stołu. – Dzięki, że

się nim zajęłaś.

Alex bez słowa pchnęła dziecko w jej stronę – tak gwałtownie, jakby ją parzyło.

Pacjentkę przywieziono do szpitala po trzydziestu godzinach domowego porodu. Ponieważ była entuzjastką medycyny naturalnej, nie wykonywała żadnych badań w okresie ciąży – nie poddała się choćby ultrasonografii, nie wspominając już o analizie płynu owodniowego; na szczęście dzieci i bez tego wiedziały, co robić, by zmusić przyszłe matki do wydania ich na świat, gdy nadejdzie na to odpowiednia pora. Lacy, niczym uzdrowicielka-cudotwórczyni, położyła dłonie na rozedrganym brzuchu rodzącej. Trzy kilogramy, pomyślała. Główka tu, pupa tam.

W drzwiach pojawiła się twarz lekarza.

– Jak leci?

– Zawiadom neonatologię, że mamy poród w trzydziestym piątym tygodniu – odparła Lacy. – I że na razie wszystko przebiega absolutnie prawidłowo.

Kiedy doktor się wycofał, usiadła pomiędzy nogami pacjentki.

– Wiem, masz wrażenie, że to się ciągnie już całą wieczność, ale jeżeli zechcesz współdziałać ze mną przez następną godzinę, zobaczysz wreszcie swoje maleństwo.

Lacy poleciła mężowi stanąć za plecami żony, a w chwili gdy mu tłumaczyła, co robić, kiedy nadejdzie skurcz, zawibrował pager przytwierdzony do paska jej uniformy w kolorze morskim.

– Przepraszam na moment. – Zostawiła rodzącą pod opieką pielęgniarki, a sama przeszła do dyżurki sióstr i chwyciła za telefon.

– Co się dzieje? – spytała, usłyszawszy w słuchawce głos swojej sekretarki.

– Jedna z twoich pacjentek uparcie utrzymuje, że się musi z tobą zobaczyć.

– Jestem w tej chwili trochę zajęta – oświadczyła Lacy dobitnym

tonem.

– Powiedziała, że zaczeka. Będzie czekać tak długo, jak to konieczne.

– Co to za pacjentka?

– Alex Cormier.

Normalnie w podobnej sytuacji Lacy poleciłaby sekretarce, żeby skierowała ciężarną do innej położnej, ale w Alex było coś nieuchwytnego, intrygującego i jednocześnie wzbudzającego niepokój.

– Dobrze, niech zaczeka – zdecydowała Lacy. – Ale uprzedź ją, że to może potrwać nawet kilka godzin.

Odłożyła słuchawkę i pośpiesznie wróciła do salki porodowej, po czym sprawdziła u rodzącej stopień rozwarcia.

– No proszę, a więc wszystko, czego ci było potrzeba, to kilka minut mojej nieobecności – zażartowała. – Mamy rozwarcie na dziesięć centymetrów. Kiedy przyjdzie następny skurcz... przyj na całego.

Kilka minut później na świat przyszła półtorakilogramowa dziewczynka. Podczas gdy rodzice rozplýwali się nad dzieckiem, Lacy wymownie spojrzała na pielęgniarkę, dając jej do zrozumienia, że sprawy przybierają bardzo dramatyczny obrót.

– Jest nieprawdopodobnie małeńka – zdziwił się świeżo upieczony ojciec. – Czy... czy wszystko w porządku? – dodał niepewnie.

Lacy się zawahała, bo tak naprawdę nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czyżby włókniak? Bez wątplenia w macicy tej kobiety było coś więcej niż półtorakilogramowe dziecko. A to oznaczało, że teraz w każdej chwili jej pacjentka może dostać krwotoku.

Raz jeszcze położyła ręce na wydatnym brzuchu, ucisnęła macicę – i zamarła.

– Czy ktoś już wam mówił, że będziecie mieli bliźnięta?

Ojciec noworodka poszarzał na twarzy.

– Tam jest dwoje dzieci?

Lacy uśmiechnęła się radośnie. Z bliźniętami poradzi sobie bez problemu. Bliźnięta to dodatkowy los na loterii, a nie jakiś przerażający medyczny kataklizm.

– Cóż, teraz już tylko jedno – odparła.

Mężczyzna przykucnął przy żonie i najwyraźniej zachwycony pocałował ją w czoło.

– Słyszałaś, Terri? Bliźniaki.

Kobieta ani na moment nie oderwała wzroku od swojej nowo narodzonej córeczki.

– To miło – odparła z chłodnym spokojem. – Ale tego drugiego już z siebie nie wypchnę.

Lacy roześmiała się radośnie.

– Myślę, że zdołam cię nakłonić do zmiany zdania.

Czterdzieści minut później opuściła salkę porodową, w której pozostawiła uszczęśliwionych rodziców dwóch dziewczynek, i weszła do łazienki dla personelu. Tam opłukała twarz zimną wodą i włożyła czysty uniform. Potem wjechała na piętro, gdzie się mieściły gabinety położnych, i powiodła wzrokiem po grupie kobiet, które siedziały z rękami splecionymi na brzuchach wszelkich możliwych wielkości i kształtów, przywodzących na myśl fazy księżyca. Jedna z nich poderwała się w górę, jakby widok Lacy podziałał na nią niczym magnes. Miała zaczerwienione oczy i niepewnie się trzymała na nogach.

– Alex... – Lacy w tym samym momencie przypomniała sobie, że w kolejce przed Alex Cormier czeka na nią jeszcze inna pacjentka. – No dobra, chodź za mną.

Wprowadziła Alex do pustego pokoju zabiegowego, wskazała krzesło, sama usiadła naprzeciwko i wówczas spostrzegła, że kobieta włożyła sweter tył na przód. Był to bladoniebieski pulower z wycięciem w łódkę, więc ten fakt nie rzucałby się wcale w oczy, gdyby spod dekoltu nie wychylała się metka. Z pewnością wiele osób mogłoby w pośpiechu lub zdenerwowaniu popełnić podobną pomyłkę, ale... to wyjątkowo niepodobne do kobiety pokroju Alex Cormier.

– Zaczęłam krwawić – oznajmiła Alex rzeczowo. – Niewiele. Hm... ale jednak.

Dostosowując się do tonu pacjentki, Lacy zaproponowała równie opanowanym głosem:

– Może więc sprawdzimy, co się dzieje?

Poprowadziła Alex na drugą stronę korytarza, do pomieszczenia z ultrasonografem, gdzie tak długo czarowała technika, aż w końcu się zgodził wpuścić ją poza kolejnością. Ułożyła Alex na łóżku, posmarowała jej brzuch żelem i zaczęła jeździć po nim głowicą skanującą. Szesnastotygodniowy płód już przypominał niemowlę – miniaturowe, lecz uderzająco doskonałe.

– Widzisz? – Lacy najechała kursorem na maleńki, czarno-biały pulsujący punkt. – To serce.

Alex szybko odwróciła głowę, ale Lacy i tak zdążyła dostrzec spływającą po policzku łzę.

– Z dzieckiem wszystko w porządku – zapewniła. – A plamienie w ciąży jest zjawiskiem zupełnie naturalnym. Nie wywołałaś go jakimś swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem; nie możesz też nic zrobić, aby je powstrzymać.

– Myślałam, że to poronienie.

– Alex, twoje dziecko ma się doskonale – sama przed chwilą mogłaś się o tym przekonać. A to oznacza, że prawdopodobieństwo poronienia wynosi mniej niż jeden procent. Czy może inaczej: szanse donoszenia ciąży w przypadku prawidłowo rozwijającego się płodu wynoszą ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

Alex skinęła głową i otarła łzy rękawem.

– Doskonale.

– To oczywiście nie moja sprawa – podjęła Lacy z wahaniem – ale jak na kogoś, kto nie chce dziecka, wyjątkowo się przejmujesz stanem jego zdrowia.

– Ja nie potrafię... nie mogę...

Lacy spojrzała na monitor ultrasonografu, na którym widniał zatrzymany w czasie obraz maleńkiej córeczki Alex.

– Przemyśl to jeszcze – zasugerowała.

– Ja już mam jedną rodzinę. I nie potrzebuję kolejnej – oznajmił Logan Rourke później tego samego dnia, gdy usłyszał od Alex, że jednak zamierza urodzić dziecko.

Wieczorem, po powrocie do domu, Alex odprawiła swoje egzorcyzmy. Roznieciła ogień pod grillem i spaliła na popiół każdą pisemną pracę z okresu studiów, którą oceniał Logan Rourke. Nie mogła spalić zdjęć, na których byliby we dwoje czy żadnych miłosnych liścików ze słodkimi wyznaniem, a to z tego prostego powodu, że ich nie miała – to wprost zdumiewające, jak bardzo Logan był ostrożny w czasie trwania ich romansu, i jak łatwo dzięki temu przyszło jej wymazać go ze swojego życia.

A więc dziecko będzie należało tylko do niej. Alex wbiła wzrok w dogasające palenisko i zaczęła się zastanawiać, jak dużo przestrzeni zajmie płód w jej wnętrzu. W wyobraźni widziała rozsuwające się na boki organy, rozciągającą się skórę i serce kurczące się do wielkości wyszlifowanego przez fale otoczącego, ustępującego miejsca nowemu życiu. Wolą nie zadawać sobie pytania, czy zdecydowała się na urodzenie tego dziecka, by stanowiło namacalny dowód na to, że jej związek z Loganem Rourke nie był jedynie urojeniem, czy dlatego, żeby pognać Logana tak bardzo, jak on pognął ją. Wolą tego nie robić, ponieważ jak każdy dobry adwokat wiedziała, że nigdy nie należy zadawać pytań, na które z góry nie zna się odpowiedzi.

Pięć tygodni później Lacy była już nie tylko położną sprawującą pieczę nad prawidłowym przebiegiem ciąży Alex, ale stała się także jej powierniczką, najlepszą przyjaciółką, głosem zdrowego rozsądku. I chociaż z zasady się nie spoufalala z pacjentkami, dla Alex zrobiła wyjątek. Tłumaczyła sobie, że złamała swoją żelazną regułę, ponieważ ta kobieta – która ostatecznie postanowiła zatrzymać dziecko – potrzebowała wsparcia, a nie miała wokół siebie nikogo, kto mógłby jej owo wsparcie zapewnić.

I między innymi dlatego zgodziła się spędzić pewien sobotni

wieczór na mieście z Alex i jej koleżankami z pracy. Okazało się jednak, że w tym składzie nawet babska impreza, bez choćby jednego dziecka w zasięgu wzroku, traciła swój urok: już przejście podwójnego leczenia kanałowego byłoby przyjemniejszym przeżyciem niż kolacja w towarzystwie grupy prawniczek. Po krótkiej chwili stało się oczywiste, że każda z nich tokuje tylko po to, by się napawać brzmieniem własnego głosu. Dlatego Lacy szybko się wyłączyła; pozwoliła, żeby słowa łagodnie ją opływały, jakby była kamieniem w rwącym strumieniu, i tylko raz po raz dolewała sobie coli z dużego dzbanka.

Siedziały w jakiejś włoskiej knajpie, w której serwowano beznadziejny sos pomidorowy, a szef kuchni płonął nadzwyczajną miłością do czosnku. Grzebiąc widelcem w talerzu, Lacy zaczęła się zastanawiać leniwie, czy we Włoszech są również amerykańskie restauracje.

Alex tymczasem zażarcie dyskutowała na temat jakiejś sprawy, która została skierowana do rozpatrzenia przez ławę przysięgłych: Singh kontra Jutla, postępowanie odszkodowawcze za złamanie przepisów kodeksu pracy. Zażywna rumiana kobieta, siedząca po prawej stronie Lacy, zdecydowanie pokręciła głową.

– To wysyłanie fatalnego komunikatu do społeczeństwa – orzekła. – Jeżeli się przyznaje odszkodowania za nielegalną pracę, sankcjonuje się tym samym pozaprawne działania.

– Sita – wtrąciła Alex ze śmiechem – muszę ci przypomnieć, że jesteś jedynym prokuratorem w tym gronie, nie masz więc najmniejszych szans na przekonanie którejkolwiek z nas do swoich racji.

– Wszystkie cierpimy na skrzywienie zawodowe. Potrzebna nam opinia niezależnego obserwatora. – Sita uśmiechnęła się do Lacy. – A co ty sądzisz o inwazji obcych na nasz kraj?

Lacy doszła do wniosku, że może jednak powinna była baczniej śledzić tok rozmowy, bo najwyraźniej, podczas gdy ona błędziła myślami w obłokach, na wokandę weszły o wiele ciekawsze tematy.

– Cóż, nie jestem ekspertem w tej kwestii, ale niedawno skończyłam książkę o Strefie 51. Wprost nie do wiary, do czego się posuwał rząd,

żeby ukryć jej istnienie. W książce opisano również przypadki okaleczeń u bydła – i rzeczywiście trudno nie uznać za podejrzany fakt, że nagle w południowym zakątku Nevady znajduje się krowę, której usunięto nerki, nie uszkadzając przy tym powłok skórnych i nie powodując najmniejszej utraty krwi. Osobiście swego czasu podejrzewałam, że moja kotka została porwana przez kosmitów. Zaginęła dokładnie na cztery tygodnie – co do minuty – a kiedy wróciła, miała na futerku wypalone regularne trójkąty, coś jak tamte kręgi w zbożu... – powiedziała Lacy. I dorzuciła z wahaniem: – Tyle że w tym wypadku nie chodziło o zboże...

Każda z siedzących przy stole prawniczek wpatrywała się w nią okrągłymi jak spodki oczami. W końcu obcięta na pazia blondynka wycodziła przez ściągnięte wargi:

– Używając terminu „obcy”, miałyśmy na myśli nielegalnych imigrantów.

Lacy zaczerwieniła się gwałtownie.

– A! No tak. Oczywiście.

– Jeżeli chcecie znać moją opinię – Alex zgrabnie ściągnęła na siebie uwagę pozostałych kobiet – Lacy powinna zastąpić Lucy Chao na stanowisku szefowej Departamentu Pracy. Z pewnością przebiłaby ją kompetencjami...

Rozległy się głośnie śmiechy, Lacy natomiast zdała sobie sprawę, że Alex ma rzadką zdolność wtapiania się w każde środowisko. Dzisiaj jej naturalnym żywiołem zdawała się ta restauracja, ale zapewne identyczne wrażenie można by odnieść, obserwując ją podczas rozprawy w sądzie, w trakcie rodzinnego obiadu przy kuchennym stole w domu Lacy czy na herbatce u królowej angielskiej. Alex była kameleonem.

Nagle uderzyła Lacy myśl, że nie ma pojęcia, jakiego koloru jest w rzeczywistości skóra kameleona – zanim zmieni barwę na ochronną.

W przypadku każdej ciąży nadchodziło takie badanie, gdy w Lacy się budził duch wiejskiej znachorki: kładła ręce na brzuchu pacjentki i z układu wzniesień oraz dolin pod palcami bezbłędnie się orientowała, jakie jest ułożenie płodu. W tych momentach zawsze przychodził jej na myśl halloweenowy „gabinet potworności”, do którego zabrała Joeya – wsuwało się rękę za zasłonę i wtykało palce do talerza zimnego spaghetti, mającego uchodzić za wypatroszone ludzkie wnętrzości, lub dotykało galaretki, która udawała mózg. To, co Lacy robiła w swoim gabinecie, nie opierało się na ścisłej wiedzy medycznej, ale prostej ludowej mądrości, która głosiła, że płód ma tylko dwie zdecydowanie twarde części ciała: głowę i pupę. Kiedy się kołysało nieznacznie główką, chwiała się niczym kwiat na łodydze kręgosłupa. Natomiast kołysanie pupą wprawiało w ruch całe ciało płodu.

Lacy powiodła rękami po wypukłym brzuchu Alex, po czym pomogła jej wstać z leżanki.

– Dobra wiadomość: dziecko się rozwija doskonale. Zła: jest ułożone w odwrotnej pozycji, pośladkami do przodu.

Alex zamarła.

– Grozi mi cesarka?

– Do porodu pozostało jeszcze osiem tygodni. Mamy więc sporo czasu na podjęcie działań, które mogą skłonić dziecko do zmiany pozycji.

– Jakich działań?

– Skieruję cię do specjalistki od akupunktury i akupresury. Ona będzie w specjalny sposób uciskać twoje małe palce u stóp łodyżką bylicy. To nie boli, ale poczujesz nieprzyjemny przyływ ciepła. Kiedy opanujesz sposób uciskania palców i zaczniesz to robić regularnie w domu, istnieją duże szanse, że po dwóch tygodniach dziecko się odwróci w dobrą stronę.

– Chcesz powiedzieć, że jak będę się dźgała jakąś łodygą, płód zmieni swoje ułożenie?

– To może nie wystarczyć. Dlatego chciałabym, żebyś dodatkowo zastosowała sztuczkę z deską do prasowania. Oprzyj ją o siedzenie

kanapy, aby utworzyła pochylnię, a potem kładź się na niej głową w dół trzy razy dziennie na piętnaście minut.

– Jezu, Lacy, jesteś pewna, że na dodatek nie powinnam nosić przy sobie jakichś kryształów?

– Wierz mi, te metody są o wiele przyjemniejsze niż odwracanie dziecka przez lekarza w trakcie porodu... lub rekonwalescencja po cesarskim cięciu.

Alex złożyła ręce na wydatnym brzuchu.

– Nie wierzę w gusta – oświadczyła.

Lacy wzruszyła ramionami.

– W takim razie masz szczęście, że to nie ty jesteś ułożona pośladkami do przodu.

Adwokaci zdecydowanie nie powinni wozić swoich klientów do sądu, ale w wypadku Nadyi Saranoff Alex postanowiła zrobić wyjątek. Mąż Nadyi najpierw ją bił, a potem porzucił dla innej kobiety. Nie chciał łożyć na dwóch synków, mimo że nieźle zarabiał, podczas gdy Nadya za pracę w barze kanapkowym dostawała zaledwie pięć dwadzieścia pięć za godzinę. Założyła mężowi sprawę o alimenty, ale młyny wymiaru sprawiedliwości miały z nieznośną powolnością, więc pewnego dnia Nadya poszła do pobliskiego Wal-Martu, skąd ukradła parę majtek dla siebie i białą koszulę dla swojego pięciolatka, który w nadchodzącym tygodniu rozpoczynał naukę w przedszkolu, a zdążył powyrastać ze wszystkich swoich ubrań.

Nadya przyznała się do winy. Ponieważ nie miała pieniędzy na grzywnę, zasądzono jej trzydzieści dni więzienia z odroczeniem wykonania wyroku, co – jak właśnie wyjaśniała Nadyi Alex – oznaczało, że w ciągu najbliższego roku pozostanie na wolności.

– Jeżeli pójdziesz do więzienia – mówiła, gdy stały w sądzie pod drzwiami damskiej toalety – to będzie dla twoich chłopców ciężki wstrząs. Wiem, że się znalazłaś w rozpaczliwym położeniu, ale przecież zawsze istnieją inne opcje niż kradzież. Kościół... Armia Zbawienia.

Nadya ocierała z oczu łzy.

– Nie miałam jak się dostać do kościoła czy Armii Zbawienia. Zostałam bez samochodu.

No oczywiście. Przecież właśnie dlatego Alex osobiście przywiozła ją dzisiaj do sądu.

Kiedy Nadya zniknęła w toalecie, Alex próbowała zdusić w sobie współczucie dla tej kobiety. Jej zadanie ograniczało się do wywalczenia dla klientki jak najniższego wyroku, z czego się wywiązała koncertowo, biorąc pod uwagę fakt, że było to już drugie oskarżenie o kradzież sklepową. Po raz pierwszy Nadya ukradła z apteki opakowanie paracetamolu dla dzieci.

Alex pomyślała o własnej córeczce, z której powodu codziennie leżała głową w dół na desce do prasowania i zadawała sobie tortury, kłując się w palce stóp maleńkimi ostrymi łodygami. Czy przyjście na świat w odwrotnej pozycji jest równoznaczne z gorszym startem w życie?

Kiedy po dziesięciu minutach Nadya wciąż siedziała w toalecie, Alex zaczęła się dobijać do drzwi.

– Halo? – Jej klientka stała oparta o umywalkę i niepohamowanie łkała. – Nadya?! Co się stało?

Kobieta spuściła nisko głowę. Najwyraźniej przeżywała katusze.

– Właśnie dostałam okres – wyznała z zażenowaniem. – A nie stać mnie na tampon.

Alex pogrzebała w torebce i wyciągnęła ćwierćdolarówkę, którą wrzuciła do wiszącego na ścianie automatu. Gdy z maszyny wytoczył się kartonowy rulon, coś w niej pękło: zrozumiała, że ta sprawa jeszcze nie została doprowadzona do pożądanego finału.

– Spotkamy się przed wyjściem – zarządziła. – Idę po samochód.

Zawiozła Nadyę do Wal-Martu – tego samego, który był miejscem jej przestępstwa – po czym wrzuciła do wózka trzy gigantyczne opakowania tampaksów.

– Czego jeszcze potrzebujesz?

– Majtek – wyszeptła Nadya. – To moja ostatnia para.

Alex ruszyła między półki i zaczęła napełniać wózek T-shirtami, skarpetkami, majtkami i spodniami dla Nadyi; dżinsami, kurtkami, czapkami i rękawiczkami dla jej chłopców; pudełkami paluszków rybnych, krakersów i rodzynek, puszkami zup i sosów, paczkami makaronu i czekoladowych ciastek. Robiła to, co w owej chwili uważała za niezbędne, chociaż przed takim postępowaniem przestrzegano wszystkich obrońców z urzędu; Alex zachowała racjonalność myślenia i wiedziała, że nigdy więcej się nie posunie do podobnego kroku. Na razie jednak wydała osiemset dolarów w tym samym sklepie, który wniósł oskarżenie przeciwko Nadyi, ponieważ prościej było pieniędzmi naprawić niegodziwość losu, niż godzić się z faktem, że jej dziecko przyjdzie na świat, którego ona sama czasami nie była w stanie zaakceptować.

Przynoszące ulgę katharsis dobiegło końca, w chwili gdy Alex podała kasjerce swoją kartę kredytową, a w uszach zadźwięczały jej słowa Logana.

„Masz zbyt miękkie serce” – powiedział pewnego razu.
Cóż, kto jak kto, ale on powinien wiedzieć to najlepiej.
Ostatecznie pierwszy to serce złamał.

W porządku, pomyślała Alex ze stoicką rezygnacją. A więc tak wygląda agonია.

Kiedy stała w kuchni, nadszedł kolejny skurcz i przeciął ją na pół – niczym seria z karabinu maszynowego.

Dwa tygodnie temu, w trzydziestym siódmym tygodniu ciąży, Alex rozmawiała z Lacy na temat znieczulenia. Powiedziała wówczas, że z niego zrezygnuje, ponieważ chce urodzić dziecko całkowicie naturalnie, a ból z pewnością będzie do zniesienia.

Okazało się, że nie był.

Alex powróciła myślami do szkoły rodzenia. Lacy zmusiła ją do chodzenia na te zajęcia, a potem ćwiczyła z nią w parze, ponieważ z całej grupy tylko ona jedna nie miała u boku przyszłego ojca dziecka.

Podczas tych zajęć oglądali również filmy pokazujące kobiety w trakcie porodu – o gumowatych twarzach, szczerzące zaciśnięte zęby, wydające z siebie jakieś prehistoryczne, nieludzkie odgłosy. Alex patrzyła na te sceny z niesmakiem i dystansem. Serwują nam skrajne przypadki, zdecydowała w duchu. Ludzie mają różną tolerancję na ból.

Następny skurcz zaatakował błyskawicznie jak kobra – owinął się wokół kręgosłupa i zatopił kły w jej brzuchu. Alex opadła na kolana.

Na zajęciach dowiedziała się również, że pierwszy etap porodu może trwać nawet kilkanaście godzin.

Jeżeli do tej pory nie umrze śmiercią naturalną, to bez wątpienia palnie sobie w łeb.

Jako stażystka Lacy przez wiele miesięcy nie ruszała się do porodu bez małej linijki, którą mierzyła stopień rozwarcia u pacjentek. Teraz, po latach pracy, wystarczył jeden rzut oka i już wiedziała, że średnica kubka z kawą wynosi dziewięć centymetrów, natomiast pomarańczy leżącej przy telefonie – równo osiem.

Wysunęła dłoń spomiędzy nóg Alex i energicznym ruchem ściągnęła z ręki lateksową rękawiczkę.

– Dwa centymetry – oznajmiła, a wówczas Alex wybuchnęła płaczem.

– Tylko dwa? Dłużej tego nie zniosę – wysapała Alex, wyginając kręgosłup w nadziei uśmierzenia bólu. Próbowwała ukryć cierpienie za maską profesjonalistki, prezentowaną na co dzień w sali sądowej, okazało się jednak, że w pośpiechu zapomniała zabrać swoją maskę z domu.

– Wiem, że się czujesz zawiedziona – odparła Lacy. – Ale jest też dobra wiadomość: idzie ci doskonale. A jeżeli wszystko przebiega idealnie przy dwucentymetrowym rozwarciu, równie gładko się potoczy przy rozwarciu ośmiocentymetrowym. Spróbujmy się więc rozprawić z każdym skurczem po kolei, okay?

Dla wszystkich kobiet poród to ciężkie przeżycie, ale szczególnie

trudne dla tych, które mają wobec siebie wysokie oczekiwania, drobiazgowo planują i w pełni kontrolują własne życie, ponieważ akcja porodowa nigdy nie przebiega zgodnie z wcześniejszymi wyobrażeniami. Żeby przez cały proces przejść jak najłagodniej, należy pozwolić, by ciało się wyzwoliło spod władzy rozumu. Dla kogoś takiego jak Alex – przyzwyczajonego do panowania nad sobą i otoczeniem – to wyjątkowo traumatyczna sytuacja. Pełen sukces trzeba okupić odrzuceniem wszelkich barier i hamulców – całkowitym przeobrażeniem.

Lacy pomogła Alex podnieść się z łóżka i zaprowadziła ją do jacuzzi. Przyciemniła światło, włączyła łagodną muzykę, po czym rozpięła kobiecie szlafrok. Na tym etapie wstyd stał się już dla Alex pojęciem wyłącznie abstrakcyjnym – teraz byłaby gotowa się rozebrać przed całą populacją męskiego więzienia stanowego, jeżeli tylko dzięki temu ustąpiłyby skurcze.

– Wskakuj – zarządziła Lacy.

Alex oparła się na niej całym ciężarem, po czym powoli usiadła w jacuzzi. Ciepła woda potrafiła zdziałać cuda – niekiedy już samo zanurzenie w niej stóp znacznie obniżało galopujące tętno rodzącej.

– Lacy – wysapała Alex – musisz mi coś obiecać...

– Co takiego?

– Że jej nie powiesz. Mojej córce.

Lacy chwyciła Alex za rękę.

– Czego mam jej nie mówić?

Alex zamknęła oczy i przycisnęła policzek do brzegu wanny.

– Nigdy nie powiesz mojej córce, że z początku jej nie chciałam.

Zanim Lacy zdążyła cokolwiek odrzec, nadszedł kolejny skurcz.

– Oddychaj głęboko – poleciła.

Wyrzuć ból wraz z powietrzem wypychanym z płuc, wdmuchnij go w dłoń, wyobraź go sobie jako smugę czerwonego dymu. Unieś się na

czworaki. Zatop w sobie. A potem powtarzaj w duchu, że jesteś na plaży. Kładziesz się na piasku i rozkoszujesz ciepłem słońca.

Oszukuj zmysły, aż uwierzysz w uludę.

Kiedy człowiek cierpi, ucieka w głąb siebie. Lacy widziała to tysiące razy. Układ nerwowy zalewają endorfiny – substancje naturalnie wytwarzane przez organizm, działające podobnie do opiatów – i przenoszą człowieka w inne rejony, gdzie nie może go już dopaść ból. Pewnego razu jedna z pacjentek, maltretowana przez męża, odpłynęła tak daleko, że Lacy się bała, czy zdoła do niej dotrzeć i nakłonić ją do parcia. Skończyło się na tym, że śpiewała kobiecie kołysanki po hiszpańsku.

Przez minione trzy godziny Alex znowu w pełni nad sobą panowała dzięki anestezjologowi, który podał jej znieczulenie zewnątrzoponowe. Najpierw trochę pospała, potem grała w kierki z Lacy. Ale teraz dziecko przesunęło się coraz niżej i akcja porodowa weszła w kolejną fazę.

– Czemu znowu zaczyna mnie boleć? – W głosie Alex pobrzmiwała panika.

– Tak właśnie działa ten rodzaj znieczulenia. Gdybyśmy całkowicie wyłączyli układ nerwowy, nie byłabyś w stanie przeć.

– Nie mogę urodzić tego dziecka! – wykrzyknęła Alex. – Nie jestem na to gotowa.

– Rozumiem. To dobry moment, żeby o tym podyskutować.

– Co mi w ogóle strzeliło do głowy?! Logan miał rację; zupełnie postradałam zmysły. Ja nie jestem stworzona do roli matki, ale do roli prawnika. Nie mam faceta, nie mam psa... do diabła, nawet każdą roślinę doniczkową udało mi się uśmiercić. I na dodatek wciąż nie wiem, jak prawidłowo założyć pieluchę.

– Postaci z kreskówek zawsze z przodu – odparła spokojnie Lacy, a potem chwyciła rękę Alex i wsunęła między jej własne nogi, gdzie się pojawił czubek główki dziecka.

Alex szybko cofnęła dłoń.

– Czy to...?

– Owszem.

– Już wychodzi?

– Nie ma odwrotu.

Nadszedł kolejny skurcz.

– Och, Alex, widzę jej brewki... – Lacy pomagała dziecku przejść przez kanał rodny. – Wiem, że bardzo cię piecze... a oto i jej bródka... jakie śliczne maleństwo... – Otarła twarz dziecka, odessała śluz z jego ust. Przerzuciła pępowinę na drugą stronę, a potem spojrzała na przyjaciółkę. – Alex, zrobmy to razem.

Poprowadziła rękę Alex, tak by jej dłoń objęła główkę maleństwa.

– Zostań w tej pozycji, ja jej pomogę wypchnąć ramionka...

Kiedy dziecko się wysunęło wprost w ręce matki, Lacy odstąpiła pół kroku w tył. Szlochając ze szczęścia, Alex położyła maleńkie ciało na swojej piersi. Lacy, jak zwykle, przyglądała się z uwagą temu nowemu życiu, a potem pomasaowała delikatnie plecy noworodka. Wówczas maleństwo otworzyło swoje niebieskie, zamglone oczy i po raz pierwszy spojrzało na matkę.

– Jest cała twoja – rzekła cicho Lacy.

Nikt nie chce powiedzieć tego wprost, ale zło zawsze będzie powracać. Może to kwestia niekończącej się reakcji łańcuchowej: w zamierzchłej przeszłości ktoś dopuścił się strasznego czynu, zmuszając tym innego człowieka do postępu jeszcze okropniejszego, i tak to się już potoczyło – jak w tej zabawie, gdy się szepcze komuś zdanie do ucha, ten ktoś powtarza je następnej osobie, ta jeszcze następnej, i w rezultacie ostatnia osoba słyszy już coś zupełnie innego, niż zostało powiedziane na samym początku.

Ale niewykluczone też, że zło powraca, ponieważ tylko dzięki temu jesteśmy w stanie pamiętać, czym jest dobro.

Kilka godzin później

Pewnego razu, gdy siedzieli w barze, przyjaciółka Patricka, Nina, zapytała, co uważa za najokropniejszą rzecz, jaką widział w życiu. Odpowiedział szczerze, że skutki wydarzenia, które miało miejsce, kiedy jeszcze pracował w Maine: pewien facet postanowił popełnić samobójstwo i w tym celu przymocował się drutem do torów. W rezultacie koła rozpędzonego pociągu dosłownie przecięły go na pół. Wszędzie było mnóstwo krwi oraz porozrywanych na strzępy części ciała, i nawet najbardziej zahartowani policjanci, którzy przybyli na miejsce zdarzenia, nie mogli się powstrzymać od torsji. Kiedy Patrick odszedł na bok, żeby odzyskać równowagę, natknął się na oderwaną głowę tego człowieka, z ustami wciąż rozwartymi w niemy krzyku.

Teraz te zmasakrowane zwłoki nie były już najgorszą rzeczą, jaką widział w życiu. Uczniowie jeszcze się wylewali z budynku szkoły, gdy do środka wkroczyli ratownicy medyczni, żeby się zająć rannymi. Podczas masowego exodusu mnóstwo dzieciaków odniosło drobne obrażenia – głównie zadrapania i stłuczenia. Wiele z nich było w stanie hysterii, niemal wszyscy – w szoku. Ale Patrick zarządził, żeby przede wszystkim skoncentrować się na pomocy rannym w strzelaninie, których ciała, leżące na drodze od kafeterii do sali gimnastycznej, wyznaczały krwawy szlak, jakim się przemieszczał napastnik.

Alarmy przeciwpożarowe nadal wyły, a woda lecąca ze spryskiwaczy zamieniła główny hol w niewielką rzekę. Nie zważając na

strumienie tryskające spod sufitu, dwóch ratowników przyklekło nad dziewczyną postrzeloną w prawy bark.

– Połóżmy ją na nosze.

Patricka przeszedł lodowaty dreszcz, gdy sobie uprzytomnił, że zna tę ranną. Pracowała w wypożyczalni filmów w centrum miasta. W ubiegły weekend, kiedy brał „Brudnego Harry’ego”, przypomniała mu, że ma zaległość na kwotę trzy dolary czterdzieści centów. Widywał tę dziewczynę w każdy piątkowy wieczór, a jednak nigdy nie zapytał, jak jej na imię. Dlaczego, u diabła, tego nie zrobił?

Dziewczyna pojękiwała cicho, a tymczasem sanitariusz wyjął wodoodporny flamaster i wypisał na jej czole cyfrę 9.

– Nie jesteśmy w stanie oficjalnie zweryfikować tożsamości wszystkich rannych – wyjaśnił Patrickowi. – Dlatego ich numerujemy.

Podczas gdy uczennicę przenoszono na sztywne nosze, Patrick sięgnął ponad nią po jarzeniowożółty, plastikowy koc termalny, jaki każdy policjant ma w swoim radiowozie. Porwał go na niewielkie kwadraty, raz jeszcze zerknął na czoło dziewczyny i oznaczył jeden z kawałków cyfrą 9.

– Zostawcie to w miejscu, w którym ją znaleźliście – polecił ratownikom. – W ten sposób, gdy już zidentyfikujemy ofiary, będziemy znali pozycję każdej z nich podczas strzelaniny.

Zza rogu wychylił głowę kolejny sanitariusz.

– W Hitchcock twierdzą, że nie mają już więcej wolnych łóżek. Przed szkołą leżą dzieciaki przygotowane do transportu, ale karetki nie mają ich dokąd wieźć.

– A co ze szpitalem Alice Peck?

– Tam też już komplet.

– W takim razie dzwońcie do Concord i poinformujcie, żeby się szykowali na przyjęcie kilku autobusów rannych – zarządził Patrick. Kątem oka dostrzegł, jak ratownik, którego dobrze znał – stary wyga, za trzy miesiące przechodzący na emeryturę – przykuca i zaczyna szlochać. Patrick złapał za rękaw przechodzącego obok policjanta.

– Jarvis, mam dla ciebie zadanie specjalne...

– Przed chwilą już mnie pan przydzielił do pracy w sali gimnastycznej, kapitanie.

Ze wszystkich funkcjonariuszy – zarówno miejscowych, jak i przysłanych do pomocy z oddziałów policji stanowej – Patrick utworzył grupy, z których każda była odpowiedzialna za opanowanie sytuacji w określonym sektorze budynku.

– Zapomnij o sali gimnastycznej. – Podał Jarvisowi pozostałe kawałki koca oraz czarny flamaster. – Skontaktuj się ze wszystkimi ratownikami na całym terenie szkoły. W miejscu, z którego zabierają oznakowanego numerem rannego, połów jeden z tych kawałków i wypisz na nim taki sam numer.

Nagle ktoś krzyknął głośno:

– Jakaś dziewczyna się wykrwawia w damskiej toalecie!

– Biorę to na siebie – oznajmił jeden z ratowników. Porwał z podłogi torbę medyczną i pobiegł we wskazanym kierunku. Upewnij się, że o niczym ważnym nie zapomniełeś, napominał się Patrick w duchu. Musisz wszystko ogarnąć za jednym zamachem – drugiej szansy już nie dostaniesz. Wydawało mu się, że zamiast głowy ma szklaną kulę: zbyt ciężką i zbyt kruchą zarazem, żeby unieść bezmiar docierających do niego bodźców. Nie mógł być we wszystkich miejscach naraz; nie był w stanie mówić i myśleć dostatecznie szybko, żeby wysyłać ludzi tam, gdzie ich najbardziej potrzebowano. Nie miał pieprzonego pojęcia, jak się zabrać do kryminologicznej analizy zdarzenia tak monstrualnych rozmiarów, mimo to musiał udawać, że doskonale wie, co robi, ponieważ wszyscy oczekiwali od niego sprawnego dowodzenia.

Podwójne drzwi kafeterii zamknęły się za jego plecami. Ranni z tego pomieszczenia zostali już wstępnie zdiagnozowani i zabrani do ambulansów; teraz leżały tu jedynie zwłoki śmiertelnych ofiar. W miejscach, gdzie pociski trafiły w ściany, ziały wyrwy. Z potrzaskanego automatu z napojami wypływały strumyki sprite'a, coli oraz wody mineralnej i łączyły się w szeroką strugę na linoleum podłogi. Jeden z techników fotografował dowody: porzucone plecaki, portmonetki, podręczniki. Kadrował każdy przedmiot w zbliżeniu, a potem oznaczał

go żółtym, policyjnym markerem i zdejmował z dalszej odległości, dokumentując jego położenie w relacji do reszty pomieszczenia. Inny śledczy analizował układ rozprysków krwi. Dwóch następnych wbiło wzrok w róg sufitu.

– Kapitanie – odezwał się jeden z nich – zdaje się, że mamy zapis wideo.

– Gdzie nagrywarka?

Policjant wzruszył ramionami.

– W biurze dyrektora? – zasugerował.

– Znajdźcie ją – rozkazał Patrick.

Ruszył głównym przejściem między stolikami. Sceneria jak z filmu science fiction: dzieciaki coś jadły, żartowały w najlepsze lub wymieniały plotki z przyjaciółmi, gdy nagle się zjawili kosmici i w mgnieniu oka porwali wszystkie ludzkie istoty, nie tykając jednak artefaktów. Ciekawe, jak antropolog scharakteryzowałby uczniów Sterling High na podstawie tego, co po nich pozostało: nadgryzione kanapki z białego, intensywnie wzbogacanego mikroelementami chleba; tubka wiśniowego błyszczyku do ust, na której wciąż widniał wyraźny odcisk palca; skoroszyty wypełnione opisami cywilizacji Azteków, z komentarzami na marginesach, odnoszącymi się do cywilizacji własnej: „Kocham Zacha S.!!!”, „Pan Keifer to nazista!!!”.

Patrick zawadził kolanem o jeden ze stolików, po którym się potoczyły oderwane z kiści winogrona. Jedno z nich się odbiło od ręki chłopaka leżącego na zeszytach o liniowanych kartkach, powoli nasiąkających krwią. Palce chłopca kurczowo się zaciskały na okularach. Czy je czyścił, gdy Peter Houghton wpadł tu w ataku morderczego szału? Czy może je zdjął, bo nie chciał oglądać tego, co się rozgrywa na sali?

Patrick dał duży krok ponad ciałami dwóch dziewcząt, które leżały rozciągnięte na podłodze niczym swoje lustrzane odbicia. Miały wciąż szeroko rozwarte oczy, a skąpe minispódniczki podjechały im wysoko nad uda. Wszedł za kontuar, po czym przesunął uważnym spojrzeniem po pojemnikach pełnych siniejącej marchewki z groszkiem, po garnku, z

którego wyciekał gulasz z kurczaka, po saszetkach z solą i pieprzem, zaścienających posadzkę niczym konfetti. Spojrzał na błyszczące, metaliczne hełmy jogurtów – o smaku truskawkowym, owoców leśnych, limety i brzoskwini – które jakimś cudem pozostały nietknięte i wciąż stały dumnie przy kasie w czterech równiutkich szeregach, na podobieństwo miniaturowej, niezwykniętej armii. Obok – jedna taca, zdradzająca lata intensywnego użycia, a na niej talerzyk z galaretką i papierowa serwetka, czekające w osamotnieniu na resztę posiłku.

Nagle dobiegł Patricka odgłos bezsprzecznie świadczący o czyjejs obecności. Czy mógł się aż tak pomylić? Czy to możliwe, że jednak było dwóch napastników? Że ten drugi zdołał się ukryć przed wzrokiem tak wielu funkcjonariuszy? Czyżby jego ludzie szukali ocalałych... a jednocześnie sami byli wystawieni na śmiertelne niebezpieczeństwo?

Wyciągnął broń i ruszył ku trzewiom kuchni: minął regał z gargantuicznymi puszkami sosu pomidorowego, zielonej fasolki i taniego sera; przeszedł obok olbrzymich rolek z folią plastikową i aluminiową, aż dotarł do niewielkiej chłodni, gdzie przechowywano mięso oraz inne nietrwałe produkty. Kopniakiem otworzył drzwi i zimne powietrze owiało mu nogi.

– Ani drgnij! – wrzasnął i niewiele brakowało, a wybuchnąłby śmiechem.

Obsługująca kafeterię Latynoska w średnim wieku, z włosami wciśniętymi pod siatkę przywodzącą na myśl pajęczynę, wysunęła się nieznacznie zza regału, na którym leżały torby z przygotowaną mieszanką zielonych sałat. Trzęsąc się jak osika, uniosła ręce do góry.

– *No me tire* – zaszlochała.

Patrick schował pistolet, zdjął marynarkę i otulił nią ramiona kobiety.

– Już po wszystkim – uspokajał, chociaż doskonale wiedział, że to wierutne kłamstwo. Dla niego, dla Petera Houghtona, dla całego Sterling... to był dopiero początek.

– Czy ja dobrze zrozumiałam, pani Calloway? – odezwała się Alex. – Stworzyła pani śmiertelne zagrożenie na drodze oraz spowodowała poważne uszkodzenie ciała innego uczestnika ruchu, ponieważ ratowała pani akwariową rybkę?

Oskarżona, pięćdziesięcioletnia kobieta w tandetnym spodniemie i z równie tandetną trwałą na głowie, energicznie pokiwała głową.

– Tak właśnie było, wysoki sędzie.

Alex oparła się łokciami o stół.

– Tej historii muszę wysłuchać.

Kobieta spojrzała niepewnie na swojego adwokata.

– Pani Calloway wracała z małego zoo, gdzie zakupiła srebrną arowaną – rozpoczął prawnik.

– To tropikalna ryba, kosztuje aż pięćdziesiąt pięć dolarów, pani sędzio – wtrąciła oskarżona.

– Plastikowa torebka, w której było transportowane zwierzę, spadła z siedzenia i pękła. Pani Calloway rzuciła się rybie na ratunek i właśnie wówczas doszło do... do tego niefortunnego incydentu.

– Przez niefortunny incydent rozumie pan... – Alex zerknęła na wniosek prokuratury – ...potrącenie pieszego.

– Tak jest, wysoki sędzie.

Alex zwróciła się w stronę oskarżonej.

– A jak się miewa ryba?

Pani Calloway rozpromieniła się w uśmiechu.

– Doskonale – wyznała. – Dałam jej na imię Kraksa.

Kątem oka Alex dostrzegła funkcjonariusza sądowego wchodzącego na salę i szepczącego coś do ucha sekretarzowi, który skinął głową, szybko coś zapisał na kawałku papieru i przez innego funkcjonariusza przekazał Alex.

„Strzelanina w Sterling High” – przeczytała i skamieniała.

Josie!

– Ogłaszam odroczenie rozprawy – szepnęła, po czym wybiegła z sali.

John Eberhard zacisnął zęby i całą uwagę skoncentrował na przemieszczeniu się o kilkanaście kolejnych centymetrów do przodu. Krew zalewała mu oczy, więc praktycznie nic nie widział, a do tego lewą stronę ciała miał całkiem bezwładną. Nic też nie słyszał – w uszach nieustannie dudnił mu huk wystrzału. Mimo to zdołał się przeczołgać z górnego holu, gdzie został postrzelony przez Petera Houghtona, do składziku z materiałami na zajęcia ze sztuki.

Powróciło do niego wspomnienie treningów, podczas których trener kazał im wielokrotnie pokonywać całą długość lodowiska – od jednej linii bramkowej do drugiej – coraz szybciej i szybciej, aż wszyscy tracili dech. Przypomnił sobie pewne szczególne uczucie: gdy już się człowiekowi zdawało, że nie wycisnie z siebie absolutnie nic więcej, nagle odnajdował w sobie jeszcze jakieś rezerwy siły.

Pokrzepiony tym wspomnieniem, John zaparł się łokciami o podłogę i pokonał następne pół metra.

W końcu dotarł do metalowego regału, gdzie składowano glinę i farby, koraliki rozmaitych kształtów oraz zwoje drutu. Spróbował się podciągnąć do pozycji stojącej, ale wówczas przeszył mu głowę straszliwy ból i... John zapadł w ciemność. Kilka minut – godzin? – później odzyskał świadomość. Nie wiedział, czy może już bezpiecznie wyrzucić ze swojej kryjówki. Leżał na plecach, a twarz mu owiewały zimne podmuchy. Wiatr! Wiatr, który się wdzierał przez nieszczelną framugę okna.

Okno!

Niespodziewanie stanęła Johnowi przed oczami Courtney Ignatio. Siedziała naprzeciwko niego w kafeterii, gdy nagle szklana ściana za jej plecami eksplodowała milionem odłamków, a na środku piersi Courtney wykwitł dziwny kwiat – jaskrawoczerwony jak maki. W tej samej chwili setki rozproszonych krzyków ułożyło się w jedną, ogłuszającą nutę. Niczym susły z nor nauczyciele zaczęli wysuwać głowy zza drzwi klas. Rany, ale mieli miny, kiedy usłyszeli kolejne strzały.

John zaczął się podciągać na półkach, powoli, jedną ręką, walcząc z

mrocznym demonem, ściąającym go w omdlenie. Kiedy wreszcie się znalazł w pozycji pionowej, drżał na całym ciele. Obraz tak bardzo rozmywał mu się przed oczami, że gdy chwycił puszkę z farbą, by cisnąć nią w szybę, musiał się długo zastanawiać, które z okien w jego polu widzenia jest tym prawdziwym.

Szyba trzasnęła i kawałki szkła poleciały na podłogę. John oparł się o parapet i wyrzwał na zewnątrz. Karetki i wozy strażackie. Reporterzy i rodzice, napierający na policyjną taśmę. Zapłakani uczniowie, pozbijani w małe grupki. Okaleczone ciała rozłożone równo na śniegu na podobieństwo podkładów kolejowych. Ratownicy wynoszący z budynku kolejnych rannych.

John Eberhard chciał wykrzyknąć: „Pomocy!” – ale nie był w stanie wydać z siebie głosu. Nie był w stanie wyartykułować żadnego słowa, nawet własnego imienia.

Nagle ktoś wykrzyknął:

– Tam na piętrze jest jakiś chłopak!

Szlochając bezgłośnie, John zamierzał pomachać, ale ręka odmówiła mu posłuszeństwa.

Ludzie zaczęli wskazywać na niego palcami.

– Nie ruszaj się z miejsca! – polecił jeden ze strażaków i John chciał mu odpowiedzieć skinieniem głowy. Ale jego ciało już do niego nie należało, i zanim zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, ten nieznaczny ruch głową spowodował przesunięcie środka ciężkości i chłopak runął z piętra na goły beton.

Diana Leven odeszła z biura prokuratora okręgowego w Bostonie, ponieważ chciała podjąć pracę w bardziej przyjaznym i spokojnym środowisku, za jakie uznała Sterling. Teraz weszła stanowczym krokiem do sali gimnastycznej i zatrzymała się przy ciele chłopca postrzelonego w szyję, leżącym dokładnie na linii rzutów osobistych. Kryminolodzy fotografowali miejsce przestępstwa, a podeszwy ich butów wydawały

charakterystyczny wizg, gdy się przemieszczali po lakierowanym parkiecie i zbierali łuski po pociskach do plastikowych torebek.

Grupą dochodzeniową dowodził Patrick Ducharme.

Diana powiodła wzrokiem po sali pełnej nieprawdopodobnej ilości materiału dowodowego: ubrań, krwi, łusek, porzuconych plecaków, pogubionych trampek – i pomyślała, że nie tylko ona staje przed monstrualnym wyzwaniem.

– Co zdołaliście do tej pory ustalić?

– Praktycznie mamy pewność, że był tylko jeden sprawca. Już został zatrzymany – odparł Patrick. – Nie wiemy jednak, czy ktoś mu nie pomagał w zorganizowaniu tej masakry. Tak czy owak, budynek jest pod naszą pełną kontrolą.

– Ile ofiar śmiertelnych?

– Potwierdzonych dziesięć.

Diana skinęła głową.

– Liczba rannych?

– Jeszcze nie wiemy. Musieliśmy ściągnąć karetki ze wszystkich północnych okręgów New Hampshire.

– W czym mogę pomóc?

Patrick zwrócił się w jej stronę.

– Daj przedstawienie dla prasy, a potem pozbądź się jakoś tych kamer.

Diana już ruszyła w stronę drzwi, gdy Patrick chwycił ją za ramię.

– Chcesz, żebym z nim porozmawiał?

– Ze sprawcą?

Patrick przytaknął.

– To może być jedyna szansa na przesłuchanie, zanim zażąda adwokata, więc jeżeli tylko możesz się stąd urwać, jedź do aresztu.

Diana opuściła salę i szybko zeszła po schodach, uważając jednak, by nie przeszkadzać w pracy policjantom i ratownikom. Ledwo wyszła na zewnątrz, opadła ją chmara dziennikarzy i zarzuciła pytaniami bolesnymi jak ukłucia os. „Ilu zabitych?” „Nazwiska śmiertelnych ofiar?” „Kim jest sprawca?”

„Dlaczego?”

Diana wzięła głęboki oddech i odgarnęła ciemne włosy z twarzy. Tego aspektu swojej pracy nie znosiła najbardziej – konieczności przemawiania do kamer. W ciągu dnia zaczęło się tu zjeżdżać coraz więcej ekip telewizyjnych, ale teraz na miejscu byli jedynie reporterzy lokalnych stacji, zafiliowanych z CBS, ABC i FOX. To dawało Dianie przewagę władzy na własnym terytorium, którą powinna wykorzystać do maksimum.

– Dzień dobry, nazywam się Diana Leven i pracuję w biurze stanowego prokuratora generalnego. W obecnej chwili nie możemy ujawnić wszystkich informacji ze względu na dobro toczącego się śledztwa, obiecuję jednak, że podamy szczegóły w możliwie najszybszym terminie. Mogę natomiast potwierdzić, że na terenie Sterling High doszło do strzelaniny. Do tej pory nie ustaliliśmy jednoznacznie tożsamości sprawcy bądź sprawców. Policja zatrzymała jedną osobę, ale na razie nikomu nie postawiono formalnych zarzutów.

Jedna z reporterek przepchnęła się na czoło dziennikarskiej watahy.

– Ilu uczniów straciło życie?

– Jeszcze nie dysponujemy takimi danymi.

– Ile osób zostało rannych?

– Jeszcze nie dysponujemy takimi danymi – powtórzyła Diana. – Gdy tylko nadejdą, media zostaną poinformowane.

– Kiedy zatrzymana osoba usłyszy zarzuty? – wykrzyknął kolejny z dziennikarzy.

– Co może pani powiedzieć tym rodzicom, którzy jeszcze nic nie wiedzą o losie swoich dzieci?

Diana zacisnęła usta, wiedząc, że nie ominie jej publiczna chłosta.

– Dziękuję państwu, to wszystko – rzuciła stanowczo, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, że dla nikogo nie jest to zadowalająca odpowiedź.

W okolicach Sterling High kłębiły się takie tłumy, że Lacy musiała zaparkować sześć przecznic od szkoły. Ledwie wysiadła z samochodu, puściła się biegiem przed siebie, przyciskając do piersi koce, które zabrała w odpowiedzi na apel lokalnego radia: były potrzebne dla ofiar znajdujących się w stanie szoku.

W głowie huczała jej tylko jedna myśl: Już straciłam pierworodnego syna. Nie mogę stracić następnego.

Kiedy ostatni raz widziała Petera, doszło między nimi do sprzeczki. To było zeszłego wieczoru, zanim została wezwana do porodu. „Przecież jeszcze wczoraj cię prosiłam, żebyś wyrzucił śmieci! – wykrzyknęła. – Czy ty mnie w ogóle nie słuchasz?”

Peter zerknął na nią znad monitora komputerowego. „Czego znowu ode mnie chcesz?!”

A jeżeli to była ich ostatnia rozmowa w życiu?

Ani studia na wydziale pielęgniarstwa, ani lata pracy w szpitalu nie przygotowały jej na widok, jaki ujrzała, gdy wybiegła z za rogu. Dlatego przyswajała sobie scenę partiami, kawałek po kawałku. Masa potłuczonego szkła, wozy bojowe straży pożarnej, gęsty dym. Krew, płacz i jęki, ryk syren.

Lacy rzuciła koce obok karetki, po czym zanurzyła się w ocean chaosu, by wraz z innymi rodzicami wyskakiwać od czasu do czasu nad powierzchnię w nadziei, że ujrzy swoje zagubione dziecko, dryfujące bezpiecznie do brzegu, zanim nadejdzie złowieszczą falą pływ.

Na błotnistym placu przed szkołą miotano się wiele dzieciaków. Żadne z nich nie miało na sobie wierzchniego okrycia. Jakaś szczęśliwa matka odnalazła córkę i Lacy zaczęła się gorączkowo rozglądać za Peterem, uświadamiając sobie przy tym boleśnie, że nie ma pojęcia, co dzisiaj na siebie włożył.

Wokół niej wirowały strzępy rozmów.

- ...nie widziałem go...
- ...pan McCabe został zastrzelony...
- ...jeszcze jej nie znalazłem...
- ...myślałam, że już nigdy...

– ...zgubiłam komórkę, kiedy...

– ...Peter Houghton był...

Lacy odwróciła się gwałtownie i skupiła wzrok na dziewczynie wypowiadającej imię jej dziecka – tej samej, którą przed chwilą odnalazła matka.

– Przepraszam, chodzi o mojego syna... próbuję go odszukać. Słyszałam, jak przed chwilą o nim wspominałaś... Peter Houghton.

Dziewczyna spojrzała na nią szeroko rozwartymi oczami i instynktownie przywarła do matki.

– To właśnie on do nas strzelał.

W tej samej chwili Lacy doświadczyła niezwykle rozciągnięcia czasu, w którym każdy ruch uległ groteskowemu zniekształceniu: zwolniło pulsowanie świateł ambulansu, chaotyczne rozbieganie uczniów, wibrowanie w powietrzu okrągłych zgłosek, które się wytoczyły z ust zagadniętej przez nią dziewczyny.

Może po prostu zawiódł ją słuch.

Raz jeszcze spojrzała na dziewczynę i natychmiast tego pożałowała. Nastolatka szlochała, a jej matka wpatrywała się w Lacy z przerażeniem, po czym gwałtownie się odwróciła i osłoniła córkę własnym ciałem, jakby miała przed sobą bazyliiszka, którego spojrzenie może obrócić człowieka w kamień.

To musi być jakaś straszna pomyłka. Boże, spraw, żeby to była pomyłka, modliła się w duchu Lacy, wodząc wzrokiem po pobojoisku. A jednocześnie czuła, jak w gardle wraz z ciężkim szlochem więźnie jej imię syna.

Sztywna, odrętwiała, podeszła do najbliższego policjanta.

– Szukam swojego dziecka – powiedziała.

– Nie pani jedna, niestety. Zapewniam, że robimy wszystko, co w naszej mocy...

Lacy zaczerpnęła głęboki oddech świadoma, że od tej chwili już nic w jej życiu nie będzie takie jak przedtem.

– Mój syn się nazywa Peter Houghton.

Alex zahaczyła wysokim obcasem o pęknięcie w płycie chodnika i upadła na kolano. Zbierając się niezdarne z ziemi, chwyciła za rękaw jakąś inną rozgorączkowaną matkę, biegnącą w stronę szkoły.

– Nazwiska ofiar... gdzie je znajdę?

– Wywiesili listę na lodowisku hokejowym.

Alex pędem minęła ulicę, zamkniętą teraz dla ruchu, służącą personelowi medycznemu za centrum przesiewowe, gdzie klasyfikowano obrażenia uczniów, których następnie ładowano do odpowiednich karetek.

Kiedy wysokie szpilki zaczęły ją spowalniać – ostatecznie były przeznaczone do poruszania się po gładkich posadzkach sądu, a nie do krosu po zabłoconych ulicach – Alex ściągnęła je z nóg i w samych pończochach pomknęła po mokrym trotuarze.

Lodowisko hokejowe, wspólne dla dwóch drużyn – licealnej oraz miejscowego college’u – było oddalone o pięć minut drogi od szkoły. Alex pokonała ten dystans w dwie minuty, po czym stanęła w tłumie rodziców kłębiących się przed dwiema odręcznie wypisanymi, przyklejonymi do drzwi listami z nazwiskami uczniów zabranych do szpitali. Nie zaznaczono przy tym, jak ciężkich doznali obrażeń...

Alex przeczytała pierwsze trzy nazwiska.

Whitaker Obermeyer, Kaitlyn Harvey, Matthew Royston.

Matt?!

– Nie... – jęknęła stojąca obok niej kobieta. Była niska, bardzo szczupła, o ciemnych, rozbieganych jak u ptaka oczach i cienkich rudych włosach. – Nie! – powtórzyła i tym razem zalała się łzami.

Alex wpatrywała się w tę kobietę, niezdolna zaofiarować słów pociechy z zabobonnego lęku, że tragedia może być zaraźliwa jak dżuma. Niespodziewanie ktoś pchnął ją w lewą stronę i nagle Alex znalazła się przed drugą listą, gdzie umieszczono nazwiska dzieci zabranych do Centrum Medycznego Dartmouth-Hitchcock.

Emma Alexis, Min Horuka, Brady Pryce, Josephine Cormier...

Nogi odmówiły Alex posłuszeństwa i gdyby nie napór ciał z obu stron, z pewnością by się osunęła na ziemię.

– Przepraszam – wymamrotała, ustępując miejsca kolejnej zdesperowanej matce, po czym zaczęła się z trudem przepychać przez gęstniejący tłum. – Przepraszam – powtórzyła, ale jej słowa nie były już teraz grzecznościową formułką, lecz błaganiem o rozgrzeszenie.

Ledwo Patrick wszedł na posterunek, zatrzymał go sierżant dyżurny.

– Kapitanie... to ona – powiedział, strzelając oczami w stronę kobiety, która w spiętej, zdeterminowanej pozie stała po przeciwnej stronie holu.

Patrick zwrócił się we wskazanym kierunku. Matka Petera Houghtona była bardzo drobna, a w jej rysach próżno by się doszukiwać cech wspólnych z synem. Miała na sobie szpitalny, zabiegowy uniform i chodaki na grubych podszewkach. Ciemne włosy skręciła na czubku głowy ołówkiem. A więc prawdopodobnie jest lekarzem. Patrickowi nie umknęła ironia całej sytuacji – „Po pierwsze, nie szkodzić”.

Ta kobieta nie wyglądała na osobę, która wydała na świat potwora. Ledwo Patrick to pomyślał, uświadomił sobie, że poczynania syna zapewne zaszokowały ją tak samo jak resztę społeczności.

– Pani Houghton?

– Chcę się zobaczyć z synem.

– Przykro mi, ale to niemożliwe – odparł Patrick. – Został zatrzymany w areszcie.

– Potrzebuje prawnika.

– Pani syn skończył siedemnaście lat, więc z punktu widzenia prawa odpowiada za swoje czyny jak dorosły. A to oznacza, że sam musi wyrazić wolę skorzystania z przysługującego mu prawa do adwokata.

– Ale on zapewne o tym nie wie... – powiedziała Lacy Houghton łamiącym się głosem. – Nie ma pojęcia, co powinien zrobić...

Patrick doskonale zdawał sobie sprawę, że na swój sposób ta kobieta również padła ofiarą własnego dziecka. W swoim życiu przesłuchiwał dostateczną liczbę rodziców młodocianych przestępców, by wiedzieć, że nie wolno zrywać z nimi komunikacji – nie wolno palić wszystkich

mostów.

– Pani Houghton, usilnie próbujemy zrozumieć, co się właściwie dzisiaj wydarzyło. I, prawdę powiedziawszy, mam nadzieję, że zechce pani ze mną porozmawiać nieco później – że pomoże mi pojąć, jakie motywy mogły kierować Peterem. – Zawahał się, po czym dodał: – Jest mi doprawdy bardzo przykro.

Wyjął z kieszeni klucze, wszedł do wewnętrznego sanktuarium komisariatu i pobiegł schodami na górę, do izby zatrzymań, za którą się znajdowały cele aresztu.

Peter Houghton siedział na posadzce i zwrócony plecami do krat kiwał się jak w chorobie sieroczej.

– Peterze – odezwał się Patrick. – Wszystko w porządku?

Chłopak odwrócił się powoli i wbił niewidzący wzrok w Patricka.

– Poznajesz mnie?

Potakująco skinął głową.

– Miałbyś ochotę na kawę?

Chwila wahania, a po niej kolejne skinienie głową.

Patrick wezwał dyżurnego, kazał otworzyć celę, po czym zaprowadził Petera do niewielkiej kuchenki. Wcześniej już zarządził, żeby ustawiono tam kamerę, na wypadek gdyby zatrzymany zgodził się zeznawać. Wskazał dzieciakowi krzesło przystawione do stołu o blacie poznaczonym niezliczonymi rysami, po czym napełnił dwa kubki kawą. Nie spytał Petera, jaką pija – z własnej inicjatywy dodał mleka i cukru, po czym postawił kubek przed chłopakiem.

Sam usiadł naprzeciwko. Wcześniej nie przyjrzał się uważniej temu dzieciakowi – pomyśleć, co z człowiekiem robi adrenalina – za to teraz pilnie skupił na nim wzrok. Peter Houghton był szczupły, miał bladą, piegowaną twarz i okulary w drucianej oprawie. Jeden z jego przednich zębów był lekko skrzywiony, a jabłko Adama zdawało się wielkie jak pięść. Zaciskał na kubku dłonie o gruzłowatych, pokrytych spierzchniętą skórą kłykciach. Płakał bezgłośnie i to samo by wystarczyło, żeby poczuć dla niego współczucie... gdyby nie miał na sobie T-shirta splamionego krwią innych uczniów.

– Czy nic ci nie dolega, Peterze? – spytał raz jeszcze Patrick. – Nie jesteś głodny?

Chłopak pokręcił przecząco głową.

– Mógłbym ci podać coś jeszcze?

Peter oparł głowę o stół.

– Chcę do mamy – wyszeptał.

Patrick skierował wzrok na przedziałek w jego włosach. Gdy ten chłopak cesał się tego ranka przed lustrem, czy myślał sobie: „Dzisiaj właśnie nadszedł dzień, w którym zabiję dziesięcioro moich kolegów”?

– Ja natomiast chciałbym z tobą porozmawiać o porannych wydarzeniach. Co ty na to?

Peter nie odpowiedział.

– Jeżeli mi wyjaśnisz całą sytuację – rzekł z naciskiem Patrick – może uda mi się wytłumaczyć innym twój punkt widzenia.

Peter uniósł twarz teraz już na dobre zalaną łzami i Patrick zrozumiał, że do niczego dzisiaj nie dojdą. Westchnął głęboko i odsunął się od stołu.

– No dobrze – zdecydował. – A więc chodźmy.

Poszli z powrotem do celi, gdzie chłopak położył się na podłodze i zwrócił twarzą w stronę betonowej ściany. Patrick przykucnął u jego boku i podjął jeszcze jedną próbę nawiązania rozmowy.

– Pozwól mi pomóc sobie – powiedział, ale Peter tylko potrząsnął głową; z oczu nieustannie płynęły mu łzy.

Dopiero kiedy Patrick wyszedł z celi i przekręcił klucz w zamku, Peter odezwał się po raz drugi:

– To oni wszystko rozpętali.

Doktor Guenther Frankenstein pracował na stanowisku stanowego lekarza sądowego od sześciu lat – dokładnie tak długo, jak dzierżył tytuł Mistera Uniwersum w latach siedemdziesiątych, zanim zamienił hantle na skalpel, czy też, jak sam to ujmował, zanim przeszedł od rozbudowy ciała do rozbierania ciał na czynniki pierwsze. Mięśnie miał nadal

imponujące i tak wyraźnie się rysujące pod marynarką, że ich widok z mety powstrzymywał wszelkich facejonistów od produkcji makabrycznych żartów, nawiązujących do jego nazwiska. Patrick lubił Guenthera – no bo jak tu nie podziwiać faceta, który jest w stanie podnieść ciężar trzykrotnie przekraczający wagę jego ciała, a jednocześnie potrafi bezbłędnie ocenić, ile gramów waży ludzka wątroba, którą ma przed oczami?

Od czasu do czasu Patrick i Guenther wyskakiwali razem na piwo i po określonej dawce alkoholu dawny kulturysta opowiadał dykteryjki o kobietach, które niemal się biły, żeby przed zawodami namaścić mu ciało oliwą, czy też bawił Patricka zabawnymi anegdotami o Arnoldzie z czasów, zanim został politykiem. Teraz jednak ani Guenther, ani Patrick nie byli w nastroju do żartów czy jakichkolwiek wspomnień o przeszłości. Przytłoczyła ich terażniejszość wymuszająca cichą wędrówkę po korytarzach Sterling High w celu formalnego potwierdzenia liczby śmiertelnych ofiar.

Patrick spotkał się z Guentherem już na miejscu zdarzeń, tuż po nieudanej próbie przesłuchania Petera Houghtona. Diana Leven tylko wzruszyła ramionami, kiedy usłyszała, że Peter nie wyraził ochoty na rozmowę.

– Mamy setki naocznych świadków, utrzymujących, że zabił dziesięć osób – oznajmiła. – Postawcie mu zarzuty.

Tymczasem Guenther przykucnął przy zwłokach ofiary numer sześć. Została zastrzelona w damskiej toalecie i leżała twarzą do podłogi przy umywalkach. Patrick zerknął pytająco na dyrektora, Arthura McAllistera, który zgodził się im towarzyszyć w celu ustalenia tożsamości zabitych.

– Kaitlyn Harvey – oznajmił McAllister głuchym głosem. – Dziecko specjalnej troski... przemiła dziewczyna.

Guenther i Patrick wymienili znaczące spojrzenia. Dyrektor nie ograniczał się do identyfikacji ciał – wygłaszał również kilka ciepłych słów pod adresem każdej z ofiar. Patrick podejrzewał, że McAllister po prostu nie jest w stanie się powstrzymać – w odróżnieniu od niego i

Guenthera nie miał na co dzień do czynienia z ludzkimi tragediami.

Patrick pracowicie odtwarzał trasę wędrówki Petera. Z głównego holu wiodła do kafeterii (ofiary numer 1 i 2: Courtney Ignatio i Maddie Shaw), następnie do stolika obok wyjścia na schody główne (ofiara numer 3: Whit Obermeyer), do męskiej toalety (ofiara numer 4: Topher McPhee), potem kolejnym korytarzem (ofiara numer 5: Grace Murtaugh) do damskiej toalety (ofiara numer 6: Kaitlyn Harvey). Teraz Patrick poprowadził wszystkich schodami w górę i skręcił w lewo, ku drzwiom najbliższej klasy, skąd smuga krwi ciągnęła się aż pod tablicę, gdzie leżał jedyny zabity w strzelaninie dorosły... przy którym klęczał młody chłopak, przyciskający dłoń do rany postrzałowej w brzuchu mężczyzny.

– Ben? – odezwał się McAllister. – Co tu jeszcze robisz?

Patrick odwrócił się gwałtownie w stronę chłopaka.

– To ty nie jesteś jednym z ratowników?!

– Ja... ja nie...

– Powiedziałeś, że przeszedłeś przeszkolenie medyczne!

– Ben należy do skautów – wyjaśnił dyrektor.

– Ja... ja nie mogłem zostawić pana McCabe'a. Zastosowałem... zastosowałem ucisk. I... i zadziałało, widzicie? Krwawienie ustało!

Guenther delikatnie oderwał dłoń chłopaka od ciała nauczyciela.

– To dlatego, że nastąpił zgon, synu.

Twarz Bena wykrzywił grymas rozpaczny.

– Ale ja... ja...

– Zrobiłeś wszystko, co w ludzkiej mocy – zapewnił go Guenther.

Patrick spojrzał znacząco na dyrektora.

– Może wyprowadzi pan Bena na zewnątrz... Chyba powinien z nim porozmawiać jeden z lekarzy...

Szok, powiedział bezgłośnie ponad ramieniem chłopaka.

Kiedy McAllister wyprowadzał ucznia z sali, Ben chwycił go za rękaw, pozostawiając na tkaninie krwawy odcisk dłoni.

– Jezu – szepnął Patrick, przeciągając ręką po twarzy.

– Chodź, im szybciej to skończymy, tym lepiej – zdecydował

Guenther.

Przeszli do sali gimnastycznej. Tam lekarz formalnie stwierdził zgon dwóch kolejnych chłopców, białego i czarnoskórego, aż w końcu się znaleźli w szatni – tej samej, w której Patrick dopadł wreszcie Petera Houghtona. Podczas gdy Guenther badał ciało chłopaka ubranego w hokejową bluzę, Patrick wszedł do przyległego pomieszczenia z prysznicami i wyjrzał przez okno. Reporterzy wciąż tkwili na swoich miejscach, ale większość rannych została rozwieziona po szpitalach. Przed szkołą, zamiast siedmiu, stała już tylko jedna karetka.

Zaczęło natomiast padać – i to rześście. A więc nazajutrz rano po krwi na pobliskiej ulicy nie pozostanie ani śladu: jakby dzisiejszego dnia nigdy nie było.

– To doprawdy intrygujące – odezwał się Guenther.

Patrick zamknął okno, odcinając się od ściany deszczu.

– Dlaczego? Czy ten dzieciak jest bardziej martwy od pozostałych?

– W pewnym sensie tak. Jest jedyną ofiarą, która oberwała dwa razy. W brzuch i w głowę. – Guenther spojrział na Patricka. – Ile sztuk broni znaleźliście przy napastniku?

– Jedną trzymał w ręku, następna leżała obok na podłodze, dwie kolejne miał w plecaku.

– Nie ma to jak dobry plan awaryjny.

– Fakt – mruknął Patrick. – Czy jesteś w stanie stwierdzić, która kula została wystrzelona pierwsza?

– Nie. Ale logika wskazuje, że najpierw dostał w brzuch... ponieważ postrzał w głowę był śmiertelny. – Guenther przyklęknął obok ciała. – Może tego dzieciaka nienawidził w jakiś szczególny sposób.

Niespodziewanie otworzyły się drzwi szatni i stanął w nich patrolowy, przemoknięty do nitki przez niespodziewaną ulewę.

– Kapitanie? Właśnie znaleźliśmy kolejną bombę rurową w samochodzie Petera Houghtona.

Kiedy Josie była młodsza, Alex nieustannie prześladował pewien senny koszmar: znajdowała się w samolocie gwałtownie pikującym w dół; wyraźnie czuła przeciążenie grawitacyjne, ostro wciskające ją w fotel; widziała torebki, marynarki i podręczne bagaże, wypadające z górnych schowków na podłogę. I w owej chwili ogarniała ją tylko jedna myśl: Muszę natychmiast odnaleźć swoją komórkę. Chciała koniecznie zostawić dla Josie wiadomość w skrzynce głosowej – cyfrowy dowód na to, że matka ją kochała i była przy niej myślami do ostatniej sekundy życia. Dowód, który Josie mogłaby mieć nieustannie przy sobie i zachować po wsze czasy. W końcu Alex udawało się wyszarpnąć telefon z torebki i go aktywować – ale wówczas było już za późno. Kiedy samolot się roztrzaskiwał o ziemię, aparat wciąż jeszcze poszukiwał zasięgu.

Budziła się drżąca, zlana potem, i długo nie mogła dojść do siebie, nawet gdy rozsądek całkowicie odrzucał logikę snu: Alex przecież bardzo rzadko podróżowała bez Josie, nie miała też pracy wymagającej latania samolotami. Żeby ochłonać, szła do łazienki, spryskiwała twarz zimną wodą, ale i tak prześladowało ją natrętne przeświadczenie, że przegrała z czasem – że się spóźniła.

Teraz, kiedy siedziała w ciemnym, spowitym ciszą szpitalnym pokoju, gdzie jej córka spała po środkach uspokajających, zaaplikowanych przez lekarza w izbie przyjęć, gnębiło ją to samo przekonanie.

Oto co Alex zdołała do tej pory ustalić: Josie zemdląca podczas strzelaniny; upadając, rozbiła sobie czoło, przystrojone obecnie gazą ułożoną w kształt motyla, i doznała lekkiego wstrząsu mózgu. Lekarze postanowili zostawić ją na noc w szpitalu, aby się upewnić, że jej zdrowiu i życiu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo.

Alex nagle zdała sobie sprawę, że definicja bezpieczeństwa zyskała tego dnia zupełnie nowe znaczenie.

Natomiast za sprawą stacji telewizyjnych, wałkujących w kółko wydarzenia w Sterling, poznała także nazwiska zabitych. Jednym z nich był Matthew Royston.

Matt.

A co, jeżeli Josie stała u jego boku, kiedy zginął?

Od chwili gdy Alex dotarła do szpitala, jej córka była nieprzytomna. Wydawała się niezwykle krucha i bezbronna pod spranym szpitalnym prześcieradłem. Leżała całkiem nieruchomo, tylko od czasu do czasu jej prawa ręka zaciskała się kurczowo i Alex machinalnie chwyciła za tę rękę. „Obudź się – błagała córkę w duchu. – Daj mi dowód na to, że nic ci się nie stało”.

Alex opadły natrętnie pytania. Jak potoczyłyby się wydarzenia, gdyby dzisiaj rano nie zasnęła? Gdyby miała czas usiąść z Josie przy kuchennym stole i porozmawiać o tym, o czym – w jej wyobrażeniach – rozmawiają matki z córkami, a na co nigdy jakoś nie mogła znaleźć czasu? Co by było, gdyby, zbiegłszy rano ze schodów, uważniej się przyjrzała Josie i kazała jej iść do łóżka, wypaść się i wypocząć?

A gdyby pod wpływem impulsu zabrała ją na wycieczkę do Punta Cana, do San Diego, na Fidżi – w jedno z tych miejsc, po których z rozmarzeniem surfowała w Internecie, obiecując sobie w duchu, że uda się tam w rzeczywistym świecie, czego jednak nigdy dotąd nie zrobiła?

Gdyby matczyzny szósty zmysł skłonił ją do zatrzymania córki w domu pod byle pretekstem?

Naturalnie, setki innych rodziców z niewiedzy i w jak najlepiej pojętym interesie dziecka popełniło dzisiaj te same błędy, które popełniła Alex. Ale nie było to dla niej żadną pociechą. Obce dzieci jej nie obchodziły. Liczyła się tylko Josie. I żadne z innych rodziców z pewnością nie miało tak wiele do stracenia jak ona.

Kiedy się to wszystko skończy, ruszymy na wyprawę do lasów deszczowych, przysięgała sobie w duchu Alex. Pojedziemy obejrzeć piramidy lub udamy się na plażę o piasku tak białym jak wypalone na słońcu kości. Będziemy jeść winogrona prosto z krzewów winorośli, pływać w oceanie z wielkimi żółwiami, wędrować bez końca wąskimi, brukowanymi uliczkami. Będziemy się śmiać, rozmawiać, wymieniać zwierzenia. Zrobimy to wszystko tylko we dwie.

Razem.

A jednocześnie cichy głos podpowiadał, że realizacja tych wspaniałych planów będzie musiała ulec odroczeniu. Bo najpierw odbędzie się proces. A ta sprawa z pewnością trafi na wokandę Alex.

I znajdzie się tam już niedługo, ponieważ każdy będzie dążył do jak najszybszego osądzenia sprawcy. Przez najbliższe osiem miesięcy to Alex sprawowała władzę sędziowską nad hrabstwem Grafton. Jej córka, Josie, była, co prawda, na miejscu przestępstwa, ale nie padła ofiarą napastnika. Gdyby odniosła rany postrzałowe, Alex automatycznie zostałaby wyłączona z postępowania ze względu na konflikt interesów. Ale w zaistniałej sytuacji żadne aspekty prawne nie eliminowały jej z przewodniczenia sesji. Musiała jedynie zapanować nad emocjami – pamiętać, że nie znalazła się na sali rozpraw jako matka uczennicy szkoły średniej, ale jako przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości. To będzie pierwsza wielka rozprawa w sądzie wyższej instancji, która zapewne ustali jej pozycję i nada ton całej dalszej karierze jako sędzi.

W tej chwili jednak nie to było dla niej priorytetem.

Nagle Josie się poruszyła i Alex z ulgą spostrzegła, że córka powoli się wynurza z mroków nieświadomości.

– Gdzie ja jestem?

Alex powoli przeczesła parę razy włosy córki palcami.

– W szpitalu.

– Dlaczego?

Ręka Alex znieruchomiła.

– Czy pamiętasz coś z wydarzeń dzisiejszego dnia?

– Matt przyszedł po mnie przed szkołą – odparła Josie, po czym gwałtownie usiadła. – Czy mieliśmy wypadek samochodowy?

Alex nie wiedziała, co odpowiedzieć. Może Josie, dla własnego dobra, nie powinna na razie poznać prawdy? Może jej umysł wyparł wspomnienia, by się bronić przed straszną traumą, wywołaną Bóg wie jak makabrycznymi scenami, których była świadkiem?

– Nic ci nie jest, kochanie – zapewniła Alex. – Nie doznałaś żadnych obrażeń.

Na twarzy Josie pojawił się wyraz ulgi.

– A co z Mattem? – spytała po chwili, spoglądając na matkę.

Lewis miał załatwić adwokata. Lacy kurczowo uczepliła się tej myśli, gdy skulona siedziała na łóżku i kiwając się machinalnie w przód i w tył, czekała na powrót męża do domu.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił Lewis, natomiast Lacy nie mogła pojąć, jakim cudem przeszła mu przez gardło tak zwodnicza obietnica. – To bez wątplenia jedna wielka pomyłka – zawyrokował.

Ale on nie był tego dnia pod szkołą. Nie widział twarzy tych wszystkich uczniów – dzieciaków, które już nigdy więcej nie będą bez troskimi nastolatkami.

Lacy bardzo chciała uwierzyć Lewisowi – nabrać przekonania, że to, co dziś zostało zdruzgotane, uda się jeszcze odbudować. A jednocześnie z zakamarków jej pamięci wypętało pewne wspomnienie: wspomnienie Lewisa budzącego Petera o czwartej rano, zabierającego chłopca na wyprawę myśliwską. To Lewis nauczył ich syna obchodzić się z bronią, bo nie przyszło mu do głowy, że pewnego dnia Peter może zapolować na bardzo nietypową zwierzynę. W oczach Lacy myślistwo było sportem i jednocześnie wymuszonym przez ewolucję atawizmem, więc nauczyła się przyrządzać doskonałą potrawkę oraz teriyaki z dziczyzny i ze smakiem jada wszelkie rodzaje mięs, jakie się zjawiały na stole za sprawą hobby Lewisa. Teraz jednak zaczęła za dzisiejsze wydarzenia obwiniać męża i jego pasję, ponieważ nie mogła znieść myśli, że to ona gdzieś po drodze popełniła straszliwy błąd.

Jak można co tydzień zmieniać dziecku pościel, codziennie szykować mu śniadanie, regularnie wozić je do ortodonta, a jednocześnie nic o nim nie wiedzieć? Ilekroć Peter zbywał jej pytania monosylabami, uznawała, że to typowe zachowanie dla chłopców w jego wieku – doświadczenie, przez które przechodzą wszystkie matki nastolatków. Teraz przeczesywała pamięć w poszukiwaniu groźnych sygnałów: jakiejś rozmowy, której podtekst jej umknął, jakiegoś drobnego incydentu, który nieopatrzenie zlekceważyła, ale wszystko, czego się doszukała, to codzienna, banalna rutyna.

Tysiące zwyczajnych epizodów, których część matek ze Sterling już

nigdy nie przeżyje wraz ze swoimi dziećmi.

Do oczu Lacy napłynęły łzy, natychmiast jednak otarła je wierzchem dłoni. Nie zawracaj sobie głowy innymi, skarciła się w duchu. Teraz musisz się martwić tylko o siebie.

Czy Peter w tej chwili myślał podobnie?

Po raz kolejny tego dnia weszła do pogrążonego w mroku pokoju syna. Zobaczyła starannie zasłane łóżko – dzieło jej własnych rąk – ale tym razem dostrzegła także plakat zespołu muzycznego o nazwie Death Wish i zaczęła się zastanawiać, jakim trzeba być chłopcem, żeby powiesić na ścianie coś podobnego. Otworzyła szafę i ujrzała rząd pustych butelek, zwoje taśmy izolacyjnej, podarte kawałki szmat oraz jeszcze kilka innych budzących grozę przedmiotów, na które nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi.

Nagle się zatrzymała w pół gestu. Przecież sama może się uporać z tym problemem. Pobiegnęła na dół do kuchni i z dużej rolki oderwała trzy czarne, studwudziestopięciolitrowe worki na śmieci. Pędem wróciła do pokoju syna i dopadła do szafy. Kłęby sznurowadeł, torebki z cukrem, opakowania azotanu potasowego sprzedawanego jako nawóz oraz – wielki Boże, czy to doprawdy rury?! – powędrowały do pierwszego worka. Nie miała pojęcia, co dokładnie z tym wszystkim zrobi, wiedziała jedynie, że jak najszybciej musi się pozbyć tych rzeczy z domu.

Kiedy w holu rozległ się dźwięk dzwonka, Lacy odetchnęła z ulgą, przekonana, że to Lewis wreszcie wraca do domu. Gdyby pomyślała logicznie, zapewne dotarłoby do niej, że Lewis po prostu otworzyłby sobie drzwi własnym kluczem. Ale była tak roztrzęsiona, że po prostu porzuciła worek na środku pokoju, zeszła na dół i... ujrzała w progu policjanta z cienką niebieską teczką na dokumenty w ręku.

– Pani Houghton? – zapytał.

Czego mogą jeszcze od niej chcieć? Przecież już mają jej syna.

– Oto nakaz przeszukania.

Wręczył jej stosowne papiery, po czym wepchnął się do środka, a za nim pięciu innych funkcjonariuszy.

– Jackson i Walhorne, idźcie do pokoju chłopca. Rodriguez – do piwnicy. Tewes i Gilchrist, zacznijcie od parteru. I żeby żaden z was nie zapomniał o automatycznych sekretarkach czy sprzęcie komputerowym... – Przeniósł wzrok na Lacy, która zastygła w miejscu jak skamieniała. – Pani Houghton, musi pani opuścić dom.

Odprowadził odrętwiałą kobietę do jej własnego holu wejściowego. Gdy maszerowała za nim postusznie, myślała tylko o jednym: Jak zareagują policjanci, kiedy w pokoju Petera znajdą zapakowany worek na śmieci? Czy oskarżą Petera o próbę ukrycia dowodów? A może jej postawią zarzuty?

Poczuła na policzkach powiew zimnego powietrza, płynący od otwartych drzwi.

– Na jak długo?

Policjant wzruszył ramionami.

– Dopóki nie skończymy – odparł i pozostawił ją samotną na chłodzie.

Jordan McAfee był adwokatem od niemal dwudziestu lat i szczerze wierzył, że widział lub słyszał w życiu już wszystko – aż do tej chwili, gdy wraz z żoną, Seleną, stanął przed telewizorem i ujrzał relację CNN ze strzelaniny w Sterling High.

– Zupełnie jak w Columbine – zauważyła Selena. – I to na naszym własnym podwórku.

– Tyle że w odróżnieniu od Columbine na naszym własnym podwórku pozostał przy życiu ktoś, kogo można o to wszystko oskarżyć – mruknął Jordan. Zerknął na niemowlę, które żona trzymała w ramionach – niebieskooką, jasnoczekoladową mieszankę jego patrycjuszowskich, anglosaskich genów oraz hebanowej skóry Seleny i jej długich, wysmukłych kończyn – po czym chwycił za pilota i wyłączył dźwięk, jakby się bał, że synek podświadomie zarejestruje płynące z odbiornika opisy makabry.

Jordan znał miejscowe liceum. Znajdowało się przy tej samej ulicy

co zakład fryzjerski, w którym się strzygł, i zaledwie dwie przecznice od budynku banku, gdzie wynajmował pomieszczenia na swoją kancelarię. Zdarzyło mu się również reprezentować przed sądem kilku uczniów Sterling High, zgarniętych za marihuanę znaną w ich schowkach samochodowych lub za picie alkoholu w barach kampusu uniwersyteckiego. Selena, która była nie tylko jego żoną, ale i prywatnym detektywem, wpadała niekiedy do liceum, żeby pogadać z dziećmi na temat prowadzonych przez niego spraw.

Mieszkali tutaj od niedawna. Syn Jordana, Thomas – jedyna dobra rzecz, jaka wyniknęła z jego pierwszego, katastrofalnego małżeństwa – zdał maturę w Salem Falls i rozpoczął studia na Yale, co kosztowało Jordana czterdzieści tysięcy rocznie. Wszystko, co otrzymał w zamian założenie tej ciężkiej forsy, to oświadczenie Thomasa, że po dwóch latach nauki właśnie zawęził wybór przyszłej kariery do trzech profesji: artysty performance, historyka sztuki lub zawodowego klauna.

Jeszcze przed maturą syna Jordan poprosił Selenę o rękę, a kiedy zaszła w ciążę, przeprowadzili się do Sterling, ponieważ tutejsze szkoły szczyły się bardzo dobrą renomą.

Cóż za ironia losu.

Ciszę, która nagle zapanowała w pokoju, przerwał dzwonek telefonu. Jordan – który nie miał ochoty oglądać relacji ze strzelaniny, a jednocześnie nie mógł oderwać od ekranu wzroku – nie zareagował w żaden sposób, więc Selena wcisnęła mu dziecko w ramiona i sama odebrała telefon.

– O, cześć – rzuciła po chwili. – Jak leci?

Jordan spojrzał na żonę pytającym wzrokiem.

Thomas, poruszyła bezgłośnie ustami, po czym powiedziała:

– Tak, czekaj, jest obok mnie.

Jordan przejął od żony słuchawkę.

– Co, do diabła, się u was dzieje? – zapytał na dzień dobry. – Na MSNBC.com nie pokazują nic poza Sterling High.

– Wiem tyle samo co ty – odparł Jordan. – Istne pandemonium.

– Znam kilkoro dzieciaków z tej szkoły. Przyjeżdżali do nas na

zawody lekkoatletyczne. To wszystko jest... to po prostu nierealne.

Z oddali wciąż dobiegało Jordana wycie karettek.

– Jak najbardziej realne, niestety. – W tej samej chwili w słuchawce rozległo się ciche piknięcie: znak, że na linii czeka inny rozmówca. – Poczekaj chwilę, muszę sprawdzić, kto to taki.

– Czy pan McAfee?

– Tak...

– Ja... hm... o ile mi wiadomo, jest pan adwokatem. Otrzymałem numer pańskiego telefonu od Stuarta McBride'a ze Sterling College...

Na ekranie telewizora pojawiła się lista zabitych, a obok ich zdjęcia z albumu szkolnego.

– Przepraszam – odezwał się Jordan – ale mam rozmowę na drugiej linii. Jeżeli zechciałby pan podać swoje nazwisko i numer telefonu, to wkrótce oddzwonię.

– Chciałem zapytać, czy nie zgodziłby się pan reprezentować mojego syna – odparł na to mężczyzna. – Chodzi o chłopca, który... ucznia liceum, który... – Głos mu zadrżał, by po chwili całkiem się załamać. – Podobno to mój syn dopuścił się tych czynów.

Jordanowi stanął przed oczami proces, w którym kiedyś bronił nastolatka. Jak i w tym wypadku, Chris Harte został przyłapany z dymiącym pistoletem w dłoni.

– Czy pan... czy zechciałby pan się podjąć jego obrony?

Jordan natychmiast zapomniał o czekającym Thomasie. Zapomniał o sprawie Chrisa Harte'a i o tym, jak niewiele brakowało, by przez ową sprawę jego własne życie rozleciało się na kawałki. Zawiesił wzrok na Selenie i trzymanym przez nią w ramionach maleńkim Samie, który teraz za wszelką cenę usiłował chwycić w rękę kolczyk matki. Chłopak, który tego ranka wszedł do Sterling High i dokonał masakry, był również czyimś synem. I bez względu na odczucia społeczności, która jeszcze długo się nie pozbiera po tym ciosie, oraz szaleństwo medialne, które już przekroczyło poziom dopuszczalnego wysycenia – zasługiwał na uczciwy proces.

– Owszem – odparł. – Zechciałbym.

Po tym, jak saperzy w końcu rozbroili bombę z samochodu Petera Houghtona, jak zebrano sto szesnastu łusek, rozrzuconych po całym terenie szkoły, a specjaliści od rekonstrukcji miejsc przestępstwa rozpoczęli pomiary potrzebne do sporządzenia wyskalowanych diagramów, ukazujących położenie dowodów rzeczowych oraz ciał ofiar; po tym, gdy technicy wykonali setki zdjęć, z których utworzą opatrzoną rozlicznymi indeksami dokumentację fotograficzną, Patrick zwołał całą ekipę dochodzeniową do szkolnej auli, pogrążonej w gęstym mroku.

– W toku tego śledztwa będziemy musieli przeanalizować przytłaczającą masę danych – oznajmił zebranych pod mównicą współpracownikom. – Pojawia się również naciski ze wszystkich stron, żeby postępowanie zakończyć szybko, a jednocześnie przeprowadzić je jak najstaranniej, wedle wszelkich podręcznikowych reguł. W związku z tym spotkamy się tutaj za dwadzieścia cztery godziny, żebyśmy się mogli zorientować, z czym dokładnie mamy do czynienia.

Ludzie ruszyli w stronę wyjścia. Po następnym spotkaniu Patrick będzie już dysponował fotoalbumami oraz listami zgromadzonych dowodów z zaznaczeniem, które z nich przekazano do analizy laboratoryjnej. Po upływie doby przysypie go lawina, spod której trudno się będzie wydostać.

Podczas gdy część ekipy rozeszła się po różnych zakątkach budynku, by na nowo podjąć pracę, która zajmie im całą noc i cały następny dzień, Patrick wyszedł na zewnątrz i ruszył w stronę swojego samochodu. Szczęśliwie przestało już padać. Pierwotnie zamierzał wrócić na posterunek i obejrzeć dowody zabrane z domu Houghtonów. Chętnie też porozmawiałby z rodzicami Petera, jeżeli tylko wyraziliby gotowość do rozmowy. Ale po chwili złapał się na tym, że jedzie ulicą prowadzącą do Centrum Medycznego. Zostawił wóz na parkingu, po czym wszedł na izbę przyjęć i błysnął odznaką przed oczami dyżurnej pielęgniarki.

– Zdaję sobie sprawę, że przywieźli wam dzisiaj masę dzieciaków. Ale jedną z pierwszych była dziewczyna imieniem Josie. Chciałbym ją

odnaleźć.

Palce pielęgniarki zatańczyły na klawiaturze komputera.

– Josie... a jak dalej?

– Rzecz w tym, że nie wiem – przyznał Patrick.

Na monitorze wyświetlił się gąszcz informacji, ale już po chwili dyżurna triumfalnie postukała palcem w ekran.

– Cormier. Czwarte piętro. Pokój czterysta dwadzieścia dwa.

Patrick podziękował i wszedł do windy. Cormier. Nazwisko brzmiało znajomo, mimo to nie umiał go powiązać z żadną twarzą. Ale ostatecznie było dość często spotykane: być może widział je w jakiejś gazecie lub usłyszał w telewizorze.

Kiedy się znalazł na czwartym piętrze, przemknął obok stanowiska pielęgniarek i ruszył wzdłuż korytarza. Drzwi pokoju Josie były lekko uchylone. Dziewczyna, spowita w cień, siedziała na łóżku i mówiła coś do stojącej obok postaci.

Patrick zapukał cicho i wszedł do środka. Josie zawiesiła na nim zdumione spojrzenie i wówczas czuwająca przy niej kobieta odwróciła twarz.

A! Cormier. Jak „sędzia Cormier”. Patrick zeznawał przed nią kilka razy, zanim awansowała do sądu wyższej instancji; była też ostatnią osobą, do której w razie potrzeby zwracał się o nakaz aresztowania – ostatecznie rozpoczynała karierę w biurze obrońców z urzędu, więc jeżeli nawet teraz była najsprawiedliwszą wśród sprawiedliwych, to nie należało zapominać, że swego czasu grała w przeciwnej drużynie.

– Pani sędzio – odezwał się na powitanie. – Nie wiedziałem, że Josie jest pani córką. – Podszedł bliżej do łóżka. – Jak się czujesz, skarbie?

Josie wciąż patrzyła na niego ze zdumieniem.

– Czy my się znamy?

– To ja cię wyniosłem z... – zaczął, ale w tej samej chwili sędzia Cormier chwyciła go za ramię i szybko odciągnęła w kąt pokoju, poza zasięg słuchu Josie.

– Ona nic nie pamięta – wyszeptwała. – Z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu uważa, że chodzi o wypadek samochodowy...

a ja... ja nie mogłam się zdobyć na wyznanie jej prawdy.

Patrick świetnie to rozumiał. Nikt nie chce być osobą, która obraca wniwecz świat kogoś, kogo bardzo kocha.

– Czy chce pani, żebym ja to zrobił?

Po chwili wahania sędzia kiwnęła głową i Patrick podszedł do Josie.

– No więc, jak się czujesz?

– Boli mnie głowa. Lekarze twierdzą, że mam lekkie wstrząśnienie mózgu, i chcą mnie tu zatrzymać na noc. – Podniosła na niego wzrok. – Chyba powinnam podziękować panu za uratowanie życia. – Przez jej twarz przebiegł cień. – A może pan wie, co się dzieje z Mattem? Tym chłopakiem, który jechał razem ze mną?

Patrick przysiadł na skraju łóżka.

– Josie – odezwał się miękkim głosem. – Nie uległaś wypadkowi samochodowemu. W twojej szkole doszło do pewnego incydentu – jeden z uczniów przyszedł z bronią i strzelał do kolegów.

Josie tylko potrząsała przecząco głową; nie przyjmowała dochodzących do niej słów.

– Matt padł jego ofiarą.

W oczach dziewczyny pojawiły się łzy.

– Ale wyjdzie z tego?

Patrick spuścił wzrok na miękkie fałdy kraciatedego koca.

– Przykro mi.

– Nie – jęknęła Josie. – Nie! Pan kłamie! – Rzuciła się na Patricka z pięściami, bijąc go na oślep po piersi i twarzy.

Sędzia podbiegła do córki, próbowała ją powstrzymać, ale dziewczyna nie dała się okiełznać: krzyczała, płakała, drapała, co w końcu zwróciło uwagę dyżurujących na oddziale pielęgniarek. Dwie z nich wpadły do pokoju, wyprosiły z niego Patricka i sędziego Cormier, po czym podały szalejącej dziewczynie środki uspokajające.

Na korytarzu Patrick oparł się o ścianę i zacisnął powieki. Jezu Chryste! Czy przez coś podobnego będzie musiał przechodzić podczas rozmowy z każdym ze świadków? Już miał się zwrócić do sędzi i przeprosić za to, że zdenerwował jej córkę, ale w tej samej chwili ona

napadła na niego niemal równie gwałtownie jak Josie.

– Co, u diabła, strzeliło panu do głowy?! Jak pan mógł jej powiedzieć o Matcie?!

– Przecież sama mnie pani o to prosiła – zjeżył się Patrick.

– Prosiłam, żeby pan jej powiedział o wydarzeniach w szkole – sprecyzowała. – A nie, że jej chłopak stracił życie!

– Dobrze pani wie, że Josie musiałaby się o tym dowiedzieć wcześniej czy...

– ...później – weszła mu w słowo. – Dużo, dużo później.

W drzwiach pokoju pojawiły się pielęgniarki.

– Już zasnęła – oznajmiła jedna z nich. – Będziemy do niej zaglądać.

Patrick i Alex milczeli do czasu, aż siostry znalazły się poza zasięgiem ich głosu.

– Proszę posłuchać – podjął Patrick sucho. – Dzisiaj widziałem dzieciaki z ranami postrzałowymi głowy, dzieciaki, które już nigdy w życiu nie staną na własnych nogach, dzieciaki, które zginęły, ponieważ się znalazły w nieodpowiednim czasie w niewłaściwym miejscu. Pani córka... jest w stanie szoku... należy jednak do grupy tych, którzy mieli wielkie szczęście.

Jego słowa otrzeźwiły Alex jak siarczysty policzek. W jednej chwili opuściła ją furia. Jej szare oczy pociemniały od obrazów przerażających scenariuszy, które szczęśliwie się nie rozegrały, i wywołane tą świadomością uczucie ulgi złagodziło linię jej ust. A potem nagle, zupełnie nieoczekiwanie, twarz sędzi przekształciła się w gładką maskę obojętności.

– Przepraszam – powiedziała. – Zazwyczaj się tak nie zachowuję. To był po prostu... to był wyjątkowo wyczerpujący dzień.

Patrick pilnie się wpatrywał w tę kobietę, nie zdołał jednak dostrzec w jej rysach ani śladu emocji, nad którymi jeszcze chwilę temu nie była w stanie zapanować. Nieprzenikalna. Oto jaka się stała.

– Zdaję sobie sprawę, że pan próbował jedynie jak najlepiej wywiązać się ze swoich obowiązków.

– Chciałbym, oczywiście, porozmawiać z Josie... ale nie dlatego się

tutaj zjawiłem. Przyszedłem, ponieważ ona była pierwsza... cóż, po prostu musiałem się przekonać, że nic jej już nie grozi.

Obdarzył sędzię Cormier nieznacznym uśmiechem z rodzaju tych, które potrafią złamać serce każdej kobiecie.

– Proszę na nią uważać – rzucił, po czym się odwrócił i ruszył przed siebie korytarzem, czując wzrok sędzi na plecach tak wyraźnie, jakby był dotykiem dłoni.

Dwanaście lat wcześniej

W dniu, w którym miał rozpocząć naukę w przedszkolu, Peter Houghton obudził się o 4:32 rano, po czym poczłapał do pokoju rodziców i zaczął się dopytywać, czy aby na pewno nie nadszedł już czas odjazdu szkolnego autobusu.

Odkąd Peter sięgał pamięcią, przyglądał się swojemu bratu, Joeyemu, jak wsiada do tego autobusu, który miał w sobie coś z magicznego pojazdu: promienie słońca tańczyły na jego żółtym, tępo ściętym nosie; osadzone na długich zawiasach drzwi rozwierały się niczym paszcza smoka, a ilekroć autobus się zatrzymywał lub ruszał z miejsca, wydawał z siebie świszczące, dramatyczne westchnienie. Peter miał samochodzik matchboksa, wyglądający zupełnie tak samo jak cudowny wehikuł, którym Joey jeździł dwa razy dziennie – i którym Peter teraz także zacznie podróżować.

Rodzice kazali mu wracać do łóżka i pospać spokojnie do rana, ale Peter nie był w stanie zmrzyć oka. Włożył więc na siebie odświętne ubranie, które mama mu kupiła specjalnie na pierwszy dzień w przedszkolu, po czym położył się na łóżku i niespokojnie odliczał upływające godziny. Pierwszy się zjawił w kuchni na śniadaniu, na które mama usmażyła naleśniki z kawałkami czekolady – jego ulubione. Pocałowała go w policzek i zrobiła mu zdjęcie, gdy siedział przy kuchennym stole, a potem jeszcze jedno, jak już miał na sobie kurtkę i całkiem pusty plecak, przypominający skorupę żółwia.

– Nie mogę uwierzyć, że moje maleństwo wyfruwa z domu – powiedziała.

Joey, który w tym roku rozpoczynał naukę w drugiej klasie, powiedział Peterowi, żeby się przestał zachowywać jak głupek.

– Przecież to tylko przedszkole – prychnął. – Żadne wielkie halo.

Mama pomogła Peterowi zapiąć guziki kurtki.

– Dla ciebie to też było kiedyś wielkie halo – przypomniała.

A potem powiedziała Peterowi, że przygotowała dla niego niespodziankę. Poszła do kuchni, a kiedy wróciła, miała w ręku pudełko na lunch z Supermanem na wieczku. Superman wyciągał przed siebie ramię, jakby chciał się przebić przez metal pudełka, a cała jego postać była trochę wypukła, niczym litery w książkach dla niewidomych. Peter bardzo się ucieszył z prezentu – pomyślał, że nawet jeżeli z jakiegoś powodu nie będzie nic wokół widział, zdoła wyczuć swoje pudełko palcami. Wziął je z rąk mamy i mocno ją uściskał. Usłyszał, jak w środku głucho turla się owoc, jak szeleści woskowany papier śniadaniowy, i wyobraził sobie, że we wnętrzu jego pudełka tkwią jakieś tajemne organy.

Wreszcie wyszli z domu, stanęli na końcu ulicy i wówczas, tak jak w marzeniach Petera, na szczycie wzniesienia ukazał się żółty autobus.

– Jeszcze jedno! – wykrzyknęła mama i pstryknęła Peterowi kolejne zdjęcie na tle autobusu stojącego z dychawicznym jękiem. – Joey, opiekuj się bratem – przykazała i ucałowała Petera w czoło. – Mój duży chłopiec – westchnęła i zacisnęła usta tak samo mocno jak wtedy, gdy chciało jej się płakać.

Tymczasem Peter poczuł, że nagle żołądek zamienia mu się w bryłę lodu. A co się stanie, jeżeli w przedszkolu nie będzie tak super, jak sobie wyobrażał? Jeżeli pani będzie przypominała z wyglądu tę czarownicę z programu telewizyjnego, która czasami prześladowała go w snach? Co będzie, jak zapomni, w którą stronę są odwrócone kreseczki w literze E i wszyscy się zaczną z niego nabijać?

Pełen obaw i wahań wspiął się po schodach autobusu. Kierowca miał na sobie wojskową kurtkę i brakowało mu dwóch przednich

zębów.

– Z tyłu są wolne miejsca – oznajmił, i Peter ruszył przed siebie, szukając wzrokiem Joeya.

Brat siedział obok jakiegoś chłopca, którego on nigdy przedtem nie widział. Chłopiec spojrzał spod oka na Petera, ale nie odezwał się ani słowem.

– Peter!

Odwrócił się i zobaczył Josie poklepującą sąsiednie siedzenie. Ciemne włosy miała zebrane w kitki i była ubrana w spódniczkę, mimo że nie cierpiała spódnic.

– Trzymałam to miejsce dla ciebie – oznajmiła.

Peter od razu poczuł się dużo lepiej. A więc wreszcie jechał szkolnym autobusem! A na dodatek siedział u boku swojej najlepszej na całym świecie przyjaciółki.

– Masz superpudełko na lunch – pochwaliła Josie.

Podniósł je wyżej, żeby pokazać, jak Superman się porusza, gdy lekko pokręcić pudełkiem, i wówczas, poprzez przejście, w stronę Petera wyciągnęła się jakaś ręka. Chłopak o ramionach długich jak u małpy, w baseballówce włożonej tyłem do przodu, wyszarpnął mu pudełko z dłoni.

– Co, frajerze, chcesz zobaczyć, jak twój Superman fruwa?

Zanim Peter się zorientował w zamiarach starszego chłopaka, ten otworzył okno i wyrzucił pudełko na ulicę. Peter poderwał się z miejsca, żeby poszukać tylnych, ewakuacyjnych drzwi, i wówczas ujrzał, jak pudełko uderza o asfalt. Wypadło z niego jabłko, przetoczyło się na drugą stronę żółtej przerywanej linii i zniknęło pod kołami nadjeżdżającego samochodu.

– Siadaj na tyłku! – wrzasnął kierowca.

Peter skulił się na swoim miejscu. Twarz miał lodowatą, za to uszy płonęły mu żywym ogniem. Słyszał tego starszego chłopaka i jego kolegów zarykujących się ze śmiechu – a ich śmiech był tak głośny, że aż dudnił mu w głowie. I wówczas poczuł, jak Josie bierze go za rękę.

– Mam kanapki z masłem orzechowym – szepnęła. – Podzielę się z

tobą.

Alex siedziała w salce konferencyjnej więzienia naprzeciwko swojego najnowszego klienta, Linusa Frooma. Tego samego ranka, o czwartej rano, Linus ubrał się na czarno, naciągnął na twarz kominiarkę, po czym – terroryzując bronią personel – okradł całodobową stację benzynową w Irving. Policjanci wezwani na miejsce zdarzenia znaleźli na podłodze telefon komórkowy, który się rozdzwonił, zanim jeszcze detektyw sporządzający raport z przebiegu wypadków zdążył wstać od biurka.

– Hej, koleś – odezwał się dzwoniący – to moja komórka. Znalazłeś ją?

Detektyw przytaknął, po czym zapytał, gdzie telefon został zgubiony.

– Na stacji benzynowej w Irving, chłopie. Byłem tam jakieś pół godziny temu.

Policjant zaproponował spotkanie u zbiegu dróg stanowych numer 10 i 25A.

Linus, naturalnie, stawiał się w wyznaczonym miejscu i w rezultacie wylądował za kratkami.

Alex spojrzała na swojego klienta. Jej córka właśnie w tej chwili popijała ciasteczka sokiem owocowym, słuchała bajki albo miała zajęcia z zaawansowanego kolorowania obrazków bądź też innego równie frapującego przedszkolnego przedmiotu, a tymczasem ona tkwiła w ciasnej salce konferencyjnej więzienia stanowego, naprzeciwko kryminalisty, który był tak dumny, że nawet się nie nadawał na bandytę.

– Tutaj napisano – zerknęła na policyjny raport – że doszło do obrazy słownej funkcjonariusza, gdy detektyw Chisholm przedstawiał ci twoje prawa.

Linus spojrzał Alex w oczy. Był tak naprawdę dzieciakiem – skończył zaledwie dziewiętnaście lat, miał trądzik i brwi zrosnięte w grubą krechę.

– Bo mnie wziął za zasranego debila.

– A co, mianowicie, ci powiedział?

– Zapytał, czy umiem czytać.

Wszyscy policjanci zadawali to pytanie; takie były wymogi, ponieważ podejrzany podpisywał formularz, na którym wydrukowano przysługujące mu prawa.

– A ty ponoć odpowiedziałeś: „Masz mnie za jakiegoś przygłupa, pojebie?”.

Linus wzruszył ramionami.

– A co niby miałem odpowiedzieć?

Alex mocno ścisnęła palcami nasadę nosa. Jej praca w biurze obrońców z urzędu układała się w jedno wyczerpujące pasmo podobnych epizodów. Traciła mnóstwo czasu i energii na obronę kogoś, kto – za tydzień, za miesiąc czy najdalej za rok – ponownie wylądował na tym samym miejscu, za tym samym stołem o pokierszowanym blacie. Cóż jednak innego mogłaby robić ze swoim wykształceniem? Ostatecznie sama się zdecydowała wejść do tego świata.

Zabrzączał jej pager. Zerknęła na numer, który się ukazał na wyświetlaczu, po czym przeniosła wzrok na klienta.

– Linus, będziesz musiał pójść na ugodę z prokuratorem.

Zostawiła chłopaka w rękach strażnika, a sama wśliznęła się do biura i poprosiła o możliwość skorzystania z telefonu.

– Dzięki Bogu – powiedziała, gdy jej rozmówca podniósł słuchawkę.

– Gdyby nie ty, wyskoczyłabym przez okno z pierwszego piętra więzienia.

– Najwyraźniej zapomniałaś, że mają tam kraty – odparł Whit Hobart ze śmiechem. – Zresztą zawsze twierdziłem, że zainstalowano je nie po to, żeby zatrzymać w środku osadzonych, lecz nie dopuścić do ucieczki obrońców z urzędu, gdy uświadomią sobie, jak beznadziejnie się przedstawia czekająca ich sprawa.

Whit przyjmował Alex do pracy, przez lata był jej przełożonym, ale dziewięć miesięcy temu przeszedł na emeryturę. Sam w sobie był chodzącą legendą, a dla Alex stał się takim ojcem, jakiego nigdy nie miała – w odróżnieniu od rodzonego, zawsze ją chwalił, nigdy nie krytykował. Wiele by dała, żeby w tej chwili Whit był w pobliżu, a nie w

jakimś nadmorskim miasteczku, rajy dla zapalonych golfistów. Wówczas zabrałby ją na lunch i uraczył rozlicznymi dykteryjkami, dobitnie dowodzącymi, że każdy obrońca z urzędu ma niekiedy do czynienia z klientami takimi jak Linus. Po czym pozostawiłby ją z rachunkiem do zapłacenia i bateriami doładowanymi na tyle, że z nową energią ruszyłaby do boju.

– Co robisz o tej porze na nogach? – spytała. – Zachciało ci się porannej herbatki?

– Nie. Ten cholerny ogrodnik zrobił mi pobudkę dmuchawą do zeschniętych liści. Jak wiele mnie omija?

– Nic. Tyle że biuro już nie jest takie samo bez ciebie. Brakuje w nim... pozytywnych wibracji.

– Wibracji?! Mam nadzieję, Al, że się nie przyłączyłaś do któregoś z tych ruchów New Age i nie zaczęłaś wróżyć z kryształów?

Alex uśmiechnęła się szeroko.

– W żadnym razie...

– To dobrze. Bo dzwonię w bardzo określonym celu. Znalazłem dla ciebie pracę.

– Ja już mam pracę, zapomniałeś? I tyle obowiązków, że starczyłoby na dwie posady.

– Słuchaj, trzy sądy dystryktowe w twojej okolicy poszukują sędziów. Widziałem ogłoszenia w „Biuletynie Prawnym”. Uważam, że powinnaś zgłosić swoją kandydaturę, Alex.

– Na stanowisko sędziego? – Wybuchnęła śmiechem. – Whit, co ostatnio zaczęłaś palić?

– Byłabyś dobra w tym fachu, Al. Potrafisz szybko podejmować trafne decyzje. Jesteś opanowana i zrównoważona. Nie pozwalasz, żeby emocje wpływały na twoją pracę. Jako obrońca poznałaś wagę ugody stron. Poza tym od zawsze byłaś świetnym prawnikiem procesowym. No i... – dorzucił po chwili wahania – ...nieczęsto się zdarza, żeby gubernatorem New Hampshire, rozdzielającym nominacje sędziowskie, była kobieta, w dodatku demokratka.

– Jestem wzruszona twoją wiarą w moje kompetencje, ale w żadnym

razie nie nadaję się na sędzie.

Doskonale zdawała sobie z tego sprawę – ostatecznie jej ojciec był sędzią wyższej instancji. Alex pamiętała, jak się kręciła w jego obrotowym fotelu, liczyła spinacze w pojemniku i wyrzynała paznokciem misterną kratkę na powierzchni nieskazitelnej podkładki, leżącej na biurku. Jak podnosiła słuchawkę i przemawiała w rytm jednostajnego sygnału. Jak kreowała nową rzeczywistość. A potem nieuchronnie pojawiał się ojciec i ganił ją za przesunięcie idealnie prosto odłożonego ołówka, jakichś akt czy – nie daj Boże – marnowanie jego ojcowskiego czasu.

Pager u jej paska znowu zaczął brzęczeć.

– Przepraszam cię, ale muszę lecieć do sądu. Może w przyszłym tygodniu spotkamy się na lunchu?

– Czas pracy sędziów jest normowany – dorzucił Whit. – O której Josie wraca ze szkoły do domu?

– Posłuchaj...

– Przemyśl to dobrze – powiedział, po czym się rozłączył.

– Peter – mama Petera westchnęła głęboko – jak mogłeś ZNOWU je zgubić?

Obeszła dookoła ojca, który właśnie nalewał sobie kawę, i zanurkowała w ciemnych odmętach spiżarki, skąd wyłowiła brązową papierową torebkę śniadaniową.

Peter nienawidził tych toreb. Nigdy nie udawało się w nich zmieścić całego banana, a kanapka ZAWSZE się rozgniatała. Nic jednak nie mógł na to poradzić.

– Co takiego zgubił? – zainteresował się ojciec.

– Pudełko na lunch. Już trzeci raz w tym miesiącu. – Matka zaczęła pakować brązową torebkę: kartonik z sokiem i owoc powędrowały na spód, kanapka na wierzch. Mama zerknęła na Petera, który zamiast jeść śniadanie, przeprowadzał za pomocą noża wiwisekcję papierowej serwetki. Do tej pory zdołał w niej wykroić litery H i T. – Jeżeli będziesz

się tak grzebał, autobus odjedzie bez ciebie.

– Musisz się wreszcie nauczyć odpowiedzialności – dodał złowieszczo ojciec.

Peterowi jego słowa wydały się gęstą smugą dymu, która na moment zawisła nad kuchnią, po czym niespodziewanie rozwiała się bez śladu.

– Zlituj się, Lewis, on ma dopiero pięć lat.

– Nie przypominam sobie, żeby Joey w pierwszym miesiącu przedszkola trzykrotnie zgubił pudełko na lunch.

Peter niekiedy się przyglądał, jak ojciec i Joey grają przed domem w nogę. Ich stopy pracowały niczym oszalałe tłoki – w przód, w tył, w przód – jakby wykonywali skomplikowany taniec wokół piłki. Ale ilekroć sam się do nich przyłączał, gubił się w gąszczu własnej frustracji. Ostatnim razem przez pomyłkę sam sobie strzelił bramkę.

Idąc do drzwi, zerknął przez ramię na rodziców.

– Nie jestem Joeyem – oznajmił. I chociaż nikt nie odezwał się słowem, wyraźnie zadźwięczała mu w uszach odpowiedź: „To akurat wiemy”.

– Mecenas Cormier? – Przed biurkiem Alex stał jeden z jej uprzednich klientów, uśmiechnięty od ucha do ucha.

Potrzebowała chwili, żeby wywołać z pamięci jego nazwisko. Teddy McDougal lub McDonald – w każdym razie coś w tym rodzaju. Oskarżony o przemoc domową. Oboje z żoną nieźle popili, a potem skoczyli sobie do oczu. Alex doprowadziła do jego uniewinnienia.

– Przywiozłem coś dla pani – oznajmił.

– Mam nadzieję, że nie kupił pan dla mnie żadnego prezentu.

Nie była to ze strony Alex rytualna kokieteria. Ten człowiek pochodził z Północnej Krainy i był tak biedny, że zamiast podłogi miał w domu autentyczne klepisko, a żywił się jedynie tym, co upolował. Alex nie pochwałała myślistwa, ale rozumiała, że dla niektórych ludzi – takich jak Teddy – nie jest to rozrywka, lecz konieczność życiowa. I

dlatego też wyrok skazujący w jego wypadku miałby wyjątkowo katastrofalne konsekwencje: Teddy straciłby swoje sztucery.

– Nie kupiłem tego prezentu. Daję słowo. – Teddy uśmiechnął się jeszcze radośniej. – Mam go w swoim wozie. Chodźmy na dwór.

– Nie może pan przynieść go do biura?

– Nie. To absolutnie niemożliwe.

No, cudnie, pomyślała Alex. Co też on może mieć takiego w swoim pikapie, czego nie może zabrać pod pachę?

Kiedy wraz z Teddym zeszli na parking, zobaczyła na skrzyni jego furgonetki cielsko wielkiego, ubitego niedźwiedzia.

– Do pani zamrażarki.

– Teddy, to ogromna góra jedzenia. Wystarczyłoby ci na całą zimę.

– Cholerna racja. Jednak w pierwszej kolejności pomyślałem o pani.

– Bardzo ci dziękuję. Ale ja... hm... ja nie jadam mięsa. Grzechem byłoby je zmarnować. – Dotknęła jego ramienia. – Dlatego bardzo się ucieszę, jeżeli zatrzymasz wszystko dla siebie.

Teddy zerknął w niebo, zmrużył oczy przed słońcem.

– Wobec tego niech tak będzie – zgodził się. Skinął Alex głową, wskoczył za kierownicę pikapa i wyjechał z parkingu, podczas gdy ustrzelony niedźwiedź obijał się głucho o obrzeża skrzyni.

– Alex! – W drzwiach budynku stała jej sekretarka. – Właśnie dzwoniło z przedszkola twojej córki. Josie została wysłana na dywanik do dyrektorki.

Josie miała problemy w przedszkolu?!

– Za co? – z niedowierzaniem spytała Alex.

– Podobno stłukła na kwaśne jabłko jakiegoś chłopca.

Alex bez zastanowienia skierowała się w stronę własnego samochodu.

– Powiedz im, że już jadę.

W drodze do domu Alex raz po raz spoglądała na odbicie córki w lusterku wstecznym. Tego ranka Josie wyszła do przedszkola ubrana w

spodnie khaki i biały kardigan, teraz poznaczony smugami brudu. We włosach, których kosmyki powymykały się spod ściągającej je gumki, miała kawałki drobnych gałązek. W swetrze, na łokciu, widniała solidna dziura; z rozciętej wargi wciąż jeszcze się sączyła krew. Mimo to – co zdumiewające – Josie była w o niebo lepszym stanie niż chłopiec, z którym się pobijała.

– Idziemy – zarządziła Alex i poprowadziła córkę na piętro, do łazienki. Tam zdjęła z niej koszulę, obmyła zadrapania, posmarowała je antyseptyczną maścią i zakleiła plastrem. A potem usiadła naprzeciwko Josie na macie łazienkowej – włochatej jak skóra Ciasteczkowego Potwora.

– Pogadamy o tej sprawie?

Dolna warga Josie zaczęła drżeć, z oczu popłynęły łzy.

– Poszło o Petera. Drew cały czas go wyzywa i bije, więc chciałam, żeby dzisiaj było odwrotnie.

– Czy na placu zabaw nie ma żadnych nauczycieli?

– Są praktykantki.

– W takim razie powinnaś im zgłosić, że ktoś dokucza Peterowi. Bijąc Drew, zniżyłaś się do jego poziomu: zachowałaś się równie brzydko jak on.

– Poszliśmy z Peterem do praktykantek – oświadczyła Josie. – Powiedziały Drew i innym dzieciakom, żeby zostawiły Petera w spokoju, ale nikt ich nie posłuchał.

– Wobec tego postanowiłaś wziąć sprawy we własne ręce?

– Tak. I zrobiłam to dla Petera.

– Pomyśl jednak, do czego by doszło, gdybyś zawsze postępowała według swojego widzimisie? Na przykład uznała, że czyjaś kurtka bardziej ci się podoba niż twoja własna, i po prostu ją sobie wzięła?

– To byłaby kradzież – odparła rezolutnie Josie.

– No właśnie. Dlatego wszystkich nas obowiązują określone normy zachowania. I nie wolno ich łamać, nawet jeśli robią to inni. Jeżeli większość osób by się do tego posunęła, świat stałby się przerażającym miejscem. Miejscem, gdzie bezkarnie wolno kraść cudze ubrania i bić

inne dzieci na placach zabaw. Dlatego zamiast robić to, co najskuteczniejsze, często musimy się ograniczyć do tego, co najśluszniesze.

– A czym się różni jedno od drugiego?

– Najskuteczniejsze jest takie postępowanie, jakie, według nas, najszybciej przyniesie pożądane efekty. Najśluszniesze natomiast jest takie podejście do sprawy, które nie wynika jedynie z naszych zachcianek – ale w którym bierzemy pod uwagę także inne ważne elementy: kogo dotyczy spór, jakie wydarzenia doprowadziły do zaistniałych okoliczności i co w danej sytuacji nakazują reguły. – Alex zerknęła uważnie na córkę. – Dlaczego Peter sam nie pobił Drew?

– Bo się bał, że wpadnie w jeszcze większe tarapaty.

– Nic dodać, nic ująć, wysoki sędzie.

Na rzęsach Josie wciąż połyskiwały łzy.

– Jesteś na mnie zła?

– Jestem przede wszystkim zła na praktykantki z twojego przedszkola – odparła Alex po chwili wahania. – Jestem na nie zła dlatego, że nie zareagowały, gdy ktoś dokuczał Peterowi. I nie podoba mi się, że rozkwasiałaś swojemu koledze nos. Ale jestem dumna, że chciałaś bronić przyjaciela. – Pocałowała córkę w czoło. – A teraz biegnij i wciągnij na siebie coś, w czym nie ma dziur, moja Wonder Woman.

Josie poczłapała do swojego pokoju, Alex jednak nie ruszyła się z miejsca, ponieważ uderzyła ją nagła myśl: wymierzanie sprawiedliwości wymaga czujności i zaangażowania – tego, czego zabrakło tym praktykantkom w przedszkolu. Można być stanowczym, nie będąc jednocześnie autorytarnym; należy dogłębnie poznać określone prawem normy, a przed wydaniem werdyktu starannie rozważyć wszelkie dowody i racje obu stron.

Alex niespodziewanie uświadomiła sobie, że bycie dobrym sędzią niewiele się różni od bycia dobrą matką.

Powoli się podniosła z włochatego dywanika, zeszła na dół i sięgnęła po telefon. Whit odebrał po trzecim dzwonku.

– Okay – rzuciła w słuchawkę. – Powiedz mi, co muszę zrobić.

Krzeselko było zbyt małe dla Lacy, jej kolana w żadnym razie nie chciały się zmieścić pod ławką, a kolory na ścianach raziły oczy swoją jaskrawością. W dodatku siedząca naprzeciwko niej wychowawczyni Petera wydawała się absurdalnie młoda – Lacy zaczęła się nawet zastanawiać, czy ta kobieta może wypić lampkę wina, nie łamiąc przy tym prawa.

– Pani Houghton – podjęła nauczycielka – wiem, że takie wyjaśnienie nie będzie dla pani satysfakcjonujące, ale fakt pozostaje faktem: niektóre dzieci momentalnie stają się obiektem szykan. Koledzy wyczuwają ich słabości i bezwzględnie je wykorzystują.

– A jakie są słabości Petera?

Nauczycielka się uśmiechnęła.

– Ja naturalnie nie nazwałabym ich słabościami. Peter jest wrażliwy i delikatny. A co za tym idzie, zamiast się bawić z innymi chłopcami w policyjne pościgi, woli siedzieć w kącie z Josie i kolorować książeczki. Inne dzieci szybko to zauważają.

Lacy przypomniała sobie pewne wydarzenie z czasów, gdy była niewiele starsza od Petera i sama zaczynała naukę w szkole. Wówczas obserwowali w klasie kurczaki hodowane w inkubatorze. Wykluło się ich sześć, ale jeden miał kalekę, powykręcaną nóżkę. Z trudem udawało mu się docisnąć do tacy z pożywieniem i korytka z wodą, był bardziej cherlawy i mniej przebojowy od reszty rodzeństwa. No i pewnego dnia, na oczach zdjętej przerażeniem klasy, został zadziobany na śmierć przez pozostałe kurczaki.

– W żadnym razie nie zamierzamy tolerować ekscesów tych chłopców – zapewniła wychowawczyni. – Ilekroć bywamy świadkami niestosownych zachowań, delikwent jest natychmiast odsyłany do gabinetu pani dyrektor, co się wiąże z wezwaniem rodziców... – Nauczycielka otworzyła usta, jakby chciała jeszcze coś dodać, ale szybko się zreflektowała.

– Tak? – podjęła skwapliwie Lacy.

Młoda kobieta spuściła wzrok.

– Rzecz w tym, że nasza reakcja często wywołuje skutek odwrotny

do zamierzonego. Chłopcy postrzegają Petera jako przyczynę swoich kłopotów, a to napędza spiralę przemocy.

Policzki zaczęły palić Lacy żywym ogniem.

– A co pani osobiście zamierza zrobić, żeby tę spiralę w końcu przerwać?

Spodziewała się, że usłyszy od nauczycielki o karnym krzeselku czy innych tego typu sankcjach dyscyplinarnych, które zostaną bezzwłocznie wcielone w życie, jeżeli nękanie Petera się powtórzy. Tymczasem młoda nauczycielka powiedziała:

– Chcę pokazać Peterowi, jak skutecznie się bronić. Uświadomić mu, że jeżeli ktoś wypchnie go z kolejki po lunch lub znowu zacznie mu dokuczać, powinien zareagować w podobny sposób, a nie biernie akceptować wszystko, co go spotyka.

Lacy oniemiała.

– Ależ... Wprost nie wierzę własnym uszom. Więc jeżeli zostanie popchnięty, ma w ramach odwetu popchnąć kolegę, który się tego dopuścił? Gdy ktoś zrzuci jego lunch z tacy na podłogę, powinien odpowiedzieć równie karygodnym zachowaniem?

– Oczywiście, że nie...

– Chce mi pani powiedzieć, że Peter dopiero wtedy poczuje się bezpiecznie w przedszkolu, kiedy zacznie odpłacać pięknym za nadobne?

– Chcę jedynie pani uświadomić realia przedszkolnego świata – sprecyzowała nauczycielka. – Proszę posłuchać. Mogłabym wygłosić kilka okrągłych, miłych dla ucha zdań. Oznajmić, że Peter jest wspaniałym dzieckiem – co, oczywiście, jest prawdą. Że szkoła ma uczyć dzieci tolerancji, dlatego będzie srogo karać chłopców, którzy uprzykrzają Peterowi życie. I że to załatwi problem. Ale smutna prawda przedstawia się inaczej: jeżeli Peter chce, żeby nękanie się skończyło, również sam musi się o to postarać.

Lacy wbiła wzrok we własne dłonie. Wydawały się gigantyczne na blacie maleńkiej ławki.

– Dziękuję pani. Za szczerość – powiedziała i podniosła się z

krzeselka; bardzo ostrożnie, ponieważ tak właśnie należy się poruszać po świecie, do którego już się nie należy.

W milczeniu wyszła z klasy na korytarz, gdzie czekał na nią Peter. Siedział na niskiej drewnianej ławeczce, ustawionej pod szafkami uczniów. Do niej jako matki należało w miarę bezbolesne przeprowadzenie syna przez dzieciństwo. Ale czy doprawdy zdoła prostować przed nim wszystkie życiowe ścieżki? I czy nie to właśnie chciała jej uświadomić ta młoda nauczycielka?

Przykucnęła przed Peterem i ujęła jego ręce w swoje dłonie.

– Wiesz, że cię kocham, prawda?

Peter kiwnął głową.

– I że chcę dla ciebie tylko tego, co najlepsze?

– Taaak...

– Dowiedziałam się o pudełkach na lunch. I o problemach z Drew. Wiem, dlaczego Josie go uderzyła. Słyszałam wyzwiska, jakimi on cię obrzuca. – Lacy z trudem powstrzymywała łzy. – Ale kiedy następnym razem ktokolwiek cię zaatakuję, chcę, żebyś sam się skutecznie obronił. Przeciwdstawisz się przemocy, Peter, albo... albo ja... będę zmuszona cię ukarać.

Życiem nie rządzą reguły fair play. Lacy kilkakrotnie pomijano w awansach, mimo że wyjątkowo ciężko pracowała. Miała do czynienia z pacjentkami, które bardzo dbały o siebie, a jednak rodziły martwe dzieci, oraz z wycierającymi się po melinach narkomankami, które wydawały na świat zdrowe noworodki. Widziała na własne oczy czternastoletnią dziewczynkę, umierającą na raka jajników – zanim na dobre mogła posmakować życia. niesprawiedliwości losu nie da się wyeliminować; trzeba się jej pokornie poddać i mieć po prostu nadzieję, że kiedyś nadejdą lepsze czasy. Gdy owa niesprawiedliwość dotykała własnego dziecka, stawało się to wyjątkowo bolesne. Więc fakt, że musiała zerwać sprzed oczu Petera zasłonę niewinności, przyprawiał Lacy o niemal fizyczne cierpienie. Ale nadszedł czas, by syn zrozumiał, że bez względu na to, jak bardzo matka go kocha i jak bardzo pragnie uczynić jego świat idealnym – nie ma takiej mocy sprawczej.

Przełykając łzy, spojrzała na Petera, zastanawiając się, jaka kara mogłaby go zmusić do zmiany zachowania, chociaż jednocześnie pękało jej serce, że sama posuwa się do tak drastycznych środków.

– Jeżeli jeszcze raz pozwolisz zrobić z siebie ofiarę... przez miesiąc nie będziesz mógł się bawić z Josie po zajęciach w przedszkolu.

Wygłosiwszy owo ultimatum, odruchowo zacisnęła powieki. Nie w taki sposób chciała wychowywać swoje dziecko, ale okazało się, że jej dotychczasowe przykazania – bądź miły, bądź grzeczny, traktuj innych tak, jak sam chciałbyś być traktowany – prowadziły Petera na manowce. Jeżeli jakąś groźbą mogłaby sprawić, że w Peterze obudzi się lew, na którego ryk Drew i cała reszta tych paskudnych dzieciaków czmychnie z podkulonymi ogonami – Lacy ją przywoła.

Odgarnęła synkowi włosy z twarzy, na której rysował się wyraz zwątpienia oraz niepewności. I trudno się temu dziwić. Ostatecznie nigdy wcześniej nie usłyszał od matki podobnego zalecenia.

– Drew jest małym nicponiem, z którego na pewno nie będzie nic dobrego. A tymczasem ty wyrośniesz na wspaniałego człowieka. – Uśmiechnęła się do syna najpłomiennie, jak umiała. – Pewnego dnia, synku, cały świat pozna twoje imię.

Na placu zabaw znajdowały się tylko dwie huśtawki i czasami, jeżeli się chciało na nich pobujać, trzeba było poczekać na swoją kolejkę. Wtedy Peter odprawiał w duchu tajemne rytuały, mające sprawić, że nie przypadnie mu w udziale ta huśtawka, na której jakiś piątoklasista przelatywał nad poprzeczką, wokół której tak się zaplątał łańcuch, że teraz krzeselko wisiało bardzo wysoko nad ziemią i trudno się było na nie wdrapać. Peter zawsze się bał, że spadnie na ziemię, próbując wejść na ową huśtawkę lub – co jeszcze bardziej obciachowe – że w ogóle nie zdoła dosięgnąć siedzenia.

Jeżeli stał w kolejce razem z Josie, ona zawsze wybierała tę wysoko wiszącą huśtawkę. Twierdziła, że ją lubi, ale Peter szybko odkrył prawdę: Josie po prostu udawała, że nie ma pojęcia, jak bardzo on nie

znosi tego wysokiego krzeselka.

Tego dnia, na długiej przerwie, siedzieli na huśtawkach, ale wcale się na nich nie bujali. Kręcili się po prostu wokół własnej osi – splatając łańcuchy w grube węzły – a potem odrywali nogi od ziemi i wirowali jak szaleni. Peter od czasu do czasu zadzierał do góry głowę, wpatrywał się w niebo i wyobrażał sobie, że fruwa.

Kiedy się w końcu zatrzymali, ich huśtawki się zaklinowały, a nogi pomieszały ze sobą. Josie wybuchnęła śmiechem, zahaczyła kostkami o kostki Petera i wówczas stali się jednym ogniwem ludzkiego łańcucha.

Peter zerknął nieśmiało na przyjaciółkę.

– Chciałbym, żeby ludzie mnie lubili – wyznał.

Josie w pewnym siebie geście uniosła brodę.

– Ależ ludzie cię lubią.

Peter odsunął nogi, rozrywając ogniwo.

– Miałem na myśli jakichś ludzi poza tobą.

Wypełnienie formularzy aplikacyjnych na stanowisko sędzi zajęło Alex całe dwa dni i w czasie gdy oddawała się tej czynności, zdarzyło się coś nieoczekiwanego: zdała sobie sprawę, że w gruncie rzeczy bardzo chciałaby zostać sędzią. Wbrew temu, co powiedziała Whitowi, wbrew własnym wcześniejszym zastrzeżeniom, nagle doszła do wniosku, że podejmuje właściwą decyzję, podyktowaną słusznymi racjami.

Kiedy po jakimś czasie otrzymała wezwanie na przesłuchanie przed Sądową Komisją Selekcyjną, dano jej jasno do zrozumienia, że nie wszyscy aplikanci dostąpili tego zaszczytu, i że w związku z tym jest poważną pretendentką do objęcia wymarzonego stanowiska.

Zadanie tej komisji polegało na sporządzeniu dla gubernatora wyselekcjonowanej listy kilku najbardziej kompetentnych kandydatów. Przesłuchania odbywały się w starej rezydencji gubernatorskiej – Bridges House – w East Concord. Wezwanych przed oblicze komisji wpuszczano i wypuszczano innymi drzwiami, w założeniu po to, żeby

żaden aplikujący nie wiedział, kto poza nim ubiega się o posadę.

Komisja liczyła dwunastu członków: prawników, policjantów, założycieli organizacji działających na rzecz ofiar przestępstw. Wszyscy oni tak intensywnie wpatrywali się w Alex, że policzki zaczęły ją palić żywym ogniem. Jej samopoczucie nie poprawiał fakt, że w środku nocy poprzedzającej to przesłuchanie Josie obudziła się przerażona jakimś koszmarnym snem o boa dusicielu, po czym kategorycznie odmówiła powrotu do łóżka. Alex nie miała pojęcia, kto poza nią ubiegał się o stanowisko sędziego, ale założyłaby się o każde pieniądze, że nie były to samotne matki, które o trzeciej rano musiały wtykać kij we wszystkie otwory wentylacyjne, by udowodnić swojemu dziecku, że w mrocznych kanałach nie czają się żadne węże.

– Taki charakter pracy bardzo by mi odpowiadał. – Alex starannie dobierała słowa, odpowiadając na zadane pytania. Dobrze wiedziała, jakich wypowiedzi się od niej oczekuje. Ale sztuczka polegała na tym, by standardowym, politycznie poprawnym formułkom nadać pewne cechy indywidualności, i w ten sposób podkreślić swoją nietuzinkową osobowość. – Konieczność podejmowania szybkich decyzji działa na mnie stymulująco. Przywiązuję dużą wagę do zasad dopuszczalności dowodów i ich ciężaru gatunkowego. Sama miewam niekiedy do czynienia z sędziami, którzy są merytorycznie nieprzygotowani do rozprawy; wiem, jakie to frustrujące, więc nigdy sobie na to nie pozwolę. – Urwała i rozejrzała się po twarzach siedzących przed nią kobiet i mężczyzn, rozważając przy tym, czy powinna za wszelką cenę przyjąć punkt widzenia ludzi, którzy zazwyczaj starali się o stanowisko sędziego – a więc wywodzących się z uświęconych szeregów prokuratury – czy może jednak nieznacznie zaakcentować fakt, że jej pierwotnym środowiskiem było biuro obrońców z urzędu.

A, co tam. Raz kozie śmierć.

– Chciałabym zostać sędzią i dlatego, że przemawia do mnie idea sali rozpraw jako miejsca równych szans dla każdego obywatela. Poszkodowany bądź oskarżony, który się tam znajdzie, winien mieć gwarancję, że przez krótką chwilę jego sprawa będzie najważniejsza dla

wszystkich osób znajdujących się w owej sali. Że system działa na jego korzyść. Że bez względu na to, kim jest i skąd się wywodzi, wyrok zostanie podyktowany jedynie przepisami prawa, a nie jakimiś względami natury socjoekonomicznej.

Jedna z członkiń komisji zerknęła w swoje notatki.

– Jakimi cechami, pani zdaniem, powinien się odznaczać dobry sędzia?

Alex poczuła strużkę zimnego potu, spływającą pomiędzy łopatkami.

– Powinien być cierpliwy, ale stanowczy. W pełni panować nad sytuacją, nie popadając przy tym w arogancję. Starannie zapoznawać się z dowodami i ściśle kierować regułami obowiązującymi na sali sądowej i... choć to zapewne zabrzmie dość dziwnie, uważam, że dobry sędzia powinien być mistrzem tangramu.

Starsza kobieta, reprezentująca organizację działającą na rzecz ofiar przestępstw, zamrugła gwałtownie.

– Słucham?

– Tangramu. Chińskiej łamigłówki. Moja pięcioletnia córka ją ma. Zabawa polega na układaniu rozmaitych figur – na przykład łódki, pociągu czy ptaka – z siedmiu elementów: kwadratu, równoległoboku i pięciu trójkątów różnej wielkości. Nie jest to trudne dla osób z rozwiniętą wyobraźnią przestrzenną – wystarczy tylko się uwolnić od schematycznego myślenia. W mojej opinii, sędzia powinien się wykazywać podobnymi umiejętnościami. Ma bowiem do dyspozycji kilka, często wykluczających się nawzajem, racji, takich jak: sytuacja ofiary, argumenty oskarżonego, raporty policji, oczekiwania społeczne, precedensy – i odpowiednio się nimi posługując, musi rozwiązać określony problem zgodnie z obowiązującymi regułami.

W pełnej konsternacji ciszy, jaka zapadła po tych słowach, Alex odwróciła głowę i kątem oka pochwyciła sylwetkę następnego kandydata, podchodzącego do głównego wejścia. W pierwszej chwili pomyślała, że coś jej się przywidziało, ale przecież nie sposób zapomnieć linii siwiejących, lekko kręconych włosów, w które kiedyś

się wsuwało palce, czy wyrzucić z pamięci topografię kości policzkowych i szczęki, studiowaną zapamiętała własnymi ustami. Logan Rourke – profesor, do którego uczęszczała na seminarium adwokackie, jej dawny kochanek, ojciec jej córki – wkroczył do gmachu rezydencji i zamknął za sobą drzwi.

A więc on także się ubiegał o stanowisko sędziego.

Alex wstrzymała oddech, teraz jeszcze bardziej zdeterminowana, by zdobyć tę posadę, niż zaledwie chwilę temu.

– Pani Cormier? – odezwała się z naciskiem starsza kobieta i Alex zdała sobie wówczas sprawę, że coś jej umknęło.

– Tak? Słucham?

– Pytałam, jakie są pani osiągnięcia w tangramie?

Alex śmiało spojrzała jej w oczy, po czym pozwoliła sobie na szeroki uśmiech.

– Muszę nieskromnie przyznać, że jestem niekwestionowanym mistrzem stanu New Hampshire.

Z początku cyfry po prostu się zdawały tylko nieco tłściejsze niż zwykle, ale po jakimś czasie zaczęły się rozmywać i Peter musiał mrużyć oczy, żeby nabrać pewności, czy chodzi o trójkę, czy ósemkę. Pani wysłała go do higienistki, od której zalaływało zapachem zużytych torebek po herbacie i przeпоconych nóg, a ona kazała mu odczytywać litery wydrukowane na dużej planszy.

Okulary, które otrzymał, były lekkie niczym piórko i miały specjalne szkła, które nie porysowałyby się nawet wtedy, gdyby wylądowały w piaskownicy. Oprawki wykonano z drutu, zbyt cienkiego w jego opinii, żeby przez dłuższy czas utrzymać wypukłe szklane krążki, za którymi jego oczy wyglądały podobnie jak oczy sowy: były wielkie, świetliste i na dodatek bardzo niebieskie.

Kiedy Peter wsunął na nos swoje okulary, ogarnęło go najprawdziwsze zdumienie. Nagle niewyraźna plama, mająca na horyzoncie, nabrała ostrych konturów farmy z silosem i rozległymi

polami, na których pasły się krowy. Litery na czerwonym znaku drogowym ułożyły się w wyraz STOP. Okazało się też, że mama ma w kącikach oczu małe nieznaczące kreseczki – takie same jak w stawach jego palców.

Superbohaterowie dysponowali magicznymi akcesoriami – Batman cudownym pasem, Superman peleryną – a on, Peter, miał swoje okulary, dzięki którym widział wszystko, co uprzednio zdawało się niewidzialne. Był nimi tak oczarowany i zachwycony, że pierwszego dnia nie chciał ich zdjąć nawet do snu.

Niestety, kiedy następnego ranka się znalazł w przedszkolu, odkrył, że idealny wzrok idzie w parze z idealnym słuchem. Zewsząd dochodziły go szepty: „okularnik” albo „ślepy nietoperz”. Jego okulary nie były już cudownym wyróżnikiem, ale kolejnym stygmatem, czyniącym z niego wyrzutka i odmieńca.

Jednak nawet nie to okazało się najgorsze.

Kiedy świat się wyostrzył, Peter zdał sobie sprawę, w jaki sposób patrzą na niego inni – jakby był puentą marnego dowcipu.

Tak więc, pomimo swojego nadzwyczajnego wzroku, cały czas chodził ze spuszczonej oczami, żeby nie widzieć tego, co go otacza.

– Jesteśmy wywrotowymi matkami – szepnęła Alex do ucha Lacy, gdy podczas dni otwartych szkoły siedziały przy maleńkich stolikach, a ich kolana sterczały nad blatami niczym tylne odnóża pasikonika.

Alex wzięła w rękę klocki do nauki matematyki – drewniane kolorowe słupki różnej długości, z namalowanymi cyframi dwa, trzy, cztery, pięć – i ułożyła z nich nieprzyzwoite słowo.

– Tak można się zabawiać tylko dopóty, dopóki się nie zostanie sędzią – napomniała ją Lacy i jednym ruchem dłoni zburzyła wyraz.

– Boisz się, że wystawię na twoje nazwisko zakaz wstępu do przedszkola? – zaśmiała się Alex. – A co do tej sędziowskiej posady, mam mniej więcej takie same szanse ją zdobyć, jak strzelić szóstkę w lotto.

– Pożyjemy, zobaczymy – odparła filozoficznie Lacy.

W tej samej chwili pochyliła się nad nimi nauczycielka i wręczyła każdej po arkuszu papieru.

– Proszę wszystkich rodziców, żeby napisali na kartce jedno słowo, które najtrafniej charakteryzuje ich dziecko. Później skomponujemy z tych kartek kolaż stanowiący wyraz rodzicielskiej miłości.

Alex posłała Lacy kpiące spojrzenie.

– Czyli kolaż miłosny?

– Przestań być taka antyprzedszkolna.

– Wcale nie jestem. Prawdę powiedziawszy, uważam, że właśnie w przedszkolu człowiek poznaje wszystkie najważniejsze zasady prawa. Sama rozumiesz, „nie bij innych dzieci”, „nie ruszaj tego, co nie twoje”, „nie zabijaj”, „nie gwałć”.

– O tak, szczególnie dobrze pamiętam zajęcia dotyczące dwóch ostatnich zakazów. Odbyły się tuż po przerwie na mleko – rzuciła Lacy.

– Och, przecież wiesz, o co mi chodzi. Przestrzeganie zasad umowy społecznej.

– A co się stanie, gdy już zasiądziesz za sędziowskim stołem i będziesz musiała się zastosować do prawa, z którym się fundamentalnie nie zgadzasz?

– Po pierwsze, moje zasiadanie za owym stołem to nadzwyczaj śmiałe założenie. Po drugie – zastosowałabym się do litery owego prawa. Czułabym się okropnie, niemniej tak właśnie bym postąpiła – odparła Alex. – I powiem ci jedno, Lacy: w żadnym razie nie chciałabyś stawać przed sędzią kierującym się własnymi racjami moralnymi, możesz mi wierzyć.

Lacy zdążyła już gustownie wystrzepić brzeg swojego arkusza.

– Jeżeli odłożysz na bok własne przekonania, to kiedy będziesz sobą?

Alex uśmiechnęła się szelmowsko i z drewnianych słupków ułożyła kolejny wulgaryzm.

– Podczas dni otwartych w przedszkolu, jak sądzę.

Nagle stanęła przed nią Josie zarumieniona z podniecenia.

– Mamusiu! – Pociągnęła Alex za rękę, podczas gdy Peter próbował się wdrapać na kolana Lacy. – Już jesteśmy gotowi.

Do tej pory Josie siedziała razem z Peterem w kącie zabawkowym, gdzie wspólnie przygotowywali niespodziankę dla mam. Lacy i Alex posłusznie wstały z miejsc i dały się prowadzić pomiędzy półkami z książeczkami, stosikami mat gimnastycznych, a potem wzdłuż laboratoryjnego stołu, gdzie w ramach eksperymentu biologicznego spokojnie gniła sobie dynia. Jej zapadnięty miąższ i poznaczona brodawkami łupina przywodziły Alex na myśl twarz pewnego znajomego prokuratora.

– To nasz dom – wyjaśniła z dumą Josie, po czym odsunęła duży klocek, służący za drzwi wejściowe. – Peter i ja jesteśmy małżeństwem.

Lacy szturchnęła Alex w bok.

– Zawsze marzyłam o dobrych stosunkach z przyszłą teściówką mojego syna.

Peter stanął przy drewnianej kuchence i mieszał wyimaginowane potrawy w plastikowych garnkach. Tymczasem Josie włożyła za duży fartuch laboratoryjny.

– Muszę lecieć do pracy – oznajmiła. – Wrócę na kolację.

– Okay – odparł Peter. – Przygotuję klopsiki.

– Gdzie pracujesz? – spytała córkę Alex.

– Jestem sędzią. Przez cały dzień wysyłam ludzi do więzienia, a potem wracam i zjadam spaghetti. – Obeszła powoli zarysy domu dokoła, po czym ponownie weszła przez umowne drzwi.

– Siadaj – zarządził Peter. – I natychmiast wytłumacz, dlaczego znowu się spóźniłaś?!

Lacy zacisnęła powieki.

– Czy to rzeczywiście mój portret, czy tylko odbicie w krzywym zwierciadle?

Wraz z Alex przyglądały się, jak Josie i Peter odstawiają talerze, a potem przechodzą do innej części swojego domu z klocków – mniejszego prostokąta wewnątrz większego kwadratu – i kładą się na podłodze.

– To jest łóżko – wyjaśniła Josie.

Zza pleców Alex i Lacy dobiegł głos nauczycielki.

– Wciąż się bawią razem w dom. Czyż to nie urocze?

Peter przewrócił się na bok, a Josie przytuliła się do jego pleców i objęła go ramieniem. Alex natomiast zaczęła się zastanawiać, jakim cudem jej córka potrafiła stworzyć w wyobraźni obraz wspólnie śpiącej pary, skoro jej matka nawet nie umawiała się na randki.

Lacy oparła się o ściankę z klocków i napisała na swojej kartce jedno słowo: WRAŻLIWY. To określenie rzeczywiście dobrze opisywało Petera – był wrażliwy wręcz do bólu. Dlatego potrzebował obrony kogoś takiego jak Josie – osłaniającej go teraz niczym muszla.

Alex sięgnęła po ołówek i wygładziła swoją kartkę. Przez jej głowę przebiegały rozliczne przymiotniki, z których każdy trafnie charakteryzował jej córkę: dynamiczna, lojalna, błyskotliwa, śliczna – ale jej ręka nakreśliła zupełnie inny wyraz.

MOJA.

Gdy tym razem pudełko na lunch uderzyło o asfalt, rozpląszczyło się wzdłuż zawiasów, a samochód podążający za szkolnym autobusem rozgniół na miążgę kanapkę z tuńczykiem oraz paczkę chipsów. Kierowca autobusu, jak zwykle, niczego nie zauważył. Piątoklasiści byli już tak wyspecjalizowani w tej zabawie, że okno otwierało się i zamykało, zanim jeszcze Peter zdołał wydać z siebie głos. Podczas gdy starsi chłopcy przybijali piątkę, do oczu Petera napłynęły łzy. W głowie zadźwięczały mu słowa matki – właśnie w takich okolicznościach kazała mu się postawić! – ale ona nie zdawała sobie sprawy, że w ten sposób tylko pogorszyłyby sytuację.

– Och, Peter! – westchnęła Josie, gdy usiadł u jej boku.

On tymczasem wbił wzrok w swoje rękawice z jednym palcem.

– W piątek nie będę mógł przyjść do ciebie po szkole – wybąkał.

– Dlaczego?

– Bo mama powiedziała, że jeżeli jeszcze raz zginie mi pudełko na

lunch, za karę przez miesiąc nie będę się mógł z tobą bawić.

– To nie fair – oburzyła się Josie.

Peter wzruszył ramionami.

– A co jest fair?

Nikt nie był bardziej zdumiony od Alex, gdy spośród trójki rekomendowanych kandydatów to właśnie ona została wybrana na stanowisko sędzi sądu dystryktowego. Chociaż w zasadzie to było logiczne, że Jeanne Shaheen – kobieta pełniąca funkcję gubernatora z ramienia Partii Demokratycznej – zdecyduje się powierzyć godność sędziowską młodej kobiecie o poglądach zgodnych z linią jej partii, Alex, wciąż jeszcze oszołomiona tą wieścią, szła na rozmowę z panią gubernator.

Jeanne Shaheen okazała się młodsza i ładniejsza, niż sobie wyobrażała. Dokładnie to samo ludzie będą myśleć na mój widok, kiedy już oficjalnie obejmę nowe stanowisko, skonstatowała w duchu. Usiadła na wskazanym miejscu i wsunęła dłonie pod uda, żeby ukryć, jak silnie drżą.

– Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć, zanim oficjalnie ogłoszę swój wybór? – zapytała bez zbędnych wstępów pani gubernator.

– Chodzi o to, czy chowam jakieś trupy w szafie?

Shaheen skinęła głową. W istocie jej pytanie sprowadzało się do jednej kwestii: czy nominowana przez nią osoba nie rzuci cienia na urząd gubernatorski. Alex to rozumiała i szanowała tę kobietę za szczerość.

– A więc zakładam, że podczas przesłuchania przed Radą Wykonawczą nikt nie przedstawi uzasadnionego wniosku o unieważnienie nominacji? – upewniała się Shaheen.

– To zależy. Czy zamierza pani urlopować część pensjonariuszy więzienia stanowego?

Gubernator parsknęła śmiechem.

– Rozumiem, że tam właśnie się znajdują niezadowoleni z pani

klienci.

- Miejsce ich pobytu jest głównym powodem tego niezadowolenia. Jeanne Shaheen podniosła się z fotela i uścisnęła dłoń Alex.
- Jestem pewna, że nasza współpraca ułoży się jak najlepiej.

Maine i New Hampshire to jedyne stany w kraju, gdzie wciąż funkcjonuje Rada Wykonawcza – ciało teoretycznie sprawujące nadzór nad urzędem gubernatora. Pociągało to za sobą określone konsekwencje i dla Alex: przez miesiąc dzielący jej nominację od przesłuchania przed Radą musiała na wszelkie możliwe sposoby obłaskawiać pięciu konserwatystów z Partii Republikańskiej, którzy i tak w końcu mieli ją przeciągnąć przez wyżymaczkę.

W związku z tym dzwoniła do nich co tydzień z pytaniem, czy życzą sobie jakichś dodatkowych informacji. A jednocześnie poszukiwała osób, które by zaświadczyły przed Radą, że jest osobą szacowną i kompetentną. Po latach pracy w biurze obrońców z urzędu mogłoby się to wydawać prostym zadaniem, ale faceci z Rady nie życzyli sobie opinii prawników. Chcieli usłyszeć zdanie członków społeczności, w której żyła Alex – poczynając od nauczycielki z przedszkola, a kończąc na szeryfie stanowym, który na szczęście ją lubił, pomimo jej aliansu z ciemną stroną mocy. Procedura wynajdywania świadków kryła w sobie dodatkowy kruczek: prosząc tych wszystkich ludzi o przysługę, Alex jednocześnie musiała dać im jasno do zrozumienia, że gdy już zostanie sędzią, nie będzie mogła się odwzajemnić żadnymi przysługami.

Wreszcie, po dniach ciężkiej pracy, przyszedł czas na przesłuchanie. Alex zasiadła w sali Rady Wykonawczej, gdzie musiała odpowiadać na pytania wszelkiego rodzaju, na przykład: „Jaką książkę czytała pani ostatnio?” lub „Na której ze stron ciąży obowiązek przeprowadzenia postępowania dowodowego w sprawie o maltretowanie?”. Jednak, ogólnie rzecz biorąc, zainteresowanie Rady koncentrowało się na teoretycznych, akademickich zagadnieniach. Aż w końcu jeden z jej

członków zapytał:

– Pani Cormier, kto ma prawo osądzać innych?

– Cóż, to zależy od tego, czy mówimy o osądzie z moralnego, czy z legalistycznego punktu widzenia. W kategoriach moralnych nikt nie może osądzać drugiego człowieka. Natomiast gdy w grę wchodzi prawo, nie jest to kwestia przywileju, ale obowiązku.

– Podążając dalej tym tropem, jakie jest pani stanowisko w kwestii posiadania broni palnej?

Alex się zawahała. Nie należała do miłośników broni. Nie pozwalała Josie oglądać jakichkolwiek programów telewizyjnych, zawierających sceny przemocy. Dobrze też wiedziała, co może się zdarzyć, gdy dostęp do pistoletu ma zaburzony nastolatek, rozwścieczony mąż czy maltretowana żona – zbyt często broniła takich klientów, żeby nie zdawać sobie sprawy z katalitycznego działania broni.

Mimo to...

Mieszkała w New Hampshire, konserwatywnym stanie, i siedziała przed grupą republikańskich radykałów, przerażonych, że nowo nominowana sędzia może się okazać lewicującą kontestatorką tradycji. A przecież jej władza będzie się rozciągała nad społecznością, dla której myślistwo to często warunek przetrwania.

Alex wypila niewielki łyk wody.

– Kierując się zasadą legalizmu konstytucyjnego, popieram prawo do posiadania broni.

– Można dostać obłędu – orzekła Alex, siedząc na stołku w kuchni Lacy. – Każdy sklep internetowy, sprzedający togi sędziowskie, zatrudnia modelki, które wyglądają jak żywcem wyjęte z futbolowej linii obrony – tyle że mają piersi. Najwyraźniej w powszechnym mniemaniu wszystkie kobiety, sprawujące w tym kraju urząd sędzi, są klonami Bei Arthur. – Wychyliła się mocno do przodu i krzyknęła w stronę schodów: – Josie! Liczę do dziesięciu i wychodzimy!

– A czy przynajmniej wybór jest szeroki?

– Och, powalający. Kolor dowolny, byle czarny. Jeżeli chodzi o rodzaj tkaniny, to w grę wchodzi mieszanka bawełny z poliestrem bądź czysty poliester. Podobnie ma się sprawa z krojem: rękawy szerokie i luźno puszczone lub szerokie i zebrane w mankiet. Tak czy owak, wszystkie te togi są po prostu ohydne. A moje wymagania wcale nie są wygórowane: chcę tylko czegoś, co choć odrobinę podkreśla talię.

– Zgaduję, że projektowaniem sędziowskich tóg nie zajmuje się Vera Wang.

– Najwyraźniej. – Alex wstała z taboretu i wyszła z kuchni. – Josie! Natychmiast się zbieraj!

Lacy odłożyła ścierkę, którą wycierała jeden z garnków, i podążyła za Alex do holu.

– Peter! Mama Josie chce już wychodzić! – Żadne z dzieci nie dało znaku życia, więc Lacy ruszyła w górę po schodach. – Prawdopodobnie się pochowali.

Obie z Alex weszły do pokoju Petera. Lacy zajrzała do szafy, potem pod łóżko. Następnie sprawdziły łazienkę, pokój Joeya i główną sypialnię. A gdy w końcu ponownie zbiegły na dół, usłyszały głosy dochodzące z piwnicy.

– Ale ciężkie. – To były słowa Josie.

– Trzeba zrobić tak. – Instruktaż Petera.

Alex zeszła po drewnianych kręconych schodach. Piwnica była stuletnia, zamiast podłogi miała klepisko, a u jej stropu wisiały okazałe pajęczyny, przywodzące na myśl bożonarodzeniowe girlandy. Alex skierowała się w stronę, z której dochodziły głosy, i za stertą kartonowych pudeł, obok półki z domowymi przetworami, zobaczyła Josie stojącą ze sztucerem w rękach.

– Wielkie nieba! – jęknęła.

W tej samej chwili córka odwróciła się w jej stronę, automatycznie kierując na nią wylot lufy.

Lacy wyrwała dziewczynce broń.

– Skąd to wzięłaś? – spytała ostrym tonem i dopiero wówczas dzieci zdały sobie sprawę, że zrobiły coś naprawdę złego.

– Peter mi dał – odparła spłoszona Josie. – Miał klucz.

– Klucz?! – wrzasnęła Alex. – Do czego?

– Do sejfu – mruknęła Lacy. – Musiał podglądać Lewisa, gdy ostatnio wybierał się na polowanie.

– Mam rozumieć, że moja córka od niepamiętnych czasów bawi się w domu, w którym się poniewiera broni?

– Nie poniewiera się – zaoponowała Lacy. – Jest zamknięta w sejfie.

– Który bez trudu otwiera twój pięciolatek!

– Ale Lewis trzyma naboje...

– Gdzie? No, gdzie je trzyma? A może powinnam zapytać o to Petera?

Lacy odwróciła się w stronę syna.

– Przecież wiesz, że nie wolno się zbliżać do broni. Co cię nagle napadło?

– Josie chciała zobaczyć strzelbę. Poprosiła, żebym jej pokazał.

Dziewczynka spojrzała na matkę z przerażeniem.

– Wcale nie prosiłam.

Alex stężała.

– A więc teraz twój syn przerzuca winę na moją córkę...

– Albo twoja córka kłamie – odparowała Lacy.

Mierzyły się groźnie wzrokiem – dwie przyjaciółki, poróżnione sporem o stopień przewiny dzieci. Alex wciąż nie była w stanie nad sobą zapanować. Wyobrażnia podsuwała jej przed oczy najstraszniejsze obrazy. Do czego mogłoby dojść, gdyby wpadły do tej piwnicy pięć minut później? Co by było, gdyby Josie została ranna lub zginęła? A jednocześnie osaczało ją natrętnie wspomnienie odpowiedzi, których udzieliła przed Radą Wykonawczą kilka tygodni temu.

„Kto ma prawo osądzać innych?”

„Nikt” – oświadczyła wówczas.

A tymczasem to właśnie teraz robiła.

„Popieram prawo do posiadania broni” – oświadczyła także.

Czy obecne zachowanie czyniło z niej hipokrytkę? Czy oznaczało jedynie, że jest dobrą matką?

Lacy przyklękła przed synem i ten gest matczynej troskliwości sprawił, że w Alex coś pękło. Nagle doszła do wniosku, że opiekuńczość Josie względem Petera tylko ściąga dziewczynkę w dół przedszkolnej hierarchii. Może więc będzie dla niej lepiej, jeżeli poszuka sobie innych przyjaciół. Przyjaciół, przez których nie będzie lądowała na dywaniku u dyrektorki i którzy nie będą jej wciskać w ręce broni.

Alex przyciągnęła córkę do siebie.

– Myślę, że najlepiej będzie, jak wyjdziemy.

– Owszem – przyznała Lacy chłodnym tonem. – Tak rzeczywiście będzie najlepiej.

W Josie wstąpił zły duch w chwili, gdy się przemieścili do działu z mrożoną żywnością.

– Nie znoszę zielonego groszku! – zawyła.

– Nie musisz go jeść – odparła Alex, otwierając przeszkłone drzwi chłodni. Poczowała na policzku liźnięcie lodowatego powietrza i sięgnęła po gigantyczną torbę mrożonych jarzyn.

– Chcę markizy czekoladowe.

– Nie ma mowy. Już wzięliśmy herbatniki w kształcie zwierzątek.

Josie zachowywała się wojowniczo przez cały tydzień – od czasu przykrego incydentu w domu Lacy. Alex nie mogła zapobiec kontaktom córki z Peterem w ciągu dnia, w przedszkolu, jednak nie życzyła sobie, żeby Josie kontynuowała tę przyjaźń, stąd kategorycznie się sprzeciwiała zapraszaniu Petera do domu.

Wpakowała do wózka zgrzewkę polskiej wody mineralnej oraz butelkę wina. Po namyśle dołożyła kolejną.

– Co chcesz dzisiaj na kolację? Kurczaka czy hamburgery?

– Chcę tofurki². Alex wybuchnęła śmiechem.

² Tofurkey – zbitka słów tofu i turkey (ang. indyk); „fałszywy” indyk, serwowany m.in. w Święto Dziękczynienia jako wegetariańska alternatywa tradycyjnego dania. W postaci gotowej sprzedawany często w formie pasztecików (przyp. tłum.).

– Gdzie usłyszałaś tę nazwę?

– Lacy dawała je nam na lunch. Wyglądem przypominają hot dogi, ale są zdrowsze.

Zza lady z mięsem wywołano numerek Alex.

– Poproszę ćwierć kilo piersi z kurczaka.

– Dlaczego zawsze kupujemy tylko to, co ty chcesz, a nie to, o co ja proszę? – spytała oskarżycielskim tonem Josie.

– Wierz mi, ani w połowie nie jesteś tak ciemężonym dzieckiem, jak ci się wydaje.

– Chcę jabłko.

Alex westchnęła głęboko.

– Czy do końca pobytu w tym sklepie mogłabyś się powstrzymać od wypowiedziania słowa „chcę”?

Siedząca na wózku z zakupami Josie niespodziewanie mocno kopnęła nogą i trafiła Alex prosto w brzuch.

– Nienawidzę cię! – wrzasnęła. – Jesteś najgorszą mamą na świecie!

Alex poczuła się nieswojo pod ostrzałem obcych spojrzeń: starszej kobiety, wybierającej melona, i pracownicy sklepu z rękami pełnymi świeżych brokułów. Czemu dzieci zawsze dostają napadu hysterii w miejscu publicznym, gdzie każda reakcja rodzicielska musi się znaleźć na cenzurowanym?

– Josie! – Alex, zaciskając zęby, przywołała na usta sztuczny uśmiech. – Natychmiast się opanuj.

– Czemu nie jesteś taka jak mama Petera?! O wiele bardziej wolałabym mieszkać z nimi niż z tobą!

Alex chwyciła córkę za ramiona – na tyle mocno, że dziecko wybuchnęło płaczem.

– Posłuchaj, moja panno... – zaczęła nabrzmiałym od irytacji głosem i w tej samej chwili dobiegł ją szmer szeptów oraz jedno słowo: „sędzia”.

W miejscowej gazecie niedawno ukazała się notatka informująca o jej nominacji, opatrzona zdjęciem portretowym. Już w dziale z pieczywem Alex podchwytywała spojrzenia świadczące o tym, że

została rozpoznana, ale dopiero teraz zrozumiała, jakie to pociąga za sobą konsekwencje. Patrząc na jej potyczkę z Josie, ludzie oczekiwali od Alex, że zareaguje... z sędziowską roztropnością.

Natychmiast więc zwolniła uchwyt.

– Zdaję sobie sprawę, że jesteś zmęczona – powiedziała na tyle donośnym głosem, żeby dotarł do najodleglejszych zakątków sklepu. – Wiem, że chciałybyś się już znaleźć w domu. Nie wolno ci jednak zapominać, że jesteś w miejscu publicznym, a to cię zobowiązuje do stosownego zachowania.

Josie rozwarła buzię ze zdumieniem i z niedowierzaniem wsłuchiwała się w Głos Najwyższego Rozsądku. Zastanawiała się jednocześnie, co to stojące przed nią UFO zrobiło z jej mamą, która po prostu by na nią wrzasnęła i kazała natychmiast się zamknąć.

Tymczasem Alex pojęła nagle, że sędzią nie przestaje się być po opuszczeniu sali rozpraw. Jest się nim także w restauracji, na przyjęciu czy pośrodku sklepu spożywczego, gdy ma się najszczerzą ochotę udusić własne dziecko. Przyjmując toę – oznakę swojego majestatu – Alex nie zdawała sobie sprawy, że nigdy i nigdzie nie będzie już mogła jej zdjąć.

I tu się pojawiał poważny problem. Jeżeli zaczniesz się koncentrować na tym, co myślą o niej inni, czy nie zapomni, kim jest naprawdę? Czy do jej twarzy nie przylgnie na stałe maska... pod którą w końcu będzie się kryła jedynie pustka?

Alex pchnęła wózek w stronę kas. Jej córka z małego półdiabła znów się przemieniła w układną, małą dziewczynkę, jedynie od czasu do czasu wstrząsaną cichą czkawką.

– No proszę – odezwała się Alex, bardziej po to, by uspokoić samą siebie niż Josie. – Czyż tak nie jest dużo lepiej?

Pierwszy dzień za sędziowskim stołem Alex spędziła w Keene w hrabstwie Cheshire. Nikt oprócz jej osobistego asystenta nie miał pojęcia, że debiutuje w tej roli. Adwokaci i prokuratorzy naturalnie

wiedzieli, że po raz pierwszy będzie przewodniczyć sesjom w tym sądzie, nie znali jednak przebiegu jej kariery. Mimo to była przerażona. Rano przebierała się trzy razy, chociaż i tak nikt nie miał zobaczyć, co nosi pod togą. A potem, przed samym wyjazdem, dwukrotnie dostała torsji.

Bez trudu natomiast trafiła do sędziowskich gabinetów – ostatecznie była w tym gmachu na setce rozpraw, tyle że wówczas znajdowała się po drugiej stronie podwyższenia. Z owych czasów pamiętała również swojego obecnego asystenta: chudego mężczyznę imieniem Ishmael, który zawsze odnosił się do niej z nieskrywaną niechęcią.

Za to dzisiaj niemal padł jej do stóp obutych w kosztowne szpilki.

– Serdecznie witamy, pani sędzio. Oto wokanda. Pozwolę sobie teraz zaprowadzić panią do gabinetu, a gdy już będzie pani gotowa rozpocząć sesję, przyślę funkcjonariusza sądowego. Czy jest jeszcze coś, co mógłbym dla pani zrobić?

– Nie, dziękuję.

Zostawił ją w gabinecie, w którym panował okrutny chłód. Alex podkreśliła termostat, po czym wyjęła z teczki togę. Do gabinetu przylegała bezpośrednio prywatna łazienka i Alex weszła tam, by sprawdzić w lustrze swój wygląd. Prezentowała się całkiem nieźle. Majestatycznie.

Choć w tym stroju miała w sobie także coś z chórzystki gospel.

Usiadła za biurkiem i natychmiast przypomniał jej się ojciec. Tylko popatrz na mnie, tato, pomyślała, mimo że on już teraz znajdował się w miejscu, do którego nie mogły dotrzeć żadne apele. Alex byłaby w stanie wyrecytować dziesiątki spraw, w których ojciec wydawał werdykty – opowiadał jej o nich po powrocie do domu, przy kolacji – nie umiała natomiast przywołać z pamięci ani jednej chwili, w której zachowałby się jak najzwyczajniejszy tato, a nie sędzia.

Alex przerzuciła akta osób, które dzisiaj w jej obecności miały wysłuchać prokuratorskich zarzutów, po czym zerknęła na zegarek. Do rozpoczęcia sesji pozostało aż czterdzieści pięć minut, za co mogła winić tylko siebie – to przez swoje cholerne zdenerwowanie zjawiała się tutaj

tak wcześniej.

Wstała z fotela i przeciągnęła się kilkakrotnie. Gabinet był tak duży, że mogłaby w nim wykręcić kilka gwiazd. Choć, naturalnie, w żadnym razie by tego nie zrobiła, ponieważ podobna płochosć nie przystoi sędzi.

Niepewnie, z wahaniem, otworzyła drzwi, za którymi natychmiast zmaterializował się Ishmael.

– Czym mogę służyć, pani sędzio?

– Chętnie napiłabym się kawy.

Patrząc na nadgorliwą reakcję Ishmaela, Alex doszła do wniosku, że gdyby go poprosiła o kupienie prezentu urodzinowego dla Josie, miałaby na biurku pięknie opakowany podarek jeszcze przed wybiciem południa.

Na razie jednak ruszyła za swoim asystentem do pokoju socjalnego – wspólnego dla wszystkich prawników – i podeszła do ekspresu z kawą, od którego natychmiast odskoczył jeden z młodych prokuratorów.

– Bardzo proszę, pani sędzio – odezwał się ugrzecznionym tonem, ustępując jej miejsca w kolejce.

Alex sięgnęła po papierowy kubek. Musi pamiętać, żeby przywieźć z domu fajansowy i trzymać pod ręką w gabinecie. Ale zaraz sobie przypomniała, że przecież jej stanowisko wiąże się z rotacyjnością – w zależności od dnia tygodnia będzie przewodniczyła sesjom nie tylko w Keene, ale również w Laconii, Concord, Nashua, Rochester, Milford, Jaffrey, Peterborough, Grafton i Coos, musiałaby się więc zaopatrzyć w pokaźną zastawę.

Nacisnęła na dźwignię dozownika, ale w rezultacie usłyszała jedynie cienki świst – ekspres był pusty. Bez namysłu wyciągnęła więc filtr, by zaparzyć nową porcję.

– Proszę się nie fatygować, pani sędzio! – Do Alex podskoczył gorliwy prokurator z zaambarasowaną miną, po czym sam zaczął przygotowywać świeży napar.

Alex, zdumiona tą sceną, zastanawiała się jednocześnie, czy ktoś jeszcze kiedykolwiek zwróci się do niej po imieniu, czy też może

powinna je oficjalnie zmienić na „Pani Sędzia”. A także – czy znalazłby się osobnik na tyle odważny, by zwrócić jej, na przykład, uwagę, że ma kawałek papieru toaletowego na obcasie lub szpinak między zębami. Czowała się dziwnie ze świadomością, że chociaż jest pod nieustannym obstrzałem ludzkich spojrzeń, nikt się nie ośmieli wytknąć jej niedoskonałości. Usłużny młodzieniec podszedł z kubkiem pełnym świeżo zaparzonej kawy.

– Nie wiedziałem, co dodać, pani sędzio – wyznał nieśmiało, podstawiając Alex pod nos cukierniczkę i dzbanek z mlekiem.

– Dziękuję, nic – odparła, ale sięgając po kubek, zawadziła o rant szerokim rękawem togi i kawa chlusnęła na podłogę.

Nie ma co, wspaniale się zaczyna.

– O rety. Najmocniej przepraszam, pani sędzio!

„Czemu mnie przepraszasz, durniu, skoro to moja wina?” – skarciła go w duchu Alex. Jakaś młoda dziewczyna rzuciła się na rozlaną kawę z serwetkami w rękę, Alex natomiast ściągnęła togę, żeby zrobić z nią porządek, i w tej samej chwili przemknęła jej przez głowę szaleńcza myśl: Może nie powinna poprzestać na todze, ale rozebrać się do bielizny i w takim stanie przedefilować korytarzami sądu niczym cesarz z baśni Andersena. „Czyż moje szaty nie są zachwycające?” – pytałaby od czasu do czasu, a chór unizonych pochlebców odpowiadałby: „Doprawdy przepiękne, pani sędzio”.

Oplukwała rękaw pod kranem, starannie wyzięła go z wody i z togą przerzuconą przez rękę skierowała się w stronę gabinetu. Jednakże perspektywa spędzenia w nim samotnych trzydziestu minut wydała jej się nagle tak przygnębiająca, że postanowiła się wybrać na wędrowkę po korytarzach gmachu. Obchodziła wszystkie nieznanne jej zakamarki i po jakimś czasie znalazła się w suterenie przy drzwiach wychodzących na rampę przeładunkową.

Przy rampie siedziała kobieta w zielonym kombinezonie pracownika porządkowego i paliła papierosa. Powietrze przesycił zapach zimy, a szron na asfalcie połyskiwał, jakby obsypany małymi odłamkami szkła. Alex objęła się mocno ramionami – niewykłuczone, że

tu, na zewnątrz, było nawet zimniej niż w jej gabinecie – i skinęła głową nieznajomej.

– Cześć – rzuciła.

– Cześć. – Z ust kobiety wypłynęła smuga dymu. – Nigdy wcześniej cię tu nie widziałam. Jak masz na imię?

– Alex.

– A ja Liz. Jestem jednoosobowym departamentem konserwacji zieleni. – Uśmiechnęła się przyjaźnie. – A ty w jakim dziale pracujesz?

Alex zaczęła przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu tic-taców – nie dlatego, że miała jakąś szczególną ochotę na miętówkę, ale ponieważ bardzo chciała odwlec moment, w którym nieodwołalnie się urwie tak przyjemnie rozpoczęta rozmowa.

– Ja... hm... jestem sędzią.

Liz natychmiast odsunęła się o kilka kroków, a na jej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

– Wiesz, nie przyznałam się do tego wcześniej, bo tak miło mnie zagadnąłeś. Nikt tutaj sobie na to nie pozwala, więc... czuję się nieco osamotniona. Jak sądzisz... – Alex w napięciu zawiesiła głos – ...czy mogłabyś zapomnieć, że jestem sędzią?

Liz przydepnęła peta ciężkim butem.

– To zależy.

Alex skinęła głową. Przez cały czas obracała w dłoniach małe plastikowe pudełeczko, w którym grzechotały cukierki.

– Chcesz tic-taca?

Po chwili wahania Liz wyciągnęła dłoń.

– Pewnie, że chcę, Alex – powiedziała ze szczerym uśmiechem.

Peter od kilku dni snuł się po domu jak duch. Był uziemiony, co w jakiś tajemniczy sposób wiązało się z faktem, że Josie już nie przychodziła do niego po przedszkolu, chociaż do niedawna spędzali razem trzy lub cztery popołudnia w tygodniu. Joey też nie chciał się z nim bawić; jeżeli nie był na treningu drużyny piłki nożnej, grał na

komputerze w taką grę, w której trzeba było naprawdę bardzo szybko przejeżdżać przez tor wyścigowy, poskręcany jak precel – a to oznaczało, że Peter nie miał co ze sobą począć.

Pewnego dnia, po kolacji, usłyszał jakieś odgłosy, dochodzące z piwnicy. Nie schodził tam od czasu, gdy mama przyłapała go razem z Josie na zabawie strzelbą, teraz jednak światło lampy wiszącej nad roboczym stołem przyciągnęło go jak ćmę do płomienia. Przy stole, na taborecie, siedział ojciec i trzymał w ręku tę samą strzelbę, która wpędziła Petera w tak poważne tarapaty.

– Czy nie powinieneś się już szykować do snu? – zapytał ojciec.

– Nie jestem zmęczony. – Peter wpatrywał się w ręce ojca, sunące po lufie smukłej niczym łabędzia szyja.

– Piękny sztucer, prawda? Remington 721, 30-06. – Ojciec spojrzał na Petera. – Chciałbyś mi pomóc w jego czyszczeniu?

Peter mimowolnie zerknął w górę, w stronę kuchni, gdzie mama zmywała naczynia po kolacji.

– Uważam, synku, że skoro tak bardzo fascynuje cię broń, musisz się nauczyć podchodzić do niej z należytych respektem. Lepiej zapobiegać, niż leczyć, prawda? Nawet mama musiałaby się zgodzić z tym argumentem. – Położył strzelbę na kolanach. – Broń palna jest śmiertelnie niebezpieczna, ale przede wszystkim dlatego, że ludzie nie wiedzą, jak się z nią obchodzić. Kiedy natomiast poznają jej funkcjonowanie, broń się okazuje zwykłym narzędziem, podobnym w istocie do młotka czy śrubokrętu. Czy pojmujesz, co do ciebie mówię?

Peter nie pojmował, ale nie zamierzał się do tego przyznać. Wprost nie mógł uwierzyć, że niedługo tata go nauczy, jak się obchodzić z najprawdziwszą strzelbą! Żadne z tych idiotycznych dzieciaków w jego grupie – z tych najgorszych palantów – nie mogłoby się czymś takim pochwalić.

– Po pierwsze, musimy odwieść zamek, o tak, i sprawdzić, czy w komorze nie ma żadnych nabożów. Zajrzyj tutaj. Widzisz coś?

Peter pokręcił głową.

– Spójrz jeszcze raz. Sprawdzania nigdy za wiele. Jeżeli teraz

naciśniemy ten mały guziczek tuż przed spustem, będziemy mogli całkowicie usunąć zamek.

Ojciec wziął ze stołu metalową butelkę z jakimś płynem – na naklejce widniał napis Hoppes No 9 – i zwilżył nim miękką szmatkę.

– Nie ma nic wspanialszego od polowania, Peter. Od wyprawy do lasu wczesnym świtem, gdy reszta świata jeszcze śpi... od widoku jelenia unoszącego powoli łeb, spoglądającego ci prosto w oczy... – Ojciec zaczął czyścić zamek. Chociaż trzymał szmatkę daleko od Petera, od silnego zapachu i tak zakręciło mu się w głowie. – Może ty to zrobisz? – zaproponował niespodziewanie tata. – Trzymaj.

Peterowi aż szczęka opadła z wrażenia. Miał naprawdę wziąć w ręce strzelbę, po tym co się wydarzyło, gdy był tutaj wraz z Josie? Może wolno mu to zrobić, ponieważ tata go teraz pilnuje, a może to pułapka i zostanie ukarany tylko za to, że miał ochotę ponownie potrzymać broń? Niepewnie sięgnął po sztucer, zdumiony, podobnie jak poprzednio, jego znacznym ciężarem. W komputerowej grze Joeya, zwanej Big Buck Hunter, wszystkie postaci wymachiwały strzelbami, jakby były lekkie niczym piórko.

Okazało się, że to nie pułapka. Ojciec rzeczywiście chciał, żeby Peter mu pomógł. Teraz sięgnął po kolejną puszkę – smar do broni – i nalał troszkę na drugą szmatkę.

– Naoliwimy zamek i kapniemy kroplę na iglicę... Chcesz wiedzieć, synku, jak działa sztucer? Podejdź tu do mnie. Wewnątrz zamka, czego nie widzimy, znajduje się potężna sprężyna. Kiedy naciskasz na spust, sprężyna ulega zwolnieniu, uderza w iglicę i przesuwa ją odrobinę... – Dla ilustracji ojciec rozsunął kciuk i palec wskazujący o parę milimetrów. – Iglica nakłuwła nabój... i aktywuje spłonkę, która zapala materiał wybuchowy, umieszczony w naboju. Widziałeś naboje, prawda? Zauważyłeś, że na końcu są mocno wydłużone? To właśnie w tej cienkiej części mieści się właściwy pocisk, a kiedy proch ulega zapaleniu, wytwarza za pociskiem ciśnienie, które wypycha go do przodu.

Ojciec wziął zamek z ręki Petera, naoliwił i odłożył na bok.

– A teraz zajrzyj w głąb lufy. Co widzisz?

– Coś, co przypomina makaron, który mama czasami gotuje na obiad.

– Rzeczywiście. Jak on się nazywa? Rotini? Lufa jest wewnątrz nagwintowana. Niczym śruba. Kiedy nabój przez nią przelatuje, gwint wprawia go w szybki ruch wirowy. I nabój się zachowuje podobnie jak piłka futbolowa, kiedy w czasie rzutu ją podkręcisz.

Peter próbował tak parę razy zrobić, gdy przed domem grał z tatą i Joeyem, ale piłka była za duża dla małej dłoni chłopca i zazwyczaj lądowała tuż u jego stóp.

– Jeżeli pocisk wylatuje z lufy, wirując jednocześnie wokół własnej osi, leci prościutko i nie zbacza z toru. – Ojciec sięgnął po długi wycior, który miał pętelkę na końcu. Wsunął w tę pętelkę szmatkę, po czym umoczył ją w ostro pachnącym płynie. – Proch pozostawia w środku lufy smolisty osad, i ten osad właśnie musimy usunąć.

Ojciec energicznie wsuwał do lufy i wysuwał z niej wycior – wyglądało to tak, jakby ubijał masło. Zmienił szmatkę, potem jeszcze raz i jeszcze, aż ostatnia wyszła z lufy zupełnie czysta, bez ciemnych smug.

– Kiedy byłem w twoim wieku, Peterze, mój tata też mi pokazał, jak czyścić broń. – Ojciec wrzucił zużyte szmatki do kosza. – Pewnego dnia, już całkiem niedługo, zabiorę cię na polowanie.

Peter wprost nie posiadał się z oszołomienia i dumy. On, który nie umiał porządnie rzucić piłki do kosza ani dryblować w czasie gry w nogę, a nawet niespecjalnie dobrze pływał – on miał teraz iść na polowanie z ojcem! Najbardziej w tym pomysle podobało mu się to, że nie będzie razem z nimi Joeya. Zaczął się zastanawiać, jak długo przyjdzie mu czekać na tę przygodę i jak się poczuje, gdy będą z tatą robili coś sami, tylko we dwóch.

– Hm – mruknął ojciec. – A teraz jeszcze raz obejrzyj wnętrze lufy.

Peter przytknął jej wylot do oka.

– Chryste, Peter! – Ojciec wyjął mu sztucer z dłoni. – Nigdy nie wolno ci w ten sposób chwytać broni! Nawet jeżeli nie ma w niej zamka,

czyli teoretycznie jest bezpieczna. Pamiętaj, nigdy nie kieruj wylotu lufy na coś, czego nie chcesz zastrzelić.

Peter zmrużył oko i zajrzał w lufę od prawidłowej strony. Była oślepiająco błyszcząca, srebrzysta, wprost doskonała.

Ojciec przejechał naoliwioną szmatką lufę od zewnątrz.

– A teraz pociągnij za spust – polecił.

Peter spojrzał na ojca pełnym niedowierzania wzrokiem. Nawet on wiedział, że tego w żadnym razie nie wolno mu robić.

– Broń jest teraz bezpieczna – zapewnił tata. – Trzeba nacisnąć na spust, żeby prawidłowo złożyć sztucer z powrotem.

Peter z wahaniem zahaczył palec o półksiężycowaty kawałek metalu i nacisnął. Wówczas zwolniła się mała zapadka i zamek gładko wszedł na swoje miejsce.

A potem tata zaniósł sztucer z powrotem do sejfów.

– Ludzie, którzy nie lubią widoku broni, zazwyczaj nic o niej nie wiedzą. Ale jak się ją już pozna, niebezpieczeństwo znika.

Wykład taty sprawił, że nagle aura tajemniczości, która otaczała broń i popchnęła Petera do podwędzenia klucza od sejfów z ojcowskiej szuflady na bieliznę, a także pokazania sztucera Josie, zniknęła. Teraz, kiedy widział sztucer rozebrany na części, a potem złożony z powrotem, pojął, czym naprawdę jest broń palna: zbiorem kawałków metalu, sumą różnych części.

Broń sama w sobie nic nie znaczyła – tak naprawdę liczył się tylko trzymający ją w rękach człowiek.

Nie ma większego znaczenia, czy wierzysz, czy też nie wierzysz w przeznaczenie – istotne, kogo będziesz winić, gdy się wydarzy jakieś nieszczęście. Czy uznasz, że gdybyś się bardziej starał, pilniej nad sobą pracował, nic złego by cię nie spotkało? Czy może zwalisz wszystko na okoliczności? Znam ludzi, którzy na wieść o śmierci innych będą mówić, że to wola boża. I takich, którzy zaczną mówić o pechu. No i z pewnością pojawi się mój niekwestionowany faworyt spośród tych

wyjaśnienie: znaleźli się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim czasie.

Chociaż, z drugiej strony, czy właśnie tego nie można by powiedzieć o mnie?

Dzień później

Na Boże Narodzenie, szóste w swoim życiu, Peter dostał akwariową rybkę. Był to bojownik japoński o strzępiastym, cienkim jak bibułka ogonie, sunącym za rybą na podobieństwo trenu u sukni gwiazdy filmowej. Peter nazwał swojego bojownika Wolverine, po czym godzinami się wpatrywał w jego cekinowe oczy i łuski srebrzystym niczym poświata księżyca. Ale już kilka dni później zaczął rozmyślać nad tym, jak sam by się czuł, gdyby jego cały świat się ograniczył do jednego szklanego naczynia. Kiedy ryba unosiła się nad pokręconym wąsem plastikowej rośliny, zastanawiał się, czy Wolverine za każdym razem odkrywa w tym kawałku plastiku coś nowego i intrygującego, czy po prostu odlicza kolejne odbębnione opłynięcie go wkoło.

Peter nabrał nawyku wstawania w środku nocy, żeby sprawdzić, czy jego ryba kiedykolwiek zasypia, ale bez względu na to, o której się obudził, ona zawsze była w ruchu. Peter próbował też sobie wyobrazić, co widzi jego ryba, gdy on na nią patrzy: zapewne wielkie oko, pojawiające się niczym wschodzące słońce po drugiej stronie grubego szkła. Peter słyszał, jak pastor Ron mówił w kościele, że Bóg ogarnia swoim spojrzeniem cały świat, i zaczął się zastanawiać, czy dla swojej ryby nie jest przypadkiem bogiem.

Teraz, gdy siedział w celi więzienia hrabstwa Grafton, usiłował sobie przypomnieć, co się stało z jego rybą. Zapewne zdechła. Prawdopodobnie on sam doprowadził ją do śmierci tym ciągłym

wlepianiem w nią wzroku.

Zerknął na kamerę umieszczoną w górnym rogu celi, mrugającą z beznamiętną regularnością. Oni – kimkolwiek byli ci „oni” – cały czas go obserwowali, ponieważ nie chcieli dopuścić, żeby sam się zabił, zanim zostanie publicznie ukrzyżowany. Z tego też powodu w jego celi nie było normalnej pryczy, poduszki czy choćby karimaty – jedynie twarda decha oraz ta idiotyczna kamera.

Chociaż, z drugiej strony, może i lepiej, że tak go potraktowali. O ile się zdołał zorientować, był sam na tym małym oddziale pojedynczych cel. Kiedy samochód szeryfa zatrzymał się przed więzieniem hrabstwa, ogarnęło go autentyczne przerażenie. Ostatecznie Peter oglądał telewizję, wiedział więc, co się wyrabia w takich miejscach. Podczas całej procedury przyjmowania na oddział nie odezwał się ani słowem – nie dlatego, że był takim twardzielem, ale ponieważ się bał, że skoro już otworzy usta, zanieśie się strasznym łkaniem, którego już nigdy nie zdoła powstrzymać.

Dobiegł go metaliczny poświst, przywodzący na myśl ścierające się szpady, a po nim odgłos kroków. Peter nie ruszył się z miejsca – przygarbiony, obejmował mocno podciągnięte kolana. Nie chciał sprawiać wrażenia gorliwego, nie chciał też wzbudzać litości. Wtapienie się w tło – tę sztukę opanował do perfekcji. Ostatecznie doskonalił się w niej przez ostatnie dwanaście lat.

Strażnik zatrzymał się przed jego celą.

– Masz widzenie – oznajmił i otworzył drzwi.

Peter podniósł się powoli, spojrzął w oko kamery, po czym ruszył za strażnikiem szarym, odrapanym korytarzem.

Czy trudno byłoby się wyrwać z więzienia? Może, jak w grach komputerowych, zdołałby powalić cudownym ciosem kung-fu tego strażnika, a potem jeszcze kilku następnych, wybiec za drzwi i wciągnąć w płuca haust świeżego powietrza, którego zapach powoli już się ulatniał z jego pamięci?

A co, jeżeli będzie musiał zostać tu na zawsze?

Ledwo ta myśl przemknęła mu przez głowę, przypomniał sobie, co

się stało z jego rybką. Przejęty hasłami obrońców praw zwierząt, w odruchu humanitaryzmu wyjął ją z małego, pękatego akwarium i spuścił z wodą w ubikacji. Wyobraził sobie, że rura kanalizacyjna wiedzie do wielkiego oceanu, w którym Wolverine odnajdzie drogę do Japonii i swoich pobratymców, innych bojowników. Ale kiedy się zwierzył ze swojego czynu Joeyowi, brat opowiedział mu o ściekach i jasno wykazał, że zamiast podarować swojej rybce wolność, Peter skazał ją na śmierć.

Strażnik zatrzymał się przy drzwiach, na których widniał napis SALA KONFERENCYJNA. Peter nie sądził, żeby z wizytą mógł przyjść ktoś poza rodzicami, a akurat z nimi nie miał ochoty się teraz widzieć. Natychmiast zasypią go pytaniami, na które nie znał odpowiedzi. Pytaniami w rodzaju: „Jak syn, którego wieczorem otulało się kołdrą, następnego ranka wstawał jako całkiem inny, obcy stwór?”. Może więc o wiele lepiej byłoby, gdyby wrócił do celi i towarzystwa kamery, która, co prawda, nieustannie się na niego gapiła, ale przynajmniej nie formułowała żadnych ocen?

– Wchodź – polecił strażnik i otworzył przed Peterem drzwi.

Peter wziął głęboki oddech, zastanawiając się przy tym, co czuła jego ryba, kiedy – zamiast w błękitnych falach oceanu – wylądowała w morzu gówna.

Jordan wszedł do budynku więzienia hrabstwa Grafton i zatrzymał się na wartowni. Przed wizytą u Petera Houghtona musiał złożyć podpis na odpowiednim formularzu oraz dostać identyfikator z napisem GOŚĆ od strażnika urzędującego po drugiej stronie pleksiglasowej szyby. Jordan podpisał się na czekającym na niego arkuszu i wsunął podkładkę z klipsem w wąski otwór u dołu plastikowego przepierzenia, ale po drugiej stronie nie było nikogo, kto by ją przyjął. Dwaj strażnicy stali odwróceny do Jordana plecami, skupieni na małym czarno-białym telewizorze, który – jak wszystkie

inne odbiorniki telewizyjne na całej planecie – był nastawiony na kanał relacjonujący wydarzenia w Sterling High.

– Przepraszam – odezwał się Jordan, ale żaden z mężczyzn nie zareagował.

„Kiedy doszło do strzelaniny” – rozległ się głos reportera – „Ed McCabe wyrzwał zza drzwi gabinetu matematycznego, gdzie prowadził zajęcia z dziewięcią klasą, i własnym ciałem osłonił swoich uczniów przed kulami napastnika”.

Na ekranie pojawiła się twarz szlochającej kobiety oraz białe drukowane litery, głoszące: JOAN MCCABE, SIOSTRA OFIARY. „Bardzo się troszczył o te dzieciaki – oznajmiła przez łzy. – Troszczył się o nie przez siedem lat pracy w Sterling i chronił je do ostatnich chwil swojego życia”.

Jordan zniecierpliwiony przestąpił z nogi na nogę.

– Halo!

– Moment, kolego – burknął jeden ze strażników i nonszalancko machnął w powietrzu dłonią.

Na ekranie znowu się pojawił ziarnisty wizerunek reportera. Wiatr unosił mu włosy na podobieństwo wydymanego bryzą żagla, a zza ramienia wyłaniała się monotonna w swej jednolitości, ceglana ściana szkoły.

„Koledzy zapamiętaj Eda McCabe’a jako świetnego, zaangażowanego nauczyciela, który chętnie poświęcał swój prywatny czas na pomoc uczniom, oraz jako wielkiego miłośnika wędrówek krajoznawczych, z entuzjazmem opowiadającego w pokoju nauczycielskim o swoim największym marzeniu: przejściu pieszo przez Alaskę. Marzeniu – dorzucił grobowym tonem reporter – które już nigdy się nie spełni”.

Jordan chwycił za podkładkę, po czym z całej siły pchnął ją przez szczelinę w pleksiglasie, tak że z głośnym trzaskiem spadła na posadzkę. Obaj strażnicy natychmiast się odwrócili.

– Przyszedłem na spotkanie z klientem – oznajmił.

Lewis Houghton był profesorem w Sterling College od dziewiętnastu lat i przez ten cały czas ani razu się nie zdarzyło, żeby nie wygłosił swojego cotygodniowego wykładu dla studentów. Aż do dzisiejszego dnia. Kiedy Lacy do niego zadzwoniła, opuścił kampus w takim pośpiechu, że nawet zapomniał wywiesić na drzwiach auli kartkę odwołującą zajęcia. Przed oczami stanął mu obraz studentów czekających, aż się pojawi za katedrą i wygłosi zdania, które oni skrzętnie zanotują, jakby to, co miał im do powiedzenia, było wciąż nieskazitelnym moralnie.

Jakie słowo, jaka uwaga, jaki komunał, który kiedyś wypowiedział, pchnął Petera do tego czynu?

Jakie słowo, jaka uwaga, jaki komunał, którego swego czasu nie wypowiedział, mógłby go od tego powstrzymać?

Siedział wraz z Lacy we własnym ogródku, czekając, aż policja opuści ich dom. Jeden funkcjonariusz właśnie stamtąd wyszedł, ale zapewne tylko po to, by rozszerzyć zakres nakazu przeszukania. Lewis i Lacy stali przez jakiś czas na podjeździe i przyglądali się policjantom wynoszącym worki lub kartony z przedmiotami, których rekwizycji Lewis się spodziewał – jak sprzęt komputerowy i książki z pokoju Petera – oraz takimi, których widok go zaskoczył – jak rakietka tenisowa czy duże kuchenne pudełko zapalek sztormowych.

– I co my teraz zrobimy? – zapytała Lacy.

Lewis tylko pokręcił głową. Na potrzeby jednego ze swoich artykułów, dotyczących wymiernej wartości szczęścia, przeprowadzał wywiady ze starszymi ludźmi, z których wielu miało myśli samobójcze. „Już nic nas w tym życiu nie czeka” – powtarzali, i wówczas Lewis nie był w stanie pojąć tego kompletnego braku nadziei. W owym czasie nie umiał sobie wyobrazić, jak to możliwe, by świat tak bardzo obrzydł człowiekowi, że nie dostrzegał w nim żadnych jasnych stron.

– Teraz już nic nie możemy zrobić – odparł. I naprawdę tak uważał. W zamyśleniu przeniósł wzrok na policjanta wsuwającego do radiowozu stos starych komiksów Petera.

Kiedy tego dnia wrócił do domu, zobaczył żonę spacerującą nerwowo po podjeździe. Lacy, ledwie go ujrzała, natychmiast rzuciła mu się w ramiona.

– Dlaczego? – zanosła się płaczem. – Dlaczego?!

To pytanie w istocie kryło w sobie tysiące innych pytań, ale Lewis nie umiał odpowiedzieć na żadne z nich. Przyłgął do żony, jakby była zbawienną kłodą drewna, dryfującą na powodziowej fali, i wówczas zauważył oczy sąsiada szpiegujące zza firanki.

To właśnie wtedy przeszli do ogrodu i usiedli na huśtawce okolonej gąszczem nagich gałęzi oraz łachami topniejącego śniegu. Lewis zastygł w idealnym bezruchu; palce i wargi miał zdrętwiałe z zimna i szoku.

– Czy sądzisz, że to nasza wina? – wyszeptwała Lacy.

Szczerze zdumiała Lewisa swoją odwagą: ośmieliła się powiedzieć na głos to, o czym on nawet bał się pomyśleć. Ale też o czym innym mogliby mówić? Strzelanina stała się faktem dokonany; ich syn był w nią zamieszany. A z faktami nie ma sensu polemizować, można je najwyżej poddać relatywizacji.

Lewis zwiesił głowę.

– Nie wiem.

Nawet nie umiał sobie wyobrazić, według jakiego klucza miałby wartościować ich rodzicielskie kompetencje. Czy doszło do tego dramatu, ponieważ Lacy zbyt często nosiła Petera na rękach, kiedy był malutki? A może dlatego, że ilekroć stawiający pierwsze kroki Peter się przewracał, Lewis wybuchał śmiechem w nadziei, że dziecko nie będzie płakać, gdy zobaczy, że nie ma żadnego powodu do płaczu? Czy powinni starannie nadzorować wszystko, co Peter czytał, co oglądał, czego słuchał... czy też przytłaczanie go rodzicielską kontrolą doprowadziłoby do takiego samego rezultatu? Nie sposób również wykluczyć, że istota problemu tkwiła w kombinacji osobowości Lewisa i Lacy. Jeżeli miarą osiągnięć pary małżeńskiej miałyby być dzieci, trzeba uznać, że oni zawiedli na całej linii.

I to dwukrotnie.

Lacy koncentrowała wzrok na skomplikowanym kamiennym

wzorze pod stopami. Lewis doskonale pamiętał, jak budował to patio – własnoręcznie zniwelował teren, a potem układał kostkę. Peter chciał mu pomagać, ale Lewis się nie zgodził. Kamienne elementy były zbyt ciężkie. „Mógłbyś sobie zrobić krzywdę” – powiedział wówczas.

Gdyby nie rozciągał nad synem parasola ochronnego i pozwolił, żeby Peter poznał, czym jest fizyczny ból, to może nie przyszłoby mu do głowy zadawać go innym?

– Jak miała na imię matka Hitlera? – zapytała nagle Lacy.

Lewis spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Co takiego?

– Czy była potworem?

Otoczył żonę ramieniem.

– Nie pogńębaj się w taki sposób – mruknął.

Lacy wtuliła twarz w jego ramię.

– Dlaczego? Przecież inni będą się nad tym zastanawiać.

Od czasu do czasu Lewis wmawiał sobie, że wszyscy wokół się mylą – że to nie jego syn popełnił te straszne czyny. W pewnym sensie miał oczywiście rację: chociaż na Petera wskazywały setki świadków, chłopiec, którego widzieli, nie był tym samym chłopcem, z którym Lewis rozmawiał zaledwie poprzedniego wieczoru tuż przed rozejściem się do łóżek.

Krótką wymianę zdań dotyczyła samochodu Petera. „Wiesz, że przed końcem miesiąca musisz zrobić przegląd?” – przypomniał Lewis. „uhm – odparł Peter. – Już się umówiłem z mechanikiem”.

Czy wtedy także kłamał?

– Ten adwokat...

– Obiecał, że do nas zadzwoni – wtrącił pośpiesznie Lewis.

– Powiedziałeś mu, że Peter jest uczulony na skorupiaki? Jeżeli mu je podadzą...

– Powiedziałem – zapewnił Lewis, chociaż wcale tego nie zrobił. Stał mu przed oczami obraz Petera siedzącego w celi więzienia, obok którego przejeżdżali każdego lata w drodze do lunaparku. Przypomniał sobie, jak Peter zadzwonił do domu w drugim dniu wakacyjnego obozu

z błaganiem, żeby go stamtąd zabrać. Chcąc nie chcąc, wciąż wracał myślami do swojego syna – bo to wciąż był jego syn, nawet jeżeli naprawdę zrobił coś tak niewyobrażalnego, że ilekroć Lewis zamykał oczy, pod powiekami stawały mu najstraszliwsze obrazy, a w piersi ścisnęło tak mocno, że nie był w stanie zaczerpnąć dostatecznej ilości powietrza.

– Lewis? – Lacy spojrzała na niego z niepokojem. – Nic ci nie dolega?

Pokręcił głową z uśmiechem, chociaż rzeczywistość nieustannie go dławiała.

– Panie Houghton?

Oboje podnieśli wzrok i ujrzeni przed sobą policjanta.

– Czy mógłbym prosić pana na moment?

Lacy także chciała się poderwać z ławki, ale Lewis ją powstrzymał. Nie wiedział, dokąd chce go zabrać ten funkcjonariusz i co zamierza mu pokazać. Nie chciał narażać żony na dodatkowy wstrząs, o ile nie było to konieczne.

Wszedł za policjantem do własnego domu i stanął jak wryty na widok detektywów w białych rękawiczkach, przeczesujących kuchnię, grzebiących w jego szafach. A kiedy policjant poprowadził go do piwnicznych drzwi, Lewis zaczął się pocić. Dobrze wiedział, co go czeka, chociaż z rozmysłem wyrzucał ten problem z głowy od chwili, gdy Lacy po raz pierwszy do niego zadzwoniła.

W piwnicy stał jeszcze jeden detektyw i jego plecy przesłaniały Lewisowi część wnętrza. Na dole panowała temperatura o kilka stopni niższa niż na zewnątrz, mimo to Lewisa zalała fala gorąca. Szybko otarł czoło rękawem.

– Czy znajdująca się tu broń należy do pana?

– Owszem – odparł z trudem Lewis. – Jestem myśliwym.

– Proszę nam powiedzieć, panie Houghton, czy wszystkie sztuki są na swoim miejscu? – Policjant odsunął się na bok, odsłaniając oszkloną szafkę.

Pod Lewisem ugięły się nogi. Trzy z pięciu karabinków stały w

środku gabloty, niczym niechciane panny, podpierające ściany na zabawie tanecznej.

Dwóch brakowało.

Aż do pory Lewis nie chciał wierzyć w te potworne opowieści na temat Petera. Aż do tej chwili uważał, że najwyżej doszło do jakiegoś katastrofalnego w skutkach wypadku.

Teraz natomiast zaczął obwiniać samego siebie.

Odwrócił się w stronę policjanta z beznamiętnym, niezdradzającym żadnych uczuć wyrazem twarzy. Z wyrazem twarzy, jak nagle sobie uświadomił, który przejął od własnego syna.

– Nie – odpowiedział. – Nie wszystkie.

Jedna z podstawowych zasad zawodu adwokata głosiła: Zachowuj się tak, jakbyś wszystko wiedział, mimo że tak naprawdę o niczym nie masz pojęcia. obrońca stawał oko w oko z nieznanym sobie klientem, który mógł zostać uniewinniony lub nie mieć na to cienia szansy. Dowcip polegał na tym, żeby być zdystansowanym i jednocześnie władcym. Należało od pierwszej chwili określić zasady relacji: Ja tu rządę, a ty mówisz mi jedynie to, co muszę wiedzieć.

Jordan setki razy się znajdował w podobnej sytuacji – czekał w tej samej salce tego samego więzienia na przybycie swojego kolejnego klienta – więc szczerze wierzył, że widział już absolutnie wszystko. A tymczasem – o, dziwo – Peterowi Houghtonowi udało się go zaskoczyć. Biorąc pod uwagę rozmiary masakry i przerażenie ludzi, których Jordan widział na ekranie telewizora... cóż, ten chudy, piegowaty dzieciak w okularach wydawał się absolutnie niezdolny do podobnego czynu.

Taka była pierwsza myśl Jordana. A zaraz po niej pojawiła się następna: Jego wygląd zadziała na moją korzyść.

– Peterze, nazywam się Jordan McAfee i jestem adwokatem. Zostałem wybrany przez twoich rodziców do reprezentowania cię przed sądem.

Czekał na jakąś reakcję, ale na próżno.

– Siadaj.

Chłopak się nie ruszył.

– W takim razie sobie postój – dorzucił Jordan. Przybrał profesjonalną maskę obojętności i spojrzał na Petera. – Jutro odbędzie się rozprawa wstępna. Sędzia nie wyrazi zgody na kaucję. Będziemy mieli okazję omówić zarzuty prokuratury rano, zanim się udamy do sądu. – Dał Peterowi chwilę na przyswojenie sobie tych informacji. – Od tej pory nie będziesz już musiał przechodzić przez to sam. Teraz ja będę u twojego boku.

Czy Jordanowi się zdawało, czy po jego słowach w oczach Petera rzeczywiście pojawił się żywszy błysk? Tak czy owak, nawet jeżeli ów błysk tam był, natychmiast zniknął. Peter ponownie wbijał wzrok w ziemię z beznamiętnym wyrazem twarzy.

– No dobrze. – Jordan powoli podniósł się z krzesła. – Jakies pytania?

Zgodnie z przewidywaniami, nie było żadnych. Do diabła, przy takim zaangażowaniu Petera w ich rozmowę Jordan mógł równie dobrze przeprowadzić pogawędkę z którąś z najbardziej pechowych ofiar strzelaniny.

Niewykluczone, że w istocie rozmawiasz z ofiarą, zadzwieczał Jordanowi w głowie jakiś cichy głos, który cholernie podejrzanie przypominał brzmienie głosu jego żony.

– W porządku. A więc do zobaczenia jutro. – Zastukał w drzwi, żeby wezwać strażnika, który miał zaprowadzić Petera z powrotem do celi, i wówczas niespodziewanie chłopak się odezwał.

– Ilu dorwałem?

Jordan zatrzymał się z ręką na kłamce, ale nie odwrócił głowy w stronę swojego klienta.

– Do zobaczenia jutro – powtórzył jedynie.

Doktor Ervin Peabody mieszkał po drugiej stronie rzeki, w Norwich, w stanie Vermont, natomiast pracował na pół etatu w Sterling, w

miejscowym college'u, na wydziale psychologii. Sześć lat temu, wraz z piątką współautorów, opublikował artykuł na temat przemocy w szkołach – czysto akademickie rozważania, o których już niemal zapomniał. A tymczasem właśnie do niego zadzwoniono z lokalnej, zafiliowanej z NBC stacji z Burlington, skąd nadawano poranny blok programowy. Ervin oglądał go niekiedy nad miską płatków śniadaniowych dla czystej przyjemności wykpiwania niekompetentnych dziennikarzy, raz po raz się kompromitujących z powodu swojej ignorancji.

„Szukamy kogoś, kto mógłby omówić strzelaninę z psychologicznego punktu widzenia” – oznajmił producent. A Ervin odpowiedział: „A więc lepiej nie mogliście trafić”.

– Sygnały ostrzegawcze? – powtórzył pytanie prezentera. – Cóż, takie nastolatki z reguły się alienują od ludzi. To typy samotnicze. Jeżeli już nawiązują z kimś rozmowę, często wspominają o chęci wyrządzenia krzywdy sobie lub innym. Nie potrafią się odnaleźć w środowisku szkolnym, trudno ich zdyscyplinować. Nie mają w swoim otoczeniu nikogo, dla kogo – przynajmniej w ich mniemaniu – byłiby ważni i wartościowi.

Ervin zdawał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy ta stacja nie zwróciła się do niego po fachową opinię, ale po wsparcie. Całe Sterling, a wraz z nim cały świat, chciało usłyszeć zapewnienie, że dzieciaki w rodzaju Petera Houghtona można bez trudu rozpoznać w tłumie; że potencjalna zdolność do przemiany młodego człowieka w mordercę rzuca się w oczy niczym znamię.

– A więc istnieje coś takiego jak profil szkolnego zabójcy? – naciskał prezenter.

Ervin Peabody spojrzał wprost w obiektyw kamery. Doskonale wiedział, że wygłaszane przy takich okazjach komunały w rodzaju: te dzieci ubierają się na czarno, są wyobcowane, słuchają dziwnej muzyki, sprawiają wrażenie gniewnych i zbuntowanych – odnoszą się do większości nastolatków płci męskiej na pewnym etapie ich życia. Wiedział też, że jeżeli jakaś głęboko zaburzona osoba postanowi

wyrządzić innym krzywdę, zapewne dopnie swego bez względu na okoliczności. Ale miał również świadomość, że w tej chwili wszystkie oczy z Connecticut Valley – może nawet z całego północnego wschodu – są skierowane właśnie na niego. A on się ubiegał o etat profesorski w Sterling College, więc szybko doszedł do wniosku, że odrobina dodatkowego prestiżu – etykieta „eksperta” – z pewnością mu nie zaszkodzi.

– Można by się zgodzić z takim stwierdzeniem – odparł autorytatywnym tonem.

To Lewis zawsze oporządzał gospodarstwo Houghtonów, zanim cały dom pogrążył się we śnie. Zaczynał od kuchni, gdzie ładował i puszczał w ruch zmywarkę. Następnie ryglował frontowe drzwi i gasił światła. W końcu szedł na górę. Lacy już zazwyczaj siedziała w łóżku i czytała książkę – o ile nie asystowała przy jakimś porodzie – a Lewis po drodze do sypialni zahaczał o pokój syna, po czym nakazywał Peterowi, żeby wyłączył komputer i kładł się spać.

Dzisiaj stanął na progu pokoju Petera i spojrzał na bałagan, jaki pozostał po policyjnym przeszukaniu. Pomyślał, że powinien poustawiać książki z powrotem na półkach i powkładać do szuflad biurka jego zawartość, walającą się teraz na podłodze. Ale po chwili jedynie cicho zamknął drzwi.

Lacy nie było w sypialni ani w łazience. Lewis wyczuł słuch i wówczas z pokoju znajdującego się dokładnie pod jego stopami dobiegł go szmer głosów: jakby ktoś ukradkiem prowadził rozmowę.

Cofnął się i zszedł po schodach. Z kim to Lacy mogła konwersować w samym środku nocy?

W ciemnym gabinecie ekran telewizora świecił zielonkawą, upiorną poświatą. Lewis nie pamiętał, że w tym pomieszczeniu w ogóle stoi telewizor – tak rzadko był używany. Zobaczył logo CNN, a u dołu znajomy, szybko się przesuający pasek informacyjny. Uderzyła go nagła myśl: aż do jedenastego września ów pasek nie istniał – pojawił

się dopiero wtedy, gdy ludzi ogarnęło tak straszne przerażenie, że chcieli natychmiast wiedzieć, co się dzieje w zamieszkiwanym przez nich świecie.

Lacy klęczała przed odbiornikiem, wpatrzona w twarz prezentera.

„Nie wiemy jeszcze dokładnie, skąd mężczyzna, który strzelał, miał broń, ani jaki to był rodzaj broni...”.

– Lacy... – odezwał się Lewis przez ściśnięte gardło. – Lacy, chodź spać.

Ale ona ani drgnęła – żadnym, choćby najdrobniejszym gestem nie dała do zrozumienia, że usłyszała słowa męża. Lewis ruszył w stronę telewizora, po drodze gładząc żonę po ramieniu.

„Wstępne raporty balistyczne mówią o dwóch pistoletach” – wyjawiał poufnym tonem prezenter, tuż zanim jego twarz zniknęła z ekranu.

Lacy się odwróciła w stronę Lewisa. Jej oczy przywodziły mu na myśl niebo oglądane z okna samolotu: bezkresna szarość, która była wszędzie i nigdzie zarazem.

– Wciąż mówią o nim „mężczyzna” – szepnęła. – A przecież to tylko chłopiec.

– Lacy – powtórzył cierpliwie Lewis, a ona wówczas się podniosła i wsunęła w jego ramiona, jakby właśnie usłyszała zaproszenie do tańca.

Jeżeli w szpitalu pilnie się nadstawi ucha, w końcu zawsze się pozna prawdę. Kiedy udajesz, że śpisz, pielęgniarki szepczą jedna do drugiej; policjanci się wymieniają poufnymi informacjami, gdy przemierzają korytarze; lekarze wchodzą do twojego pokoju, wciąż jeszcze pochłonięci omawianiem przypadku poprzedniego pacjenta.

Josie więc bez trudu ułożyła sobie w głowie listę rannych. Skategoryzowała też łączące ją z nimi relacje: gdzie ich widziała po raz ostatni; kiedy skrzyżowały się ich ścieżki; w jakim położeniu w stosunku do niej się znajdowali, gdy zostali postrzeleni.

Wśród rannych był Drew Girard – to on dopadł do Josie i Matta, by

im powiedzieć, że Peter Houghton rozstrzeliwuje szkołę. Była Emma, w kafeterii siedząca o trzy krzesła od Josie. I Trey MacKenzie, futbolista, który organizował odlotowe imprezy w swoim domu. I John Eberhard, niedługo przed strzelaniną jedzący frytki Josie. I Min Horuka, który przyjechał w ramach wymiany uczniowskiej z Tokio, a w ubiegłym roku spił się za boiskiem, po czym nasikał przez otwarte okno do samochodu dyrektora. I Natalie Zlenko, która stała przed Josie w kolejce do stołówkowego bufetu. Trener Spears i pani Ritolli, dwójka byłych nauczycieli Josie. A także maturzyści Brady Pryce i Haley Weaver – złota para Sterling High.

Byli też inni, znani Josie jedynie ze słyszenia: Michael Beach, Steve Babourias, Natalie Phlug, Austin Prokiov, Alyssa Carr, Jared Weiner, Richard Hicks, Jada Knight, Zoe Patterson – całkiem obcy jej ludzie, z którymi teraz połączyła ją nierozzerwalna więź.

Trudniej natomiast było poznać nazwiska zabitych. O nich szeptano nawet jeszcze ciszej, jakby ich stan mógł być zaraźliwy dla reszty nieszczęsnych dusz, wypełniających przestrzeń szpitalnych łóżek. Do Josie dotarły jednak pewne pogłoski: podobno zginął pan McCabe, a także Topher McPhee – szkolny dealer jointów. Żeby zgromadzić okruchy wiadomości, Josie próbowała oglądać telewizję, bo wszystkie stacje dwadzieścia cztery godziny na dobę nadawały raporty o strzelaninie, ale wówczas zazwyczaj zjawiała się matka i wyłączała odbiornik. Ze swoich zakazanych kontaktów z mediami Josie zdołała się dowiedzieć tylko jednego: było dziesięć ofiar śmiertelnych.

A wśród nich Matt.

Ilekcio Josie o nim myślała, coś dziwnego się działo z jej ciałem. Nie mogła oddychać, a wszystkie słowa więzły jej w gardle.

Dzięki środkom uspokajającym świat dokoła zdawał się odrealniony – jakby Josie dryfowała na dziwnym gąbczastym obłoku – ale gdy tylko przypominała sobie o Matcie, powracała rzeczywistość, a z nią nieznośny ból istnienia.

Już nigdy w życiu nie pocałuje Matta.

Już nigdy nie usłyszy jego śmiechu.

Nigdy nie poczuje jego dłoni na swoim ciele; nie przeczyta notki, wrzuconej przez niego przez szczelinę w szafce szkolnej; nigdy już nie będzie rozpinąć mu koszuli i nie poczuje bicia jego serca nad swoją dłonią.

Zdawała sobie sprawę, że wielu rzeczy nie pamięta; ta strzelanina nie tylko podzieliła jej życie na PRZED i PO, ale również ograbiła ją z pewnych umiejętności: jak przetrwać godzinę bez płaczu; jak nie czuć obezwładniającej słabości na widok czerwonego koloru; jak z małych fragmentów wspomnień skonstruować szkielet prawdy. Biorąc jednak pod uwagę rozmiary tragedii, przypominanie sobie tego wszystkiego byłoby wręcz nieprzyzwoite.

Josie rozmyślała o Matcie i bezwładnie osuwała się w świat makabry. Nieustannie dźwięczała jej w głowie fraza z Romea i Julii, od której cierpła jej skóra już wtedy, gdy omawiali tę sztukę na zajęciach: „Pośród robaków, kładących cię do snu”³. Tak powiedział Romeo w grobowcu Kapuletów na widok pozornie martwej Julii. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Ale przed tym obróceniem się w proch jest jeszcze całe mnóstwo różnych stadiów, o których nikt nie chce mówić, i kiedy w nocy pielęgniarki zniknęły z pokoju Josie, ona zaczęła się zastanawiać, ile trzeba czasu, żeby skóra zaczęła odpadać od czaszki; co się dzieje z galaretowatą tkanką oczu; i czy Matt już przestał wyglądać jak Matt. Obudziła się potem z przeszywającym krzykiem, ściągając tym do pokoju pół tuzina lekarzy i pielęgniarek, które musiały siłą zatrzymać ją w łóżku.

Jeżeli się oddaje komuś serce i ten ktoś umiera, czy zabiera ofiarowane serce ze sobą? Czy potem do końca życia chodzi się z wielką dziurą w środku, której już nic nigdy nie zdoła zapełnić?

Drzwi do pokoju Josie otworzyły się cicho i do środka weszła matka.

– Jesteś gotowa? – zapytała ze sztucznym uśmiechem, tak szerokim, że przecinał jej twarz na pół niczym równik.

Była zaledwie siódma rano, a Josie już zdążyli wypisać ze szpitala.

Skinęła głową w stronę matki. Prawdę mówiąc, w tej chwili dość szczerze jej nienawidziła. Matka odgrywała rolę zatroskanej i przejętej – tak bardzo się wysilała, jakby trzeba było strzelaniny, aby sobie uświadomiła, że między nią a Josie nie ma już żadnej więzi. Cóż, trochę się spóźniła. W kółko powtarzała, że gdyby Josie chciała się wygadać, ona wszystkiego wysłucha – co zakrawało na kpinę. Gdyby Josie miała ochotę na rozmowę, a zdecydowanie NIE MIAŁA, matka byłaby ostatnią osobą, której z czegokolwiek by się zwierzyła. Przede wszystkim dlatego, że i tak niczego by nie pojęła, zresztą nikt by nie pojął – z wyjątkiem innych dzieciaków, leżących teraz w rozmaitych salach tego szpitala. Nie chodziło przecież o jakieś przypadkowe zabójstwo w ciemnym zaułku, choć naturalnie to też byłoby straszne. Rzecz w tym, że wydarzyło się coś absolutnie najgorszego w miejscu, do którego Josie będzie musiała wrócić, czy jej się to podoba, czy nie.

Miała na sobie inne ubranie niż to, w którym ją tu przywieziono. Tamto zniknęło. Pewnie była na nim krew Matta. Jeżeli tak, to dobrze, że wylądowało na śmietniku. Bez względu na to, ile razy byłoby prane i traktowane wybielaczem, Josie wciąż miałaby przed oczami te plamy.

Głowa nadal ją bolała w miejscu, którym uderzyła o posadzkę, gdy zemdlała. Rozcięcie było dość spore – niewiele brakowało, a trzeba by założyć szwy. Do szycia jednak nie doszło, a mimo to lekarze zatrzymali ją na noc w szpitalu. (Właściwie po co? Bali się, że dostanie zawału? Wylewu krwi do mózgu? Czy że się targnie na własne życie?). Ledwo Josie się podniosła, matka doskoczyła do jej boku i podtrzymała ją ramieniem. Josie przypomniała sobie natychmiast, jak razem z Mattem spacerowali w lecie ulicami i wsuwali sobie nawzajem ręce do tylnych kieszeni dżinsów.

– Och, kochanie – westchnęła matka.

Dopiero wówczas Josie zdała sobie sprawę, że znowu się rozplakała. Teraz zdarzało się to tak często, że już nie zauważała, kiedy łzy zaczynają, a kiedy przestają płynąć. Matka podała jej chusteczkę.

– W domu od razu poczujesz się lepiej. Obiecuję.

A to dopiero odkrycie. Josie już po prostu nie mogła poczuć się

gorzej.

Zdobyła się jednak na grymas, który od biedy mógł uchodzić za uśmiech, ponieważ wiedziała, że matka oczekuje od niej uśmiechu. A potem pokonała piętnaście kroków, dzielących ją od drzwi szpitalnego pokoju.

– Uważaj na siebie, skarbie – powiedziała jedna z pielęgniarek, gdy dziewczynka mijała ich stanowisko.

Inna z nich, najbardziej przez Josie lubiana, ta, która karmiła ją kulkami lodów, uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Już nigdy więcej tu nie wracaj, słyszysz? – rzuciła na pożegnanie.

Josie powoli ruszyła w stronę windy, która z każdym krokiem zdawała się coraz bardziej oddalać. Kiedy wraz z matką przechodziły obok innych sal chorych, dojrzała znajome nazwisko na wywieszce: HALEY WEAVER.

Haley przez ostatnie dwa lata była królową zjazdu absolwentów. Ona i jej chłopak, Brady, uchodzili za Angelinę Jolie i Brada Pitta Sterling High. Swego czasu Josie szczerze wierzyła, że z Mattem przejmą od nich tę pałeczkę, gdy w przyszłym roku Haley i Brady rozpoczną studia. Nawet niepoprawne marzycielki, które wzdychały do uwodzicielskiego uśmiechu Brady'ego i jego idealnie wyrzeźbionego ciała, musiały przyznać, że życie potoczyło się jak w baśni, gdy zaczął chodzić z Haley – najpiękniejszą dziewczyną w szkole. Ze swoją kurtyną jasnoblond włosów i przejrzystymi, błękitnymi oczami, przywodziła Josie na myśl cudowną wróżkę – seraficzną, boską istotę, która spłynęła na ziemię, żeby spełniać ludzkie marzenia.

Na temat tej pary krążyło mnóstwo legend: że Brady zrezygnował z futbolowych stypendiów, oferowanych przez te college, gdzie nie było kierunku sztuk pięknych, na którym chciała studiować Haley; że Haley wytatuowała sobie imię ukochanego w jakimś intymnym miejscu; że przed pierwszą randką on wymościł płatkami róż siedzenie pasażera w swojej hondzie. Josie, obracająca się w tym samym towarzystwie co cudowna para, dobrze wiedziała, że to bzdety. Sama Haley twierdziła, że, po pierwsze, chodziło o zmywalny tatuaż, a, po drugie, nie były to

żadne płatki róż, lecz bukiet bzu, który Brady podprowadził z ogrodu sąsiada.

– Josie? – rozległ się szept z wnętrza pokoju. – Czy to ty?

Poczuła na ramieniu rękę matki, próbującą ją powstrzymać. Ale wówczas rodzice Haley, którzy do tej pory zasłaniali łóżko, odsunęli się na bok.

Prawą stronę twarzy Haley pokrywały bandaże; prawa połowa jej głowy została wygolona na łyso. Haley miała złamany nos, a odkryte oko było krwistoczerwonej barwy. Alex aż się zatchnęła na ten widok.

Josie weszła do środka i zmusiła się do uśmiechu.

– Josie, on je pozabijał – szepnęła Haley. – Zabił Courtney i Maddie. Potem wycelował we mnie, a wówczas Brady osłonił mnie własnym ciałem. – Po jej policzku spłynęła łza. – Słyszałaś, jak ludzie mówią, że by to zrobili dla ukochanej osoby...?

Josie zaczęła drżeć na całym ciele. Chciała zadać Haley setki pytań, ale zęby szczękały jej tak gwałtownie, że nie mogła wypowiedzieć ani słowa. Haley złapała ją za rękę i Josie mimochodem się wzdrygnęła. Chciała się stąd wyrwać. Chciała udawać przed samą sobą, że nigdy nie widziała Haley w takim stanie.

– Jeżeli cię o coś zapytam, będziesz ze mną szczerą?

Josie skinęła głową.

– Moja twarz... moja uroda... jest kompletnie zrujnowana, prawda?

Jose spojrzała wprost w nabiegłe krwią oko.

– Nie. Wyglądasz jak zwykle.

Obie wiedziały, że skłamała.

Josie pożegnała się z Haley i jej rodzicami, chwyciła matkę za rękę i popędziła jak najszybciej w stronę windy, chociaż każdy krok wywoływał nieznośny ból gdzieś za oczami. Niespodziewanie przypomniała sobie zajęcia z biologii, na których omawiali funkcjonowanie mózgu. Oglądali wówczas film przedstawiający przypadek mężczyzny, który – po uszkodzeniu któregoś z płatów mózgowych przez stalowy pręt – zaczął mówić płynnie po portugalsku, chociaż nigdy wcześniej się nie uczył portugalskiego. Może Josie

doświadczy teraz czegoś podobnego – może od tej pory z jej ust zaczną się wydobywać jedynie kłamstwa; może to będzie jej nowy język.

Kiedy następnego ranka Patrick powrócił do Sterling High, korytarze szkoły – za sprawą śledczych z biura kryminalistycznego – pokrywała zawiła pajęcza sieć. Na podstawie planu z zaznaczonym położeniem ofiar rozpinano sznurki, które biegły od miejsc, gdzie Peter Houghton przystawał, by oddać strzały lub przeładować broń, i ciągnęły się wzdłuż całej jego trasy. Linie w niektórych miejscach zachodziły na siebie nawzajem, układając się w namacalny diagram paniki i chaosu.

Patrick przez chwilę się przyglądał technikom przecinającym sznurkami hol, szafki i drzwi pomieszczeń. Próbował sobie wyobrazić, jakie to uczucie, gdy masa ludzka podrywa się do biegu na odgłos wystrzałów i napiera na ciebie niczym fala przyływu, a ty i tak wiesz, że nie jesteś w stanie biec szybciej od lecącego pocisku. Wówczas dociera do ciebie, że się znalazłeś w matni – wpadłeś w pajęczą sieć.

Patrick wszedł w labirynt sznurków, uważając, by nie zniweczyć pracy techników. Posłuży mu ona do dowodowego potwierdzenia zeznań świadków. Wszystkich – tysiąca dwudziestu sześciu osób.

Poranne wiadomości trzech lokalnych stacji telewizyjnych były niemal w całości poświęcone postawieniu zarzutów Peterowi Houghtonowi. Alex, z kubkiem kawy w ręku, stała przed telewizorem w swojej sypialni i wpatrywała się w budynek sądu dystryktowego, jej poprzednie miejsce pracy, obecnie stanowiące tło dla twarzy skwapliwych reporterów.

Szczęśliwie Josie spała w swoim pokoju ciężkim, pozbawionym snów snem, sprowadzonym przez środki uspokajające. Szczerze powiedziawszy, Alex bardzo potrzebowała tej chwili samotności. Któż mógłby przewidzieć, że kobieta, która z takim mistrzostwem panuje nad sobą w miejscach publicznych, będzie skrajnie wyczerpana utrzymaniem emocji na wodzy w obecności własnej córki?

Alex miała ogromną ochotę upić się do nieprzytomności. Chciała schować twarz w dłoniach i szlochać ze szczęścia, że jej córka znajduje się zaledwie dwa pomieszczenia dalej. Później, gdy Josie już się obudzi, zjedzą razem śniadanie. Ilu rodziców w tym mieście uświadomi sobie tego ranka, że to dla nich nieosiągalne marzenie?

Zgasiła telewizor. Nie chciała, żeby media w jakikolwiek sposób wpływały na jej bezstronność i obiektywizm.

Wiedziała, że będzie musiała stawić czoło oponentom – bo z pewnością pojawią się głosy utrzymujące, że skoro jej córka była uczennicą Sterling High, Alex powinna zostać odsunięta od przewodniczenia sesji. Gdyby Josie została postrzelona, sama by natychmiast zrezygnowała. Gdyby Josie nadal się przyjaźniła z Peterem Houghtonem, wręcz poprosiłaby o zastępstwo. Ale w zaistniałych okolicznościach obiektywizm Alex nie uległ większemu zmąceniu niż obiektywizm jakiegokolwiek innego sędziego, mieszkającego w tym stanie bądź znającego któreś z dzieci, uczęszczających do tej szkoły, czy będącego rodzicem nastolatka. Sędziowie w Północnej Krainie muszą się liczyć z nieuniknionym: wcześniej czy później ktoś, kogo dobrze znają, wyląduje na ich sali rozpraw. Kiedy Alex pracowała w sądzie dystryktowym, musiała orzekać w sprawie swojego listonosza, u którego w samochodzie znaleziono marihuanę, a także swojego mechanika, oskarżonego przez żonę o zakłócenie miru domowego. Tak długo, jak sprawa nie dotyczyła Alex osobiście, zgodnie z literą prawa mogła – ba, musiała! – wydać werdykt. W wypadku osób, które się znało, należało po prostu całkowicie się zdystansować – być ogniwem wymiaru sprawiedliwości i niczym poza tym. W opinii Alex strzelanina w Sterling podlegała takim samym regułom, tyle że konsekwencje przestępstwa wymagały wyjątkowej staranności procesowej. Prawdę powiedziawszy, Alex uważała, że w wypadku sprawy tak monstrualnie nagłośnionej przez media jedynie sędzia wywodzący się z adwokatury – jak to było w jej przypadku – potrafi naprawdę bezstronnym okiem spojrzeć na sprawcę. I im więcej o tym rozmyślała, tym bardziej się utwierdzała w przekonaniu, że w tym postępowaniu tylko ona może

być gwarantką obiektywizmu, a to z kolei czyniłoby żądanie jej ustąpienia wręcz groteskowym.

Pociągnęła kolejny łyk kawy, a potem na palcach ruszyła w stronę pokoju córki. Okazało się, że drzwi stoją otworem, a w środku nie ma żywej duszy.

- Josie?! – Alex ogarnęła fala paniki. – Josie? Wszystko w porządku?
- Jestem na dole!

Na dźwięk tego głosu Alex poczuła, jak obręcz ściskająca jej żołądek zaczyna puszczać. Zeszła po schodach na parter i ujrzała córkę siedzącą przy kuchennym stole.

Josie była starannie ubrana – miała na sobie spódniczkę i czarny sweter. Jej włosy wciąż połyskiwały wilgocią po prysznicu, a gazę na czole częściowo zakrywała misternie ułożona grzywka. Josie spojrzała uważnie na matkę.

- Czy wyglądam odpowiednio? – spytała.

– Odpowiednio do czego? – Alex zbaraniała. To chyba niemożliwe, żeby jej córka się wybierała do szkoły? Lekarze uprzedzili, że Josie być może już nigdy nie przypomni sobie strzelaniny... czyżby jednak wymazała z pamięci fakt, że w ogóle do niej doszło?!

- Do sądu. Dzisiaj odczytanie zarzutów prokuratury.

– Kochanie, nie ma mowy, żebyś się dziś znalazła choćby w pobliżu sali rozpraw.

- Ale ja muszę.

- Wykluczone – odparła Alex bez ogródek.

Josie wyglądała tak, jakby za chwilę miała się rozsypać psychicznie.

- Ale dlaczego?

Alex otworzyła usta, ale nie była w stanie udzielić żadnej rzeczowej odpowiedzi. W tej chwili nie działała zgodnie z logiką, ale kierowała się intuicją; po prostu nie chciała, żeby Josie na nowo przeżywała ten koszmar.

- Bo ja tak mówię – wypaliła w końcu.

- To żaden argument – zaprotestowała Josie.

- Ponieważ wiem, co zrobiliby reporterzy, gdyby cię dzisiaj

zobaczyli w sądzie. I wiem także, że nie wydarzy się tam nic nadzwyczajnego. A przede wszystkim nie chcę cię teraz spuszczać z oka.

– Więc jedź ze mną.

Alex pokręciła głową.

– Nie mogę – odparła łagodnie. – Będę przewodniczyła rozprawie głównej.

Josie pobladła i Alex zdała sobie nagle sprawę, że aż do tej pory jej córka nie uwzględniała podobnej możliwości. Proces, to oczywiste, jeszcze powiększy dzielący je mur. Jako sędzia Alex nie będzie mogła prowadzić z córką rozmów dotyczących postępowania; podczas gdy Josie rozpocznie walkę o uwolnienie się od tej tragedii, ona będzie coraz bardziej się w nią zagłębiać. Jakże mogła tyle rozważań poświęcić wszelkim aspektom czekającej ją rozprawy, a jednocześnie ani przez moment się nie zastanowić, jak ta cała sytuacja wpłynie na jej własne dziecko? Josie teraz kompletnie nie obchodziło, czy jej matka jest bezstronnym, sprawiedliwym sędzią. Ona chciała – potrzebowała! – matczynej troski i uwagi; problem w tym, że – w odróżnieniu od zawilości prawnych – Alex nie radziła sobie najlepiej z macierzyńskimi obowiązkami.

Ni stąd, ni zowąd przyszła jej na myśl Lacy Houghton – matka, która w tej chwili się znajdowała w zupełnie innym kręgu piekła. Lacy chwyciłaby Josie za rękę i usiadła obok, a w jej wykonaniu ten gest byłby naturalnym odruchem współczucia, a nie wykoncypowaną rozumowo reakcją. Alex musiała sięgnąć pamięcią lata wstecz, by odnaleźć prawdziwą więź z córką – przypomnieć sobie, jaki impuls, który działał wtedy, byłby skuteczny także teraz i zdołał połączyć je na nowo.

– Może pójdziesz się przebrać, a potem się zabierzemy do smażenia naleśników? Swego czasu bardzo to lubiaś.

– Uhm, kiedy miałam pięć lat...

– A więc upieczmy ciastka z groszkami czekoladowymi...

Josie zamruwała gwałtownie.

– Jesteś na cracku?

Nawet dla samej Alex te propozycje brzmiały absurdalnie, ale rozpaczliwie pragnęła pokazać Josie, że może i chce się o nią zatroszczyć – że jej praca nie jest ważniejsza od córki. Podniosła się z krzesła i zaczęła otwierać wszystkie szafki, aż w końcu znalazła zestaw do scrabble.

– A co powiesz na to? – Uniosła w górę pudełko. – Założę się, że nie zdołasz mnie pokonać.

Josie także wstała.

– Wygrywasz walkowerem – oznajmiła drewnianym głosem i odeszła.

Uczeń, z którym przeprowadzała wywiad stacja z Nashua, zafiliowana z CBS, pamiętał Petera Houghtona z lekcji angielskiego w dziewiątej klasie.

– Mieliliśmy napisać opowiadanie, z narracją w pierwszej osobie, a bohatera mogliśmy sobie wybrać sami – wyjaśniał chłopak. – Peter wybrał Johna Hinckleya⁴. Z tego, co napisał, można by wnioskować, że Hinckley przemawia do nas z piekła, ale na końcu się okazuje, że to niebo. Nasza nauczycielka lekko spanikowała. Zniosła opowiadanie Petera do dyrektora i w ogóle... – Chłopak zawiesił głos i zaczął szorować kciukiem po szwie dżinsów. – Peter im powiedział, że to *licentia poetica* i subiektywny narrator, co wcześniej omawialiśmy na zajęciach. – Zerknął prosto w oko kamery. – Zdaje się, że w końcu dostał za to opowiadanie szóstkę.

Czekając w samochodzie na zmianę świateł, Patrick zapadł w drzemkę. Śniło mu się, że biegnie korytarzami szkoły, słyszy strzały, ale

⁴ John Hinckley podjął próbę zamachu na Ronalda Reagana, by tym czynem zwrócić na siebie uwagę Jodi Foster (przyp. tłum.)

ilekroć skręca za załom ściany, zawisa w powietrzu, bo podłoga nagle umyka mu spod stóp.

Na odgłos klaksonu natychmiast się obudził.

Pomachał przepraszająco w stronę mijającego go samochodu, po czym skierował się w stronę stanowego laboratorium kryminalistycznego, gdzie wszyscy – podobnie jak on – pracowali przez całą dobę, koncentrując się zwłaszcza na badaniach balistycznych.

Ulubioną specjalistką Patricka, i jednocześnie osobą obdarzaną przez niego największym zaufaniem, była Selma Abernathy, babka czworga wnucząt, która wiedziała więcej o najnowszych technologiach niż wszyscy maniacy high-tech razem wzięci. Kiedy Patrick wszedł do laboratorium, obrzuciła go taksującym spojrzeniem, po czym stwierdziła oskarżycielskim tonem:

– Uciąłeś sobie drzemkę.

Patrick stanowczo pokręcił głową.

– Słowo skauta, że nie.

– Wyglądasz zbyt dobrze jak na kogoś, kto pracował bez wytchnienia przez całą dobę.

– Selmo, wiem, że się we mnie durzysz, ale najwyższy czas skończyć z tym niedorzecznym uczuciem. – Patrick uśmiechnął się szeroko.

Selma wepchnęła okulary głębiej na nos.

– Skarbie, mam dość rozumu, żeby nie tracić głowy dla kogoś, kto nagminnie uprzykrza mi życie. Chcesz poznać wyniki?

Patrick podążył za Selmą do stołu, na którym leżały cztery sztuki broni: dwa pistolety, glocki 17 – oznaczone jako broń A i B, oraz dwie strzelby, oznaczone jako C i D. Patrick natychmiast rozpoznał te glocki: gdy wszedł do szatni gimnastycznej, pierwszy z nich Peter Houghton trzymał w dłoni, drugi natomiast leżał nieopodal, na podłodze.

– Najpierw się zajęłam daktyloskopią – poinformowała Selma, przedstawiając raport Patrickowi. – Z broni A zdjęłam odciski identyczne z odciskami podejrzanego. Broń C i D były czyste. Natomiast na pistolecie B odcisk jest tak niewyraźny, że nie można go poddać analizie porównawczej.

Selma skinęła głową w stronę dwóch potężnych cystern z wodą, które wykorzystywano do testów balistycznych. Wystrzeliwuje się pocisk do wody, a potem bada mikroskopijne rowkowania, pozostawione na naboju po przejściu przez lufę. Dzięki temu można stwierdzić, z której broni oddano konkretne strzały.

Na podstawie wyników tego testu Patrick zdoła jeszcze dokładniej odtworzyć posunięcia Petera Houghtona.

– Strzelano niemal bez wyjątku z broni A. Broń C i D, znaleziona w plecaku zabranym z miejsca zdarzenia, w ogóle nie była używana, co należy uznać za szczęście w nieszczęściu, ponieważ bez wątpienia poczyniłaby o wiele większe spustoszenia. Wszystkie pociski wyjęte z ciał ofiar zostały wystrzelone z broni A.

Patrick zaczął się zastanawiać, jak Peter Houghton zdołał zgromadzić taki arsenał, i niemal natychmiast uprzytomnił sobie, że w Sterling nietrudno znaleźć ludzi, którzy polowali bądź ćwiczyli celność oka, strzelając z broni krótkiej do tarczy na terenach dawnego wysypiska śmieci.

– Na podstawie pozostałości prochu jestem w stanie stwierdzić, że z broni B również oddano strzał. Jednakże nie odnaleziono pocisku potwierdzającego ten fakt.

– Technicy nadal badają...

– Pozwól, że skończę – przerwała mu Selma. – Broń B jest intrygująca również pod innym względem: zacięła się po pierwszym wystrzale, ponieważ do komory zostały wprowadzone dwa pociski jednocześnie.

Patrick skrzyżował ramiona.

– Ale nie ma na niej żadnych odcisków palców? – upewnił się raz jeszcze.

– Częściowy, niewyraźny odcisk na spuście... prawdopodobnie uległ zatarciu, gdy podejrzany upuszczał broń, ale nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością.

Patrick skinął głową, po czym wskazał na pistolet A.

– Wypuścił go z ręki, kiedy do niego wycelowałem, a więc

najprawdopodobniej to z tej broni oddał ostatni strzał.

Za pomocą pęsety Selma podniosła jeden z pocisków.

– Najprawdopodobniej masz rację. Oto co wyciągnięto z mózgu Matthew Roystona. Rowkowania wskazują, że wystrzelono go z broni A.

Matthew Royston – chłopak z szatni gimnastycznej, znaleziony obok Josie Cormier.

Jedyna ofiara, do której oddano dwa strzały.

– A co z pociskiem z brzucha tego dzieciaka? – zapytał Patrick.

Selma pokręciła głową.

– Przeszedł na wylot. Mógł zostać wystrzelony zarówno z broni A, jak i B, ale nie będziemy tego wiedzieć, dopóki go nie odnajdziecie.

Patrick spojrzał na pistolety.

– Przez cały czas używał jedynie broni A. Nie mogę pojąć, dlaczego nagle miałby zmienić pistolet.

Selma podniosła na niego wzrok. Po raz pierwszy zauważył głębokie cienie pod jej oczami; oto widoczne oznaki ceny, jaką ta niemłoda kobieta płaciła za ciężką, całonocną pracę.

– Ja natomiast nie mogę pojąć, dlaczego w ogóle chwycił za broń – powiedziała.

Meredith Vieira patrzyła ponuro w obiektyw kamery, ze starannie wystudowanym, grobowym wyrazem twarzy, idealnie oddającym nastrój ogólnonarodowej tragedii.

– Dociera do nas coraz więcej informacji na temat strzelaniny w Sterling High – oznajmiła. – Najnowsze doniesienia w tej sprawie przekaże nam Ann Curry. Ann?

Prezenterka wiadomości skinęła głową.

– Do chwili obecnej śledczy ustalili, że na teren szkoły sprawca wniósł cztery sztuki broni, chociaż strzelał tylko z dwóch. Poza tym odkryto dowody świadczące, że Peter Houghton – podejrzany o dokonanie masakry – był zagorzałym fanem hardcore'owej grupy Death

Wish: często się logował na jej stronach, a także ściągał z Internetu teksty jej utworów. Biorąc pod uwagę przesłanie owych tekstów oraz zaistniałe tragiczne fakty, należy się poważnie zastanowić, czy nasze dzieci powinny mieć jakikolwiek kontakt z tego typu twórczością.

Czarny śnieg pada

Skamieniały trup gada

Skurwiele ryczą ze śmiechu

Wszystkich ich rozwalę w dniu Sądu Ostatecznego.

– Utwór Death Wish, zatytułowany „Dzień Sądu Ostatecznego” to przerażająca przepowiednia tego, co się wydarzyło wczoraj rano w Sterling, New Hampshire – oznajmiła Curry. – Raven Napalm, wokalista Death Wish, wczoraj wieczorem zwołał konferencję prasową.

Na ekranie ukazał się mężczyzna z czarnym irokezem na głowie, złotymi cieniami na powiekach i pięcioma kolczykami, przebijającymi dolną wargę. Przed nim wyrastał las mikrofonów.

– Żyjemy w kraju, w którym amerykańskie dzieciaki umierają, ponieważ wysyłamy je na drugi koniec świata, żeby walczyły o ropę. Ale kiedy jakiś smętny, sfrustrowany chłopak, który przestał dostrzegać piękno życia, dostaje szau i rozpętuje strzelaninę w szkole, wszyscy zaczynają obwiniać muzykę heavymetalową. Tymczasem problem leży nie w rockowych tekstach, ale w postępującym zepsuciu społeczeństwa.

Ekran ponownie wypełniła twarz Ann Curry.

– Gdy tylko dotrą do nas nowe informacje, dotyczące masakry w Sterling High, natychmiast je państwu przekazemy. Teraz natomiast przechodzimy do wiadomości ogólnokrajowych. W minioną środę Senat odrzucił ustawę o ograniczeniu dostępu do broni palnej, senator Roman Nelson z Dakoty Południowej utrzymuje jednak, że to jeszcze nie koniec batalii. Senatorze?

Peter był przekonany, że przez całą noc nie zmrużył oka, nie usłyszał jednak kroków strażnika, który podszedł do jego celi. Ocknął się dopiero na odgłos szczęku metalowych drzwi.

– Masz. – Strażnik rzucił coś w stronę Petera. – Włóż to na siebie.

Peter wiedział, że dziś idzie do sądu; powiedział mu o tym Jordan McAfee. Uznał więc, że to garnitur czy coś w tym rodzaju. Ostatecznie ludzie zawsze się zjawiali w sądach w garniturze, nawet jeżeli przywożono ich prosto z więzienia. Dzięki temu wyglądali sympatyczniej. Peter nieraz widział to w telewizji.

Okazało się jednak, że strażnik nie przyniósł mu garnituru, ale kuloodporną kamizelkę z kevlaru.

Jordan zszedł do cel aresztanckich, znajdujących się pod salami rozpraw, i ujrzał swojego klienta leżącego na podłodze, zasłaniającego oczy ramieniem. Peter miał na sobie kamizelkę kuloodporną – widomy dowód na to, że każdy, kto dzisiejszego ranka tłoczył się w sądzie, miał szczerą ochotę go wykończyć.

– Dzień dobry – powiedział Jordan i Peter natychmiast usiadł.

– Albo i niedobry – mruknął.

Jordan zignorował tę uwagę i przysunął się bliżej krat.

– Oto nasz plan – zagaił. – Prokuratura postawiła ci dziesięć zarzutów zabójstwa pierwszego stopnia i dziewiętnaście zarzutów usiłowania popełnienia zabójstwa pierwszego stopnia. Zamierzam zgłosić wnioski o przyjęcie aktu prokuratury bez publicznego odczytania – we dwóch przedyskutujemy wszystkie jego punkty w stosowniejszym czasie. Teraz jedynie pójdziemy na górę, a ja oświadczę, że się nie przyznajesz do zarzucanych ci czynów. Ty przez ten cały czas masz trzymać język za zębami. Jeżeli będziesz miał jakieś pytania, zadaj mi je szeptem. Cokolwiek by się działo, przez najbliższą godzinę masz być kompletnym niemową. Czy to jasne?

Peter spojrzał mu prosto w oczy.

– Jak słońce – odparł ponuro.

Jordan tymczasem przeniósł wzrok na ręce swojego klienta.

Trzęsły się niczym w febrze.

Fragment listy przedmiotów skonfiskowanych z pokoju Petera Houghtona:

Laptop marki Dell.

Dwie gry komputerowe na CD: Doom 3, Grand Theft Auto: Vice City.

Trzy plakaty reklamowe wytwórców broni palnej.

Rury metalowe różnej średnicy i długości.

Książki: „Buszujący w zbożu” Salingera; „O wojnie” Clausewitza; komiksy Franka Millera i Neila Gaimana.

Film na DVD: „Zabawy z bronią”.

Album szkolny Sterling High z fotografiami niektórych uczniów, obwiedzionymi czarnym flamastrem. Jedna z zaznaczonych twarzy wykreślona, a pod spodem napis: POZOSTAWIĆ PRZY ŻYCIU. Osoba na wzmiankowanym zdjęciu zidentyfikowana jako Josie Cormier.

Dziewczyna mówiła tak cicho, że potężny, obły mikrofon, zawieszony nad jej głową, ledwo wyłapywał jakiegokolwiek dźwięki.

– Klasa pani Edgar sąsiaduje z klasą pana McCabe’a, więc często słyszymy, jak u nich szurają krzesła albo jak ktoś głośno podaje odpowiedź. Ale tym razem usłyszeliśmy rozpaczliwe krzyki. Pani Edgar zabarykadowała drzwi swoim biurkiem, a nam kazała biec na koniec klasy i usiąść na podłodze, pod oknami. Wystrzały przypominały odgłos pękającego popcornu. A potem... – Dziewczyna urwała i otarła łzy. – A potem była już tylko cisza.

Diana Leven nie przypuszczała, że sprawca będzie wyglądał tak młodo. Peter Houghton miał skute ręce i nogi, był ubrany w pomarańczowy, więzienny kombinezon i kuloodporną kamizelkę, ale ze swoimi świeżymi policzkami wciąż wyglądał na chłopca, który na dobre nie wszedł w wiek dojrzewania, i Diana założyłaby się o każde pieniądze, że jeszcze nawet nie zaczął się golić. Niepokoili ją również okulary na jego nosie. Obrona z pewnością będzie do upadłego zgrywać

tę kartę – utrzymywać, że krótkowzroczność uniemożliwiała celność strzałów.

Kamery czterech stacji telewizyjnych – ABC, CBS, NBC i CNN – które sędzia dopuścił do prowadzenia bezpośredniej transmisji, zamruczały niczym chór rewelersów, gdy tylko oskarżony pojawił się na sali. Ponieważ poza tym panowała taka cisza, że można było usłyszeć szmer własnych wątpliwości, Peter natychmiast spojrzał w ich stronę. Diana pomyślała, że jego oczy nie różnią się zbytnio od obiektywów tych kamer – były równie ciemne, niewidzące, puste za szklami soczewek.

Jordan McAfee – adwokat, którego Diana osobiście nie lubiła, jednak uznawała, acz niechętnie, za cholernie dobrego obrońcę – nachylił się w stronę swojego klienta, gdy tylko Peter zasiadł za stołem. I w tej samej chwili funkcjonariusz sądowy zakrzyknął:

– Proszę wstać! Rozprawie przewodniczy sędzia Charles Albert.

Sędzia Albert wkroczył na salę w szeleście fałdzistej togi.

– Proszę siadać – zarządził, po czym przeniósł wzrok na podejrzanego. – Peterze Houghton...

Jordan McAfee podniósł się z krzesła.

– Wysoki sędzie, rezygnujemy z odczytania listy zarzutów. Mój klient nie przyznaje się do popełnienia żadnego z czynów wyszczególnionych przez prokuraturę. Prosimy również, by kolejna rozprawa wstępna odbyła się za dwa tygodnie.

To oświadczenie nie zdziwiło Diany – ostatecznie czemu Jordan miałby chcieć, żeby cały świat usłyszał, jak jego klientowi przedstawia się dziesięć zarzutów popełnienia morderstwa z premedytacją?

Sędzia zwrócił się w jej stronę.

– Pani Leven, nasz kodeks stanowi, że oskarżony o popełnienie zabójstwa pierwszego stopnia – w tym wypadku wielokrotnego – nie ma prawa do ubiegania się o kaucję. Rozumiem, że możemy pominąć omawianie tego punktu.

Diana z trudem stłumiła uśmiech. Sędzia Albert, niech mu Bóg błogosławi, zdołał jednak przemycić treść najpoważniejszych zarzutów.

– Tak jest, wysoki sędzie.

Cała procedura zajęła mniej niż pięć minut, co oznaczało, że publika nie będzie usatysfakcjonowana. Wszyscy łaknęli krwi, zionęli żądzą zemsty. Peter Houghton, prowadzony do bocznego wyjścia przez funkcjonariuszy biura szeryfa, niezdarnie drepczący ze skutymi nogami, obejrzał się na swojego adwokata z niewypowiedzianym pytaniem w oczach. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Diana chwyciła teczkę i przeszła do holu pełnego kamer telewizyjnych rozlicznych stacji.

Stała naprzeciwko wyciągających się ku niej mikrofonów.

– Peter Houghton został właśnie oskarżony przez prokuraturę o dokonanie dziesięciu zabójstw pierwszego stopnia i usiłowanie popełnienia dziewiętnastu zabójstw pierwszego stopnia. Postawiono mu także dodatkowe zarzuty, między innymi nielegalnego posiadania broni palnej i materiałów wybuchowych. Odpowiedzialność zawodowa nie pozwala nam na omawianie materiału dowodowego na obecnym etapie postępowania, możemy jednak zapewnić, że prokuratura prowadzi energiczne działania, a detektywi pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę, starannie zabezpieczając wszelkie ślady, tak aby sprawca tej niewyobrażalnej tragedii poniósł zasłużoną karę. – Wzięła głębszy oddech i zamierzała kontynuować, ale nagle zdała sobie sprawę, że reporterzy opuszczają jej naprędce zorganizowaną konferencję prasową, aby wysłuchać Jordana McAfee’ego przemawiającego po przeciwnej stronie holu.

Jordan, poważny i skupiony, stał z rękami w kieszeniach spodni. Spojrzał Dianie prosto w oczy, po czym powiedział:

– Łączę się w smutku ze społecznością, która została tak tragicznie doświadczona; zamierzam jednak jak najlepiej reprezentować interesy mojego klienta. Peter Houghton jest siedemnastoletnim, bardzo przerażonym chłopcem. Proszę więc, byście państwo uszanowali prywatność jego rodziny i pamiętali, że ostateczne rozstrzygnięcia w tej sprawie należą do sądu. – Jordan efektownie zawiesił głos, jak na doświadczonego showmana przystało, po czym powiódł wzrokiem po

tłumie reporterów. – I proszę, byście pamiętali, że wydarzenia nie zawsze w rzeczywistości wyglądają tak, jak nam się na pierwszy rzut oka wydaje.

Diana uśmiechnęła się ironicznie. Za sprawą tego końcowego fajerwerku słownego reporterzy – a wraz z nimi ludzie na całym świecie, którzy mieli okazję wysłuchać starannie przygotowanej przemowy Jordana – uwierzą, że adwokat jest strażnikiem jakiejś cudownej prawdy objawionej, dowodzącej, iż jego klient nie jest w istocie potworem. Ale Diana wiedziała swoje. Doskonale rozumiała, co się kryje za takim prawniczym bełkotem, ponieważ sama biegłe nim władała. Kiedy adwokat odwołuje się do tak enigmatycznych aluzji, oznacza to jedynie, że nie ma żadnych konkretnych argumentów na obronę swojego klienta.

W samo południe gubernator New Hampshire zwołał konferencję prasową na schodach Kapitolu w Concord. W klapie miał pętelkę ze wstążki w kasztanowo-białym kolorze – oficjalnych barwach Sterling High. Podobne pętelki pojawiły się masowo na stacjach benzynowych i ladach Wal-Martu w cenie dolara za sztukę, a całkowity dochód z ich sprzedaży miał zasilić Fundację Ofiar Sterling. Jeden z asystentów gubernatora pokonał aż czterdzieści pięć kilometrów, żeby zdobyć taką pętelkę, ponieważ jego szef w 2008 roku zamierzał się ubiegać o nominację prezydencką z ramienia Partii Demokratycznej, a ta masakra była doskonałą okazją, by w mediach efektownie podkreślić empatyczną stronę swojej osobowości. Tak jest, gubernator gorąco współczuł mieszkańcom Sterling, w szczególności zaś nieszczęsnym rodzicom zabitych dzieci; a jednocześnie chłodny rozsądek mu podpowiadał, że człowiek, który wyprowadzi obywateli swojego stanu z traumy wywołanej najtragiczniejszą strzelaniną szkolną w historii Ameryki, będzie postrzegany jako silny, zdecydowany przywódca.

– Dzisiaj cała Ameryka łączy się w bólu z New Hampshire – oznajmił. – Dzisiaj wszyscy cierpimy wraz ze społecznością Sterling.

Dzieci z tej szkoły są naszymi dziećmi. – Gubernator uniósł wzrok. – Byłem w owym mieście i rozmawiałem ze śledczymi, którzy pracują nieustrudzenie dzień i noc, by wyjaśnić, co się właściwie wczoraj stało. Spędziłem kilka godzin z rodzinami ofiar, a także z dzielnymi ocalałymi, przebywającymi w szpitalu. Jakaś część naszej przeszłości i przyszłości zagubiła się w tej tragedii. – Gubernator spojrział z powagą wprost w obiektywy kamer. – Teraz musimy się skoncentrować na odzyskaniu tej przeszłości.

Zanim minął ranek, Josie zdołała już poznać trzy magiczne słowa: ilekroć chciała, żeby matka zostawiła ją w spokoju, ilekroć już miała dość jej nieustannie śledzących ją oczu, wystarczyło powiedzieć, że chciałyby się przespać. Wówczas matka bez protestu się wycofywała, kompletnie nieświadoma, że na jej twarzy natychmiast pojawia się wyraz wielkiej ulgi – jedyny naturalny i zarazem rozpoznawalny dla córki.

Na górze, w zaciemnionym roletami pokoju, Josie siedziała na łóżku z rękami złożonymi na kolanach. Dzień był jasny i słoneczny, ale tutaj nikt by na to nie wpadł. Ludzie wymyślili setki sposobów kreowania sztucznej rzeczywistości. W zamkniętym pomieszczeniu w ciągu dnia można było stworzyć wrażenie nocy. Botoks cudownie odmieniał ludzkie twarze. Telewizyjne dekodery cyfrowe pozwalały uwierzyć, że można zatrzymać czas lub przynajmniej zmieniać chronologię wydarzeń według własnego widzimisię. Rozprawa wstępna w sądzie była niczym plaster na ranę, która tak naprawdę wymagała opaski uciskowej.

W ciemności pokoju Josie wymacała przypięty do spodu szafki plastikowy woreczek z podprowadzonymi matce tabletkami nasennymi. Ona sama nie była lepsza od całej masy idiotów zaludniających ten świat, którzy wierzyli, że jeżeli skupią się na udawaniu kogoś, kim nie są w rzeczywistości, to w końcu kimś takim się staną. Sądziła, że w razie niepowodzenia samobójstwo będzie dobrym rozwiązaniem problemu, ponieważ w swej niedojrzałości nie pojmowała, że śmierć nie jest żadnym rozwiązaniem, lecz największą

zagadką.

Jeszcze wczoraj nie miała pojęcia, jak wyglądają rozbryzgi krwi na pobielonej ścianie. Nie wiedziała, że życie najpierw uchodzi z płuc, a na końcu gaśnie w oczach. Wyobrażała sobie, że samobójstwo to dobitny manifest, ostateczne „pieprzę was”, ogłoszone pod adresem tych wszystkich, którzy nie rozumieli, jak ciężko jej przychodziło być taką Josie, jaką chcieli w niej widzieć. Roіła sobie, że jeżeli się zabije, będzie w stanie obserwować reakcje tych, którzy pozostali, i że to ona będzie się śmiała ostatnia. Aż do wczoraj nie pojmowała fenomenu śmierci. A tymczasem, gdy umierasz, po prostu giniesz. Nie powracasz jako niematerialny byt, zdolny do obserwacji świata. Nie możesz już nikogo za nic przeprosić. Nie możesz liczyć na drugą szansę.

Nad stanem śmierci nie sposób zapanować. To śmierć zawsze obejmuje nad nami władzę.

Otworzyła woreczek, wysypała pięć tabletek na dłoń, a potem położyła je na języku. Poszła do łazienki, odkręciła wodę i podstawiła głowę pod kran; pigułki zaczęły pływać w bulgoczącym akwarium jej ust.

Połknij, nakazywała sobie w duchu.

Po chwili opadła jednak na kolana i wypluła wszystko do muszli, a potem wysypała resztę tabletek z woreczka, który ścisnęła w dłoń. Szybko spuściła wodę, zanim miała czas zmienić zdanie.

Matka przybiegła na górę, kiedy usłyszała szloch Josie. Przeniknął na parter przez terakotę, warstwę cementu, konstrukcję stropu i tynk. Rozpacz miała się teraz stać tak nieodłączną częścią tego domu, jak cegły i zaprawa, chociaż żadna z żyjących tu kobiet nie zdawała sobie jeszcze z tego sprawy.

Matka Josie wpadła do łazienki i uklękła obok córki.

– Co mogłabym zrobić, skarbie? – wyszeptwała, wodząc ręką po ramionach Josie, jakby odpowiedź na to pytanie była wytatuowana na skórze córki, a nie ukryta w jątrzącej się bliźnie na sercu.

Yvette Harvey siedziała na kanapie i trzymała w rękach zdjęcie córki, zrobione na zakończenie ósmej klasy – dwa lata, sześć miesięcy i cztery dni przed jej śmiercią. Od tej pory włosy Kaitlyn znacznie urosły, ale wciąż niezmienione pozostały pucołowata twarz i szczególnie uśmiech – nieomylnie wyróżniki zespołu Downa.

Co by było, gdyby Yvette się nie zdecydowała na włączenie Kaitlyn do powszechnego systemu oświaty? Gdyby zapisała ją do szkoły dla niepełnosprawnych? Może takie dzieci nie nosiły w sobie agresji typowej dla młodocianych morderców?

Producentka z programu „The Oprah Winfrey Show” skończyła przeglądać stosik fotografii. Yvette do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że istnieje określona gradacja ludzkich tragedii; że gdy z programu Oprah dzwonią i proszą, byś opowiedziała swoją smutną historię, chcą dokładnie sprawdzić, czy ta historia jest dostatecznie rozdzierająca serce, zanim pozwolą ci przedstawić ją przed kamerami. Yvette nie planowała dzielenia się swoją rozpaczą na telewizyjnej antenie – a jej mąż był temu tak bardzo przeciwny, że nawet demonstracyjnie wyszedł z domu przed wizytą producentki – ale ostatecznie ogarnęła ją desperacja. Pilnie słuchała wszystkich medialnych doniesień. I w końcu doszła do wniosku, że sama też ma coś do powiedzenia.

– Kaitlyn ślicznie się uśmiechała – zauważyła uprzejmie producentka.

– Tak, ma rzeczywiście piękny uśmiech – zgodziła się Yvette, po czym gwałtownie potrząsnęła głową. – To znaczy, miała.

– Czy znała Petera Houghtona?

– Nie. Nie chodzili do tej samej klasy. Nigdy nawet nie mieli żadnych wspólnych zajęć. – Yvette przycisnęła kciuk do brzegu srebrnej ramki tak silnie, że aż poczuła ostry ból. – Teraz ludzie opowiadają, że Peter Houghton nie miał żadnych przyjaciół, że w szkole był prześladowany i poniżany... co dla mnie brzmi jak farsa – powiedziała.

– To moja córka nie miała przyjaciół. To ją upokarzano każdego dnia. To ona się czuła wyrzucona poza nawias, bo w istocie doświadczała

odrzućcia każdego dnia. Peter Houghton nie należy do osób szykanowanych, jak wszyscy próbują teraz przekonywać. Peter Houghton jest po prostu ucieleśnieniem zła.

Yvette wbiła wzrok w szkło chroniące portret córki.

– Psycholożka policyjna powiedziała mi, że Kaitlyn zginęła pierwsza. Zapewniała, że córka nie miała świadomości, co się dzieje, więc nie cierpiała.

– To musiało być drobną pociechą – podsunęła producentka.

– Było. Dopóki my, rodzice ofiar, nie zaczęliśmy ze sobą rozmawiać. Wówczas się okazało, że ta kobieta opowiada wszystkim to samo. – Yvette podniosła oczy pełne łez. – A przecież wszyscy nie mogli być tymi pierwszymi.

Już nazajutrz po strzelaninie rodziny ofiar zostały zarzucone darami: pieniędzmi, domowymi specjałami, deklaracjami pomocy przy dzieciach i niewyczerpanymi pokładami współczucia. Kiedy ojciec Kaitlyn Harvey wstał rano po wiosennej śnieżycy, zobaczył, że jego podjazd został już wymieciony do czysta przez jakiegoś dobrego samarytanina. Rodzinę Courtney Ignatio wzięła pod swoje skrzydła wspólnota lokalnego kościoła: jej członkowie zobowiązali się zająć aprowizacją i sprzątaniami, a lista chętnych była tak długa, że wszystkie dni w grafiku zostały wypełnione aż do końca czerwca. Matce Johna Eberharda zakłady Forda w Sterling podarowały vana przystosowanego do potrzeb niepełnosprawnych, żeby jej syn łatwiej mógł się zaadaptować do życia paraplegika. Wszyscy ranni w strzelaninie otrzymali list od prezydenta Stanów Zjednoczonych z pochwałą za odwagę na czerpanym papierze z oficjalnym nagłówkiem Białego Domu.

Zalew ludzi mediów – z początku równie niepożądany jak tsunami – stał się wkrótce naturalnym elementem krajobrazu Sterling. Po kilku dniach bezsilnego obserwowania, jak eleganckie buty grzęzną w marcowym błocie Nowej Anglii, reporterzy popędzili do najbliższego

supermarketu, gdzie się zaopatrzyli w chodaki na grubej podeszwie i solidne śniegowce. Przestali też w kółko wypytywać w recepcji Sterling Inn, dlaczego nie działają ich komórki, zaczęli się natomiast tłumnie gromadzić na parkingu stacji benzynowej Mobilu – w najwyższym punkcie miasta – gdzie od biedy udawało się złapać pożądany zasięg. Nieustannie się kręcili w okolicach komendy policji i sądu oraz przesiadywali w pobliskiej kawiarni, czyhając na okruch informacji, którą mogliby nazwać „ekskluzywną”.

Każdego dnia w Sterling odbywał się jakiś pogrzeb.

Msza pogrzebowa Matthew Roystona była odprawiana w kościele zbyt małym, żeby mógł pomieścić wszystkich pogrążonych w bólu żałobników. Rodzina, przyjaciele rodziny i koledzy ze szkoły wypełnili ławki, stali tłumnie pod ścianami, wylewali się na zewnątrz budynku. Grupa kilkudziesięciu uczniów Sterling High przyszła ubrana w zielone T-shirty z numerem 19 na przodzie – takim samym, jaki widniał na kostiumie hokejowym Matta.

Josie i jej matka usiadły w jednej z tylnych ławek, ale Josie i tak się zdawało, że wszyscy wlepiają w nią wzrok. Nie wiedziała tylko, czy to z powodu tego, że była dziewczyną Matta, czy też dlatego, że ludzie już zdołali przejrzeć ją na wylot.

– Błogosławieni pogrążeni w żałobie – odczytał pastor – albowiem spłynie na nich łaska ukojenia.

Josie zadrżała. Czy ona była pogrążona w żałobie? Czy żałobą można nazwać to uczucie dziury w środku, która stawiała się tym większa, im bardziej usiłowało się ją zapełnić? A może była w ogóle niezdolna do żałoby, ponieważ żałoba wymagała odwołania się do pamięci, czego Josie w żadnym razie nie potrafiła zrobić?

Matka nachyliła się do jej ucha.

– Możemy w każdej chwili wyjść. Powiedz tylko słowo.

Już dostatecznie przerażający był fakt, że Josie sama nie miała pojęcia, kim jest naprawdę, a tymczasem teraz, w trakcie tego epilogu, każdy wydawał jej się także kimś całkiem nieznanym. Nagle ludzie, którzy ignorowali ją przez całe życie, zaczęli się wylewnie zwracać do

niej po imieniu. Wszystkie spojrzenia miękły, kiedy kierowały się w jej stronę. A najbardziej obca ze wszystkich była matka: niczym korporacyjna żyłeta, która – otarłszy się o śmierć – nagle zaczęła się przytulać do drzew i miłować bliźnich. Josie podejrzewała, że będzie musiała walczyć z matką o pozwolenie pójścia na pogrzeb, a tymczasem, ku jej wielkiemu zdumieniu, matka sama to zaproponowała. Idiotyczny psycholog, z którym Josie musiała się teraz widywać – i z którym zapewne będzie się już spotykać do końca swoich dni – bredził coś o „finalizacji” i „ostatecznym zakończeniu”. „Zakończenie” najwyraźniej miało oznaczać uświadomienie sobie, że nad przewartościowaniem stanu normalności można spokojnie przejść do porządku dziennego – jak nad przegranym meczem czy utratą ulubionego T-shirtu. „Zakończenie” oznaczało również przemianę matki w oszalałą, nadmiernie kompensacyjną, rozchwianą emocjonalnie maszynę, w kółko pytającą, czy Josie czegoś nie potrzebuje; usiłującą się zachowywać jak normalna matka – a przynajmniej jak normalna matka z jej wyobrażeń. Josie miała ochotę powiedzieć: „Jeżeli rzeczywiście chcesz, żebym się poczuła lepiej, wracaj do pracy”. Wówczas przynajmniej obie mogłyby udawać, że życie wróciło do dawnego stanu. Ostatecznie matka była specjalistką od udawania i tego jednego skutecznie nauczyła Josie.

Z przodu kościoła stała trumna. Zamknięta – zgodnie z wcześniejszymi pogłoskami. Josie trudno było sobie wyobrazić, że w środku tej lakierowanej skrzyni leży Matt. Że już nie oddycha. Że wyciągnięto krew z jego żył, a w jej miejsce wpompowano rozmaite chemikalia.

– Drodzy przyjaciele, zebraliśmy się tu dzisiaj, aby w obliczu miłosiernej miłości Boga wspominać Matthew Carltona Roystona – oznajmił pastor. – Możemy śmiało wylać z siebie rozpacz, wyrzucić gniew i nie lękać się pustki w sercu, ponieważ wiemy, że Bóg ma nas w swojej łaskawej opiece.

W zeszłym roku, na zajęciach z historii, omawiali pochówki w starożytnym Egipcie, i Matt, który się uczył tylko wtedy, gdy Josie go do

tego zmusiła, był szczerze zafascynowany tym tematem. Pasjonował go sposób usuwania mózgu przez nos. I fakt, że tak wiele dóbr doczesnych składano w grobowcu wraz z mumią faraona – nawet jego ulubione zwierzęta. Josie czytała ten rozdział na głos, trzymając głowę na kolanach Matta. W pewnym momencie Matt przytknął dłoń do jej czoła. „Kiedy odejdę na zawsze – powiedział – zabiorę cię ze sobą”.

Pastor powiódł wzrokiem po zgromadzonych.

– Śmierć najbliższej osoby zawsze wstrząsa nami do głębi. Ale kiedy ginie ktoś młody, utalentowany, o tak obiecującej przyszłości, uczucie straty i rozpacz staje się jeszcze bardziej dojmujące. W takich chwilach zwracamy się ku rodzinie i przyjaciołom, by towarzyszyli nam w cierpieniu, płakali i modlili się razem z nami. I choć w żaden sposób nie możemy przywrócić Matta do życia, pociechę dla nas powinna stanowić wiara, że po śmierci zaznał spokoju, jaki nie był mu dany na tej ziemi.

Matt nie chodził do kościoła. Jego rodzice uczęszczali na msze i próbowali go do tego nakłonić, ale on nienawidził wszelkich modłów. Uważał, że szkoda na takie bzdety niedzieli; i że jeżeli Bóg jest gościem, z którym warto mieć cokolwiek wspólnego, to nie wysiaduje w zatęchłym gmaszysku, wysłuchując w kółko tego samego monotonnego gładzenia, ale całymi dniami szaleje w swoim terenowym dziupie lub namiętnie grywa w hokeja na zamarzniętym stawie.

Pastor usunął się na bok, a z ławki wstał ojciec Matta. Josie dobrze go znała – zawsze opowiadał najgorsze, najgłupsze kawały na świecie, które nigdy nie były śmieszne. W młodości grał w hokeja w drużynie Uniwersytetu Stanu Maine, dopóki nie rozwalił sobie kolana, i miał nadzieję, że Matt zrobi karierę sportową, jaka jemu nie była pisana. W ciągu zaledwie kilku dni przygarbił się i sposepniał – przypominał teraz wyschlą, pustą łuskę po swojej dawnej postaci. Kiedy wszedł na podwyższenie, zaczął opowiadać, jak pierwszy raz zabrał Matta na łyżwy, jak ciągnął go na kiju hokejowym i nagle zdał sobie sprawę, że Matt już się tego kija nie trzyma. Siedząca w pierwszym rzędzie matka Matta wybuchnęła głośnym, zawodzącym płaczem, który rozbijał się głucho o ściany kościoła.

Josie, nie mając w pełni świadomości, co robi, poderwała się na równe nogi.

– Josie! – syknęła matka i w ułamku sekundy zmieniała się znowu w dawną, dobrze znaną matkę: tę, której się nie mieściło w głowie, że można zrobić z siebie publiczne widowisko. Josie drżała niepoohamowanie na całym ciele; gdy ruszyła główną nawą, ubrana w czarną, pożyczoną od matki sukienkę, miała wrażenie, że jej stopy nie dotykają podłogi. Jednak z każdym krokiem coraz bardziej się zbliżała do trumny, która ją przyciągała, jak biegun przyciąga magnes.

Czuła na sobie wzrok ojca Matta, słyszała coraz głośniejsze szepty zgromadzonych żałobników. Podeszła do czarnej skrzyni, wylakierowanej na taki błysk, że ujrzała w niej odbicie własnej twarzy – twarzy uzurpatorki.

– Josie... – Pan Royston zszedł z podwyższenia i objął ją ramieniem. – Wszystko w porządku?

Josie poczuła ostre ściskanie w gardle. Jak ten mężczyzna, który za chwilę miał pogrzebać syna, był w stanie się o nią troszczyć? Właśnie o nią! Josie miała wrażenie, że zatracą cielesność, i zaczęła się zastanawiać, czy koniecznie trzeba umrzeć, żeby przemienić się w ducha. Czy śmierć nie jest jedynie drobnym szczegółem technicznym, który w tym procesie można spokojnie pominąć?

– Chciałabyś powiedzieć parę słów o Matcie? – zasugerował pan Royston, i zanim Josie zdała sobie sprawę, co się dzieje, zaprowadził ją na podwyższenie. Jak przez mgłę dotarło do niej, że matka wstała z ławki i szła teraz w jej stronę. I właściwie po co? Żeby ją stąd zabrać? Uchronić przed popełnieniem katastrofalnego błędu?

Josie popatrzyła na rozpościerające się przed nią morze twarzy. Rozpoznawała tych ludzi, a jednocześnie w ogóle ich nie znała. Wszyscy zapewne myśleli w tej chwili: Ona go kochała. Była u jego boku, kiedy zginął.

Oddech zatrzepotał w jej piersi jak ćma pochwycona w sieć.

I co właściwie miałyby im powiedzieć? Wyznać prawdę?

Poczuła, że jej usta i twarz wykrzywia grymas płaczu. Rozszłochała

się tak gwałtownie, że aż zaskrzyphiały drewniane deski podłogi; tak głośno, że nawet zamknięty w skrzyni Matt musiał ją usłyszeć.

– Przepraszam... – powiedziała przez łzy. Do Matta, do pana Roystona, do wszystkich, którzy jej słuchali. – O Boże, tak bardzo przepraszam...

Matka weszła na podwyższenie, objęła Josie ramieniem i poprowadziła córkę za ołtarz, do małego pomieszczenia, zajmowanego przez organistę. Josie przyjęła podaną chusteczkę i nie protestowała, gdy matka zaczęła gładzić ją po plecach. Nie sprzeciwiła się także, gdy całkiem zapomnianym gestem matka zatknęła jej włosy za uszy – zupełnie tak samo jak wtedy, gdy Josie była mała.

– Wszyscy mają mnie teraz za ostatnią idiotkę.

– Nie. Są przekonani, że tęsknisz za Mattem... – sprostowała Alex. A po chwili wahania dodała: – Wiem, że się obwiniasz o jego śmierć.

Serce Josie zabiło tak silnie, że aż zadrżał cienki szyfon sukienki.

– Kochanie – odezwała się znowu matka. – W żadnym wypadku nie mogłaś go ocalić.

Josie bez słowa sięgnęła po kolejną chusteczkę. Okay, niech się matce zdaje, że wszystko zrozumiała.

Nadzór specjalny oznaczał, że Peter siedział w pojedynce. Nie wychodził na spacer, a posiłki przynoszono mu trzy razy dziennie do celi. Nie mógł czytać niczego, co wcześniej nie zostało ocenzone przez personel więzienny. A ponieważ podejrzewano, że nadal może się targnąć na własne życie, w jego obecnym lokum wciąż się znajdował jedynie kibel i twarda prycza – bez materaca, prześcieradeł czy czegokolwiek innego, co pomogłoby mu się ewakuować z tego świata.

Na tylną ścianę jego celi składało się dokładnie czterysta pięćdziesiąt szarych pustaków – Peter wiedział to, bo je policzył. Dwukrotnie. Potem większość czasu spędzał na gapieniu się w oko kamery, przez którą go obserwowano. Niekiedy się zastanawiał, kto siedzi po drugiej stronie. I wówczas wyobrażał sobie grupę strażników stłoczonych przy małym

monitorze, poszturchujących się konfidencjonalnie i wybuchających śmiechem, ilekroć musiał skorzystać z toalety.

Innymi słowy, kolejna banda ludzi, dla których stał się obiektem niewybrednych kpin.

Kamera była zaopatrzona w migający na czerwono wskaźnik zasilania i obiektyw połyskujący kolorami tęczy. Wokół obiektywu znajdował się gumowy ochraniacz, przypominający powiekę. Peter doszedł do wniosku, że gdyby nawet nie myślał o samobójstwie, to po kilku tygodniach w takim otoczeniu z pewnością miałby ochotę ze sobą skończyć.

W więzieniu nigdy nie zapadały idealne ciemności; w nocy panował szary mrok. Co prawda, nie miało to większego znaczenia, bo i tak nie było tu nic do roboty poza spaniem. Leżąc na pryczy, Peter się zastanawiał, czy można zatracić zmysł słuchu tylko dlatego, że przestaje się go wykorzystywać. I czy podobnie jest z umiejętnością mowy. Przypomniał sobie, czego się pewnego razu dowiedział na zajęciach historii: kiedy w czasach Dzikiego Zachodu zamykano Indian w więzieniu, oni niekiedy po prostu padali trupem. Ogólnie przyjęta teoria głosiła, że ktoś tak przyzwyczajony do bezkresnych przestrzeni nie był w stanie znieść zamknięcia, ale Peter interpretował to zjawisko zupełnie inaczej. Kiedy jedynym towarzystwem, jakie masz do dyspozycji, jest twoja własna osoba, a ty nie jesteś w stanie jej zaakceptować, tylko śmierć pozwala się wymiksować z tej niekomfortowej sytuacji.

Kolejny strażnik, tupocząc ciężkimi butami, minął celę Petera. Odbębniał regulaminowy obchód. I wówczas Peter usłyszał te słowa:

„Wiem, co zrobiłeś”.

Jasna cholera, pomyślał. Już mi zaczyna odbijać.

„Każdy wie”.

Peter obrócił się na pięcie i spojrzał na kamerę, ale tam nie znalazł żadnego wyjaśnienia zagadki.

Głos przywodził na myśl wiatr sunący nad zaspami śniegu. „Na prawo” – rozległ się ponownie wygłuszony szept i Peter powoli się

skierował w kąt celi.

– Kto... kto tam? – spytał.

– Już, kurwa, najwyższy czas. Myślałem, że nigdy w życiu nie przestaniesz ryczeć.

Peter próbował coś dostrzec pomiędzy prętami krat – ale na próżno.

– Słyszałeś, jak płakałem?

– Jebany mazgaj – oznajmił głos. – Wreszcie, kurwa, dorośnij.

– Kim jesteś?

– Możesz mi mówić Ludojad, tak jak wszyscy inni.

Peter nie wierzył własnym uszom.

– A co ty zrobiłeś?

– Nic z tego, o co mnie oskarżają – odparł Ludojad. – Ile jeszcze?

– Co „ile jeszcze”?

– Ile czasu do twojej rozprawy?

Peter nie miał pojęcia. Tego jednego pytania nie zadał Jordanowi McAfee’emu, prawdopodobnie dlatego, że bał się odpowiedzi.

– Moja jest w przyszłym tygodniu – oświadczył Ludojad, zanim Peter zdążył otworzyć usta. Metalowe pręty, do których przyciskał skroń, zdawały się zimne jak sople lodu.

– A jak długo tu siedzisz? – zapytał.

– Dziesięć miesięcy.

Peter próbował sobie wyobrazić, że spędzi w tej celi całe dziesięć miesięcy. I natychmiast stanęło mu przed oczami liczenie pustaków i sikanie śledzone przez strażników na monitorze.

– Pozabijałeś jakieś dzieciaki, tak? Wiesz, co robią w więzieniu z mordercami dzieci?

Peter nie odpowiedział na ten nonsensowny tekst. On był przecież mniej więcej w tym samym wieku, co wszyscy inni w Sterling High; ostatecznie nie wpadł do jakiegoś żłobka i nie zaczął strzelać do maluchów. No i do tego miał ważne powody, żeby tak potraktować tych pieprzonych dupków.

Nie zamierzał jednak przedstawiać ich Ludojadowi.

– Dlaczego nie wyszedłeś za kaucją? – zapytał natomiast.

Ludojad prychnął szyderczo.

– Bo mówią, że zgwałciłem jakąś kelnerkę, a potem zadźgałem ją na śmierć.

Czy doprawdy wszyscy zamknięci w pudle utrzymują, że są niewinni? Do tej pory Peter, leżąc godzinami na pryczy, wmawiał sobie, że w więzieniu hrabstwa Grafton jest kimś absolutnie wyjątkowym, ale teraz się okazało, że był w błędzie.

– Jesteś tam jeszcze? – spytał Ludojad.

Peter bez słowa wrócił na pryczę. Odwrócił się twarzą do ściany i udawał, że nie słyszy, jak mężczyzna z sąsiedniej celi raz po raz próbuje nawiązać przerwany kontakt.

W pierwszej chwili Patricka ponownie uderzyła myśl, że sędzia Cormier wygląda dużo młodziej poza salą rozpraw. Kiedy otworzyła drzwi, miała włosy ściągnięte w kucyk, była w dżinsach i wycierała dłonie o kuchenną ścierkę. Tuż za nią stała Josie z tym samym pustym wyrazem twarzy, jaki Patrick widywał ostatnio wiele razy u innych przesłuchiwanym ofiar strzelaniny. Rozmowa z Josie mogła mu dostarczyć istotnego elementu łamigłówki, ponieważ tylko ona widziała, jak Peter zabijał Matthew Roystona. W odróżnieniu jednak od innych uszkodzonych Josie miała matkę, dla której zawilgości systemu prawnego nie stanowiły żadnej tajemnicy.

– Sędzio Cormier, Josie. Dziękuję, że pozwoliły mi panie przyjść.

Sędzia nie spuszczała z niego oczu.

– Osobiście uważam, że to strata czasu. Josie nic nie pamięta.

– Z całym szacunkiem, pani sędzio, ale muszę to usłyszeć z jej ust.

Patrick już się wewnętrznie szykował do zwarcia, a tymczasem Alex Cormier odsunęła się na bok i wpuściła go do środka. Powiódł wzrokiem po obszernym holu: antyczny stół, a na nim rozrośnięta trzykrotka, ściany zawieszane gustownymi olejnymi pejzażami. A więc tak mieszkają sędziowie. Jego własne lokum było tylko miejscem, gdzie można się przespać; przechowalnią dla starych gazet, dawno

przeterminowanej żywności i ciuchów; wpadał tam na kilka godzin przerwy pomiędzy dochodzeniami.

Spojrzał na Josie.

– Jak tam głowa?

– Jeszcze trochę boli – odparła tak cicho, że z trudem ją dosłyszał.

Ponownie zwrócił się w stronę sędzi.

– Czy moglibyśmy gdzieś spokojnie zamienić kilka słów?

Zaprowadziła go do kuchni, która wyglądała tak, jak w wyobrażeniach Patricka wyglądałaby jego kuchnia, gdyby pokierował swoim życiem w sensowny sposób. Szafki z wiśniowego drewna, promienie słońca, hojnie wpadające przez wykuszowe okno, i miska pełna bananów na blacie. Patrick usiadł naprzeciwko Josie, sądząc, że pani sędzia zajmie krzesło obok córki, a tymczasem, ku jego zdumieniu, Alex Cormier powiedziała:

– Gdybym była potrzebna, jestem na górze.

Josie posłała jej nieszczęśliwe spojrzenie:

– Nie możesz zostać?

Przez moment w oczach sędzi pojawił się szczególny błysk – tęsknota? żal? – ale zniknął, zanim Patrick zdołał odczytać jego wymowę.

– Przecież wiesz, że nie mogę – odparła cicho.

Patrick, co prawda, nie miał własnych dzieci, ale był absolutnie pewien, że gdyby jego dziecko tak blisko się otarło o śmierć, nie chciałby ani na moment spuszczać go z oka. Nie umiałby powiedzieć, co właściwie się rozgrywa między matką a córką, miał za to dość rozumu, żeby w to nie wnikać.

– Jestem pewna, że detektyw Ducharme potraktuje cię najdelikatniej, jak to możliwe.

Jej słowa były pobożnym życzeniem, a jednocześnie zawoalowaną pogróżką. Patrick w odpowiedzi skinął głową. Dobry gliniarz robi wszystko, co w jego mocy, żeby służyć i chronić, ale gdy ofiarą przestępstwa pada osoba znajoma, zaczyna się grać o zdecydowanie wyższą stawkę. Wykonuje się kilka telefonów więcej, niż to

bezwzględnie konieczne, na nowo organizuje pracę, żeby akurat tej sprawie nadać szczególny priorytet. Patrick doświadczył tego, w o wiele dramatyczniejszej formie, lata temu w postępowaniu dotyczącym Niny i jej syna. Co prawda, nie znał osobiście Josie Cormier, ale jej matka pracowała w wymiarze sprawiedliwości – Chryste, siedziała na najwyższym szczeblu hierarchii tego wymiaru – i dlatego jej córka zasługiwała na traktowanie w białych rękawiczkach.

Odprowadził wzrokiem Alex idącą schodami na górę, po czym wyjął z kieszeni notes i długopis.

– No więc, jak się naprawdę czujesz, Josie?

– Proszę posłuchać, nie musi pan udawać, że to pana obchodzi.

– Ja nie udaję – zaprotestował Patrick.

– Ja natomiast nie rozumiem, dlaczego w ogóle pan tu przyszedł. I tak bez względu na to, co kto panu powie, nikogo to już nie wskrzesi.

– To prawda – zgodził się Patrick. – Ale zanim postawimy Petera Houghtona przed sądem, musimy wiedzieć, co dokładnie się stało. A mnie, niestety, nie było na miejscu zdarzenia.

– Niestety?

Patrick spuścił wzrok.

– Niekiedy myślę, że łatwiej być ofiarą niż tym, kto nie zdołał zapobiec nieszczęściu.

– Ja tam byłam – odparła Josie wstrząśnięta jego słowami. – A niczemu nie zapobiegłam.

– Posłuchaj, to nie twoja wina.

Wyraz jej twarzy świadczył, że bardzo chciałaby mu wierzyć, ale w żaden sposób nie potrafi. Poza tym jakie prawo miał Patrick do wygłaszania takich zdań? Ilekroć wracał myślami do szaleńczego biegu w stronę Sterling High, próbował sobie wyobrazić, jak by się potoczyły wydarzenia, gdyby był na miejscu wtedy, kiedy napastnik wszedł do budynku. Czy zdołałby go rozbroić, zanim padły pierwsze ofiary?

– Nic nie pamiętam z tej strzelaniny – powiedziała Josie.

– Nie pamiętasz, że byłaś na sali gimnastycznej?

Pokręciła przecząco głową.

– Ani jak biegłaś tam z Mattem?

– Nie. Nawet nie pamiętam, jak wstałam tamtego ranka i jak się znalazłam w szkole. Zamiast wspomnień mam w głowie wielką białą plamę.

Od psychiatrów przydzielonych do rozmów z ofiarami Patrick wiedział, że to całkiem naturalna reakcja. Amnezja to jeden z mechanizmów obronnych umysłu, chroniący przed całkowitym załamaniem nerwowym, jakie mogłyby wywołać traumatyczne wspomnienia. W pewnym sensie Patrick zazdrościł Josie – też chciałby, żeby to, co widział w szkole, w cudowny sposób zniknęło z jego pamięci.

– A co z Peterem Houghtonem? Znałaś go?

– Każdy go znał.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Josie wzruszyła ramionami.

– Peter się rzucał w oczy.

– Ponieważ różnił się od innych?

Josie przez chwilę się zastanawiała nad odpowiedzią.

– Ponieważ nie próbował się nie różnić.

– Byłaś dziewczyną Matthew Roystona?

Oczy Josie natychmiast się zaszkliły od łez.

– On wolał, żeby go nazywać Matt.

Patrick sięgnął po papierową serwetkę i podał ją dziewczynie.

– Bardzo mi przykro z powodu jego śmierci, Josie.

Zwiesiła nisko głowę.

– Mnie też.

Począł, aż otrze łzy i wydmucha nos.

– Czy znasz powody, dla których Peter mógł nie znosić Matta?

– Ludzie się często nabijali z Petera. Nie tylko Matt.

„A ty się nabijałaś?” – zapytał w duchu Patrick. Miał okazję obejrzeć szkolny album, skonfiskowany z pokoju Petera, a w nim zakreślone portrety dzieciaków, z których kilkoro padło ofiarą strzelaniny, ale większość wyszła bez szwanku. Mogło być ku temu wiele powodów:

zaczynając od tego, że Peter nie miał czasu, by dokończyć dzieła, a kończąc na tym, że wytropienie trzydziestu osób wśród tysiąca okazało się dużo trudniejsze, niż sobie wyobrażał. Jednak ze wszystkich celów zaznaczonych w albumie tylko Josie została wykreślona, jakby Peter zmienił wobec niej swoje nastawienie. Jedynie pod jej portretem, obwiedzionym flamastrem, znalazły się słowa: POZOSTAWIĆ PRZY ŻYCIU.

– Znałaś go osobiście? Miałaś z nim wspólne zajęcia?

Josie uniosła wzrok.

– Kiedyś razem pracowaliśmy.

– Gdzie?

– W centrum ksero.

– Dobrze układała się wam współpraca?

– Różnie. Ale nie najlepiej się zakończyła.

– Dlaczego?

– Pewnego razu Peter wywołał pożar i ja doniosłam na niego do właściciela. Stracił wtedy pracę.

Patrick zapisał szybko kilka słów w notesie. Dlaczego Peter postanowił oszczędzić Josie, skoro miał wszelkie powody, by żywić do niej urazę?

– A czy przed tym wydarzeniem byliście przyjaciółmi?

Josie chwyciła serwetkę, którą ocierała oczy, i zaczęła ją składać na coraz mniejsze trójkąty.

– Nie – odpowiedziała po chwili. – Nigdy się nie przyjaźniliśmy.

Siedząca obok kobieta miała na sobie kraciastą flanelową koszulę, cuchnęła dymem papierosowym i była niemal bezzębna. Obrzuciła uważnym spojrzeniem spódnicę i bluzkę Lacy, po czym powiedziała:

– Pierwszy raz na widzeniu?

Lacy skinęła głową. Czekwały w wąskim pomieszczeniu, w którym ustawiono długi rząd krzeseł. Tuż przed ich stopami biegł szeroki czerwony pas, a za nim stały bliźniacze krzesła. Odwiedzający i

osadzeni siadywali naprzeciwko siebie, jak lustrzane odbicia. Kobieta zajmująca miejsce obok Lacy uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Można do tego przywyknąć – zapewniła.

Peter mógł się widywać z jednym z rodziców raz na dwa tygodnie przez godzinę. Lacy zabrała ze sobą kosz pełen świeżych muffinek, ciasta, czasopism i książek w nadziei, że to złagodzi Peterowi ciężkie chwile odosobnienia. Wszystko jednak zarekwirował strażnik wpuszczający ją na widzenie. Żadnych pieczonych ciast. I żadnej lektury wcześniej nieocenzurowanej przez personel więzienny.

Nagle w stronę Lacy skierował się mężczyzna z ogoloną na tyso głową, o ramionach gęsto pokrytych tatuażami. Zadrżała na jego widok – czy to, co widniało na jego czole, to rzeczywiście swastyka?!

– Hej, mamó – mruknął, a siedząca obok Lacy kobieta spojrzała na niego tak, jakby nie widziała żadnych tatuaży, wygolonej czaszki i pomarańczowego kombinezonu, ale miała przed sobą małego chłopczyka, łowiącego kijanki w błotnistym oczku wodnym za domem.

Każdy jest czymś synem, pomyślała Lacy.

Odwróciła wzrok od rodzinnej sceny i ujrzała Petera wprowadzanego na salę widzeń przez strażnika. Poczula ostre ściskanie w sercu – jej syn wydawał się strasznie chudy, a jego oczy za szklami okularów dziwnie puste, szybko jednak zapanowała nad emocjami i uśmiechnęła się najradośniej, jak potrafiła. Będzie udawała, że nie wstrząsnął nią widok syna w tym stroju; że nie musiała walczyć z atakiem paniki na więziennym parkingu; że to zupełnie normalne, iż w towarzystwie dealerów narkotyków i gwałcicieli będzie wypytywać syna, czy aby na pewno dobrze się odżywia.

– Peter! – Pochwyciła go w ramiona.

Trwało to chwilę, ale w końcu Peter odwzajemnił uścisk. Lacy przycisnęła twarz do jego szyi, jak to robiła, gdy był jeszcze maleńki, a ona miała ochotę schrupać go żywcem, i wówczas poczuła, że ten chłopiec, którego do siebie tuli, pachnie zupełnie inaczej niż jej syn. Przez ułamek sekundy wyobraziła sobie, że to wszystko jest tylko koszmarną pomyłką: Peter wcale nie siedzi w więzieniu! To nieszczęsne

dziecko jakichś innych ludzi! Ale wówczas dotarło do niej, skąd ta zmiana. Szampon i dezodorant, których Peter tutaj używał, znacznie się różniły od tych, które miał w domu; ten Peter pachniał ostrzej, bardziej dorośle.

Nagle ktoś postukał Lacy w ramię.

– Proszę pani – odezwał się strażnik – proszę zostawić syna.

Gdybyż to tylko było takie proste, pomyślała Lacy. Usiedli po przeciwnych stronach czerwonego pasa.

– Wszystko u ciebie w porządku? – spytała.

– Wciąż jeszcze tu jestem.

Sposób, w jaki to powiedział – jakby ten stan się kłócił z jego wcześniejszymi rachubami – przyprawił ją o dreszcze. Lacy była przekonana, że nie chodziło mu o zwolnienie za kaucją, ale alternatywa – myśl, że Peter mógłby się zabić – po prostu się nie mieściła w jej głowie. Poczowała gwałtowne ściskanie w gardle i zaczęła płakać, chociaż wcześniej obiecywała sobie, że tego jednego właśnie nie zrobi.

– Peter – wyszeptała. – DLACZEGO?

– Czy była w domu policja?

Lacy skinęła głową; wydawało jej się, że od najścia policji minęły wieki.

– Byli w moim pokoju?

– Mieli nakaz...

– Zabrali moje rzeczy?! – wykrzyknął, po raz pierwszy ujawniając jakiegokolwiek emocje. – Pozwoliłaś, żeby zabrali moje rzeczy?!

– Do czego one ci były potrzebne? Te bomby... ta broń...

– I tak byś nie zrozumiała.

– Więc mi wytłumacz, Peterze – poprosiła łamiącym się głosem. – Pozwól mi zrozumieć.

– Nie byłaś w stanie zrozumieć przez siedemnaście lat, mamo. Czemu akurat teraz miałyby się to zmienić? – Jego twarz wykrzywił grymas. – Szczerze mówiąc, zupełnie nie wiem, dlaczego w ogóle tutaj przyszłaś.

– Żeby cię zobaczyć...

– To popatrz na mnie! Czemu, kurwa, w ogóle na mnie nie patrzysz?!

Schował twarz w dłonie i zgarbił chude ramiona, którymi wstrząsnął gwałtowny szloch.

Tymczasem Lacy doszła do wniosku, że obecna sytuacja sprowadzała się do prostej alternatywy. Patrzysz na siedzącego naprzeciwko, nieznanego ci człowieka i decydujesz, że nie jest on już twoim synem. Albo za wszelką cenę próbujesz w tej obcej postaci doszukać się tego, co w niej jeszcze pozostało z twojego dziecka.

Pytanie tylko, czy będąc matką, rzeczywiście ma się jakiś wybór?

Ludzie mogą twierdzić, że nikt nie przychodzi na świat jako potwór, ale się nim staje. Mogą kwestionować rodzicielskie kompetencje Lacy, utrzymywać, że była dla niego zbyt surowa lub zbyt pobłażliwa, nadmiernie zdystansowana lub nadopiekuńcza. Mieszkańcy Sterling zaczną do upadłego analizować, co takiego zrobiła swojemu synowi, czy jednak będzie kogokolwiek obchodzić, co zrobiła DLA niego? Łatwo być dumnym z dziecka, które ma same szóstki i zdobywa zwycięskie punkty dla swojej drużyny – takie dzieci są otoczone powszechnym zachwytem. Ale prawdziwym wyzwaniem jest odnalezienie czegoś godnego miłości w dziecku, które jest powszechnie znienawidzone. Może to, co Lacy zrobiła, a czego nie zrobiła dla Petera w przeszłości, nie miało w ostatecznym rozrachunku żadnego znaczenia? Może prawdziwą miarą jej macierzyństwa będzie to, jak zacznie traktować swojego syna teraz, po tych strasznych wydarzeniach?

Wyciągnęła ręce ponad czerwonym pasem i z całej siły objęła Petera. Miała gdzieś, co stanowią przepisy regulaminu. Może strażnicy przyjdą i ją od niego oderwą, ale póki to się nie stanie, nie zamierzała wypuścić syna z ramion.

Zapis wideo pokazywał, że kiedy Peter wkroczył do kafeterii z pistoletem w dłoni, inni uczniowie krążyli wokół stolików z tacami, gawędzili z przyjaciółmi lub odrabiali lekcje. Chwilę później kafeterią wstrząsnęły huki wystrzałów i kakofonia krzyków. Zawył alarm przeciwpożarowy. Ktoś zerwał się do biegu. Peter znowu zaczął strzelać

i na ziemię padły dwie dziewczyny, a koledzy deptali po ich ciałach, rzucając się w panice do ucieczki.

Gdy jedynymi osobami pozostałymi w kafeterii były już tylko ofiary, Peter się przeszedł między stolikami, lustrując rezultaty swojej akcji. Minął zastrzelonego chłopca, który leżał na stole z głową opartą o przesiąknięty krwią skoroszyt, ale potem przystanął, podniósł z blatu iPoda i wetknął sobie słuchawki w uszy. Szybko jednak je wyjął, wyłączył odtwarzacz i odłożył go z powrotem na stół. Przerzucił kilka kartek w otwartym zeszycie. A potem usiadł przy jednej z tac z nietkniętym jedzeniem i położył na niej pistolet. Nasypał do plastikowej miseczki płatków śniadaniowych, dolał mleka z małego kartonika, posilił się, a następnie wstał, znów wziął w rękę broń i wyszedł z kafeterii.

To było najbardziej mrozące krew w żyłach, najokrutniej wyrachowane działanie, jakie Patrick kiedykolwiek widział w życiu.

Spojrzał na chińską zupkę z paczki, którą przyrządził sobie na kolację, ale apetyt już go opuścił. Odstawił więc talerz na stos starych gazet, przewinął taśmę wideo i zmusił się do ponownego jej obejrzenia.

Kiedy zadzwonił telefon, podniósł słuchawkę, wciąż wytrącony z równowagi widokiem Petera na telewizyjnym ekranie.

– Mhm?

– Ja też cię gorąco witam – odezwała się Nina Frost.

Na dźwięk jej głosu natychmiast drgnęło mu serce: niełatwo zabić w sobie stare odruchy.

– Przepraszam, byłem bardzo zajęty.

– Domyślam się. W wiadomościach nie mówią o niczym innym. Jak się trzymasz?

– No, wiesz... – mruknął jedynie, ale tak naprawdę te dwa słowa wyrażały, że nie sypia po nocach; że ilekroć zamyka powieki, widzi twarze zabitych; że gdzieś w jego głowie kłębią się niesprecyzowane pytania, które zapomniał zadać.

– Patrick, przestań się obwiniać – odparła Nina. Rozszyfrowała go bezbłędnie, ponieważ była jego najdawniejszą przyjaciółką i znała go

lepiej niż ktokolwiek inny na świecie, jego samego nie wyłączając.

Mimo woli zwiesił głowę.

– Jak mogę się nie obwiniać? Przecież to się stało w moim mieście.

– Gdybym miała wideofon, mogłabym zobaczyć, czy masz teraz na sobie włosiennicę, czy raczej płaszcz i szpadę.

– To wcale nie jest śmieszne.

– Wiem – odparła. – Ale przecież zdajesz sobie sprawę, że proces będzie jedynie formalnością. Ilu masz naocznych świadków? Tysiąc?

– Coś koło tego.

Nina zamilkła. Patrick nie musiał wyjaśniać tej kobiecie, której nieustannie towarzyszyło poczucie winy, że skazanie Petera Houghtona nie załatwi sprawy. A on nie odnajdzie spokoju, dopóki nie zrozumie, dlaczego Peter się do tego posunął.

Bo tylko wtedy będzie mógł w przyszłości zapobiec podobnej tragedii.

Wyjątek ze specjalnego raportu FBI, sporządzonego przez agentów oddelegowanych do przeanalizowania masakr szkolnych w USA i na świecie: W wypadku tego typu sprawców zaobserwowaliśmy podobieństwa w dynamice relacji rodzinnych. Na ogół związek sprawcy z rodzicami jest burzliwy; bywa również, że rodzice akceptują patologiczne zachowania. Ogólnie rzecz biorąc, rodzinę cechuje brak bliskiej więzi pomiędzy jej członkami. Zazwyczaj sprawca ma w domu nieograniczony dostęp do telewizji i komputera, nierzadko także do broni palnej.

Sprawca niechętnie się angażuje w proces edukacyjny. W szkole, do której chodzi, toleruje się zachowania nacechowane brakiem szacunku dla kolegów, kary wymierzane są niekonsekwentnie i niesprawiedliwie, nauczyciele wykazują tendencję do nadmiernego faworyzowania popularnych uczniów. Sprawca zazwyczaj ma łatwy dostęp do filmów i gier wideo, nacechowanych przemocą; eksperymentuje z narkotykami i alkoholem; poza szkołą posiada rówieśniczą grupę wsparcia, która

promuje jego patologiczne zachowania. Na ogół przed dokonaniem aktu przemocy sprawca w bardziej lub mniej zawołany sposób sugeruje swój zamiar. Owe sugestie mogą przybrać formę wierszy, opowiadań, luźnych notatek, rysunków, postów internetowych czy też gróźb wygłaszanych twarzą w twarz bądź *in absentia*. Chociaż w zachowaniach sprawców wyraźnie się rysują pewne schematy, należy podkreślić, że niniejszy raport nie może służyć do precyzyjnego typowania ewentualnych przestępców. Nie wolno więc dopuścić, żeby jego tezy przeniknęły do mediów, ponieważ w rezultacie wielu nieagresywnych uczniów mogłoby zostać naznaczonych piętnem potencjalnych morderców. Trzeba mieć na uwadze fakt, że znacząca liczba nastoletnich chłopców, którzy nigdy się nie posuną do użycia przemocy, może wykazywać zachowania przedstawione w niniejszym opracowaniu.

Lewis Houghton był niewolnikiem własnych przyzwyczajzeń. Każdego ranka budził się o 5:35 i schodził do siłowni urządzonej w piwnicy, żeby pobiegać na elektrycznej bieżni. Potem brał prysznic i czytając poranną gazetę, zjadał miskę płatków śniadaniowych. Zawsze, bez względu na pogodę, wkładał tę samą kurtkę i parkował na tym samym miejscu pod swoim wydziałem.

Pewnego razu próbował matematycznie wyliczyć wpływ rutyny na poczucie szczęścia i wówczas odkrył interesującą zależność. Wartość dobrostanu zwiększała się lub zmniejszała w zależności od osobniczej odporności na zmiany. Ujmując to – jak by powiedziała Lacy – „ludzkim językiem”: na każdą osobę taką jak on, która najchętniej się porusza utartymi koleinami, przypada osoba, która uważa powtarzalność zdarzeń za poważne ograniczenie. Wówczas iloraz poczucia komfortu przybierał wartość ujemną i rutynowe działania miały negatywny wpływ na poczucie szczęścia.

Obecnie taka sytuacja, w jego mniemaniu, dotknęła Lacy, która snuła się po domu, jakby widziała to miejsce po raz pierwszy w życiu, i

nie chciała słyszeć o powrocie do pracy. „Jak możesz oczekiwać, że będę teraz w stanie myśleć o cudzych dzieciach?” – argumentowała. Upierała się, że powinni koniecznie COŚ przedsięwziąć, ale Lewis nie miał pojęcia, co by to mogło być. A ponieważ nie był w stanie poprawić komfortu życia ani żonie, ani synowi, zdecydował, że przynajmniej zrobi coś dla siebie. Po rozprawie, na której przedstawiono Peterowi zarzuty, przez pięć dni siedział w domu; szóstego ranka natomiast zapakował teczkę, zjadł swoje płatki, przeczytał gazetę i wyruszył do pracy.

Po drodze rozmyślał nad matematycznym wzorem szczęścia. Swoje przełomowe odkrycie – $S = R/O$, czyli Szczęście równa się Rzeczywistość dzielona przez Oczekiwania – oparł na uniwersalnym założeniu, że każdy człowiek czegoś oczekuje od przyszłości. Innymi słowy, O było zawsze liczbą dodatnią.

Ostatnio jednak zaczął kwestionować zasadność tego dogmatu. Kiedy w bezsenne noce wpatrywał się w sufit – leżąc u boku Lacy, która jedynie udawała, że śpi, a w gruncie rzeczy tak jak on oddawała się rozmyślaniam – Lewis doszedł do wniosku, że można wyrobić w sobie odruch nieoczekiwania niczego od życia. Dzięki takiej postawie egzystencjalnej nie popada się w rozpacz po utracie pierworodnego syna i nie rozpada w proch, kiedy drugi syn trafia do więzienia za dokonanie masakry.

Gdy tylko Lewis wjechał na teren kampusu, od razu się poczuł lepiej. Tutaj nie był ojcem sprawcy niewyobrażalnej tragedii. Tutaj był Lewisem Houghtonem, profesorem ekonomii. Tu gra, w której osiągnął mistrzostwo, toczyła się według jego reguł; Lewis nie musiał przeglądać wyników swoich badań i dumać, w którym momencie wszystko zaczęło się sypać.

W gabinecie wyjął plik papierów z teczki i właśnie w tym momencie w uchylonych drzwiach pojawiła się głowa dziekana wydziału ekonomicznego. Hugh Macquarie był bardzo potężnym mężczyzną (za

jego plecami studenci mówili o nim „Huge Andhairy”⁵⁾, który z entuzjazmem i werwą sprawował swój urząd.

– Houghton? A ty co tu robisz?

– O ile się nie mylę, uczelnia wciąż płaci mi za pracę – próbował zażartować Lewis. Tak naprawdę nigdy nie umiał opowiadać dowcipów – brakowało mu odpowiedniego wyczucia i zawsze zdradzał puente przypadkowo lub za wcześnie.

Hugh wmaszerował do gabinetu.

– Wielkie nieba, Lewis, zupełnie nie wiem, co powiedzieć...

Lewis nie miał mu tego za złe. Jemu samemu brakowało słów. Hallmark wypuszczał wiele pięknych, wzruszających kartek na okoliczność utraty bliskiej osoby, ukochanego zwierzęcia domowego czy nawet miejsca pracy, ale jak do tej pory nikt nie wymyślił słów pociechy dla rodziców, których dziecko właśnie zamordowało dziesięć osób.

– Miałem zamiar do ciebie zadzwonić. Lisa nawet chciała jechać do was z jakąś własnoręcznie przyrządzoną potrawką czy czymś podobnym. Jak się trzyma Lacy?

Lewis poprawił okulary na nosie.

– No wiesz... Próbujemy zachować pozory normalności.

Ledwo wypowiedział te słowa, wyobraził sobie własne życie jako wykres. „Normalność” była funkcją prostoliniową, zbliżała się do osi, ale nigdy jej nie przecinała.

Hugh opadł na fotel stojący po drugiej stronie biurka – ten sam, na którym siadywali studenci przychodzący na konsultacje z mikroekonomii.

– Lewis, powinieneś iść na urlop.

– Dzięki, Hugh. Miło, że o tym pomyślałeś. – Lewis zerknął na tablicę, na równania, które starał się rozwinać. – Ale tak naprawdę praca zrobi mi teraz najlepiej. Jak jestem tutaj, nie muszę myśleć o byciu „tam”. – Chwycił kawałek kredy i zaczął zapisywać na tablicy długi ciąg

5 *Huge and hairy* (ang.) - wielki i włochaty.

liczb, co od razu podziałało na niego uspokajająco.

Hugh położył mu dłoń na ramieniu, przerywając obliczenia.

– Zdaje się, że nie dość precyzyjnie się wyraziłem. Rada Wydziału orzekła, że będzie lepiej, jak weźmiesz sobie wolne.

Lewis zamrugął gwałtownie.

– A! Hm. Rozumiem – powiedział, chociaż tak naprawdę nic nie rozumiał. Jeżeli on sam był gotów oddzielić swoje życie zawodowe od prywatnego, czy koledzy ze Sterling College tym bardziej nie mogli się na to zdobyć?

Chyba że...

Chyba że popełniał kardynalny błąd w rozumowaniu. Jeżeli człowiek nie jest pewien swoich decyzji jako ojciec, czy może tę chwiejność zakłajstrować pewnością siebie w sprawach zawodowych? Czy też owa podpora będzie iluzoryczna niczym ściana z dykty, niezdolna do przenoszenia większych obciążeń?

– Tylko na jakiś czas – zapewnił Hugh. – Tak będzie najlepiej.

Dla kogo? – pomyślał Lewis, ale nie odezwał się słowem.

Kiedy za dziekanem zamknęły się drzwi, ponownie chwycił za kredę. Wpatrzył się intensywnie w równania, aż przed oczami zlały mu się w jedno, i wtedy zaczął gorączkowo zapisywać tablicę liczbami – niczym kompozytor, który szybciej tworzy symfonię w głowie, niż jego palce są w stanie przełożyć utwór na notację muzyczną. Jak to się stało, że nie wpadł na to wcześniej? Każdy wiedział, że rzeczywistość dzielona przez oczekiwania to iloraz szczęścia. Jeżeli się jednak podzieli oczekiwania przez rzeczywistość, w wyniku wcale się nie otrzyma emocji odwrotnej do szczęścia. Ten iloraz, jak uświadomił to sobie Lewis, będzie miarą nadziei.

To zresztą najzupełniej logiczne. Zakładając, że rzeczywistość jest wartością stałą, oczekiwania muszą być od niej większe, by wytworzyło się poczucie optymizmu. Pesymista natomiast to osoba, której oczekiwania mają niższą wartość od rzeczywistości. W życiu każdego człowieka wynik takiego ilorazu może się zbliżać do zera, ale nigdy tego zera nie osiąga, ponieważ ludzie nigdy całkowicie nie porzucają nadziei

– ona zawsze powraca przy najmniejszej zachęcie losu.

Lewis odszedł na krok od tablicy i obrzucił swoje dzieło uważnym spojrzeniem. Ktoś, kto odczuwa szczęście, nie żywi wielkiej nadziei na zmiany, bo nie odczuwa ich potrzeby. Choć, z drugiej strony, optymistyczne nastawienie bierze się właśnie z wiary, że to, co najlepsze, dopiero nastąpi.

Lewis zaczął się zastanawiać, czy istnieją jakieś wyjątki od tej reguły: czy ludzie szczęśliwi mogą odczuwać potrzebę karmienia się nadzieją i czy nieszczęśliwi mogą się całkowicie wyrzec nadziei na lepsze jutro.

Na skutek tych rozważań stanął mu przed oczami syn.

I wówczas Lewis wybuchnął płaczem, a dłonie i marynarka obsypane białym kredowym pyłem upodobniły go do ducha.

Biuro „komanda technoświrów”, jak Patrick pieśczośliwie nazywał grupę specjalistów, którzy się włamywali do twardych dysków komputerów w poszukiwaniu pornografii czy fragmentów „Kuchni anarchisty”, było zastawione różnymi komputerami. Znajdował się tu nie tylko laptop Petera Houghtona, ale także sprzęt ze Sterling High – między innymi z głównego sekretariatu oraz biblioteki.

– Chłopak jest naprawdę dobry w te klocki – oświadczył Orestes, technik, który w przekonaniu Patricka sam był jeszcze w wieku przedmaturalnym. – I nie mówimy tu o prostym programowaniu.

Z komputera Petera wyciągnął kilka plików graficznych, których specyfikacje zupełnie nic Patrickowi nie mówiły. Orestes uderzył w kilka klawiszy i wówczas na ekranie ukazał się trójwymiarowy smok, zionący ogniem.

– Rany! – mruknął Patrick.

– No właśnie. O ile się zorientowałem, stworzył kilka gier komputerowych, a niektóre nawet zamieścił w Internecie na różnych specjalistycznych witrynach, gdzie inni mogą je wypróbować i ocenić.

– Udzielał się tam na forach dyskusyjnych? Dobrałeś się do wychodzącej od niego poczty?

– Chłopie, okaż choć odrobinę wiary – odparł Orestes i kliknął myszą. – Peter posługiwał się nickiem DeathWish. To taka...

– Kapela – wtrącił Patrick. – Tak. Wiem.

– To coś dużo więcej niż kapela – oznajmił Orestes z respektem w głosie, przebijając palcami po klawiszach. – Ci goście są wyrazicielami świadomości zbiorowej współczesnej ludzkości.

– Powiedz to Tipper Gore.

– Komu?

Patrick parsknął śmiechem.

– To ktoś sprzed twojej epoki.

– A jakiej muzy ty słuchałeś, kiedy byłeś małym dzieckiem?

– Jaskiniowców walących kamieniem o kamień – odparł Patrick sucho.

Na ekranie ukazała się seria postów wysłanych przez DeathWish. Większość z nich się koncentrowała na programowaniu grafiki lub zawierała recenzje gier zamieszczonych na odwiedzanych stronach. W dwóch znajdowały się cytaty z tekstów grupy Death Wish.

– A oto mój absolutny faworyt – oznajmił Orestes.

Od: DeathWish

Do: Hades 1991

To miasto jest do bani. W weekend będziemy mieli jarmark rzemiosła, podczas którego stare prukwy wystawią na sprzedaż tandetne gówna własnej roboty. Powinni to nazwać JARMARK SYFU. Moja kryjówka – krzaki za kościołem. Ćwiczenia celności – odstrzał prukw przechodzących przez ulicę. Dziesięć punktów za każdą sztukę! U-ha!

Patrick rozparł się wygodnie na krześle.

– To niczego nie dowodzi – zdecydował.

– Taa – przyznał Orestes. – Tym bardziej że jarmarki rzemiosła są rzeczywiście obsuwą. Ale spójrz na to. – Obrócił się w stronę innego terminalu. – Włamał się do systemu komputerowego szkoły.

- Po co? Żeby sobie poprawić oceny?
- Nie. Program, który napisał, obszedł szkolnego firewalla dokładnie o dziewiętej pięćdziesiąt osiem rano.
- O tej godzinie wybuchła pierwsza bomba – mruknął Patrick. Orestes obrócił monitor, tak aby Patrick mógł na niego popatrzeć.
- I to się wówczas pojawiło na ekranie każdego komputera w szkole. Patrick ujrzał fioletowe tło, a na nim czerwone, płonące litery, płynące falami w górę monitora. RAZ DWA TRZY... SZUKAM!

Jordan usadowił się za stołem i wówczas Peter Houghton został wprowadzony do salki konferencyjnej.

– Dzięki – rzucił adwokat w stronę strażnika, nie spuszczać przy tym wzroku z Petera.

Chłopak szybko się rozejrzył dokoła, po czym zawiesił tęskne spojrzenie na jedynym w tym pomieszczeniu oknie. Jordan widywał ten wyraz twarzy u wszystkich osadzonych, których reprezentował w życiu: jakże szybko istota ludzka nabierała cech zaszczutego zwierzęcia. Chociaż nie. To kwestia bardziej złożona i w istocie podobna do słynnego dylematu jaja i kury: Czy ci ludzie ulegali zezwierzceniu, bo się znaleźli w więzieniu... czy znaleźli się w więzieniu, ponieważ od dawna byli zezwierzeceni?

– Siadaj – rzucił Jordan, ale Peter tradycyjnie nie skorzystał z zaproszenia.

Niezrażony adwokat rozpoczął przemowę.

– Chcę ci wyłożyć podstawy naszej współpracy, Peterze. Wszystko, co mówię, pozostaje między nami. I vice versa – wszystko, co od ciebie usłyszę, zachowuję jedynie dla siebie. Mnie zresztą obliguje do tego prawo. Tobie natomiast zabraniam wszelkich kontaktów z mediami czy policją. W ogóle nie wolno ci rozmawiać o sprawie z nikim poza mną i rodzicami. Jeżeli ktokolwiek inny będzie próbował cię nakłonić do wynurzeń, masz natychmiast mnie o tym powiadomić; dzwoń na mój koszt. Jako twój adwokat jestem poniekąd twoim alter ego. A także

najlepszym przyjacielem, ojcem, matką i spowiednikiem. Czy to jasne?

Peter spiorunował go wzrokiem.

– Jak słońce.

– Doskonale. – Jordan wyjął z teczki prawniczy blok z żółtymi kartkami i ołówek. – Przypuszczam, że masz do mnie kilka pytań. Możemy zacząć właśnie od nich.

– Nienawidzę tego miejsca! – wybuchnął Peter. – I kompletnie nie rozumiem, czemu muszę tutaj siedzieć. U większości klientów Jordana początkowe przerażenie, wywołane osadzeniem za kratami, szybko ustępowało świętemu oburzeniu i wściekłości. Ale w tej chwili Peter zachowywał się i mówił jak typowy nastolatek – choćby Thomas w jego wieku, kiedy uważał, że jest pępkiem świata tylko jakimś dziwnym trafem zamieszkiwanego również przez Jordana.

Jordan szybko odsunął od siebie te wspomnienia: natura adwokata wzięła w nim górę nad naturą ojca i skłoniła do zastanowienia się, czy Peter Houghton może naprawdę nie wiedzieć, dlaczego się znalazł w więzieniu. Jordan pierwszy był gotów przyznać, że obrona oparta na niepoczytalności jest zdecydowanie przereklamowana i rzadko przynosi pożądane efekty, ale niewykluczone, że Peter jest autentycznym czubkiem – a to zapewniłoby mu uniewinnienie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – postanowił drażnić temat.

– To oni krzywdzili mnie, a teraz ja mam zostać ukarany.

Jordan odchylił się na oparcie krzesła i skrzyżował ramiona. Peter nie miał żadnych wyrzutów sumienia i ani przez moment nie żałował swojego postępu – to jedno nie ulegało wątpliwości. Co więcej, siebie samego uważał za ofiarę.

Tyle że to wszystko Jordana kompletnie nie wzruszało: oto jedna z najlepszych stron zawodu adwokata! W tej pracy nie było miejsca na własne odczucia i emocje. Jordan w życiu zawodowym miewał do czynienia z najgorszymi szumowinami – z mordercami i gwałcicielami, którzy się uważali za męczenników. Do jego obowiązków nie należało jednak moralne osądzanie tych ludzi bądź spoglądanie na świat z ich perspektywy. Ani przez moment nie musiał też im wierzyć. Praca

Jordana polegała na tym, by słowem i czynem wywalczyć dla nich wolność. W przeciwieństwie do tego, co powiedział Peterowi, nie był kapłanem, psychoterapeutą czy przyjacielem swoich klientów. Musiał ich tylko odpowiednio nastawić.

– Cóż, musisz zrozumieć punkt widzenia ludzi, którzy posłali cię do więzienia – oznajmił rzeczowym tonem. – Dla nich jesteś najzwyklejszym zabójcą.

– W takim razie wszyscy oni są bandą hipokrytów – odparował Peter. – Gdyby zobaczyli karalucha, toby go rozdeptali, no nie?

– Czy taką metaforą określiłbyś wydarzenia, do których doszło w szkole?

Peter umknął wzrokiem.

– Czy pan wie, że nie pozwalają mi tutaj czytać żadnych czasopism? – rzucił zaczepnie. – Nie mogę nawet wychodzić na boisko jak pozostali więźniowie.

– Nie przyszedłem tutaj po to, żeby wysłuchiwać twoich skarg i zażaleń.

– To właściwie po co? – Peter skrzyżował ramiona i zmierzył Jordana gniewnym wzrokiem – od kołnierzyka, poprzez krawat, aż do czubków błyszczących czarnych butów. – Przecież tak naprawdę gównu pana obchodzę.

Jordan wstał i wepchnął blok z powrotem do teczki.

– Wiesz co? Masz rację. Tak naprawdę gównu mnie obchodzisz. Po prostu wykonuję swoją pracę, ponieważ – w odróżnieniu od ciebie – mnie stan New Hampshire nie zapewni wikt i dachu nad głową do końca moich dni. – Ruszył w stronę wyjścia, ale zatrzymały go słowa Petera.

– Czemu wszyscy tak bardzo się przejmują śmiercią tych palantów?

Jordan odwrócił się powoli, rejestrując w pamięci, że ani życzliwość, ani autorytatywny ton nie są w odniesieniu do Petera skuteczne. Jedynie gniew w najczystszej postaci jest w stanie skłonić go do jakiejś reakcji.

– To znaczy... wszyscy po nich płaczą... a to były najzwyklejsze

dupki. Każdy mówi, że zrujnowałem im życie, ale nikogo nie obchodziło, kiedy oni zamieniali moje życie w piekło.

Jordan przysiadł na brzegu stołu.

– W jaki sposób?

– A od kiedy mam zacząć? – spytał gorzko Peter. – Od przedszkola, gdy podczas lunchu któryś z tych fiutów odsuwał krzesło, kiedy sięgałem po kanapkę, a ja lądowałem na tyłku ku ucieście wszystkich pozostałych dzieciaków? Czy od drugiej klasy, kiedy mi wkładali głowę do kibla i raz po raz spuszczaali wodę, bo wiedzieli, że są totalnie bezkarni? A może od tego dnia, kiedy tak mnie stłukli w drodze ze szkoły do domu, że trzeba było zakładać szwy?

Jordan sięgnął po swój blok i zapisał SZWY.

– Kim są ci „oni”?

– Cała banda dzieciaków.

Tych dzieciaków, które zamierzałeś zabić? – pomyślał Jordan, ale tego pytania nie zadał na głos.

– Jak myślisz, dlaczego upatrzyli sobie właśnie ciebie? – rzucił w zamian.

– Bo byli ostatnimi kutasami? Nie mam pojęcia. Oni są jak wilcza wataha. I muszą koniecznie kogoś zgnoić, żeby poprawić sobie samopoczucie.

– Robiłeś coś, żeby temu zapobiec?

Peter prychnął kpiąco.

– O ile pan zauważył, Sterling trudno nazwać metropolią. Wszyscy się tutaj znają. Człowiek ląduje w liceum z tymi samymi dzieciakami, z którymi w czasach przedszkola bawił się w piaskownicy.

– Nie mogłeś się trzymać od nich z daleka?

– Przecież musiałem chodzić do szkoły, prawda? A nawet pan sobie nie wyobraża, jaki mały staje się świat po codziennej porcji ośmiu godzin w szkole.

– A więc po zajęciach również ci dokuczali?

– Jeżeli tylko udawało im się mnie dorwać – potwierdził Peter. – I gdy byłem sam.

– A czy zdarzały się inne formy nękania? Telefony, listy, pogrożki? – spytał Jordan.

– Internet. Wysyłali mi posty pełne wyzwisk. A pewnego dnia wykradli mail, który do kogoś napisałem, i rozesłali po całej szkole... zrobili sobie z tego niezły ubaw... – Peter odwrócił wzrok i zamilkł.

– Dlaczego?

– To był... – Potrząsnął głową. – Nie chcę o tym mówić.

Jordan ponownie coś zanotował.

– Czy opowiadałeś komukolwiek o tym, co cię spotykało? Rodzicom? Nauczycielom?

– Oni mają to gdzieś – rzekł z przekonaniem Peter. – Radzą wszystko ignorować. Obiecują, że będą pilnować, by podobne wypadki się nie powtórzyły, ale nigdy tego nie robią. – Podeszedł do okna i oparł dłonie o szybę. – W pierwszej klasie dołączyła do nas dziewczynka, która cierpiała na ciężką chorobę, tę, w której kręgi przebijają się na zewnątrz...

– Rozszczepienie kręgosłupa?

– Właśnie. Jeździła na wózku, nie mogła nawet prosto usiąść i w ogóle, ale zanim się zjawiała w naszej klasie, nauczycielka powiedziała, że mamy ją traktować tak, jakby się niczym od nas nie różniła. Rzecz w tym, że ona nie była taka jak reszta z nas – my o tym wiedzieliśmy, a przede wszystkim ona sama o tym wiedziała. Więc co, mieliśmy jej kłamać w żywe oczy? – Peter potrząsnął głową. – Każdy twierdzi, że bycie innym jest okay, a jednocześnie Ameryka to podobno jeden wielki tygiel, więc jak to, do cholery, jest naprawdę? Jeżeli Ameryka jest tygłem, to znaczy, że wszystkich ma przetapiać na jednorodną substancję, czyż nie?

Jordan pomyślał o swoim synu, Thomasie, w czasie gdy ten był uczniem szkoły średniej. W owym okresie przenieśli się z Bainbridge do Salem Falls, środowiska tak małego, że towarzyskie kliki zdążyły już wznieść solidne mury, broniące wstępu outsiderom. Przez jakiś czas Thomas był istnym kameleonem – po szkole zaszywał się w swoim pokoju, z którego wyskakiwał jako zapalony piłkarz, aktor dramatyczny

lub matematyczny geniusz. Wielokrotnie zmieniał skórę, zanim znalazł grupę przyjaciół, którzy pozwolili mu być, kim chciał, i reszta jego kariery szkolnej przebiegła względnie gładko. Ale co by się stało, gdyby nie znalazł dla siebie miejsca? Jeżeli byłby zmuszony zrzucić z siebie skórę wciąż i wciąż od nowa, dopóty, dopóki nie pozostałoby już nic prócz żywego ciała?

Jakby czytając w myślach Jordana, Peter spytał niespodziewanie:

– Ma pan dzieci?

Jordan z zasady nie omawiał swojego prywatnego życia z klientami. Ich relacje miały się ograniczać wyłącznie do sali sądowej. W tych nielicznych wypadkach, gdy złamał swoją niepisaną regułę, ciężko za to zapłacił w wymiarze osobistym i zawodowym. Teraz jednak spojrzał Peterowi prosto w oczy i odpowiedział:

– Dwoje. Sześciomiesięcznego malucha i syna w Yale.

– No więc pan wie, jak to działa. Każdy chce, żeby jego dziecko zostało absolwentem Harvardu albo rozgrywającym w drużynie Patriots. Nikt, patrząc na noworodka, nie myśli: Mam nadzieję, że wyrośnie na odmieńca. Że codziennie po drodze do szkoły będzie się modlił, by nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Ale wie pan co? Każdego dnia setki dzieciaków wyrastają na nieudaczników.

Jordan zaniemówił. Bardzo cienka granica rozdzielała oryginalność od dziwactwa; to, co sprawiało, że dziecko wyrastało na dobrze przystosowanego człowieka, jak Thomas, od tego, co czyniło z niego osobnika zaburzonego, jak Peter. Czy każdy nastolatek mógł się potencjalnie znaleźć na jednym bądź drugim krańcu tej zawieszanej nad przepaścią liny i czy umiałby zdefiniować moment, który o tym zdecydował?

Jordan przypomniał sobie Sama, któremu rano zmieniał pieluszkę. Dziecko chwyciło się za palce u stóp, zafascynowane faktem, że zdołało je zlokalizować, po czym natychmiast wepchnęło je sobie do ust. Selena, przyglądająca się tej scenie ponad ramieniem Jordana, rzuciła dowcipną uwagę. Jordan natomiast, ubierając synka, myślał o tym, jak wszechogarniającą tajemnicą musi być życie dla takiego malucha.

Zastanawiał się, co odczuwa człowiek, gdy otaczający świat jest tak niewyobrażalnie wielki. I kiedy pewnego ranka odkrywa jakąś część siebie, o której istnieniu do tej pory nie miał pojęcia.

Kiedy przestajesz pasować do reszty świata, stajesz się nadczłowiekiem. Czujesz na sobie cudze spojrzenia tak wyraźnie, jakby się do ciebie fizycznie przyklejały. Z odległości kilometra słyszysz wymieniane szeptem uwagi na twój temat. Stajesz się niewidzialny, chociaż w rzeczywistości wciąż tkwisz tam, gdzie stałeś. Możesz wrzeszczeć na całe gardło, a i tak nikt cię nie usłyszy.

Stajesz się mutantem; dzokerem, do którego na zawsze przyrosła maska; bionicznym człowiekiem, który stracił wszystkie członki, nadal jednak zachował własne serce. Jesteś tworem, który kiedyś był normalną ludzką istotą, wszakże tak dawno temu, że już zupełnie nie pamiętasz, jakie to uczucie.

Sześć lat wcześniej

Peter wiedział, że będzie miał przechłapane, gdy na rozpoczęcie szóstej klasy matka dała mu przy śniadaniu prezent.

– Wiem, jak bardzo chciałeś mieć coś takiego – powiedziała, czekając niecierpliwie, aż Peter zdejmie opakowanie.

W środku znajdował się segregator z Supermanem na okładce. Peter rzeczywiście bardzo chciał taki dostać. Tyle że trzy lata temu, kiedy to był szczyt szpanu.

Zmusił się jednak do uśmiechu.

– Dzięki, mamó – wydukał.

Ona natychmiast się rozpromieniła, Peter natomiast zaczął się zastanawiać, jak inne dzieciaki wykorzystają ten idiotyczny segregator przeciwko niemu.

Jak zwykle na ratunek pośpieszyła Josie. Powiedziała woźnemu, że ma rozwalone ochraniacze na rączkach kierownicy roweru i potrzebuje samoprzylepnej taśmy izolacyjnej, by je prowizorycznie zaklejstrować na powrót do domu. Tak naprawdę wcale nie jeździła rowerem do szkoły – chodziła na piechotę razem z Peterem, który mieszkał kawałek dalej i zawsze zgarniał ją po drodze. Chociaż od wielu lat nigdy się nie spotykali po lekcjach – od czasu burzliwej awantury pomiędzy ich matkami, której przyczyn żadne z nich nie pamiętało – Josie wciąż się trzymała z nim w szkole. I łaska boska, bo nikt poza nią nie chciał się z Peterem zadawać.

Siedzieli razem przy stole w czasie lunchu; sprawdzali sobie nawzajem szkice esejów na angielski; zawsze pracowali w parze na ćwiczeniach laboratoryjnych. Najcięższą porą roku było dla nich lato. Mogli do siebie mailować i czasami nawet się spotykali przy miejskim stawie, ale to wszystko. Natomiast gdy przychodził wrzesień, bezbłędnie wpadali we wspólny rytm, jakby nigdy nie przeżyli żadnego interwału. I na tym, w opinii Petera, polegała najprawdziwsza przyjaźń.

Tym razem, przez segregator z Supermanem, rok szkolny rozpoczął się dla nich kryzysem. Z pomocą Josie Peter zrobił coś w rodzaju obwoluty z taśmy samoprzylepnej i starej gazety, którą podkradli z laboratorium. Josie argumentowała, że Peter będzie mógł zdejmować obwolotę po przyjściu do domu, żeby jego matka nie poczuła się urażona.

Przerwa na lunch dla szóstoklasistów została w tym roku wyznaczona na bardzo wczesną godzinę, zaledwie jedenastą przed południem, ale i tak im się zdawało, że od miesiący nie mieli nic w ustach. Josie musiała kupić sobie coś do jedzenia – kulinarne osiągnięcia jej matki ograniczały się do wypisywania czeków dla kobiet prowadzących stołówkę – a Peter stanął za nią w wijącej się kolejce po kartonik z mlekiem. Matka zawsze mu pakowała kanapkę, w której chleb był okrojony ze skórki, paczkę marchewek i jakiś owoc z ekologicznej uprawy, niekiedy już pokancerowany.

Peter położył segregator na tacy; wciąż się go wstydził, mimo obwoluty. Otworzył kartonik i wsunął do środka słomkę.

– Wiesz, tak naprawdę powinno ci być wszystko jedno, jaka jest okładka twojego segregatora – oświadczyła Josie. – Co cię obchodzi opinia innych?

Skierowali się w stronę stolika, i w tej samej chwili Drew Girard wpadł z impetem na Petera.

– Patrz, gdzie leziesz, przygłupie! – krzyknął Drew, ale już było za późno: Peter upuścił swoją tacę.

Mleko się rozlało na segregator, redukując gazetę do pulpy, spod której wyłoniła się sylwetka Supermana.

Drew zaniósł się śmiechem.

– Czy na gaciach też masz bohaterów kreskówek, Houghton?

– Zamknij się, Drew.

– Bo co? Porazisz mnie swoim rentgenowskim wzrokiem?

Tego dnia dyżur w stołówce pełniła nauczycielka sztuki, pani McDonald (Josie przysięgała, że kiedyś ją nakryła na wążaniu kleju w składziku z materiałami na zajęcia), która teraz bez entuzjazmu wkroczyła do akcji. Niektórzy z szóstoklasistów, jak Drew czy Matt Royston, byli już wyżsi od nauczycieli, mieli niskie głosy i zaczęli się golić; Peter natomiast co noc się modlił o nadejście okresu dojrzewania, ale jak do tej pory jego modły nie zostały wysłuchane.

– Peter, zajmij swoje miejsce... – Pani McDonald westchnęła ciężko.

– Drew ci przyniesie nowy karton mleka.

Zapewne zatrudtego, pomyślał Peter i zaczął osuszać segregator kłębem papierowych serwetek. Teraz nawet po wyschnięciu będzie śmierdział. Czy więc on nie powinien powiedzieć matce, że podczas lunchu niechący oblał go mlekiem? W zasadzie by nie skłamał, bo udział osoby trzeciej w tym zalaniu można spokojnie uznać za nieistotny szczegół. No i bardzo prawdopodobne, że dzisiejszy wypadek zmobilizuje matkę do kupienia mu nowego, normalnego segregatora – takiego, jakie mają wszyscy inni w klasie.

Peter uśmiechnął się w duchu. Niewykluczone, że Drew Girard mimo woli wyświadczył mu przysługę.

– Drew – ponagliła nauczycielka – słyszałeś, co powiedziałam.

Kiedy Drew ruszył w stronę piramidy kartoników z mlekiem, Josie dyskretnie podstawiła mu nogę, o którą się potknął i runął jak długi na podłogę. Na ten widok cała stołówka zatrzęsa się ze śmiechu. Bo tak właśnie funkcjonowała ta społeczność: znajdowałeś się na samym dole drabiny tak długo, póki nie znalazł się ktoś inny na twoje miejsce.

– Kryptonit bywa zabójczy – szepnęła Josie na tyle głośno, żeby jej słowa dotarły do Petera.

W opinii Alex sprawowanie urzędu sędziego miało dwie zasadnicze zalety. Po pierwsze, pozwalało pomóc ludziom w rozwiązaniu ich problemów i dawało im poczucie, że ktoś chce wysłuchać ich racji. Po drugie, nieustannie stawiało przed wyzwaniem intelektualnymi. Przy wydawaniu werdyktu trzeba było uwzględniać rozmaite czynniki: sytuację ofiar, postawę policji, argumenty prokuratury, odczucia społeczne. I zawsze patrzeć na sprawę z punktu widzenia stanowiących precedensów.

Najgorszą stroną tej pracy stanowiło przeświadczenie, że strony postępowania nigdy nie otrzymują tego, czego potrzebują najbardziej: sprawca – wyroku, który miałby działanie terapeutyczne, a nie był jedynie karą; ofiara – prawdziwego zadośćuczynienia.

Tego dnia przed Alex stanęła dziewczyna niewiele starsza od Josie. Była ubrana w kurtkę NASCAR i czarną plisowaną spódnicę, miała tlenione blond włosy i trądzik na twarzy. Alex często widywała podobne pannice: po zamknięciu głównej galerii handlowej przesiadywały na parkingu w camaro swoich chłopaków, robiąc Bóg wie co. Ciekawe, jaka byłaby ta dziewczyna, gdyby miała sędziego za matkę. Czy kiedykolwiek w życiu bawiła się pluszakami pod kuchennym stołem, czy czytała książki pod kołdrą z latarką w ręku, kiedy teoretycznie powinna już spać? Zawsze zdumiewało Alex, jak fundamentalny wpływ na ludzkie życie miewają pozornie nic nieznaczące zrządzania losu.

Dziewczyna została oskarżona o paserstwo – przechowywanie kradzionych dóbr, a dokładnie złotego naszyjnika, wartego pięćset dolarów, który dostała od swojego chłopaka. Alex spojrzała na nią z wyżyn swojego podwyższenia. Ustawianie stołu sędziowskiego tak, by górował nad salą, nie miało jakiegoś logistycznego znaczenia dla procesu, za to wywoływało piorunujący efekt psychologiczny.

– Czy dobrowolnie i świadomie zrzeka się pani swoich praw? Rozumie, że przyznając się do winy, potwierdza tym samym prawdziwość twierdzeń oskarżenia?

Dziewczyna gwałtownie zamrugnęła oczami.

– Nie wiedziałam, że ten naszyjnik jest kradziony. Myślałam, że to prezent od Hapa.

– Według zarzutu postawionego przez prokuraturę, przyjęła pani naszyjnik ze świadomością, że pochodzi z kradzieży. Jeżeli jednak pani nie wiedziała o źródle jego pochodzenia, przysługuje pani prawo do procesu przed ławą przysięgłych. Prawo do przedstawienia argumentów na własną obronę. Prawo do wniesienia wniosku o przydzielenie adwokata, ponieważ zarzucane pani przestępstwo jest wykroczeniem pierwszego stopnia i podlega karze do roku więzienia oraz grzywnie w wysokości dwóch tysięcy dolarów. Przysługuje pani prawo do przeniesienia na prokuraturę obowiązku udowodnienia winy ponad wszelką wątpliwość. Prawo do wysłuchania i przepytania wszystkich świadków, występujących przeciwko pani w sprawie. Prawo do wystąpienia o powołanie na świadka obrony dowolnej osoby i przedstawienie w sądzie wszelkich dowodów, które mogłyby świadczyć o pani niewinności. Ma pani prawo wnieść odwołanie do sądu apelacyjnego lub zażądać procesu w sądzie wyższej instancji przed ławą przysięgłych *de novo*, jeżeli dopuściłabym się uchybień proceduralnych lub jeżeli kwestionowałaby pani moje decyzje. Natomiast przyznając się do winy, automatycznie rezygnuje pani z wszystkich wymienionych przeze mnie praw.

Dziewczyna nerwowo przełknęła ślinę.

– No, ale ja rzeczywiście zastawiłam go w lombardzie.

– Nie na tym polega istota zarzutu – wyjaśniła Alex. – Czynem wyszczególnionym we wniosku prokuratury jest przyjęcie naszyjnika z pełną świadomością, że pochodzi z kradzieży.

– Ale ja chcę się przyznać do winy – oznajmiła dziewczyna.

– Chwilę temu powiedziała mi pani, że się nie dopuściła zarzucanego jej czynu. Nie można się przyznawać do przestępstwa, którego się nie popełniło.

Z jednej z tylnych ławek podniosła się kobieta, która wyglądała na marnie postarzoną kopię oskarżonej.

– Mówiłam jej, że ma się nie przyznawać – oznajmiła matka

dziewczyny. – Kiedy tu dzisiaj przyszła, chciała powiedzieć, że jest niewinna, ale prokurator oświadczył, że zaproponuje jej lepszy układ, jeżeli powie, że zrobiła to, o co ją oskarża.

Prokurator – niczym pajac na sprężynie – natychmiast poderwał się z miejsca.

– Nigdy nie powiedziałem niczego podobnego, wysoki sędzie. Zaoferowałem jedynie standardową ugodę pozaprosesową, jeżeli oskarżona przyzna się dzisiaj do winy – i nic poza tym. Poinformowałem, że jeżeli zdecyduje się na rozprawę przed ławą, wycofuję ofertę i wówczas wysoki sąd podejmie decyzję według własnego uznania.

Alex próbowała sobie wyobrazić, co się czuje, gdy się jest taką dziewczyną – całkowicie przytłoczoną potęgą wymiaru sprawiedliwości, niepojmującą obowiązującego w sądzie języka. Zapewne słowa prokuratora sprawiały, że patrzyła na tego faceta jak na prezentera prowadzącego teleturniej. „Bierzesz oferowaną gotówkę? Czy wybierasz drzwi numer jeden – za którymi może być kabriolet, ale równie dobrze tylko kurczak?”.

Dziewczyna zdecydowała się wziąć pieniądze.

Alex przywołała do siebie prokuratora.

– Czy w postępowaniu dowodowym wykazano, że wiedziała o kradzieży tego naszyjnika?

– Tak jest, wysoki sędzie. – Prokurator wręczył Alex policyjny raport, a ona szybko przebiegła go wzrokiem. Policjanci zapisali słowa dziewczyny w taki sposób, że trudno byłoby utrzymać tezę o jej niewinności.

Alex przeniosła wzrok na oskarżoną.

– Na podstawie raportu policyjnego, przy jednoczesnym uwzględnieniu zrzeczenia się przez stronę pozwaną prawa do przeprowadzenia postępowania dowodowego przed ławą przysięgłych, uznaje, że istnieją podstawy do przyjęcia oświadczenia wspomnianej strony. Materiał zebrany przez policję wskazuje, że przyjmując naszyjnik, wiedziała pani o jego pochodzeniu.

– Ja... ja nic z tego nie rozumiem – wydukała dziewczyna.

– To oznacza, że uznam panią za winną zarzucanego czynu, jeżeli nadal pani sobie tego życzy. Ale najpierw muszę usłyszeć przyznanie się do winy.

Dziewczyna przygryzła wargę, żeby powstrzymać jej drżenie.

– Okay – wyszeptała. – Zrobiłam to, co mówi prokurator.

To był jeden z tych przepięknych jesiennych dni, kiedy człowiek się wlecze do szkoły noga za nogą, bo wprost nie może uwierzyć, że będzie tam musiał zmarnować osiem godzin życia.

Siedząc na lekcji matematyki, Josie zapałała się w błękit nieba – w lazur: to książkowe słowo, które poznali w ubiegłym tygodniu, tak rozkosznie się rozlewało na języku, jak trzymane w ustach lodowe kryształki. Josie wyłapywała uchem okrzyki siódmoklasistów, którzy w ramach WF bawili się w podchody gdzieś za tylnym boiskiem. I nagle na jej kolana spadła kulka papieru. Josie ją rozwinęła i zobaczyła liścik od Petera.

Dlaczego zawsze musimy znajdować rozwiązanie dla x ? Czy x nie mógłby się rozwiązać sam i oszczędzić nam tego PIEKŁA?!!!

Josie odwróciła się w stronę Petera i posłała mu lekki uśmiech. W odróżnieniu od niego lubiła matematykę. Uwielbiała to cudowne przeświadczenie, że jeżeli się należycie przyłożyc do zadania, otrzyma się sensowną, logiczną odpowiedź.

Josie nie należała do elity najpopularniejszych dzieciaków, ponieważ była szóstkową uczennicą. Peter zbierał czwórki i trójki, a raz nawet dostał jedynkę, ale też się nie zaliczał do wybrańców. Naturalnie nie dlatego, że jak ona był mózgowcem, ale ponieważ... był Peterem.

Jeżeli istniało coś takiego jak drabina popularności, Josie z pewnością zajmowała wyższy szczebel od kilkorga innych dzieciaków. I niekiedy się zastanawiała, czy trzyma z Peterem, bo lubi jego

towarzystwo, czy raczej dlatego, że w jego obecności czuje się kimś lepszym.

Podczas gdy wszyscy się pochylali nad arkuszami z zadaniami powtórkowymi, pani Rasmussin surfowała po Internecie. Po szkole krążyły żartobliwe plotki – że podczas klasówek kupuje gacie z witryny Gap.com lub odwiedza portale dla fanów telenowel. Jeden chłopak przysięgał nawet, że widział, jak przeglądała strony z pornografią, gdy podszedł do jej stołu, żeby o coś zapytać.

Tradycyjnie Josie skończyła wcześniej od innych. Zaczęła się rozglądać po klasie, aż w końcu jej wzrok padł na panią Rasmussin. Nauczycielka jak zwykle siedziała przy swoim komputerze i... płakała. Miała przy tym wyraz twarzy, który natychmiast zdradzał, że nie zdaje sobie sprawy z własnych łez.

Nagle nauczycielka wstała od komputera i wyszła z klasy bez słowa – nie przykazując uczniom nawet, żeby byli cicho podczas jej nieobecności.

Po dłuższej chwili Peter postukał Josie w ramię.

– Co jej odbiło?

Zanim Josie zdążyła odpowiedzieć, pani Rasmussin powróciła. Miała kredowobiałą twarz, a usta zaciśnięte tak mocno, jakby je ktoś zaszył.

– Dzieci – powiedziała cicho. – Stało się coś strasznego.

W centrum audiowizualnym, do którego spędzono wszystkich uczniów gimnazjum, dyrektor przekazał im to, czego się do tej pory dowiedział: dwa samoloty uderzyły w World Trade Center. Kolejny się rozbił o budynek Pentagonu. Przed chwilą runęła południowa wieża WTC.

Bibliotekarka włączyła telewizor, żeby wszyscy mogli oglądać wiadomości. Chociaż omijały ich lekcje – co zazwyczaj wzbudzało powszechny entuzjizm – w sali panowała taka cisza, że Peter słyszał bicie własnego serca. Rozejrzał się po otaczających go ścianach, zerknął

w okno na rozciągające się w górze niebo. To miejsce nie było oazą bezpieczeństwa. Takie oazy po prostu nie istniały, bez względu na to, co kto na ten temat mówił.

Czy tak właśnie się czuli ludzie podczas wojny?

Peter przeniósł wzrok na ekran. W Nowym Jorku przechodnie płakali i histerycznie krzyczeli, ale z ledwością można to było dostrzec z powodu pyłu i dymu, unoszących się w powietrzu. Wszędzie wokół buchał ogień, wyły syreny straży pożarnej i alarmy samochodowe. To, co Peter widział na ekranie, w niczym nie przypominało Nowego Jorku z wakacyjnej wycieczki, na którą pojechał razem z rodzicami. Byli wtedy na samym szczycie Empire State Building i mieli zjeść wytworną kolację w Windows of the World, ale Joeyowi zrobiło się niedobrze, bo zjadł za dużo popcornu, i musieli wracać do hotelu.

Pani Rasmussin wzięła wolne na resztę dnia. Jej brat był maklerem w World Trade Center.

Zginął.

Peter siedział obok Josie. Mimo że ich krzesła nie stykały się ze sobą, wyraźnie czuł, że przyjaciółka dygocze.

– Peter – wyszeptła z przerażeniem. – Ludzie wyskakują z okien.

Peter nie widział wszystkiego wyraźnie, pomimo swoich okularów, ale gdy zmrużył oczy, przekonał się, że Josie miała rację. Poczuł ściskanie w klatce piersiowej, jakby nagle skurczyły mu się żebra. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby się posunąć do czegoś tak dramatycznego?

Niemal natychmiast sam udzielił sobie odpowiedzi: Człowiekiem, który nie widzi żadnego innego wyjścia.

– Myślisz, że tutaj też mogliby nas dopaść? – szepnęła Josie.

Peter zerknął na nią spod oka. Chciałby w jakiś cudowny sposób poprawić jej nastrój, ale, prawdę mówiąc, sam nie czuł się najlepiej, a w dodatku nie wiedział, czy w języku angielskim istnieją słowa, które mogłyby wymazać z umysłu ten straszny szok, wywołany nagłym odkryciem, że świat nie jest takim miejscem, za jaki się go dotąd uważało.

Odwrócił się z powrotem w stronę telewizora, żeby uniknąć odpowiedzi na pytanie Josie. Coraz więcej ludzi wyskakiwało z okien północnej wieży, a chwilę później rozległ się ogłuszający grzmot i wszystko gwałtownie się zatrzęsło, jakby władca podziemia rozwierał swoją olbrzymią paszczę. Kiedy runął potężny wieżowiec, Peter przestał wreszcie wstrzymywać oddech – i poczuł wielką ulgę, bo teraz już naprawdę nic nie było widać.

Wszystkie szkolne telefony w końcu się zablokowały, a rodzice podzielili się na dwie kategorie: tych, którzy nie chcieli śmiertelnie przerażać dzieci swoim pojawieniem się w szkole i wpychaniem ich do domowego, piwnicznego schronu; oraz tych, którzy chcieli przeżywać tę tragedię, mając dzieci u boku.

Lacy Houghton i Alex Cormier należały do drugiej kategorii i przypadkiem obie zajęły pod szkołę niemal w tym samym czasie. Zaparkowały obok siebie na pętli szkolnego autobusu, wysiadły z samochodów i dopiero wówczas się rozpoznały; nie widziały się od dnia, kiedy Alex wyprowadziła Josie z piwnicy, w której mąż Lacy trzymał broń.

– Czy Peter... – zaczęła Alex.

– Nie wiem. A Josie?

– Przyjechałam zabrać ją do domu.

Weszły razem do głównego sekretariatu, skąd zostały skierowane do centrum audiowizualnego, znajdującego się na końcu holu.

– Nie mogę uwierzyć, że pozwolili im to oglądać – powiedziała Lacy, biegnąc u boku Alex.

– Są już w takim wieku, że rozumieją, co się dzieje – odparła Alex.

Lacy pokręciła głową.

– Ja nie jestem w takim wieku, by to zrozumieć.

W centrum roіło się od uczniów – siedzieli na krzesłach, na stołach, leżeli na podłodze. Alex po chwili zdała sobie sprawę, co w tej scenie było absolutnie nadzwyczajnego: wszyscy milczeli. Nawet nauczyciele

zakrywali usta rękami, jakby się bali dać upust emocjom w obawie, że gdy teraz się wyleją, zmiotą wszystko na swojej drodze niczym fala powodziowa.

Z przodu sali stał telewizor, w który wszyscy wbijali teraz wzrok. Alex natychmiast zauważyła córkę, ponieważ ta podkraśla jedną z jej opasek na włosy – tę w lamparcie cętki.

– Josie! – zawołała i dziewczynka gwałtownie się odwróciła, a potem niemal po głowach innych dzieci rzuciła się ku matce. Uderzyła w nią z siłą huraganu. Alex wiedziała, że gdzieś za tą furią, za tym kłębem emocji, kryje się oko cyklonu. Czuła też, że musi się przygotować na jeszcze jeden gwałtowny wybuch – bo tak działały nieokiełznane siły natury – zanim wszystko powróci do normy.

– Mamusiu – załkała Josie – czy już po wszystkim?

W pierwszej chwili Alex nie wiedziała, jak zareagować. Jako rodzic powinna znać odpowiedzi na wszystkie pytania, ale tym razem ich nie знаła. Powinna zapewnić swojej córce bezwzględne bezpieczeństwo, ale nie mogła uczciwie obiecać, że zdoła to zrobić. Musiała przybrać pewną siebie minę i zaręczyć Josie, że wszystko będzie dobrze, chociaż sama nie była o tym przekonana. Już jadąc z sądu do szkoły, uświadomiła sobie, jak krucha jest nawierzchnia pod kołami jej samochodu, jak łatwa do rozerwania kurtyna nieba. Alex mijiała studnie i natychmiast myślała o skażeniu wody pitnej; zastanawiała się, gdzie jest zlokalizowana najbliższa elektrownia atomowa.

Niemniej w ciągu lat spędzonych za sędziowskim stołem publicznie zawsze się zachowywała zgodnie z powszechnymi oczekiwaniami: była opanowana i zrównoważona, daleka od histerycznych reakcji, nigdy nieokazująca emocji przy wydawaniu werdyktów. Z pewnością więc zdoła odegrać podobną rolę na użytek córki.

– Nic nam nie grozi – oznajmiła spokojnym, rzeczowym tonem. – Najgorsze minęło.

Nie wiedziała, że akurat w chwili, gdy to mówiła, czwarty samolot spadał na pole w Pensylwanii, i nie zdawała sobie sprawy, że gwałtowność, z jaką przyciska do siebie Josie, jawnie przeczy jej

słowom.

Ponad ramieniem córki skinęła głową Lacy Houghton, która opuszczała szkołę w towarzystwie swoich dwóch synów. Alex przeżyła drobny wstrząs na widok Petera, bo nie wyobrażała sobie, że już tak wyrósł – był niemal wzrostu dorosłego mężczyzny.

Ile to lat minęło od czasu, gdy widziała go po raz ostatni?

Nagle zdała sobie sprawę, że można utracić z kimś kontakt całkiem niespostrzeżenie, dosłownie w mgnieniu oka. Poprzysięgła sobie, że nie dopuści, by coś podobnego spotkało ją i Josie. Ostatecznie sprawowanie urzędu sędziowskiego niewiele znaczyło wobec macierzyństwa. Kiedy asystent powiedział Alex o ataku na WTC, jej myśli wcale nie pobiegły ku społeczności, nad którą sprawowała pieczę... lecz jedynie ku Josie.

Przez następne tygodnie Alex dotrzymywała złożonej sobie obietnicy. Przeorganizowała wokandę, żeby być w domu, kiedy Josie wracała ze szkoły; nie zabierała pracy do domu na weekend; każdego wieczoru, podczas kolacji, prowadziła z córką rozmowy – i nie były to jakieś banalne pogaduszki, ale poważne dyskusje: dlaczego „Zabić drozda” można uznać za najlepszą powieść wszech czasów; jak można stwierdzić, że jest się naprawdę zakochaną; zamieniły nawet kilka słów na temat ojca Josie. Aż pewnego dnia wyjątkowo skomplikowana sprawa zatrzymała Alex dłużej w sądzie. No i Josie zaczęła już przesypiać spokojnie całe noce, nienękana koszmarami, po których się budziła z krzykiem. Powracanie do normalności wiązało się między innymi z rozmywaniem granic oddzielających ją od anormalności, i już po kilku miesiącach uczucia, które ogarnęły Alex jedenastego września, zaczęły się osuwać w niepamięć, jak przesłanie wypisane na piasku, zacierane falą pływów.

Peter nienawidził piłki nożnej, mimo to w gimnazjum grał w reprezentacji szkoły. Obowiązywała wówczas polityka głosząca, że każdy uczeń – nawet taki, który normalnie nigdy w życiu nie zostałby wybrany do jakiegokolwiek drużyny – może zostać zawodnikiem, co

ochoczo podchwyciła matka chłopca, kierowana przekonaniem, że aby się zintegrować, trzeba przede wszystkim jak najczęściej przebywać wśród ludzi. W rezultacie przez cały sezon Peter zasuwał na popołudniowe treningi, gdzie ćwiczył celność podań oraz biegał za piłką, rzadko miewając z nią kontakt, a na dodatek dwa razy w tygodniu w rozmaitych zakątkach hrabstwa Grafton grzał ławę podczas międzyszkolnych rozgrywek.

Była tylko jedna rzecz, której Peter nienawidził bardziej od piłki nożnej, a mianowicie przebieganie się na trening. Po lekcjach z rozmysłem długo grzebał w swojej szafce lub wymyślał różne pytania, które musiał niezwłocznie zadać nauczycielom, byle tylko wylądować w szatni, gdy już większość zawodników będzie się rozgrzewać na boisku. Wówczas mógł zmienić strój, nie narażając się przy tym na kpiny ze swojej zapadniętej klatki piersiowej lub na szarpanie gumy bokserów gwałtownie w górę, tak żeby wcięły mu się w tyłek. Koledzy z drużyny, zamiast Peter Houghton, wołali na niego Peter Homo, i nawet gdy był sam w szatni, wciąż słyszał odgłos przybijanych triumfalnie piątek oraz echo szyderczego śmiechu, które napierało na niego złowieszczą niczym fala skażona wyciekami z tankowca.

Po treningu zazwyczaj udawało mu się tak pokombinować, żeby się zjawić w szatni na szarym końcu: ochoczo się zgłaszał do zbierania piłek rozsianych po całym boisku, zasypywał trenera pytaniami na temat najbliższego meczu lub po prostu długo i starannie poprawiał sznurowadła korek. Jeżeli wyjątkowo dopisało mu szczęście, kiedy wchodził pod prysznic, wszyscy inni już zdążyli się rozejść do domów. Tego dnia jednak, tuż po rozpoczęciu treningu, nadciągnęła gwałtowna burza. Trener natychmiast ściągnął wszystkich z boiska i zapędził do szatni.

Peter powłókł się smętnie do swojego kąta. Kilku chłopaków już szło pod prysznic, z ręcznikami owiniętymi wokół bioder. Między innymi Drew i jego przyjaciel, Matt Royston. Po drodze zarykiwali się ze śmiechu i boksowali nawzajem po ramionach, żeby sprawdzić, który z nich ma większą siłę ciosu.

Peter odwrócił się w stronę szafek, rozebrał się i szybko okręcił ręcznik wokół pasa. Serce waliło mu jak młotem. Doskonale zdawał sobie sprawę, co każdy widzi, gdy na niego patrzy, ponieważ codziennie oglądał to w lustrze: skóra biała jak brzuch ryby; sterczące obojczyki; ramiona bez śladu muskulatury.

Ostatnią rzeczą, którą Peter zdjął, były okulary, które położył na górnej półce szafki. I wówczas, dzięki Bogu, całe otoczenie stało się jedną wielką, rozmazaną plamą.

Spuścił nisko głowę i zdejmując z siebie ręcznik w ostatniej chwili, wszedł pod prysznic. Matt i Drew już się namydłali. Peter tymczasem podstawił twarz pod wodny spray. Wyobraził sobie, że jest poszukiwaczem przygód, płynie po dzikiej rzece, napotyka spieniony wodospad i zostaje wciągnięty w otchłań wiru.

W końcu jednak przetaił oczy, odstał w bok i ujrzał rozmazane kontury sylwetek Drew i Matta. A także ciemne plamy pomiędzy ich nogami – włosy łonowe.

Peter jeszcze ich nie miał.

Matt niespodziewanie zerknął w bok, w jego stronę.

– Jezu Chryste. Przestań się gapić na mojego kutasa.

– Pieprzona ciota – dorzucił Drew.

Peter natychmiast odwrócił głowę. A co, jeżeli się okaże, że oni mają rację? Jeżeli właśnie dlatego jego wzrok powędrował właśnie w te okolice ich ciała? I co będzie, jeżeli teraz nagle mu stanie, jak to się ostatnio coraz częściej zdarzało?

To by oznaczało, że jest gejem, no nie?

– Nie patrzyłem na ciebie – wykrztusił pośpiesznie. – Zresztą i tak niczego bym nie zauważył.

Śmiech Drew odbił się głośnym echem od pokrytej kafkami ściany.

– Może twój fiut jest za mały, Mattie.

Zanim Peter się obejrzał, Matt trzymał go za gardło.

– Nie mam na nosie okularów – wycharczał Peter. – Dlatego nic nie widzę.

Matt go puścił, pchnąwszy uprzednio na ścianę, po czym

wymaszerował spod prysznica. Ściągnął ręcznik Petera z haczyka i wrzucił pod tryskającą z sitka wodę. Ręcznik, cały przemoczony, sfrunął na posadzkę i zatkał główny odpływ.

Peter szybko go podniósł i owinał wokół bioder. Z bawełnianej tkaniny leciały gęsto krople, tak jak łzy z oczu Petera. Miał tylko nadzieję, że nikt tego nie dostrzeże, bo po całym jego ciele spływały strużki wody.

Tak czy inaczej, wszyscy się na niego gapili.

Kiedy Peter był w towarzystwie Josie, nie odczuwał żadnych szczególnych emocji – nie miał ochoty jej pocałować, wziąć za rękę czy coś w tym rodzaju. Wobec chłopaków też nie miał takich odruchów, ale przecież każdy człowiek jest albo hetero, albo homo. Nie można być ni tym, ni owym, prawda?

Pośpieszył w stronę swojego kąta i zobaczył Matta stojącego przed jego szafką. Zmrużył oczy, żeby dojrzeć, co on tam właściwie robi, i w tym samym momencie Matt zdjął z półki okulary Petera, przytrzasnął je drzwiczkami szafki, po czym rzucił pogięte oprawki na podłogę.

– Teraz już nie będziesz mógł się na mnie gapić, pedale – oznajmił i odszedł.

Peter uklęknął na podłodze i próbował zebrać odłamki szkła. Ponieważ nie widział dobrze, od razu się skaleczył w rękę. Usiadł po turecku z przemoczonym ręcznikiem między nogami i podsunął sobie dłoń pod nos, a wówczas obraz stał się pełny i wyraźny.

W swoim śnie Alex szła główną ulicą całkiem naga.

Weszła do banku, żeby zrealizować czek, i kasjerka powiedziała z uśmiechem:

– Mamy dzisiaj piękną pogodę, nieprawdaż?

Pięć minut później Alex się znalazła w kawiarni, gdzie zamówiła latte z odtłuszczonym mlekiem. Za barem stała dziewczyna o jaskrawofioletowych włosach i brwiach połączonych w jedną kreskę poprzez rząd wbitych w czoło ćwieków. Kiedy Josie była mała i

przychodziła z matką do tej kawiarni, Alex zawsze musiała ją napominać, żeby nie wybałuszyła oczu.

– Czy mam podać biszkopczyk do kawy, pani sędzio? – zapytała dziewczyna zza baru.

Następnie Alex udała się do księgarni, do apteki oraz na stację benzynową, i w każdym z tych miejsc czuła na sobie natarczywe ludzkie spojrzenia. Miała świadomość, że jest naga. Otaczający ją ludzie też o tym wiedzieli. Ale nikt nie odezwał się słowem, dopóki nie weszła na pocztę. Poczmistrzem w Sterling był staruszek, który prawdopodobnie pracował w tym miejscu od czasów zakończenia działalności przez Pony Express. Wręczył Alex bloczek znaczków, po czym nieśmiało położył rękę na jej dłoni.

– Zapewne podobne uwagi są z mojej strony nie na miejscu...

Alex w napięciu zawiesiła na nim wzrok.

– ...ale to doprawdy przepiękna suknia, pani sędzio – dokończył z rozjaśnioną twarzą.

To jej pacjentka tak zawodziła. Lacy usłyszała jęki dziewczyny już z końca holu. Ruszyła biegiem, skręciła za załom i wpadła do szpitalnej salki.

Kelly Gamboni była sierotą, miała dwadzieścia jeden lat i iloraz inteligencji 79. Została zbiorowo zgwałcona przez trzech uczniów szkoły średniej, którzy teraz czekali na proces w poprawczaku w Concord. Kelly mieszkała w katolickim ośrodku pomocy, więc aborcja ani na chwilę nie wchodziła w grę. No, a teraz lekarz z izby przyjęć uznał za medycznie uzasadnione wywołanie u niej porodu w trzydziestym szóstym tygodniu ciąży.

Jedna z pielęgniarek bezskutecznie próbowała uspokoić Kelly, która leżała na łóżku, kurczowo przyciskała do siebie pluszowego misia i głośnym krzykiem przywoływała od lat nieżyjącego rodzica:

– Tatusiuuu! Zabierz mnie do domu! Tatusiu, to tak strasznie boli!

Do sali wkroczył lekarz i Lacy natychmiast ruszyła do natarcia.

– Jak śmiesz! – syknęła. – To moja pacjentka.

– Kiedy się znalazła na izbie, przeszła pod moją opiekę – zaripostował.

Lacy spojrzała znacząco na Kelly i wyprowadziła lekarza do holu; nie pomogą tej dziewczynie, skacząc sobie do oczu w jej obecności.

– Przyszła, skarżąc się, że od dwóch dni ma nieustannie mokre majtki. Badanie wskazuje na pęknięcie błony owodniowej – powiedział medyk. – Dziewczyna nie gorączkuje, USG płodu wykazuje stan normalny. W tej sytuacji wywołanie porodu wydaje się jak najbardziej sensowne. Plus – sama podpisała na to zgodę.

– Wywołanie porodu może się wydawać sensowne, ale jest niesłuszne. Ta dziewczyna cierpi na niedorozwój umysłowy. Nie ma pojęcia, co się z nią dzieje, a to wzbudza w niej przerażenie. I z pewnością nie jest zdolna do świadomego podejmowania decyzji. – Lacy odwróciła się na pięcie. – Ściągam tu psychiatrę.

– Ani się waż, do diabła! – Lekarz złapał ją za ramię.

– Ręce przy sobie!

Pięć minut później, gdy wciąż jeszcze na siebie wrzeszczeli, zjawił się konsultant z psychiatrii. Chłopię, które stanęło przed Lacy, było chyba mniej więcej w wieku Joeya.

– To zakrawa na kpinę – rzucił lekarz z izby przyjęć, i była to pierwsza jego uwaga, z którą Lacy zgodziła się bez zastrzeżeń.

Oboje weszli za psychiatrą z powrotem do sali. Teraz dziewczyna leżała zwinięta w kłębek na boku i pojękiwała cicho.

– Trzeba jej podać zewnątrzoponówkę – mruknęła Lacy.

– To niebezpieczne przy dwucentymetrowym rozwarciu – zauważył lekarz.

– Mam to gdzieś. Ona potrzebuje znieczulenia.

– Kelly? – Psychiatry przykucnął obok łóżka. – Czy wiesz, co to jest cesarskie cięcie?

– Uhm – wyjęczała dziewczyna.

Psychiatra się podniósł.

– Jest zdolna do podejmowania decyzji, chyba że sąd postanowi

inaczej.

Lacy nie wierzyła własnym oczom. – I to ma być całe badanie?

– Na moją konsultację czeka sześcioro innych pacjentów – warknął psychiatra. – Przykro mi, że czuje się pani zawiedziona.

– To nie mnie pan zawiódł! – wrzasnęła w stronę jego oddalających się pleców. Sama przykucnęła obok Kelly i chwyciła ją za rękę. – Wszystko będzie w porządku. Ja się tobą zaopiekuję. – Zmówiła w duchu krótką modlitwę, dedykując ją wszelkim możliwym siłom, zdolnym poruszyć skamieniałe skorupy, jakimi niekiedy bywały męskie serca. A potem spojrzała na doktora. – Przede wszystkim nie szkodzić – powiedziała cicho.

Lekarz ścisnął palcami nasadę nosa i westchnął głęboko.

– Okay, podam jej to znieczulenie.

I dopiero gdy padły te słowa, Lacy zdała sobie sprawę, że przez cały ten czas wstrzymywała oddech.

Ostatnią rzeczą, na jaką Josie miała ochotę, była kolacja w restauracji, gdzie przez cztery godziny będzie musiała patrzeć, jak kierownicy sali, kelnerzy, kucharze i pozostali goście podlizują się jej matce. To ostatecznie były urodziny Josie, zupełnie więc nie rozumiała, dlaczego nie mogą ich spędzić tak, jak chciała – przy chińszczyźnie na wynos i filmie na wideo. Ale matka się upierała, że siedząc w domu, nie uczczą tej okazji dostatecznie uroczyście, i w ten oto sposób Josie znalazła się jednak w restauracji, postępując krok w krok za matką niczym dama dworu.

Na dzień dobry naliczyła cztery: „Jakże miło panią widzieć, pani sędzio”, trzy: „Ależ naturalnie, pani sędzio”, dwa: „Cała przyjemność po mojej stronie, pani sędzio” i jedno: „Dla pani, pani sędzio, zawsze rezerwujemy najlepszy stolik”. Niekiedy Josie czytała w „People” plotki o różnych gwiazdach, stąd wiedziała, że są nieustannie obdarowywane przez kreatorów mody kosztownymi ciuchami, butami i dodatkami, dostają darmowe bilety na broadwayowskie przedstawienia i

wejściówki na stadion Jankesów. Na tej podstawie doszła do wniosku, że – z zachowaniem należytych proporcji – jej matka jest niekwestionowaną gwiazdą miasteczka Sterling.

– Wprost nie mogę uwierzyć, że moja córeczka ma już dwanaście lat!

– Oczekujesz, że teraz powiem: „Sama musiałaś być jeszcze dzieckiem, kiedy mnie urodziłaś”?

Matka się roześmiała.

– To byłoby miłe.

– Za trzy i pół roku będę już mogła prowadzić samochód – zauważyła Josie.

Widelec matki szczęknął głośniej o talerz.

– Dzięki. Od razu mi lepiej.

Do stolika podszedł bezszelestnie kelner.

– Pani sędzio – odezwał się pełnym rewerencji głosem, stawiając przed Alex miseczkę z kawiozem – proszę przyjąć tę drobną przystawkę od szefa kuchni w dowód szacunku.

– Co za ohyda! Rybie jaja?

– Josie! – Matka posłała kelnerowi wymuszony uśmiech. – Proszę podziękować szefowi.

Josie, grzebiąca widelcem w jedzeniu, poczuła na sobie karcący wzrok matki.

– No co? – rzuciła zaczepnie.

– Zachowałaś się jak rozpaskudzony bachor.

– Dlaczego? Bo nie lubię, jak ktoś podstawia mi pod nos rybie embriony? Ty też ich nie jadasz. Ja przynajmniej byłam szczerą.

– A ja taktowna – odparła matka. – Natomiast teraz kelner z pewnością powie szefowi kuchni, że córka sędzi Cormier jest arogancka.

– Myślisz, że mnie to obchodzi?

– A powinno. Swoim postępowaniem również o mnie wydajesz opinię, a ja muszę dbać o swoją reputację.

– Jaką reputację? Tej, co chce się przypodobać całemu Sterling?

– Reputację osoby o nienaganej postawie zarówno w sądzie, jak i poza jego murami.

Josie przekornie przekrzywiła głowę.

– A gdybym zrobiła coś naprawdę złego?

– To znaczy?

– Gdybym na przykład paliła haszysz?

Matka zamarła.

– Josie, czy chcesz mi powiedzieć coś ważnego?

– Jezu, mam, ja tego nie robię. To pytanie czysto hipotetyczne.

– Josie, teraz, gdy już jesteś w gimnazjum, możesz się zetknąć z dziećmi, które będą cię namawiały do niebezpiecznych eksperymentów – lub najzwyczajniej w świecie głupich – mam jednak nadzieję, że się okażesz...

– ...dość silna, by się im przeciwstawić i zachować rozsądek – dokończyła Josie gładko śpiewkę, którą znała na pamięć. – Tak. Wiem. Ale co byś, na przykład, zrobiła, gdybyś pewnego dnia wróciła do domu, a ja bym leżała naćpana na kanapie w salonie? Czy byś mnie wydała?

– Wydała? Co masz na myśli?

– Wezwała gliny. – Josie uśmiechnęła się szelmowsko. – Dostarczyła im materiał dowodowy w postaci mojego zapasu haszu.

– Nie – odparła matka. – Nie zgłosiłabym tego policji.

W dzieciństwie Josie wyobrażała sobie, że gdy dorośnie, będzie wyglądała jak matka – delikatne, idealnie zarysowane kości policzkowe, ciemne włosy, niebieskie oczy. Te elementy znajdowały się w jej własnej twarzy, ale w miarę jak dorastała, zaczynała coraz bardziej różnić się od matki, a zbliżać wyglądem do kogoś, kogo nigdy nie poznała. Swojego ojca.

Zastanawiała się niekiedy, czy jej ojciec też miał fotograficzną pamięć. Czy – podobnie jak ona – niemiłosiernie fałszował i czy lubił horrory. Ciekawiło ją, czy miał idealnie proste brwi – tak zupełnie różne od delikatnych łuków jej matki.

Zastanawiała się. Kropka.

– Jeżelibyś mnie nie wydała ze względu na łączące nas pokrewieństwo, to by oznaczało, że tak naprawdę wcale nie jesteś bezstronna i sprawiedliwa, prawda?

– Postąpiłabym, jak na matkę, a nie na sędzię, przystało. – Alex wyciągnęła rękę nad stołem i położyła ją na dłoni Josie, co było bardzo dziwne, bo matka nie należała do osób, które lubiły się przytulać i dotykać. – Josie, wiesz, że możesz przyjść do mnie z każdym problemem, a ja zawsze cię wysłucham. I nigdy nie uwikłałabym cię w żadne konsekwencje prawne, bez względu na to, co bym usłyszała – czy to by dotyczyło ciebie osobiście, czy też jednego z twoich przyjaciół.

Tych akurat Josie nie miała zbyt wielu. Był naturalnie Peter, którego znała od zawsze; i chociaż od lat już się nie odwiedzali nawzajem po lekcjach, wciąż się trzymali razem w szkole. No, ale Peter to ostatnia osoba, która – w opinii Josie – mogłaby się dopuścić czegokolwiek nielegalnego. Stanowił natomiast jeden z powodów, dla których inne dziewczyny wykluczały ją ze swojego grona. Josie wmawiała sobie, że to nie ma dla niej żadnego znaczenia, bo ostatecznie komu mogłoby zależeć na bliskiej znajomości z osobami zainteresowanymi jedynie tym, jak się potoczają wydarzenia w „One Time to Live”, i oszczędzającymi wszystkie pieniądze, zarobione na pilnowaniu cudzych dzieci, tylko po to, by je wydać w The Limited; Josie uważała te dziewczyny za okropnie sztuczne i nadęte i czasami jej się zdawało, że gdyby je dźgnęła dobrze zaostrzonym ołówkiem, pękłyby niczym balon.

I właściwie co z tego, że ona i Peter nie należą do grupy podziwianych dzieciaków? Josie zawsze powtarzała Peterowi, że to nie ma najmniejszego znaczenia, więc może najwyższy czas, by sama też w to uwierzyła.

Wysunęła dłoń spod ręki matki i z udawaną fascynacją wpatrzyła się w zupę szparagową. Z bliżej nieokreślonych przyczyn szparagi bawiły ją i Petera do łez. Pewnego razu przeprowadzili eksperyment mający na celu ustalenie, ile ich trzeba zjeść, żeby siki zaczęły dziwnie pachnieć, i okazało się, że wystarczą jedynie dwa kęsy. Słowo honoru, tylko dwa – nie więcej.

- Przestań przemawiać do mnie swoim sędziowskim głosem.
- Moim... jakim głosem?
- Sędziowskim. Tym, którym się odzywasz, kiedy podnosisz telefon.

Lub gdy jesteś w miejscu publicznym. Jak teraz.

Matka ściągnęła brwi.

– To absurdalne. Zawsze mówię tym samym głosem, bez względu na...

Do stołu ponownie dosunął się kelner – tak płynnie i gładko, jakby miał na nogach łyżwy.

– Nie chciałbym przeszkadzać... ale czy wszystko pani odpowiada, pani sędzio?

Bez mrugnięcia okiem matka przeniosła uwagę na kelnera.

– Wyśmienite potrawy – odparła z uśmiechem, który zniknął z jej twarzy dopiero wtedy, gdy facet na dobre się oddalił. Wówczas ponownie się zwróciła ku Josie. – Zawsze i wszędzie mówię tym samym głosem.

Josie zerknęła na matkę spod oka, potem spojrzała na oddalające się plecy kelnera.

– Może rzeczywiście – mruknęła.

Drugim chłopakiem w drużynie, serdecznie nienawidzącym piłki nożnej i wysiłku fizycznego w ogóle, był niejaki Derek Markowitz, który zagadnął Petera, kiedy obaj grzali ławę podczas meczu z North Haverhill.

– Kto cię zmusił do treningów? – zapytał.

Peter przyznał, że matka.

– To tak jak w moim wypadku. Jest dietetyczką i ma świra na punkcie fitnessu.

Podczas rodzinnych kolacji Peter zawsze mówił rodzicom, że na treningach idzie mu doskonale. Wymyślał historyjki, w których jako własne przedstawiał wyczyny innych zawodników: atletyczne popisy, na które tak naprawdę nigdy by się nie zdobył, choćby nie wiedzieć jak

się wysiłał. Snuł te powiastki tylko po to, żeby zobaczyć, jak matka w szczególności patrzy na Joeya i oznajmia: „Widać mamy więcej niż jednego utalentowanego sportowca w rodzinie”. A kiedy rodzice się zjawiali na meczach, żeby mu kibicować, Peter wyjaśniał, że siedzi na ławce, ponieważ trener wystawia tylko swoich ulubieńców – co w pewnym sensie nie odbiegało od prawdy.

Podobnie jak Peter, Derek należał do najgorszych piłkarzy na świecie. Skórę miał tak jasną, że wyczierała spod niej dokładna mapa jego układu krwionośnego, a włosy tak białe, że trzeba było wyteńczyć wzrok, aby doszukać się brwi w jego twarzy. Teraz, ilekroć wyjeżdżali na mecze, Derek siadał zawsze przy Peterze. Peter lubił go dodatkowo za to, że Derek przemyślał na boisko snickersy i podjadał, gdy tylko trener odwracał wzrok, a poza tym wymyślał na poczekaniu świetne dowcipy. „Co byłoby zabawniejsze od przygwożdżenia Drew Girarda do ściany? Odrywanie go kawałek po kawałku”. W końcu doszło do tego, że Peter z ochotą chodził na treningi, żeby posłuchać tekstów Dereka – chociaż zaczął się jednocześnie martwić, czy lubi tego faceta z powodu jego osobowości, czy raczej dlatego, że on, Peter, jest gejem. Kiedy nachodziła go taka refleksja, przesuwiał się nieznacznie na ławce, zwiększając dzielący ich dystans, lub obiecywał sobie, że przez cały trening nie spojrzy Derekowi w oczy, żeby przypadkiem przyjaciel nie wyciągnął pochopnych wniosków.

Pewnego popołudnia jak zwykle obaj grzali ławę, podczas gdy reszta drużyny grała przeciwko Rivendell. Od początku panowała powszechna opinia, że Sterling złośliwie tyłki przeciwnikom z zamkniętymi oczami (co jednak nie było dla trenera dostatecznym argumentem, by wpuścić na boisko Petera czy Dereka). I zgodnie z oczekiwaniami pod koniec drugiej połowy wynik był dla Rivendell wręcz upokarzający – 11:2.

Podczas gdy Derek rządził Petera kolejnym dowcipem – tym razem o papudze i piracie – trener ścisnął dłonie schodzących z boiska zawodników.

– Świetny mecz. Gratuluję. Świetny mecz.

– Idziesz? – spytał Derek, podnosząc się z ławki.

– Spotkamy się w szatni – odparł Peter. Przykucnął na trawie, żeby tradycyjnie pobawić się sznurowadłami korków, i wówczas ujrzał przed sobą parę kobiecych pantofli, które od razu rozpoznał, ponieważ niemal codziennie potykał się o nie w przedsionku własnego domu.

– Witaj, skarbie – powiedziała matka z radosnym uśmiechem.

Peter poczuł gwałtowne dławienie w gardle. Był już gimnazjalistą, a tymczasem ona przychodziła po niego na boisko jak po malucha, którego trzeba za rękę przeprowadzić przez ulicę!

– Poczekaj na mnie chwilę! – rzuciła rześkim głosem.

Peter ukradkiem rozejrzał się dokoła i zobaczył, że jego koledzy z drużyny, zamiast – jak zwykle – z mety pobiec pod prysznicę, zatrzymali się przed szatnią, żeby osobiście uczestniczyć w akcie jego ostatecznego upokorzenia.

– Trenerze Yabrowski – odezwała się tymczasem matka. – Mogę prosić na słowo?

Ale wcześniej mnie zabij, pomyślał Peter.

– Jestem matką Petera i chciałabym się dowiedzieć, dlaczego nie wystawia pan mojego syna w składzie drużyny.

– To kwestia zgrania z zespołem, pani Houghton. Robię, co mogę, żeby Peter nadrobił dystans dzielący go od kolegów...

– Jesteśmy niemal w połowie sezonu. I najwyższy czas, żeby mój syn zaczął uczestniczyć w rozgrywkach ligi, ponieważ ma do tego takie samo prawo jak wszyscy inni chłopcy.

– Mamo... – Peter gorzko żałował, że New Hampshire nie leży w strefie wysokiej aktywności sejsmicznej. Teraz marzył tylko o tym, żeby ziemia się rozstała pod stopami matki i pochłonęła ją raz na zawsze. – Daj spokój.

Trener z rezygnacją przesunął dłonią po twarzy.

– Wystawię Petera w poniedziałkowym meczu, pani Houghton, ale obawiam się, że to nie będzie przyjemny widok...

– Gry w piłkę nie należy oceniać w kategoriach estetycznych. To przede wszystkim powinna być frajda dla chłopców. – Odwróciła się i

kompletnie nieświadoma, co właśnie zrobiła, uśmiechnęła się do Petera.
– Mam rację, synku?

Jej słowa z trudem do niego docierały. Był tak potwornie zawstydzony, że serce waliło mu jak młotem i zagłuszało niemal wszystkie inne dźwięki – z wyjątkiem kpiących szeptów pozostałych członków drużyny. Do tej pory nie rozumiał, jak można kogoś kochać i nienawidzić zarazem – ale teraz, po raz pierwszy w życiu, zaczynał to pojmować.

Tymczasem matka przykucnęła u jego boku.

– Jak trener raz zobaczy cię w akcji, już zawsze będziesz wystawiany w pierwszym składzie. – Poklepała go po kolanie. – Czekam na parking, kochanie.

Kiedy się przepychał do szatni, reszta chłopaków ryczała ze śmiechu.

– Pieprzona ciota.

– Czy od tej pory mamusia już zawsze będzie się o ciebie wykłócać, pedale?

Peter opadł na ławkę pod szafką i powoli ściągnął korki z nóg. Miał dziurę w skarpetce, dokładnie na dużym palcu, i wbił w nią wzrok, jakby się dziwił tym faktem, a nie usiłował desperacko powstrzymać łzy.

Nerwy miał napięte jak postronki, więc gdy ktoś przysiadł obok niego na ławce, niemalże wyskoczył ze skóry.

– Peter, wszystko okay? – zapytał Derek.

Peter chciał przytaknąć, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Wiesz, jaka jest różnica między tą drużyną a ławicą ryb?

Peter pokręcił głową.

– W ławicy nie ma żadnych kutasów – odparł Derek z szelmowskim uśmiechem.

Courtney Ignatio należała do królowych podkasanego podkoszulka. Tak, z braku lepszego określenia, Josie nazywała grupkę dziewczyn,

które w skąpych bluzeczkach, odsłaniających brzuchy, tańczyły na szkolnych recitalach do gniotów muzycznych w rodzaju „Bootylicious” i „Lady Marmalade”.

Courtney była też pierwszą siódmoklasistką, która dostała własny telefon komórkowy. Miał różową obudowę i niekiedy dzwonił podczas lekcji, jednak żaden z nauczycieli nigdy się z tego powodu nie denerwował.

Josie aż jęknęła z rozpaczy, gdy na zajęciach z historii została połączona w parę z Courtney, by razem przygotowały chronologiczne zestawienie najważniejszych epizodów amerykańskiej wojny o niepodległość. Poważnie podejrzewała, że jak przyjdzie co do czego, i tak będzie musiała sama nad wszystkim ślęczeć. Tymczasem Courtney zaproponowała wspólną pracę i w tym celu zaprosiła Josie do siebie do domu. Josie miała najszczerzą ochotę odmówić, ale wówczas matka zauważyła, że jeżeli nie przyjmie zaproszenia, to najprawdopodobniej rzeczywiście wszystko się zwali na jej głowę. I tylko z tego powodu Josie siedziała teraz na łóżku Courtney, pogryzała czekoladowe ciastka i jednocześnie porządkowała fiszki.

– No więc, w czym rzecz? – spytała nagle Courtney, podpierając się pod boki.

– Jaka „rzecz”?

– Skąd u ciebie taka mina?

Josie wzruszyła ramionami.

– Twój pokój... Bardzo się różni od mojego.

Courtney potoczyła wokół wzrokiem, jakby po raz pierwszy w życiu widziała to pomieszczenie na oczy.

– To znaczy?

Na podłodze leżał włochaty fioletowy dywanik, a na komódkach stały lampy o wyszywanych koralikami abażurach, przykrytych półprzezroczystymi kawałkami jedwabiu dla nadania wnętrzu odpowiedniej atmosfery. Cała toaletka była zastawiona kosmetykami do makijażu. Na drzwiach wisiał plakat Johnny’ego Deppa, a na pobliskiej półce stał sprzęt stereo najnowszej generacji. Courtney miała

również swój własny odtwarzacz DVD.

W porównaniu z tym wnętrzem pokój Josie był wręcz spartański. Stały w nim: regał na książki, biurko, komoda i łóżko, a na nim kapa, która w porównaniu z satynowym cackiem na łóżku Courtney wyglądała staropanieńsko. Jeżeli pokój Josie w ogóle miał jakiś styl, można by go określić wczesnopurytańskim.

– Po prostu wygląda zupełnie inaczej.

– Moja mama jest dekoratorką wnętrz. W jej mniemaniu każda nastolatka marzy o podobnym wystroju swojego pokoju.

– A co ty o tym sądzisz?

Tym razem to Courtney wzruszyła ramionami.

– W mojej opinii przypomina burdel, ale jeżeli to uszczęśliwia moją matkę... Poczekaј chwilę, przyniosę skoroszyt i zabierzemy się do pracy...

Kiedy Courtney zbiegła na parter, Josie wpatrzyła się we własne odbicie w lustrze toaletki. I nagle poczuła, że stojące na owej toalecie kosmetyki przyciągają ją jak magnes. Podeszła bliżej, przesunęła ręką po obco wyglądających tubkach i buteleczkach. Jej matka praktycznie się nie malowała – tylko od czasu do czasu pociągała usta dyskretną w kolorze pomadką. Josie podniosła tusz do rzęs, odkręciła spiralkę i przejechała po niej palcem. Otworzyła flakonik perfum i przytknęła do niego nos.

W odbiciu lustra ujrzała dziewczynę wyglądającą identycznie jak ona, unoszącą w górę sztyft szminki („Czysta namiętność” – głosił napis na nalepce) i malującą nią usta. Twarz dziewczyny natychmiast ożyła soczystością koloru, nabrała zupełnie nowego wyrazu.

Czy doprawdy tak niewiele trzeba, żeby się przeistoczyć w zupełnie inną osobę?

– Co ty wyprawiasz?

Josie aż podskoczyła na dźwięk głosu Courtney. Nie odrywając oczu od lustra, patrzyła, jak Courtney podchodzi i wyjmuje szminkę z jej palców.

– Ja... bardzo przepraszam – wydukała Josie.

Ku jej zdziwieniu Courtney się uśmiechnęła.

– Trzeba przyznać, że do twarzy ci w tym kolorze.

Joey miał lepsze oceny od Petera i bił go na głowę we wszystkich dyscyplinach sportu. Był także zabawniejszy, rozsądniejszy i umiał narysować dużo więcej niż tylko prostą kreskę, a na dodatek ludzie się do niego garnęli, więc na każdej imprezie znajdował się w centrum uwagi. Jak wynikało ze skrupulatnych obserwacji Petera, Joey miał tylko jedną słabość – nie potrafił znieść widoku krwi.

W wieku siedmiu lat był świadkiem wypadku swojego kolegi, który przeleciał nad kierownicą roweru i paskudnie rozciął sobie czoło. W rezultacie jednak nie ów poszkodowany, ale Joey stracił przytomność. Musiał też wychodzić z pokoju, ilekroć w telewizji nadawano jakiś program medyczny. I właśnie z tego powodu szybko stało się jasne, że nigdy nie pójdzie z ojcem na polowanie, chociaż Lewis obiecał obu synom, że gdy tylko ukończą dwanaście lat, nauczy ich, jak robić należyty użytek ze sztucera.

Peter przez całą jesień czekał na ten weekend. Czytał wszystko, co znalazł na temat broni, którą przeznaczył dla niego ojciec – ryglowego winchestera 94 30-30, używanego do polowań na jelenie przez ojca, zanim kupił sobie remingtona 721. Teraz, o wpół do piątej rano, Peter wprost nie mógł uwierzyć, że trzyma ten sztucer w dłoni. Powoli posuwał się za ojcem, a jego oddech krystalizował się w zimnym powietrzu.

W nocy padał śnieg, więc panowały idealne warunki do tropienia jeleni. Poprzedniego dnia udali się na poszukiwanie drzew, po których byk szorował porożem, znacząc w ten sposób swoje terytorium. Wystarczyło sprawdzić, jakie rysy są świeże, by wiedzieć, któredy samiec ostatnio przechodził.

Świat wyglądał inaczej, gdy nie było w nim ludzi. Peter usiłował iść dokładnie po śladach ojca. Wyobrażał sobie, że jest w oddziale zwiadowczym, operującym na terytorium wroga. Wszędzie wokół

czaiło się niebezpieczeństwo. W każdej chwili mogło dojść do wymiany ognia.

– Peter – syknął ojciec. – Trzymaj broń w pogotowiu!

Zbliżali się do linii drzew, gdzie dzień wcześniej widzieli drzewo systematycznie znaczone przez samca. Tego ranka ślady po rogach były świeże – bladozielona kora zdarta do żywej, białej tkanki drewna. Peter zerknął pod nogi i na śniegu ujrzał tropy jeleni: dwóch mniejszych i jednego dużo większego.

– Już tędy przechodził – mruknął ojciec. – Prawdopodobnie podąża za łaniami.

Byki w rui traciły czujność: tak bardzo je pochłaniała pogoń za samicami, że zapominały o istnieniu ludzi chętnych, by na nie zapolować.

Ojciec i syn cicho przemykali przez las, podążając za tropem wiodącym w stronę bagien. Nagle ojciec wyrzucił rękę w bok – sygnał, że powinni się zatrzymać. Peter podniósł oczy i ujrzał dwie łanie: jedną starszą, drugą jednoroczną. Ojciec odwrócił się i powiedział bezgłośnie: „Nie ruszaj się”.

Kiedy zza drzewa wyłonił się byk, Peter wstrzymał oddech. Zwierzę było potężne i majestatyczne, o imponujących wieńcach. Ojciec niemal niedostrzegalnym ruchem głowy wskazał na broń.

Działaj, synu.

Peter niezdarnie uniósł winchestera, który nagle wydał mu się o piętnaście kilo cięższy niż zazwyczaj. Oparł kolbę o ramię i ujrzał jelenia w celowniku. Serce waliło mu tak mocno, że sztucer aż podskakiwał.

W uszach dźwięczały Peterowi wskazówki ojca, jakby ich właśnie w tej chwili udzielał: „Wyceluj w miejsce pod przednią nogą. Jeżeli trafisz w serce, śmierć będzie natychmiastowa. Jeżeli nie trafisz, pocisk przebije płuca, i zanim zwierzę padnie, przebiegnie jeszcze jakieś sto metrów”.

W tej samej chwili samiec odwrócił głowę i spojrzał wprost w oczy Petera.

Peter nacisnął spust, umyślnie chybiając.

Wszystkie trzy jelenie równocześnie odskoczyły w bok, niepewne,

skąd nadeszło zagrożenie. Peterowi przemknęło przez głowę pytanie, czy ojciec się zorientował, że syn zrejterował, czy po prostu uznał go za marnego strzelca. Wciąż jeszcze o tym myślał, gdy rozległ się kolejny huk wystrzału. Łanie popędziły przed siebie; byk padł jak rażony gromem.

Chwilę później Peter stał nad jeleniem, patrząc, jak krew tryska z jego serca.

– Nie chciałem cię pozbawiać możliwości strzału, synu – odezwał się ojciec – ale zwierzęta usłyszałyby szczęk przeładowywanej broni i uciekły.

– Oczywiście – odparł Peter. Nie był w stanie oderwać wzroku od ubitego jelenia. – Nie ma o czym mówić.

A potem zwymiotował w krzaki.

Słyszał, że za jego plecami ojciec pilnie się krząta, jednak nie odwrócił głowy. Wpatrywał się w łąkę śniegu, który z wolna zaczynał już topnieć. Kiedy ojciec się zbliżył, natychmiast to wyczuł – dobiegł go zapach krwi i rozczarowania.

Lewis poklepał syna po ramieniu.

– Następnym razem – westchnął.

Dolores Keating zjawiała się w ich szkole dopiero w styczniu tego roku. Była jedną z tych osób, których się nie zauważa – ani specjalnie ładna, ani szczególnie mądra, niesprawiająca żadnych kłopotów wychowawczych. Na francuskim siedziała tuż przed Peterem i jej koński ogon podskakiwał mu przed oczami, ilekroć odmieniali na głos czasowniki.

Pewnego dnia, gdy Peter robił, co mógł, by nie zasnąć w trakcie omawiania przez madame doniosłej roli czasownika *avoir*, spostrzegł, że Dolores siedzi na dużym kleksie czerwonego tuszu. Pomyślał, że to okropnie śmieszne, bo na dodatek dziewczyna miała na sobie białe spodnie, gdy nagle dotarło do niego, że to wcale nie tusz.

– Dolores dostała okresu! – wrzasnął, wcale niepowodowany chęcią

wywołania sensacji, ale najwykleszym szokiem. W domu, w którym mieszkali sami mężczyźni (z wyjątkiem jego matki, oczywiście), menstruacja stanowiła jedną z wielkich kobiecych tajemnic – podobnie jak nakładanie tuszu na rzęsy bez wydłubywania sobie przy okazji oka czy sprawne zapinanie biustonosza na plecach.

Wszyscy w klasie skierowali wzrok na Dolores, której twarz była teraz koloru plamy na jej spodniach. Madame wyprowadziła dziewczynę do holu i wysłała do higienistki. Na krześle stojącym przed Peterem widniała plama krwi. Wezwana przez madame sprzątaczką szybko załatwiła problem, ale teraz już nikt nie był w stanie skoncentrować się na nauce. Przez klasę, niczym pożar buszu, przebiegały szepty – spekulacje, ile naprawdę było krwi, przypuszczenia, jak będzie wyglądać życie Dolores, skoro wszyscy się dowiedzieli, że dostała okresu.

– Krwawa Keating – rzucił Peter do siedzącego obok chłopaka, który natychmiast się rozpromienił.

– Krwawa Keating – powtórzył z zachwytem i chwilę później te słowa niosły się po klasie jak mantra. „Krwawa Keating. Krwawa Keating”. Peter zerknął na przeciwległy koniec sali i pochwycił spojrzenie Josie – Josie, która ostatnio zaczęła się malować. Skandowała nowe hasło razem ze wszystkimi.

Poczucie przynależności miało działanie euforyczne; Peterowi się zdawało, że ktoś napompował go helem. To on rozpoczął tę hecę; piętnując Dolores, dołączył do elity.

Podczas lunchu jak zwykle usiadł obok Josie, ale chwilę później pojawili się Matt i Drew ze swoimi tacami.

– Podobno widziałeś to na własne oczy – zagaił Drew i poprosił, żeby Peter opowiedział wszystko w szczegółach.

Peter hojnie podkoloryzował swoją opowieść – plama krwi na krześle zamieniła się w olbrzymią kałużę, a niewielki ślad na spodniach rozrósł się do rozmiarów Alaski. Matt i Drew przywołali kolegów: niektórzy z nich byli z Peterem w drużynie piłki nożnej, a jednak przez cały rok nie zamienili z nim ani słowa.

– Im też opowiedz, to strasznie śmieszne – zarządził Matt, a potem uśmiechnął się do Petera tak, jakby Peter był jednym z nich.

Dolores przez kolejne dni nie pokazała się w szkole. Peter wiedział, że nie miało to najmniejszego znaczenia, czy dziewczyna zniknie na miesiąc, na dwa czy pięć – pamięć szóstoklasistów była jak ognioodporny sejf, więc już do końca swojej szkolnej kariery Dolores pozostanie tą, która dostała okresu na lekcji francuskiego i zakrwawiła krzesło.

Kiedy w dniu swojego powrotu wysiadała z autobusu, Matt i Drew naparli na nią z obu stron.

– Jak na KOBIETĘ – powiedzieli, sącząc z wolna słowa – masz wyjątkowo małe cycki.

Odepchnęła ich gwałtownie i Peter zobaczył ją ponownie dopiero na lekcji francuskiego.

Na okoliczność jej powrotu ktoś – bliżej nie wiadomo kto – wymyślił pewien plan. Madame zawsze się spóźniała na zajęcia, ponieważ przychodziła z drugiego końca szkoły, więc jeszcze przed dzwonkiem każdy miał podejść do ławki Dolores i wręczyć jej tampon otrzymany od Courtney Ignatio, która podprowadziła swojej matce całe opakowanie tampaksów.

Pierwszy w kolejce był Drew. Kładąc tampon na ławce, powiedział:

– Zdaje się, że coś zgubiłaś.

Sześć tamponów później dzwonek nadal nie dzwonił i madame nie pokazała się w sali. Peter podszedł do Dolores, zaciskając palce na kartonowym ruloniku, gotów rzucić go na ławkę, i wówczas zauważył, że dziewczyna płacze.

Nie szlochała głośno. Łzy niemal niepostrzeżenie płynęły po jej policzkach. Peter już miał wypuścić tampon z ręki, gdy nagle dotarło do niego, że właśnie robił takie samo piekło z życia Dolores, jakiego sam przez lata doświadczał za sprawą innych.

Zgniół rulonik w dłoni.

– Dość tego – powiedział cicho, a potem się odwrócił w stronę trójki dzieciaków, które jeszcze czekały na swoją szansę upokorzenia Dolores.

– Już wystarczy.

– Z czym masz problem, cioto? – odezwał się Drew.

– To przestało być zabawne.

Może zresztą nigdy nie było. Wystarczyło, że nie dotyczyło jego, Petera, i już samo to zaćmiło mu umysł.

Chłopak stojący za Peterem odepchnął go na bok i rzucił tampon, tak że się odbił od głowy Dolores i potoczył pod krzesło Petera. A potem nadeszła kolej Josie.

Spojrzała na Dolores, przeniosła wzrok na Petera.

– Daj spokój – mruknął.

Josie zacisnęła usta i pozwoliła, żeby tampon wytoczył się z jej dłoni wprost na ławkę Dolores.

– Ups! – rzuciła radośnie, a kiedy Matt Royston wybuchnął śmiechem, stanęła u jego boku.

Peter czekał w przyuczajeniu. Chociaż od kilku tygodni Josie nie wracała razem z nim ze szkoły, dobrze wiedział, co robi po lekcjach – zazwyczaj szła do centrum z Courtney & Co., gdzie pijała mrożoną herbatę i oglądała wystawy sklepowe. Niekiedy Peter obserwował ją z daleka, niczym motyla, którego po raz ostatni widziało się w stadium poczwarki. Jakim cudem, do diabła, mogło dojść do tak dramatycznej przemiany?

Poczekał, aż Josie się pożegna z resztą dziewczyn, a potem ruszył za nią ulicą prowadzącą do jej domu. Kiedy ją dogonił i złapał za ramię, wrzasnęła z przestachu:

– Jezu! Peter! Śmiertelnie mnie przeraziłeś!

Starannie obmyślił, jakie zada jej pytania. Zdawał sobie sprawę, że nie jest szczególnie wymowny, więc wielokrotnie przećwiczył je na głos w domu. Jednak po tym wszystkim, co się ostatnio wydarzyło, kiedy Josie stanęła przed nim na wyciągnięcie ręki, doszedł do wniosku, że każde z przygotowanych pytań byłoby jak wymierzony na zimno policzek.

Więc tylko usiadł na krawężniku i wsunął palce we włosy.

– Dlaczego? – szepnął.

Josie przysiadła obok niego i objęła kolana ramionami.

– Nie robię tego po to, żeby ci dokuczyć.

– Przy nich jesteś taka sztuczna.

– Po prostu inna niż przy tobie – odparła Josie.

– Jak powiedziałem: sztuczna.

– Są różne odcienie naturalności.

Peter parsknął kpiąco.

– Czy takich bzdetów uczą cię te dupki?

– Nikt mnie niczego nie uczy – zachnęła się Josie. – Trzymam się z nimi, bo mi to sprawia przyjemność. Są zabawni, a poza tym, jak jestem w ich towarzystwie... – Urwała gwałtownie.

– To co?

Josie spojrzała mu prosto w oczy.

– Wszyscy ludzie mnie lubią.

Peter nie sądził, że można doświadczyć tak dramatycznej zmiany uczuć: w jednej chwili ma się ochotę kogoś zabić, a już w następnej – popełnić samobójstwo.

– Nie pozwolę, żeby ci jeszcze kiedykolwiek dokuczali – obiecała Josie. – To dobra strona tej sytuacji, no nie?

Peter nie odpowiedział. Ani przez moment w tej rozmowie nie chodziło mu o samego siebie.

– Tyle że teraz... teraz już nie będę mogła się z tobą kolegować – wyjaśniła Josie.

Peter powoli uniósł głowę.

– Nie będziesz MOGŁA?

Josie wstała i zaczęła się od niego oddalać tyłem.

– Do zobaczenia, Peter – rzuciła i odeszła z jego życia.

Można wyczuć na sobie ludzkie spojrzenia – są jak żar bijący od ulicznego chodnika w gorący, letni dzień; jak dżganie patykiem w plecy.

Nie trzeba też wyraźnie słyszeć szeptanych słów, by wiedzieć, że mowa o tobie.

Swego czasu stawałam przed lustrem w łazience, żeby zrozumieć, dlaczego właściwie patrzą na mnie takim wzrokiem. Dlaczego odwracają głowy; co mnie tak jaskrawo odróżnia od innych. I w pierwszej chwili nie mogłam się zorientować. Wyglądałam całkiem normalnie – na samą siebie.

Aż pewnego dnia, gdy przyjrzałam się uważniej, zrozumiałam. Głęboko spojrzałam sobie w oczy i zaczęłam się nienawidzić – najprawdopodobniej równie głęboko jak wszyscy inni.

I tego dnia uwierzyłam, że to oni mają rację.

Dziesięć dni później

Josie czekała, aż ucichnie telewizor w sypialni matki – jakiś talk-show – a potem przewróciła się na bok i wpatrywała w akrobacje diod swojego budzika. Kiedy minęła druga, odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka. Umiała bezszelestnie przemykać na parter. Robiła to już kilka razy, gdy Matt czekał w nocy przed domem. Pewnego razu dostała SMS-a: „Muszę się z tobą koniecznie zobaczyć”. Zbiegła do Matta w piżamie, a kiedy jej dotknął, miała wrażenie, że się rozplynie pod jego palcami.

Na podeście w jednym miejscu znajdowała się skrzypiąca deska, ale Josie potrafiła ominąć ją po ciemku. Kiedy już się znalazła w salonie, zaczęła przerzucać płyty DVD w poszukiwaniu tej, którą chciała obejrzeć w samotności – i mieć jednocześnie pewność, że matka jej na tym nie nakryje. Włączyła telewizor i mocno ściszyła dźwięk. Żeby coś usłyszeć, musiała usiąść z nosem w ekranie.

Pierwszą osobą, jaką zobaczyła, była Courtney, która wyciągnęła przed siebie rękę, by zasłonić się przed obiektywem kamery. A przy tym głośno się zaśmiewała. Blond włosy kryły jej twarz niczym jedwabna zasłona. Z offu rozległ się głos Brady'ego Pryce'a:

– Daj nam coś do „Girls Gone Wild”, Court.

Obraz się rozmył, a moment później na ekranie pojawiło się zbliżenie tortu. WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI 16 URODZIN, JOSIE. Przejazd kamery przez twarze przyjaciół, w tym Haley Weaver, odśpiewujących „Happy birthday...”.

Josie zatrzymała odtwarzanie. Oto Courtney, Haley, Maddie, John i Drew. Dotykała palcem ich czół i za każdym razem przeszywał ją drobny prąd.

Z okazji jej urodzin urządzili grilla w parku rekreacyjnym Storrs Pond. Jedli hamburgery, hot dogi i kukurydzę. Zapomnieli zabrać keczup i ktoś musiał jechać do pobliskiego minimarketu. Kartka od Courtney była podpisana TNP – twoja najlepsza przyjaciółka – co sprawiło Josie przyjemność, mimo że miesiąc wcześniej Court identycznie podpisała kartkę dla Maddie.

Kiedy na ekranie ukazało się zbliżenie jej własnej twarzy, Josie już płakała. Wiedziała, co będzie dalej, te wydarzenia dobrze się wryły w jej pamięć. Kamera objęła szerszy plan i pojawił się Matt, który tulił Josie siedzącą mu na kolanach. Nie miał na sobie koszuli i Josie natychmiast sobie przypomniała dotyk jego rozgrzanej skóry na swojej skórze.

Jak to możliwe, że w jednej chwili jest się tak pełnym życia, a w następnej wszystko się urywa? Nie tylko płuca przestają pompować powietrze, nie tylko ustaje bicie serca, ale odchodzi w niebyt leniwy uśmiech rozpoczynający się od lewego kącika ust, który dopiero po chwili pociąga za sobą prawy; blednie całkowicie barwa głosu; na zawsze zamierają zabawne odruchy, jak pociąganie za kosmyk włosów w trakcie rozwiązywania matematycznych zadań?

„Nie mogę bez ciebie żyć” – mawiał często Matt. Cóż, teraz już z pewnością mu to nie grozi.

Josie nie była w stanie opanować łkania i żeby je zagłuszyć, wsadziła zaciśniętą pięść do ust. Przyglądała się widocznemu na ekranie Mattowi, jakby był niezwykłym tworem natury, którego nigdy wcześniej nie oglądała na oczy i chciała dobrze zapamiętać wszystkie jego zewnętrzne cechy, by potem opowiedzieć światu o swoim odkryciu. Dłoń Matta leżała płasko na jej gołym brzuchu, kciuk zaczął wędrować pod krawędź stanika bikini.

– Nie tutaj – odezwał się głos, który był głosem Josie, ale brzmiał dziwnie obco w jej uszach, jak to zazwyczaj bywa, gdy się słucha nagrania własnego głosu.

– To chodźmy w jakieś inne miejsce – odpowiedział Matt.

Josie uniosła brzeg piżamy i rozłożyła własną dłoń na swoim brzuchu. Wysunęła kciuk ku górze, aż sięgnął linii biustu, i udawała, że jest Mattem.

Na tamte urodziny dostała od niego złoty medalionik, którego nie zdejmowała od owego pamiętnego dnia sprzed sześciu miesięcy. Miała go na sobie na tym nagraniu. Pamiętała, że kiedy przyglądała się swojemu medalionowi w lustrze, dostrzegła odcisk palca Matta na odwrocie. Musiał go zostawić, gdy wkładał jej medalion na szyję. To był niesamowicie intymny ślad i przez kilka dni Josie robiła wszystko, co mogła, żeby się nie zatarł.

Tamtej nocy, kiedy pierwszy raz zbiegła do niego przed dom i stanęła w świetle księżyca, Matt się podśmiewał z jej piżamy, pokrytej wzorkami z wizerunkiem Nancy Drew.

– Co robiłaś, jak puściłem do ciebie tego SMS-a?

– Spałam. Czemu musiałeś się ze mną zobaczyć w środku nocy?

– Bo chciałem się upewnić, że o mnie śnisz.

Z ekranu dobiegł ją czyjś głos, nawołujący Matta. Matt odwrócił głowę, uśmiechając się szeroko. Miał iście wilcze zęby – nieprawdopodobnie białe i ostre. Mocno pocałował Josie w usta.

– Zaraz wracam – obiecał.

ZARAZ WRACAM.

Matt wstał i Josie wcisnęła guzik pauzy. A potem podniosła rękę i zerwała medalionik z cienkiego złotego łańcuszka, na którym go nosiła. Rozpięła suwak jednej z poduszek leżących na kanapie i wepchnęła medalion głęboko w jej bebechy.

Wyłączyła telewizor. Bardzo chciała wierzyć, że Matt pozostanie już na wieczność zatrzymany w jednej pozie, oddalony od niej zaledwie o krok, więc wystarczy, że wyciągnie dłoń, a zdoła go dotknąć. Ale tak naprawdę wiedziała, że odtwarzacz DVD zresetuje się automatycznie, jeszcze zanim ona, Josie, zdąży wyjść z pokoju.

Lacy pamiętała, że skończyło im się mleko. Tego ranka, gdy niczym para zombi siedzieli z Lewisem przy kuchennym stole, sama poruszyła

tę kwestię.

„Podobno będzie dzisiaj padać”.

„Nie mamy już mleka”.

„Czy są jakieś nowe wieści od adwokata Petera?”.

Lacy była zdruzgotana faktem, że przez cały tydzień nie będzie mogła się zobaczyć z Peterem, bo tak stanowił regulamin więzienny. Przygnębiało ją, że Lewis jeszcze ani razu nie odwiedził syna. Nie wiedziała, jak ma brnąć przez rutynę codzienności, podczas gdy jej dziecko tkwiło w niewielkiej celi niecałe trzydzieści kilometrów od domu.

Niektóre wydarzenia miały niszczycielską moc tsunami; Lacy wiedziała, bo już kiedyś porwała ją fala rozpaczy. Po takim kataklizmie człowiek budzi się na całkiem obcej ziemi, boleśnie wykorzeniony. Istniał tylko jeden sposób, by tego uniknąć – uciec jak najdalej i jak najwyżej, póki to jeszcze jest możliwe.

I właśnie dlatego kupowała teraz karton mleka na stacji benzynowej, chociaż tak naprawdę miała najszczerszą ochotę wpełznąć pod kołdrę i zapaść w sen. Tym bardziej że wyprawa po mleko wcale nie była taka prosta, jakby się mogło wydawać. Lacy musiała wycofać samochód z garażu i przedrzeć się przez tłum reporterów blokujących podjazd, bijących dłońmi w szyby auta. Potem trzeba było zmylić furgonetkę lokalnych wiadomości, która podążała za nią autostradą. W rezultacie, zamiast w lokalnym sklepie, Lacy znalazła się na tej stacji w Purmort, gdzie wyjątkowo rzadko zajeżdżała.

– Dwa pięćdziesiąt dziewięć proszę – odezwała się kasjerka.

Lacy otworzyła portmonetkę i wyjęła trzy banknoty jednodolarowe. I wówczas zauważyła stojącą przy kasie puszkę po kawie, a na niej niewielką karteczkę z odręcznym napisem: NA POMNIK OFIAR STRZELANINY W STERLING HIGH.

Lacy zadygotała jak w ataku febry.

– Doskonale panią rozumiem – zapewniła współczująco kasjerka. – To doprawdy straszna tragedia.

Serce Lacy zaczęło walić ogłuszająco. Jeszcze chwila, pomyślała, a

kasjerka z pewnością to usłyszy.

– Natomiast zupełnie nie rozumiem rodziców tego chłopaka. Przecież musieli coś wiedzieć, coś przeczuciwać, prawda?

Lacy jedynie skinęła głową, zdjeta przerażeniem, że gdy tylko otworzy usta, zatraci swoją anonimowość. Nie zdobyła się też na żaden gest zaprzeczenia, ponieważ opinia publiczna była w tej kwestii jednoznaczna: Czy ktoś miał kiedyś gorszego syna? Czy mogła istnieć jakaś gorsza matka?

Założenie, że za każdym strasznym dzieckiem stoją straszni rodzice, wydawało się naturalne i logiczne, ale co z tymi nieszczęśnikami, którzy naprawdę się starali postępować jak najlepiej? Co z ludźmi pokroju Lacy, którzy kochali swojego syna bezwarunkową miłością, strzegli jak źrenicy oka, otaczali opieką i troską – a i tak dochowali się mordercy?

„Ja nie miałam pojęcia! – chciała krzyknąć Lacy. – To nie moja wina”.

Ale nie odezwała się słowem, bo w istocie sama nie była przekonana, czy naprawdę w to wierzy.

Wysypała całą zawartość portmonetki do puszeki po kawie – zarówno bilon, jak i banknoty – po czym w odrętwieniu wyszła ze sklepu, zostawiając na ladzie mleko, po które przyjechała.

Czuła w środku przerażającą pustkę. Wszystko, co miała, przelała na syna. Ale największe cierpienie miało źródło gdzie indziej: bez względu na to, jakie nadzieje wiążemy z naszymi dziećmi, jakich sukcesów byśmy im życzyli, jak bardzo udawali przed sobą, że są doskonałe, wcześniej czy później staną się dla nas źródłem zawodu. Bo w gruncie rzeczy dzieci są o wiele bardziej do nas podobne, niż nam się wydaje – równie poprzetręcane i zagubione.

Ervin Peabody, profesor psychologii w miejscowym college’u, zaproponował, że poprowadzi sesję terapeutyczną dla wszystkich mieszkańców Sterling w oszalowanym białymi deskami kościele w centrum miasta. Wydarzenie nie było szeroko rozreklamowane – jedna

linijka w lokalnym dzienniku, plus fioletowe ulotki, rozłożone w największej kawiarni oraz w banku – ale to wystarczyło, by wieść się rozniosła lotem błyskawicy. I gdy się zbliżała dziewiętnasta, wyznaczona godzina spotkania, w odległości pół mili od centrum wszystkie miejsca parkingowe były już zajęte, a przez otwarte drzwi kościoła tłum wylewał się aż na ulicę. Przedstawiciele mediów, którzy zjechali do Sterling, stawili się *en masse*, ale zostali uprzejmie wyproszeni przez batalion miejscowych policjantów.

Selena odruchowo przytuliła dziecko mocniej do piersi, gdy naparła na nią kolejna grupa mieszkańców.

– Spodziewałeś się czegoś podobnego? – szepnęła do Jordana.

Pokręcił przecząco głową, wodząc wzrokiem po tłumie. Rozpoznawał twarze niektórych ludzi, ale widział wśród nich i takich, którzy z całą pewnością nie byli w bezpośredni sposób związani ze Sterling High: emeryci, studenci z college’u, młode pary z małymi dziećmi. Przyszli tutaj dotknięci efektem fali: nieszczęście jednych wywoływało u innych poczucie utraty niewinności.

Ervin Peabody siedział z przodu, wraz z komendantem policji i dyrektorem Sterling High.

– Witam państwa – zagaił, podnosząc się z krzesła. – Spotkaliśmy się na tej sesji, ponieważ wciąż jesteśmy pogrążeni w głębokim szoku. Z dnia na dzień otaczający nas świat uległ dramatycznej przemianie i każdy z nas musi teraz na nowo wykreślić mapę swojego życia. Z pewnością wiele pytań na zawsze pozostanie bez odpowiedzi, uznaliśmy jednak, że rozmowa na temat tego, co się stało, powinna nam wszystkim pomóc. Jeżeli wysłuchamy się nawzajem, może poczujemy się wzmocnieni.

Z drugiego rzędu ławek podniósł się mężczyzna ściskający w rękę kurtkę.

– Przeprowadziłem się tutaj pięć lat temu, ponieważ doszliśmy z żoną do wniosku, że musimy uciec od zgiełku i obłądu Nowego Jorku. Planowaliśmy powiększenie rodziny i szukaliśmy miejsca... środowiska, które będzie bardziej przyjazne i bezpieczne. W Sterling,

gdy się jedzie ulicą, ludzie pozdrawiają się nawzajem klaksonami, bo niemal wszyscy się znają. Idziesz do banku, a kasjer pamięta twoje imię. Nie ma już wielu takich miejsc w Ameryce, i teraz... – Głos mu się załamał.

– ...i teraz Sterling już także do nich nie należy – dokończył za niego Ervin. – Wiem, jak ciężko żyć, kiedy odkrywamy, że nasze wyobrażenia rozmijają się z rzeczywistością, a znany od lat przyjaciel okazuje się potworem.

– Potworem?! – szepnął Jordan do Seleny.

– A co, według ciebie, miał powiedzieć? Że Peter był bombą zegarową z opóźnionym zapłonem? To dopiero podniosłoby ich poziom poczucia bezpieczeństwa – rzuciła ironicznie.

Psycholog powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych.

– W mojej opinii sam fakt, że tak tłumnie się państwo stawili dzisiejszego wieczoru, wskazuje, że w swojej istocie Sterling się nie zmieniło. Może już nie będzie dokładnie takie samo jak przedtem... ale z pewnością zdołamy na nowo zdefiniować stan normalności i konsekwentnie do niego dążyć.

Jedna ze stojących nieopodal kobiet uniosła rękę.

– A co ze szkołą Sterling High? Czy nasze dzieci nadal będą musiały się tam uczyć?

Ervin zerknął na dyrektora szkoły, potem na komendanta.

– W pomieszczeniach szkolnych wciąż są prowadzone intensywne czynności śledcze – oznajmił komendant.

– Sądźmy, że do wakacji zajęcia będą się odbywać w innej placówce – dodał dyrektor. – Prowadzimy zaawansowane rozmowy z kuratorium w Lebanon: negocjujemy możliwości wykorzystania do naszych celów jednego z opuszczonych budynków szkolnych, znajdujących się w ich gestii.

– Ale wcześniej czy później dzieci będą musiały wrócić do Sterling High – odezwała się jakaś inna kobieta. – Moja córka ma zaledwie dziesięć lat, ale już przeraża ją myśl, że kiedykolwiek miałyby się tam znaleźć. Z tego powodu budzi się po nocach z krzykiem. Śni jej się, że w

Sterling High ktoś czyha na nią z bronią w ręku.

– Niech się pani cieszy, że córka jeszcze w ogóle może coś przeżywać – odparł na to mężczyzna o mocno zaczerwienionych oczach, który stał obok Jordana ze skrzyżowanymi na piersi rękami. – Niech pani zagląda do niej co noc, a kiedy płacze, tuli ją do piersi i zapewnia, że jest bezpieczna i nic jej nie grozi. Niech pani ją oszukuje, tak jak ja robiłem swego czasu.

Przez kościół zaczął sunąć szmer szeptów niczym nić odwijana z grubego kłębka: „To Mark Ignatio. Ojciec jednej ze śmiertelnych ofiar”.

I tak oto, niepostrzeżenie, doszło w Sterling do tektonicznego tąpnięcia – pojawiła się przepaść tak bezdenna i mroczna, że jeszcze przez wiele lat niemożliwa do zasypania. Po jednej stronie znaleźli się ci, którzy na zawsze utracili dzieci, po drugiej reszta, która nadal miała się o kogo troszczyć i zamartwiać.

– Niektórzy z was znali moją córkę, Courtney. – Mark odepchnął się od ściany. – Może pilnowała waszych dzieci. Lub podawała wam w lecie hamburgery w Steak Shack. A może po prostu znaliście ją z widzenia, zauważaliście na ulicy, ponieważ była piękną, wyjątkowo piękną dziewczyną. – Mark zwrócił się w stronę prezydialnego stołu. – Czy zechce mi pan wytłumaczyć, doktorze, jak mam na nowo zdefiniować stan normalności? I niech pan przypadkiem nie waży się mi mówić, że z czasem poczuję się lepiej. Że zdołam się pogodzić z tą tragedią. Zapomnieć, że moja córka leży w grobie, podczas gdy jakiś psychopata wciąż się cieszy życiem i dobrym zdrowiem. – Niespodziewanie ruszył w stronę Jordana. – Jak pan może patrzeć na siebie w lustrze? – rzucił oskarżycielskim tonem. – Jak, do diabła, może pan spać spokojnie ze świadomością, że broni takiego sukinsyna?

Wszystkie oczy były teraz skierowane na adwokata. Stojąca obok Selena odruchowo, w obronnym geście, przycisnęła synka do piersi. Jordan otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nagle zabrakło mu słów.

Rozproszył go tupot ciężkich butów. Nawą w stronę Marka Ignatio szedł Patrick Ducharme.

– Wprost nie jestem w stanie wyobrazić sobie ogromu twojego bólu,

Mark – powiedział detektyw, patrząc zrozpaczonemu mężczyźnie prosto w oczy. – Wiem, że masz pełne prawo do wyrażania własnego gniewu i desperacji. Ale w naszym kraju obowiązuje zasada, że każdy jest niewinny tak długo, dopóki sądownie nie dowiedzie mu się winy. Pan McAfee po prostu wykonuje swój zawód. – Położył dłoń na ramieniu Marka i ściszył głos: – Może pójdziemy gdzieś razem na kawę?

Gdy Patrick wyprowadzał Marka Ignatio z kościoła, Jordan przypomniał sobie, co chciał powiedzieć.

– Ja też tutaj mieszkam... – zaczął.

Mark odwrócił głowę.

– Ale już niedługo – zapewnił.

Alex to nie był skrót od Alexandry, jak błędnie zakładała większość ludzi. Ojciec nadał jej to imię, ponieważ właśnie takie nosiłby jego syn, gdyby ojcu dopisało szczęście i zamiast dziewczynki spłodził wymarzonego chłopaka.

Alex miała pięć lat, kiedy jej matka zmarła na raka piersi, i od tamtej pory była wychowywana jedynie przez ojca. Nie należał do gatunku tych tatusiów, którzy pokazują dzieciom, jak jeździć na rowerze lub puszczać kaczki po wodzie – uczył ją za to wielu słów łacińskiego i greckiego pochodzenia, takich jak akwedukt, cyklamen czy lemur, i objaśniał znaczenie poprawek do konstytucji. Alex szybko się nauczyła, że najskuteczniej zdoła przyciągnąć uwagę ojca swoimi dokonaniem w nauce: wygrywała więc konkursy ortograficzne i olimpiady geograficzne, miała od góry do dołu same celujące oceny i została przyjęta do każdego college'u, do jakiego złożyła podanie.

Chciała zostać kimś takim jak ojciec – człowiekiem, któremu ludzie na ulicy kłaniają się z szacunkiem i podziwem. Chciała doświadczać tej szczególnej zmiany w głosie sekretarek, gdy podnosząc telefon, słyszały, że dzwoni sędzia Cormier.

Ojciec nigdy nie brał Alex na kolana, nigdy nie całował jej na

dobranoc i nie mówił, że ją kocha – ale to wynikało z charakteru jego osobowości. Od ojca natomiast się nauczyła, jak z każdego zjawiska wydestylować czyste fakty. Rodzicielstwo, troskliwość, miłość należały do kategorii abstraktów intelektualnych, a nie przeżywanych doświadczeń. Natomiast prawo... prawo stanowiło fundament systemu wierzeń i przekonań ojca. Wszystkie uczucia, jakie się pojawiały w kontekście sali rozpraw, dawały się objaśnić i wytłumaczyć. Człowiek mógł sobie pozwolić na emocje w określonych logicznie ramach. Nigdy nie należało się angażować w relacje z klientami, zawsze należało utrzymywać bezpieczny dystans – nikogo nie dopuszczać na tyle blisko, żeby mógł nas zranić.

Kiedy Alex była na drugim roku studiów, ojciec dostał udaru mózgu. Siedząc na skraju szpitalnego łóżka, córka powiedziała ojcu, że go kocha.

– O, Alex – westchnął głęboko. – Nie zwracajmy sobie tym głowy.

Nie płakała na jego pogrzebie, ponieważ wiedziała, że tego jednego by sobie nie życzyła.

Czy jej ojciec kiedykolwiek żałował – podobnie jak ona teraz – że ich związek nie opierał się na innych podstawach? Czy w pewnym momencie stracił nadzieję na zbudowanie relacji „ojciec–córka” i dlatego poprzestał na relacji „nauczyciel–uczennica”? Jak długo można iść ścieżką równoległą do ścieżki, którą podąża nasze dziecko, zanim bezpowrotnie utraci się szansę na spotkanie?

Alex odwiedziła niezliczone strony internetowe, poświęcone żałobie i jej stadium; pilnie studiowała wszelkie raporty, przedstawiające następstwa innych strzelanin szkolnych. Ale bez względu na to, jak bardzo pogłębiała swoją wiedzę, ilekroć próbowała się zbliżyć do Josie, córka patrzyła na nią tak, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu na oczy. Albo wybuchała płaczem.

Alex była bezradna wobec każdej z tych reakcji. Drażniła ją własna niekompetencja – ale w takich chwilach szybko się napominała, że w tym wszystkim nie chodzi o nią, lecz o Josie, i wówczas poczucie porażki stawało się wręcz nieznośnie dojmujące.

Dostrzegała wyraźnie ironię losu: była o wiele bardziej podobna do ojca niż ktokolwiek, łącznie z nim samym, mógłby się spodziewać. Na sali rozpraw czuła się pewnie i swobodnie – zupełnie inaczej niż we własnym domu. Dobrze wiedziała, co powiedzieć, gdy stawał przed nią człowiek po raz trzeci oskarżony o prowadzenie pod wpływem alkoholu, nie potrafiła natomiast przez pięć minut podtrzymać rozmowy z własnym dzieckiem.

Dziesięć dni po strzelaninie w Sterling High Alex weszła do pokoju córki. Dochodziło południe, jednak rolety wciąż szczelnie zasłaniały okna, a Josie tkwiła zagrzebana w kokonie pościeli. W pierwszym odruchu Alex chciała wpuścić do wnętrza światło słońca, ale się opanowała, położyła się na łóżku i objęła ramionami zawiniątko, które było jej córką.

– Kiedy byłaś mała, czasami przychodziłam tu w nocy i spałam obok ciebie.

Kokon się poruszył i spod prześcieradła wyłoniła się twarz Josie z zaczerwienionymi, obrzękniętymi oczami.

– Dlaczego?

Alex wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie przepadałam za burzą z piorunami.

– To czemu rano, po obudzeniu, nigdy cię tu nie widziałam?

– Zawsze o świcie wracałam do siebie. Nie chciałam, byś wiedziała, że czegoś się boję... powinnam być silna, dawać ci poczucie bezpieczeństwa...

– Supermama – mruknęła Josie.

– Ale teraz bardzo się boję, że cię stracę. Że już cię utraciłam.

Josie przez chwilę przyglądała się matce w milczeniu.

– Ja też się boję, że się zatracę.

Alex usiadła na łóżku i odgarnęła córce włosy za uszy.

– Wybierzmy się na miasto – zaproponowała.

Josie zamarła.

– Nie mam ochoty.

– Skarbie, to ci dobrze zrobi. Potraktuj to jak fizjoterapię – tyle że dla

umysłu. Trzeba, choćby na siłę, powrócić do rutyny dnia codziennego, mechanicznie odtwarzać dobrze znane czynności, aż znowu się staną naturalnym odruchem.

– Nic nie rozumiesz...

– Jeżeli się nie postarasz, Jo, on zwycięży.

Głowa Josie wyskoczyła w górę. Matka nie musiała tłumaczyć, kogo ma na myśli.

– Czy się domyślałaś? – ze zdumieniem usłyszała Alex własne słowa.

– Czego miałam się domyślać?

– Że on może coś podobnego zrobić.

– Mamo, ja nie chcę...

– Wciąż go pamiętam jako małego chłopca – wyznała Alex.

Josie potrząsnęła głową.

– To zamierzchła przeszłość – mruknęła. – Ludzie się zmieniają.

– Tak. Wiem. Ale czasami wciąż go widzę trzymającego ten sztucer...

– Byliśmy wtedy dziećmi – przerwała jej Josie. – Byliśmy głupi. – W jej oczach zabłyśły łzy i w podejrzenie nagłym pośpiechu odrzuciła kołdrę. – Zdaje się, że miałyśmy gdzieś jechać.

Alex spojrzała bacznie na córkę. Natura prawnika podszeptowała, że powinna drążyć temat. Ale jako matka nie chciała tego robić.

Wkrótce siedziały obok siebie w samochodzie. Josie zapięła pas, rozpięła, zapięła ponownie, pociągnęła, żeby sprawdzić, czy zaskoczyła zapadka.

Po drodze Alex próbowała zwracać uwagę córki na oczywiste, zwykłe rzeczy – żonkile dzielnie wychylające głowy spod rozmiękłego śniegu na pasie rozdzielającym jezdnię głównej ulicy; osady wioślarskie, trenujące na rzece Connecticut, tnące dziobami łodzi resztki lodu; wskaźnik temperatury w samochodzie, według którego na zewnątrz panowała temperatura przekraczająca nieco dziesięć stopni. Alex z rozmysłem wybrała okrężną trasę, która nie przebiegała obok szkoły.

Josie tylko raz wykazała zainteresowanie światem zewnętrznym –

gdy mijały posterunek policji.

Alex wjechała na parking przy kafeterii. Ulice były pełne przechodniów, którzy podczas przerwy na lunch wyskoczyli na zakupy. Niektórzy z nich rozmawiali przez komórki, inni wodzili wzrokiem po sklepowych witrynach. Dla kogoś, kto nigdy nie słyszał o masakrze, Sterling mogłoby się wydawać miastem jak tysiące innych.

– No więc? – Alex odwróciła się w stronę córki. – Jak się czujesz?

Josie spojrzała w dół, na zaciśnięte dłonie.

– Okay.

– Nie jest tak źle, jak sądziłaś, prawda?

– Jeszcze nie.

– Moja córka, niepoprawna optymistka – rzuciła Alex z uśmiechem.

– Co powiesz na kanapkę z bekonem i sałatkę?

– Przecież jeszcze nie przejrzałaś menu – odparła Josie, ale wysiadła za matką z samochodu.

Nagle przerdzewiały dodge raptownie przyśpieszył, by przejechać skrzyżowanie przed zmianą świateł, i głośno wystrzeliła rura wydechowa.

– Idiota! – oburzyła się Alex. – Powinam spisać jego numery... – Urwała, bo dotarło do niej, że Josie zniknęła. – Josie!

Zobaczyła córkę przyciśniętą brzuchem do płyt chodnika. Josie drżała na całym ciele i była blada jak płótno.

Alex przykucnęła u jej boku.

– To samochód. Tylko samochód... – Pomogła Josie podnieść się na kolana.

Wszyscy przechodnie patrzyli na matkę i córkę, chociaż udawali, że spoglądają w inną stronę.

Alex osłoniła Josie przed ich wzrokiem. Kolejna rodzicielska porażka. Dotychczas sędzia Cormier słynęła z trafności sądów, a więc najwyraźniej przechodziła fazę jakiegoś przerażającego regresu. Przypomniała sobie pewną informację, wyczytaną w Internecie: kiedy ma się do czynienia z człowiekiem w żałobie, za krok w przód trzeba często zapłacić trzema krokami wstecz. Niestety, w Internecie nie

uprzedzono, że gdy cierpi ktoś, kogo kochamy, ból może i dla nas stać się nie do zniesienia.

– Już dobrze. – Alex z całej siły objęła Josie ramieniem. – Zabieram cię do domu.

Patrick dosłownie żył tym dochodzeniem.

Na posterunku okazywał zdecydowanie i zimną krew – ostatecznie to do niego zwracali się pozostali śledczy ze wszystkimi sprawami – ale gdy tylko przychodził do domu, poddawał krytycznej ocenie każde swoje posunięcie. Na lodówce wisiały zdjęcia ofiar; na lustrze w łazience widniał minutowy rozkład poczynań Petera, wypisany zmywalnym flamastrem. W środku nocy Patrick siadał przy stole i spisywał listy pytań: Co robił Peter w domu, przed pójściem do szkoły? Co jeszcze się znajduje na twardym dysku jego laptopa? Gdzie nauczył się strzelać? Skąd wziął broń? Dlaczego nosił w sobie tak wiele gniewu?

W ciągu dnia Patricka przytłaczała ogromna liczba dowodów, które wymagały opracowania, oraz świadomość, że jeszcze więcej informacji musi dopiero zdobyć.

Tego dnia siedział naprzeciwko Joan McCabe, która zużyła już ostatnie pudełko chusteczek, jakie znajdowało się na posterunku, i teraz ścisnęła w dłoni kłęb papierowych ręczników.

– Bardzo przepraszam – powiedziała, łykając łzy. – Łudziłam się, że z każdą rozmową na temat brata będzie mi łatwiej.

– Obawiam się, że ten mechanizm tak nie działa – odparł miękko głosem Patrick. – Ale jestem wdzięczny, że zechciała pani poświęcić mi swój czas.

Ed McCabe był jedynym nauczycielem, który zginął w strzelaninie. Jego klasa znajdowała się tuż obok schodów, na szlaku wiodącym do sali gimnastycznej. Na swoje nieszczęście Ed wyszedł na korytarz i próbował powstrzymać masakrę. Według szkolnych rejestrów, w dziesiątej klasie Peter miał lekcje matematyki z McCabe'em. Był czwórkowym uczniem. Nikt też sobie nie przypominał, aby między nim

a nauczycielem dochodziło do jakichkolwiek nieporozumień. Większość uczniów w ogóle nie pamiętała, że Peter chodził z nimi na te zajęcia.

– Już nic więcej nie jestem w stanie panu powiedzieć – oświadczyła Joan. – Może Philip przypomni sobie coś istotnego.

– Pani mąż?

Joan podniosła wzrok.

– Nie. Partner Eda.

Patrick odchylił się na oparcie krzesła.

– Partner. Czyli...

– Ed był gejem.

To może mieć istotne znaczenie... albo zgoła żadne. Niewykluczone jednak, że Ed McCabe, który jeszcze pół godziny temu należał jedynie do nieszczęsnych ofiar strzelaniny, był przyczyną, dla której w ogóle do niej doszło.

– Nikt w szkole o tym nie wiedział – wyznała Joan. – Ed chyba się obawiał stygmatyzacji. Wszystkim wokół mówił, że Philip jest jego starym przyjacielem z czasów college'u.

Inną ofiarą, która jednak w odróżnieniu od Eda pozostała przy życiu, była Natalie Zlenko. Raniona w bok, przeszła resekcję wątroby. Patrickowi się zdawało, że właśnie takie nazwisko nosiła przewodnicząca Stowarzyszenia Gejów i Lesbijek w Sterling High. Natalie została postrzelona jedna z pierwszych, McCabe – jeden z ostatnich.

Może Peter Houghton był homofobem.

Patrick wręczył Joan swoją wizytówkę.

– Bardzo by mi zależało na rozmowie z Philipem.

Lacy Houghton postawiła przed Seleną dzbanek z herbatą i talerz z łydżami selera.

– Niestety, nie mam mleka. Pojechałam je kupić, ale...

Głos jej zamarł i Selena sama spróbowała dopowiedzieć sobie resztę.

– Jestem wdzięczna, że zdecydowałaś się ze mną porozmawiać –

oświadczyła na wstępie. – Cokolwiek od ciebie usłyszę, może nam pomóc w obronie Petera.

Lacy skinęła głową.

– Odpowiem na każde, absolutnie każde pytanie.

– Zacznijmy może od tych najprostszych. Gdzie się urodził Peter?

– Tutaj, w Sterling. W szpitalu Dartmouth-Hitchcock.

– Czy poród przebiegał prawidłowo?

– Absolutnie. Najmniejszych komplikacji. – Uśmiechnęła się lekko. –

Gdy byłam w ciąży, codziennie pokonywałam na piechotę pięć kilometrów. Lewis był przekonany, że do rozwiązania dojdzie na cudzym podjeździe.

– Karmiłaś go piersią? Ssał prawidłowo?

– Przepraszam, ale nie rozumiem...

– Musimy ustalić, czy nie mamy do czynienia z wrodzonym lub okołoporodowym uszkodzeniem mózgu – wyjaśniła Selena rzeczowym tonem. – Wykluczyć lub potwierdzić zmiany organiczne.

– Ach, tak... – odezwała się Lacy słabym głosem. – A więc owszem, karmiłam go piersią. Peter był zdrowym, dobrze odżywionym niemowlęciem. Może nieco drobniejszym od dzieci w swoim wieku, ale też ani ja, ani Lewis nie należymy do olbrzymów.

– A jak wyglądał jego rozwój społeczny?

– Nie miał wielu przyjaciół – przyznała Lacy. – W odróżnieniu od Joeya.

– Joeya?

– Brata Petera, starszego o dwa lata. Peter był dużo od niego łagodniejszy i bardziej nieśmiały. Często mu dokuczano z powodu niewysokiego wzrostu oraz dlatego, że nie dorównywał Joeyowi w osiągnięciach sportowych...

– Jakie związki łączą Petera z Joeyem?

Lacy spuściła wzrok na zaciśnięte dłonie.

– Joey zginął w zeszłym roku. W wypadku samochodowym, spowodowanym przez pijanego kierowcę.

Ręka Seleny zawisła nad notesem.

- Bardzo mi przykro.
- Taaak. Mnie również.

Selena odchyliła się nieznacznie na krześle. Wiedziała, że to idiotyczne, ale na wypadek gdyby nieszczęście było jednak zaraźliwe, wolała się za bardzo nie zbliżać do tej kobiety. Pomyślała o Samie, który jeszcze spał w swoim łóżeczku, kiedy rano wychodziła z domu. W nocy zsunęła mu się jedna skarpetka, ukazując małe paluszki, pulchne jak ziarenka grochu. Selena ostatnim wysiłkiem woli się powstrzymała, by nie posmakować jego karmelowego ciała. Język miłości zawiera w sobie wiele tego typu określeń: pożeramy kogoś oczami; upajamy się jego widokiem; chętnie schrupalibyśmy ukochaną osobę w całości. Miłość jest niczym strawa – dostarcza życiodajnych sił naszym organizmom.

Selena ponownie skoncentrowała się na Lacy.

- Czy stosunki Petera z Joeyem dobrze się układały?
- Och, Peter uwielbiał brata.
- Czy kiedykolwiek ci o tym powiedział?

Lacy wzruszyła ramionami.

– Nie musiał. Chodził z nami na wszystkie mecze piłkarskie Joeya, gdzie dopingował go równie głośno i entuzjastycznie jak my, rodzice. Kiedy znalazł się w liceum, wszyscy mieli wobec niego bardzo wysokie oczekiwania tylko dlatego, że był młodszym bratem Houghtona.

Co równie dobrze mogło stanowić źródło frustracji, nie dumy, pomyślała Selena.

– Jak Peter zareagował na śmieć Joeya?

– Podobnie jak my, był zdruzgotany. Często płakał. Na długie godziny zamykał się w swoim pokoju.

– Czy wasze relacje z Peterem zmieniły się w jakiś sposób po śmierci starszego syna?

– Uległy wzmocnieniu – odparła zdecydowanie Lacy. – Byliśmy pogrążeni w głębokiej rozpacz. Peter... dawał nam oparcie.

– A czy on sam mógł liczyć na wsparcie innych osób? Czy łączyły go z kimś intymnie więzi?

– Masz na myśli dziewczęta?

– Albo chłopców.

– Był w trudnym wieku. Wiem, że zapraszał jakieś panny na randki, ale o ile mi wiadomo, nic z tego nie wyszło.

– Jak wyglądały oceny Petera?

– W odróżnieniu od brata nie należał do szóstkowych uczniów. Zbierał głównie czwórki, od czasu do czasu zdarzała się jakaś trójka. Zawsze mu powtarzaliśmy, żeby się starał na miarę własnych możliwości.

– Czy stwierdzono u niego jakieś zaburzenia, mogące utrudniać naukę? Dysleksję? Dysgrafię?

– Nie.

– A jego życie poza szkołą? Jak najchętniej spędzał czas?

– Słuchał muzyki. Bawił się grami komputerowymi. Jak każdy nastolatek.

– Czy kiedykolwiek słuchałaś jego ulubionej muzyki lub grałaś z nim w te gry?

Na twarzy Lacy pojawił się cień uśmiechu.

– Celowo tego unikałam.

– Czy monitorowaliście jego aktywność w Internecie?

– W założeniu korzystał z niego tylko dla potrzeb nauki. Przeprowadziliśmy z nim kilka długich rozmów na temat niebezpieczeństw czyhających w sieci, a przede wszystkim zagrożeń związanych z wchodzeniem do chat roomów, ale Peter zawsze się wykazywał dużą dozą rozsądku. Ja i Lewis... – Odwróciła wzrok. – Oboje mu ufaliśmy.

– Sprawdzałaś, jakie pliki ściągał na swój twardy dysk?

– Nie.

– Przejdźmy do broni. Czy wiesz, skąd ją wziął?

Lacy wzięła głęboki oddech.

– Lewis jest myśliwym. Pewnego razu zabrał Petera na polowanie, ale nie bardzo mu się spodobało. Sztucery są zawsze zamknięte w specjalnej szafce...

– Jednak Peter wie, gdzie leży klucz.

– Owszem – mruknęła Lacy.

– A pistolety?

– Nigdy nie mieliśmy w domu broni krótkiej. Nie mam pojęcia, jak Peter je zdobył.

– Czy kiedykolwiek sprawdzałaś jego pokój? Zaglądałaś pod materac, do szaf i tak dalej?

Lacy spojrzała Selenie prosto w oczy.

– Zawsze szanowaliśmy jego prywatność. W mojej opinii, dziecko powinno mieć własną, nienaruszalną przestrzeń, a poza tym... – Zaciśnęła usta.

– Tak?

– Jeżeli zacznie się szukać, można znaleźć rzeczy, których wolałoby się nigdy nie zobaczyć.

Selena oparła łokcie na kolanach i pochyliła się do przodu.

– Kiedy cię to spotkało, Lacy?

Lacy podeszła do okna, odsunęła na bok jedną z zasłon.

– Musiałabyś znać Joeya, żeby wszystko zrozumieć. Rozpoczął naukę w maturalnej klasie, był celującym uczniem, doskonałym sportowcem. A potem, na tydzień przed ukończeniem szkoły, zginął. – Powiodła dłonią po tkaninie. – Trzeba było się zająć jego pokojem, popakować to, co postanowiliśmy rozdać. Długo się zbierałam w sobie, ale w końcu rozpoczęłam porządki. Kiedy przeglądałam szuflady, natknęłam się na narkotyki. Trochę proszku w sreberku po gumie do żucia oraz igła ze strzykawką i aluminiowa łyżeczka. Nie wiedziałam, że to heroina, póki nie sprawdziłam w Internecie. Narkotyk spuściłam z wodą w ubikacji, a strzykawkę wyrzuciłam do specjalnego pojemnika w pracy. – Odwróciła się do Seleny z wypiekami na twarzy. – Wprost nie mogę uwierzyć, że o tym opowiadam. Nigdy nikomu nie pisałam na ten temat słowa, nawet Lewisowi. Nie chciałam, żeby ktokolwiek źle myślał o Joeyu.

Lacy z powrotem usiadła na kanapie.

– Celowo i z rozmysłem nie robiłam przeglądów w pokoju Petera,

ponieważ się bałam, że mogłabym tam znaleźć coś bardzo niepokojącego – wyznała. – Nie przypuszczałam, że może być jeszcze dużo gorzej niż w moich najczarniejszych wyobrażeniach.

– Czy kiedykolwiek wchodziłaś do niego? Pukałaś i wsuwałaś głowę do środka?

– Jasne. Codziennie przychodziłam mu powiedzieć dobranoc.

– Czym się wtedy zajmował?

– Niemal zawsze siedział przy komputerze.

– Widziałaś, co jest na ekranie?

– Nie. Przeważnie zamykał plik.

– A jak reagował, kiedy się zjawiałaś, gdy się tego nie spodziewał? Przygnębieniem, gniewem, konsternacją? Sprawiał wrażenie przyłapanego na gorącym uczynku?

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że go osądzasz? – spytała Lacy. – Czy nie powinnaś stać po jego stronie?

Selena beznamiętnie spojrzała jej w oczy.

– Jeżeli mam przeprowadzić dogłębne śledztwo, muszę poznać wszystkie fakty. I właśnie usiłuję to zrobić.

– Peter był typowym nastolatkiem. Złościł się, kiedy całowałam go na dobranoc. Kiedy go zaskakiwałam, nie robił wrażenia zawstydzonego. Nie zachowywał się tak, jakby coś przed nami ukrywał. Czy to właśnie chciałaś usłyszeć?

Selena schowała długopis. Kiedy przepytywana osoba przyjmowała postawę obronną, należało zakończyć rozmowę. Lacy jednak spontanicznie ciągnęła dalej:

– Nigdy nie sądziłam, że mamy poważny problem. Peter nie wydawał się przygnębiony. Nie wiedziałam, że ma autodestrukcyjne myśli. O niczym nie miałam pojęcia. – Zaczęła płakać. – Te rodziny zabitych i poranionych dzieci... nie wiem, co im powiedzieć, jak wyjaśnić, że ja też kogoś straciłam. I to dawno temu.

Selena objęła ramionami tę drobną kobietę.

– To nie twoja wina – zapewniła, ponieważ wiedziała, że właśnie te słowa były teraz Lacy najbardziej potrzebne.

Ironia rządząca szkolnym życiem sprawiła, że dyrektor Sterling High przyznał sąsiadujące sale Kółku Biblijnemu oraz Stowarzyszeniu Gejów i Lesbijek. Obie grupy spotykały się we wtorki, o piętnastej trzydzieści, odpowiednio w klasach numer 234 i 233. Normalnie w sali 233 prowadził zajęcia Ed McCabe. Jedną z członkiń Kółka Biblijnego była córka miejscowego pastora, Grace Murtaugh, zastrzelona w korytarzu prowadzącym do sali gimnastycznej, tuż obok małej fontanny -poidełka. Przewodnicząca Stowarzyszenia Gejów i Lesbijek wciąż znajdowała się w szpitalu: Natalie Zlenko, autorka fotografii do albumu szkolnego, przyznała, że jest lesbijką, pod koniec pierwszej klasy liceum, gdy zawędrowała do sali 233 na spotkanie stowarzyszenia, by zobaczyć, czy na tej planecie żyją jeszcze jacyś inni podobni do niej ludzie.

– Z zasady nie udostępniamy nazwisk członków. – Natalie mówiła tak cicho, że Patrick musiał się nad nią nachylić, by cokolwiek usłyszeć. Na domiar złego wisiała mu nad głową matka dziewczyny. Gdy jej oznajmił, że chce porozmawiać z Natalie, kazała mu się wynosić i zagroziła wezwaniem policji. Musiał jej przypomnieć, że on jest policją.

– Nie pytam o nazwiska – odparł Patrick. – Proszę jedynie, abys pomogła mi zrozumieć, dlaczego doszło do tej tragedii.

Natalie zamknęła oczy i skinęła głową.

– Czy Peter Houghton kiedykolwiek się zjawił na waszym spotkaniu?

– Tylko raz.

– Czy powiedział lub zrobił coś takiego, co utkwilo ci w pamięci?

– Nic nie zrobił ani nie odezwał się słowem. Przyszedł raz i więcej się nie pokazał. Koniec, kropka.

– Czy często się zdarzają podobne wypadki?

– Czasami – odparła Natalie. – Niektórzy ludzie dochodzą do wniosku, że nie są jeszcze gotowi się ujawnić. Niekiedy też wpadają różne dupki tylko po to, żeby zobaczyć, kto jest homoseksualistą, i potem zmienić nasze życie w piekło.

– Jak sądzisz, czy Peter się zaliczał do którejś z tych dwóch

kategorii?

Natalie milczała przez bardzo długą chwilę, aż Patrick doszedł do wniosku, że zasnęła.

– Dziękuję pani – rzucił w stronę matki, i wówczas Natalie odezwała się ponownie:

– Peter solidnie dostawał w kość na długo przedtem, zanim się pojawił na naszym spotkaniu.

Podczas gdy Selena przeprowadzała rozmowę z Lacy Houghton, Jordan dyżurował przy synku. Mały Sam miał zawsze koszarne problemy z zasypianiem, ale wystarczyła dziesięciminutowa przejażdżka samochodem, żeby odpłynął jak bokser po nokaucie. Jordan opatulił więc synka, a potem wsadził do fotelika zamocowanego na tylnym siedzeniu. I dopiero kiedy wrzucił w saabie wsteczny bieg, zdał sobie sprawę, że szoruje felgami po kamiennym podejździe. Wszystkie cztery opony miał poprzecinane aż do kołpaków.

– Kurwa! – zaklął głośno, i Sam zaniósł się płaczem. Jordan wyjął dziecko z samochodu, wniósł do domu, założył na siebie nosidełko-plecaczek, ulubiony gadżet Seleny, i wsunął do niego synka. A potem zadzwonił na policję i zgłosił akt wandalizmu.

Jordan wiedział, że się znalazł na przegranej pozycji, gdy dyżurny oficer nie poprosił, by przeliterował swoje nazwisko – najwyraźniej już dobrze je znał.

– Zajmiemy się tą sprawą – zapewnił. – Ale najpierw musimy pomóc wiewiórcę, która utknęła wśród konarów. – Po czym się rozłączył.

Czy można pozwać gliniarzy do sądu za to, że są wypranymi z empatii sukinsynami?

Jakimś cudem – zapewne za sprawą feromonów stresu – mały Sam zapadł w sen, ale gdy się rozległ dzwonek w holu, natychmiast na nowo zaczął zawodzić. Jordan ze złością otworzył drzwi i ujrzał w progu Selene.

– Obudziłaś dziecko – oznajmił z wyrzutem, po czym wyjął Sama z

nosidełka.

– Nie powinieneś był zamykać się na klucz. Och, witaj mój maleńki słodziaku – zaczęła Selena. – Czy tatuś był takim okropnym potworem przez cały czas mojej nieobecności?

– Ktoś pociął mi opony.

Selena zerknęła na męża ponad głową niemowlęcia.

– Ty to wiesz, jak zyskać przyjaciół i wzbudzić powszechny podziw. Pozwól, że zgadnę – gliniarze się nie palą do zbadania sprawy?

– Nieszczególnie.

– Cóż, sam się zdecydowałeś bronić tego chłopaka. Musisz to przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza.

– Gdzie się podziało małżeńskie współczucie?

Selena wzruszyła ramionami.

– Tego ci nie ślubowałam przed ołtarzem. Jeżeli chcesz sobie urządzić seans samoużalania, nakryj stół na jedną osobę.

Jordan przejechał dłonią po włosach.

– Czy przynajmniej dowiedziałas się czegoś pożytecznego od matki? Nie miałbym nic przeciwko zdiagnozowanej chorobie psychicznej.

Balansując z dzieckiem na rękę, Selena zdjęła z siebie kurtkę, a potem rozpięła guziki bluzki, usiadła na sofie i zaczęła karmić synka.

– Choroby nie mogę ci zaoferować. Ale może zainteresuje cię fakt, że Peter miał brata.

– Doprawdy?

– Uhm. Chłopak nie żyje. Ale zanim został zabity przez pijanego kierowcę, był modelowym synem, uosobieniem amerykańskich marzeń.

Jordan usiadł obok żony.

– To da się wykorzystać...

Selena przewróciła teatralnie oczami.

– Czy choć raz mógłbyś nie być adwokatem, lecz zachować się jak normalna istota ludzka? Jordan, ta rodzina tak się zagubiła, że nie miała szans na normalne funkcjonowanie. Chłopak był chodzącą beczką prochu. Rodzice pograżyli się we własnej rozpacz i nic nie zauważali. Peter nie miał się do kogo zwrócić ze swoimi problemami.

Jordan spojrział na Selenę z szerokim uśmiechem.

– Bosko – oznajmił. – Nasz klient zaczyna wzbudzać współczucie.

Tydzień po strzelaninie w Sterling High szkoła Mount Lebanon – swego czasu podstawówka, obecnie wykorzystywana do celów administracyjnych z powodu spadku populacji uczniów – została tymczasowo zaadaptowana na potrzeby licealistów, by mieli gdzie dotrwać do zakończenia roku.

W dniu, w którym na nowo rozpoczynały się zajęcia, matka Josie przyszła do pokoju córki.

– Nie musisz tam dzisiaj jechać – oświadczyła. – Jeżeli chcesz, możesz sobie zrobić jeszcze parę tygodni wolnego.

Kilka dni wcześniej, gdy uczniowie otrzymali oficjalne zawiadomienie o wznowieniu nauki, rozdzwoniły się telefony pulsujące paniką. „Wracasz do szkoły?” „A ty?” Miasto obiegały plotki: kogo rodzice zamierzają zatrzymać w domu; kto się przenosi do St. Mary’s; kto zastąpi pana McCabe’a. Josie nie dzwoniła do nikogo ze swoich przyjaciół. Bała się tego, co może usłyszeć.

Nie czuła też najmniejszej ochoty na powrót do szkoły. Nie wyobrażała sobie, że miałyby przejść spokojnie szkolnym korytarzem, nawet jeżeli fizycznie nie był on zlokalizowany w Sterling High. Nie rozumiała, jak kurator i dyrektor mogą wymagać od uczniów odgrywania swoich ról – bo to właśnie wszyscy będą robić: przybierać sztuczne pozy, ponieważ dopuszczenie do siebie rzeczywistych uczuć doprowadziłoby do katastrofy.

A jednocześnie Josie wiedziała, że właśnie w szkole jest teraz jej miejsce. Tylko inni uczniowie Sterling High pojmowali, co to znaczy budzić się rano i rozkoszować trzema pierwszymi sekundami jawy, zanim człowiek sobie przypomni, że życie już nie jest takie jak przedtem; tylko oni wiedzieli, jak łatwo zapomnieć, że ziemia, po której się stąpa, wcale nie jest trwałym i solidnym oparciem.

Jeżeli się dryfowało bez celu wraz z tysiącem innych ludzi, czy

rzeczywiście można było powiedzieć, że jest się zagubioną duszą?

– Josie?

Matka czekała na odpowiedź.

– Wszystko w porządku – skłamała dziewczyna gładko.

Alex wyszła i Josie zaczęła zbierać podręczniki. Nagle zdała sobie sprawę, że owego feralnego dnia nie zdążyła napisać testu z chemii. Katalizatory. Nic zupełnie nie pamiętała na ich temat. Czyba pani Duplessiers nie będzie taka podła i nie zrobi im klasówki w pierwszy dzień po przerwie? Ostatecznie czas nie zatrzymał biegu na te trzy tygodnie – czas nabrał zupełnie innego wymiaru.

Gdy ostatnim razem wybierała się do szkoły, nie myślała o niczym szczególnym. No, może trochę o tym teście z chemii. I o Matcie. Zastanawiała się, czy wieczorem będzie miała dużo lekcji do odrobienia. Innymi słowy, pochłaniały ją najzwyklejsze sprawy. Dzień jak co dzień. Nic zupełnie nie wyróżniało tamtego poranka ze wszystkich innych poranków w roku. Skąd więc Josie mogła mieć pewność, że dzisiejszego dnia nie dojdzie do kolejnego kataklizmu?

Zeszła do kuchni i zobaczyła, że matka ma na sobie elegancki kostium – swój profesjonalny uniform. Ten widok ją zaszokował.

– Idziesz do pracy? Akurat dzisiaj?

Matka odwróciła się ze szpatułką w dłoni.

– Ehm... – Była najwyraźniej skonsternowana. – Doszłam do wniosku, że skoro ciebie tu nie będzie... W razie potrzeby zawsze możesz się ze mną skontaktować przez moją asystentkę. Przysięgam na Boga, Josie, zjawię się w mgnieniu oka...

Josie opadła na krzesło i zacisnęła powieki. Nie myślała o tym, że matka zostałaby sama w domu; do tej pory wyobrażała sobie, że będzie tu na nią czekała, tak na wszelki wypadek. Ale teraz zrozumiała, jak głupie były jej nadzieje. Matka nigdy się nie posuwała do podobnych ustępstw na jej rzecz, więc niby czemu teraz miałyby się to zmienić?

Ponieważ, odezwał się cichy głos w głowie Josie, wszystko inne uległo dramatycznej przemianie.

– Przeorganizowałam swoją wokandę, będę więc mogła odebrać cię

ze szkoły. A w razie potrzeby...

– Tak, wiem. Mogę zadzwonić do twojej asystentki. Nie ma o czym mówić.

Matka usiadła po przeciwnej stronie stołu.

– Skarbie, czego się spodziewałaś?

Josie uniosła wzrok.

– Niczego. Już dawno temu przestałam czegokolwiek od ciebie oczekiwać. – Podniosła się z krzesła. – Przypalasz naleśniki – dodała i wróciła na górę, do swojego pokoju.

Wcisnęła twarz w poduszkę. W istocie nie wiedziała, co, u diabła, ją napadło. Wydawało jej się, że po strzelaninie pojawiły się nagle dwie Josie – mała dziewczynka, która chce wierzyć, że to wszystko się nie wydarzyło naprawdę, oraz zdeklarowana realistka, która cierpi tak bardzo, że szczerzy zęby na każdego, kto się za bardzo do niej zbliży. Problem w tym, że Josie nie wiedziała, która z tych dwóch postaci zawładnie nią w danym momencie. Oto jej matka – kobieta, która nie umie ugotować nawet wody – próbowała teraz usmażyć dla Josie naleśniki, ponieważ chciała sprawić córce przyjemność. Kiedy Josie była mała, marzyła, by mieszkać w domu, gdzie w pierwszy dzień szkoły mama szykuje śniadanie z prawdziwego zdarzenia: jajka, bekon, tosty, świeży sok pomarańczowy – a nie ogranicza się jedynie do wystawienia pudełek z płatkami śniadaniowymi i położenia na stole papierowej serwetki. Cóż, teraz dostała to, czego chciała, prawda? Matka siedziała u jej boku w chwilach załamania; rzuciła w kąt pracę, choć właśnie przez pracę zawsze się określała, ponieważ chciała otoczyć córkę troskliwą opieką. A jak na to wszystko zareagowała Josie? Josie ją odepchnęła. Za każdym jej słowem kryło się przesłanie: Nigdy cię nie obchodziło, co się dzieje w moim życiu, nie poświęcałaś mi uwagi, o ile się nie znajdowałaś pod obstrzałem obcych oczu, więc sobie nie wyobrażaj, że twoje obecne wysiłki cokolwiek między nami zmieniają.

Niespodziewanie pod domem rozległ się ryk silnika samochodowego. Matt! – pomyślała Josie w pierwszym odruchu i każdy nerw w jej ciele napiął się do granicy bólu. Do tej pory zupełnie

nie myślała, jak właściwie dostanie się do szkoły – w przeszłości to Matt zawsze zabierał ją po drodze. Oczywiście, matka zapewniłaby jej transport. Josie jednak zastanowiło, dlaczego do tej pory nie podjęła próby rozwiązania tego logistycznego problemu. Ponieważ bała się o tym myśleć?

Z okna pokoju patrzyła, jak Drew Girard wysiada ze swojego poobijanego volvo. Zanim zbiegła na dół i otworzyła frontowe drzwi, matka też już wyszła z kuchni. Trzymała w ręku wykrywacz dymu, wyjęty z plastikowej osłony, przyczepionej do sufitu.

Drew stał w smudze słońca, osłaniając dłonią oczy. Drugą rękę miał wciąż na temblaku.

– Powinienem najpierw zadzwonić.

– Nie, wszystko okay – odparła Josie, walcząc z zawrotem głowy. Niespodziewanie dotarło do niej, że ptaki już powróciły z tych miejsc, do których odlatywały na zimę.

Drew spoglądał to na Josie, to na jej matkę.

– Pomyślałem, no wiesz, że może potrzebny ci transport.

W tej samej chwili Josie odniosła wrażenie, że stanął między nimi Matt; wyraźnie poczuła na plecach dotyk jego dłoni.

– Dziękujemy za życzliwość, ale dzisiaj ja zawiozę córkę do szkoły.

Słowa matki obudziły drzemiącą w Josie bestię.

– Wolę pojechać z Drew – oświadczyła, chwytając plecak ze zwieńczenia balustrady schodów. – Zobaczymy się po lekcjach. – I nie oglądając się na matkę, by nie widzieć wyrazu jej twarzy, schroniła się we wnętrzu samochodu.

Drew przekręcił kluczyk w stacyjce i wycofał wóz z podjazdu. Gdy ostro ruszył ulicą, Josie zamknęła oczy i spytała:

– Czy twoi rodzice też tak cię przytłaczają?

Drew spojrzał na nią spod oka.

– Uhm.

– Rozmawiałeś z kimś o tym, co się stało?

– Masz na myśli policję?

Josie pokręciła głową.

– Nie. Ludzi takich jak my.

Drew zmienił bieg.

– Parę razy byłem w szpitalu u Johna. Nie pamięta, jak mam na imię. Nie może sobie przypomnieć nawet najprostszych słów w rodzaju „widelec”, „grzebień” czy „schody”. Siedziałem przy nim i opowiadałem o głupotach – o wynikach ostatnich meczów Bruinsów – ale przez cały czas się zastanawiałem, czy on wie, że już nigdy nie będzie mógł chodzić. – Kiedy stanęli na światłach, Drew odwrócił się w stronę Josie. – Dlaczego nie ja?

– Słucham?

– Czemu akurat nam się udało?

Josie nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Wykręciła więc głowę w stronę okna i udawała, że bardzo zainteresował ją pies, który tak mocno szarpał smycz, że właściwie to on prowadził swojego właściciela, a nie odwrotnie.

Drew zatrzymał się na parkingu pod szkołą Mount Lebanon. Z tyłu znajdował się plac zabaw, ponieważ swego czasu była to podstawówka. I nawet gdy budynek został oddany na cele administracyjne, okoliczne dzieciaki wciąż tu przychodziły, żeby się powspinać na drabinki lub pobujać na huśtawkach. Na schodach prowadzących do głównego wejścia stał szpaler rodziców, a na samym szczycie – dyrektor. Wszyscy wykrzykiwali głośno imiona wchodzących do środka uczniów, dodając im otuchy przed pierwszym dniem zajęć.

– Mam coś dla ciebie. – Drew sięgnął pod siedzenie i wyjął dobrze znaną Josie baseballówkę. Haftowane logo niemal zupełnie się już wypruło, daszek był postrzępiony i powykręcany jak główka skrzypcowego gryfu. Josie wzięła czapkę do ręki i powiodła palcem po wewnętrznym szwie.

– Kiedyś została w moim samochodzie – wyjaśnił Drew. – Po tym... jak, no wiesz... zamierzałem ją oddać jego rodzicom, ale ostatecznie pomyślałem sobie, że może tobie by na niej zależało.

Josie skinęła głową, łykając łzy spływające jej do gardła.

Drew oparł głowę o kierownicę i dopiero wtedy Josie zauważyła, że

on także płacze.

Położyła rękę na jego ramieniu.

– Dzięki – wykrztusiła i włożyła czapkę Matta na głowę. Otworzyła drzwi samochodu i wyjęła plecak, ale zamiast ruszyć w stronę szkoły, przebiegła przez zardzewiałą furtkę, prowadzącą na plac zabaw. Weszła do piaskownicy i wbiła wzrok w odciski własnych stóp, zastanawiając się, ile trzeba czasu, żeby zostały bezpowrotnie zatarte przez matkę naturę.

Dwukrotnie Alex ogłaszała przerwę w posiedzeniu i wymykała się z sali rozpraw, by zadzwonić na komórkę Josie, chociaż dobrze wiedziała, że podczas lekcji córka zawsze wyłącza telefon. Wiadomość, jaką zostawiała w skrzynce głosowej, brzmiała za każdym razem tak samo: „To ja, chciałam się tylko dowiedzieć, jak się trzymasz”.

Alex przykazała swojej asystentce, Eleanor, że gdyby Josie zadzwoniła, ma ją o tym natychmiast powiadomić. Bez względu na okoliczności.

Kiedy się znalazła w gmachu sądu, natychmiast opadło z niej napięcie, niemniej z trudem się koncentrowała na przebiegu rozpraw. Teraz stała przed nią kobieta, która rozkładała bezradnie ręce i utrzymywała, że nie ma pojęcia o postępowaniu karnym.

– Nie rozumiem procedur sądowych – oświadczyła. – Czy mogę już iść?

Prokurator był właśnie w połowie jej przesłuchania.

– Przede wszystkim proszę wyjaśnić wysokiemu sądowi, na jaką okoliczność znalazła się pani w sądzie poprzednim razem.

Kobieta wyraźnie się zawahała.

– Z powodu niezapłaconego mandatu?

– A poza tym?

– Nie pamiętam.

– Czy przypadkiem nie jest pani od jakiegoś czasu pod nadzorem kuratora sądowego?

– A! O to chodzi...

– Za co otrzymała pani wyrok w zawieszeniu?

– Nie mogę sobie przypomnieć. – Wbiła wzrok w sufit i w zamyśleniu zmarszczyła brwi. – To takie trudne słowo... wiem, że była w nim litera „f” ...

Prokurator westchnął ciężko.

– Sprawa dotyczyła pewnych czeków, czy tak?

Alex zniecierpliwiona zerknęła na zegarek. Jak tylko się pozbędzie tej kobiety, będzie mogła sprawdzić, czy Josie już się odezwała.

– Co by pani powiedziała na słowo „fałszerstwo”? – wtrąciła. – Zawiera literę „f”.

– Podobnie jak „defraudacja” – zauważył z naciskiem prokurator.

Kobieta spojrzała tępo na Alex.

– Nie pamiętam – stwierdziła.

– Ogłaszam godzinną przerwę w rozprawie – zdecydowała Alex. – Posiedzenie zostanie wznowione o jedenastej.

Ledwo zamknęła drzwi swojego gabinetu, natychmiast ściągnęła togę. Dzisiaj się w niej dusiła i zupełnie nie mogła tego pojąć, ponieważ do tej pory zawsze czuła się wyjątkowo swobodnie i w todzie, i w swojej roli. Prawo było zbiorem reguł wyznaczających konsekwencje, jakie trzeba ponieść za popełnienie określonych czynów. Kodeksem zachowania, opartym na logicznym ciągu przyczynowo-skutkowym, który Alex doskonale znała i rozumiała. Niestety, nie mogła powiedzieć tego samego o swoim życiu osobistym. Bo jak odnaleźć logikę w fakcie, że szkoła, która powinna zapewniać dzieciom bezpieczeństwo, zmienia się w krwawą łaźnię; czy że córka, twór jej własnego ciała, stała się osobą, której Alex już nie potrafi zrozumieć.

No dobrze, jeżeli ma być całkiem szczerą, której w zasadzie nigdy nie rozumiała.

Rozgoryczona podniosła się z fotela i przeszła do pokoju asystentki. Przed rozpoczęciem sesji dwukrotnie dzwoniła do Eleanor w błahych sprawach, z nadzieją, że zamiast reagować służbistym: „Tak jest, pani sędzio”, asystentka obniży gardę i zapyta, jak Alex sobie radzi po tej

tragedii, a przede wszystkim – jak radzi sobie Josie. Chciała choć przez parę minut być traktowana nie jak sędzia, ale rodzic, który przeżył najbardziej przerażające chwile swojego życia.

– Muszę zapalić – oznajmiła Alex. – Będę na dole.

Eleanor podniosła wzrok znad biurka.

– Oczywiście, pani sędzio.

ALEX. Chcę usłyszeć Alex, Alex, Alex.

Wyszedszy na zewnątrz, przysiadła na cementowym murku nieopodal rampy przeładunkowej i zapaliła papierosa. Zamknęła oczy i głęboko zaciągnęła się dymem.

– Ten nałóg zabija.

– Podobnie jak starość – odparła Alex. Odwróciła głowę i ujrzała Patricka Ducharme’a.

Detektyw wystawił twarz do słońca i zmrużył oczy.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że sędziowie też miewają przywary.

– I zapewne żyje pan w przekonaniu, że sypiamy na swoich sędziowskich podwyższeniach.

Patrick uśmiechnął się szeroko.

– To byłaby czysta głupota. Tam nie da się wcisnąć materaca.

Alex wyciągnęła w jego stronę paczkę z papierosami.

– Proszę się częstować.

– Jeżeli chce mnie pani zdeprawować, znam przyjemniejsze sposoby.

Alex poczuła, że się rumieni. Czyżby on naprawdę powiedział coś podobnego? Do sędzi?!

– Skoro pan nie pali, dlaczego pan tutaj przyszedł?

– Poddać się fotosyntezie. Siedzenie przez cały dzień w sądzie fatalnie wpływa na moje feng shui.

– Feng shui nie odnosi się do ludzi. Jedynie do miejsc.

– Jest pani tego pewna?

– Mmm... – Alex się zawahała. – Nie do końca.

– Otóż to. – Odwrócił się w jej stronę i wówczas po raz pierwszy zauważyła, że Patrick Ducharme ma we włosach białe pasmo, biegnące

od środka czoła. – Pani wytrzeszcza oczy.

Alex natychmiast umknęła wzrokiem.

– Wszystko w porządku – zaśmiał się Patrick. – To albinizm.

– Albinizm?

– Owszem. Inaczej bielactwo. Zapewne słyszała pani o tym... jasna skóra, białe włosy? Na szczęście jest cechą zanikającą. Co nie zmienia faktu, że zaledwie jeden gen dzieli mnie od różowych króliczych oczu. – Przybrał poważną minę i spojrzał uważnie na Alex. – Jak się miewa Josie?

W pierwszym odruchu Alex chciała się skryć za chińskim murem rygoryzmu, oznajmić, że ze względów etycznych musi się powstrzymać od rozmów na tematy w jakikolwiek sposób związane ze sprawą, która się znajdzie na jej wokandzie. Ale Patrick Ducharme zrobił tę jedyną rzecz, o której od dawna marzyła: potraktował ją jak najzwyklejszą osobę, a nie postać z życia publicznego.

– Dzisiaj wróciła do szkoły.

– Wiem. Widziałem.

– Pan... pan tam był?

Patrick wzruszył ramionami.

– Uhm. Tak na wszelki wypadek.

– Czy wydarzyło się coś nadzwyczajnego?

– Nie. Wszystko przebiegło całkiem normalnie.

Ostatnie słowo zawisło nad nimi ciężką chmurą. Oboje wiedzieli, że nic już nie będzie teraz „normalne”. Można idealnie posklejać roztrzaskane kawałki, ale gdy się to robi własnymi rękami, do końca życia będzie się widziało rysy w miejscach dawnych pęknięć.

– Wszystko w porządku? – zapytał nagle Patrick, dotykając jej ramienia.

Alex z konsternacją uświadomiła sobie, że płacze. Szybko otarła oczy i odsunęła się poza zasięg rąk Patricka.

– Nic mi nie jest – rzuciła wyzywającym tonem.

Otworzył usta, jakby zamierzał podjąć rękawicę, ale niemal natychmiast je zamknął.

– A więc zostawiam panią z jej przywarami – powiedział cicho i zniknął za drzwiami sądu.

Dopiero kiedy Alex znalazła się w swoim gabinecie, dotarło do niej, że detektyw użył liczby mnogiej. Że nie tylko przyłapał ją na paleniu, ale także na kłamstwie.

Ustanowiono nowe reguły. Po rozpoczęciu zajęć wszystkie wejścia do szkoły, z wyjątkiem głównego, będą zamknięte na głucho – mimo że napastnik mógł być jednym z uczniów i już znajdować się w środku. Do klas pod żadnym pozorem nie wolno wносить plecaków – mimo że broń bez trudu udałoby się przemyścić pod ubraniem lub nawet w zamkniętym segregatorze. Wszyscy – zarówno uczniowie, jak i nauczyciele – będą musieli nosić na szyi duże identyfikatory. Teoretycznie po to, by wiedzieć, kto i gdzie się znajduje, Josie jednak nie mogła się uwolnić od podejrzenia, że miały one służyć szybkiemu ustaleniu tożsamości ofiar w przypadku kolejnej masakry.

Na pierwszej lekcji dla wszystkich zarządzono godzinę wychowawczą, podczas której dyrektor przemówił przez radiowęzeł. Powitał uczniów Sterling High, chociaż znajdowali się zupełnie gdzie indziej, a potem zaproponował uczczenie pamięci zabitych minutą skupienia.

Podczas gdy część ludzi pochyliła głowy, Josie rozejrzała się po klasie. Nie tylko ona nie pogrążyła się w modlitwie. Niektórzy wymieniali między sobą liściki. Parę osób słuchało muzyki z iPodów. Jeden z chłopaków przepisywał od kolegi zadania z matematyki.

Josie była ciekawa, czy te dzieciaki – podobnie jak ona – nie chciały czcić pamięci zabitych, ponieważ to jedynie pogłębiłoby w nich poczucie winy.

Przesunęła się w bok i walnęła kolanem o kant ławki. Sprzęty, które sprowadzono z powrotem do tej tymczasowej szkoły, były dostosowane do potrzeb małych dzieci, a nie uchodźców z liceum. W rezultacie nikt nie mógł wygodnie usiąść. Josie miała nogi pod brodą. Niektórzy w

ogóle nie mieścili się w ławkach i musieli pisać na kolanie.

Jestem Alicją w krainie czarów, pomyślała Josie. Niepostrzeżenie wpadłam w głąb króliczej nory.

Jordan poczekał cierpliwie, aż jego klient zasiądzie po przeciwnej stronie stołu, po czym rzucił od niechcienia:

– Opowiedz mi o swoim bracie.

Nie spuszczał wzroku z twarzy Petera, na której pojawił się cień rozczarowania, gdy chłopak zdał sobie sprawę, że Jordan odkrył kolejną drażliwą kwestię, która w założeniu nigdy nie miała wyjść na wierzch.

– A co pan chce wiedzieć?

– Jak się między wami układało?

– Ja go nie zabiłem. Czy o to panu chodzi?

– Nie całkiem. – Jordan wzruszył ramionami.

– Po prostu się dziwię, że do tej pory o nim nie wspomniałeś.

Peter spiorunował go wzrokiem.

– A niby kiedy miałem wspomnieć? Jak kazał mi pan odgrywać niemowę na rozprawie wstępnej? Czy może, gdy się pan zjawił, by oznajmić, że ja jestem tu tylko od słuchania?

– Jak byś go scharakteryzował?

– Proszę posłuchać. Joey nie żyje, o czym zapewne panu wiadomo. Zupełnie więc nie rozumiem, w jaki sposób gadka na jego temat mogłaby mi pomóc.

– Co było przyczyną śmierci?

Peter przejechał paznokciem kciuka po metalowym obrzeżu stołu.

– Ten szóstkowy złoty chłopiec bez skazy pozwolił, by władował się w niego pijany kierowca.

– Trudno to przebić... – rzekł Jordan z wahaniem.

– Co pan przez to rozumie?

– O ile się nie mylę, twój brat powszechnie uchodził za chodzący ideał, tak? To samo w sobie już jest niełatwe do zniesienia, a tu na domiar złego on nagle ginie w wypadku i zostaje świętym.

Jordan odgrywał rolę adwokata diabła, by sprawdzić, czy Peter połknie przynętę – i naturalnie, jak na zawołanie, twarz chłopaka wykrzywił grymas gniewu.

– Czegoś takiego nie da się przebić – rzucił zapalczywie. – Choćbym nie wiem co robił, nigdy nie zdołałbym mu dorównać.

Jordan zaczął stukać końcem ołówka o teczkę. Czy gniew Petera zrodził się z zazdrości, czy z samotności? Może chłopak dokonał tej masakry, żeby wreszcie odwrócić uwagę innych od wspomnienia Joeya i skupić ją na sobie? Jak skonstruować linię obrony, by czyn Petera został uznany za akt desperacji, a nie próbę przyćmienia osiągnięć brata?

– Tęsknisz za nim? – spytał Jordan.

Peter uśmiechnął się kpiąco.

– Czy tęsknię za moim bratem... Za moim bratem, kapitanem reprezentacji koszykówki, moim bratem, który wygrał stanową olimpiadę z francuskiego, moim bratem ulubieńcem dyrektora, moim cudownym, otoczonym powszechnym zachwytem bratem, który wyrzucał mnie z samochodu kilometr od bramy szkoły, żeby nikt przypadkiem nie zobaczył go ze mną u boku...

– Dlaczego?

– Przebywanie w moim towarzystwie nie przysparza nikomu popularności. Czyżby pan jeszcze się o tym nie przekonał?

Jordanowi stanął przed oczami obraz własnych opon, poprzecinanych aż po felgi.

– Joey nie próbował cię bronić, gdy byłeś nękany i upokarzany?

– Żartuje pan?! Przecież to właśnie od Joeya wszystko się zaczęło.

– Jak to?

Peter podszedł do małego okienka. Na jego szyi widniały teraz czerwone plamy, jakby wspomnienia wypalały na skórze bolesne piętno.

– Opowiadał wszystkim, że zostałem adoptowany. Że moja prawdziwa matka była kurwą uzależnioną od cracku, więc dlatego jestem taki popieprzony. Czasami robił to w mojej obecności, a kiedy się

wkurzałem i rzucałem się na niego z pięściami, jednym ciosem powalał mnie na ziemię, po czym spoglądał znacząco na kumpli, dając im do zrozumienia, że moja reakcja tylko w pełni potwierdza prawdziwość jego słów. Czy więc za nim tęsknię? – powtórzył Peter, odwracając się w stronę Jordana. – Osobiście cholernie się cieszę, że nie żyje.

Jordana trudno było czymkolwiek zadziwić, a tymczasem Peterowi Houghtonowi ta sztuka udała się już kilka razy. Ten dzieciak był żywym dowodem na to, co się może wydarzyć, gdy esencja najbardziej intensywnych emocji zostanie odfiltrowana od powszechnie akceptowanych zasad niepisanego kontraktu społecznego.

Jeżeli cierpisz, płaczesz. Jeżeli ogarnia cię wściekłość, wyprowadzasz cios.

Jeżeli budzi się w tobie nadzieja, szykujesz się na rozczarowanie.

– Peter, czy rzeczywiście chciałeś ich wszystkich zabić? – wyrwało się Jordanowi.

Natychmiast przeklął się w duchu. Właśnie zadał to jedyne pytanie, którego obrońca nigdy nie powinien zadawać – sprowokował Petera, by przyznał się do działania z premedytacją. Jednak Peter tego nie zrobił, a w zamian odpowiedział pytaniem na pytanie, skądinąd również wprawiającym w konsternację:

– A co pan by zrobił na moim miejscu?

Jordan wepchnął Samowi do ust kolejną porcję puddingu waniliowego, po czym ze smakiem oblizał łyżeczkę.

– To nie dla ciebie – skarciła go Selena.

– Całkiem niezłe. W odróżnieniu od tego świństwa z groszku, którym go futrujesz.

– Przepraszam, że jestem dobrą matką. – Selena otarła wilgotną szmatką buzię Sama, po czym tak samo potraktowała Jordana, zanim zdążył się jej wywinąć spod ręki.

– Mam przerąbane – oświadczył. – Nie zdołam wzbudzić współczucia dla Petera przez odwołanie się do śmierci brata, ponieważ

on nienawidził Joeya. Co gorsza, nie widzę żadnej legalnie dopuszczalnej linii obrony poza ewentualnym powołaniem się na niepoczytalność, czego z kolei nigdy nie uda mi się udowodnić przy takiej masie materiału wskazującego na premedytację.

Selena posłała mu znaczące spojrzenie.

– Wiesz, na czym w istocie polega twój problem, prawda?

– No, na czym?

– Jesteś przekonany o jego winie.

– Jak w wypadku dziewięćdziesięciu dziewięciu procent moich klientów. Mimo to zdołałem doprowadzić do uniewinnienia całkiem pokaźnej ich liczby.

– Racja. Ale ty w głębi duszy nie chcesz, żeby Peter Houghton został uniewinniony.

Jordan zmarszczył brwi.

– To absurd.

– Wręcz przeciwnie. Czysta prawda. On wzbudza w tobie lęk.

– To tylko dzieciak...

– ...który cię przeraża. Nie miał ochoty siedzieć z założonymi rękami i pozwalać, by świat dłużej obrzucał go głównem, a według ciebie, powinien to potulnie znosić.

Jordan spojrzał znacząco na żonę.

– Zabicie dziesięciorga uczniów nie czyni z nikogo bohatera, Seleno.

– Oczywiście, że czyni. Peter jest bohaterem dla milionów dzieciaków, które chciałyby mieć dość odwagi, żeby zrobić to samo.

– No, pięknie. Może w takim razie założysz fanklub Petera Houghtona.

– Nie rozgrzeszam go z tej zbrodni, Jordanie, ale rozumiem, co go do niej pchnęło. Ty się urodziłeś nie tylko w czepku, ale i z sześcioma srebrnymi łyżeczkami w tyłku. To znaczy... jeśli miałbyś być całkiem szczerzy, czy kiedykolwiek w życiu znalazłeś się poza elitą? W szkole, w palestrze, gdziekolwiek... Nie! Jesteś znany, podziwiany, ludzie patrzą na ciebie z szacunkiem. Wszystkie drzwi zawsze stają przed tobą otworem, więc nawet sobie nie uświadamiasz, jak wiele osób nigdy nie

mogłoby się do nich dobić.

Jordan wojowniczo skrzyżował ramiona na piersi.

– Czy znowu zamierzasz rozprawiać o swojej afroamerykańskiej dumie? Bo, prawdę mówiąc...

– Nie wiesz, co się czuje, gdy na twój widok ktoś przechodzi na drugą stronę ulicy tylko dlatego, że jesteś czarny. Nikt nigdy nie patrzył na ciebie z pogardą jedynie z tego powodu, że trzymasz na ręku dziecko, a wcześniej zapomniałeś wsunąć obrączkę na palec. Człowiek ma ochotę natychmiast coś z tym zrobić – nawrzeszczyć na traktujących cię w ten sposób ludzi, wyzwąć ich od idiotów – ale nie jest w stanie się na to zdobyć. Wykluczenie, egzystowanie na marginesie wyjaławia, pozbawia siły i woli, Jordanie. Osacza. I w pewnym momencie czujesz się tak zaszczuty, że nie widzisz już drogi ucieczki z tego zamkniętego kręgu.

Jordan uśmiechnął się kpiąco.

– To ostatnie zdanie zapożyczyłaś z mojej mowy końcowej w procesie Katie Riccobono.

– Maltretowanej żony? – Selena wzruszyła ramionami. – Cóż, nawet jeżeli to prawda, równie adekwatnie opisuje i tę sytuację.

Jordan poderwał się z krzesła, chwycił Selenę w ramiona i mocno ucałował.

– Jesteś zajebiście błyskotliwa.

– Nie zamierzam zaprzeczać, ale może zechcesz mi powiedzieć dlaczego.

– Syndrom maltretowanej żony. To dopuszczona prawem linia obrony. Maltretowane kobiety wcześniej czy później nabierają przekonania, że się znalazły w potrzasku; żyją w poczuciu ciągłego zagrożenia, a gdy w końcu się zdobywają na szaleńczy akt, robią to z przekonaniem, że działają w obronie własnej – nawet jeżeli prześladowca jest pogrążony w głębokim śnie. Ten model idealnie pasuje do Petera Houghtona.

– Wiesz, Jordanie, jestem ostatnią osobą, która chciałaby burzyć twoją finezyjną konstrukcję myślową, ale muszę ci zwrócić uwagę na

fakt, że Peter nie jest kobietą, i do tego zamężną.

– To nie ma żadnego znaczenia. Tak naprawdę mówimy bowiem o zespole stresu pourazowego. Kiedy te dręczone kobiety w końcu eksplodują i strzelają do swoich mężów lub obcinają im fiuty, ani przez moment nie myślą o konsekwencjach... pragną jedynie przerwać spiralę przemocy. Peter bez przerwy to powtarza – utrzymuje, że chciał, aby wszystko się wreszcie skończyło! A w jego wypadku obrona oparta na syndromie maltretowanej ofiary ma dodatkową zaletę: nie będę musiał walczyć z koronnym kontrargumentem prokuratury, że dorosła kobieta powinna sobie zdawać sprawę z konsekwencji sięgnięcia po nóż czy pistolet. Peter to wciąż jeszcze dzieciak. Z definicji nie potrafi przewidywać skutków swojego postępowania.

Potwory nie biorą się znikąd. Gospodyni domowa sama z siebie nie zmieni się w morderczynię, ktoś z niej tę morderczynię musi uczynić. W wypadku maltretowanej kobiety doktorem Frankensteinem jest opresyjny mąż. W wypadku Petera – była to cała społeczność Sterling High. Prześladowcy szkolni kopią, biją, upokarzają, żeby pokazać swojej ofierze, że należy do gorszej kategorii i nigdy nie może zapominać, gdzie tak naprawdę jej miejsce. To oprawcy Petera nauczyli go, że przemoc jest jedynym sposobem na przetrwanie.

Siedzący w wysokim krzeselku Sam zaczął marudzić, więc Selena wzięła synka na rękę.

– Nikt jeszcze tego nie próbował – zauważyła. – Nie ma czegoś takiego jak syndrom ucznia poniewieranego przez rówieśników.

Jordan sięgnął po słoiczek z puddingiem waniliowym i wygrzebał resztki palcem.

– Od dziś już jest – oznajmił, smakując słodycz rozlewającą się po języku.

Patrick siedział w ciemnym biurze przed monitorem swojego służbowego komputera i wodził kursorem po menu gry stworzonej przez Petera Houghtona.

Na początek trzeba się było wcielić w jedną z trzech postaci – mistrza ortografii, geniusza matematycznego lub maniaka komputerowego. Pierwszy z chłopców był mały, chudy i obsypany trądzikiem. Drugi nosił okulary. Trzeci miał olbrzymią nadwagę.

Na starcie nie dysponowało się żadną bronią. Żeby ją zdobyć, należało wyruszyć na wędrowkę po szkole i wykazać się kreatywną inteligencją: w pokoju nauczycielskim stały ukryte butelki z wódką, mogące służyć za ręczne granaty. W kotłowni była bazooka. W laboratorium – żrące kwasy. W gabinecie języka angielskiego – ciężkie, opasłe tomy. W gabinecie matematyki – cyrkle doskonale nadające się do sztyletowania oraz metalowe linijki, które cięły jak ostre noże. W sali komputerowej roilo się od kabli idealnie spełniających funkcję garoty. W warsztacie stolarskim znajdowały się piły łańcuchowe. W klasie gospodarstwa domowego – blendery i druty do robótek ręcznych. W pracowni plastycznej stał piec do wypalania ceramiki. Można też było tworzyć kombinacje rozmaitych materiałów i urządzeń, by uzyskać bardziej wymyślną broń: bazooka i wódka dawały w połączeniu płonące pociski; kwasy i cyrkle – trujące sztylety; kable i ciężkie książki – śmiercionośne wnyki.

Za pomocą kursora Patrick przemykał po korytarzach i wspinał się po schodach, zajrzał do szatni i kantorka woźnego. W pewnym momencie, gdy mijał kolejny zakręt, uświadomił sobie, że już pokonywał tę trasę. Szkoła z gry Petera była wiernym odwzorowaniem Sterling High.

Żeby wygrać, należało unicestwić wszystkie gwiazdy sportu, agresywnych samców alfa i najpopularniejsze dzieciaki. Za zabicie każdej osoby otrzymywało się określoną liczbę punktów. Za zabicie dwóch naraz zdobyte punkty ulegały potrojeniu. Można też było odnieść rany w walce. Zostać ugodzonym celnym ciosem pięści, przyszpilonym do ściany, zamkniętym w szafce.

W nagrodę za zdobycie stu tysięcy punktów otrzymywało się pistolet. Za pięćset tysięcy punktów – karabin maszynowy. Po przekroczeniu miliona człowiek stawał się dumnym posiadaczem

bomby atomowej.

Przed oczami Patricka z trzaskiem otworzyły się wirtualne drzwi szkoły. STAC! NIE RUSZAĆ SIĘ! – wrzasnęły głośniki i na ekranie pojawiła się falanga funkcjonariuszy SWAT-u. Patrick w skupieniu położył palce na klawiszach ze strzałkami. Już dwukrotnie doszedł do tego miejsca i albo został zabity, albo popełniał samobójstwo – co oznaczało przegraną.

Tym razem jednak uniósł swój wirtualny karabin maszynowy i patrzył, jak funkcjonariusze padają na ziemię, a z ich ciał tryskają fontanny jaskrawoczerwonej krwi.

GRATULACJE! ZWYCIĘŻYŁEŚ! – ogłosił duży napis. CZY CHCESZ PONOWNIE ZAGRAĆ W HIDE-N-SHRIEK!?

Dziesiątego dnia od strzelaniny w Sterling High Jordan siedział w volvo na parkingu pod gmachem sądu dystryktowego. Tak jak przewidywał, wszędzie wokół roilo się od vanów stacji telewizyjnych, z antenami satelitarnymi wyciągającymi się ku niebu niczym tarcze słoneczników. Jordan uderzał palcami po kierownicy w takt piosenek Wigglesów, które skutecznie i bez wysiłku powstrzymywały znajdujące się z tyłu Sama od napadów płaczu.

Selena zdołała niepostrzeżenie przemknąć do budynku sądu, bo nikt z reporterów nie miał pojęcia, że jest w jakikolwiek sposób powiązana ze sprawą. Kiedy ponownie się zjawiła na parkingu, Jordan wysiadł z auta i chwycił pobrany przez nią formularz.

– Doskonale – orzekł z zadowoleniem.

– Do zobaczenia na sali – powiedziała Selena. Zajął się wyjmowaniem synka z fotelika samochodowego, Jordan natomiast ruszył w stronę sądu. Wystarczyło, że zauważył go jeden z reporterów, a zadziałał efekt domina: dziesiątki fleszy wystrzeliło jak fajerwerki, pod nosem Jordana wyrósł las mikrofonów. Jordan odepchnął natrętów wyciągniętym ramieniem i powtarzając cicho: „Bez komentarza”, pośpiesznie wszedł do środka.

Peter już został przetransportowany do celi szeryfa, skąd miał być wprowadzony na salę rozpraw. Kiedy Jordan się tam pojawił, chłopak krążył w kółko po ciasnym okręgu i mamrotał coś do siebie półgłosem.

– A więc dziś jest ten wielki dzień – powiedział, nerwowo łapiąc oddech.

– Zabawne, że o tym wspominasz – odparł Jordan. – Pamiętasz, dlaczego się tutaj znaleźliśmy?

– Czy to jakiś test?

Jordan patrzył na chłopaka w milczeniu.

– Sędzia ma wysłuchać argumentów stron i ocenić, czy prokuratura zebrała dostateczny materiał dowodowy, by wystąpić do wielkiej ławy przysięgłych o wydanie formalnego aktu oskarżenia – powiedział Peter.

– Tak przynajmniej mówił mi pan w zeszłym tygodniu.

– Cóż, nie powiedziałem ci natomiast, że zrezygnujemy z tego etapu.

– Zrezygnujemy? Co to oznacza?

– Że zwiniemy karty jeszcze przed rozpoczęciem rozgrywki – wyjaśnił Jordan. Podał Peterowi formularz, który przyniosła mu Selenia.

– Podpisz to.

Peter zdecydowanie pokręcił głową.

– Chcę innego adwokata.

– Każdy obrońca, który ma choć odrobinę oleju w głowie, podejmie identyczną decyzję.

– Co takiego? Mam się poddać kompletnie bez walki? Przecież pan mówił...

– Mówiłem, że zapewnię ci najlepszą możliwą obronę – przerwał mu Jordan. – Istnieją dostateczne dowody na to, że się dopuściłeś zarzucanej ci zbrodni, ponieważ prokuratura dysponuje zeznaniami setek świadków wskazujących na ciebie palcem. Rzecz więc nie w tym, czy to zrobiłeś, Peter, ale co cię pchnęło do tak desperackiego czynu. Jeżeli zgodzimy się na dzisiejszą rozprawę, oskarżenie zdobędzie masę punktów, a my dokładnie zero; przede wszystkim prokuratura będzie mogła udostępnić materiał dowodowy mediom, a za ich pośrednictwem

opinii publicznej, zanim ktokolwiek pozna naszą wersję wydarzeń. – Ponownie podsunął formularz Peterowi pod nos. – Podpisz.

Peter, nadąsany, spojrzał Jordanowi w oczy. A potem wziął z rąk adwokata podany mu dokument i długopis.

– I tak uważam, że to syfiaste rozwiązanie.

– Twoja sytuacja stałaby się dużo bardziej syfiasta, gdybyśmy się zgodzili na tę rozprawę. – Jordan chwycił formularz i skierował się w stronę wyjścia, żeby jak najszybciej przekazać dokument sekretarzowi sądu. – Do zobaczenia na górze.

Kiedy wszedł na salę, była już zapelniona po brzegi. Przedstawiciele mediów dopuszczonych do bezpośredniej relacji zgromadzili się w ostatnim rzędzie. Kamery znajdowały się w pogotowiu bojowym. Jordan poszukał wzrokiem Seleny – stała z Samem na rękę w środku trzeciego rzędu, za stołem oskarżenia. Na widok męża pytająco uniosła brew.

Jordan niemal niedostrzegalnie skinął głową. Sprawa załatwiona.

Było mu dokładnie wszystko jedno, jaki sędzia został wyznaczony do przewodniczenia sesji, ponieważ jego rola miała się ograniczyć do zatwierdzenia dokumentu oraz przekazania sprawy do sądu wyższej instancji. I dopiero tam Jordan będzie musiał odstawić porywający show. Na salę wszedł sędzia David Iannucci. Wszystko, co Jordan w tej chwili pamiętał na temat tego faceta, to to, że nosił tupecik, w związku z czym stając przed nim, należało skupiać wzrok na jego łasicowatej twarzy i broń Boże nie wędrować spojrzeniem wyżej, w stronę linii włosów.

Sekretarz wywołał sprawę Petera i dwóch zastępców szeryfa wprowadziło chłopaka na salę. Widownia, do tej pory tętniąca odgłosem rozmów, zamarła w milczeniu. Peter ani razu nie podniósł wzroku – uparcie wbijał oczy w ziemię, nawet gdy został usadzony obok Jordana za stołem obrony.

Sędzia Iannucci przebiegł wzrokiem leżący przed nim dokument.

– Widzę, panie Houghton, że rezygnuje pan z dzisiejszej rozprawy wstępnej.

Na tę wieść, zgodnie z przewidywaniami Jordana, przedstawiciele mediów wydali z siebie zbiorowy jęk zawodu, bo właśnie w tym momencie rozwiały się ich nadzieje na pasjonujący spektakl.

– Rozumie pan, że moim obowiązkiem podczas dzisiejszej rozprawy byłoby ustalenie, czy istnieją przesłanki do uznania zasadności zarzutów prokuratury, a przez rezygnację z jej przeprowadzenia zwalnia mnie pan z tego obowiązku, co automatycznie skutkuje wystąpieniem do wielkiej ławy przysięgłych o wydanie formalnego aktu oskarżenia i przekazaniem postępowania do sądu wyższej instancji?

Peter spojrzął na Jordana i szepnął:

– Czy to było po angielsku?

– Powiedz „tak” – zarządził Jordan.

– Tak – powtórzył na głos Peter.

Sędzia Iannucci spojrzął na Petera karcącym wzrokiem.

– Tak, wysoki sędzie – pouczył z naciskiem.

– Tak, WYSOKI SĄDZIE. – Peter ponownie zwrócił się w stronę Jordana i rzucił półgłosem: – Nadal uważam, że to do dupy.

– Panie Houghton, może pan opuścić salę – oznajmił sędzia i zastępcy szeryfa pociągnęli Petera w górę.

Jordan także się podniósł, ustępując miejsca adwokatowi mającemu występować w następnej sprawie. Podszedł do stołu oskarżenia, gdzie Diana Leven pakowała tomy akt, z których nie miała okazji skorzystać.

– Cóż, nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczona twoją decyzją – oznajmiła, nie zaszczycając Jordana choćby przelotnym spojrzeniem.

– Kiedy zamierzasz mi przysłać pełną dokumentację? – spytał Jordan.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, jak do tej pory nie wpłynął do mnie odnośny wniosek. – Przepchnęła się obok Jordana i pośpieszyła w stronę wyjścia. Jordan zarejestrował w pamięci, że Selena musi wystukać kilka stosownych zdań na komputerze i przesłać je do prokuratury. Zwykła formalność, ale Diana nie odpuści. W tak poważnej i nagłośnionej sprawie oskarżenie przestrzega wszelkich,

najdrobniejszych nawet reguł, żeby w apelacji wyrok pierwszej instancji nie przepadł z przyczyn proceduralnych.

Tuż za dwuskrzydłowymi drzwiami sali rozpraw Jordana osaczyli Houghtonowie.

– Co to miało być, u diabła? – zaatakował Lewis. – Przecież płacimy panu za wystąpienia w sądzie.

Jordan po cichu policzył do pięciu.

– Omówiłem taktykę obrony z moim klientem. Peter upoważnił mnie do rezygnacji z tego etapu postępowania procesowego.

– Ależ pan nie powiedział ani słowa w jego obronie – upierała się Lacy. – Nie dał pan Peterowi cienia szansy.

– Udział w dzisiejszej rozprawie nie byłby korzystny dla Petera. Za to państwa rodzina znalazłaby się na cenzurowanym wszelkich możliwych mediów. W końcu i tak do tego dojdzie, niestety. Ale chyba woleliby państwo, żeby nastąpiło to możliwie najpóźniej, prawda? – Spojrzał uważnie na Lacy, potem na jej męża. – Wyświadczyłem wam dzisiaj przysługę – oświadczył i zostawił ich sam na sam z tą prawdą, ciężącą niczym głaz.

Patrick był w drodze na rozprawę Petera Houghtona, gdy rozdzwoniła się jego komórka. Wiadomość, którą otrzymał, sprawiła, że z wizgiem opon zawrócił i pomknął w przeciwną stronę, do sklepu z bronią w Plainfield. Jego właściciel, okrągły, niski człowieczek z krótką brodą, poznaczoną plamami nikotyny, siedział na krawężniku wstrząsany łkaniem. Na widok Patricka patrolowy, który pierwszy przybył na miejsce, wskazał głową na otwarte drzwi sklepu.

Patrick przysiadł obok właściciela.

– Jestem detektyw Ducharme. Czy mógłby mi pan powiedzieć, co się tutaj stało?

Mężczyzna potrząsnął głową.

– To wszystko wydarzyło się tak szybko. Powiedziała, że chce obejrzeć pistolet, smitha & wessona. Że chce mieć w domu broń. Dla

bezpieczeństwa. Zapytała, czy mam jakieś broszury, w których mogłaby znaleźć więcej informacji na temat tego modelu, a kiedy się odwróciłem, żeby ich poszukać... ona... ta kobieta... – Głos uwiązał mu w gardle.

– Skąd miała amunicję? – spytał Patrick.

– Nie ode mnie – zapewnił właściciel. – Musiała przynieść naboje w torebce.

Patrick skinął głową.

– Proszę zostać z funkcjonariuszem Rodriguezem. Niewykluczone, że jeszcze będę miał do pana kilka pytań.

Wszedł do sklepu i na ścianie po prawej stronie ujrzał świeży rozbryzg krwi oraz tkanki mózgowej. Główny patolog policyjny, doktor Guenther Frankenstein, już się pochylał nad ciałem leżącym bokiem na podłodze.

– Jakim cudem udało ci się tak szybko dotrzeć na miejsce? – spytał Patrick.

Guenther wzruszył ramionami.

– Byłem w tym miasteczku na zlocie kolekcjonerów kart baseballowych.

Patrick przykucnął obok lekarza.

– Kolekcjonujesz karty baseballowe?

– Przecież nie mogę kolekcjonować ludzkich organów, prawda? – Zerknął spod oka na Patricka. – Musimy zaprzestać spotkań przy takich okazjach.

– Też bym sobie tego życzył.

– Cóż, przyczyna śmierci całkiem oczywista – powiedział Guenther. – Wetknęła lufę do ust i pociągnęła za spust.

Patrick dostrzegł damską torebkę, stojącą na szklanej ladzie. Przejrzał jej zawartość, wśród której znajdowało się pudełko z nabojami oraz kwit z Wal-Martu, potwierdzający ich zakup. Otworzył portfel i wyjął prawo jazdy, a tymczasem Guenther przewrócił ciało na wznak.

Twarz pokrywały osmaliny postrzałowe, ale i tak Patrick rozpoznał martwą kobietę, jeszcze zanim potwierdził jej tożsamość na prawie jazdy. Z Yvette Harvey rozmawiał tuż po strzeleninie. To od niego

usłyszała, że jej jedyne dziecko – córka z zespołem Downa – nie przeżyło masakry w Sterling High.

Śmiertelne żniwo poczynań Petera Houghtona nadal rosło.

– Jeżeli ktoś kolekcjonuje broń, to wcale nie znaczy, że zamierza jej użyć – upierał się Peter z zaciętą miną.

Jak na koniec marca zapanował niedorzeczny upał, dochodzący do 30° C, a tymczasem w więzieniu siadła klimatyzacja. Osadzeni nie wkładali na siebie nic prócz szortów; strażnicy chodzili rozdrażnieni. Ekipa HVAC⁶, którą ściągnięto pod pozorem zapewnienia więźniom humanitarnych warunków odbywania kary, poszukiwała źródła awarii w tak żółtym tempie, że istniały marne szanse na jej zlokalizowanie, zanim spadną kolejne śniegi. Jordan od dwóch godzin siedział z Peterem w dusznej, rozprażonej salce konferencyjnej i właśnie doszedł do wniosku, że już przepocił garnitur do ostatniej nitki.

Miał najszczerzą ochotę zrezygnować z tej sprawy. Chciał pojechać do domu, powiedzieć Selenie, że nigdy nie powinien był się podejmować obrony Petera Houghtona, a potem zabrać rodzinę na plażę – te skąpe osiemnaście mil wybrzeża, jakimi został pobłogosławiony stan New Hampshire – i w ubraniu wskoczyć w lodowate fale Atlantyku. Śmierć na skutek hipotermii nie mogła być gorsza od powolnego mordu, jakiego dokona na nim w sądzie Diana Leven do spółki z biurem zastępcy prokuratora okręgowego.

Iskra nadziei, którą wykrzesał w sobie Jordan, wymyśliwszy legalnie dopuszczalną – chociaż do tej pory nigdy nieprezentowaną – linię obrony, była systematycznie gaszona w ciągu ostatnich tygodni przez materiały napływające z prokuratury: raporty policyjne, zdjęcia, tony zeznań, dowody rzeczowe. Trudno sobie wyobrazić, by w ich świetle ławę przysięgłych w jakimkolwiek stopniu obchodziło, dlaczego Peter zabił dziesięć osób – przysięgłym w zupełności wystarczy

⁶ Heating, Ventilation, Air Conditioning - w tym kontekście odpowiednik polskiego Pogotowia Ciepłowniczego (przyp. tłum.).

przekonanie, że się dopuścił tej masakry.

Jordan, znużony, ścisnął mocno nasadę nosa.

– Kolekcjonowałeś broń – powtórzył. – I zapewne tylko dlatego chowałeś ją pod materacem, że aktualnie nie mogłeś sobie pozwolić na elegancką gablotę ekspozycyjną.

– Pan mi nie wierzy?

– Ludzie, którzy kolekcjonują broń, nie trzymają jej w ukryciu. Nie zmieniają szkolnego albumu w listę celów przeznaczonych do odstrzału.

Peter zacisnął wargi, a na jego czole i karku, tuż nad kołnierzem kombinezonu, pojawiły się połyskliwe krople potu.

Jordan pochylił się w stronę klienta.

– Kim jest dziewczyna, którą usunąłeś ze swojej listy?

– Jaka dziewczyna?

– Ta, której twarz najpierw zakresliłeś, a potem napisałeś pod spodem POZOSTAWIĆ PRZY ŻYCIU.

Peter odwrócił wzrok.

– To ktoś, kogo kiedyś znałem.

– Jak się nazywa?

– Josie Cormier – odparł Peter, po czym spojrzał na Jordana z wahaniem. – Czy wszystko u niej w porządku?

Cormier, pomyślał Jordan. Jediną znaną mu osobą o tym nazwisku była sędzia wyznaczona do przewodniczenia w procesie Petera.

Nie. To niemożliwe.

– A dlaczego pytasz? Czy ją też postrześliłeś?

Peter potrząsnął głową.

– Pańskie pytanie jest wyjątkowo nietrafione.

Czyżby za tym wszystkim kryła się jakaś sprawa, o której on, Jordan, nie ma bladego pojęcia?

– Była twoją dziewczyną?

Na twarzy Petera pojawił się uśmiech, który jednak nie sięgnął jego oczu.

– Nie.

Jordan kilka razy stawał przed sędzią Cormier, kiedy jeszcze pracowała w sądzie dystryktowym. Lubił tę kobietę – twarda, ale sprawiedliwa. W rzeczy samej Peter nie mógł lepiej trafić. Alternatywnym sędzią sądu wyższej instancji dla hrabstwa Grafton był obecnie Wagner – człowiek posunięty w latach, konserwatywny i z zasady faworyzujący prokuraturę. Josie Cormier nie odniosła obrażeń na skutek strzelaniny, ale istniało wiele innych czynników, które ewentualnie dałoby się wykorzystać w celu wyłączenia sędzi Cormier z postępowania. Jordanowi przemknęły przez głowę setki procedur, które mogły pójść lewym torem – z manipulowaniem świadkami włącznie. Zaczęło go nurtować, jak mógłby się dowiedzieć, co Josie Cormier wie na temat strzelaniny, nie ujawniając przy tym, że on, Jordan, próbuje to zgłębić.

Czy ta dziewczyna skrywała coś, co mogłoby pomóc w obronie Petera?

– Rozmawiałeś z nią po tym, jak cię zamknęli? – zapytał Jordan.

– Po co miałbym pana pytać, czy wszystko u niej w porządku, gdybym z nią rozmawiał?

– Okay. I pod żadnym pozorem nie rozmawiaj – poinstruował Petera Jordan. – Pamiętaj, że nie wolno ci rozmawiać z nikim oprócz mnie.

– Co jest równoznaczne z rzucaniem grochem o ścianę – mruknął Peter.

– Wiesz, mógłbym na oczekaniu wymienić tysiące rzeczy, które sprawiłyby mi więcej przyjemności niż tkwienie z tobą w piekle tej salki.

Peter spojrzał na niego zwięzonymi oczami. – Więc czemu nie pójdzie pan się nimi zająć? I tak w ogóle pan mnie nie słucha.

– Wsłuchuję się pilnie w każde twoje słowo, Peterze. I jednocześnie myślę o kartonach, które prokuratura zrzuciła na progu mojego domu, wypchanych po brzegi materiałem dowodowym, czyniącym z ciebie wyrachowanego, zimnego mordercę. Tymczasem ty beztrąsko utrzymujesz, że jedynie kolekcjonowałeś broń – jakbyś mówił o

zabytkowych militariach z okresu wojny secesyjnej.

Peter wykrzywił usta.

– W porządku. Chce pan wiedzieć, czy zamierzałem uczynić z tej broni użytek? Owszem. Zamierzałem. Opracowałem drobiazgowy scenariusz. Obmyśliłem każdy najmniejszy szczegół, aż do ostatniej sekundy. Zaplanowałem to wszystko, żeby zabić jedną jedyną osobę, której nienawidzę najbardziej. Ale mój plan nie wypalił.

– A tych dziesięcioro uczniów...

– Po prostu wleźli mi w drogę – wyjaśnił Peter.

– Kogo więc tak bardzo chciałeś uśmiercić?

W tej samej chwili umieszczony na przeciwległej ścianie klimatyzator z głośnym charkotem obudził się do życia i Peter odruchowo odwrócił się w jego stronę.

– Siebie – wyznał.

Rok wcześniej

– Nadal uważam, że to niefortunny pomysł – stwierdził Lewis, otwierając tylne drzwi minivana. Na podłodze leżał Dozer, pies Houghtonów, i z trudem walczył o każdy oddech.

– Słyszałeś, co powiedział weterynarz – odparła Lacy, gładząc łeb retrievera. Dobrze, kochane zwierzę. Kupili je, kiedy Joey miał trzy lata. Teraz, dwanaście lat później, psie nerki odmówiły dalszej pracy. Sztuczne utrzymywanie Dozera przy życiu za pomocą leków byłoby egoizmem z ich strony – wprost nie sposób wyobrazić sobie ich dom bez odgłosu człapania psich łap, niosącego się po holu – a nie humanitarnym gestem wobec zwierzęcia.

– Nie mówiłem o uśpieniu Dozera – wyjaśnił Lewis. – Ale o przyjeździe do tego miejsca całą rodziną.

Chłopcy wytoczyli się z samochodu ciężko jak kamienie. Zmrużyli oczy w słońcu, przygarbili ramiona. Ich szerokie plecy skojarzyły się Lacy z konarami dębu, zginającymi się ku ziemi; w marszu obaj mieli zwyczaj stawiania lewej stopy lekko do wewnątrz. Żałowała, że jej synowie nie widzą, jak bardzo w gruncie rzeczy są do siebie podobni.

– Nie mogę uwierzyć, że nas tu przywlokłeś – jęknął Joey.

Peter czubkiem buta rył w żwirze parkingu.

– To wszystko jest do dupy.

– Pilnij języka – rzuciła ostrzegawczo Lacy. – A co do naszego przyjazdu: po prostu nie przyjmuję do wiadomości, że z czystego

egoizmu mielibyście zrezygnować z pożegnania członka naszej rodziny.

– Mogliśmy się pożegnać z nim w domu – burknął Joey.

Lacy wsparła się pod boki.

– Śmierć jest nieodłącznym elementem życia. Ja chciałabym być otoczona najbliższymi, kiedy już nadejdzie mój czas.

Poczekwała, aż Lewis weźmie psa na ręce, po czym zatrzasnęła drzwi vana.

Na wyraźne życzenie Lacy byli ostatnimi klientami: zależało jej, żeby weterynarz nie działał w pośpiechu. Usiedli w pustej poczekalni. Pies leżał na kolanach Lewisa bezwładny niczym miękki pled. Joey podniósł egzemplarz „Sports Illustrated” sprzed trzech lat i zagłębił się w lekturze. Peter skrzyżował ramiona i wbił wzrok w sufit.

– Niech każde z nas powie teraz, jakie ma najlepsze wspomnienie, związane z Dozerem – zarządziła Lacy.

– Na Boga jedyne... – jęknął Lewis.

– To idiotyczne – dodał Joey.

– Jeżeli o mnie chodzi – podjęła Lacy, jakby nie usłyszała słów męża i syna – to wspomnienie z czasów, gdy Dozer był jeszcze szczeniakiem. Do końca życia będę pamiętać, jak weszłam do jadalni i zobaczyłam go z łbem wetkniętym w indyka. – Delikatnie pogłaskała psa. – Tamtego roku w Święto Dziękczynienia mieliśmy na obiad tylko zupę.

Joey z trzaskiem odłożył czasopismo na stół i westchnął teatralnie.

Do poczekalni weszła Marcia, asystentka weterynarza, która miała warkocz tak długi, że sięgał jej za pupę. Pięć lat temu Lacy sprowadziła na świat jej synów bliźniaków.

– Witaj, Lacy. – Marcia podeszła do swojej położnej i wzięła ją w ramiona. – W porządku?

Lacy zdawała sobie sprawę, że w obliczu śmierci trudno znaleźć odpowiednie słowa.

Tymczasem Marcia pochyliła się nad Dozerem i delikatnie podrapała go za uszami.

– Chcecie poczekać tutaj? – spytała.

– Tak – bezgłośnie powiedział Joey do Petera.

– Nie. Wszyscy wchodzimy do środka – oznajmiła Lacy głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Weszli za Marcją do jednego z gabinetów zabiegowych i ułożyli Dozera na stalowym stole. Pies przebierał łapami, szukając punktu oparcia, pazury cicho stukały o metal.

– Dobry piesek – uspokajającym głosem powiedziała Marcia.

Lewis i chłopcy stali pod ścianą jak przestępcy na policyjnym okazaniu. Kiedy do gabinetu wszedł weterynarz ze strzykawką w rękę, niemalże wtopili się w mur.

Lacy skinęła głową, podeszła do stołu i – podobnie jak Marcia – mocno objęła psa.

– Cóż, Dozer, walczyłeś bardzo dzielnie – rzekł weterynarz. Odwrócił się w stronę chłopców i powiedział: – On nic nie czuje.

– Co jest w tej strzykawce? – spytał Lewis.

– Kombinacja specyfików, które rozluźniają mięśnie i zatrzymują przewodzenie nerwowe. Nic już wówczas się nie czuje, ustaje praca mózgu. Ten proces przypomina nieco zapadanie w sen. – Poszukał żyły na tylnej łapie, powoli wstrzyknął roztwór, a potem pogłaskał Dozera po głowie.

Pies wziął głęboki oddech, po czym zastygł w bezruchu. Asystentka się wycofała, i zwierzę było już tylko w objęciach Lacy.

– Zostawimy was samych – powiedziała Marcia i wraz z weterynarzem wyszła z gabinetu.

Lacy przywykła do trzymania w ramionach nowego życia, a nie tulenia odchodzącego. Był to jeden z etapów wielkiego cyklu: ciąża – poród – dzieciństwo – dorosłość – śmierć. A jednak żegnanie się na zawsze z domowym zwierzęciem wydawało się Lacy wyjątkowo trudne. Czy idiotyzmem było darzenie jakiejś innej niż ludzka istoty tak silnym uczuciem? Bo Lacy kochała tego psa – który zawsze się plątał pod nogami, niszczył pazurami skórzane meble i znosił do domu błoto – niemal równie gorąco jak swoje własne dzieci.

Ten pies ze stoickim spokojem pozwalał, by dwuletni Peter ujeżdżał go niczym konia. Ten pies postawił szczekaniem na nogi cały dom, gdy

Joey zasnął na kanapie podczas odgrzewania obiadu i kuchenka stanęła w ogniu. Ten pies siedział na stopach Lacy w zimowe wieczory, gdy tkwiła przed komputerem, i ogrzewał ją swoim ciepłem, promieniującym od różowawego brzucha.

Nachyliła się nad ciałem zwierzęcia i zaczęła płakać – najpierw cicho, ale już po chwili tak rozdzierająco, że Joey odwrócił z niesmakiem twarz, a Lewis odruchowo wykrzywił usta.

– Zrób coś – dobiegł do Lacy chropawy głos Joeya.

Poczuła dotyk ręki na swoim ramieniu i pomyślała, że to Lewis, ale wówczas usłyszała głos Petera.

– Ja też zapamiętam Dozera z czasów, gdy był szczeniakiem. A dokładnie z tego dnia, kiedy poszliśmy go wybierać z miotu. Jego rodzeństwo próbowało się wydostać z kojca, a Dozer stał na szczycie schodów. Spojrzał na nas, potknął się o własne łapy i stoczył w dół.

Lacy uniosła twarz i spojrzała w oczy Petera.

– To moje ulubione wspomnienie – oznajmił.

Lacy zawsze dziękowała losowi, że dał jej syna, który nie był modelowym amerykańskim chłopcem, ale dzieckiem wrażliwym i empatycznym, potrafiącym idealnie się dostosować do uczuć innych ludzi. Wypuściła z dłoni psią sierść i otworzyła przed Peterem ramiona. W odróżnieniu od Joeya, który był wyższy od niej i bardziej umięśniony od Lewisa, Peter wciąż się mieścił w matczynych objęciach. Nawet jego szerokie plecy, napinające bawełnianą koszulkę, wydawały jej się wciąż delikatne. Oto z grubsza zarysowany, jeszcze niedokończony twór – załątek prawdziwego mężczyzny.

Gdybyż można było zatrzymać dzieci w tym stadium – zatopić w bursztynie, powstrzymać przed dorosłością.

Podczas każdego szkolnego koncertu czy przedstawienia, w którym brała udział Josie, na widowni siedziało tylko jedno z jej rodziców. Trzeba oddać matce sprawiedliwość: zawsze tak ustawiała wokandę, by mogła obejrzeć Josie odgrywającą kamień nazębny w sztuce

propagującej higienę jamy ustnej czy posłuchać jej pięcionutowego solo w bożonarodzeniowych jasełkach. Naturalnie, w szkole aż się roilo od dzieciaków wychowywanych tylko przez jednego rodzica – na przykład z powodu rozwodu – ale Josie była jedyną osobą, która nigdy w życiu nie widziała swojego ojca. Kiedy w drugiej klasie podstawówki wszystkie dzieci robiły na Dzień Ojca specjalne laurki w formie krawatów, została usadzona przy stoliku w kącie wraz z dziewczynką, której tata zmarł przedwcześnie na raka – zaledwie w wieku czterdziestu dwóch lat.

Jak każde z natury ciekawe dziecko, Josie w miarę dorastania zadawała matce coraz więcej pytań. Chciała wiedzieć, dlaczego jej rodzice nie są już małżeństwem, i była oszołomiona wiadomością, że nigdy się nie pobrali. „Nie należał do gatunku mężczyzn, którzy chętnie się żenią” – usłyszała Josie, nie rozumiała jednak, czemu niechęć do zawierania formalnych związków musiała się wiązać z niechęcią do wysyłania własnej córce prezentów na urodziny, zapraszania jej do swojego domu na weekend czy choćby wystukania numeru telefonu, żeby zamienić z nią kilka zdawkowych słów.

Tego roku Josie miała rozpocząć naukę biologii i na myśl, że jednym z przerabianych działów będzie genetyka, czuła się nieswojo. Nie wiedziała, jakiego koloru są oczy jej ojca; czy miał kręcone włosy, piegi lub szósty palec u stóp.

Matka zbyła jej rozterki wzruszeniem ramion.

– Z pewnością w twojej klasie jest jakieś adoptowane dziecko – zauważyła. – W porównaniu z nim będziesz dysponowała o połowę większą wiedzą na temat własnego pochodzenia.

Oto obraz ojca, jaki Josie skleciła z drobnych strzępów informacji, które do tej pory zdołała zgromadzić.

Nazywa się Logan Rourke i był wykładowcą matki na wydziale prawa.

Przedwcześnie posiwiął, ale – jak zapewniała matka – w seksowny, a nie beznadziejny sposób.

Jest dziesięć lat starszy od matki, co oznacza, że właśnie przekroczył

pięćdziesiątkę.

Ma długie, wysmukłe palce i gra na pianinie.

Nie umie gwizdać.

Gdyby ktoś zapytał Josie o zdanie, powiedziałyby, że to trochę mało jak na standardową biografię, ale nikt nie zwracał sobie głowy jej opiniami.

Na zajęciach z biologii Josie siedziała razem z Courtney. Normalnie nie wybrałyby jej sobie na partnerkę do zajęć laboratoryjnych, ponieważ Court zdecydowanie nie należała do najjaśniejszych gwiazd na firmamencie intelektu, ale w tym wypadku nie miało to większego znaczenia. Nauczycielka biologii, pani Aracort, opiekowała się drużyną czirliderek, do której należała Courtney, więc bez względu na to, jak mizerne merytorycznie były ich laboratoryjne raporty, i tak zawsze dostawały szóstkę.

Na stole przed panią Aracort leżał poddany wiwisekcji koci mózg. Śmierdział formaliną i wyglądał jak rozjechane kołami samochodowymi, rzucone na pobocze drogi truchło, co samo w sobie byłoby już ohydne, a tymczasem na domiar złego zajęcia biologii odbywały się bezpośrednio po przerwie na lunch. („To coś – oznajmiła Courtney – zrobi ze mnie jeszcze gorszą bulimiczkę”). Josie nie chciała patrzeć w stronę nieszczęsnego kociego mózgu, więc skoncentrowała się na pracy. Każdy student dostał do dyspozycji laptop z bezprzewodowym dostępem do Internetu i miał wyszukać w sieci przykłady badań prowadzonych na zwierzętach. Jak do tej pory Josie znalazła publikację dotyczącą wykorzystania naczelných przez wytwórcę tabletek przeciwastmatycznych – wywoływano u małp astmę, a potem skutecznie ją leczono – oraz wzmiankę o eksperymentach dokonywanych na szczeniętach w związku z badaniami nad śmiercią w kołysce.

Przez pomyłkę nacisnęła jakiś klawisz i nagle znalazła się na stronie domowej „The Boston Globe”. Na ekranie pojawił się artykuł omawiający przebieg wyborów na stanowisko prokuratora okręgowego, a dokładniej rywalizację pomiędzy facetem aktualnie sprawującym ten

urząd a pretendentem, dziekanem do spraw studenckich na wydziale prawa w Harvardzie, niejakim Loganem Rourke.

Josie poczuła ostre łaskotanie w brzuchu. To chyba niemożliwe, żeby było więcej prawników o tym nazwisku, prawda? Zmrużyła oczy, przysunęła twarz do monitora, ale zdjęcie było bardzo ziarniste, a na dodatek od ekranu odbijało słońce. Niewiele więc zobaczyła.

– Co ci się stało? – zainteresowała się Courtney.

Josie pokręciła głową i szybko zatrasnęła laptop, jakby dzięki temu jej tajemnice mogły pozostać nietknięte.

Peter nigdy nie korzystał z pisuaru – nawet jeżeli musiał się tylko wysikać. Nie chciał robić tego u boku jakiegoś wielkiego dwunastoklasisty, który mógłby głośno skomentować fakt, że Peter jest zaledwie karłowatym dziewiątoklasistą, szczególnie w dolnych rejonach ciała. Dlatego zawsze wchodził do kabiny i starannie zamykał drzwi.

Lubił czytać napisy na ścianach. Jedna z kabin mieściła wciąż rosnącą kolekcję kawałów z serii: „Puk, puk... Kto tam?”. W innych można było znaleźć nazwiska dziewczyn chętnie obciążających łaskę. Peter złapał się na tym, że pewien napis szczególnie przyciąga jego wzrok: TREY WILKINS JEST PEDZIEM. Nie znał żadnego Treya Wilkinsa – był wręcz przekonany, że w Sterling High nie ma obecnie ucznia o takim nazwisku – zastanawiał się jednak, czy ów Trey także wchodził do kabiny, żeby się wysikać.

Peter wyszedł z lekcji angielskiego w połowie sprawdzianu gramatycznego. Ani przez moment nie wierzył, by w wielkim cyklu życia cokolwiek mogło zależeć od modyfikującej funkcji przymiotnika, czy też od istnienia przymiotnika w ogóle; z pewnością nic by się nie stało, gdyby przymiotnik na zawsze zniknął z powierzchni ziemi, co notabene niezmiernie ucieszyłoby Petera, szczególnie jeśliby się zdarzyło przed jego powrotem do klasy. Już załatwił w ubikacji to, co miał do załatwienia; teraz tylko zabijał czas. Jeśli obleje ten sprawdzian, będzie to jego druga wpadka z rzędu. Nie przejmował się ewentualnym

gniewem rodziców. Natomiast słabo mu się robiło na myśl, że znowu obrzuca go tym szczególnym spojrzeniem, wyrażającym głębokie rozczarowanie, że ich młodszy syn jest tak mało podobny do Joeya. Usłyszał stuk otwieranych drzwi i hałas ciągnący się z holu za chłopakami, którzy weszli do środka. Peter się schylił i wyjrzał przez szparę pod drzwiami.

Zobaczył dwie pary niki'ów.

– Jestem spocony jak wieprz – odezwał się głos.

Drugi parsknął śmiechem.

– To dlatego, że masz dupę obrośniętą sadłem.

– Chciałbyś. Na boisku do kosza nie masz ze mną szans, nawet gdybym grał tylko jedną ręką.

Petera dobiegł odgłos odkręcanego kranu i plusk rozpryskiwanej wody.

– Ej, ty, nie chlap! Prawie mnie przemoczyłeś.

– Aaaa! Dużo lepiej – odezwał się pierwszy głos. – Przynajmniej przestałem się pocić. Ty, popatrz na moje włosy. Wyglądam jak Alfalfa.

– Kto?

– Gdzieś ty się chował, przygłupie? To dzieciak z „Little Rascals” – ten z wicherkiem na czubku głowy.

– Dla mnie wyglądasz jak totalna ciota...

– Wiesz co...? – Kolejna salwa śmiechu. – Teraz chyba rzeczywiście przypominam trochę Petera.

Ledwo Peter usłyszał te słowa, serce zaczęło mu walić przyspieszonym rytmem. Odsunął cicho zasuwkę i wyszedł z kabiny. Przed rzędem umywalek stał pewien bliżej nieznanemu futbolista, a obok niego Joey we własnej osobie. Jego włosy ociekały wodą, a z tyłu sterczały nieco w górę, podobnie jak niekiedy u Petera, nawet jeśli przyglądał je żelom należącym do matki.

Joey obrzucił brata szybkim spojrzeniem.

– Znikaj, świrze – zarządził.

Peter wybiegł z ubikacji, zastanawiając się jednocześnie, jaki sens ma kierowanie takiego tekstu do człowieka, który prawie całe życie był

niewidzialny.

Dwaj mężczyźni stojący przed Alex mieszkali w jednym domu i pałali do siebie szczerą nienawiścią. Arliss Undergroot był wygolonym na łyso budowlańcem, miał ramiona od góry do dołu pokryte tatuażami i wystarczającą liczbę kolczyków w okolicach twarzy, by aktywować wszystkie wykrywacze metalu w tym gmachu. Rodney Eakes natomiast pracował jako kasjer w banku, był weganinem i szczycił się imponującą kolekcją płyt z nagraniami broadwayowskich spektakli w premierowej obsadzie. Arliss miał mieszkanie na parterze, Rodney – na piętrze. Parę miesięcy temu Rodney ściągnął do domu belę słomy, którą zamierzał wykorzystać jako ściółkę do swojego ekologicznego ogródka, ale jakoś nie miał czasu się do tego zabrać i bela pozostała na ganku Arlissa. Arliss prosił sąsiada, żeby coś zrobił z tą słomą, jednak Rodney nie wykazał się dostatecznym refleksem. Zatem pewnego wieczoru Arliss, do spółki ze swoją dziewczyną, rozwinął słomę i rozłożył na frontowym trawniku.

Rodney wezwał policję; Arliss został aresztowany za umyślne działanie przeciwko cudzemu mieniu, bo tak w prawniczym żargonie określa się zniszczenie beli słomy.

– Dlaczego podatnicy stanu New Hampshire muszą wyrzucać pieniądze na postępowanie sądowe w tak błahej sprawie? – Alex nie kryła irytacji.

Prokurator wzruszył ramionami.

– Szef policji zażyczył sobie rozprawy – poinformował i przewrócił oczami, dając tym jasno do zrozumienia, co osobiście sądzi o takiej decyzji.

Do tej pory zdołał już bezsprzecznie dowieść, że Arliss bez zgody właściciela rozłożył tę słomę na trawniku. Jednak gdyby Alex uznała Arlissa za winnego zarzucanego czynu, jego nazwisko automatycznie by się znalazło w rejestrze skazanych, a to ciągnęłoby się za nim do końca życia.

Może ów monter płyt gipsowych był rzeczywiście fatalnym sąsiadem, na coś podobnego jednak z pewnością nie zasługiwał.

Alex zwróciła się w stronę prokuratora.

– Ile uszkodzony zapłacił za tę belę siana?

– Cztery dolary, wysoki sędzie.

Przeniosła wzrok na pozwanego.

– Czy ma pan przy sobie taką sumę?

Arliss skinął głową.

– Doskonale. A więc załatwimy sprawę polubownie, bez orzekania o winie. Proszę wyjąć te cztery dolary z portfela i podać stojącemu tam funkcjonariuszowi. On się uda na koniec sali i przekaże te pieniądze panu Eaksowi. – Alex zwróciła się do sekretarza sądu. – Ogłaszam piętnastominutową przerwę.

W swoim gabinecie zdjęła tokę i sięgnęła po papierosy. Tylnymi schodami zeszła do sutereny i wyszła na parking, gdzie się głęboko zaciągnęła tytoniowym dymem. Bywały takie dni, kiedy praca napawała ją dumą, ale czasami, jak na przykład dzisiaj, wpędzała w poczucie kompletniej beznadziei.

Alex ruszyła przed siebie i natknęła się na Liz grabiącą liście z frontowego trawnika.

– Przyniosłam ci papierosa – powiedziała.

– O, musiało cię spotkać coś niemiłego.

– Skąd wiesz? – spytała Alex.

– Ponieważ pracujesz tutaj od niepamiętnych czasów, a jeszcze nigdy nie przyniosłaś mi fajki.

Alex oparła się o drzewo i wpatrzyła w liście uwięzione między zębami grabi, migoczące wielobarwnie jak klejnoty.

– Właśnie zmarnowałam trzy godziny życia na sprawę, która nigdy nie powinna trafić do sądu. Dostałam rwącego bólu głowy. A na domiar złego skończył się papier toaletowy w mojej łazience i musiałam wysłać asystentkę po kolejną rolkę.

Liz uniosła wzrok ku koronie drzewa, z której – za sprawą gwałtownego podmuchu wiatru – kolejna porcja liści sfrunęła na świeżo wygrabiony trawnik.

– Alex... czy mogę cię o coś zapytać?

– Jasne.

– Kiedy ostatni raz ktoś cię przeleciał?

Alex rozdziawiła usta z wrażenia.

– Co to ma wspólnego z...

– Zazwyczaj ludzie w pracy zastanawiają się, kiedy wreszcie będą mogli pójść do domu i zająć tym, na co naprawdę mieliby ochotę. W twoim wypadku jest dokładnie odwrotnie.

– To nieprawda. Josie i ja...

– Co robiliście razem w ostatni weekend dla czystej przyjemności?

Alex chwyciła w dłoń opadły liść i zaczęła rozdzierać go na strzępki. Od trzech lat towarzyski kalendarz Josie był ściśle wypełniony wielogodzinnymi pogaduszkami przez telefon, grupowymi wypadami do kina i imprezami piżamowymi. W miniony weekend córka wybrała się na zakupy z Haley Weaver, o rok starszą koleżanką, która właśnie dostała prawo jazdy. Alex w tym czasie napisała uzasadnienia do dwóch wyroków oraz wyszorowała szufladę lodówki, przeznaczoną na warzywa.

– Natychmiast załatwiam ci randkę w ciemno – zdecydowała Liz.

W Sterling było dużo firm, które chętnie przyjmowały uczniów do pracy w godzinach pozaszkolnych. Peterowi wystarczyło jedno lato spędzone w QuickCopy, by odkryć dlaczego: wszystkie proponowane dzieciakom zajęcia były tak beznadziejne, że po prostu nikt inny nie chciał ich wykonywać.

W ramach swoich obowiązków Peter kopiował materiały dydaktyczne niemal dla całego Sterling College. Wiedział, jak pomniejszyć dokument do jednej trzydziestej drugiej jego oryginalnego formatu, i umiał sprawnie dosypywać toner. Kiedy przychodziło do płacenia, na podstawie wyglądu klientów próbował zgadnąć, co wyciągną z portfela. Studenci zazwyczaj kładli na ladę dwudziestki. Mamuśki z dziećmi w wózkach z reguły płaciły kartami kredytowymi. Profesorowie – pomiętymi banknotami jednodolarowymi.

Peter podjął tę pracę, ponieważ potrzebował komputera wyższej klasy z lepszą kartą graficzną, pozwalającą na tworzenie zaawansowanych gier. To była jego nowa pasja, którą dzielił z Derekiem. Petera fascynował fakt, że za pomocą łańcucha pozornie bezsensownych komend można na ekranie wyczarować rycerza, miecz lub zamek obronny. Zachwycała go sama idea programowania komputerowego: coś, co zwykły człowiek odrzucał jako ciąg nonsensownych znaków, było porywającym tworem, o ile tylko się wiedziało, jak na niego spojrzeć.

W zeszłym tygodniu, gdy szef mu powiedział, że zatrudnił jeszcze jedną osobę z liceum, Peter wpadł w panikę. Musiał na całe dwadzieścia minut zamknąć się w łazience, aby opanować nerwy i w miarę skutecznie udawać, że nie stało się nic wielkiego. Ta praca może była nudna i ogłupiająca, ale dawała poczucie bezpieczeństwa, niczym spokojny port podczas burzy. Przez większość popołudnia Peter siedział sam w centrum kserograficznym i nie musiał się przejmować, że napotka na swojej drodze którąś z gwiazd Sterling High.

Jego błogi spokój zburzył pan Cargrew, zatrudniając kogoś ze szkoły Petera. Nawet jeżeli ta osoba nie należy do zniechęconej elity, Peter i tak przestanie się czuć tutaj swobodnie. Będzie musiał dwa razy się zastanowić, zanim coś powie lub zrobi, bo każde jego słowo czy gest staną się pożywką dla szkolnych plotek.

Ku wielkiemu zdumieniu Petera jego współpracowniczką okazała się Josie Cormier.

Weszła do centrum skryta za plecami pana Cargrewa.

– To Josie – oznajmił właściciel. – A może już się znacie?

– O tyle, o ile – odparła Josie w tej samej chwili, gdy Peter żarliwie przytaknął.

– Peter cię we wszystko wprowadzi – poinformował pan Cargrew i poszedł pograć w golfa.

Podczas wędrówek po szkolnych korytarzach Peter niekiedy widywał Josie w towarzystwie jej nowych przyjaciół i z trudem ją rozpoznawał. Ubierała się zupełnie inaczej niż dawniej: w dżinsy, które

odslaniały jej płaski brzuch, i w kilka warstw tęczyowych, obcisłych T-shirtów. Teraz też się malowała, co sprawiało, że jej oczy wydawały się niewiarygodnie olbrzymie, a do tego jej twarz wyrażała jakiś dziwny smutek – Peter jednak wątpił, czy dziewczyna zdaje sobie z tego sprawę.

Ostatnią dłuższą rozmowę odbył z Josie pięć lat temu, kiedy chodzili do szóstej klasy. Po tamtej pamiętnej rozmowie jeszcze długo wierzył, że prawdziwa Josie wkrótce się wyłoni z tej mgławicy elitarniej popularności. Bo przecież w końcu musi do niej dotrzeć, że ci, z którymi się zaczęła zadawać, są mniej więcej tak samo fascynujący, jak ludziki wycięte z tektury. Peter był pewien, że gdy tylko te dupki zaczną się wyżywać na słabszych, Josie do niego wróci. „Jeeezu! – jęknie i razem będą się zaśmiewać z jej wyprawy w mroczne, odległe rejony. – Jak mogło mi aż tak odbić?”.

Ale Josie do niego nie wróciła, nie złożyła samokrytyki, a potem on zaczął się trzymać z Derekiem, którego poznał w drużynie piłki nożnej, i zanim wszyscy się znaleźli w siódmej klasie, Peter wprost nie mógł uwierzyć, że swego czasu strawił z Josie całe dwa tygodnie na obmyślanie sekretne uścisku rąk, którego nikomu nigdy nie udałoby się podrobić.

– No, dobra. To na czym będą polegały moje obowiązki? – zapytała Josie pierwszego dnia takim tonem, jakby nigdy wcześniej nie widzieli się na oczy.

Od tamtej pory minął tydzień ich wspólnej pracy. Chociaż „wspólna praca” to nie było najtrafniejsze określenie sytuacji: oboje wykonywali jakiś dziwny taniec przy akompaniamencie westchnień i gardłowych pomruków fotokopiarek oraz przenikliwych dzwonek telefonu. Jeżeli się do siebie odzywali, to tylko w celu wymiany niezbędnych informacji: „Czy mamy jeszcze toner do kolorowej drukarki?”, „Ile kosztuje przesłanie faksu na nasz numer?”.

Tego popołudnia Peter powielał materiały dla college’u na zajęcia psychologii. Gdy maszyna wyrzucała z siebie kolejne kartki, on chwycił kątem oka tomograficzne obrazy mózgu schizofreników: jasnorożowe

kręgi w płatach czołowych, reprodukowane na kopiach w różnych odcieniach szarości.

– Jakim słowem określa się takie coś, gdy zamiast opisywać przedmiot według jego przeznaczenia, używa się zastrzeżonej nazwy firmowej?

Josie, spinająca strony jakiegoś innego zlecenia, wzruszyła ramionami.

– Ale wiesz, co mam na myśli? Na przykład kleenexy lub tampaksy.

– Lub adidas – odparła Josie po chwili.

– I Google.

Josie podniosła na Petera wzrok.

– Band-Aid – dorzuciła.

– Scotch.

Twarz Josie przeciął szeroki uśmiech.

– FedEx.

Peter odpowiedział uśmiechem.

– Frisbee.

– Jacuzzi. Post-it.

– Marker.

– Ping-pong!

Teraz już żadne z nich nie zajmowało się pracą. Stali obok siebie, pękając ze śmiechu, gdy rozległ się gong nad wejściowymi drzwiami.

Do środka wszedł Matt Royston. Miał na sobie baseballówkę z logo drużyny hokejowej Sterling High. Chociaż sezon rozgrywek rozpoczynał się dopiero za miesiąc, każdy wiedział, iż Matt zostanie przyjęty do reprezentacji szkoły, mimo że jest zaledwie pierwszorocznikiem. Peter zachwycony, że Josie – dawna Josie – znów znalazła się u jego boku, patrzył teraz bezsilnie, jak ona zwraca się ku Mattowi.

Policzki jej poróżwiały, a w oczach pojawił się taki błysk jak w najjaśniejszej części płomienia.

– A co ty tu robisz?

Matt oparł się o ladę.

– To tak traktuje się klientów?

– Chcesz, żeby ci coś skopiować?

Matt uśmiechnął się szelmowsko.

– Nigdy w życiu. Chcę mieć wszystko w oryginale. – Rozejrzył się po całym pomieszczeniu. – A więc tutaj pracujesz.

– Skądże. Wpadam jedynie na kawior z szampanem.

Peter obserwował tę scenkę w milczeniu. Czekał, aż Josie powie Mattowi, że jest akurat bardzo zajęta, co może niedokładnie odpowiadało rzeczywistości, ale ostatecznie ten facet przerwał im rozmowę. W każdym razie coś w rodzaju rozmowy.

– Kiedy kończysz? – zapytał Matt.

– O piątej – odparła Josie.

– Dzisiaj w kilka osób wybieramy się do Drew.

– Czy mam to potraktować jak zaproszenie? – spytała, a Peter zauważył, że kiedy Josie naprawdę radośnie się uśmiecha, w jej policzku pojawia się dołek, którego on nigdy wcześniej nie zauważył. A może po prostu Josie nigdy w ten sposób nie uśmiechała się w jego towarzystwie.

– A chciałabyś to tak potraktować?

Peter zdecydowanym krokiem podszedł do lady.

– Musimy wracać do pracy – przypomniał z naciskiem.

Matt obrzucił go lekceważącym spojrzeniem.

– Przestań się na mnie gapić, cioto.

Josie szybko się przesunęła w bok, żeby zasłonić Petera przed wzrokiem Matta.

– O której? – zapytała.

– O siódmej.

– W takim razie spotkamy się na miejscu.

Matt zabębnił dłońmi o ladę.

– Super – rzucił i w końcu sobie poszedł.

– iPod – rzucił desperacko Peter.

Josie spojrzała na niego jak na przybysza z kosmosu.

– Co takiego...? Ach, tak. Rzeczywiście.

Wzięła w rękę materiały, które przygotowała do zszywania, położyła na wierzch kolejny stosik stron, wyrównała brzegi.

Peter tymczasem dołożył papier do kopiarki, przy której pracował.

– Lubisz go? – zapytał z wahaniem.

– Matta? Chyba tak.

– A czy on ci się podoba? – Peter włączył maszynę i patrzył, jak wydala ze swojego wnętrza setkę identycznych potomków.

Chwilę później przeszedł do stołu sortowniczego. Chwycił w rękę gruby plik kartek, podłożył pod zszywarke i gotowy dokument przesunął w stronę Josie.

– Jakie to uczucie? – zapytał.

– Słucham?

– Co się czuje, gdy jest się jednym z wybrańców?

Josie sięgnęła po kolejne stopy kartek. Kiedy zszyła trzeci komplet, a Peter nabrał przekonania, że postanowiła go zignorować, niespodziewanie odpowiedziała na pytanie:

– Masz wrażenie, że wystarczy jeden fałszywy krok, a runiesz na samo dno.

W jej słowach pojawiła się nuta, która w uszach Petera brzmiała kojąco niczym kołysanka z lat dzieciństwa. Nagle żywo przypomniał sobie, jak siedział z Josie w lipcowym upale na podjeździe jej domu i próbował wzniecić ognisko, mając do dyspozycji jedynie garść trocin, ostre światło słońca i własne okulary. Zobaczył Josie biegnącą przed siebie ulicą, obracającą się przez ramię, wyzywającą go na pojedynek sprinterski. Nagle doszedł do wniosku, że ta Josie, która kiedyś się z nim przyjaźniła, wciąż tu jeszcze jest, tyle że ukryta wewnątrz wielowarstwowego kokonu. Z nią było teraz tak jak z rosyjskimi matrioszkami: trzeba wyjąć jedna z drugiej kilka lalek, żeby w końcu odnaleźć tę jedyną, która idealnie pasuje do dłoni.

Gdybyż tylko udało mu się wzbudzić w Josie dawne wspomnienia. Może dążenie do powszechnego poklasku nie było tym, co sprawiło, że zaczęła się trzymać z Mattem & Co. Może stało się tak tylko dlatego, że

zapomniała, jak bardzo lubiła kiedyś towarzystwo Petera.

Zerknęła na nią spod oka. Przygryzała wargę, koncentrując się na starannym zszyciu dokumentu. Peter bardzo żałował, że nie jest tak wyluzowany i naturalny jak Matt; że przez całe życie śmiał się zbyt głośno lub zbyt późno i pozostawał ślepy na fakt, że wszyscy inni naśmiewali się z niego. Problem w tym, że nie umiał być kimś innym. Wziął więc głęboki oddech i zaczął się w duchu pocieszać, że swego czasu to w zupełności Josie wystarczało.

– Chodź ze mną – powiedział. – Coś ci pokażę.

Wszedł do biura, w którym stało zdjęcie żony i dzieci pana Cargrewa oraz komputer zabezpieczony hasłem, którego pod żadnym pozorem nie wolno było dotykać pracownikom.

Peter usiadł w fotelu, Josie stanęła za jego plecami. Uderzył szybko w kilka klawiszy i nagle ekran obudził się do życia.

– Jak to zrobiłeś?

Peter wzruszył ramionami.

– Interesuję się komputerami. Spędzam przy nich dużo czasu. Do Cargrewa włamałem się w zeszłym tygodniu.

– Myślę, że nie powinniśmy...

– Poczekaj... – Peter szybko przeczekał zawartość twardego dysku, aż się dokopał do dobrze ukrytego folderu z materiałami ściągniętymi z Internetu i otworzył pierwszy pornograficzny plik.

– Czy to... karzeł? – mruknęła Josie. – I osioł?

Peter przekrzywił głowę.

– Wydawało mi się, że jakiś wielki kot.

– Tak czy owak, to ohydne. – Otrząsnęła się z obrzydzeniem. – Uch. I ja mam brać czek z wypłatą z łapy takiego faceta? – Po chwili zerknęła bystrym okiem na Petera. – Co jeszcze potrafisz zrobić z komputerem?

– Wszystko – odparł chętnie.

– To znaczy... że umiałbyś się włamać do każdego miejsca? Do każdej szkoły i tym podobnej instytucji?

– Jasne – odparł Peter. Chociaż tak naprawdę wcale nie był taki bardzo tego pewien. Dopiero się uczył zasad szyfrowania i sposobów

przełamania kodów.

– Umiałbyś odnaleźć dowolny adres?

– Bułka z masłem – zapewnił. – A czyj chcesz?

– Wybierzemy kogoś na chybił trafił. – Pochyliła się i zaczęła stukać w klawiaturę. Peter poczuł zapach włosów Josie – jabłkowy; poczuł nacisk jej ramienia na swoje ramię. Zamknął oczy i czekał na uderzenie miłostnego pioruna. Josie była bardzo ładną dziewczyną, a mimo to... niczego do niej nie czuł.

Dlatego, że znali się od zawsze i traktował ją jak siostrę?

A może dlatego, że nie była chłopakiem?

„Przestań się na mnie gapić, cioto”.

Peter nigdy by tego nie powiedział Josie, ale kiedy po raz pierwszy oglądał pornografię Cargrewa, złapał się na tym, że nie patrzy na dziewczyny, ale na facetów. Czy to oznaczało, że czuje do nich pociąg? Z drugiej strony, gapił się także na zwierzęta. Może więc kierowała nim czysta ciekawość? Chęć porównania siebie z innymi mężczyznami?

A co będzie, jeżeli się okaże, że Matt – i wszyscy inni – ma jednak rację?

Josie kliknęła parę razy myszą i ekran wypełnił artykuł z „The Boston Globe”.

– Mam. – Josie wskazała palcem na załączone zdjęcie. – Znajdziesz adres tego faceta?

Peter zmrużył oczy, by przeczytać podpis pod fotografią.

– Kim jest Logan Rourke?

– A kogo to obchodzi? Wystarczy, że wygląda na gościa, który ma zastrzeżony adres.

Rzeczywiście miał. Peter jednak od razu wiedział, że ktoś, kto się ubiega o urząd publiczny, z pewnością dawno temu usunął swoje dane z książki telefonicznej. Potrzebował dziesięciu minut, by się dowiedzieć, że Logan Rourke pracuje na wydziale prawa na Harvardzie, i kolejnych piętnastu, żeby się włamać do uniwersyteckiego rejestru wykładowców.

– Ta-dam! – wykrzyknął z dumą. – Mieszka w Lincoln, przy Conant Road.

Zerknął przez ramię i ujrzał na twarzy Josie wesoły, zaraźliwy uśmiech. Przez chwilę wpatrywała się w ekran w milczeniu, po czym powiedziała:

– Ty naprawdę jesteś w tym dobry.

Wedle obiegowego powiedzenia ekonomiści to ludzie, którzy znają cenę każdej rzeczy, lecz wartość – żadnej. Lewis miał tę maksymę żywo w pamięci, gdy otwierał potężny plik, zawierający Katalog Ogólnoświatowych Wartości. Grupa norweskich socjologów zgromadziła w nim informacje zebrane od setek tysięcy ludzi z całego świata; niekończący się ciąg detali. Były wśród nich podstawowe dane, takie jak: płeć, wiek, waga, oficjalnie wyznawana religia, stan cywilny, liczba posiadanych dzieci – oraz bardziej złożone, takie jak poglądy polityczne i aksjologia. W katalogu znalazły się również rozmaite relacje czasowe, na przykład: ile godzin badany spędzał w pracy, jak często uczestniczył w praktykach religijnych, ile razy w tygodniu uprawiał seks i z jaką liczbą partnerów.

To, co wielu ludziom wydawałoby się żmudną, nudną dłubanią, dla Lewisa było równie fascynujące jak przejażdżka rollercoasterem. Kiedy zaczynało się tropić schematy i prawidłowości pośród takiego ogromu danych, każdy krok mógł przynieść zaskakujące niespodzianki – nigdy nie było wiadomo, czy się wpadnie w otchłań, czy zawędruje na niebosiężne szczyty. Lewis przeglądał ten katalog dostatecznie często, by wiedzieć, że na jego podstawie zdoła szybko wysmażyć wystąpienie na przyszłotygodniową konferencję. Nie musiało olśniewać – grono słuchaczy będzie bowiem niewielkie i nie znajdzie się wśród nich żaden z prominentnych rywali Lewisa. Później Lewis wyszlifuje tę pracę i wyśle do publikacji w liczącym się czasopiśmie naukowym.

W swoim wystąpieniu zamierzał się skoncentrować na materialnym wymiarze zmiennych decydujących o szczęściu. Każdy twierdził, że pieniądze jednak mogą dawać szczęście, ale jaka konkretnie suma wchodzi w grę? Czy dochód ma bezpośredni czy pośredni wpływ na subiektywne poczucie dobrostanu? Czy szczęśliwi ludzie są lepiej wynagradzani, ponieważ odnoszą większe sukcesy w pracy, czy dostają

więcej pieniędzy tylko za samo emanowanie pozytywną energią?

Naturalnie, poziom szczęśliwości nie zależy jedynie od dochodów. Czy trwanie w związku małżeńskim ma większą wartość w Ameryce czy w Europie? Jaką rolę odgrywa seks? Dlaczego ludzie chodzący do kościoła czują się szczęśliwsi od tych, którzy się nie oddają żadnym praktykom religijnym? Dlaczego Skandynawowie, plasujący się bardzo wysoko na skali szczęścia, należą do nacji o najwyższym odsetku samobójców?

Badając wybrane zmienne za pomocą funkcji regresji, Lewis zaczął się zastanawiać, jaką wartość przypisałby różnym czynnikom, składającym się na jego osobiste poczucie szczęścia. Jaka suma pieniędzy byłaby w stanie zrekompensować mu brak w życiu kobiety takiej jak Lacy? A zwolnienie z profesorskiego etatu? Utratę zdrowia?

Laikowi nic nie mówiła informacja, że zawarcie związku małżeńskiego podnosi poziom szczęścia o 0,07 punktu (przy standardowym odchyleniu wynoszącym 0,02%). Ale gdy się powiedziało przeciętnemu człowiekowi, że zawarcie małżeństwa miało taki sam wpływ na zwiększenie poczucia szczęścia, jak podwyżka pensji o sto tysięcy dolarów rocznie, wszystko stawało się dużo prostsze.

Oto co Lewis zdołał do tej pory ustalić:

Zwiększenie dochodów podnosi poziom poczucia szczęścia, ale jest to wzrost, który się charakteryzuje malejącą progresją. Na przykład ktoś, kto zarabia 50 000 dolarów, jest znacznie szczęśliwszy od osoby zarabiającej 25 000 dolarów. Ale już podwyżka z 50 000 dolarów do 100 000 dolarów nie zwiększa w znaczący sposób poczucia szczęścia.

Stały, proporcjonalny wzrost płac w długim przedziale czasu nie podnosi poziomu szczęścia; stąd wniosek, że jednorazowy skok płacy o wiele korzystniej wpływa na poprawę samopoczucia niż wzrost dochodu rozłożony w czasie, nawet jeżeli jest on dużo wyższy w wartościach bezwzględnych.

Wyższy poziom dobrostanu cechuje kobiety, ludzi żyjących w związku małżeńskim, osoby o wysokim poziomie wykształcenia oraz te,

które nie doświadczyły rozwodu rodziców.

Poziom poczucia szczęścia u kobiet maleje – prawdopodobnie dlatego, że podobnie jak mężczyźni muszą coraz ostrzej konkurować na rynku pracy.

Czarnoskórzy w USA mają niższy poziom poczucia szczęścia niż biali, niemniej ów poziom systematycznie rośnie.

Modele matematyczne wskazują, że utratę pracy mogłaby „zrekompensować” kwota 60 000 dolarów rocznie, bycie czarnoskórym – 30 000 dolarów rocznie, a wdowieństwo lub rozwód – 100 000 dolarów rocznie.

Po narodzinach synów Lewis czuł się tak nieprzytomnie szczęśliwy, że w jego przekonaniu – choćby ze statystycznego punktu widzenia – wcześniej czy później musiała nadciągnąć jakaś katastrofa. Wówczas sam ze sobą prowadził pewną grę. Tuż przed snem zmuszał się do dokonywania trudnych wyborów. Co wolałby utracić najpierw: swój status mężczyzny żonatego, swoją pracę czy dziecko? Zastanawiał się, ile ciosów jest w stanie znieść człowiek, zanim zostanie zredukowany do zera.

Zamknął plik z danymi i wbił wzrok w wygaszacz ekranu swojego komputera. Było to zdjęcie zrobione w małym zoo w Connecticut, gdy synowie mieli osiem i dziesięć lat. Joey trzymał brata na barana i obaj uśmiechali się szeroko na tle różowego zachodu słońca. Chwilę później jeden z jeleni (jeleń na sterydach, jak zawyrokowała Lacy) podciął Joeyowi nogi, obaj chłopcy runęli na ziemię i zalali się łzami... ale tego epizodu wyprawy do Connecticut Lewis nie lubił wspominać.

Na poczucie szczęścia nie składała się jedynie suma suchych faktów, ale również to, w jaki sposób zdecydowaliśmy się te fakty zapamiętać.

Lewis zanotował jeszcze jedno ze swoich spostrzeżeń: rozkład poziomu szczęścia w populacji można wyrazić odwróconą krzywą dzwonową. Ludzie czuli się najszczęśliwsi w okresie wczesnego dzieciństwa i późnej starości. Ostry spadek nadchodził mniej więcej w okolicach czterdziestki.

To odkrycie podniosło Lewisa na duchu. A więc już nic gorszego nie

może go spotkać.

Josie lubiła matematykę i miała z tego przedmiotu same szóstki, ale też tylko w tym przedmiocie na tak wysokie oceny musiała ciężko zapracować. Żonglowanie liczbami nie przychodziło jej łatwo, mimo że nie miała najmniejszych problemów z logicznym wnioskowaniem, a pisanie rozprawek na dowolne tematy było dla niej dziecinną igraszką. Pod tym względem zapewne przypominała matkę.

A może i ojca.

Pan McCabe, ich nauczyciel matematyki, przechadzał się między rzędami, odbijał piłkę tenisową o sufit i na melodię piosenki Dona McLeana wyśpiewywał o liczbie π i mękach, jakie dziewiątoklasiści musieli przeżywać na jego lekcjach.

Josie wymazała jedną ze współrzędnych tworzonego przez siebie diagramu.

– My nawet jeszcze nie wiemy, do czego służy liczba π – jęknął jeden z chłopaków.

Nauczyciel obrócił się na pięcie i rzucił piłką tak, że się odbiła od ławki malkontenta.

– Andrew, jakże się cieszę, że zdołałeś się obudzić i to zauważyć.

– Czy pańska piosenka to część jakiegoś sprawdzianu?

– Nie. Ale może powinienem zaprezentować ją w telewizji. – Pan McCabe zamyslił się. – Czy istnieje coś takiego jak „matematyczny idol”?

– Chryste, mam nadzieję, że nie – mruknął Matt za plecami Josie. Dźgnął ją w ramię, by przesunęła skoroszyt w górny lewy róg ławki, ponieważ tak łatwiej mu było odpisywać pracę domową.

W tym tygodniu zajmowali się tworzeniem diagramów. Poza milionem zadań wyznaczonych przez nauczyciela, polegających na konstruowaniu rozlicznych tabel i kolorowych słupków, każdy miał przedstawić w statystycznym ujęciu i dowolnej formie graficznej jakiś problem bliski jego sercu. Codziennie pod koniec lekcji pan McCabe

przeznaczał dziesięć minut na indywidualne prezentacje. Poprzedniego dnia Matt omówił i odpowiednio zilustrował rozkład wiekowy graczy ligi NHL. Josie, która miała się produkować nazajutrz, przeprowadziła wśród znajomych ankietę, żeby sprawdzić, jaka jest zależność pomiędzy ilością czasu poświęcanego w domu na naukę a średnią otrzymywanych ocen.

Dzisiaj swoją prezentację miał przeprowadzić Peter. Josie widziała, jak wnosił do szkoły rulon brystolu z graficznym ujęciem wyników.

– No proszę, proszę – mruknął pan McCabe. – Oto mamy przed sobą piękny diagram kołowy. Poniekąd dobry przyczynek do wcześniej wspomnianej liczby π .

Peter każdy wycinek zaznaczył innym kolorem, wszystkie segmenty danego wycinka opisał za pomocą edytora tekstowego, a całość zatytułował: POPULARNOŚĆ.

– Zaczynaj, jak będziesz gotów, Peter – zachęcił go pan McCabe.

Peter wyglądał trochę tak, jakby miał za chwilę zemdleć – czyli w zasadzie normalnie. Od czasu gdy Josie podjęła pracę w centrum kserograficznym, znowu zaczęli ze sobą rozmawiać, ale – na mocy niewypowiedzianego porozumienia – tylko poza szkołą. W tych murach sprawy przedstawiały się inaczej: Sterling High przypominało małe akwarium, gdzie każde słowo i gest znajdowały się pod ciągłym ostrzałem niezliczonych par oczu.

W dzieciństwie Peter kompletnie nie zdawał sobie sprawy, że ściąga na siebie uwagę z powodu zamiłowania do swobodnej ekspresji własnych odczuć i fantazji. Jak na przykład wtedy, gdy podczas długiej przerwy w przedszkolu postanowił mówić wyłącznie po marsjańsku. W opinii Josie owe katastrofalne wystąpienia miały tylko jeden pozytywny aspekt: Peter nigdy nawet nie próbował naśladować innych. Czego ona, niestety, nie mogła powiedzieć o sobie.

Peter odchrząknął i rozpoczął wystąpienie.

– Przedmiotem mojej prezentacji jest hierarchia społeczna w naszej szkole. Za próbę statystyczną posłużyło mi dwudziestu czterech uczniów naszej klasy. Jak widać na moim diagramie... – wskazał na

odpowiedni wycinek koła – ...trochę poniżej jednej trzeciej całego składu to ludzie należący do podziwianej elity.

Sekcja purpurowa – kolor pomazańców – była podzielona na siedem segmentów, każdy opisany imieniem i nazwiskiem innej osoby. Znaleźli się tutaj Matt i Drew. Oraz kilka dziewczyn, z którymi podczas lunchu przesiadywała Josie. Ale do tej grupy został też przypisany klasowy klaun oraz nowy chłopak, który niedawno przyjechał do Sterling z Waszyngtonu.

– Tutaj mamy nawiedzonych – oznajmił Peter i Josie zobaczyła, że w tej sekcji znalazły się nazwiska mózgowców oraz jednej dziewczyny, która grała na tubie w szkolnej orkiestrze dętej. – Najliczniejszą grupę stanowią przeciętniacy. A mniej więcej pięć procent to pariasi.

W sali zaległa ciężka cisza. Josie pomyślała, że zazwyczaj w takich właśnie chwilach wzywa się pedagogów szkolnych, aby wygłosili pogadankę o potrzebie tolerancji dla odmienności. Czoło pana McCabe'a przypominało teraz origami, jakby się zastanawiał, czy prezentację Petera uda się zamienić w talk-show pod tytułem „After School Special”. Drew i Matt wymieniali znaczące uśmiešky. A tymczasem Peter był błogo nieświadomy, że jeszcze chwila, a za sprawą jego wystąpienia rozpęta się prawdziwe piekło.

Pan McCabe chrząknął znacząco.

– Wiesz, Peter, myślę, że ty i ja powinniśmy...

W tym momencie wystrzeliła w górę ręka Matta.

– Panie McCabe, mam jedno pytanie.

– Matt...

– Nie, naprawdę chciałbym o coś zapytać. Nie mogę przeczytać, co jest napisane na najcięższym kawałku. Tym pomarańczowym.

– A! – odezwał się Peter. – Ta sekcja przedstawia kogoś, kogo – z braku lepszego określenia – nazwałem mostem. Osobę, która mogłaby się zaliczać do więcej niż jednej grupy, ponieważ się trzyma z różnymi ludźmi. Jak Josie.

Posłał jej promienny uśmiech, a tymczasem w stronę Josie posypał się grad spojrzeń przeszywających niczym strzały. Skuliła się w sobie i

skryła twarz za kurtyną włosów. Prawdę powiedziawszy, była przyzwyczajona, że wszyscy się na nią gapią – ostatecznie każdy, kto się pokazywał u boku Courtney, musiał do tego przywyknąć – ale co innego, gdy ludzie kierują na ciebie wzrok, ponieważ ci zazdroszczą, a zupełnie inaczej przedstawia się sprawa, kiedy obrzucają cię szyderczymi spojrzeniami, bo kosztem twojego nieszczęścia sami właśnie awansowali w społecznej hierarchii.

Teraz każdy sobie przypomni, że swego czasu Josie także należała do pariasów i trzymała się z Peterem. Albo założą, że Peter się w niej durzy, co samo w sobie osłabiało jej pozycję, albo – co gorsza – mogło posłużyć za temat niekończących się kpin. Po klasie niczym prąd elektryczny zaczęły przepływać szept. „Trzeba być kompletnie popieprzonym” – usłyszała Josie i zaczęła się modlić, modlić bardzo gorąco, żeby ta uwaga przypadkiem nie odnosiła się do niej.

Rozległ się dźwięk dzwonka, co oznaczało, że Bóg jednak istnieje.

– To co, Josie? – podszedł do niej Drew. – Którym jesteś mostem? Tobin czy Golden Gate?

Josie chciała szybko wepchnąć książki do torby, ale wypadły jej z ręki i rozsypały się po podłodze, grzbietami do góry.

– Londyńskim – rzucił kpiąco John Eberhard. – Nie widzisz, że już drży w posadach?

Do tej pory każdy, kto chodził z nią na matematykę i wypadł na korytarz, z pewnością zdążył się podzielić najnowszą sensacją z innymi ludźmi. Cudzy śmiech będzie ciągnął się za nią jak ogon latawca już do końca dnia – albo nawet dużo dłużej.

Ktoś zaczął jej pomagać w zbieraniu książek, ale dopiero po chwili dotarło do Josie, że tą osobą jest Peter.

– Przestań – zażądała. Wyciągnęła przed siebie otwartą dłoń i Peter zamarł w bezruchu, jakby tym gestem wytworzyła między nimi potężne pole siłowe. – I nigdy więcej się do mnie nie odzywaj, rozumiesz?

Wyszła na korytarz i ruszyła ślepo przed siebie, aż znalazła się w wąskim łączniku, prowadzącym do warsztatu stolarskiego. Jakże Josie była naiwna, gdy wierzyła, że skoro raz została przyjęta do grona

wybrańców, to pozostanie już w nim na zawsze! A przecież elita istniała tylko dlatego, że ktoś wytyczył wokół niej niewidzialny krąg, pozostawiając wszystkich innych na aucie. Rzecz w tym, że granica tego kręgu była równie nietrwała, jak linia wyrysowana na piasku, więc ulegała nieustannym przesunięciom. W ten sposób, zupełnie nie z własnej winy, w każdej chwili można się było znaleźć po niewłaściwej stronie krechy.

Wystąpienie Petera nie uwzględniało pewnego szczególnego aspektu popularności – nie mówiło, jak bardzo jest ona nietrwała. Ironia losu polegała na tym, że Josie nigdy nie była żadnym mostem: aby się znaleźć w wymarzonej grupie, musiała się na zawsze odciąć od własnej przeszłości i wszystkich należących do owej przeszłości ludzi.

Dlaczego teraz ci wcześniej odrzuceni mieliby ją przyjąć z powrotem do swojego grona?

– Hej.

Na dźwięk głosu Matta Josie wzięła głęboki oddech i wypaliła bez zastanowienia:

– Tak dla twojej prywatnej wiadomości, wcale się z nim nie przyjaźnię.

– Ale akurat to, co o tobie powiedział, było trafione w dziesiątkę.

Josie poczuła słabość w kolanach. Nieraz była naocznym świadkiem okrucieństwa Matta. Widziała, jak strzelał z recepturek do głuchoniemych dzieciaków, które nie znały odpowiednich znaków migowych, żeby się na niego skutecznie poskarżyć; słyszała, jak pewną grubą dziewczynę przezywał Chodzącym Trzęsieniem Ziemi; pamiętała, jak wyjątkowo nieśmiało chłopakowi schował podręcznik do matematyki tylko po to, żeby ten chłopak wpadł w panikę i zaczął svirować. Wówczas to wszystko wydawało się Josie bardzo śmieszne, bo nie dotyczyło jej osobiście. Teraz jednak ona miała zostać poddana upokorzeniu i czuła się tak, jakby ktoś jej wymierzył siarczysty policzek. Do tej pory żyła w fałszywym przeświadczeniu, że awans do grona odpowiednich ludzi zapewnia jej nietykalność. Ale ci ludzie byli w stanie się odciąć od każdego, jeżeli tylko dzięki temu mogliby się wydać

wspanialsii, dowcipniejsi, jeszcze bardziej niedostępni.

Matt patrzył na nią z takim uśmiechem na twarzy, jakby Josie była jedną wielką chodzącą kpina; to bolało tym bardziej, że uważała tego chłopaka za swojego przyjaciela. Ba, prawdę powiedziawszy, niekiedy nawet miała nadzieję na coś więcej niż tylko przyjaźń: kiedy włosy opadały mu na oczy, a twarz z wolna rozjaśniał uśmiech, totalnie ją zatykało. Ale Matt wywierał takie wrażenie na wszystkich dziewczynach – nawet na Courtney, która w szóstej klasie chodziła z nim przez całe dwa tygodnie.

– Nigdy nie sądziłem, że od tego pedała usłyszę coś wartego uwagi, ale muszę przyznać mu rację: mosty rzeczywiście przenoszą nas w różne światy – powiedział Matt. – A właśnie coś takiego ty robisz ze mną. – Chwyił rękę Josie i przycisnął do piersi.

Serce waliło mu tak mocno, że wyraźnie poczuła je w swojej dłoni. Spojrzała Mattowi prosto w oczy, a kiedy się nachylił i zaczął ją całować, nie opuściła powiek, ponieważ nie chciała, by jej umknęła chociaż sekunda z tej niezwyklej, magicznej chwili. Usta Matta miały posmak cynamonowego ciastka i były tak gorące, że aż parzyły.

W końcu Josie przypomniała sobie, że musi zaczerpnąć tchu, i odskoczyła gwałtownie. Nigdy jeszcze nie była tak świadoma istnienia każdego skrawka swojej skóry – łącznie z tymi ukrytymi pod warstwami ubrania.

– Jezu – jęknął Matt i zatoczył się do tyłu.

Josie wpadła w panikę. Może on właśnie sobie uświadomił, że całował dziewczynę, która jeszcze pięć minut temu była na samym dnie szkolnej drabiny. A może Josie zrobiła coś nie tak w trakcie pocałunku. Ostatecznie nie istniał żaden podręcznik opisujący, jak dokładnie należy to robić.

– Chyba nie jestem w tym dobra – wyjąkała.

Matt uniósł brwi.

– Jeżeli staniesz się choć odrobinę lepsza... z wrażenia padnę trupem.

Josie poczuła, jak gdzieś w jej wnętrzu zapala się radosny ognek,

pełnie ku górze i wykwita uśmiechem.

– Naprawdę?

Skinał głową.

– To był mój pierwszy pocałunek w życiu – przyznała.

Kiedy Matt przejechał palcem po jej wardze, poczuła to w całym ciele – w czubkach palców, gardle, gorącym trójkącie pomiędzy nogami.

– Cóż – mruknął. – Ale z pewnością nie ostatni.

Alex szykowała się w łazience do wyjścia, kiedy weszła tam Josie w poszukiwaniu świeżej jednorazowej golarki.

– A co to? – zapytała, taksując odbicie matki w lustrze takim wzrokiem, jakby widziała zupełnie obcą osobę.

– Tusz do rzęs.

– Wiem, jak to się nazywa – odparła Josie. – Nie pojmuję jednak, co robi na twojej twarzy.

– Może po prostu miałam ochotę się umalować.

Josie wyszczerzyła zęby w uśmiechu i przysiadła na brzegu wanny.

– A ja jestem królową angielską. No więc, o co naprawdę chodzi...? Musisz się sfotografować dla jakiegoś pisma prawniczego? – Nagle jej brwi podjechały w górę. – Bo chyba się nie wybierasz na coś w rodzaju randki?

– Nie, nie wybieram się „na coś w rodzaju randki” – odparła Alex, nakładając róż. – Ale na najprawdziwszą randkę.

– O rety! Kto to taki? Opowiedz.

– Nie mam pojęcia. Liz umówiła nas w ciemno.

– Liz? Ta sprzątaczką?

– Konserwatorka terenów zielonych – sprostowała Alex.

– Jak zwał, tak zwał. Ale przecież musiała ci o nim coś powiedzieć...

– Josie zawiesiła głos. – Bo to chyba jest osobnik płci męskiej?

– Josie!

– No wiesz, strasznie dawno z nikim się nie umawiałaś. Za mojej pamięci po raz ostatni byłaś na randce z tym facetem, który nie jadał

niczego, co było w zielonym kolorze.

– Żeby tylko nie jadał! – westchnęła Alex. – Problem w tym, że i mnie nie pozwolił zjeść nic zielonego.

Josie wstała i sięgnęła po szminkę.

– W tym odcieniu będzie ci do twarzy – zdecydowała i zaczęła malować Alex usta.

Matka i córka były identycznego wzrostu. Patrząc Josie w oczy, Alex dostrzegła w nich maleńkie odbicia własnej twarzy. Zaczęła się zastanawiać, jak to się stało, że nigdy wcześniej w ten sposób nie spędzała czasu z Josie: nie zamykała się z córką w łazience, nie bawiła się z nią cieniami do powiek, nie malowała jej paznokci u nóg, nie kręciła włosów. Tego typu wspomnieniami mogły się cieszyć matki wszystkich córek, ale dopiero teraz Alex zrozumiała, że nie ma podobnych wspomnień, ponieważ w odpowiednim czasie o to nie zadbała.

– Gotowe. – Josie obróciła matkę w stronę lustra. – No i jak?

Alex spojrzała uważnie, ale nie na własne odbicie. Zza jej ramienia wyglądała Josie i po raz pierwszy w życiu Alex dostrzegła w niej coś z dawnej siebie. I nie chodziło tu o kształt twarzy, ale bijący od niej blask; nie o kolor oczu, ale majaczącą w nich smugę tęsknoty. Żadna ilość najkosztowniejszych kosmetyków nie nadałaby rysom Alex tej szczególnej aury. Do tego trzeba być zakochanym.

Czy można zazdrościć własnemu dziecku?

– Jeżeli o mnie chodzi... – Josie poklepała matkę po ramieniu – ...bez wahania zaprosiłabym cię na kolejną randkę.

Rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi i Alex wpadła w panikę.

– Jeszcze nie jestem gotowa.

– Ja go zagadam. – Josie zbiegła po schodach i gdy Alex wciskała się w czarną sukienkę oraz wsuwała stopy w szpilki, z dołu dobiegł ją przytłumiony szmer głosów.

Joe Urquhardt był kanadyjskim bankierem i w Toronto dzielił mieszkanie z kuzynem Liz. Alex nieustannie wysłuchiwała zapewnień, że to naprawdę sympatyczny facet.

– Skoro jest taki sympatyczny, to czemu do tej pory się nie ożenił? – zapytała w końcu.

– A jak ty byś odpowiedziała na podobne pytanie? – odparowała Liz.

– Ja nie jestem szczególnie sympatyczna – odrzekła Alex po chwili zastanowienia.

Ale była mile zaskoczona, kiedy się okazało, że Joe nie jest karłem, ma pełne uzębienie i gęste brązowe włosy, nieprzytwierdzone do głowy obustronnie klejącą taśmą. Na widok Alex gwizdnął cicho przez zęby.

– Proszę wstać! Sąd idzie – rzucił radośnie. Po czym dodał: – Pan Szczęściarz już stoi na baczność.

Alex zmroziło.

– Mogę cię na moment przeprosić? – wycedziła i pociągnęła Josie za sobą do kuchni. – Zastrzel mnie na miejscu – jęknęła.

– Okay, to rzeczywiście był denny tekst. Ale on przynajmniej jada wszystko, co zielone. Wiem, bo pytałam.

– Josie, mam plan. Pójdiesz tam i powiesz, że nagle się rozchorowałam. A potem we dwie zamówimy sobie chińszczyznę i wypożyczymy jakiś film. Co ty na to?

Josie zmarkotniała.

– Ale mam... ja już mam plany na dzisiejszy wieczór. – Zerknęła przez drzwi w stronę Joego. – To znaczy, mogę zadzwonić do Matta i...

– Nie, nie. – Alex zmusiła się do uśmiechu. – Przynajmniej jedna z nas powinna się dobrze bawić.

Poszła do salonu, gdzie Joe właśnie studiował cechy probiercze na spodzie jednego ze srebrnych świeczników.

– Przepraszam, ale coś stanęło...

– Czuję, że stanęło, złotko – wszedł jej w słowo Joe z lubieżnym uśmiechem.

– ...mi na przeszkodzie. Niestety, nie mogę spędzić z tobą dzisiejszego wieczoru. Nagła sprawa – łągała jak z nut. – Za moment muszę się stawić w sądzie.

Może dlatego, że Joe był Kanadyjczykiem, nie połapał się, jak

absurdalna jest ta wymówka: w normalnych warunkach żaden sąd w USA nie zwoływał sesji w sobotni wieczór.

– A! Jestem ostatnim, który by się poważył na utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości. A więc do zobaczenia wkrótce?

Alex skinęła głową i wyprowadziła go za drzwi. Potem zdjęła szpilki, weszła na górę i przebrała się w swoją najbardziej znoszoną dresową bluzę. Postanowiła, że spędzi wieczór na opychaniu się czekoladkami i oglądaniu wyciskaczy łez na DVD.

Kiedy przechodziła obok łazienki, usłyszała szum wody płynącej z prysznica: Josie się szykowała na swoją randkę.

Przez chwilę Alex stała z dłonią zawieszoną nad klamką i próbowała zdecydować, czy córce by się spodobało, gdyby zapukała, weszła i zaoferowała pomoc w robieniu makijażu bądź ułożeniu włosów – tak jak to wcześniej zrobiła Josie. Tyle że dla Josie takie zachowanie było naturalne: żeby być z matką, musiała się kręcić w jej pobliżu i łapać pojedyncze wolne minuty, w czasie kiedy ta zasadniczo zajmowała się czymś innym. W rezultacie Alex gdzieś po drodze nabrała przekonania, że Josie będzie zawsze się czaić u jej boku – czekać na te okrucy zainteresowania. I aż do tej pory nigdy nie przyszło jej do głowy, że pewnego dnia to ona będzie musiała zabiegać o uwagę córki.

Ostatecznie Alex opuściła dłoń i odeszła, nie zapukawszy do drzwi. Poddała się bez walki, niczego nie odważyła się zaproponować, ponieważ bardzo się bała usłyszeć, że córka już nie potrzebuje jej pomocy.

Tym, co po niesławnej prezentacji Petera uratowało Josie od towarzyskiej katastrofy, było natychmiastowe namaszczenie na dziewczynę Matta Roystona. W odróżnieniu od innych drugoklasistów, którzy łączyli się okazjonalnie w pary – głównie na przyjacielskiej zasadzie, żeby iść razem na imprezę czy do kina – Josie i Matta łączył silny związek. Matt odprowadzał ją na lekcje i całował namiętnie przed drzwiami klasy na oczach całej szkoły. Więc oczywiście nie trafił się

żaden palant, na tyle pozbawiony instynktu samozachowawczego, by w jakikolwiek sposób łączyć imię Josie z Peterem Houghtonem; każdy wiedział, że w takim wypadku miałyby natychmiast do czynienia z Mattem i że ta konfrontacja nie należałaby do przyjemnych.

To znaczy, każdy z wyjątkiem samego Petera. Kiedy się spotykali w pracy, zdawał się ślepy na wysyłane przez Josie sygnały: całkowite ignorowanie jego pytań, odwracanie się plecami, gdy wchodził do pomieszczenia, w którym akurat przebywała. W końcu, w magazynku materiałowym, doszło między nimi do konfrontacji.

– Czemu tak mnie traktujesz? – zapytał.

– Jak byłam dla ciebie miła, ubzdurałeś sobie, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Bo jesteśmy – rzekł z uporem w głosie.

Josie gwałtownie zwróciła się w jego stronę.

– Nie ty o tym decydujesz.

Parę dni później, kiedy wyszła na dwór, żeby wrzucić worki pełne śmieci do wielkich pojemników, zobaczyła przy nich Petera. Miał właśnie piętnastominutową przerwę, podczas której zazwyczaj szedł do kafejki po drugiej stronie ulicy na sok jabłkowy, a tymczasem teraz stał oparty o brzeg jednego z kontenerów.

– Przesuń się – zażądała. Uniosła wypchane torby i wrzuciła do środka, a gdy tylko uderzyły o dno, w górę wystrzelił snop iskier.

I niemal natychmiast buchnął ogień, wspiął się po sterzących z pojemnika kartonach, zdawał się rozsadzać metal od środka.

– Peter, odejź stamtąd! – krzyknęła Josie. On jednak ani drgnął. Płomienie tańczyły tuż przed jego twarzą, zniekształcały rysy. – Peter, rusz się! – Złapała go za ramię, pociągnęła w dół na chodnik, i w tej samej chwili coś (toner? smar?) eksplodowało wewnątrz kontenera.

– Musimy zadzwonić pod 911! – Josie zerwała się na równe nogi.

Kilka minut później przyjechali strażacy i pokryli pojemnik jakąś śmierdzącą chemiczną substancją. Josie powiadomiła o wszystkim pana Cargrewa, który tradycyjnie przebywał na polu golfowym.

– Dzięki Bogu, że żadnemu z was nic się nie stało – powiedział na

ich widok.

– Josie uratowała mi życie – oświadczył Peter.

Podczas gdy pan Cargrew prowadził rozmowę ze strażakami, Josie weszła z powrotem do centrum, nie zwracając najmniejszej uwagi na ciągnącego za nią Petera.

– Wiedziałem, że mnie uratujesz – odezwał się niespodziewanie. – I dlatego to zrobiłem.

– To znaczy co?!

Peter jednak nie musiał odpowiadać, ponieważ Josie już odgadła, dlaczego stał przy pojemnikach podczas przerwy. Czekał, aż ona ukaże się w tylnych drzwiach, i wówczas wrzucił do kontenera sztormową zapalkę.

Kiedy Josie odciągała na bok pana Cargrewa, wmawiała sobie, że robi tylko to, co powinien zrobić każdy odpowiedzialny pracownik: informuje szefa, kto próbował zniszczyć jego własność. Nie przyznała natomiast, że przeraziły ją słowa Petera – przede wszystkim dlatego, że wyrażały prawdę. I udawała sama przed sobą, że w jej piersi nie tli się drobna iskra – miniaturowa wersja pożaru wznieconego przez Petera – którą poczuła po raz pierwszy w życiu i zidentyfikowała jako żądzę zemsty.

Josie nie słuchała rozmowy, po której Peter wyleciał z pracy ze skutkiem natychmiastowym. Poczowała na sobie jego wzrok – palący, pełen wyrzutu – ale udawała, że bez reszty pochłania ją praca zlecona przez lokalny bank. Gdy maszyna zaczęła wyrzucać z siebie arkusze papieru, Josie naszała pewna refleksja: jakie to dziwne, że sukces można mierzyć stopniem zgodności kopii z oryginałem.

Po lekcjach Josie czekała na Matta pod masztem. Matt podkradał się do niej od tyłu, a ona udawała, że go nie widzi, dopóki nie zaczął jej całować. Działo się to na oczach całej szkoły, i ta świadomość upajała Josie. Swoją nowo zdobyty status uważała za coś w rodzaju sekretnej tożsamości. Teraz mogła mieć szóstki od góry do dołu, twierdzić, że lubi

czytać dla przyjemności, a i tak nikt nie nazwałby jej „popieprzoną”, ponieważ gdy ludzie teraz na nią patrzyli, dostrzegali przede wszystkim otaczającą ją aurę elitarności. Josie doszła do wniosku, że po trosze doświadcza tego samego, czego jej matka doświadczała na każdym kroku od lat: jak się jest sędzią, wszelkie drobne przywary całkiem przestają się liczyć.

Niekiedy Josie gnębiły nocne koszmary, w których Matt odkrywał jej prawdziwą naturę: docierało do niego, że ona wcale nie jest piękna, że nie jest superwyluzowana, że nie jest warta jego uwielbienia. „Co nam odbiło? Gdzie myśmy mieli oczy?” – mówili we śnie Josie jej obecni przyjaciele i może właśnie dlatego ona na jawie wcale ich nie uważała za prawdziwych i szczerych przyjaciół.

Razem z Mattem mieli na ten weekend bardzo ważne plany – Josie była tak podekscytowana, że aż rozpierało ją od środka. Czekając na Matta, usiadła na kamiennych stopniach wiodących do masztu i niemal natychmiast poczuła czyjaś dłoń na ramieniu.

– Spóźniłeś się – rzuciła karcąco, ale uśmiechnęła się przy tym szeroko.

Odwróciła głowę i ujrzała Petera.

Wyglądał na równie zaszokowanego jak ona, choć przecież sam ją zaczepił. Od czasu gdy się przyczyniła do wyrzucenia go z pracy, bardzo starannie unikała wszelkich z nim kontaktów. A nie było to proste, wzięwszy pod uwagę, że codziennie mieli razem lekcje matematyki i wielokrotnie każdego dnia mijali się na korytarzu. Wówczas ona natychmiast wtykała nos w jakiś podręcznik lub pilnie się koncentrowała na rozmowie z kim innym.

– Josie – odezwał się Peter – czy moglibyśmy zamienić kilka słów?

Ze szkoły masowo wysypywali się uczniowie, a ich spojrzenia smagały Josie niczym bicz. Czy wlepiali w nią oczy, ponieważ należała do tych najbardziej podziwianych, czy dlatego, że się znajdowała w tak deprecjonującym towarzystwie?

– Nie – ucięła sucho.

– Posłuchaj... rzecz w tym... bardzo mi zależy, żeby pan Cargrew

przyjął mnie z powrotem. Ja naprawdę potrzebuję tej pracy. Zdaję sobie sprawę, że popełniłem wielki błąd. Pomyślałem... że może... gdybyś mu wytłumaczyła, jak bardzo żałuję... On ciebie lubi.

W pierwszym odruchu Josie chciała powiedzieć Peterowi, że ma natychmiast zostawić ją w spokoju, że nie chce z nim pracować, a już z pewnością nie życzy sobie, by prowadził z nią rozmowę na oczach całej szkoły. Ale podczas tych miesięcy, które upłynęły od owego popołudnia, gdy Peter podpalił śmietnik, w Josie zaszła pewna zmiana. Po elegii, jaką Peter wygłosił pod jej adresem na lekcji matematyki, Josie uznała, że powinien dostać nauczkę, i mu jej udzieliła. Ale ilekroć teraz myślała o swojej drobnej zemście, czuła się bardzo nieswojo. Zrozumiała, że Peter doszedł do fałszywych wniosków nie dlatego, że był kompletnym świrem, ale ponieważ ona swoim zachowaniem wprowadziła go w błąd. Ostatecznie, gdy nikogo nie było w centrum kserograficznym, rozmawiała z nim i żartowała. Bo też Peter był w gruncie rzeczy w porządku – tyle że nie należał do osób, z którymi należało się pokazywać publicznie.

Owszem, Josie odzegnożywała się od niego, ale też nigdy nie traktowała tak jak Drew, Matt czy John. Nie popychała go na ścianę, gdy mijali się w holu; nie wyrywała mu brązowej torby z lunchem i nie przerzucała się nią z kolegami dopóty, dopóki cała zawartość nie wylądowała na podłodze.

Nie zamierzała rozmawiać z panem Cargrewem. Nie życzyła sobie, żeby Peter widział w niej swoją przyjaciółkę czy choćby dobrą znajomą.

Jednak nie chciała też się zachowywać wobec niego jak Matt, którego komentarze pod adresem Petera czasami przyprawiały ją o mdłości.

Nagle Josie zdała sobie sprawę, że Peter już nie siedzi obok niej w oczekiwaniu na odpowiedź. Stacza się w dół kamiennych stopni, a na jego miejscu stoi we władczej pozie Matt.

– Trzymaj się z daleka od mojej dziewczyny, pedale! Idź poszukać sobie miłego chłopczyka, z którym będziesz mógł się zabawić.

Peter zarył twarzą w chodnik. Kiedy uniósł głowę, z wargi leciała

mu krew. Spojrzał na Josie i ona ze zdumieniem zauważyła, że nie był ani załamany, ani rozwścieczony, jedynie autentycznie i straszliwie zmęczony.

– Matt? – zagaił konwersacyjnym tonem, dźwigając się na kolana. – Masz dużego kutasa?

– Chciałbyś wiedzieć, co?

– Niespecjalnie. – Peter stanął chwiejnie na nogach. – Zastanawiałem się jedynie, czy jest dość długi, żebyś mógł się sam wypieprzyć.

Josie poczuła groźną wibrację w powietrzu, jeszcze zanim Matt rzucił się na Petera z furją tropikalnego huraganu; zanim zaczął go okładać po twarzy pięściami, wciskać w kamienne płyty trotuaru.

– Podoba ci się? – rzucił kpiąco Matt po tym, jak przyszpilił Petera do ziemi.

Peter potrząsnął głową. Z oczu płynęły mu łzy, złościąc wąskie strużki w lepkiej krwi.

– Zejdź... ze... mnie...

– Założę się, że też byś chciał na kogoś wleźć, co? – szydził Matt.

Do tej pory wokół nich zebrał się już niezły tłumek. Josie zaczęła się rozglądać nerwowo w poszukiwaniu jakiegoś nauczyciela, ale zajęcia się skończyły i żadnego z pedagogów nie było w zasięgu wzroku.

– Dość! – krzyknęła, gdy Matt znowu zaatakował. – Matt, daj spokój!

Matt wyprowadził jeszcze jeden cios, po czym poderwał się na nogi, pozostawiając Petera zwiniętego na ziemi.

– Masz rację. Szkoda mojego czasu. – Ruszył szybko przed siebie, ale zaraz zwolnił, żeby Josie mogła dołączyć do jego boku.

Skierowali się w stronę samochodu Matta. Josie wiedziała, że najpierw pojedą do miasta na kawę, a potem do niej do domu. Ona zajmie się nauką i będzie pracować, dopóki już nie zdoła dłużej ignorować Matta całującego ją po szyi, masującego jej ramiona. Wówczas zaczną się pieścić i przestaną dopiero wtedy, gdy usłyszą samochód jej matki, parkujący pod garażem.

W Matcie jeszcze kłębiła się furia i mimowolnie zaciskał dłonie w pięści. Josie chwyciła go za rękę, rozwarła mu palce i splotła je ze

swoimi.

– Czy mogę ci coś powiedzieć? Nie wpadniesz od razu w szal?

Josie wiedziała, że to pytanie czysto retoryczne, bo Matt wciąż kipiał z wściekłości. To był rewers tej namiętności, która sprawiała, że Josie pod jego dotykiem przeszywał prąd; mroczna strona temperamentu chłopaka, popychająca go do wyżywiania się na słabszych.

Matt milczał i Josie postanowiła brnąć dalej.

– Nie rozumiem, dlaczego zawsze musisz dokuczać Peterowi Houghtonowi...

– Ten pedał sam zaczął – obruszył się Matt. – Słyszałaś, co powiedział.

– Ale dopiero po tym, jak zepchnąłeś go ze schodów.

Matt stanął jak wryty.

– Od kiedy to TY jesteś jego aniołem stróżem?

Patrzył na nią w sposób, który budził strach, i Josie mimowolnie zadrżała.

– Nie jestem – rzuciła pośpiesznie. – Ja jedynie... nie podoba mi się, jak traktujesz ludzi, którzy nie należą do naszej paczki. Tylko dlatego, że nie chcemy się zadawać z frajerami, nie znaczy, że musimy ich dręczyć, prawda?

– Właśnie, że nieprawda – sprzeciwił się Matt. – Jeżeli nie pokażesz innym, gdzie ich miejsce, nie zachowasz uprzywilejowanej pozycji. – Spojrzał na Josie zwięzonymi oczami. – Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć to najlepiej.

Josie zdrętwiała. Nie wiedziała, czy Matt robi aluzję do nieszczęsnego diagramu Petera, czy, co gorsza, do przeszłości – do czasów, kiedy się z Peterem przyjaźniła. Woląta jednak tego nie uściślać. Najbardziej na świecie bała się teraz jednego: wybrańcy nagle odkrywają, że tak naprawdę ona jest zwykłą uzurpatorką.

W żadnym razie więc się nie wstawi za Peterem u pana Cargrewa. A jeżeli jeszcze kiedykolwiek Peter zwróci się do niej w tej sprawie, potraktuje go jak powietrze. I przestanie wreszcie udawać sama przed sobą, że jest wobec niego mniej okrutna niż Matt, odwołujący się do

szyderstw i przemocy fizycznej. Każdy robi, co musi, by utrwalić swoją uprzywilejowaną pozycję w stadzie. A najprostsza droga na szczyt wiedzie po trupach innych.

– To jak? Idziesz ze mną? – spytał gniewnie.

Josie się zastanawiała, czy Peter wciąż płacze. Czy przypadkiem nie ma złamanego nosa. I czy to, co go dziś spotkało, było już najgorsze.

– Oczywiście. – Ruszyła za Mattem, ani razu nie oglądając się za siebie.

Miasteczko Lincoln w stanie Massachusetts leżało na przedmieściach Bostonu, gdzie ongiś rozciągały się bezkresne pola, teraz zaś królowały bezładnie porozrzucane, imponujące rezydencje, osiągające absurdalnie zawrotne ceny na rynku nieruchomości. Przez okno samochodu Josie przyglądała się okolicy, która mogła być scenerią jej dzieciństwa, gdyby wypadki się potoczyły nieco inaczej: kamienne murki, wijące się wokół posiadłości, tabliczki z napisem: „Zabytek historyczny” na domach wzniesionych niemal dwieście lat temu, mała lodziarnia, pachnąca świeżym mlekiem. Ciekawe, czy Logan Rourke zaproponuje, żeby się wybrali tutaj na lody. Może podejdzie wprost do lady i zamówi śmietankowe z orzechami pekanowymi, nawet nie pytając, jaki jest ulubiony smak Josie; może ojcowie instynktownie wyczuwają takie rzeczy.

Matt prowadził leniwie, opierając nonszalancko rękę o kierownicę. Skończył szesnaście lat, dostał wymarzone prawo jazdy i aż się palił do prowadzenia samochodu: jeździł po mleko dla matki lub do pralni chemicznej, ochno też woził Josie do i ze szkoły. Miejsce przeznaczenia nie miało dla Matta najmniejszego znaczenia, liczyła się jedynie sama podróż, i między innymi dlatego Josie poprosiła, żeby zawiózł ją na spotkanie z ojcem.

Faktem też jest, że nie miała specjalnie wyboru. Nie mogła się zwrócić do matki choćby z tego prostego powodu, że ta pozostawała w błogiej nieświadomości jej poczynań. Josie mogłaby pojechać autobusem

do Bostonu, ale przedostanie się na przedmieścia i zlokalizowanie określonego domu byłoby już bardzo skomplikowaną operacją. W końcu więc wyznała Mattowi prawdę: nie знаła swojego ojca, po raz pierwszy zobaczyła go w gazecie, gdzie opublikowano jego podobiznę, ponieważ się ubiegał o urząd publiczny.

Podjazd nie prezentował się tak okazale jak w niektórych innych rezydencjach, ale miał równie nienaganny wygląd. Gęsta trawa była przyszyrzyżona dokładnie na wysokość półtora centymetra, wypielegnowana kępa polnych kwiatów o wdzięcznie powyginanych kielichach otaczała skrzynkę na listy z kutego żelaza, a z konaru pobliskiego drzewa zwieszała się elegancka tabliczka, na której widniał numer domu – 59.

Na ten widok Josie przeszył dreszcz. Kiedy w zeszłym roku grała w drużynie hokeja na trawie, nosiła koszulkę z tym samym numerem.

To był z pewnością znak losu.

Matt zaparkował na początku podjazdu, na którym kawałek dalej stały dwa samochody, lexus i džip, a obok nich – plastikowy wóz strażacki, przeznaczony dla paroletniego malucha. Aż do tej pory Josie nie przyszło do głowy, że Logan Rourke mógłby oprócz niej mieć jakieś inne dzieci.

– Chcesz, żebym poszedł z tobą? – zapytał Matt.

Josie pokręciła głową.

– Nie, dzięki. Dam radę.

Ruszając w stronę frontowych drzwi, zaczęła się zastanawiać, co, u diabła, strzeliło jej do głowy. Przecież nie można, tak ot, wpadać do domu faceta, który jest osobą publiczną. Z pewnością zza rogu wyjdzie zaraz jakiś agent służb specjalnych lub wypadnie groźny brytan obronny.

No i proszę, jak na zamówienie, rozległo się głośne ujadanie. Josie odwróciła się nerwowo przez ramię i ujrzała maleńkiego yorka z różową wstążeczką na czubku łebka, szarżującego ku jej nogom.

Drzwi rezydencji stały otworem.

– Tytanio, zostaw listonosza w... – Logan Rourke urwał raptownie

na widok stojącej przed nim Josie. – Nie jesteś listonoszem.

Był znacznie wyższy, niż sobie wyobrażała, ale poza tym wyglądał tak samo jak na zdjęciu w „The Globe”: białe włosy, orli nos, wysmukła sylwetka. Jego oczy były identycznego koloru z oczami Josie i miały w sobie coś tak elektryzującego, że nie mogła oderwać od nich wzroku. Czy właśnie one sprawiły, że matka zatraciła jasność myślenia?

– Jesteś córką Alex – powiedział.

– A także pańską – odparła Josie.

Z wnętrza domu dobiegł podniecony pisk dziecka, zachwyconego jakąś zabawą, a także kobiecy głos pytający:

– Logan, kto przyszedł?

Rourke sięgnął za siebie ręką, wymacał klamkę i zatrzaskał drzwi, odcinając Josie od swojego prywatnego życia. Wyglądał na straszliwie skonsternowanego, ale gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że każdy by się poczuł wytrącony z równowagi, gdyby musiał niespodziewanie stanąć oko w oko z córką, którą porzucił jeszcze przed jej narodzinami.

– Co tutaj robisz?

Czyż to nie było oczywiste?!

– Chciałam pana poznać. Myślałam, że może i pan chciałby poznać mnie.

Wziął głęboki oddech.

– To nie jest odpowiednia pora.

Josie zerknęła w stronę zaparkowanego samochodu Matta.

– Mogę poczekać.

– Posłuchaj... właśnie się ubiegam o poważne stanowisko publiczne.

Nie mogę sobie teraz pozwolić na podobną komplikację...

Josie nie wierzyła własnym uszom. A więc tym dla niego była? KOMPLIKACJĄ?!

Tymczasem Logan Rourke wyciągnął z kieszeni portfel, a z jego wnętrza trzy studolarówki.

– Proszę. – Wcisnął jej pieniądze w dłoń. – Czy to wystarczy?

Josie próbowała złapać oddech, ale uniemożliwił jej to drewniany

kołek, którym niepostrzeżenie ktoś przebił jej pierś. Zdawała sobie sprawę, że to brudne pieniądze; ojciec uznał, że Josie przyjechała, by go szantażować.

– Może po wyborach... – mruknął – ...może wówczas wybierzemy się gdzieś na lunch.

Banknoty, które trzymała w dłoni, były świeże i sztywne, dopiero co wprowadzone do obiegu. Przed oczami Josie stanęła nagle scenka z dzieciństwa: jest z mamą w banku i mama pozwala jej sprawdzić, czy kasjer wypłacił odpowiednią kwotę. Dwudziestodolarówki w jej palcach są równie dziewicze jak te setki: pachną farbą drukarską i obietnicą szczęścia.

Logan Rourke nie był jej ojcem, lecz jedynie jednym z milionów facetów – bardziej obcym niż listonosz czy któryś z nauczycieli. Można dziedziczyć czyjeś DNA, a mimo to nie mieć z tym człowiekiem nic wspólnego.

Josie niespodziewanie mignęła myśl, że podobną lekcję już raz w życiu odebrała... od swojej matki.

– No cóż... – odezwał się Logan Rourke i z powrotem położył dłonie na klamce. Ale zanim otworzył drzwi, jeszcze się zawahał. – Nie wiem... nie powiedziałaś, jak ci na imię.

Głos Josie zdołał się przedrzeć przez kłęb, który się zagnieździł w jej gardle.

– Margaret – odparła. Postanowiła, że pozostanie dla niego równie fałszywą postacią, jak on był w jej życiu.

– A więc do widzenia, Margaret – rzucił cicho i wśliznął się do wnętrza domu.

W drodze do samochodu dłonie Josie się rozwarła jak pączek kwiatu. Banknoty sfrunęły w dół i opadły koło wybującej rośliny, która – jak wszystko wokół – zdawała się uosobieniem dobrobytu.

Tak naprawdę ten pomysł przyszedł Peterowi do głowy we śnie.

Już od jakiegoś czasu tworzył gry komputerowe – głównie rozmaite

repliki wyścigów samochodowych, choć udało mu się również opracować jedną prostą „skradankę”, opartą na scenariuszu sci-fi, w którą można było grać online z ludźmi z całego świata.

To jednak, co wymyślił teraz, było bez wątpienia najbardziej ambitnym projektem. A zaczęło się wszystko we włoskim barze, do którego poszli całą rodziną po meczu futbolowym Joeya. Peter obżarł się pizzą z mięsem i kiełbasą, po czym siedział niczym pogrążony w stuporze i wbijał wzrok w automat do gry, na którym widniał napis „Deer Hunt”. Po wrzuceniu ćwierćdolarówki strzelało się do jeleni wysuwających łby zza krzaków, a jeżeli przypadkiem trafiło się łanię, traciło się wszystkie punkty.

Owej nocy śniło się Peterowi, że pojechał razem z ojcem na polowanie, ale zamiast podchodzić jelenie, tropili ludzi.

Obudził się zlany potem, z zacisniętą dłonią, jakby w niej dzierzył karabinek.

Nie powinien mieć większych problemów ze stworzeniem awatarów – komputerowych odpowiedników ludzi. Już przeprowadził kilka całkiem udanych prób: potrafił wykreować osobników różnych ras i o zróżnicowanej budowie, choć szczegóły graficzne – jak odcień skóry czy rzeźba muskulatury – pozostawiały jeszcze trochę do życzenia.

Tak czy owak, zbudowanie gry, w której zwierzyną łowną byłiby ludzie, wydawało mu się całkiem odjazdowe.

Tylko na jakim scenariuszu ma ją oprzeć? Wszelkiego rodzaju misje wojskowe wyeksploatowano do granic możliwości, i nawet wojny gangów już się totalnie wszystkim przejadły za sprawą całego cyklu „Grand Theft Auto”. Peter doszedł do wniosku, że potrzebuje nowego modelu wroga – takiego, którego większość ludzi też miałaby ochotę skasować. To było najlepsze w grach komputerowych: odpłacanie różnym szwarzcharakterom pięknym za nadobne.

Przebiegał w myślach mikrokosmosy wszechświata w poszukiwaniu odpowiedniego entourage’u do walki dobra ze złem: przestrzeń kosmiczna, pojedynki na Dzikim Zachodzie, misje szpiegowskie. I nagle stanęła mu przed oczami linia frontu, na którą

sam wyruszał każdego dnia.

A gdyby tak odwrócić role... prześladowanych zmienić w prześladowców?

Peter wyskoczył z łóżka, usiadł za biurkiem i wyciągnął zeszłoroczny album szkolny, który od ośmiu miesięcy leżał zapomniany w jednej z szuflad. Stworzy grę na wzór „Revenge of the Nerds”, a właściwie jej uwspółcześioną wersję, dostosowaną do realiów XXI wieku. W świecie jego fantazji rozkład sił zostanie postawiony na głowie i wreszcie parias będzie mógł wziąć odwet na swoich ciemieżycielach.

Wziął flamaster do ręki, zaczął przerzucać strony i zakreślać niektóre portrety.

Drew Girard.

Matt Royston.

John Eberhard.

Peter odwrócił kartkę i zatrzymał się na moment. A potem zakreślił także twarz Josie Cormier.

– Możesz tu zatrzymać? – poprosiła Josie, kiedy uznała, że już ani minuty dłużej nie zdoła wysiedzieć w samochodzie i udawać, że jej spotkanie z ojcem przebiegło w sielankowej atmosferze.

Ledwo Matt zjechał na pobocze, otworzyła drzwi, a potem przez pas wysokiej trawy pobiegła do pobliskiego lasu. Usiadła na dywanie sosnowych igieł i zaczęła płakać. Sama nie umiałaby powiedzieć, czego właściwie się spodziewała – poza tym, że z pewnością nie tego, co ją spotkało. Może bezwarunkowej akceptacji. W najgorszym wypadku – zwykłej ciekawości.

– Josie? – Matt stanął za jej plecami. – Wszystko w porządku?

Chciała przytaknąć, ale nagle zrobiło jej się niedobrze od tych wszystkich kłamstw. Matt zaczął gładzić ją po głowie i wówczas Josie rozszłochała się na dobre; ta oznaka czułości, jak to zazwyczaj bywa z odruchami serca, do reszty wytrąciła ją z równowagi.

– On ma mnie gdzieś.

– Więc powinnaś odpłacić mu tym samym – zasugerował Matt.

Josie posłała mu spojrzenie spod oka.

– To nie takie proste.

Wziął ją w ramiona.

– Och, Jo.

Matt był pierwszą osobą, która nadała jej pieszczotliwe zdrobnienie. O ile pamięć Josie nie myliła, matka – w odróżnieniu od większości rodziców – nigdy nie nazywała jej „słoneczkiem”, „robaczkiem” czy też w równie idiotyczny sposób. Ale kiedy Matt zaczął mówić do niej „Jo”, natychmiast przypomniała sobie „Małe kobietki” i chociaż on z pewnością nigdy nie czytał powieści Louise Alcott, Josie cieszyła się w duchu, że to zdrobnienie łączyło ją z postacią o tak silnym charakterze i niezwyklej pewności siebie.

– Jestem kompletną idiotką. I zupełnie nie wiem, dlaczego właściwie płaczę. Ja jedynie... chciałam, żeby mnie polubił.

– Za to ja za tobą szaleję – oznajmił Matt. – Czy to już się nie liczy? – Pochylił się i zaczął scałowywać jej łzy.

– Nawet bardzo. Usta Matta przesunęły się z policzka na szyję, a potem w to specjalne miejsce za uchem: gdy Matt je całował, Josie zawsze miała wrażenie, że zaraz cała się rozplynie. Była zupełną nowicjuską, gdy chodziło o erotyczne pieszczoty, ale ilekroć zostawali sami, Matt się posuwał coraz dalej i dalej. „To twoja wina – powiedział jej pewnego razu. – Jesteś taka seksowna, że nie mogę utrzymać rąk przy sobie”. Te słowa podziałały na Josie jak najpotężniejszy afrodyzjak. Ona? Seksowna? W każdym razie, tak jak Matt obiecywał, im częściej ją całował, kosztował jej ciała, tym większą sprawiało jej to przyjemność. Każda nowa pieszczota wywoływała takie uczucie, jakby Josie skakała w dół z wysokiego klifu: traciła dech i czuła ostre łaskotanie w brzuchu. Wystarczy jeden krok, a zacznie szybować w powietrzu niczym ptak. Wówczas w ogóle nie przychodziło jej do głowy, że gdy już skoczy, równie dobrze może się roztrzaskać o skały.

Ręce Matta wsunęły się pod jej T-shirt, wśliznęły pod koronkę

biustonosza. Ich nogi się splątały; Matt zaczął się ocierać o Josie całym ciałem. Kiedy podciągnął jej koszulkę w górę i poczuła na ciele chłodny podmuch powietrza, powróciła do rzeczywistości.

– Nie możemy – szepnęła.

Matt lekko chwycił zębami skórę na jej ramieniu.

– Parkujemy na skraju drogi publicznej!

Spojrzał na nią odurzony, rozgorączkowany.

– Ale ja tak bardzo cię pragnę – powiedział.

Już po wielekroć wypowiadał te słowa, ale po raz pierwszy Josie nie zareagowała stanowczym protestem.

„Tak bardzo cię pragnę”.

Mogłaby go powstrzymać, ale nagle zrozumiała, że tego nie zrobi. Czuła się chciana, pożądana i to było najważniejsze. Niczego w tej chwili bardziej nie potrzebowała.

Matt na moment zastygł w bezruchu, jakby się zastanawiał, czy fakt, że Josie nie odepchnęła jego rąk, rzeczywiście oznaczał to, co w jego mniemaniu oznaczał. A potem szybko rozdarł folię kondomu (ciekawe, od kiedy nosił go przy sobie?), jednym ruchem rozpiął spodnie i powoli podsunął w górę spódnicę Josie, jakby nadal nie był pewien, czy ona nie zmieni zdania.

Odciągnął jej majtki, wsunął w nią palec. Kiedy robił tak poprzednio, czuła parzący ból, jakby musnęła ją kometa; zawsze prosiła, żeby przestał.

Ale nie tym razem.

Matt poprawił pozycję, przycisnął ją swoim ciężarem. Znowu zapiekło – i to o wiele bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Mimowolnie jęknęła.

– Nie chcę, żeby bolało – wyszeptał.

Josie odwróciła głowę.

– Po prostu zrób to – powiedziała, i Matt naparł na nią mocno i gwałtownie. Ból był tak wielki, że chociaż się go spodziewała, głośno wykrzyknęła.

Matt pomylił cierpienie z ekstazą.

– O tak, maleńka – szepnął chrapliwie.

Czuła jego tętno, ale od wewnątrz. A potem Matt zaczął raptownie poruszać biodrami; rzucał się jak ryba spuszczone z haczyka na deski pomostu.

Josie miała ochotę spytać, czy jego też bolało, gdy robił to po raz pierwszy. Zaczęła się zastanawiać, czy to zawsze boli. Może cierpienie jest ceną, którą trzeba zapłacić za miłość.

Wtuliła twarz w ramię Matta i próbowała zrozumieć, dlaczego, chociaż on wciąż jest w jej wnętrzu, czuje się tak przeraźliwie pusta.

Pani Sandringham, nauczycielka angielskiego, zwróciła się do Petera, gdy po skończonej lekcji już miał wstawać z miejsca:

– Peter, chciałabym z tobą porozmawiać.

Słyszając te słowa, głębiej się wcisnął w krzesło. Musi szybko wymyślić jakąś wymówkę dla rodziców, bo z pewnością nie będą zadowoleni, gdy przyniesie do domu drugą pałę z rzędu.

Tak naprawdę lubił panią Sandringham. Miała dopiero dwadzieścia kilka lat i kiedy paplała na temat gramatyki czy Szekspira, nietrudno było sobie wyobrazić, że jeszcze całkiem niedawno sama siedziała skulona w ławce, jak większość zwykłych dzieciaków, i nie pojmowała, czemu wskazówki zegara nie chcą ruszyć z miejsca.

Peter poczekał, aż inni wyniosą się z sali, i dopiero wtedy podszedł do stołu nauczycielki.

– Chciałabym porozmawiać na temat twojego ostatniego eseju – zagaiła pani Sandringham. – Nie sprawdziłam jeszcze prac wszystkich uczniów, ale miałam okazję rzucić okiem na twoją...

– Mogę napisać nowy esej – rzekł szybko Peter.

Pani Sandringham uniosła w zdumieniu brwi.

– Ależ, Peterze... właśnie zamierałam ci powiedzieć, że dostałeś szóstkę. – Położyła na biurku jego pracę i Peter wpatrzył się z niedowierzaniem w jaskrawoczerwoną ocenę widniejącą na marginesie.

Mieli opisać wydarzenie, które w znaczący sposób odmieniło ich

życie. Choć od pamiętnego incydentu minął zaledwie tydzień, Peter napisał o tym, jak stracił pracę za podpalenie kontenera na śmieci. W swoim eseju pominął jednak postać Josie Cormier i rolę, jaką odegrała w owym zajściu.

Pani Sandringham zakreśliła jedno zdanie z podsumowania: „Zrozumiałem, że pewne czyny nie uchodzą płazem, więc trzeba wszystko dobrze przemyśleć, zanim się podejmie działanie”.

Nauczycielka położyła rękę na dłoni Petera.

– Widzę, że ta sprawa naprawdę cię czegoś nauczyła – powiedziała z przyjaznym uśmiechem. – Ja zaufałam ci teraz bez zastrzeżeń.

Peter skinął głową i podniósł esej ze stolika. Gdy się włączał w nurt przepływających korytarzem uczniów, wciąż trzymał go w palcach. Wyobrażał sobie, co powie matka, kiedy on przyniesie do domu arkusz z wielką, tłustą szóstką – raz zrobi coś, czego wszyscy zawsze się spodziewali po Joeyu, ale nigdy po nim.

I niemal natychmiast dotarło do niego, że zanim pokaże rodzicom ten esej, będzie musiał się wytłumaczyć z podpalenia śmietnika. A na dodatek przyznać, że został wylany z pracy i dla kamuflażu godzinami przesiaduje w bibliotece.

Gwałtownym ruchem zgniół w dłoniach swoje dzieło i wrzucił do pierwszego kosza na śmieci, jaki napotkał po drodze.

Od kiedy Josie zaczęła spędzać niemal cały wolny czas z Mattem, Maddie Shaw gładko przejęła rolę przybocznej Courtney. I w pewnym sensie osiągnęła o wiele większy sukces, niż kiedykolwiek udałoby się osiągnąć Josie: gdy się szło za Court i Maddie, nie sposób było odróżnić jedną od drugiej. Maddie tak idealnie się upodobniła do wzorca, że w jej wykonaniu imitacja sięgnęła wyżyn sztuki.

Tego wieczoru wszyscy zalegli w domu Maddie, ponieważ miała wolną chatę – rodzice pojechali w odwiedziny do jej starszego brata, który studiował w Syracuse.

Nie pili nic alkoholowego – trwał sezon hokejowy, a trener kazał zawodnikom podpisywać specjalny kontrakt – za to Drew wypożyczył nieocenzurowaną wersję komedii dla nastolatków, ociekającą seksem.

Chłopcy się spierali, która z aktorek jest gorętszą laską: Elisha Cuthbert czy Shannon Elizabeth.

– Żadnej nie wyrzuciłbym z łóżka – zdecydował Drew.

– Skąd przyszło ci do głowy, że którakolwiek z nich w ogóle chciałyby się tam znaleźć? – rzucił ze śmiechem John Eberhard.

– Moja reputacja kroczy przede mną i sięga daleko...

Courtney parsknęła kpiąco.

– I tylko ona.

– A, Court, żałujesz, że nie miałaś okazji osobiście tego sprawdzić.

– Nie bardzo...

Josie siedziała wraz z Maddie na podłodze i próbowała wydedukować, jak działa plansza do seansów spirytystycznych. Znalazły ją w szafie w pokoju rekreacyjnym w piwnicy: leżała między chińczykiem i trivium. Josie delikatnie dotknęła palcami niewielkiej deseczki.

– Popychasz ją?

– Przysięgam na Boga, że nie – zarzekła się Maddie. – A ty?

Josie pokręciła głową. Zastanawiała się, jaki duch miałby ochotę się zjawić na imprezie nastolatków. Zapewne ktoś, kto zmarł śmiercią tragiczną w zbyt młodym wieku – być może w wypadku samochodowym.

– Jak ci na imię? – spytała głośno Josie.

Deseczka skręciła w stronę litery A, przesunęła się na B i zatrzymała w miejscu.

– Abe – zawyrokowała Maddie.

– Albo Abby.

– Jesteś kobietą czy mężczyzną?

Tym razem deseczka zsunęła się z krawędzi planszy i Drew wybuchnął śmiechem.

– Pewnie jest homo.

– Swoją zawsze rozpozna swego – rzucił kpiąco John.

Matt ziewnął i przeciągnął się tak szeroko, że koszulka mu podjechała wysoko do góry. Chociaż Josie siedziała zwrócona do niego

plecami, natychmiast to wyczuła: tak idealnie były zestrojone ich ciała.

– Impreza jest doprawdy przednia, ale na nas już czas. Idziemy, Jo.

Josie patrzyła na deseczkę, która powędrowała od N do O. NO.

– Ja jeszcze nie wychodzę – oświadczyła. – Dobrze się bawię.

– Miau! – odezwał się Drew. – Kotka pokazuje pazurki. Strzeż się, Mattie.

Od kiedy zostali parą, Matt spędzał o wiele więcej czasu z Josie niż ze swoimi kumplami. Nieustannie powtarzał, że woli swawolić z nią, niż przebywać w towarzystwie swawolnych głupków, ale Josie wiedziała, jak bardzo mu zależy na szacunku Drew i Johna. Co jednak nie oznaczało, że miała pozwalać, by traktowano ją jak niewolnicę, prawda?

– Powiedziałem: idziemy – powtórzył Matt.

Josie zerknęła na niego spod oka.

– A ja powiedziałam, że chcę jeszcze zostać. W razie czego sama zdołam dojść do domu.

Matt posłał kolegom chełpliwy uśmiech.

– Nie miałaś pojęcia, co znaczy „dojść”, dopóki mnie nie poznałaś.

Drew z Johnem zarechotali głośno, a Josie zaczerwieniła się jak burak. Wstała z podłogi i odwracając oczy, pobiegła w górę piwnicznych schodów.

W holu chwyciła swoją kurtkę. Kiedy usłyszała za plecami tupot stóp, nawet się nie obejrzała.

– Dobrze się bawiłam, więc...

Mimowolnie wykrzyknęła, gdy Matt szarpnął ją za rękę, odwrócił gwałtownie i przycisnął do ściany.

– To boli...

– Żebyś przypadkiem nigdy więcej nie śmiała mnie tak potraktować.

– Ale przecież to ty...

– Przez ciebie wyszedłem na idiotę. Powiedziałem, że na nas już czas.

W miejscu, gdzie ścisnął jej ramiona, wykwitwały już sińce, jakby Josie była płótnem, na którym Matt chciał koniecznie postawić swoją

sygnaturę. Zwiotczała pod jego uchwytem w geście poddania: zadziałał instynkt samozachowawczy.

– Ja... Przepraszam. Wybacz.

Pokajanie się zadziało jak wytrych – uchwyt Matta zelżał.

– Jo! – Westchnął i oparł się czołem o jej czoło. – Nie znoszę się tobą dzielić. Przecież o to nie możesz mieć do mnie pretensji.

Josie potrząsnęła głową. Wolała się nie odzywać, bo obawiała się słów, jakie mogą jej się wyrwać z ust.

– To wszystko dlatego, że tak bardzo cię kocham.

Nie wierzyła własnym uszom.

– Kochasz mnie? Naprawdę?

Do tej pory nigdy nie wyznał jej miłości i ona też nie wypowiedziała tych magicznych słów, bo gdyby nie odwzajemnił się tym samym, spaliłaby się ze wstydu i upokorzenia. Ale w końcu to on pierwszy powiedział, że ją kocha!

– Czyż to nie oczywiste? – Ujął jej dłoń, podniósł do ust i zaczął całować tak delikatnie, że Josie niemal zapomniała o wydarzeniach, które doprowadziły do tej niezapomnianej chwili.

– Kentucky Fried People...? – powtórzył z powątpiewaniem w głosie Peter.

Taką nazwę zaproponował Derek dla nowej gry Petera tuż po rozpoczęciu lekcji WF. Siedzieli na ławce w sali gimnastycznej, a wokół nich rozgrywał się spektakl wyboru zawodników do drużyn koszykówki, w którą mieli grać przez całe zajęcia.

– Bo ja wiem... Czy to nie zbyt...?

– Drastyczne? – podrzucił Derek. – A od kiedy ci zależy na poprawności politycznej? Tylko to sobie wyobraź: zbierasz określoną liczbę punktów i wówczas możesz iść do pracowni plastycznej, by w charakterze broni wykorzystać piec do wypalania ceramiki.

Derek testował grę Petera, wskazując na niedoróbki, proponując ulepszenia. Wiedzieli, że mają sporo czasu na rozmowę, ponieważ będą wybrani do drużyny na szarym końcu.

Trener Spears wyznaczył na kapitanów Drew Girarda i Matta

Roystona. A to ci dopiero niespodzianka! Kto by się spodziewał, że kapitanami mianuje facetów, którzy już po pierwszej klasie zostali zawodnikami pierwszego składu szkolnej reprezentacji w hokeju.

– Wykrzescie z siebie bojowego ducha! – zagrzewał resztę klasy trener Spears. – Wasi kapitanowie muszą widzieć, że rwiecie się do walki, że jesteście głodni sukcesu. Gdy na was patrzą, mają zobaczyć drugiego Michaela Jordana!

Drew wskazał na chłopaka siedzącego z tyłu.

– Noah.

Matt skinął głową w kierunku swojego sąsiada z ławki.

– Charlie.

Peter nachylił się w stronę Dereka.

– Mimo że Michael Jordan już zrezygnował z czynnej kariery, wciąż zgarnia rocznie czterdzieści milionów z tantiem reklamowych.

– To oznacza, że zarabia 109 589 dolców dziennie za nicnierobienie – błyskawicznie obliczył Derek.

– Ash! – rozległ się głos Drew.

– Robbie – zdecydował Matt.

Peter nachylił się w stronę przyjaciela.

– Jordan idzie do kina, wydaje dychę na bilet, a w czasie trwania filmu przybywają mu na czysto 9132 dolary.

Derek uśmiechnął się szeroko.

– Jak gotuje jajko na twardo, powiedzmy, przez pięć minut, zarabia przy tym 380.

– Stu.

– Freddie.

– O-boy.

– Walt.

Teraz na ławce pozostało ich już tylko trzech: Derek, Peter i Royce, który miał problemy z panowaniem nad agresją i przychodził do szkoły ze specjalnym asystentem.

– Royce – powiedział Matt.

– Zarabia o 4560,85 dolca więcej na godzinę niż szeregowy

pracownik McDonalda – dorzucił Derek.

Drew obrzucił krytycznym spojrzeniem Dereka i Petera.

– Oglądając odcinek „Przyjaciół”, zgarnia 2283 dolary – powiedział Peter.

– Musi czekać aż całe dwadzieścia jeden godzin, żeby zarobić na nowe maserati – westchnął Derek. – Do diabła, jaka szkoda, że nie umiem grać w kosza.

– Derek – zdecydował Drew.

Derek zaczął z wolna podnosić się z ławki.

– Ale wiesz co? – zagadnął Peter. – Nawet gdyby Michael Jordan oszczędzał sto procent swoich dochodów przez następne sto pięćdziesiąt lat, wciąż nie miałby tyle kasy, ile Bill Gates ma już w tej chwili.

– Okay – rzucił z rezygnacją Matt. – A więc ja biorę pedzia.

Peter powlókł się niemrawo w stronę drużyny Matta.

– Powinieneś lubić tę grę, Peter – odezwał się Matt tak głośno, żeby wszyscy go usłyszeli. – Ostatecznie piłka do kosza przypomina w kształcie pewne części męskiego ciała, którymi z pewnością lubisz się bawić.

Peter oparł się o materac, który wisiał na ścianie jak, nie przymierzając, w domu wariatów. Szaleńców zamyka się w tak wyłożonych pomieszczeniach, bo w każdej chwili mogą rozpętać piekło.

– W porządku – zdecydował trener Spears. – Zaczynamy mecz.

Pierwsza burza lodowa nadciągnęła tego roku jeszcze przed Świętem Dziękczynienia. Zaczęła się tuż po północy; wichura trzęsła domem niczym workiem starych kości, a o szyby waliły kulki gradu. Doszło do awarii prądu, ale akurat na to Alex była przygotowana. Gdy się obudziła, uderzyła ją ta szczególna cisza, jaka zapada, gdy zawodzą nowoczesne urządzenia. Alex chwyciła w rękę latarkę, którą przezornie położyła koło łóżka.

Potem zapaliła dwie świece i patrzyła, jak jej ogromny cień pełźnie

w górę ściany. Przypomniała sobie podobne noce z okresu, gdy Josie była jeszcze mała: przychodziła wtedy do łóżka matki i mocno trzymała kciuki za to, by nazajutrz odwołali lekcje z powodu fatalnej aury.

Dlaczego dorośli nigdy nie mogą liczyć na takie niespodziewane wakacje? Nawet jeżeli jutro w szkołach nie odbędą się lekcje – na co w opinii Alex poważnie się zanosilo – nawet jeżeli wichur będzie nadal wył potępięczo, jakby się użalał nad cierpieniem Ziemi, a mróz przylutuje wycieraczki do szyby samochodowej, ona i tak będzie musiała się pojawić w sądzie. Można odwołać zajęcia jogi, mecze koszykówki i przedstawienia teatralne, ale nie sposób zawiesić biegu życia.

Drzwi do sypialni otworzyły się ze stukotem. W progu stanęła Josie w kusej koszulce i męskich bokserkach. Alex nie miała pojęcia, skąd je wystraszyła – modliła się tylko w duchu, by nie należały do Matta Roystona. Przez chwilę nie mogła rozpoznać swojej córki w tej młodej, kształtnej kobiecie o długich, prostych włosach – jej wygląd zasadniczo się kłócił z zachowanym żywo w pamięci obrazem małej dziewczynki ze zmierzwionym warkoczem, ubranej w piżamkę z nadrukiem wizerunku Wonder Woman.

Alex poklepała zapraszająco materac obok siebie.

Josie wskoczyła do łóżka matki i naciągnęła kołdrę pod samą brodę.

– Pogoda jak z horroru – oznajmiła. – Mam wrażenie, że niebo się wali.

– Mnie bardziej martwi jutrzejszy stan dróg.

– Myślisz, że do rana spadnie śnieg?

Alex uśmiechnęła się w ciemności. Josie już nie była dzieckiem, ale pobożne życzenia pozostały te same.

– Najprawdopodobniej.

Z pełnym zadowolenia westchnieniem Josie opadła na poduszkę.

– Może w takim razie pojedziemy gdzieś z Mattem na narty.

– Jeżeli będzie ślisko na drogach, nie opuścisz w ogóle tego domu.

– Ty opuścisz.

– Ja nie mam wyboru.

Josie odwróciła się w stronę Alex i w jej oczach zatańczyło światło świec.

– Każdy ma jakiś wybór. – Podparła się na łokciu. – Mogę cię o coś spytać?

– Jasne.

– Dlaczego nie wyszłaś za mojego ojca?

Alex była dramatycznie nieprzygotowana na podobne pytanie i nagle poczuła się tak, jakby ktoś rzucił ją nagą w środek śnieżnej zamieci.

– Skąd to nagle zainteresowanie?

– Co ci w nim nie odpowiadało? Mówiłaś, że był przystojny i inteligentny. No i musiałaś go kochać, przynajmniej przez jakiś czas...

– Josie, to zamierzchła historia. I nie powinnaś zawracać sobie nią głowy, ponieważ ciebie nie dotyczy.

– Oczywiście, że dotyczy – obruszyła się Josie. – Mam połowę jego genów.

Alex wpatrzyła się w sufit. Może rzeczywiście waliło się niebo; może naiwna wiara, że za pomocą kuglarskich sztuczek uda się do końca życia podtrzymywać iluzję, musi się zakończyć spektakularną katastrofą.

– Był przystojny i inteligentny – odparła cicho. – Uznałam jednak, że nie powinnam się z nim wiązać.

– Czy dlatego, że na dodatek był żonaty?

Alex aż usiadła z wrażenia.

– Jak się o tym dowiedziałaś?

– Teraz, kiedy się ubiega o urząd publiczny, jego życiorys drukują we wszystkich gazetach. Nie trzeba być astrofizykiem, żeby to odkryć.

– Rozmawiałaś z nim?

– Nie – odparła Josie, patrząc matce prosto w oczy.

Jakaś część Alex żałowała, że Josie nie skontaktowała się z Loganem; wówczas może by się dowiedziała, czy Logan śledził przebieg jej kariery, czy choćby zdawkowo się nią interesował. Decyzja o porzuceniu Logana, którą ze względu na nienarodzone dziecko

podejmowała z przekonaniem o własnej moralnej wyższości, teraz wydała jej się aktem egoizmu. Dlaczego właściwie nigdy wcześniej nie porozmawiała na ten temat z Josie?

Ponieważ na swój sposób chroniła Logana. Josie dorastała, nie znając ojca, ale czyż to nie było lepsze od świadomości, że on nie chciał, by w ogóle się urodziła? Że zażądał aborcji? Muszę się zdobyć na jeszcze jedno drobne kłamstwo, zdecydowała Alex w duchu. Zaoszczędzić Josie bólu.

Zerknęła z ukosa na córkę.

– Nie zamierzałam się zadowolić tą małą przestrzenią, jaką wyznaczył dla mnie w swoim życiu. Nie chciałam ograniczeń. Czy to ma jakiś sens?

– Chyba tak.

Alex odnalazła pod kołdrą dłoń córki. Gdyby chwyciła ją za rękę w pełnym świetle dnia, ten gest wydałby się sztuczny i wymuszony, zbyt otwarcie emocjonalny jak na łączące je stosunki; ale teraz, w ciemnościach, gdy świat gwałtownie się skurczył – robił wrażenie całkiem naturalnego.

– Bardzo cię przepraszam – szepnęła.

– Za co?

– Za to, że nie dałam ci wyboru, kiedy dorastałaś.

Josie wzruszyła ramionami i usunęła dłoń.

– Postąpiłaś słusznie.

– Nie jestem tego pewna. – Alex westchnęła. – Słuszne postępowanie trzeba niekiedy okupić chwilami wielkiej samotności. – Gwałtownie odwróciła się ku córce z radosnym uśmiechem na twarzy. – Ale właściwie czemu my rozprawiamy na takie tematy? W odróżnieniu ode mnie, tobie dopisuje szczęście w miłości, prawda?

W tym samym momencie przywrócono elektryczność. Na dole mikrofalówka z głośnym „pik” powróciła do trybu czuwania; światło z łazienki zaalało hol żółtą poświatą.

– Czas wracać do własnego łóżka – zdecydowała Josie.

– A! Naturalnie – odparła Alex, chociaż tak naprawdę miała ochotę

powiedzieć, że Josie może zostać tu, gdzie jest teraz, aż do rana.

Kiedy córka wyszła z pokoju, Alex sięgnęła po budzik, by go na nowo ustawić. Diody pulsowały panicznie: 12:00, 12:00, 12:00, jakby wysyłały ostrzeżenie dla Kopciuszka i niosły przestrozę: życie rzadko kiedy podsuwa piękne, bajkowe zakończenia.

Ku zdziwieniu Petera bramkarz w klubie Front Runner nawet nie spojrzał na jego fałszywy dowód tożsamości, więc zanim na dobre sobie uświadomił, że naprawdę dotarł do tego miejsca – już został wepchnięty do środka przez napierający tłum.

W twarz uderzyła go chmura papierosowego dymu i potrzebował aż całej minuty, żeby jego wzrok się przystosował do przyćmionych świateł. Całą wolną przestrzeń wypełniała muzyka: techno tak głośne, że Peterowi niemal rozsadało bębni. Przy drzwiach stały dwie bardzo wysokie kobiety i bacznie lustrowały każdego wchodzącego. Peter dopiero za drugim rzutem oka dostrzegł cień zarostu na twarzy jednej... jednego z nich. Drugi wyglądał bardziej kobieco niż zdecydowana większość dziewczyn, jakie Peter spotkał w życiu; ale przecież nigdy wcześniej nie widział transwestytów z aż tak bliska – może oni z natury byli perfekcjonistami.

Mężczyźni stali w parach lub trzyosobowych grupkach. Single natomiast, niczym wygłodniałe jastrzębie, obsadziły balkon zawieszony nad tanecznym parkietem. Niektórzy faceci mieli na twarzach skórzane maski, inni całowali się po kątach lub dzielili jointami. Wszystkie ściany pokrywały lustra sprawiające, że pomieszczenia wydawały się przepastne jak jaskinie.

Nietrudno było się dowiedzieć o istnieniu takiego klubu jak Front Runner, wystarczyło wejść do kilku chat roomów. Ponieważ Peter dopiero się przygotowywał do egzaminu na prawo jazdy, do Manchesteru przyjechał autobusem, a potem wziął taksówkę, która go przywiozła pod same drzwi lokalu. Prawdę powiedziawszy, wciąż nie umiałby powiedzieć, dlaczego właściwie się tu zjawił: próbował o tym

myśleć jak o swoistym eksperymencie antropologicznym. Ciekawiło go, czy w tym środowisku odnajdzie się lepiej niż w dotychczasowym.

Nie zamierzał się obmacywać z któryms z tych facetów – w każdym razie jeszcze nie teraz. Chciał zobaczyć, jak się poczuje wśród ludzi, którzy w pełni akceptują swój homoseksualizm. Czy będzie tak, że spojrzą na niego i od razu rozpoznają w nim jednego ze swoich?

Przystanął naprzeciwko pary obłapiającej się w ciemnym kącie. Widok faceta w prawdziwym życiu całującego innego faceta był nieco dziwaczny. Jasne, w telewizji Peter nieraz widywał całujących się mężczyzn – programom zawierającym podobnie skandalizujące sceny z reguły nadawano taki rozgłos medialny, że zawsze wiedział, kiedy będą je nadawać – i niekiedy to oglądał, żeby sprawdzić, czy ten widok w jakikolwiek sposób go pobudzi. Ale tamte pocałunki były udawane, tak jak wszystko inne w telewizji... W odróżnieniu od spontanicznego spektaklu, który się teraz rozgrywał przed jego oczami. Peter przyglądał się i czekał na przyspieszone bicie serca, które mogłoby wreszcie coś wyjaśnić.

Nie wzbudziło to w nim jednak podniecenia, lecz jedynie ciekawość (czy zarost drapie w takiej sytuacji w policzki?). Peter zupełnie nie odczuwał odrazy, ale i nie był przekonany, że miałby ochotę sam tego spróbować.

Mężczyźni oderwali się od siebie i jeden z nich posłał Peterowi gniewne spojrzenie spod przymrużonych powiek.

– To nie peep show – wysyczał i mocno odepchnął Petera.

Peter się potknął i zatoczył na jednego z facetów stojących przy barze.

– Ej! – wykrzyknął potrącony, ale zaraz zaświeciły mu się oczy. – Co my tu mamy?

– Przepraszam...

– Ależ nie ma za co. – Facet był nieco po dwudziestce, miał mocno tlenione włosy, przycięte na krótkiego jeża, a na palcach plamy od nikotyny. – Pierwszy raz w klubie, co?

– Skąd wiesz?

– Jesteś spłoszony niczym jeleni złapany w światła samochodu. – Zgasił papierosa i gestem przywołał barmana, który wyglądał tak, jakby zszedł wprost z okładki eleganckiego czasopisma. – Rico, podaj mojemu młodemu przyjacielowi drinka. Na co masz ochotę?

Peter przełknął nerwowo ślinę.

– Pepsi?

Nowo poznany mężczyzna błysnął zębami w uśmiechu. – To jakiś żart, co?

– Nie pijam alkoholu.

– A! W takim razie spróbuj tego.

Wyjął z kieszeni cztery małe fiołki – dwie podał Peterowi, dwie zachował dla siebie. Nie było w nich żadnego proszku – zdawały się zupełnie puste. Peter przyglądał się z uwagą, jak blondyn otwiera jedną z nich i głęboko wdycha jej zawartość przez nos, a potem przytyka następną do drugiej dziurki. Peter postąpił w identyczny sposób i poczuł gwałtowny zawrót głowy – jak wtedy, gdy pod nieobecność rodziców kibicujących Joeyowi na jakimś kolejnym meczu wypił cały sześciopak piwa. Ale w odróżnieniu od tamtego wybryku, po którym miał tylko ochotę paść na łóżko i zasnąć, teraz poczuł się ostro pobudzony, naładowany nową energią.

– Mam na imię Kurt. – Nowy znajomy wyciągnął dłoń.

– Peter.

– Przód czy tył?

Peter wzruszył nonszalancko ramionami, udając, że doskonale wie, o czym mowa, choć tak naprawdę nic nie rozumiał.

– Wielkie nieba! – Kurt aż rozdziawił usta ze zdumienia. – Świeża krew.

Barman postawił przed Peterem pepsi.

– Zostaw go w spokoju, Kurt. To jeszcze dzieciak.

– Może więc powinienem pobawić się z nim w jakąś grę. Co powiesz na bilard?

Peter wiedział, że z bilardem poradzi sobie bez większych problemów.

– Chętnie rozegram partię.

Kurt wyjął dwudziestodolarówkę z portfela i położył na barze.

– Zatrzymaj resztę – rzucił w stronę Rica.

Sala bilardowa znajdowała się za parkietem. Stały w niej cztery stoły i aktualnie na każdym z nich toczyła się jakaś rozgrywka na różnym etapie zaawansowania. Peter usiadł na ławce dosuniętej do ściany i skoncentrował się na obserwacji graczy. Niektórzy nieustannie się dotykali – obejmowali ramionami, poklepywali po tyłku – ale większość się zachowywała jak najzwyczajniejsi faceci, grupa zgranych kumpli.

Kurt wyjął z kieszeni garść ćwierćdolarówek, które położył na brzegu stołu. Sądząc, że to pula, o którą będą grali, Peter wysupłał z kurtki dwa zmięte banknoty jednodolarowe.

– To nie jest stawka zakładu – wyprowadził go z błędu Kurt. – Ale opłata za partię.

Kiedy gracze przy wybranym przez nich stole posłali ostatnią bilę do łoży, Kurt zaczął wrzucać monety do specjalnej szczeliny i po chwili na stole zjawił się nowy komplet kul.

Peter zdjął ze ściany kij i potarł kredą końcówkę. Nie był wytrawnym bilardzistą, ale grał już kilka razy w życiu i nie popełniał totalnie kompromitujących błędów: nie rył kijem po suknie, nie posyłał bil na podłogę.

– A więc lubisz zakłady... – zagadnął Kurt. – To rzeczywiście mogłoby uatrakcyjnić naszą partię.

– Stawiam pięć dolców – rzucił Peter w nadziei, że taki śmiały ruch doda mu powagi.

– Nie gram na pieniądze. Ale co powiesz na taką propozycję: jak wygram, zabieram cię do siebie. Jak ty wygrasz, zapraszasz mnie na chatę.

Peter nie bardzo rozumiał, jakie korzyści mógłby odnieść z takiego zakładu, skoro w żadnym razie nie zamierzał iść do Kurta, a już z pewnością nigdy w życiu nie przyprowadziłby go do rodzinnego domu. Odłożył więc kij na stół.

– Właśnie doszedłem do wniosku, że jednak nie mam ochoty na

bilard.

Kurt złapał go z całej siły za ramię. Jego oczy błyszczały nienaturalnie niczym małe, gorejące gwiazdy.

– Już zapłaciłem za tę rundę. Straciłem moje ćwierćdolarówki. A to oznacza, że musisz stanąć do gry.

– Puszczaj! – Narastająca panika podniosła ton głosu Petera o całą oktawę.

Kurt rozciągnął usta w niedobrym uśmiechu.

– Dopiero zaczynam się rozkręcać.

Niespodziewanie za plecami Petera rozległ się inny głos.

– Słyszałeś, co powiedział chłopiec.

Peter, wciąż przytrzymywany przez Kurta, odwrócił głowę i zobaczył pana McCabe'a, swojego nauczyciela matematyki.

Każdy doświadcza w życiu takich dziwnych momentów: spotykasz w kinie kobietę pracującą na poczcie, wiesz, że to znajoma twarz, ale ponieważ za jej plecami nie widzisz przegródek na listy, a obok niej automatu do znaczków, w pierwszej chwili nie możesz skojarzyć, kto zacz.

Pan McCabe trzymał w ręku piwo i miał na sobie koszulę z jakiejś jedwabistej tkaniny. Zdecydowanym ruchem odstawił butelkę i skrzyżował ramiona.

– Odpieprz się od niego, Kurt, albo zadzwonię po gliny i załatwię ci zakaz wstępu do tego lokalu.

Kurt wzruszył ramionami.

– Nie ma sprawy – mruknął i ruszył w stronę zasnutego dymem baru.

Peter wbił oczy w ziemię, czekając na kolejny ruch pana McCabe'a. Był pewien, że nauczyciel zadzwoni po jego rodziców, podrze publicznie jego fałszywy dowód tożsamości lub, w najlepszym wypadku, zapyta, co, u diabła, Peter robi w gejowskim klubie w centrum Manchesteru.

Ale ledwo Peter to pomyślał, zdał sobie sprawę, że on sam mógłby zadać identyczne pytanie panu McCabe'owi. Podniósł wzrok i w tej

samej chwili przypomniał sobie zasadę, którą jego nauczyciel z pewnością poznał już dawno temu. Twój sekret przestaje być sekretem, jeżeli odkryje go choć jedna osoba.

– Podejrzewam, że potrzebny ci transport do domu – powiedział pan McCabe.

Josie przyłożyła swoją dłoń do wielkiej dłoni Matta.

– Zobacz, jaka jesteś przy mnie małeńka – zauważył Matt. – To cud, że do tej pory cię nie zmiażdżyłem. Nie pozbawiłem życia...

Przesunął się nieco, wciąż stwardniały w jej wnętrzu, i przycisnął ją całym swoim ciężarem, po czym położył rękę na jej gardle.

– A mógłbym to zrobić bez najmniejszego wysiłku.

Nacisnął na krtań. Nie na tyle mocno, żeby odciąć dopływ powietrza, ale wystarczająco, by niemal uniemożliwić wydanie jakiegokolwiek dźwięku.

– Nie rób tego – zdołała wykrztusić Josie.

Matt posłał jej pełne zdziwienia spojrzenie.

– Czego mam nie robić? – zapytał, i kiedy znowu zaczął się łagodnie poruszać w jej wnętrzu, Josie nabrała pewności, że ta cała rozmowa musiała być przywidzeniem.

Jazda samochodem z Manchesteru do Sterling trwała mniej więcej godzinę i przez ten cały czas rozmowa między Peterem a panem McCabe'em prześlizgiwała się po powierzchni banalnych tematów, wobec których obaj byli całkowicie obojętni: pozycja Bruinsów w lidze NHL, doroczny bal zimowy, oczekiwania liczących się college'ów względem aplikantów.

Dopiero kiedy zjechali z międzystanowej i bocznymi, ciemnymi drogami zmierzali w stronę domu Petera, pan McCabe wrócił do incydentu, za którego sprawą siedzieli teraz w tym samochodzie.

– Jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór... Niewiele osób w szkole wie o moich preferencjach. Jeszcze oficjalnie się nie ujawniłem. – Mały prostokąt światła odbity we wstecznym lusterku przeciął jego oczy,

upodobniając je do oczu szopa pracza.

– Dlaczego? – W uszach Petera zadźwięczał jego własny głos.

– Nie dlatego, abym sądził, że koledzy nie okażą mi zrozumienia... po prostu uważam, że nikogo to nie powinno obchodzić. W prawo?

Peter zdał sobie sprawę, że te ostatnie słowa były pytaniem o drogę.

– Uhm – mruknął. – Proszę skrócić w tę przecznicę. Trzeci dom po lewej.

Pan McCabe zatrzymał wóz tuż przed podjazdem.

– Powiedziałem ci to, Peterze, ponieważ mam do ciebie zaufanie. I po to, abyś wiedział, że jeżeli kiedykolwiek chciałbyś porozmawiać, możesz się do mnie spokojnie zwrócić.

Peter wypiął się z pasa.

– Nie jestem gejem.

– Rozumiem – odparł pan McCabe, ale w jego wzroku coś nagle zmiękło.

– Nie jestem gejem – powtórzył Peter bardziej stanowczo, po czym otworzył drzwi i co sił w nogach pognał w stronę frontowych drzwi domu.

Josie potrząsnęła buteleczką z lakierem do paznokci, a potem zerknęła na etykietkę przyklejoną na spodzie. „Tak naprawdę nie jestem czerwienią dla kelnerek”.

– Komu przychodzą do głowy te idiotyczne nazwy? Sądzicie, że wymyślają je jakieś bizneswomen w trakcie poważnych narad przy stole konferencyjnym?

– Nie – zaprzeczyła zdecydowanie Maddie. – Jakaś banda starych przyjaciółek, które spotykają się raz do roku przy wódce i w pijanym widzie wypisują takie brednie.

Courtney przewróciła się na bok i jej włosy spłynęły poza krawędź łóżka.

– Co za nuda – oznajmiła, chociaż znajdowały się w jej domu, na jej piżamowej imprezie. – Zróbmy wreszcie coś zabawnego.

– Zadzwonimy do kogoś – zaproponowała Emma.

Courtney rozważała przez chwilę tę propozycję.

– Tak dla kawału?

– Zamówmy pizzę na adres kogoś ze znajomych – zapaliła się Maddie.

– Już to robiłyśmy ostatnim razem, zapomniałaś? Padło na Drew – westchnęła Courtney. Ale już po chwili uśmiechnęła się łobuzersko i sięgnęła po telefon. – Mam lepszy pomysł.

Przełączyła na tryb głośnomówiący i wybrała numer, którego tony brzmiały podejrzenie znajomo w uszach Josie.

– Halo – burknął głos po drugiej stronie słuchawki.

– Matt – zaczęła Courtney i przytknęła palec do ust, dając wszystkim do zrozumienia, że mają siedzieć cicho. – Witaj.

– Jest pieprzona trzecia nad ranem, Court.

– Wiem. Ale chodzi o to, że... już od dłuższego czasu chciałam ci coś powiedzieć, lecz nie bardzo wiem, jak to zrobić... ponieważ Josie jest moją przyjaciółką i w ogóle...

Josie chciała się odezwać, uświadomić Mattowi, że daje się wciągać w pułapkę, ale Emma zatkała jej usta ręką i pociągnęła ją z powrotem na łóżko.

– Bo widzisz, Matt, rzecz w tym, że bardzo cię lubię.

– A ja lubię ciebie.

– Nie, nie... Chciałam powiedzieć, że cię lubię, no wiesz... tak szczególnie.

– Jezu, Courtney! Szkoda, że nie wiedziałem wcześniej... Może nawet teraz uprawialibyśmy szalony, dziki seks, gdyby nie fakt, że kocham Josie, która zapewne teraz stoi jakieś trzy kroki od ciebie.

W tym momencie panującą w pokoju ciszę zburzyły wybuchy śmiechu.

– Rany! Skąd wiedziałeś? – spytała Courtney.

– Josie zwierza mi się ze wszystkiego, a więc i z tego, że spędza noc w twoim domu. A teraz wyłącz głośnik i daj mi ją do telefonu.

Courtney posłusznie przekazała słuchawkę.

– Celująca odpowiedź – oceniła Josie.

– A spodziewałaś się innej? – Głos Matta był uwodzicielsko senny.

– Nie – odparła z uśmiechem.

– Okay. W takim razie baw się dobrze. Ale nie tak dobrze, jak byś się bawiła ze mną. – Matt ziewnął szeroko.

– Wracaj do łóżka.

– Szkoda, że nie ma w nim ciebie.

Josie odwróciła się plecami do przyjaciółek.

– Ja również żałuję.

– Kocham cię, Jo.

– Ja ciebie też.

– A ja za chwilę się porzygam – oznajmiła Courtney. Wyciągnęła rękę i przerwała połączenie.

Josie rzuciła słuchawkę na łóżko.

– Telefon do Matta był twoim pomysłem – zauważyła cierpko.

– Wszystkie po prostu ci zazdrościmy – zawyrokowała Emma. – Osobiście bardzo bym chciała mieć faceta, który nie mógłby beze mnie żyć.

– Jesteś niesamowitą szczęściarą, Josie – dorzuciła Maddie.

Josie otworzyła buteleczkę z lakierem i kropla koloru krwi skapnęła z pędzelka na jej udo. Wszystkie jej przyjaciółki – no, może z wyjątkiem Courtney – byłyby gotowe zabić, byle znaleźć się na jej miejscu.

Ale czy byłyby gotowe same umrzeć, odezwał się cichy głos w głowie Josie.

Spojrzała na Maddie, potem na Emmę.

– Tak, rzeczywiście mam szczęście – potwierdziła z wymuszonym uśmiechem.

W grudniu Peter rozpoczął pracę w szkolnej bibliotece. Był odpowiedzialny za sprzęt audiowizualny, co oznaczało, że codziennie po lekcjach co najmniej przez godzinę przewijał mikrofilmy, układał materiały na DVD w porządku alfabetycznym, rozwoził po klasach projektory i telewizory z odtwarzaczami, żeby rano nauczyciele, którzy potrzebowali pomocy audiowizualnych, mieli już wszystko gotowe do

zająć. Pod jednym względem praca w bibliotece wyjątkowo odpowiadała Peterowi: tutaj miał zagwarantowany święty spokój. Ludzie ze szkolnej elity szybciej by umarli, niż pokazali się w tym miejscu, a jedynymi osobami, na które mógł się natknąć, były dzieciaki specjalnej troski; te niekiedy odrabiały tu lekcje ze swoimi asystentami.

Peter dostał tę pracę po tym, jak naprawił bibliotekarce, pani Wahl, jej antyczny komputer, który nieustannie się zawieszał. Dzięki temu został jej niekwestionowanym ulubieńcem. Pozwalała mu samodzielnie zamykać bibliotekę i nawet dorobiła dla niego klucz do służbowej windy, żeby ułatwić mu transportowanie sprzętu do klas.

Tego dnia Peterowi została już tylko jedna rzecz do zrobienia: przewiezenie projektora z pracowni biologicznej na piętrze z powrotem do centrum audiowizualnego, mieszczącego się na parterze. Wszedł do windy i już miał uruchomić ją kluczem, gdy ktoś poprosił o przytrzymanie drzwi.

Chwilę później do środka wkuśtykała Josie Cormier.

Miała nogę w gipsie i poruszała się o kulach. Zerknęła spod oka na Petera, po czym szybko spuściła wzrok.

Chociaż od czasu, gdy się przyczyniła do jego zwolnienia, minęły miesiące, Peter wciąż czuł przyływ gniewu na jej widok. Teraz praktycznie słyszał, jak w głowie dawnej przyjaciółki tykają sekundy dzielące ją od chwili, gdy drzwi windy ponownie się otworzą. Cóż, ja też nie jestem zachwycony, że muszę tkwić z tobą w tej ciasnej przestrzeni, pomyślał Peter i akurat wtedy winda zadygotała, zazgrzytała żałośnie i stanęła w miejscu.

– Co się stało? – Josie nerwowo zaczęła walić w przycisk parteru.

– W ten sposób nic nie zdasz – oświadczył ze stoickim spokojem Peter. Sięgnął przez nią ręką – rejestrując przy okazji, że niemal straciła równowagę, gdy odchyliła się od niego, jakby był nosicielem zarazy – po czym wcisnął czerwony guzik z napisem ALARM.

I nic.

– Dupa blada – mruknął. Zadarł głowę i zaczął się przyglądać sufitowi windy. W filmach akcji dzielni herosi zawsze przedostawali się

tą drogą do szybu, ale gdyby Peter nawet stanął na projektorze i sięgnął sufitu, w żadnym razie nie zdołałby otworzyć widniejącej w nim kłapy bez pomocy śrubokrętu.

Josie ponownie zaczęła walić w czerwony guzik.

– Halo! Pomocy!

– Nikt cię nie usłyszy – oświecił ją Peter. – W szkole nie ma już ani jednego nauczyciela, natomiast woźny od piątej do szóstej ogląda w piwnicy show Oprah. – Zerknął na Josie z ukosa. – A ty co właściwie robisz w szkole o takiej porze?

– Indywidualna nauka pozalekcyjna.

– Cóż to takiego? Uniosła jedną z kul.

– Musisz odśliczyć swoje nad książkami, jeżeli chcesz dostać zaliczenie z WF, a nie możesz ćwiczyć. A dlaczego ty tu jesteś?

– Teraz pracuję w bibliotece.

Po tych słowach zapadła krępująca cisza.

Peter zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później zostaną uwolnieni. Woźny zapewne się zorientuje w sytuacji, kiedy będzie chciał wwieźć froterkę na piętro, a jeżeli nie, to w najgorszym wypadku przekiblują tu do rana – do rozpoczęcia zajęć. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie minę Dereka, gdy mu oznajmi, że spędził noc z Josie Cormier.

Otworzył iBooka i na chybił trafił wybrał z katalogu jedną z prezentacji. Ameby. Blastule. Podział komórkowy. Zarodek. To wprost niesamowite, że wszyscy zaczynamy od tego stadium – mikroskopijnego, niewidzialnego dla oka.

– Kiedy nas znajdą?

– Nie wiem.

– Bibliotekarki nie zauważą, że nie wróciłeś?

– Nawet moi rodzice by nie zauważyli, gdybym nie wrócił.

– Wielki Boże... a jeśli zabraknie nam powietrza? – Josie zaczęła walić kulą w drzwi. – Ratunku!

– Nie zabraknie – odparł zdecydowanie Peter.

– Skąd wiesz?

Tak naprawdę wcale nie był tego pewien. Ale cóż innego mógł powiedzieć w tej sytuacji?

– W ciasnych pomieszczeniach dostaję napadu lęku – wyznała Josie.
– Dłużej tego nie zniosę.

– Masz klaustrofobię? – Zdziwił się, że nic o tym nie wiedział. Ale z drugiej strony, niby dlaczego miał wiedzieć? Ostatecznie przez ostatnie sześć lat nie uczestniczył zbyt aktywnie w jej życiu.

– Chyba za chwilę się porzygam – jęknęła Josie.

– Jasny szlag! – zaklął Peter. – Opanuj się. Po prostu zamknij oczy, a nie będziesz widziała, że jesteś w windzie.

Josie zacisnęła powieki i natychmiast niebezpiecznie się zachwiała na swoich kulach.

– Jedna chwila. – Peter wyjął kule z rąk dziewczyny, a potem, podtrzymując Josie za ramiona, pomógł jej usiąść na podłodze.

– Jak to się stało? – zapytał, wskazując głową na gips.

– Pośliznęłam się na oblodzonej ulicy. – Niespodziewanie się rozplakała i zaczęła gwałtownie łapać ustami powietrze.

Hiperwentylacja, zawyrokował Peter, chociaż tylko czytał o tym zjawisku, a jeszcze nigdy nie widział go na oczy. Wiedział natomiast, że w takich wypadkach należy oddychać przez papierową torbę. Rozejrzał się po windzie w poszukiwaniu czegoś, co spełniłoby pożądaną rolę. Na wózku z projektorem leżały jakieś papiery, zapakowane w foliowy worek, ale pomysł założenia Josie plastiku na głowę nie wydał się Peterowi szczególnie trafiony.

– Okay – rzekł uspokajającym tonem, poszukując gorączkowo sposobu zażegnania kryzysu. – Zajmijmy się czymś, co mogłoby odciągnąć twoją uwagę od miejsca, w którym się znajdujemy.

– A czym moglibyśmy się zająć?

– Pobawmy się w jakąś grę – podsunął Peter, a w uszach zadźwięczał mu głos Kurta, który w gejowskim klubie wypowiedział bardzo podobne słowa. – Co powiesz na dwadzieścia pytań?

Josie wahała się tylko chwilę.

– Zwierzę, roślina czy minerał?

Po sześciu rundach dwudziestu pytań i godzinie zagadek geograficznych Peterowi całkiem zaschło w gardle. Na dodatek chciało mu się sikać, a to był już naprawdę poważny problem, bo wiedział, że nie wytrzyma do rana, a odlewanie się na oczach Josie w żadnym razie nie wchodziło w grę. Josie znów zamknęła się w milczeniu, ale przynajmniej już nie dygotała. Peter doszedł do wniosku, że pewnie zasnęła.

Ledwo to pomyślał, usłyszał jej głos.

– Wyznanie czy wyzwanie?

Peter odwrócił się w jej stronę.

– Wyznanie.

– Czy mnie nienawidzisz?

Zwiesił głowę.

– Czasami.

– Masz za co.

– Wyznanie czy wyzwanie?

– Wyznanie – odparła Josie.

– A czy ty nienawidzisz mnie?

– Nie.

– To dlaczego zachowujesz się tak, jakbyś nienawidziła?

Potrząsnęła głową.

– Muszę robić to, czego oczekują ode mnie inni. To część... tej całej maskarady. Gdybym się wyłamała... – zaczęła skubać plastik kuli. – To skomplikowane. Nie zrozumiesz.

– Wyznanie czy wyzwanie? – spytał Peter.

Josie uśmiechnęła się wesoło.

– Wyzwanie.

– Poliż spód własnej stopy.

Josie parsknęła śmiechem.

– W tej chwili nawet nie mogę stanąć na własnej stopie. – Schyliła się jednak, zdjęła mokasyn i wysunęła język. – Wyznanie czy wyzwanie?

– Wyznanie.

– Tchórz – zdecydowała. – Czy kiedykolwiek byłeś zakochany?

Peter spojrział na Josie i przypomniał sobie, jak pewnego razu przywiązali karteczki ze swoimi adresami do balonika napelnionego helem i wypuścili go za domem w przekonaniu, że doleci do Marsa. W rezultacie otrzymali list od pewnej wdowy, która mieszkała dwie przecznice dalej.

– Uhm – odparł. – Przynajmniej tak mi się zdaje.

Rozwarła oczy ze zdumienia.

– W kim?

– Już odpowiedziałem na zadane pytanie. Wyznanie czy wyzwanie?

– Wyznanie.

– Kiedy po raz ostatni skłamałaś? Uśmiech zniknął z twarzy Josie.

– Wtedy, gdy ci powiedziałam, że się pośliznęłam na oblodzonej ulicy. Tak naprawdę pokłóciłam się z Mattem i on mnie uderzył.

– UDERZYŁ CIĘ?!

– To nie było dokładnie tak, jak myślisz... Powiedziałam coś, czego nie powinnam mówić, i wtedy Matt... tak czy owak, straciłam równowagę i zwicznęłam nogę w kostce.

– Josie...

Zwiesiła nisko głowę.

– Nikomu o tym nie mówiłam. Ty też się nie wygadasz, prawda? Obiecujesz?

– Uhm... – odparł z wahaniem. – Ale właściwie dlaczego nikomu nie mówiłaś?

– Już odpowiedziałam na zadane pytanie – powtórzyła Josie słowa Petera.

– To zapytam o to teraz.

– A ja wybiorę wyzwanie.

Peter mimowolnie zacisnął dłonie.

– Pocałuj mnie.

Josie powoli zaczęła się nachylać w jego stronę, aż jej twarz znalazła się tak blisko, że rysy uległy rozmazaniu. Pachniała jesienią – cydrem, bladymi promieniami słońca i chłodnym powietrzem, zapowiadającym nadejście zimy. Serce Petera zaczęło walić tak mocno, jakby chciało się

wyrwać z piersi. Usta Josie wylądowały w samym kąciku jego ust, już właściwie na policzku.

– Cieszę się, że nie utknęłam tutaj sama – powiedziała nieśmiało, a te słowa wydały się Peterowi tak słodkie, jak zapach miętówki dobiegający wraz z oddechem Josie.

Peter zerknął w dół i zaczął się modlić, żeby ona przypadkiem nie dostrzegła jego potężnej erekcji. Usta rozciągnęły mu się w uśmiechu tak szerokim, że aż poczuł ból w szczękach. A więc nie chodziło o to, że nie pociągają go dziewczyny; dla niego po prostu istniała tylko ta jedna jedyna.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

– Halo? Jest tam kto?

– Tak! – wrzasnęła Josie, próbując się dźwignąć na swoich kulach. – Pomocy! Usłyszeli odgłos walenia młotkiem, a potem zgrzyt łomu wdzierającego się między metalowe połówki drzwi. Gdy tylko się otworzyły, Josie wystrzeliła z windy. Obok woźnego stał Matt Royston, który natychmiast chwycił ją w objęcia.

– Zacząłem się zamartwiać, gdy nie zastałem cię w domu.

Ciekawe, czy ta sama pieprzona troska kazała ci ją uderzyć. Peter już miał te słowa na końcu języka, gdy przypomniał sobie o obietnicy złożonej Josie. Ona tymczasem wydawała z siebie okrzyki zaskoczenia i zachwyty, gdy Matt wziął ją na ręce, żeby nie musiała się męczyć kuśtykaniem o kulach.

Peter wtoczył wózek z projektorem i iBookiem do biblioteki, po czym starannie zamknął centrum audiowizualne. Było już naprawdę późno, a jeszcze czekał go długi spacer do domu, ale niespecjalnie się tym przejmował. Postanowił, że gdy tylko znajdzie się w swoim pokoju, wykreśli Josie z pocztu czarnych charakterów, które występowały w jego grze.

Przez całą drogę intensywnie rozważał, jak – z punktu widzenia programistyki – zrealizować swoje postanowienie. Dlatego też gdy doszedł do domu, potrzebował dłuższej chwili, by się zorientować, że coś jest nie w porządku. Chociaż na podjeździe stały wszystkie

samochody, w żadnym oknie nie paliło się światło.

– Hej, hej! – wykrzyknął, przemieszczając się z salonu do jadalni. – Jest tu ktoś?

Rodzice siedzieli po ciemku przy kuchennym stole. Kiedy tam wszedł, matka spojrzała na niego zamglonym wzrokiem. Było oczywiste, że płakała.

Peter poczuł, jak zalewa go fala przyjemnego ciepła. Dopiero co powiedział Josie, że rodzice nie zauważyliby jego nieobecności, a tymczasem okazało się, że to nieprawda. Nie tylko zauważyli, ale wręcz szaleli z niepokoju.

– Nic mi się nie stało – zapewnił. – Naprawdę.

Ojciec podniósł się ciężko z krzesła i walcząc ze łzami, mocno przycisnął Petera do siebie. Mimo najszczerzych chęci chłopak nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem ojciec tak go tulił. I chociaż chciał uchodzić za wyluzowanego i skończył już szesnaście lat, rozpląnął się w ojcowskich ramionach, przywarł do jego piersi, jak spragniony do źródła wody. Najpierw Josie, a teraz coś takiego? Zdaje się, że ten dzień okaże się najszcześniejszym w jego życiu.

– Nasz Joey... – załkał tymczasem ojciec. – Joey nie żyje.

Zapytajcie pierwszego lepszego dzieciaka z brzegu, czy chce należeć do szkolnej elity, a powie, że nigdy w życiu, chociaż tak naprawdę, gdyby umierał z pragnienia na pustyni i dostał do wyboru: szklanka wody lub natychmiastowa popularność – najprawdopodobniej wybrałby to drugie. Problem w tym, że nie można przyznać, jak bardzo się łaknie awansu do grona wybrańców, bo to natychmiast czyni z ciebie żalostnego frajera. Żeby zyskać autentyczny podziw, trzeba się zachowywać, jakby naprawdę się było ósmym cudem świata, a nie tylko udawało, że się nim jest.

Ciekawe, czy ktokolwiek wkłada więcej wysiłku w jakąkolwiek pracę niż dzieciaki w osiągnięcie popularności. Bo przecież nawet kontrolerzy ruchu lotniczego czy prezydent USA czasami biorą sobie

wolne, przeciętny uczeń natomiast pracuje nad poprawą statusu dwadzieścia cztery godziny na dobę przez wszystkie lata pobytu w szkole.

A jak się dostać do tego zakłętego kręgu wybrańców? Tutaj właśnie pojawia się kruczek: to w żadnym razie nie zależy od aspirującego. Liczy się jedynie, co inni sądzą o ciuchach, które nosisz, o muzyce na twoim iPodzie czy filmach i programach, jakie przechowujesz w pamięci telewizyjnego dekodera.

W tym wszystkim jednak zawsze zastanawia mnie pewna rzecz: Jeżeli dla kogoś liczą się tylko opinie innych, to czy kiedykolwiek miewa jakieś własne?

Miesiąc później

Chociaż raporty śledcze, sporządzone przez Patricka Ducharme'a, znalazły się na biurku Diany już dziesiątego dnia po strzelaninie, ona do tej pory nawet nie przebiegła ich wzrokiem. Najpierw miała na głowie rozprawę wstępną, a następnie musiała przekonać wielką ławę przysięgłych do wystawienia formalnego aktu oskarżenia. Dlatego dopiero teraz zaczęła się przedzierać przez protokoły z przesłuchań oraz wyniki analiz: balistycznych, daktyloskopijnych i materiału biologicznego.

Przez cały ranek studiowała skrupulatnie przebieg strzelaniny i w myślach układała zarys mowy wstępnej. Zamierzała odtworzyć w niej drogę destrukcji, na którą wkroczył Peter Houghton, przeprowadzić przysięgłych przez ułożony chronologicznie katalog ofiar. Pierwsza została postrzelona Zoe Patterson – na schodach wiodących do szkoły. Potem przyszła kolej na Alysę Carr, Angelę Phlug, Maddie Shaw i Courtney Ignatio. Wśród ofiar znaleźli się również: Haley Weaver i Brady Pryce, Lucia Ritolli i Grace Murtaugh.

Drew Girard.

Matt Royston.

I wielu innych.

Diana zdjęła okulary i przetarła oczy. Oto rejestr zabitych, skorowidz rannych. I to jedynie tych, których obrażenia były na tyle poważne, że wymagały hospitalizacji. Do tego dochodziły dziesiątki

dzieciaków, które opatrzone ambulatoryjnie, i dodatkowe setki kryjące rany głęboko w sercu.

Diana nie miała dzieci. Z racji zawodu jedynymi mężczyznami, jakich spotykała w życiu, byli albo przestępcy, albo – co jeszcze gorsze – adwokaci. Miała natomiast trzyletniego siostrzeńca, którego w żłobku spotkały surowe konsekwencje za to, że wyciągnął palec w stronę kolegi i powiedział: „Bum, bum. Już nie żyjesz”. Po tym incydencie Diana odebrała telefon od siostry, która była tak głęboko wzburzona sposobem potraktowania jej synka, że w pewnym momencie zaczęła się nawet powoływać na prawa człowieka i poprawki do konstytucji. Czy wówczas Diana pomyślała, że jej ukochany siostrzeniec wyrośnie na psychopatę? W żadnym wypadku! Uznała, że to była jedynie dziecinna zabawa.

Może Houghtonowie, patrząc na swojego syna, wyciągali identyczne wnioski?

Diana spojrzała na leżący przed nią spis nazwisk. Musiała powiązać tych ludzi z Peterem Houghtonem, ale przede wszystkim powinna dociec, co się wydarzyło, zanim doszło do najgorszego: w którym momencie Peter Houghton przeszedł od hipotetycznego „a może by tak...” do konkretnego „kiedy”.

Rzuciła okiem na drugą listę, dostarczoną ze szpitala. Josie Cormier. Według karty medycznej tę siedemnastolatkę zatrzymano na obserwacji z powodu rany głowy, będącej wynikiem upadku po omdleniu. Zgodę na pobranie i analizę krwi wydała matka, której podpis widniał na dole stosownego formularza – Alex Cormier.

Nie. To niemożliwe.

Diana odchyliła się na oparcie krzesła. Żaden prawnik nie chce być tym, który wystąpi do sędziego z wnioskiem czy choćby nieformalną prośbą o rezygnację z przewodniczenia sesji. To się praktycznie równało podważeniu bezstronności sędziowskiej, a ponieważ w przyszłości Diana zamierzała jeszcze nieraz występować przed sądem wyższej instancji, podobne posunięcie byłoby zawodowym samobójstwem. Ale z pewnością sędzia Cormier zdawała sobie sprawę, że nie może uchodzić

za gwaranta obiektywizmu, skoro jej córka była naocznym świadkiem wydarzeń objętych postępowaniem. Co prawda, Josie nie została postrzelona, niemniej podczas masakry odniosła pewne obrażenia. Bez wątplenia więc Alex Cormier sama ustąpi z przewodniczenia rozprawie. A to z kolei oznaczało, że Diana nie ma najmniejszych powodów do zmartwienia.

Pokrzepiona tą myślą, powróciła do studiowania materiałów zalegających na jej biurku i tak intensywnie się skupiła na pracy, że w końcu litery zaczęły jej się rozmywać przed oczami, a nazwisko „Cormier” przestało się w jakikolwiek sposób wyróżniać spośród pozostałych.

Codziennie w drodze do domu Alex mijała prowizoryczne mauzoleum ku czci pomordowanych w Sterling High. Było to dziesięć białych drewnianych krzyży, mimo że jedno z zabitych dzieci – Justin Friedman – pochodziło z rodziny żydowskiej. Owego skromnego monumentu nie wzniesiono jednak w pobliżu szkoły, ale przy drodze numer 10, na terenach zalewowych rzeki Connecticut. Przez kilka kolejnych dni po masakrze wokół krzyży, obłożonych bukietami kwiatów i fotografiami, regularnie zbierało się grono żałobników.

Pod wpływem nagłego impulsu Alex zjechała na pobocze. Nie umiałyby wytłumaczyć, dlaczego nigdy wcześniej nie przystanęła w tym miejscu ani czemu zrobiła to właśnie teraz. Obcasy jej butów zapadały się w podmokłej trawie. Zatrzymała się przed krzyżami.

Były ustawione w pozornym nieładzie. Na przecięciu ramion każdego z nich widniało nazwisko zabitego ucznia, wycięte w miękkim drewnie. Krzyże upamiętniające Courtney Ignatio i Maddie Shaw znajdowały się tuż obok siebie. Leżące pod nimi kwiaty zwiędły, a owijająca je zielona bibułka zaczęła już gnąć i wsiąkać w ziemię. Alex przyklęła i powiodła palcem po wierszu przyczepionym pinezką do krzyża z nazwiskiem Courtney.

Courtney i Maddie kilka razy przyszły na piżamowe party Josie.

Alex przypomniała sobie, jak natknęła się na nie w kuchni: zamiast piec herbatniki, jadły surowe ciasto i poruszały się z miękką lekkością oceanicznych fal. Poczowała wówczas ukłucie zazdrości – jakże by chciała znowu być taka młoda, wolna od błędów zmieniających na zawsze bieg życia. Teraz natomiast ogarnął Alex łagodny smutek: ona przynajmniej wciąż miała przed sobą jakieś życie.

Jednak na dobre się rozkleiła przy krzyżu Matta Roystona. Oparte o białe trzon, stało zdjęcie w ramce, które ktoś dodatkowo owinął przezroczystą folią, mającą je chronić przed kapryсами aury.

Oto Matt, z jaśniejącymi oczami, nonszalancko obejmujący ramieniem Josie, która nie patrzyła w obiektyw kamery, ale wpatrywała się w Matta, jakby poza nim nic innego nie istniało na świecie.

Nagle dotarło do Alex, że o wiele łatwiej dać upust emocjom w tym prowizorycznym miejscu pamięci niż w domu, gdzie córka mogłaby usłyszeć jej płacz. Ze względu na Josie odgrywała rolę kobiety chłodnej i opanowanej, ale jedyną osobą, której nie umiała zwieść, była ona sama. Podejmowała codzienne obowiązki z pozorną łatwością, z jaką chwyta się zgubione w robótce oczko, wmawiała sobie, że Josie należała do szczęśliwych wybrańców, ale gdy stawała pod prysznicem lub znajdowała się w tym szczególnym stanie zawieszenia pomiędzy jawą a snem, zaczynała niepohamowanie dygotać, jak ludzie, którzy o włos uniknęli katastrofy.

Realia życia to suma faktów zaistniałych po wykluczeniu przez los alternatywnych scenariuszy, dyktowanych naszymi marzeniami, nadzieją czy, jak w tym konkretnym przypadku, panicznymi lękami. Alex spędziła wiele bezsennych nocy na roztrząsaniu nieprzewidywalnej natury splotu wydarzeń: bo przecież równie dobrze mogła teraz klęczeć pod krzyżem wystawionym ku pamięci Josie, pod którym stałoby identyczne zdjęcie. Wystarczyłoby drgnienie ręki zamachowca, jeden fałszywy krok, rykoszet kuli – a sytuacja przedstawiałaby się zupełnie inaczej.

Alex odetchnęła głęboko i podniosła się z kolan. W drodze powrotnej do samochodu zauważyła otwór po jedenastym krzyżu. Gdy

już stało ich dziesięć, pojawił się jeszcze jeden z nazwiskiem Petera Houghtona, ale noc w noc ktoś go usuwał bądź bezcześcił. Alex czytała w miejscowej prasie polemiczne artykuły, poruszające ten temat. Czy Peter Houghton zasługiwał na krzyż, skoro wciąż pozostawał przy życiu? Czy tego typu upamiętnienie jego nazwiska było uwrażliwieniem na inny rodzaj tragedii, czy aktem profanacji? Ostatecznie osoba, która obstalowała krzyż dla Petera Houghtona, dała za wygraną.

Alex wsiadła z powrotem do samochodu i dopiero wówczas uderzyło ją, że aż do tej pory nie chciała pamiętać, iż na swój sposób Peter Houghton jest również jedną z ofiar tych przerażających wydarzeń.

Od Tamtego Dnia, jak w myślach zaczęła go określać, Lacy odebrała trzy porody. I chociaż wszystkie przebiegły bez najmniejszych komplikacji, za każdym razem przeżywała ogromny stres. Gdy teraz wchodziła do sali porodowej, czuła, że ktoś tak zainfekowany złem jak ona nie powinien asystować w przychodzeniu na świat innej ludzkiej istoty. Lacy się uśmiechała do świeżo upieczonych matek, zapewniała im wsparcie i opiekę medyczną, ale gdy wypisywała je do domu i przecinała pępowinę łączącą te kobiety ze szpitalem, natychmiast ogarniało ją przekonanie, że nie udzieliła im właściwych porad. Zamiast gładkich frazesów w rodzaju: „Dziecko najlepiej karmić na życzenie” i „Nigdy zbyt dużo przytulania malucha”, powinna wyjawiać im prawdę: „To tak wyczekiwane przez ciebie dziecko nigdy nie będzie istotą z twoich wyobrażeń. Nie znasz natury tego małego człowieka, jesteście dla siebie parą obcych ludzi, i tak już pozostanie”.

Przed laty, gdy chłopcy byli mali, Lacy często się zastanawiała przed nadejściem snu, jak wyglądałoby jej życie, gdyby nie została matką. I wówczas natychmiast widziała pod powiekami obraz Joeya wręczającego jej bukiet z mleczu i koniczyny; Petera zasypiającego na jej piersi, zaciskającego w łapce koniuszek matczynego warkocza.

Odtwarzała w wyobraźni agonie skurczów porodowych oraz mantrę, którą wówczas powtarzała: „Ból przeminie, a tylko pomyśl, jaka czeka cię nagroda”. Macierzyństwo sprawiło, że świat nabrał wyrazistszych barw i kształtów; napełniło Lacy przekonaniem, że jej życie jest cudownie spełnione. Wówczas nie wiedziała jeszcze, jak boleśnie może kaleczyć wspomnienie tak zachwycających obrazów. Nie miała świadomości, że tylko ktoś, kto doświadczył pełni życia, jest w stanie rozpoznać ból wywołany pustką.

Nie mówiła swoim pacjentkom – wielki Boże, nie powiedziała tego nawet Lewisowi! – że kiedy teraz leżała w łóżku i wyobrażała sobie, jakie byłoby jej życie, gdyby nie została matką, smakowała na języku tylko jedno gorzkie słowo: PROSTSZE.

Dzisiaj był dzień konsultacyjny. Lacy przyjęła już pięć kobiet i czekała teraz na szóstą. „Janet Isinghoff” – przeczytała na karcie medycznej. Chociaż była to stała pacjentka innej konsultantki, w ich przychodni obowiązywała zasada, że wszystkie ciężarne spotykają się przynajmniej raz z każdą położną, ponieważ nie sposób przewidzieć, która będzie miała dyżur, gdy rozpocznie się akcja porodowa.

Janet Isinghoff była trzydziestotrzyletnią pierwiastką, obciążoną dziedzicznie ryzykiem zachorowania na cukrzycę. Raz w życiu przeszła hospitalizację z powodu zapalenia wyrostka robaczkowego, cierpiała na łagodną postać astmy, ale, ogólnie rzecz biorąc, cieszyła się dobrym zdrowiem. Teraz natomiast stała w progu gabinetu, kurczowo zaciskając poły szpitalnej koszuli, i toczyła gorący spór z Priscillą, pielęgniarką ginekologiczną.

– Nic mnie to nie obchodzi! – denerwowała się Janet. – Ostatecznie zawsze mogę się przenieść do innego szpitala.

– To po prostu kwestia zasad obowiązujących w naszej przychodni – tłumaczyła cierpliwie Priscilla.

– Czy mogłabym w czymś pomóc? – spytała Lacy z uśmiechem.

Priscilla wysunęła się przed pacjentkę.

– To jedynie drobne nieporozumienie.

– Mnie się wydało całkiem poważne – zauważyła Lacy.

– Nie chcę, żeby moje dziecko przyjmowała na świat matka mordercy! – wybuchnęła Janet.

Lacy skamieniała i z trudem złapała oddech, jakby właśnie zainkasowała potężny cios. Czyż zresztą tak się właśnie nie stało?

Priscilla spłasowała.

– Pani Isinghoff, myślę, że będę wyrazicielką opinii każdej z pracujących tu położnych i pielęgniarek, kiedy powiem...

– W porządku – weszła jej w słowo Lacy. – Rozumiem.

Teraz już cały personel obserwował rozgrywającą się scenę. Lacy dobrze wiedziała, że te wszystkie kobiety były gotowe solidarnie wystąpić w jej obronie: powiedzieć Janet, że ma sobie poszukać innej przychodni; zagwarantować, że Lacy jest jedną z najlepszych i najbardziej doświadczonych położnych w całym New Hampshire. Ale to nie miało większego znaczenia, bo już nie chodziło tylko o Janet Isinghoff. Jutro lub pojutrze zjawi się kolejna kobieta, która zgłosi identyczne obiekcje. Ostatecznie jaka matka chciałaby, żeby ręce, które pierwsze miały dotknąć jej nowo narodzonego dziecka, były tymi samymi rękami, które przed laty trzymały dłoń mordercy na przejściu dla pieszych; które odgarniały mu włosy ze spoconego czoła, gdy był chory; które kołysały go do snu?

Lacy ruszyła holem do wyjścia ewakuacyjnego, a potem wbiegła schodami na ostatnie piętro. Czasami, gdy miała wyjątkowo ciężki dzień, zaszywała się na dachu szpitala. Kładła się na plecach i wpatrywała w niebo, bo ten widok pozwalał jej udawać przed sobą samą, że jest w dowolnym miejscu na ziemi.

Rozprawa będzie czystą formalnością, Peter z pewnością zostanie uznany za winnego, bez względu na to, jak bardzo Lacy wmawiała sobie – i synowi – że wydarzenia się potoczą inaczej. Owa bolesna, niewypowiedziana prawda wisiała nad nimi ciężko podczas strasznych więziennych widzeń. Lacy miała wrażenie, że znalazła się w sytuacji przypominającej w swej istocie przypadkowe spotkanie z dawno niewidzianą znajomą, która jest teraz pozbawiona włosów i brwi, więc na pierwszy rzut oka widać, że przechodzi agresywną chemioterapię,

jednak żadna ze stron słowem nie porusza tego tematu, ponieważ obu tak jest wygodniej.

Gdyby tylko ktoś udostępnił Lacy mównicę, obwieściłaby wszem i wobec, że była równie zaskoczona – i zdruzgotana! – poczynaniami Petera jak reszta świata. Że Tamtego Dnia ona także straciła syna. I nie tylko fizycznie – na rzecz instytucji penitencjarnej – ale również w wymiarze emocjonalnym i duchowym, ponieważ chłopiec, którego znała, zniknął z powierzchni ziemi, wchłonięty przez obcą jej bestię, zdolną do czynów gorszych niż w najbardziej przerażających snach.

Ale co, jeżeli Janet Isinghoff jednak miała rację? Jeżeli do tego miejsca w życiu doprowadziło Petera coś, co Lacy kiedyś powiedziała lub zrobiła – bądź nie powiedziała czy nie zrobiła?

Czy można nienawidzić syna za czyny, których się dopuścił, a jednocześnie kochać go za to, kim był w przeszłości?

Rozległ się skrzyp drzwi i Lacy odwróciła się zdumiona. Praktycznie nikt tutaj nie przychodził, ale z drugiej strony, ona jeszcze nigdy nie wybiegła z przychodni w takim wzburzeniu. Okazało się jednak, że w progu nie stała Priscilla ani żadna inna położna, ale Jordan McAfee z plikiem papierów w ręku. Lacy zacisnęła powieki.

– Super.

– Wiem, żona nieustannie to powtarza na mój widok. – Jordan ruszył w stronę Lacy, uśmiechając się szeroko. – A może wcale tak nie mówi... może to jedynie moje pobożne życzenie... Dowiedziałem się od twojej sekretarki, że najprawdopodobniej cię tu znajdę, i... Lacy? Wszystko w porządku?

W pierwszym odruchu przytaknęła, ale zaraz zaczęła kręcić przecząco głową. Jordan ujął ją pod ramię i zaprowadził do jednego z rozkładanych turystycznych fotelików, które ktoś kiedyś wtaszczył na ten dach.

– Kiepski dzień?

– Można tak powiedzieć. – Lacy próbowała ukryć przed Jordanem łzy. Wiedziała, że to głupie, ale nie chciała, by adwokat Petera uznał ją za osobę, z którą należy się obchodzić w białych rękawiczkach.

Wówczas zaczęłby taić przed nią przykre informacje na temat jej syna, a ona chciała wiedzieć wszystko – bez względu na to, jak bardzo to mogło boleć.

– Potrzebuję kilku twoich podpisów... ale mogę przyjść innym razem...

– Nie, nie. Już... już dobrze. – Nagle dotarło do niej, że jest nawet lepiej niż dobrze. Przyjemnie było dla odmiany posiedzieć u boku kogoś, kto wierzył w Petera, nawet jeżeli robił to za pieniądze. – Czy mogę ci zadać pytanie natury zawodowej?

– Jasne.

– Dlaczego ludzie tak pochopnie, bez żadnej refleksji, przesadzają o winie innych?

Jordan usiadł naprzeciwko, na samym skraju dachu, co wywoływało w Lacy niepokój, nad którym jednak zapanowała, ponieważ nie chciała okazywać w obecności Jordana choćby cienia słabości.

– Ludzie potrzebują kozła ofiarnego – odparł. – To wynika z naszej natury i bardzo utrudnia życie adwokatom. Teoretycznie każdy jest niewinny do czasu udowodnienia winy, ale wystarczy, że ktoś zostanie aresztowany, a niemal wszyscy widzą w nim przestępcę. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak wielu ludzi policja wypuszcza po wstępnych przesłuchaniach. Myślisz, że w takiej sytuacji gliniarze śpieszą się z gorącymi przeprosinami? Stają na czubku fiuta, by poinformować rodzinę, przyjaciół i współpracowników delikwenta, że to była jedna wielka pomyłka? W najlepszym wypadku bąkną: „Mój błąd”, po czym się zmywają. – Spojrzał Lacy w oczy. – Wiem, jak ci ciężko, gdy widzisz te wszystkie artykuły prasowe, w których już skazano Petera, chociaż proces jeszcze nawet nie ruszył, ale...

– Nie chodziło mi o Petera – szepnęła Lacy. – Oni wszyscy obwiniają mnie.

Jordan skinął głową, jakby się spodziewał podobnego wyznania.

– Peter nie działał zgodnie z zasadami, które mu wpajaliśmy. On je wszystkie złamał – ciągnęła Lacy. – Masz małe dziecko, prawda?

– Tak. Synka Sama.

– A jeżeli w przyszłości będzie kimś zupełnie innym, niż się spodziewasz?

– Lacy...

– Jeżeli na przykład powie ci, że jest gejem?

Jordan wzruszył ramionami.

– To żaden problem.

– A jeśli przejdzie na islam?

– Jego wybór.

– A jeżeli zostanie zamachowcem-samobójcą?

– O czymś takim, Lacy, nawet nie chcę myśleć.

– Oczywiście. – Spojrzała na niego znacząco. – Ja też nie chciałam.

Philip O'Shea i Ed McCabe byli parą przez niemal dwa lata. Patrick wpatrywał się w zdjęcia ustawione na półce kominka – dwaj mężczyźni objęci ramionami na tle kanadyjskich Gór Skalistych, przed Corn Palace w Dakocie Południowej i u stóp wieży Eiffla.

– Lubiliśmy podróże – wyjaśnił Philip, podając Patrickowi szklanekę z mrożoną herbatą. – Ed chętnie się stąd wyrывał; dopiero wówczas czuł się naprawdę wolny i swobodny.

– Dlaczego?

Philip wzruszył ramionami. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o twarzy usianej piegami, które jednak uwidoczniły się dopiero pod wpływem emocji.

– Ed nikomu się nie zwierzał ze swojego... stylu życia. A prawdę powiedziawszy, zachowywanie tajemnicy w małym miasteczku pochłania cholernie dużo energii.

– Panie O'Shea...

– Proszę mi mówić Philip.

Patrick skinął głową.

– Czy Ed kiedykolwiek wspominał o Peterze Houghtonie?

– Ed był kiedyś jego nauczycielem.

– Tak, wiem. A coś poza tym?

Philip zaprowadził Patricka na oszkloną werandę, gdzie stał komplet wiklinowych foteli. Każde pomieszczenie w tym domu wyglądało tak, jakby za chwilę miała tu wejść ekipa fotograficzna z ekskluzywnego czasopisma: poduszki na kanapach były ułożone pod idealnym kątem czterdziestu pięciu stopni; na blatach stały przezroczyste wazony, pełne szklanych kulek; rośliny doniczkowe imponowały soczystością zieleni. Patrick pomyślał o własnym pokoju, w którym dzisiaj rano znalazł między poduchami sofy kawałek tostu, porastający pleśnią. W domu Eda i Philipa unosił się duch Marthy Stewart, mieszkanie Patricka zaś niewiele odbiegało wyglądem od meliny handlarzy cracku.

– Ed swego czasu rozmawiał z Peterem. A w każdym razie próbował z nim rozmawiać.

– Na jaki temat?

– Wyobcowania. Nastolatki często miewają problemy z odnalezieniem się w grupie. Jeżeli z mety nie zyskują popularności, próbują sportu. Jeżeli to nie działa, dołączają do kółka dramatycznego... lub do ćpunów – wyjaśnił. – W opinii Eda Peter próbował szukać swojego miejsca wśród gejów i lesbijek.

– A więc Peter przyszedł do Eda i wyznał, że jest gejem?

– Ależ skąd. To Ed nawiązał kontakt z Peterem. Wszyscy pamiętamy, jakie mieliśmy problemy z zaakceptowaniem własnej odmienności, gdy byliśmy w wieku Petera. Żyliśmy w nieustannym lęku, że jakiś dzieciak, który jest tej samej orientacji, bezwiednie nas zdemaskuje.

– Czy, według ciebie, Peter mógł się obawiać, że Ed zdekonspiruje go przed kolegami?

– Serdecznie w to wątpię, zwłaszcza gdy chodzi o Petera.

– Dlaczego?

Philip uśmiechnął się pod nosem.

– Czy kiedykolwiek słyszałeś słowo „gejdar”⁷?

7 Zbitka słów „gej” i „radar” (przyp. tłum.)

Patrick się zmieszał. Poczł się równie głupio, jak wtedy, gdy jakiś Afroamerykanin opowiadał rasistowski dowcip – tylko dlatego, że jemu to uchodziło.

– Homoseksualizm nie idzie w parze z określonymi cechami zewnętrznymi, takimi jak odmienny kolor skóry czy widoczne kalectwo. Dlatego każdy gej szybko się uczy wyłapywać pewne manieryzmy, odczytywać wymowę spojrzeń. Po pewnym czasie jesteśmy w stanie bezbłędnie rozpoznać orientację seksualną innych osób. Umiemy rozróżnić, czy facet nam się przygląda, ponieważ sam jest gejem, czy dlatego, że widzi w nas odmieńców.

Patrick dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że odruchowo się odsunął od Philipa, co ten skwitował serdecznym śmiechem.

– Możesz wyluzować. Wystarczy jeden rzut oka, by wiedzieć, że grasz w przeciwnej drużynie. – Spojrzał Patrickowi w oczy i spoważniał. – Podobnie jak Peter Houghton.

– Nie rozumiem...

– Może sam Peter nie był pewien swojej orientacji, ale Ed nie miał najmniejszych wątpliwości: chłopiec jest zdecydowanie heteroseksualny.

Peter wpadł do salki konferencyjnej wyraźnie najeżony.

– Dlaczego tak długo mnie nie odwiedzałeś?!

Jordan podniósł wzrok znad notatek. Mimochodem zarejestrował, że Peter zmęźniał, nabrał mięśni.

– Byłem zajęty.

– A ja całym dniami tkwię tu sam jak kołek.

– Natomiast ja w tym czasie haruję, by ten etap w twoim życiu nie przeszedł w stan permanentny – odparował Jordan. – Siadaj.

Peter, wciąż miotający wzrokiem pioruny, opadł na jedno z krzesel.

– A gdyby dzisiaj nie chciało mi się z tobą gadać? Jeśli ty nie masz ochoty ze mną rozmawiać, to po prostu się nie zjawiasz.

– Peter, daruj sobie to pieprzenie, żebym mógł się wreszcie zająć

swoją pracą, okay?

– Myślisz, że mnie obchodzi twoja praca?

– A powinna. Ostatecznie to ty masz korzystać z jej owoców. – Gdy ta historia dobiegnie końca, pomyślał Jordan, albo zstąpię w czeluście piekieł, albo zostanę kanonizowany. – Chciałbym porozmawiać na temat materiałów wybuchowych. Jak można je zdobyć?

– Wystarczy wejść na stronę www.bum.com – odparł Peter.

Jordan skwitował tę uwagę wymownym milczeniem.

– To, co powiedziałem, wcale nie jest dalekie od prawdy. To znaczy... w sieci można bez problemu znaleźć „Kuchnię anarchisty”, a do tego dziesięć tysięcy przepisów na koktajle Mołotowa.

– Policja nie znalazła w szkole takich koktajli. Natknęli się natomiast na bomby z plastikiem, zapalnikiem i mechanizmem zegarowym.

– Hm. No cóż...

– Powiedzmy, że chciałbym skonstruować bombę z tego, co mam w domu pod ręką. Czego bym użył?

Peter wzruszył ramionami.

– Gazety. Nawozu do roślin doniczkowych – na przykład takiego jak Green Thumb. Waty. No i potrzebowałbyś jeszcze paliwa diesla, ale akurat tego prawdopodobnie nie miałbyś w domu, więc musiałbyś pojechać na stację benzynową.

Jordan uważnie przyglądał się Peterowi. Rzeczowość tonu tego dzieciaka wywoływała mrozący efekt, ale chyba jeszcze bardziej przerażająca była nuta dumy z własnej wiedzy i osiągnięć, której echo pobrzmiwało w jego słowach.

– A więc jeszcze przed owym pamiętnym dniem konstruowałeś bomby.

– Pierwszą zrobiłem tylko po to, żeby sprawdzić, czy sobie poradzę.

– Peter wyraźnie się ożywił. – Potem zmontowałem jeszcze kilka innych. Takich, które się rzuca przed siebie, a potem gna co sił w przeciwną stronę.

– Czym się od nich różniły te ze szkoły?

– Przede wszystkim zastosowanymi materiałami. Najpierw trzeba

wyekstrahować chlorek potasu z wybielacza, co nie jest proste, ale wykonalne. Podobne do ćwiczeń laboratoryjnych z chemii. Kiedy odfiltrowywałem kryształy, do kuchni wszedł ojciec. Wtedy właśnie się powołałem na chemię – powiedziałem, że to specjalny projekt, dzięki któremu dostanę lepszy stopień.

– Jezu.

– W każdym razie, jak już masz ten chlorek, potrzebujesz jeszcze wazeliny, która u nas stoi w szafce pod umywalką, gazu z najzwyklejszej butli turystycznej i tej woskowej substancji, wykorzystywanej przy puszkowaniu pikli. Trochę mnie niepokoił montaż zapalnika – wyznał Peter. – No wiesz, jeszcze nigdy wcześniej tego nie robiłem, ale jak już ułożysz sobie w głowie cały plan...

– Wystarczy – przerwał mu Jordan. – Nie mów ani słowa więcej.

– Przecież sam chciałeś, żebym o wszystkim opowiedział. – Peter był wyraźnie urażony.

– Niemniej nie mogę wysłuchać dalszej części wywodu. Moje zadanie polega na doprowadzeniu do twojego uniewinnienia, ale jednocześnie nie wolno mi wygłaszać nieprawdziwych oświadczeń przed ławą przysięgłych. Oczywiście jest, że nie sposób skłamać na temat czegoś, o czym się nie ma pojęcia. Więc na razie mogę śmiało twierdzić, że zgodnie z moją wiedzą, nie zaplanowałeś tej strzelaniny. I chciałbym, aby tak pozostało. A i ty, jeżeli masz choć odrobinę instynktu samozachowawczego, powinienes o to zadbać.

Peter podszedł do okna. Szyba była tak porysowana, że aż całkowicie matowa. Czyżby więźniowie próbowali ją wyrywać gołymi rękami, by się wydostać na wolność? Tak czy inaczej Peter nie zdoła przez nią zobaczyć, że śnieg już całkowicie stopniał, a na powierzchnię przebiły się pierwsze krokusy. Może to zresztą i lepiej.

– Zacząłem chodzić do kaplicy – oznajmił Peter.

Jordan miał sceptyczny stosunek do zinstytucjonalizowanych religii, ale nikomu nie odmawiał prawa do wyboru dowolnej formy pokrzepienia duchowego.

– To dobrze.

– Robię to dlatego, że tylko na mszę wypuszczają mnie z celi. Nie odnalazłem nagle Jezusa, nic z tych rzeczy.

– Okay. – Jordan nie rozumiał, jaki to może mieć związek z materiałami wybuchowymi, czy też z obroną Petera w ogóle. I, szczerze mówiąc, nie chciał tracić czasu na rozważania o naturze Boga, ponieważ za dwie godziny miał się spotkać z Seleną w celu wyselekcjonowania ewentualnych świadków obrony. A jednak coś go powstrzymywało od stanowczego przecięcia tej rozmowy.

Peter zwrócił się w stronę Jordana.

– Wierzysz w piekło?

– Jasne. Jest zaludnione przez adwokatów. Zapytaj pierwszego lepszego prokuratora.

– Nie, ja mówię poważnie – rzekł Peter. – Założę się, że tam wyląduję.

Jordan zmusił się do uśmiechu.

– Nie obstawiam w zakładach, jeżeli nie mam żadnych szans na odbiór wygranej.

– Ojciec Moreno, kapelan więzienny, mówi, że jeżeli się przyjmie Jezusa i żałuje za grzechy, to będą nam one wybaczone... jakby religia była jedną wielką darmową przepustką, dzięki której wejdiesz, gdzie chcesz, i wyleziesz z najgorszego szamba. Ale widzisz, coś mi się w tym wszystkim nie zgadza... bo ojciec Moreno twierdzi jednocześnie, że każde życie jest bezcenne... więc co z tą dziesiątką dzieciaków, które umarły?

Chociaż rozsądek i instynkt podpowiadały inaczej, Jordan jednak otworzył usta.

– Czemu użyłeś takiego sformułowania?

– Jakiego?

– „Dzieciaków, które umarły”. Jakby zginęły śmiercią naturalną.

Peter zmarszczył brwi.

– Ponieważ tak było.

– Słucham?

– Wiesz, to jest trochę tak jak z tymi materiałami wybuchowymi.

Kiedy odpalasz bombę, możesz doprowadzić do jej samozniszczenia... albo ta bomba rozwali wszystko dookoła.

Jordan wstał zza stołu i postąpił krok w stronę swojego klienta.

– Kto jednak podpałił lont, Peterze?

– A czy był ktoś, kto go nie podpałał?

Josie myślała o swoich przyjaciółach jak o ludziach, którzy odpadli z peletonu. Haley Weaver wyjechała do Bostonu na operację plastyczną; John Eberhard przebywał w jakimś ośrodku rehabilitacyjnym, gdzie studiował elementarz i uczył się pić przez słomkę; Matt, Courtney i Maddie rozplynęli się w niebycie.

Ich dawne grono skurczyło się do zaledwie czterech osób – Josie, Drew, Emmy oraz Brady’ego – więc w zasadzie już nawet trudno je było nazywać gronem.

Siedzieli w piwnicznym pokoju rekreacyjnym Emmy i oglądali film na DVD. Obecnie ich życie towarzyskie ograniczało się tylko do takich kameralnych spotkań. Drew i Brady wciąż byli w gipsie i bandażach, a poza tym – chociaż żadne z nich nie chciało powiedzieć tego głośno – wypadły do miejsc, które kiedyś chętnie odwiedzali, przypominałyby im tylko o nieobecnych.

To Brady wypożyczył film. Josie nie pamiętała tytułu, ale była to jedna z tych produkcji, które masowo wypuszczono na rynek po sukcesie „American Pie”. Wytwórnice najwyraźniej doszły do wniosku, że wystarczy podsunąć widowni miszmasz hollywoodzkich wyobrażeń o życiu nastolatków, okraszony kilkoma nagimi panienkami i gotowymi na wszystko facetami, a kosmiczny zysk jest praktycznie gwarantowany. Akurat w tej chwili na ekranie rozgrywał się szaleńczy pościg samochodowy i główny bohater, wrzeszcząc co sił w płucach, przelatował na drugą stronę podnoszącego się z wolna mostu zwodzonego.

Josie doskonale wiedziała, że mu się uda. Po pierwsze, to była komedia. Po drugie, żaden scenarzysta nie odważyłby się na

uśmiercenie głównej postaci w połowie filmu. Po trzecie, nauczyciel fizyki, na przykładzie tej właśnie sceny, udowodnił im naukowo, że przy odpowiedniej prędkości samochodu oraz trajektorii lotu taka sztuczka może się rzeczywiście udać – ale jedynie w bezwietrzny dzień.

Ponadto Josie zdawała sobie sprawę, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, a człowiek siedzący w samochodzie nie jest nawet aktorem odgrywającym główną rolę, lecz kaskaderem, który podobną ewolucję wykonywał już tysiące razy. Teraz jednak, chociaż akcja rozwijała się wartko, zauważała szczegóły, na które nigdy wcześniej nie zwracała uwagi: zgrzyt zderzaka walącego o przeciwległy kraniec mostu. Błysk metalu w powietrzu, plusk wody i tonący kołpak samochodowy.

Dorośli do znudzenia powtarzają, że nastoletnie dzieciaki jeżdżą zbyt szybko, eksperymentują z narkotykami, nie używają kondomów, ponieważ w swoich wyobrażeniach są niezniszczalne. Ale prawda jest taka, że śmierć często dopada ludzi w najtrywialniejszych okolicznościach. Brady równie dobrze mógł dostać zawału na boisku futbolowym, jak wielu młodych sportowców, którzy nagle padli trupem. Emma mogła zostać rażona piorunem. Drew – wejść do najzwyczajszego liceum w nadzwyczajny dzień.

Josie poderwała się z sofy.

– Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Wbiegła po schodach do holu, po czym wyszła przed dom. Usiadła na werandzie i spojrzała w niebo, na którym połyskiwały dwie niemal zrosnięte ze sobą gwiazdy. Nastolatki nie są niezniszczalne, ale najzwyczajniej w świecie głupie.

Usłyszała szmer otwieranych drzwi.

– Hej – mruknął Drew i usiadł u jej boku. – Dobrze się czujesz?

– Doskonale. – Rozciągnęła usta w uśmiechu, jakby były z gumy. Stawała się powoli mistrzynią gry pozorów. Kto by pomyślał, że jednak odziedziczyła coś po matce?

Drew zerwał źdźbło trawy i zaczął drzeć je paznokciem na strzępy.

– To samo mówię temu kretyńskiemu psychologowi szkolnemu, kiedy mnie ściąga do swojego gabinetu i pyta, jak leci.

– Nie wiedziałam, że ty też do niego chodzisz.

– Chyba wzywa wszystkich, którzy... no wiesz... byli o włos...

Od czego? – pomyślała Josie. Od tych, którym nie dopisało szczęście? Od własnej śmierci? Czy od popełnienia samobójstwa?

– Myślisz, że ktokolwiek mówi mu coś istotnego? – spytała.

– Wątpię. Nie było go tam owego dnia, więc i tak niczego by nie pojął.

– A są tacy, co pojmują?

– Ty. Ja. Nasi przyjaciele. Witaj w klubie, do którego nikt nigdy dobrowolnie nie wstąpi. My zostaliśmy dożywotnimi członkami.

Josie nie chciała się rozpłakać, ale słowa Drew i ten głupi chłopak z filmu, próbujący przeskoczyć przez zwodzony most, a na dodatek gwiazdy połyskujące zimno jak igły sprawiły, że z jej oczu popłynęły łzy. Drew objął ją zdrowym ramieniem i Josie przywarła do niego z całej siły. Zamknęła oczy i przycisnęła policzek do flanelowej koszuli. I wówczas poczuła się tak swojsko, jakby po latach błąkania się po świecie wróciła wreszcie do domu, do własnego łóżka, w którym materac jest idealnie dopasowany do każdej wypukłości i wgłębienia jej ciała. A mimo to... flanela koszuli nie pachniała jak dawniej. Obejmujący ją chłopak nie miał tych samych kształtów. Był po prostu kimś innym.

– Chyba nie dam rady... – szepnęła.

Drew natychmiast się odsunął, mocno speszony.

– Ja nie miałem takich zamiarów. Ty i Matt... Dobrze wiem, że nadal do niego należysz – dodał rzeczowym tonem.

Josie spojrzała w niebo i pokiwała głową, jakby Drew rzeczywiście zdołał odgadnąć sens jej słów.

Stacja serwisowa zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce. Peter się nie stawił na przegląd w wybranym przez siebie dniu, czy zechciałby się umówić na inny termin?

Lewis był w domu sam, gdy odsłuchiwał nagranie. Zanim na dobre

zdał sobie sprawę, co właściwie robi, już trzymał słuchawkę w rękę i wystukiwał numer serwisu. W konsekwencji, choć wbrew logice, kilka dni później pojawił się na stacji. Wsiadł z samochodu i podał kluczyki mechanikowi.

– Proszę wejść do środka – zachęcił mężczyzna. – Mamy tam kawę.

Lewis napełnił kubek do połowy, wrzucił trzy kostki cukru i dolał hojnie mleka – dokładnie tak, jak zrobiłby Peter. Usiadł przy stoliku i zamiast wziąć w rękę podniszczonego „Newsweeka”, podniósł egzemplarz „Gier Komputerowych”.

Po czym zaczął w myślach powolne odliczanie.

Ledwo doszedł do trzech, w poczekalni pojawił się serwisant.

– Panie Houghton, ten samochód, którym pan przyjechał... ma przegląd ważny do lipca.

– Tak, wiem.

– Ale... umówił się pan z nami na dzisiaj...

Lewis skinął głową.

– Nie przyjechałem samochodem, który miał być poddany przeglądowi.

Ponieważ tamten samochód został zarekwirowany przez policję. Razem z książkami Petera, jego komputerem, czasopismami i Bóg tylko wie czym jeszcze.

Mechanik patrzył na niego z takim wyrazem twarzy, jaki przybierają ludzie, gdy do nich dociera, że się znaleźli w oparach absurdu.

– Panie Houghton...? Nie jesteśmy w stanie przeprowadzić przeglądu samochodu, którego nie ma.

– Oczywiście. Oczywiście, że nie jesteście. – Lewis odłożył czasopismo z powrotem na stół, wygładził pomiętą okładkę, a potem potarł ręką czoło. – Rzecz w tym, że... to mój syn umówił się na ten przegląd. Postanowiłem dotrzymać terminu w jego imieniu.

Mechanik skinął głową i zaczął powoli wycofywać się rakiem.

– Rozumiem... naturalnie... zostawię pana samochód przed wejściem, dobrze?

– Chciałem tylko – odezwał się Lewis – abyście wiedzieli, że przeszedłby ten przegląd celująco.

Kiedy Peter był jeszcze dzieckiem, Lacy wysłała go na obóz wakacyjny – ten sam, na który uwielbiał jeździć Joey. Ośrodek był zlokalizowany po drugiej stronie rzeki, w stanie Vermont, i oferował wiele atrakcji: jazdę na nartach wodnych po jeziorze Fairlee, naukę żeglarstwa i parodniowe wycieczki kajakowe. Peter zadzwonił już po pierwszej nocy i błagał rodziców, żeby go stamtąd zabrali. Lacy była gotowa natychmiast wskoczyć w samochód i jechać po syna, ale odwiódł ją od tego Lewis. „Jeżeli nie spróbuje pokonać przeciwności – argumentował – nigdy się nie dowie, na co naprawdę go stać”.

Gdy Lacy zobaczyła Petera po upływie dwóch tygodni, natychmiast zauważyła, że jest odmieniony. Urósł i zmężniał... ale w jego oczach pojawił się zupełnie nowy wyraz: nie było w nich blasku, lecz zszarzały popiół. A kiedy syn na nią spojrział, w jego wzroku dojrzała dystans i rezerwę – jakby już przestał ją uważać za swojego sojusznika.

Teraz patrzył na nią w ten sam sposób, podczas gdy ona siliła się na uśmiech i udawała, że nie przeszkadza jej upiorne, jarzeniowe światło, padające z sufitu, i że w każdej chwili mogłaby go pochwycić w ramiona, zamiast patrzeć na niego jedynie zza czerwonej linii, wymalowanej na więziennej posadzce.

– Wiesz, co znalazłam wczoraj na strychu? Dinozaura, którego tak kochałeś – tego, który ryczał, gdy się go pociągało za ogon. Kiedyś myślałam, że nigdy się z nim nie rozstaniesz – że nawet idąc do ślubu kościelną nawą, będziesz go trzymał pod pachą... – Urwała, bo właśnie dotarło do niej, że Peter może nigdy nie doświadczyć czegoś takiego jak ślub, a jedyną nawą, jaką przyjdzie mu kroczyć, okaże się więzienny korytarz między celami. – W każdym razie – uśmiechnęła się jeszcze szerzej – położyłam tego dinozaura na twoim łóżku.

Peter nie spuszczał z niej wzroku.

– Okay.

– Ze wszystkich twoich przyjęć urodzinowych najlepiej wspominam też to „dinozaurowe”, kiedy zakopaliśmy plastikowe kości w piaskownicy, a ty musiałeś je wszystkie odszukać. Pamiętasz?

– Przede wszystkim pamiętam, że prawie nikt nie przyszedł.

– Ależ oczywiście, że...

– Troje dzieciaków na krzyż, zmuszonych do tego przez matki – sprecyzował Peter. – Rany boskie. Miałem wtedy sześć lat. Dlaczego my w ogóle o tym rozmawiamy?!

Ponieważ nie mam pojęcia, o czym innym moglibyśmy rozmawiać, pomyślała Lacy. Rozejrzała się po sali widzeń. Znajdowało się tu jedynie kilku osadzonych i parę tych nielicznych osób, które jeszcze w nich wierzyły, a teraz siedziały po przeciwnej stronie czerwonego pasa. Lacy zdała sobie sprawę, że w rzeczywistości ją i Petera od lat rozdzielał jakiś pas. Oczywiście, można było go nie dostrzegać, ale gdyby się spróbowało przejść na drugą stronę, okazałby się barierą nie do pokonania.

– Peter, bardzo przepraszam, że wtedy nie zabrałam cię z tego obozu wakacyjnego – powiedziała nagle.

Popatrzył na nią jak na wariatkę.

– Ehm... dzięki, ale już zdołałem to przeboleć jakieś sto lat temu.

– Wiem. Nie zmienia to jednak faktu, że żałuję swojego postępowania.

W tej samej chwili Lacy uprzytomniła sobie, że żałuje także tysiąca innych rzeczy. Powinna okazywać więcej zainteresowania, kiedy Peter chwalił się przed nią nowymi umiejętnościami programistycznymi. Po śmierci Dozera powinna kupić Peterowi następnego psa. Powinna zeszłej zimy ponownie zabrać syna na Karaiby, zamiast błędnie zakładać, że na to zawsze jeszcze przyjdzie czas.

– „Przepraszam” niczego nie zmienia.

– Zmienia dla osoby, która prosi o wybaczenie.

Peter jęknął głośno.

– Co to, kurwa, ma być? Psychodrama na użytek straconej duszy?

Lacy mimowolnie skrzywiła wargi.

– Nie musisz przeklinać, żeby...

– Kurwa – powiedział Peter głośno i wyraźnie. – Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

– Nie będę tu siedzieć i wysłuchiwać...

– Oczywiście, że będziesz – odparował Peter. – A wiesz dlaczego? Bo jeżeli teraz wyjdiesz, tego też zaczniesz żałować.

Lacy już wstawała z miejsca, ale słowa syna wcisnęły ją z powrotem w krzesło. Okazuje się, że Peter wiedział dużo więcej o niej niż ona o nim.

– Mamo... – dobiegło do niej zza czerwonego pasa. – Ja nie chciałem...

Podniosła na niego oczy, łykając łzy.

– Wiem, Peterze.

– Cieszę się, że przysłaś. Oprócz ciebie nikt mnie nie odwiedza.

– Przecież ojciec...

Peter parsknął kpiąco.

– Nie wiem, co ci opowiada, ale po pierwszej wizycie więcej się nie pokazał.

Lewis nie widywał się z Peterem? To była dla Lacy szokująca wiadomość. Dokąd w takim razie się udawał, gdy mówił, że jedzie do więzienia?

Wyobraziła sobie Petera siedzącego samotnie w celi, na próżno czekającego na widzenie. Zmusiła się jednak do uśmiechu – na przygnębienie może sobie pozwolić we własnym czasie, a nie tym przeznaczonym dla syna – i natychmiast zmieniła temat.

– Za kilka dni sądowe odczytanie aktu oskarżenia... przyniosłam ci elegancką marynarkę.

– Nie będzie mi potrzebna. Jordan powiedział, że na odczytanie aktu aresztanci są dowożeni w więziennych kombinezonach. Dopiero na rozprawę główną będę mógł włożyć normalne ciuchy. – Peter uśmiechnął się pod nosem. – Mam nadzieję, że jeszcze nie poodcinałaś metek.

– To nie jest nowy nabytek. Przyniosłam ci marynarkę Joeya. Tę, w

której miał jeździć na rozmowy kwalifikacyjne.

– Ach, tak – mruknął Peter. – Teraz rozumiem, co robiłaś na strychu.

Zapadła cisza. Oboje przypomnieli sobie postawnego chłopaka, schodzącego po schodach w markowej marynarce Brooks Brothers, którą Lacy kupiła w Bostonie na wyprzedaży. Tuż przed wypadkiem Joey otrzymał z kilku prestiżowych uniwersytetów zaproszenia na rozmowy.

– Wolałabyś, żebym to ja zginął zamiast niego? – spytał Peter.

Lacy poczuła, jak zamiera w niej serce.

– Oczywiście, że nie.

– Ale wówczas wciąż miałabyś u boku udanego syna. A to wszystko nigdy by się nie zdarzyło.

Lacy pomyślała o Janet Isinghoff – kobiecie, która nie chciała, żeby matka mordercy przyjmowała na świat jej dziecko. Dorastając, uczymy się, że nie należy przesadzać ze szczerością. Że czasami lepiej skłamać, niż kłuć prawdą w oczy. Dlatego podczas tych widzeń Lacy rozciągała usta w uśmiechu szerokim jak w halloweenowej masce, podczas gdy tak naprawdę na widok Petera wprowadzanego na tę salę przez strażnika zawsze miała ochotę się rozplakać. Z tego samego powodu opowiadała o wakacyjnym obozie i pluszowych zabawkach – symbolach czasów, z których chciała pamiętać syna. Nie miała za to najmniejszej ochoty na roztrząsanie natury człowieka, na jakiego wyrósł.

Peter nigdy się nie nauczył tej jakże koniecznej w życiu obłudy. Zawsze mówił to, co myślał, i między innymi dlatego tak często go raniono.

– Wówczas opowieść zakończyłaby się happy endem – ciągnął Peter.

Lacy odetchnęła głęboko.

– Nie, jeżeli ciebie by w niej nie było.

Peter przyglądał się matce przez dłuższą chwilę.

– Kłamiesz – oświadczył. Bez gniewu, bez cienia oskarżycielskiej nuty. Jakby jedynie stwierdzał obiektywny fakt.

– Ależ...

– Fałsz nigdy nie zmienia się w prawdę, nawet jeżeli go powtórzysz milion razy. – Uśmiechnął się tak szczerze i niewinnie, że Lacy aż zapiekło w sercu – niczym po smagnięciu bykowcem. – Może uda ci się oszukać ojca, gliniarzy czy kogokolwiek innego, kto zechce cię wysłuchać. Ale nie zdołasz zamydlić oczu innemu kłamcy.

Kiedy Diana podeszła do tablicy, na której wisiały wokandy, żeby sprawdzić, kto będzie przewodniczył rozprawie Petera Houghtona, Jordan McAfee już był na miejscu. Diana nienawidziła go z przyczyn zasadniczych – ponieważ, ubierając się dziś rano, nie podarł dwóch par pończoch; nie musiał zawracać sobie głowy układaniem fryzury; i zdawał się zupełnie niewzruszony faktem, że połowa Sterling, zgromadzona na stopniach sądu, pała żądzą krwi.

– Dzień dobry – powiedział, nawet nie zerkając w jej stronę.

Diana nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ literalnie opadła jej szczeka, gdy zobaczyła nazwisko osoby wyznaczonej do prowadzenia sprawy.

– Tutaj chyba jest błąd – zwróciła się do asystentki sądowej.

Asystentka zerknęła przez ramię na wokandę.

– Dzisiejszego ranka sesji przewodniczy sędzia Cormier – potwierdziła.

– Ma prowadzić sprawę Houghtona? Czy to jakiś żart?

Asystentka pokręciła głową.

– Skądże znowu.

– Ale przecież jej córka... – Diana urwała, bijąc się nerwowo z myślami. – W takim razie przed rozprawą musimy się spotkać z sędzią.

Gdy tylko asystentka zniknęła za drzwiami, Diana spojrzała na Jordana.

– Co, u diabła, ta Cormier sobie wyobraża?

Jordan nieczęsto miał okazję obserwować, jak Diana Leven się poci, a był to doprawdy widok cieszący oczy. Szczerze powiedziawszy,

Jordan czuł się równie zaszokowany jak pani prokurator, gdy ujrzał na wokandzie nazwisko Cormier, ale nie zamierzał zdradzać się z tym przed Dianą. Ta sprawa przedstawiała się dla niego dość beznadziejnie, stąd taktyka wymagała, by pod żadnym pozorem nie ujawniać swoich kart, choćby to były nic nieznaczące blotki.

Diana zmarszczyła brwi.

– Przypuszczałeś, że ona... Urwała na widok powracającej asystentki. Jordan pasjami przepadał za Eleanor. Miała poczucie humoru i nawet śmiała się z dowcipów o blondynkach, które skrzętnie kolekcjonował na jej użytek; poza tym, w odróżnieniu od pozostałych asystentów sądowych, nie cierpiała na śmiertelną chorobę, zwaną rozdętym ego.

– Pani sędzia prosi – powiedziała.

Idąc za Eleanor w stronę gabinetu, Jordan nachylił się do jej ucha, by szepnąć puentę dowcipu, w czym wcześniej tak niestosownie przeszkodziła mu Diana swoim przybyciem.

– Wówczas mąż zagląda do pudełka i mówi: „Kochanie, to nie puzzle... to płatki śniadaniowe!”.

Eleanor zachichotała, Diana natomiast przybrała marsową minę.

– Co to ma być, jakiś szyfr?

– Owszem, Diano. W tajemnym języku adwokatów oznacza mniej więcej: „Pod żadnym pozorem nie zdradzaj prokuratorowi, o czym mówię”.

– Wcale by mnie to nie zdziwiło – mruknęła Diana.

Sędzia Cormier była już w todze, gotowa do rozprawy. Stała, oparta o biurko, ze skrzyżowanymi ramionami.

– Moi państwo, w sali czeka na nas tłum ludzi. O co chodzi?

Diana zerknęła na Jordana, ale on tylko uniósł pytająco brwi. Jeżeli pani prokurator zamierza wtykać kij w gniazdo szerszeni, proszę bardzo, on jednak będzie się trzymał od tego z daleka. Niechaj Cormier ma osobiste porachunki z oskarżeniem, nie obroną.

– Pani sędzio – zaczęła Diana z wahaniem – o ile mi wiadomo, pani córka znajdowała się w szkole podczas strzelaniny i nawet była na tę

okoliczność przesłuchiwana przez prokuraturę.

Jordan musiał przyznać, że w tym momencie Cormier mu zaimponowała: zdołała zgasić Dianę jednym spojrzeniem tak pełnym wyższości i niesmaku, jakby prokurator nie przedstawiła udokumentowanego, niepokojącego faktu, ale uczyniła wyjątkowo absurdalną uwagę. Powiedzmy, w rodzaju puenty dowcipu o blondynkach.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę – odparła. – Podczas strzelaniny na terenie szkoły znajdowało się ponad tysiąc dzieci.

– Oczywiście, wysoki sędzie. Ja jedynie... zanim znajdziemy się na sali, w zasięgu kamer i mikrofonów, chciałam się dowiedzieć, czy zamierza pani ograniczyć swój udział w tym postępowaniu do odczytania aktu oskarżenia, czy także poprowadzić rozprawę główną?

Jordan zerknął na Dianę, zastanawiając się jednocześnie, czemu ona jest tak przekonana, że Cormier nie powinna przewodniczyć procesowi Petera. Czyżby wiedziała coś na temat Josie, o czym Jordan nie ma bladego pojęcia?

– Pani Leven, jak już zauważyłam, wówczas na terenie szkoły przebywało ponad tysiąc nastolatków. Są wśród nich dzieci funkcjonariuszy policji i pracowników tego sądu. O ile mi wiadomo, również dziecko jednego z prokuratorów, zatrudnionych w pani biurze.

– W istocie, wysoki sędzie... jednak wspomniany prokurator nie pracuje nad tą sprawą.

Sędzia wpatrywała się w Dianę z zimnym opanowaniem.

– Czy zamierza pani powołać moją córkę na świadka?

– Nie, wysoki sędzie – odparła Diana po chwili wahania.

– Cóż, pani prokurator, dokładnie przeczytałam zeznania mojej córki i nie doszukałam się w nich niczego, co przemawiałoby za moim odstąpieniem od prowadzenia tego postępowania.

Jordan szybko przebiegł w myślach informacje, które dotychczas zdołał zgromadzić.

Peter pytał o samopoczucie Josie.

Josie była naocznym świadkiem strzelaniny.

Śledztwo wykazało, że jedynie pod zakreślonym portretem Josie Peter napisał: POZOSTAWIĆ PRZY ŻYCIU.

Tymczasem, według słów matki, zeznania tej dziewczyny nie wnosiły niczego do sprawy. Do podobnego wniosku musiała się także przychylić Diana, skoro nie powołała Josie na świadka oskarżenia.

Jordan przymknął powieki, po czym raz po raz przerzucał w myślach te wszystkie fakty – jakby zostały zarejestrowane na taśmie wideo, nastawionej na tryb wielokrotnego odtwarzania.

Jakkolwiek patrzył, nie był jednak w stanie odnaleźć logicznego ciągu w tych obrazach.

W dawnej podstawówce, do której przeniesiono Sterling High, nie było stołówki czy kafeterii, ponieważ małe dzieci jadały lunch w klasach przy swoich ławkach. Podobne rozwiązanie uznano jednak za niewskazane dla nastolatków, dlatego dawne pomieszczenie biblioteczne przerobiono na prowizoryczną kafeterię. Nie było tu już żadnych regałów na książki, a tym bardziej książek, ale na podłodze wciąż widniała wykładzina tkana we wzorek z drukowanych liter, a za dwuskrzydłowymi drzwiami wisiał plakat przedstawiający Kota w Butach.

Obecnie Josie nie siadała w kafeterii razem ze swoimi przyjaciółmi. Nie miała ochoty. Jakby została przekroczona masa krytyczna i ich grupa uległa rozbiciu na części elementarne. Josie zazwyczaj zaszywała się w kącie, na wyłożonych chodnikiem schodkach, gdzie – według jej wyobrażeń – nauczycielki czytały bajki maluchom z przedszkola.

Dzisiaj przed szkołą czekały na nich kamery telewizyjne. Żeby się dostać do frontowych drzwi, trzeba było przejść przez cały ich szpaler. W ubiegłym tygodniu większość z nich zniknęła – bez wątplenia gdzie indziej doszło do jakiejś tragedii, godnej miana sensacji medialnej – ale teraz, z racji rozprawy, znów przypuściły zmasowany atak. Josie się zastanawiała, jak zamierzają przedostać się stąd na północ, żeby zdążyć na czas do sądu. Była ciekawa, ile jeszcze razy w trakcie trwania jej

szkolnej kariery będą tu powracać. Na zakończenie roku szkolnego? W rocznicę strzelaniny? W dzień rozdania matur? Oczami wyobraźni ujrzała artykuł w „People” na temat ocalałych ze Sterling High, napisany dziesięć lat po masakrze: „Jak potoczyły się ich losy?”. Czy John Eberhard zacznie znowu grać w hokeja – ba, czy w ogóle zacznie chodzić? Czy rodzice Courtney wyjadą ze Sterling na zawsze? Gdzie wówczas będzie Josie?

A gdzie Peter?

Jej matka miała przewodniczyć rozprawie. Ta świadomość budziła w dziewczynie skrajne emocje: czasami cudownie ją uspokajała, a innym razem wprawiała w totalne przerażenie. Z jednej strony, Josie wiedziała, że gdy matka zacznie składać w całość wydarzenia tamtego dnia, już więcej nie będzie jej zadawała żadnych pytań. Z drugiej strony, kiedy już dopasuje wszystkie elementy, to co wówczas zdoła wydedukować?

Do biblioteki wszedł Drew, podrzucając w rękę pomarańczę. Rozejrzał się po grupkach uczniów siedzących na podłodze, balansujących tacami z gorącym lunchem. W końcu udało mu się wypatrzeć Josie.

– Co słyhać? – spytał, przysiadając obok.

– Nic szczególnego.

– Szakale cię dopadły? – Bez wątpienia miał na myśli reporterów telewizyjnych.

– Przebiegłam między nimi.

– Jak dla mnie, mogą iść się pieprzyć.

Josie oparła głowę o ścianę.

– Jak dla mnie, życie mogłoby wreszcie powrócić do normy.

– Może po procesie... – Odwrócił się w jej stronę. – To musi być pokrecone... z twoją mamą i w ogóle.

– Nie rozmawiamy na ten temat. Prawdę mówiąc, ani na ten, ani na żaden inny. – Podniosła butelkę z wodą mineralną do ust i pociągnęła długi łyk. Miała nadzieję, że Drew nie zauważy, jak bardzo trzęsą się jej ręce.

– On nie oszalał.

– Kto?

– Peter Houghton. Tamtego dnia popatrzyłem mu w oczy. I zaręczam ci, że on cholernie dobrze wiedział, co robi.

– Zamknij się, Drew – westchnęła Josie.

– Ale kiedy to prawda. Bez względu na to, co będzie gadał jakiś pieprzony, cwany adwokat, usiłujący ocalić mu dupę.

– Nie ty o tym zdecydujesz, ale przysięgli.

– Jezu Chryste, Josie! Ze wszystkich ludzi na świecie jesteś ostatnią osobą, która powinna go bronić.

– Ja go nie bronię. Przypominam ci jedynie, jak działa nasz wymiar sprawiedliwości.

– Wielkie dzięki, Marcio Clark. Ale wierz mi, kiedy ci wyciągają kulkę z ramienia, zasady prawa stają się dla ciebie cholernie mało istotne. Podobnie jak wtedy, gdy twój najlepszy przyjaciel – lub narzeczony! – wykrwawia się na śmierć w... – Urwał gwałtownie, bo Josie wypuściła butelkę z ręki, oblewając siebie i Drew wodą.

– Przepraszam. – Zaczęła zbierać wodę papierową serwetką.

– Ja też – westchnął Drew. – Chyba trochę mi odbija z racji tych kamer i w ogóle. – Oderwał kawałek mokrej serwetki, zwinął go w kulkę, włożył do ust, a potem plunął w stronę monstrualnie otyłego chłopaka, który w orkiestrze dętej grał na tubie.

O mój Boże, pomyślała Josie. Jakby nic się nie zmieniło. Tymczasem Drew oderwał kolejny kawałek serwetki i zaczął ugniatać go w palcach.

– Przestań! – zażądała Josie.

– O co ci chodzi? – Wzruszył ramionami. – Przecież sama chciałaś, żeby wszystko wróciło do normy.

W sali rozpraw znajdowały się kamery czterech wielkich stacji telewizyjnych: ABC, NBC, CBS oraz CNN; stawili się również reporterzy z „Time’a”, „Newsweeka”, „New York Timesa”, „The Boston Globe” oraz Associated Press. W minionym tygodniu Alex spotkała się

z przedstawicielami mediów w swoim gabinecie i zdecydowała, kto uzyska akredytację upoważniającą do wejścia na salę, a kto pozostanie na schodach wiodących do sądu.

Miała świadomość, że na kamerach zaczęły pulsować małe czerwone diody, sygnalizujące tryb nagrywania; słyszała, jak po papierze suną długopisy reporterów zapisujących jej słowa *verbatim*. Peter Houghton stał się najbardziej osławionym nastolatkiem w kraju i dzięki temu Alex dostała szansę na swoje pięć minut sławy. A raczej sześćdziesiąt, poprawiła się w duchu. Bo tyle mniej więcej zajmie jej odczytanie całego aktu oskarżenia.

– Peterze Houghton – zaczęła. – Jest pan oskarżony o to, że w dniu 6 marca 2007 roku rozmyślnie pozbawił pan życia Courtney Ignatio, a tym samym dopuścił się zabójstwa pierwszego stopnia w rozumieniu artykułu 631 ustęp 1-A...

Jest pan oskarżony o to, że w dniu 6 marca 2007 roku rozmyślnie pozbawił pan życia... – zerknęła na dokument – ...Matthew Roystona, a tym samym dopuścił się zabójstwa pierwszego stopnia w rozumieniu artykułu 631 ustęp 1-A...

To były zwyczajowe formuły, które Alex mogłaby recytować przez sen. Koncentrowała się jednak na każdym słowie, odczytywała je opanowanym, równym głosem, wyraźnie akcentując tylko nazwiska zamordowanych. Sala była nabita po brzegi i wśród publiczności Alex rozpoznawała rodziców nieżyjących dzieci, a także twarze uczniów Sterling High. Jedna z matek pogrążonych w żałobie, kobieta zupełnie Alex nieznaną, siedziała w pierwszym rzędzie, tuż za stołem obrony, i kurczowo zaciskała dłonie na oszklonej fotografii 20x28, przedstawiającej uśmiechniętą dziewczynę.

– Jest pan oskarżony o to, że w dniu 6 marca 2007 roku rozmyślnie pozbawił pan życia Justina Friedmana, a tym samym dopuścił się zabójstwa pierwszego stopnia w rozumieniu artykułu 631 ustęp 1-A...

Jest pan oskarżony o to, że w dniu 6 marca 2007 roku rozmyślnie pozbawił pan życia Christophera McPhee, a tym samym dopuścił się zabójstwa pierwszego stopnia w rozumieniu artykułu 631 ustęp 1-A...

Jest pan oskarżony o to, że w dniu 6 marca 2007 roku rozmyślnie pozbawił pan życia Grace Murtaugh, a tym samym dopuścił się zabójstwa pierwszego stopnia w rozumieniu artykułu 631 ustęp 1-A...

Podczas gdy Alex ciągnęła swoją litanie, kobieta z fotografią zerwała się na równe nogi. Przechyliła się przez barierkę oddzielającą Petera Houghtona i jego adwokata od widowni, po czym uderzyła dłonią o fotografię tak mocno, że aż rozprysnęło się szkło.

– Pamiętasz ją?! – krzyknęła rozdzierająco. – Pamiętasz Grace?!

McAfee gwałtownie odwrócił się w jej stronę, Peter natomiast zwiesił głowę i uparcie wbijał wzrok w stół obrony.

Alex już wcześniej miewała do czynienia z emocjonalnymi reakcjami widowni, po raz pierwszy jednak była autentycznie wstrząśnięta. Cierpienie tej matki wypełniało każdą wolną przestrzeń sali; podgrzewało nastroje zgromadzonych do punktu wrzenia.

Alex poczuła, że dygoczą jej dłonie, więc szybko ukryła je w rękawach togi, by przypadkiem nikt tego nie zauważył.

– Proszę, by pani usiadła i zachowała milczenie... – zwróciła się do kobiety.

– Czy patrzyłeś jej w twarz, gdy ją mordowałeś, sukinsynu?!

Patrzyłeś? – Alex mimowolnie powtórzyła w duchu to pytanie.

– Wysoki sędzie...! – wykrzyknął McAfee.

Oskarżenie już podało w wątpliwość zdolność Alex do bezstronnego prowadzenia tego postępowania. Chociaż nie musiała nikomu nic tłumaczyć, oświadczyła jednak w obecności obu stron, że potrafi oddzielić swoje osobiste doświadczenia, związane z tą sprawą, od profesjonalnych powinności. Szczerze wierzyła, że gdy nie będzie myśleć o Josie jak o córce, ale o jednej z setek osób, które się znajdowały w szkole podczas strzelaniny, nic nie zdoła zachwiać jej sędziowską bezstronnością. Nie przypuszczała, że największy problem będzie miała z ustawieniem siebie w roli zdystansowanego prawnika; odcięciem empatii wobec innej matki.

Z pewnością sobie poradzisz, powtarzała w duchu. Musisz tylko pamiętać, dlaczego się znalazłaś w tej sali.

– Panowie – zwróciła się Alex półgłosem do funkcjonariuszy sądowych, i natychmiast dwaj rośli mężczyźni podeszli do zrozpaczonej kobiety, chwycili ją pod ręce i usiłowali wyprowadzić z sali.

– Będziesz się smażył w piekle! – wykrzykiwała kobieta, podczas gdy obiektywy kamer śledziły każdy jej krok.

Alex tymczasem nie spuszczała oczu z Petera Houghtona.

– Panie McAfee?

– Tak, wysoki sędzie...

– Proszę, żeby pana klient wyciągnął przed siebie dłonie.

– Przepraszam, wysoki sędzie, ale czy nie byliśmy już świadkami wystarczająco stygmatyzujących...

– Nalegam, mecenasie.

McAfee skinął głową w stronę Petera, który uniósł skute ręce i rozkurczył palce. Na jego dłoni połyskiwał ostry odłamek szkła z roztrzaskanej oprawy zdjęcia.

– Dziękuję, wysoki sędzie – mruknął Jordan.

– Polecam się na przyszłość. – Alex przeniosła wzrok na widownię.

– Mam nadzieję, że nie będziemy więcej świadkami podobnych demonstracji. W przeciwnym razie zarządzę opróżnienie sali i rozprawa będzie się toczyć za zamkniętymi drzwiami aż do ogłoszenia wyroku.

Po tym ostrzeżeniu powróciła do odczytywania aktu oskarżenia. W sali panowała teraz taka cisza, że słyszeć było nierówne bicie złamanych serc, szelest nadziei trzepoczącej pod sklepieniem.

– Jest pan oskarżony o to, że w dniu 6 marca 2007 roku rozmyślnie pozbawił pan życia Madeleine Shaw, a tym samym dopuścił się zabójstwa pierwszego stopnia w rozumieniu artykułu 631 ustęp 1-A...

Jest pan oskarżony o to, że w dniu 6 marca 2007 roku rozmyślnie pozbawił pan życia Edwarda McCabe'a, a tym samym dopuścił się zabójstwa pierwszego stopnia w rozumieniu artykułu 631 ustęp 1-A...

Jest pan oskarżony o to, że w dniu 6 marca 2007 roku z rozmysłem podjął pan próbę pozbawienia życia Emmy Alexis, oddając w jej kierunku strzałę z broni palnej, a tym samym dopuścił się usiłowania zabójstwa pierwszego stopnia w rozumieniu artykułu 629 ustęp 1 oraz

631 ustęp 1-A łącznie.

Jest pan oskarżony o wniesienie broni palnej na teren placówki szkolnej.

Posiadanie materiałów wybuchowych.

Zabronione prawem użycie materiałów wybuchowych.

Posiadanie kradzionych dóbr w postaci broni palnej.

Gdy Alex zakończyła czytanie, czuła już chropawą suchość w gardle.

– Panie McAfee, jak pański klient zamierza się ustosunkować do przedstawionych zarzutów?

– Wysoki sędzie, mój klient się nie przyznaje do popełnienia któregośkolwiek z czynów wyszczególnionych w akcie oskarżenia.

Jak zwykle w wypadku podobnego oświadczenia po sali poniósł się gniewny pomruk. Taka reakcja widowni zawsze wydawała się Alex całkowicie niedorzeczna. Czego ci ludzie się spodziewali? Że oskarżony podda się bez walki?

– Peterze Houghton, ze względu na naturę zarzutów nie przysługuje panu prawo do zwolnienia za kaucją, więc do czasu ogłoszenia ostatecznego werdyktu będzie pan przebywał w więzieniu hrabstwa.

Alex zakończyła rozprawę i pośpieszyła do swojego gabinetu. Zamknęła drzwi i zaczęła chodzić nerwowo tam i z powrotem, jak lekkoatleta po wyjątkowo morderczym biegu. Jeżeli była czegokolwiek w życiu pewna, to swojej zdolności do zachowania obiektywizmu. Ale skoro z takim trudem przebrnęła przez odczytanie aktu oskarżenia, co się będzie działo, gdy prokuratura zacznie ze wszystkimi detalami odtwarzać tragiczne wydarzenia tamtego dnia?

– Eleanor – odezwała się wreszcie, wcisnąwszy uprzednio przycisk interkomu – odwołaj wszystkie moje zajęcia na dzisiejszy dzień.

– Ależ...

– Masz je odwołać – zarządziła Alex ostrym głosem. Wciąż powracał do niej obraz siedzących na sali rodziców, którzy stracili dzieci. Cierpienie na ich twarzach było jedną wielką zbiorową blizną.

Alex szybko ściągnęła tokę i tylnymi schodami zbiegła na parking.

Tym razem nie zapaliła jednak papierosa, ale wsiadła do samochodu. Pojechała prosto do dawnej podstawówki i zatrzymała się na pasie przeznaczonym dla służb ratunkowych. Na parkingu nauczycielskim stał wóz transmisyjny jakiejś stacji telewizyjnej i Alex poczuła wzbierającą panikę; szybko jednak sobie uświadomiła, że van ma nowojorskie tablice rejestracyjne. Ryzyko, że ktoś spoza New Hampshire rozpozna ją bez togi, było wyjątkowo nikłe.

Tylko jedna jedyna osoba miała prawo prosić, by Alex zrezygnowała z prowadzenia tej sprawy. Córka. Jednakże Alex wiedziała, że w ostatecznym rozrachunku Josie ją zrozumie. To miała być pierwsza poważna sprawa jej matki w sądzie wyższej instancji. Poza tym, podejmując się tego wyzwania, Alex dawała córce budujący przykład: pokazywała, że przy odrobinie samozaparciu można powrócić do dawnego rytmu życia. Istniał jeszcze jeden powód, dla którego tak bardzo jej zależało na przewodniczeniu tej rozprawie, chociaż próbowała go ignorować, bo myśl o nim uwierała niczym cierni, piekła jak sól sypana na żywą ranę: w toku wystąpień oskarżenia i obrony Alex miała szansę dowiedzieć się dużo więcej o przeżyciach własnego dziecka niż od samej Josie.

Weszła do głównego sekretariatu szkoły.

– Przyjechałam po córkę – oznajmiła i sekretarka pchnęła w jej stronę podkładkę, do której klipssem był przytwierdzony specjalny formularz, podzielony na kolumny. NAZWISKO UCZNIĄ, przeczytała Alex. GODZINA WYJŚCIA. PRZYCZYNA. GODZINA POWROTU.

Josie Cormier, wpisała szybko. 10:45. Ortodonta.

Przez cały czas czuła na sobie wzrok sekretarki, która zapewne chciałyby wiedzieć, czemu sędzia Cormier stoi teraz naprzeciwko jej biurka, zamiast przewodniczyć rozprawie wzbudzającej tak żywe zainteresowanie wszystkich mieszkańców Sterling.

– Może będzie pani uprzejma powiedzieć córce, że czekam w samochodzie – poprosiła Alex i wyszła z sekretariatu.

Pięć minut później Josie wśliznęła się na fotel pasażera.

– Nie noszę aparatu ortodontycznego.

- To była pierwsza rzecz, jaka przyszła mi do głowy.
- A tak naprawdę po co przyjechałaś? – Josie podkreśliła nawiew.
- Nie mogę ot tak, bez szczególnego powodu, zabrać córki na lunch?
- Jeszcze nie ma jedenastej.
- W takim razie na wagary.
- Okay, niech ci będzie – rzuciła niechętnie Josie.

Alex ruszyła spod szkoły. Josie siedziała na wyciągnięcie ręki, ale równie dobrze mogłaby się znajdować na innym kontynencie. Zwrócona twarzą do okna, bacznie śledziła ruch uliczny.

- Czy już się zakończyło? – spytała nieoczekiwanie.
- Odczytywanie aktu oskarżenia? Owszem.
- Dlatego do mnie przyjechałaś?

Jak Alex ma wyjaśnić córce, co czuła, gdy widziała przed sobą te bezimienne matki i ojców, którzy już nigdy nie zobaczą swoich córek i synów? Czy po śmierci dziecka w ogóle można się jeszcze nazywać rodzicami?

A czy zasługuje się na to miano, gdy z powodu głupoty pozwala się dziecku niepostrzeżenie wymknąć z naszego życia?

Alex stanęła na końcu drogi, skąd się rozciągał widok na malowniczą panoramę rzeki. Nurt był zdradziecko rwący, jak zwykle na wiosnę. Gdyby jednak nie miało się tej świadomości i popatrzyło jedynie na fotografię tego miejsca, miałoby się ochotę wskoczyć do wody. I wówczas prąd rzeki natychmiast wysałby dech z człowieka; wciągnąłby go w bystrą toń; poniósł w nieznane.

– Bardzo chciałam cię zobaczyć – wyznała Alex. – Dzisiaj w sądzie byli ludzie... ludzie, którzy zapewne budzą się każdego ranka i marzą, by móc zrobić to samo, co ja teraz: pod wpływem impulsu zabrać swoje dziecko w środku dnia na lunch, zlekceważyć głos rozsądku, nakazujący odłożyć tę przyjemność na później. – Zwróciła się w stronę Josie. – Ci ludzie, o których wspomniałam... dla nich już żadne „później” nie istnieje.

Josie w milczeniu skubała białą nitkę, wystającą z kurtki. Alex tymczasem doszła do wniosku, że się zachowała jak ostatnia idiotka.

Była wstrząśnięta, gdy podczas rozprawy ogarnęły ją tak silne uczucia; zamiast jednak uprzytomnić sobie, jak nieprofesjonalne są równie emocjonalne odruchy, dała się im ponieść. Zapędziła się w obszar sentymentów – zdradliwych ruchomych piasków – a z tego nigdy nie wynikało nic dobrego. Nie warto odkrywać przed nikim własnego serca, ponieważ najprawdopodobniej zostanie poharatane.

– Wagary – zdecydowała cicho Josie. – Nie lunch.

Alex z ulgą opadła na oparcie fotela.

– Okay, niech ci będzie – rzuciła żartobliwie. A gdy córka wreszcie na nią spojrzała, dodała poważnym tonem: – Chciałabym z tobą porozmawiać o tej sprawie.

– Myślałam, że ci nie wolno.

– Mniej więcej o tym właśnie chcę pomówić. Chociaż ten proces jest dla mnie wielką szansą zawodową, zrezygnowałabym z jego prowadzenia, jeżeli dowiedziałabym się, że ci z tym ciężko. I chcę, byś była świadoma, że w każdej chwili możesz do mnie przyjść i zapytać, o co tylko zechcesz.

Obie udawały przez moment, że Josie regularnie się zwraca do Alex ze wszystkimi problemami, podczas gdy tak naprawdę od wielu lat z niczego się jej nie zwierzała.

Posłała matce spojrzenie spod rzęs.

– Nawet o dzisiejszą rozprawę?

– Nawet o to.

– Co Peter powiedział w sądzie?

– Nic. Adwokat wypowiadał się w jego imieniu.

– A jak wyglądał?

Alex zastanowiła się przez chwilę. Kiedy zobaczyła Petera w tym pomarańczowym kombinezonie, w pierwszym odruchu się zdziwiła, że tak wyrósł i wydorósł. Chociaż przez te lata od czasu do czasu go widywała – podczas szkolnych uroczystości, w centrum kserograficznym, gdzie krótko pracował razem z Josie, czy kiedy przejeżdżał ulicą w samochodzie – w podświadomości spodziewała się dziś ujrzeć tego samego małego chłopczyka, który chodził do

przedszkola z Josie. Teraz stanęły jej przed oczami plastikowe więzienne chodaki, regulaminowy kombinezon, ręce i nogi skute kajdanami.

– Wyglądał jak każdy oskarżony – odparła.

– Jeżeli zostanie uznany za winnego, to już nigdy nie wyjdzie z więzienia, prawda?

Alex poczuła ostre ukłucie w sercu, bo nagle dotarła do niej bolesna prawda: chociaż Josie tego nie okazywała, żyła w nieustannym lęku, że jeszcze kiedyś mogłoby dojść do podobnej masakry. Jakże jednak Alex – będąc sędzią – mogłaby jej obiecać, że skaże Petera, chociaż nawet się nie rozpoczął właściwy proces? Poczuła, że stąpa po cienkiej linii, rozpiętej pomiędzy rodzicielskimi powinnościami a etyką zawodową, i każdy kolejny krok grozi upadkiem w przepaść.

– Nie powinnaś zawracać sobie tym głowy...

– To żadna odpowiedź – odparła Josie.

– A więc owszem. Najprawdopodobniej do końca życia pozostanie w więzieniu.

– Czy będzie można go tam odwiedzać?

Teraz Alex już kompletnie się pogubiła w logice Josie.

– Dlaczego pytasz? Chciałabyś z nim porozmawiać?

– Być może.

– Zupełnie nie pojmuję, dlaczego po tym wszystkim...

– Kiedyś byłam jego przyjaciółką.

– Nie przyjaźniłaś się z nim od lat – zauważyła Alex, ale w tej samej chwili trybiki wskoczyły na swoje miejsce; i wówczas stało się oczywiste, czemu jej córka, która miała wszelkie powody, by odczuwać lęk na myśl o zwolnieniu Petera z więzienia, chciała się z nim skontaktować w wypadku wyroku skazującego. Gnębiło ją poczucie winy. Zapewne Josie wierzyła, że zrobiła coś takiego (lub wręcz przeciwnie, czegoś zaniechała), co skłoniło Petera do rozpętania w szkole prawdziwego piekła.

Cóż, kto jak kto, ale Alex zdecydowanie wyjątkowo dobrze pojmowała mechanizmy rządzące wyrzutami sumienia.

– Skarbie, Peter znajduje się pod opieką ludzi, których zadaniem jest dbanie o jego potrzeby. Ty nie musisz być jedną z nich. – Alex uśmiechnęła się blado. – Przede wszystkim powinnaś się zatroszczyć o siebie, zgadza się?

Josie umknęła wzrokiem.

– Mam test na następnej lekcji. Możemy już wracać do szkoły?

Alex prowadziła w milczeniu, ponieważ było za późno na wprowadzenie korekty do własnych słów; na zapewnienie Josie, że o nią też ktoś dba i otacza ją opieką, że nie jest w tym wszystkim sama.

O drugiej nad ranem, a więc równo po pięciu godzinach kołysania na rękach chorego, zawodzącego niemowlęcia, Jordan zwrócił się do Seleny:

– Przypomnij mi, dlaczego się zdecydowaliśmy na dziecko?

Selena siedziała przy kuchennym stole; poprawka – leżała na nim, z głową opartą o złożone ramiona.

– Ponieważ zależało ci na powieleniu mojego finezyjnego łańcucha genetycznego.

– Zdaje się, że tym, co przede wszystkim udało się nam powielić, jest jakiś szczep wyjątkowo zjadliwych wirusów.

Nagle Selena usiadła wyprostowana jak struna.

– Tylko popatrz – szepnęła. – Zasnął.

– Dzięki Bogu. Zabieraj go ode mnie.

– Nie ma mowy. Po raz pierwszy tego dnia znalazł chwilę wytchnienia. Widać u ciebie mu najlepiej.

Jordan spiorunował żonę wzrokiem, po czym usiadł po przeciwnej stronie stołu, ostrożnie tuląc śpiące niemowlę.

– Odnoszę nieprzyjemne wrażenie, że różne decyzje są dziś podejmowane bez mojego udziału.

– Czyżbyśmy znowu powracali do czekającej cię rozprawy, Jordanie? Jeżeli tak, musisz to oznajmić jasno i wyraźnie, bo jestem tak zmordowana, że jeszcze nie załapię, że doszło do zmiany tematu...

– Po prostu nie mogę pojąć, dlaczego ona się upiera przy prowadzeniu tego postępowania. Kiedy oskarżenie wywlokło sprawę jej

córki, Cormier przeszła nad tym do porządku dziennego... co gorsza, sama Leven ewidentnie odpuściła.

Selena ziewnęła szeroko i wstała zza stołu.

– Skarbie, darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Z punktu widzenia obrony Cormier jest zdecydowanie lepszym sędzią niż Wagner.

– Coś jednak mnie w tej sprawie nieprzyjemnie uwiera.

Selena uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Odparzony tyłek?

– Nawet jeżeli dziewczyna w tej chwili nic nie pamięta, nie znaczy, że jeszcze sobie nie przypomni. Poza tym czy Cormier może rzeczywiście zachować bezstronność, skoro wie, że Josie musiała oglądać na własne oczy, jak mój klient pakuje jej ukochanemu kulkę w głowę?

– Możesz wnieść oficjalny wniosek o zmianę sędziego – zauważyła Selena. – Lub poczekać, aż zrobi to Diana.

Jordan zerknął na żonę spod oka.

– Ja na twoim miejscu trzymałabym głowę na kłódkę.

Wyciągnął rękę, szarpnął za pasek szlafroka Seleny i rozchylił jego poły.

– Czy widziałaś, żebym kiedykolwiek zdołał utrzymać język za zębami?

– Kiedyś zawsze musi być ten pierwszy raz – zaśmiała się Selena.

Na każdej kondygnacji oddziału o zaostrzonym nadzorze – ZN – znajdowały się cztery cele, każda metr osiemdziesiąt na dwa i pół. W środku – klasyczna więzienna prycza i stalowy kibel. Peter potrzebował aż trzech dni, by bez gwałtownego skrętu kiszek zrobić kupę, ponieważ przed celami nieustannie defilowali strażnicy; ale teraz już byłby w stanie się wysrać nawet na rozkaz, co pokazywało, jak bardzo przywykł do pobytu w tym miejscu.

Na końcu korytarza stał mały telewizor. Mieściło się przed nim

tylko jedno krzesło, zawsze zajmowane przez tego, kto przebywał na oddziale ZN najdłużej. Reszta ustawiała się za jego plecami, niczym bezdomni w kolejce po darmową zupę. Repertuar, który udawało się uzgodnić, był dość ograniczony. Z reguły leciało MTV; poza tym więźniowie zawsze pilnowali, aby o odpowiedniej porze przełączyć się na Jerry'ego Springera. Peter doszedł do wniosku, że tak bardzo kochają ten show, ponieważ ma on terapeutyczne działanie: każdego podbudowuje świadomość, że bez względu na to, jak spieprzył własne życie, na świecie wciąż nie brakuje jeszcze gorszych od niego idiotów.

Jeżeli jakiś osadzony z oddziału naraził się personelowi – na przykład taki dupek, jak Szatan Jones (tak naprawdę wcale nie miał na imię Szatan, lecz Gaylor, ale gdy ktoś tylko o tym wspomniał, choćby szeptem, Jones reagował niepohamowaną agresją), który niedawno wymalował na ścianie swojej celi karykatury dwóch strażników, odstawiających wspólne balety w pozycji horyzontalnej – wszyscy otrzymywali zakaz oglądania telewizji przez tydzień. Wówczas podejmowało się wyprawy na drugą stronę korytarza: pod prysznic z plastikową zasłoną czy do telefonu, gdzie można było odbyć pogawędkę na koszt rozmówcy – dolar za minutę – co chwila przerywaną nagrany na taśmie komunikatem „Rozmowa prowadzona z Zakładu Penitencjarnego Hrabstwa Grafton”, na wypadek gdyby jakiemuś szczęściarzowi udało się o tym zapomnieć.

Peter odwał codzienną porcję przysiadów, których nienawidził. W ogóle nienawidził wszelkich ćwiczeń fizycznych. Ale alternatywą było gnicie na pryczy w stanie pogłębiającej się chuderłowości, która natychmiast prowokowała szykany ze strony innych więźniów – szczególnie podczas godziny rekreacyjnej na więziennym boisku. Peter poszedł tam kilka razy – nie po to, żeby porzucić do kosza, uprawiać jogging czy przeprowadzić bardziej lub mniej udaną transakcję w pobliżu muru, gdzie się odbywał potajemny handel narkotykami i papierosami, przemycanymi do pudła – ale tylko dlatego, że chciał pooddychać powietrzem, które jeszcze nie przeszło przez płuca wszystkich innych osadzonych na oddziale. Niestety, z boiska widać

było rzekę. Mogłoby się wydawać, że to zaleta, ale życie szybko weryfikowało tę iluzję. Niekiedy wiatr przynosił ze sobą zapach mułu oraz lodowatej wody, i pewnego dnia Peter znalazł się o krok od totalnego załamania, gdy sobie uświadomił, że nie może tak po prostu zejść nad brzeg, wyskoczyć z butów i skarpetek, pobrodzić w rzece, popływać czy choćby się, kurwa, utopić, jeżeli miałby na to ochotę.

W rezultacie przestał w ogóle wychodzić na dwór.

Zakończył swoją zwyczajową serię stu przysiadów – cóż za ironia losu, zaledwie po miesiącu w więzieniu był tak silny i sprawny, że teraz dałby radę skopać tyłek Mattowi Roystonowi i Drew Girardowi ZA JEDNYM ZAMACHEM – po czym usiadł na pryczy i wziął w rękę formularz zakupów na wypiskę. Raz w tygodniu można było nabyć takie artykuły, jak płyn do płukania ust czy papier listowy, po iście paskarskich cenach. Peter przypomniał sobie rodzinne wakacje w St. John na Antiquie, gdzie pudełko płatków śniadaniowych kosztowało jakieś dziesięć dolców, ponieważ tam płatki należały do towarów ekskluzywnych. W USA z pewnością nie można określić szamponu do włosów mianem artykułu luksusowego, ale więźniowie byli skazani na łaskę i niełaskę administracji penitencjarnej, a ta winszowała sobie trzy dwadzieścia pięć za małą buteleczkę head & shoulders lub szesnaście dolców za prymitywny wentylator wiatrakowy. Ewentualnie można było czekać, aż któryś z osadzonych dostanie nakaz przeniesienia do więzienia stanowego i zostawi ci w spadku swój ruchomy dobytek. Peter jednak uważał, że to ordynarne sępienie.

– Houghton! – Metalowa kratownica zabrzęczała pod ciężkimi butami strażnika. – Poczta do ciebie.

Do celi wfrunęły dwie koperty i wylądowały pod pryczą. Peter wyciągnął je, skrobiąc paznokciami o beton. Pierwszy list, tak jak się Peter spodziewał, był od matki, która pisywała do niego przynajmniej trzy razy w tygodniu. W tych listach poruszała banalne tematy: streszczała artykuły z lokalnej prasy lub szczegółowo opisywała stan domowych roślin doniczkowych. Przez jakiś czas Peterowi się zdawało, że to jakiś tajemny kod, za którego pomocą matka chce mu przekazać

transcendentne, inspirujące treści, ale w końcu dotarła do niego przyziemna prawda: ona pisała o czymkolwiek, byle tylko zapisać kartkę. Wówczas przestał te listy w ogóle otwierać. I nie miał z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia. Ona w gruncie rzeczy wcale nie wysyłała tych listów po to, aby on je czytał, ale ponieważ potrzebna jej była świadomość, że je napisała.

Peter nie miał za złe rodzicom, że są tak przerażająco zagubieni. On sam przez wiele lat znajdował się w tym stanie. Poza tym jedynymi ludźmi, którzy mogliby go zrozumieć, byli uczniowie Sterling High, obecni w szkole owego dnia, a oni nieszczęśliwie się kwapili do podtrzymywania kontaktu.

Tradycyjnie rzucił nieotwarty list od matki na podłogę i wpatrzył się w adres zwrotny, wypisany na drugiej kopercie. Ten adres nic mu nie mówił. Przesyłka nie pochodziła ze Sterling ani nawet z New Hampshire, ale z Ridgewood w stanie New Jersey i została nadana przez niejaką Elenę Battistę.

Peter rozerwał kopertę i przebiegł wzrokiem notkę.

Peterze,

Myślę o Tobie jak o dobrym znajomym, ponieważ pilnie śledziłam wszelkie doniesienia, dotyczące wydarzeń w Sterling High. Obecnie studiuje w college'u, ale wydaje mi się, że wiem, co musiałeś przeżywać... bo ja też przechodziłam przez podobne piekło. Szczerze powiedziawszy, piszę teraz pracę licencjacką na temat przemocy w szkole. Zdaję sobie sprawę, że wykazuję się wielką śmiałością, zwracając się do Ciebie z prośbą o kontakt. Ostatecznie czemu miałbyś rozmawiać z kimś takim jak ja... ale widzisz, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że gdybym znała kogoś takiego jak Ty, kiedy sama byłam jeszcze w liceum, moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej. A może na zmiany nigdy nie jest za późno???????

*Serdecznie pozdrawiam,
Elena Battista*

Peter postukał listem o udo. Jordan powtarzał do znudzenia, że nie wolno mu z nikim rozmawiać – to znaczy, poza rodzicami i nim samym, Jordanem. Ale rodzice byli do niczego, a Jordan, prawdę powiedziawszy, nie najlepiej się wywiązywał ze swojej części umowy, to jest nie pokazywał się na tyle często, by Peter mógł wyrzucić z siebie wszystko, co mu w danej chwili leżało na wątrobie.

No i na dodatek to była dziewczyna z college'u! Peterowi zdecydowanie pochlebiało, że chce z nim pogadać jakaś studentka, której przecież i tak nie mógłby powiedzieć niczego, o czym już nie wiedziała.

Ponownie sięgnął po formularz zakupów i postawił krzyżyk przy artykule opisanym jako „standardowa karta pocztowa”.

Proces można zasadniczo podzielić na dwie fazy: przedstawienie suchych faktów, zaistniałych feralnego dnia, czym się zajmuje oskarżenie; oraz naświetlenie wszelkich okoliczności, które do nich doprowadziły, co jest domeną obrony. W tym celu Selena starała się spotkać z jak największą liczbą osób, które przez ostatnie siedemnaście lat miały kontakt z Peterem. I dlatego też dwa dni po odczytaniu aktu oskarżenia siedziała wraz z dyrektorem Sterling High w jego tymczasowym gabinecie, w budynku dawnej podstawówki. Arthur McAllister miał krótką piaskową bródkę, zaokrąglony brzuch i dziwaczny uśmiech, w którym nigdy nie pokazywał zębów. Przywodził na myśl Selenie jednego z tych upiornych pluszowych misiów, które weszły na rynek, gdy sama była dzieckiem – zwały się Teddy Ruxpin – a wrażenie niesamowitości pogłębiło się jeszcze, kiedy dyrektor zaczął odpowiadać na pytania Seleny, dotyczące zasad zwalczania przemocy w szkole.

– Nie tolerujemy żadnych przejawów agresji. A wyeliminowanie przemocy – fizycznej i psychicznej – to jeden z naszych priorytetów – wygłosił McAllister z żarliwością ideologa partyjnego.

– W takim razie, gdy jakiś dzieciak zgłasza panu, że znęca się nad nim kolega, jakie konsekwencje spotykają winowajcę?

– Widzisz, Seleno... czy mogę się tak do pani zwracać? No więc,

Selena, lata praktyki pedagogicznej nauczyły nas, że gdy w wypadku konfliktu odwołujemy się do postępowania administracyjnego, sytuacja prześladowanego dziecka tylko się pogarsza. – Dyrektor na moment zawiesił głos. – Zdaję sobie sprawę, jak ludzie komentują tę strzelaninę. Porównują naszą sytuację do masakry w Columbine, Paducah i do wszystkich wcześniejszych. Ale osobiście jestem przekonany, że to nie prześladowanie jako takie pchnęło Petera do popełnienia tak strasznych czynów.

– Domniemanego popełnienia – odruchowo skorygowała Selena. – Czy prowadzicie rejestr incydentów, w których doszło do użycia przemocy?

– Jeżeli grożą eskalacją konfliktu, a młodzi ludzie są karnie odsyłani do mojego gabinetu.

– Czy kiedykolwiek przysłano do pana kogoś, kto fizycznie lub psychicznie się znęcał nad Peterem Houghtonem?

McAllister wstał zza biurka i z oszklonej szafki wyjął gruby segregator. Zaczął przerzucać kartki, aż w końcu pewna strona przykuła jego uwagę.

– Ściśle rzecz biorąc, to PETER był do mnie przysłany dwukrotnie w tym roku. Został nawet zawieszony za bójkę na korytarzu.

– Bójkę? – powtórzyła Selena z powątpiewaniem. – Czy obronę przed pobiciem?

Kiedy Katie Riccobono czterdzieści sześć razy zatopiła nóż w piersi męża pogrążonego w głębokim śnie, Jordan zwrócił się o pomoc do doktora Kinga Wah, psychiatry sądowego, specjalizującego się w badaniach nad syndromem maltretowanej kobiety. Była to specyficzna postać zespołu stresu pourazowego, którą pokrótce można by opisać następująco: w przypadku kobiety regularnie poddawanej maltretowaniu psychicznemu i fizycznemu poziom lęku o własne życie rośnie do niewyobrażalnego poziomu, na skutek czego w jej umyśle granice między rzeczywistością a urojeniami zaczynają się zacierać do

takiego stopnia, że czuje się śmiertelnie zagrożona nawet wtedy, gdy prześladowca nie przejawia agresywnego zachowania lub – a tak było z Joem Riccobono – śpi kamiennym snem, sprowadzonym przez trzydniowy pijacki ciąg.

Praktycznie to King wygrał dla Jordana sprawę Katie. I od tamtej pory wyrósł na niekwestionowanego eksperta w dziedzinie syndromu maltretowanej kobiety, dlatego rutynowo pojawiał się jako świadek obrony w sądach całego kraju. Jego honorarium sięgało niebotycznych wysokości; możliwość spotkania z nim była przywilejem.

Jordan zjawił się w bostońskim biurze Kinga bez zapowiedzi, licząc na to, że dzięki urokowi osobistemu zdoła skruszyć opór każdej sekretarki, strzegącej wrót gabinetu dobrego doktora. W najczarniejszych jednak snach nie podejrzewał, że się natknie na dobiegającą wieku emerytalnego smoczyce imieniem Ruth.

– Pan doktor ma zajęte wszystkie terminy na najbliższe sześć miesięcy – oznajmiła, nie zaszczycając przy tym Jordana choćby przelotnym spojrzeniem.

– Ale to wizyta prywatna, nie zawodowa.

– Czy pan sądzi, że to cokolwiek zmienia? – spytała tonem jasno wskazującym, że ani trochę.

Jedno natychmiast stało się dla Jordana oczywiste: niczego nie zwojuje, zapewniając Ruth, że pięknie dziś wygląda, odwołując się do bogatego repertuaru dowcipów o blondynkach czy przedstawiając swoje imponujące osiągnięcia na sali sądowej.

– To pilna sprawa rodzinna – rzekł.

– Pańska rodzina pilnie potrzebuje pomocy psychiatry – uściśliła suchym tonem.

– NASZA rodzina. – Jordan puścił wodze fantazji. – Jestem bratem doktora Wah. – Kiedy spojrzała na niego surowym wzrokiem, sugerującym, że nie zamierza tolerować podobnych nonsensów, dorzucił szybko: – Adoptowanym.

Uniosła sceptycznie jedną cienką brew i ołówkiem nacisnęła na guzik telefonu. Po chwili rozległ się dzwonek.

– Doktorze, przyszedł pewien człowiek, który się podaje za pańskiego brata. – Odłożyła słuchawkę na widełki. – Może pan wejść.

Jordan otworzył ciężkie mahoniowe drzwi i ujrzał Kinga siedzącego z nogami na biurku, pogryzającego kanapkę.

– Jordan McAfee! – Psychiatra rozpromienił się w uśmiechu. – Powinienem od razu zgadnąć. A więc powiedz mi, mój drogi... co tam u mamy?

– Skąd miałbym wiedzieć, do cholery, to ciebie zawsze faworyzowała – zażartował Jordan, po czym podszedł do biurka i uściśnął Kingowi dłoń. – Dzięki, że mnie przyjąłeś.

– Musiałem zobaczyć, kto ma tyle hucpy, żeby się podawać za mojego brata.

– Hucpy? To tego was uczą w chińskich szkołach?

– Jasne. Lekcje jidysz były zawsze po tabliczce mnożenia. – Gestem zaprosił Jordana do zajęcia miejsca w fotelu. – No więc, co słychać?

– Wszystko dobrze. Chociaż zapewne nie aż tak rewelacyjnie jak u ciebie. Ilekroć się przełączam na CourtTV, widzę na ekranie twoją twarz.

– Rzeczywiście, dużo pracuję. Prawdę powiedziawszy, za niecałe dziesięć minut mam kolejną wizytę.

– Tak, wiem. Ale postanowiłem zaryzykować. Chciałbym, żebyś zbadał mojego obecnego klienta.

– Jordan, chłopie, wiesz, że chętnie bym to dla ciebie zrobił, ale wszystkie terminy wystąpień sądowych mam już zabukowane na sześć miesięcy do przodu.

– Ta sprawa jest szczególna. Wielokrotne zabójstwo pierwszego stopnia.

– Kilka morderstw? – zdziwił się King. – To ilu mężów zdołała uśmiercić?

– Żadnego, bo to nie ona, tylko on. Chłopak. Praktycznie dzieciak. Przez lata był maltretowany i poniżany przez rówieśników, aż w końcu miał tego dosyć i rozstrzelał liceum Sterling High.

King wręczył Jordanowi połowę swojej kanapki z tuńczykiem.

– No, dobra, braciszku. Zjemy razem lunch i spokojnie obgadamy sprawę.

Josie wodziła wzrokiem po praktycznych, szarych płytkach podłogi, po ścianach z pustaków, stalowych kratkach, oddzielających policyjną dyżurkę od poczekalni, i ciężkich drzwiach z elektronicznym zamkiem. Było tu trochę jak w więzieniu i Josie się zastanawiała, czy przebywający w komisariacie policjanci są świadomi tej ironii losu. Ledwo jednak przyszło jej do głowy słowo „więzienie”, natychmiast przypomniała sobie o Peterze i wpadła w panikę.

– Wolałabym tu nie być – mruknęła, odwracając się do matki.

– Wiem.

– Dlaczego on chce znowu ze mną rozmawiać? Przecież już mówiłam, że nic nie pamiętam.

Wezwanie na policję przyszło pocztą; detektyw Ducharme napisał, że ma jeszcze kilka pytań do Josie, która natychmiast doszła do wniosku, że ten gliniarz zdobył nowe informacje, nieznanne mu w chwili, gdy rozmawiali po raz pierwszy. Matka wyjaśniła, że drugie przesłuchanie odbywa się tylko po to, by prokuratura mogła zapiąć wszystko na ostatni guzik; że w zasadzie jest czystą formalnością, ale i tak Josie musi się stawić na wezwanie. Nie daj Boże, żeby to przez nią zawaliło się dochodzenie!

– Wystarczy, jak powtórzysz, że nic nie pamiętasz, i już będzie po wszystkim – zapewniła matka, kładąc delikatnie dłoń na kolanie Josie, które właśnie zaczęło drżeć.

W tej chwili dziewczyna miała największą ochotę wstać, wypaść na dwór i rzucić się biegiem przed siebie. Przemknąć przez parking, następnie przez ulicę, pędem przeciąć boiska gimnazjum, a potem wbiec do lasu porastającego skraj miejskiego stawu i jak najszybciej wspiąć się na szczyty gór, które dostrzegała z okien swojego pokoju, gdy już opadły liście z drzew. Stanęłaby na najwyższym wierzchołku, a potem...

Rozpostarłaby ramiona i zrobiła krok nad krawędzią.

A jeżeli to wezwanie na komendę jest pułapką?

Jeżeli detektyw Ducharme już odkrył... wszystko?

– Josie – rozległ się jakiś głos. – Dziękuję, że zechciałaś się tu pofatygować.

Podniosła wzrok i ujrzała detektywa stojącego naprzeciwko. Matka natychmiast wstała z krzesła. Josie też chciała to zrobić, naprawdę chciała, ale nie mogła się zdobyć na odwagę.

– Pani sędzio, jestem wdzięczny za przywiezienie córki.

– Josie jest bardzo wzburzona. Nadal nic nie pamięta z wydarzeń owego dnia.

– Muszę to usłyszeć bezpośrednio od niej. – Detektyw przyklęknął przy krześle i skierował na Josie spojrzenie. Dziewczyna doszła do wniosku, że ten policjant ma piękne oczy, chociaż o trochę smutnym wyrazie – jak u basseta. Zaczęło ją nurtować, co czuje człowiek, który musi wysłuchiwać strasznych opowieści rannych i przerażonych ludzi; czy można uniknąć osmotycznej absorpcji ich bólu?

– Obiecuję, że to nie potrwa długo – zapewnił detektyw łagodnie.

Josie się zastanawiała, co poczuje, gdy zamkną się drzwi pokoju przesłuchań; gdy pytania zaczną na nią napierać jak ciśnienie na korek od szampana. Nie umiała zdecydować, co bolało bardziej: niemożność wywołania z pamięci przebiegu wydarzeń pomimo najszczerszych usiłowań czy odtwarzanie w myślach ostatniego, najstraszniejszego momentu.

Kątem oka zauważyła, że matka z powrotem siada na krześle.

– Nie idziesz ze mną?!

Poprzednim razem, gdy Josie rozmawiała z kapitanem Ducharme'em, matka posłużyła się swoją zgraną wymówką – jest sędzią, nie może się więc przysłuchiwać policyjnemu przesłuchaniu. Ale potem odbyły tę rozmowę na temat rozprawy, podczas której odczytano akt oskarżenia, i matka stawiała na głowie, by przekonać Josie, że można być sędzią i jednocześnie troskliwym rodzicem.

Innymi słowy, Josie znowu dała się nabrać: przez chwilę wierzyła,

że wszystko między nią a matką mogłoby się jeszcze zmienić na lepsze.

Matka otworzyła usta, potem je zamknęła – niczym ryba wyrzucona na brzeg.

Czy czujesz się przy mnie nieswojo? – pomyślała Josie, i to pytanie odcisnęło się grubą pręgą w jej umyśle.

Jeśli tak, witaj w klubie.

– Miałabyś ochotę na kawę? – zapytał tymczasem policjant i pokręcił głową. – Czy raczej powinienem zaproponować colę, ponieważ osoby w twoim wieku nie pijają jeszcze kawy... Może z powodu własnej ignorancji kuszę cię zakazanym owocem...?

– Lubię kawę – odparła Josie.

Gdy detektyw Ducharme prowadził ją w głąb komisariatu, z rozmysłem unikała wzroku matki.

Weszli do niewielkiej sali i policjant napemnił kubek kawą.

– Mleko? Cukier?

– Cukier proszę – odparła Josie. Wyjęła z cukierniczki dwa pakieciki i wsypała ich zawartość do kubka. Potem rozejrzała się dokoła: stół z laminatowym blatem, jarzeniowe światło, wszystko takie zwyczajne, normalne aż do bólu.

– O co chodzi? – spytał detektyw.

– Właśnie myślałam, że nie wygląda to na miejsce, gdzie przemocą wyciska się zeznania z podejrzanych.

– To zależy, czy jest coś do wyciśnięcia – odparł Ducharme i wybuchnął śmiechem, kiedy Josie raptownie pobladła. – Żartowałem. Stosuję przemoc wobec przestępców tylko wtedy, gdy odgrywam gliniarza dla potrzeb telewizji.

– Pan gra w jakimś serialu?!

Patrick westchnął głęboko.

– Nie ma o czym mówić. – Sięgnął po dyktafon stojący na środku stołu. – Będę nagrywał, tak jak poprzednio... głównie dlatego, że jestem zbyt tępy, aby wszystko dobrze zapamiętać. – Nacisnął przycisk i postawił urządzenie przed Josie. – Czy ludzie często ci powtarzają, że jesteś podobna do mamy?

– Um... jeszcze nigdy tego nie słyszałam. – Przekrzywiła głowę. – Ściągnął mnie pan tutaj, żeby o to zapytać?

Uśmiechnął się.

– Nie.

– Poza tym wcale nie jestem do niej podobna.

– Naturalnie, że tak. Masz takie same oczy.

Josie spuściła wzrok. – Moje są zupełnie innego koloru.

– Nie mówiłem o kolorze – odparł detektyw. – Josie, powiedz mi raz jeszcze, co pamiętasz z dnia strzelaniny?

Pod stołem Josie mocno zacisnęła ręce, wbijając paznokcie we wnętrze dłoni, żeby coś bolało bardziej niż słowa, które musiała za chwilę wypowiedzieć.

– Miałam pisać test z chemii. Uczyłam się do niego przez pół nocy i zaczęłam o nim myśleć tuż po przebudzeniu. I to wszystko. Jak już panu mówiłam, nawet nie pamiętam, że w ogóle byłam wtedy w szkole.

– Czy przypominasz sobie, dlaczego zemdlałaś w szatni gimnastycznej?

Josie zamknęła oczy. Zobaczyła wyraźnie szatnię: białe kafle na podłodze, szare szafki, osierocona skarpetka, wetknięta w róg prysznica. I nagle wszystko zalała czerwień jaskrawa jak krew. Jak niepohamowany gniew.

– Nie – odparła rwącym się głosem. – I zupełnie nie mam pojęcia, czemu na myśl o tej szatni chce mi się płakać. – Nienawidziła siebie za mazgajstwo, nienawidziła świadomości, że ktoś ją ogląda w takim stanie; ale najbardziej nienawidziła tego, że nigdy nie wiedziała, kiedy to ją dopadnie: niczym nagły szkwał, niespodziewana zmiana pływu. Josie wzięła w rękę podaną jej przez detektywa chusteczkę. – Czy mogę już iść? Proszę...

Moment zawahania... i Josie poczuła, jak współczucie policjanta spływa na nią niczym sieć o wielkich okach, przez które ulatują wstyd, gniew i strach.

– Naturalnie, Josie. Idź.

Alex udawała, że pilnie studiuje doroczny raport magistratu, gdy Josie wypadła z impetem przez ciężkie, pancerne drzwi z powrotem do poczekalni. Zalewała się łzami. A Patricka Ducharme'a nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

Zamorduję go, zdecydowała z lodowatym spokojem Alex. Jak tylko się upewnię, że z moją córką wszystko w porządku.

– Josie – odezwała się miękko, lecz Josie przebiegła obok i wyskoczyła na parking przed komendą. Alex się poderwała i dogoniła córkę dopiero przy samochodzie. Objęła ją mocno w pasie, a Josie natychmiast zeszywniała.

– Zostaw mnie w spokoju!

– Co on ci powiedział, skarbie? Co zrobił? Muszę wiedzieć.

– Nie chcę z tobą rozmawiać! Ty nic nie rozumiesz! Nikt nie rozumie! – Josie odskoczyła do tyłu jak oparzona. – Ci, co by zrozumieli, już nie żyją.

Alex się zawahała, niepewna, jak powinna zareagować. Mogłaby przytulić córkę do piersi i pozwolić jej się wyplakać, pogrążyć w toni własnego smutku. Albo uświadomić Josie, że bez względu na to, jak bardzo jest zrozpaczona i wytrącona z równowagi, ma dość siły, by nad sobą zapanować; by przezwyciężyć wszelką niemoc. Alex doskonale wiedziała, jak to zrobić: miała do czynienia z podobnymi sytuacjami na sali rozpraw, gdy przysięgli nie byli w stanie uzgodnić werdyktu. Wówczas wygłaszała zwyczajowe sędziowskie pouczenie: przypominała o obowiązku obywatelskim, wyrażała niezachwianą wiarę w rozsądek członków ławy i ich zdolność do osiągnięcia konsensusu.

Ilekczo Alex odwoływała się do owego pouczenia, zawsze osiągała pożądaną skutek.

– Zdaję sobie doskonale sprawę, jak ci ciężko, ale jednocześnie jestem głęboko przekonana, że masz w sobie dość siły woli...

Josie odepchnęła ją z nienawiścią i odskoczyła jeszcze dalej.

– Przestań do mnie przemawiać w taki sposób!

– W jaki?

– Jakbym była jakimś pieprzonym świadkiem czy przysięgłym, któremu chcesz zaimponować!

– Pani sędzio... przepraszam, że przeszkadzam...

Alex odwróciła się na pięcie i ujrzała Patricka Ducharme'a; stał zaledwie dwa kroki dalej i przysłuchiwał się tej uroczej wymianie zdań pomiędzy matką a córką. Alex poczuła, jak zaczynają ją palić policzki; właśnie takie zachowanie w miejscach publicznych pod żadnym pozorem nie uchodziło sędzi. Gdy tylko Ducharme wróci na posterunek, zapewne roześle maila do wszystkich gliniarzy w mieście: „Nigdy nie zgadniesz, co właśnie usłyszałem”.

– Pani córka zapomniała zabrać swoją bluzę.

Wyciągnął przed siebie rękę, przez którą była przewieszona różowa, starannie złożona bluza z kapturem, a potem, zamiast się wycofać, położył dłoń na ramieniu Josie.

– Nie zamartwiaj się – powiedział miękko i spojrzał jej w oczy, tak jakby byli jedynymi ludźmi na ziemi. – Wszystko się ułoży.

Alex się spodziewała, że córka zareaguje agresją, a tymczasem pod dotykiem jego dłoni Josie natychmiast się wyciszyła. Skinęła głową, jak gdyby pierwszy raz od czasu strzelaniny autentycznie uwierzyła, że będzie lepiej.

Alex poczuła, jak wzbiera w jej wnętrzu ulga, że córka wreszcie zechciała pochwycić cienką nić nadziei; oraz żal, gorzki jak migdał, że to nie ona jest osobą zdolną przywrócić twarzy córki wyraz spokoju.

Josie otarła oczy rękawem bluzy.

– Już w porządku? – spytał Ducharme.

– Uhm.

– To dobrze. – Detektyw skinął głową w stronę Alex. – Pani sędzio.

– Dziękuję – wymamrotała, gdy odchodził w stronę komendy.

Usłyszała trzask samochodowych drzwi; to Josie się wśliznęła na fotel dla pasażerów. Alex jednak tkwiła w miejscu i odprowadzała Patricka Ducharme'a wzrokiem, dopóki nie zniknął jej z oczu.

Dlaczego to nie ja... – pomyślała, z rozmysłem nie kończąc zdania.

Podobnie jak Peter, Derek Markowitz był geniuszem komputerowym. I podobnie jak Peter, nie został obdarzony przez naturę imponującymi mięśniami czy wysokim wzrostem. Jego włosy układały się w śmieszne, sterczące na wszystkie strony kępkę, które wyglądały niczym przyklejone. Zawsze nosił koszulę starannie wetkniętą w spodnie i nie cieszył się popularnością wśród kolegów.

W odróżnieniu od Petera Derek nie wszedł pewnego dnia do szkoły i nie zastrzelił dziesięciu osób.

Selena siedziała przy kuchennym stole Markowitzów, pod czujnym okiem Dee Dee Markowitz. Przyszła porozmawiać z Derekiem w nadziei, że mogliby go powołać na świadka obrony, ale, szczerze powiedziawszy, to, co do tej pory usłyszała, czyniło z niego o wiele lepszego kandydata na świadka oskarżenia.

– A jeżeli to moja wina? – zaniepokoił się Derek. – To znaczy, Peter rzucał czasami jakieś dziwne aluzje, więc może gdybym uważniej się wsłuchiwał w to, co mówił, zdołałbym go powstrzymać. Powiedzieć komuś, co się dzieje. Tymczasem ja uznałem, że to zwykłe wygłupy.

– Każdy by tak pomyślał na twoim miejscu – powiedziała Selena i rzeczywiście w to wierzyła. – Poza tym owego dnia do Sterling High wszedł nie ten Peter, którego znałeś.

– Fakt. – Derek pokiwał głową.

– Czy to już wszystko? – wtrąciła się Dee Dee. – Derek ma wkrótce lekcję gry na skrzypcach.

– Już prawie, pani Markowitz. Chciałam jeszcze tylko zapytać Dereka o TEGO Petera, którego znał. Jak się poznaliście?

– W szóstej klasie obaj znaleźliśmy się w drużynie piłki nożnej. I obaj byliśmy do dupy.

– Derek!

– Przepraszam, mamó, ale to prawda. – Zerknął na Selenę. – Za to żaden z tych ogólnie podziwianych mięśniaków nie byłby w stanie napisać najprostszego programu komputerowego, nawet gdyby od tego zależało jego życie.

Selena uśmiechnęła się pod nosem.

– Cóż, ja też się zaliczam do upośledzonych technicznie ignorantów. A więc zaprzyjaźniliście się z Peterem, gdy zostaliście członkami drużyny piłki nożnej?

– Zawsze razem grzaliśmy ławę, bo tylko nas dwóch trener nigdy nie wstawiał do składu. Jednak wtedy jeszcze się nie zaprzyjaźniliśmy. To się stało trochę później, gdy Peter przestał się przyjaźnić z Josie.

Niewiele brakowało, a Selena wypuściłaby z ręki długopis.

– Josie?

– Uhm. Josie Cormier. Ona też chodzi do naszej szkoły.

– I przyjaźni się z Peterem?

– Przyjaźniła – uściślił Derek. – Przez wiele lat tylko z nią się trzymał. Ale potem ona została jedną ze szkolnych księżniczek i olała Petera. – Zerknął na Selenę. – Peter jednak wcale się tym nie przejął. Naprawdę. Powiedział, że Cormier się zmieniła w zimną sukę.

– Derek!

– Przepraszam, mamó. Ale to też prawda.

– Czy mogę przeprosić na moment? – spytała Selena.

Wyszła z kuchni, wśliznęła się do łazienki i z komórki zadzwoniła do domu.

– To ja – oznajmiła, gdy odezwał się Jordan. – Czemu u was tak cicho?

– Sam śpi.

– Chyba nie puściłeś mu DVD z Wigglesami, żeby móc w spokoju zająć się studiowaniem materiałów z prokuratury?

– Czy dzwonisz tylko po to, by mi zarzucić marne wywiązywanie się z obowiązków rodzicielskich?

– Nie. Dzwonię, by ci powiedzieć, że Peter i Josie byli swego czasu parą najlepszych przyjaciół.

Peterowi, podobnie jak wszystkim więźniom z oddziału zastrzonego nadzoru, przysługiwało tylko jedno widzenie w tygodniu, chociaż to ograniczenie nie dotyczyło wszystkich odwiedzających. Na

przykład adwokat mógł przychodzić w dowolnym czasie i tak często, jak uważał za konieczne. Podobnie – co zakrawało na czyste szaleństwo – dziennikarze. Wszystko, co Peter musiał zrobić, to podpisać dokument stwierdzający, że dobrowolnie wyraża zgodę na kontakt z mediami, i Elena Battista mogła się z nim spotkać.

Była gorącą sztuką. Peter od razu to zauważył. Nie włożyła na siebie żadnego z tych bezkształtnych, wielkich swetrów, w jakich często chodzą studentki, ale obcisłą bluzkę na guziki. Parę z nich było rozpiętych i gdyby Peter się nachylił, z pewnością zobaczyłby nasadę jej piersi.

Poza tym miała długie, kręcone, gęste włosy, brązowe oczy jak u łani, i Peterowi wydawało się nieprawdopodobne, by ktoś taki mógł być kiedykolwiek prześladowany w liceum. Niemniej siedziała teraz przed nim, to jedno nie ulegało wątpliwości, i ilekroć spoglądała mu w oczy, od razu się peszyła.

– Wprost nie mogę w to uwierzyć! – wyznała, dosuwając stopy do samego brzegu czerwonego pasa. – Nie mogę uwierzyć, że rzeczywiście się spotykamy.

Peter udawał, że słyszy coś podobnego każdego dnia.

– Taaa – mruknął nonszalancko. – Super, że przyjechałaś.

– O Boże! Przynajmniej tyle mogłam zrobić.

Peter przypomniał sobie opowieści o fankach różnych słynnych przestępców; te dziewczyny zasypywały ich listami, a niektóre nawet brały z nimi ślub w więziennej kaplicy. Ciekawe, czy strażnik, który wprowadzał Elenę, opowiadał teraz wszystkim, że do Petera Houghtona przyszła gorąca laska.

– Nie masz nic przeciwko temu, że będę robić notatki, prawda? Na użytek mojej pracy.

– Nie. Super.

Przyglądał się, jak wsuwa do ust obsadkę długopisu, a potem szuka w notesie wolnej strony.

– Więc, jak już ci wspominałam w liście, piszę o przemocy szkolnej.

– Dlaczego?

– Kiedy jeszcze byłam w liceum, przychodziły takie dni, że wolałabym umrzeć, niż iść nazajutrz do szkoły. Po jakimś czasie doszłam do wniosku, że nie mogę być jedyna... że więcej osób musi mieć podobne odczucia... I wówczas postanowiłam zająć się tym problemem. – Pochyliła się do przodu – ach, ten dekolt! – i zajrzała Peterowi głęboko w oczy. – Nie masz nic przeciwko temu, żebym opublikowała wnioski z naszej rozmowy w jakimś czasopiśmie psychologicznym czy czymś w tym rodzaju?

– Nie. Super. – Mimowolnie się skrzywił. Jezu, ile jeszcze razy powtórzy to nieszczęsne „super”? Musiał sprawiać wrażenie totalnego przygłupa.

– Może więc na początek powiesz mi, jak często cię szykanowali?

– W zasadzie codziennie.

– Jak?

– Zamykali mnie w szafce, wyrzucali mi podręczniki z autobusu.

Przebiegł całą litanię prześladowań, którą już tysiąc razy odmawiał przed Jordanem: spychanie ze schodów, zdzieranie z nosa okularów i roztrzaskiwanie ich na kawałki, obraźliwe wyzwiska.

Oczy Eleny zwilgotniały.

– Musiało ci być strasznie ciężko.

Peter nie był pewien, jak powinien zareagować. Chciał podtrzymać jej zainteresowanie, ale nie kosztem robienia z siebie totalnego mięczaka. Wzruszył więc jedynie ramionami w nadziei, że to wystarczy, by osiągnąć pożądaną efekt.

Pióro Eleny zawisło nad notesem.

– Peter, czy mogłabym cię o coś spytać?

– Jasne.

– Nawet jeżeli nie dotyczy bezpośrednio tematu?

Skinął głową.

– Czy to wszystko zaplanowałeś? Zamierzałeś ich pozabijać?

Skloniła się w jego stronę z rozchylonymi ustami, jakby to, co Peter miał jej powiedzieć, było hostią, na której przyjęcie czekała przez całe życie. Peterowi głośno zadudniły w uszach kroki strażnika,

spacerującego pod drzwiami rozmównicy; miał wrażenie, że niemal wyczuwa na języku smak oddechu Eleny. Chciał odpowiedzieć w taki sposób, by dziewczyna ujrzała w nim groźnego, a jednocześnie intrygującego osobnika i zaprażyła odwiedzić go ponownie.

Posłał w jej stronę uśmiech – w założeniu uwodzicielski.

– Powiedzmy, że to wszystko musiało się wreszcie skończyć.

Czasopisma leżące w poczekalni u dentysty odznaczały się długością żywota równą okresowi połowicznego rozpadu izotopu plutonu. Były tak stare, że gwiazda przedstawiona na okładce jednego z nich w dniu swojego ślubu dochowała się już dwójki dzieci, którym nadała imiona na cześć biblijnych proroków... czy też może jakichś tropikalnych owoców; natomiast prezydent mianowany Człowiekiem Roku już wiele lat temu przestał sprawować urząd. Gdy więc Jordan czekający na wymianę plomby zauważył egzemplarz najnowszego „Time’a”, poczuł się, jakby odkrył złoty samorodek.

Przez okładkę przedstawiającą zrobione z helikoptera zdjęcie Sterling High, z którego wszelkimi możliwymi otworami wylewali się uczniowie, biegł duży napis: LICEA: LINIA FRONTU NOWEJ WOJNY? Jordan od niechcienia przeglądał artykuł, przekonany, że już nic nie jest w stanie go w tej sprawie zaskoczyć, aż raptem jego uwagę przyciągnął jeden z podtytułów, „Rozważania zabójcy”, a obok fotografia Petera, przedrukowana ze szkolnego albumu.

Jordan zaczął uważniej przebiegać tekst wzrokiem.

– Jasny szlag! – Zerwał się na równe nogi i pośpieszył ku drzwiom.

– Panie McAfee! – zawołała za nim recepcjonistka. – Doktor prosi!

– Umówię się na inny termin...

– Nie może pan zabierać naszego czasopisma...

– Niech je pani dopisze do mojego rachunku – burknął Jordan i zbiegł po schodach do samochodu. Komórka rozdzwoniła się w chwili, gdy przekręcał kluczyk w stacyjce. Nie zdziwiłby się, jeśli w słuchawce usłyszałby triumfalny głos Diany Leven, napawającej się tym cudownym dla niej zrządzeniem fortuny. Okazało się jednak, że to Selena.

– Cześć. Wyszedłeś już od dentysty? Musisz wpaść po drodze do apteki i kupić parę opakowań pieluch, bo właśnie mi się skończyły.

– Nigdzie nie wpadnę i nieszybko wrócę do domu. Mam ważniejszy problem na głowie.

– Skarbie, w tej chwili nie ma poważniejszego problemu od pieluch dla twojego syna.

– Później ci wszystko wyjaśnię – odparł i wyłączył komórkę, więc nawet gdyby teraz Diana chciała się z nim skontaktować, już nie zdołałaby się dodzwonić.

Dotarł do więzienia w dwadzieścia sześć minut – jego życiowy rekord – i popędził do środka. Przycisnął „Time’a” do pleksiglasowej szyby, oddzielającej dyżurnego strażnika od reszty świata.

– Muszę to mieć przy sobie podczas widzenia z klientem.

– Przykro mi – odpowiedział funkcjonariusz – ale nie można wносить do środka żadnych pism spiętych metalowymi zszywaczami.

Jordan oparł „Time’a” o zgięte kolano i balansując na jednej nodze, wyszarpnął strony ze zszywaczy.

– Czy teraz mogę się zobaczyć z moim klientem?

Został wprowadzony do tej samej salki co zwykle i zaczął się po niej miotać jak tygrys w klatce. Ledwie Peter stanął w drzwiach, Jordan trzasnął o stół czasopismem otwartym na feralnym artykule.

– Co ci, kurwa, strzeliło do głowy?!

Chłopak rozdziawił usta na całą szerokość.

– Ja... ona... nie wiedziałem, że jest z „Time’a”! – Szybko przebiegł wzrokiem tekst. – Nie do wiary – mruknął.

Jordanowi literalnie krew uderzyła do głowy. Zapewne w takich okolicznościach ludzie dostają udaru.

– Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z powagi postawionych ci zarzutów?! Ze swojego beznadziejnego położenia? Ogromu materiału dowodowego, przemawiającego na twoją niekorzyść? – Uderzył otwartą dłońią w czasopismo. – Doprawdy sądzisz, że dzięki temu zyskasz czyjąś sympatię?

Peter przybrał wojowniczą minę.

– Wielkie dzięki za ten wykład. Może gdybyś się tu zjawił parę tygodni wcześniej, teraz nie byłoby o czym mówić.

– To doprawdy paradne! – prychnął Jordan. – Ponieważ nie przychodzę tak często, jak byś sobie życzył, postanowiłeś wbić mi nóż w plecy i uciąć sobie uroczą pogawędkę z reporterką?

– Nie przyszła tu jako reporterka, ale moja przyjaciółka.

– Pozwól, że cię oświecę – nie wytrzymał Jordan. – Ty nie masz żadnych przyjaciół!

– A jakie nowiny poza tym? – odparował Peter.

Jordan już otwierał usta, żeby się ponownie wydrzeć na tego dzieciaka, ale nie miał serca tego ciągnąć. Prawdziwość własnego stwierdzenia dotarła do niego z całą mocą, gdy przypomniał sobie zesłotygodniową rozmowę Seleny z Derekiem Markowitzem. Koledzy Petera odcinali się od niego, zdradzali go, wyjawiali wszystkie sekrety na użytek zgłodniałych sensacji milionów.

Jeżeli Jordan chce się porządnie wywiązać ze swojego zadania, jego relacja z Peterem nie może się ograniczyć do układu adwokat-klient. Jordan powinien zostać jego powiernikiem, a tymczasem do tej pory tylko nakręcał tego chłopaka, jak wszyscy inni w jego życiu.

Usiadł obok Petera na krześle.

– Posłuchaj – odezwał się spokojnym, opanowanym głosem. – Nie wolno ci powtórzyć takiego numeru. Jeżeli ktokolwiek jeszcze kiedyś spróbuje się z tobą skontaktować pod jakimkolwiek pozorem, musisz mnie natychmiast o tym powiadomić. Za to ja będę cię odwiedzał zdecydowanie częściej niż do tej pory. Okay?

Peter potwierdził wzruszeniem ramion. Potem przez dłuższą chwilę obaj milczeli, niepewni, jak powinien wyglądać następny ruch.

– I co teraz? – spytał w końcu Peter. – Mam znowu opowiadać o Joeyu? Czy omówimy, co mam gadać podczas badania psychiatrycznego?

Jordan w pierwszej chwili nie wiedział, jak zareagować. Zjawił się tu tylko dlatego, by roznieść Petera w puch za tę rozmowę z dziennikarką; gdyby nie zobaczył artykułu, nie przyjechałby w ogóle. Z pewnością

mógłby wypytać go ponownie o wspomnienia z dzieciństwa, przeżycia szkolne czy odczucia wynikające z ciągłego upokarzania, ale z bliżej nieokreślonych powodów wydało mu się to niestosowne.

– Prawdę powiedziawszy, przydałaby mi się fachowa porada – powiedział. – Na Gwiazdkę dostałem od żony pewną grę komputerową. Chyba „Agents of Stealth”. Problem w tym, że nie jestem w stanie przejść przez pierwszy poziom.

Peter zerknął na niego spod oka.

– Zarejestrowałeś się jako android czy regal?

Skąd, do cholery, miał wiedzieć? Do tej pory nawet nie wyjął tej gry z pudełka.

– Android.

– To poważny błąd. Bo widzisz, w takiej sytuacji nie możesz się zaciągnąć do legionu. Musisz zdobyć promocję. Żeby to osiągnąć, zaczynasz w sekcji edukacyjnej, a nie w kopalniach. Pojmujesz?

Jordan spojrział na artykuł wciąż leżący na stole. Ta publikacja nieprawdopodobnie skomplikowała mu życie, ale może pozytywnym aspektem tej drobnej katastrofy będzie poprawa relacji z klientem.

– Uhm. Powoli rozjaśnia mi się w głowie.

– To się pani nie spodoba – uprzedziła Eleanor, kładąc na biurku Alex arkusz papieru.

– Co to takiego?

– Wniosek o pani rezygnację z uczestnictwa w procesie Petera Houghtona. Prokuratura wnosi o formalne wysłuchanie stron w tej sprawie.

Takie wysłuchanie toczy się przy otwartej kurtynie, na sali rozpraw, w obecności mediów, ofiar strzelaniny i rodzin zabitych, a więc za jego sprawą Alex znalazłaby się na cenzurowanym jeszcze przed rozpoczęciem właściwego procesu.

– Ma do tego prawo. Tak jak ja mam prawo do jego odrzucenia.

– Osobiście przemyślałabym tę decyzję – zasugerowała z wahaniem

w głosie asystentka.

Alex spojrzała na nią znacząco.

– Możesz odejść.

Poczekala, aż za Eleanor zamkną się drzwi, i mocno zacisnęła powieki. Nie wiedziała, co ma w tej sytuacji zrobić. Faktem jest, że rozprawa wstępna wstrząsnęła nią bardziej, niż się spodziewała. I nie ulegało wątpliwości, że dystans między nią a córką zacznie się zwiększać wprost proporcjonalnie do staranności, z jaką Alex będzie przestrzegała wszelkich rygorów swojego zawodu. Ale ponieważ od początku wbiła sobie do głowy, że jest nieomylna – że w tym postępowaniu nic nie zachwieje jej bezstronnością – znalazła się w pułapce. Zupełnie inaczej przedstawiałaby się sprawa, gdyby zrezygnowała z prowadzenia tego procesu, zanim ruszyła cała machina sądowa. Natomiast wycofując się obecnie, wyszłaby na osobę niezdecydowaną (w najlepszym wypadku) lub wręcz niekompetentną (wersja najczarniejsza). Alex zdecydowanie nie życzyła sobie, by którykolwiek z tych przymiotników łączono z jej nazwiskiem, szczególnie w kontekście pracy zawodowej.

Ale gdy odrzuci wniosek Diany Leven o publiczne wysłuchanie, wszyscy mogą odnieść wrażenie, że chowa głowę w piasek. Sensowniej więc postąpi, jeżeli się zachowa, jak na dużą dziewczynkę przystało, i pozwoli stronom na oficjalne wyrażenie swoich stanowisk.

Podniosła słuchawkę telefonu.

– Eleanor, wciśnij ten wniosek na wokandę.

Przejechała palcami po włosach, potem znów je przygładziła. Musiała zapalić. Teraz, natychmiast. Przeszukała szufladę biurka, ale znalazła jedynie puste pudełko.

– Jasna cholera – mruknęła i nagle przypomniała sobie, że w bagażniku samochodu zakamuflowała jedną paczkę na czarną godzinę. Chwyła kluczyki i zbiegła tylnymi schodami na parking.

Z impetem otworzyła drzwi pożarowe i usłyszała nieprzyjemny plask ludzkiego ciała zderzającego się z ciężkim przedmiotem.

– Rany boskie! – Pośpieszyła w stronę mężczyzny zwijającego się z

bólu. – Nic się panu nie stało?

Patrick Ducharme wyprostował się ze skrzywioną miną.

– Pani sędzio, muszę przestać się na panią nadziewać. I to w sensie dosłownym.

Zmarszczyła brwi.

– Nie powinien pan stawać pod drzwiami!

– A pani nie powinna ich otwierać z taką gwałtownością. Więc gdzie dzisiaj? – spytał Patrick.

– Co „gdzie dzisiaj”?

– Gdzie się pali? – Skinął głową innemu gliniarzowi, zmierzającemu w stronę zaparkowanego radiowozu.

Alex cofnęła się o krok i skrzyżowała ramiona. – Zdaje się, że już odbyliśmy rozmowę na temat... rozmów.

– Po pierwsze, nie mówimy o procesie; chyba że wkroczyliśmy w świat zupełnie obcych mi metafor. Po drugie, pani udział w tym postępowaniu zdaje się dość problematyczny, o ile wierzyć wstępniakowi w dzisiejszym „Sterling News”.

– Piszą o mnie we wstępniaku? – Alex nie wierzyła własnym uszom. – A co mianowicie?

– Chętnie bym pani powiedział, ale to już byłaby rozmowa na temat procesu, czyż nie? – Uśmiechnął się od ucha do ucha i zaczął się oddalać.

– Proszę poczekać! – Kiedy się odwrócił, szybko się rozejrzała po parkingu, żeby sprawdzić, czy są sami. – Czy mogę pana o coś spytać? Nieoficjalnie?

Powoli pokiwał głową.

– Kiedy ostatnio rozmawiał pan z Josie... czy odniósł pan wrażenie, że... jak by to ująć... wszystko z nią w porządku?

Detektyw oparł się plecami o ceglana ścianę sądu.

– Pani z pewnością wie to lepiej ode mnie.

– Tak... naturalnie... Pomyślałam jednak, że może powiedziała panu coś, czego wolałaby nie mówić mnie. – Spuściła wzrok. – Czasami łatwiej się zwierzać obcym.

Czuła na sobie wzrok Patricka, ale nie miała dość odwagi, by spojrzeć mu w oczy.

– A czy ja mogę pani coś powiedzieć? Nieoficjalnie?

Skinęła głową.

– Zanim się przeniósłem do Sterling, pracowałem w Maine. I tam prowadziłem sprawę, która nie była dla mnie zwykłym policyjnym dochodzeniem, jeżeli pani wie, co mam na myśli.

Wiedziała. W jego głosie pobrzmiwała nuta, której nigdy wcześniej nie słyszała – niska, rezonująca jak kamerton, który raz potrącony nie przestaje wibrować.

– Dotyczyła kobiety, która była dla mnie wszystkim, i jej synka, który był wszystkim dla niej. Kiedy został skrzywdzony w sposób, w jaki żadne dziecko nigdy nie powinno zostać skrzywdzone, harowałem nad tą sprawą dzień i noc, poruszałem niebo i ziemię, ponieważ uważałem, że nikt nie zrobi tego lepiej ode mnie. Nikomu bardziej nie będzie zależało na wynikach śledztwa. – Spojrzał Alex prosto w oczy. – Byłem pewien, że jestem w stanie oddzielić swoje uczucia od obowiązków.

Alex miała wrażenie, że w gardle osiadł jej suchy popiół.

– I co?

– Bardzo się myliłem. Ponieważ gdy kogoś kochamy, bez względu na to, co próbujemy sobie wmówić, praca przestaje być tylko pracą.

– A czym się staje?

– Zemstą.

Pewnego ranka, kiedy Lewis powiedział Lacy, że jedzie do więzienia na widzenie z Peterem, wsiadła do samochodu i podążyła za mężem. Chociaż minęło już kilka tygodni od czasu, gdy usłyszała od Petera, że ojciec go nie odwiedza, Lacy trzymała tę informację w sekrecie. Jedynie coraz rzadziej odzywała się do Lewisa z obawy, że jeśli będzie za często otwierać usta, nie zapanuje nad huraganem słów i wszystko z siebie wyrzuci.

Pilnie uważała, żeby przez cały czas między nią a Lewitem znajdowało się jakieś auto. Przypomniała sobie, jak w innym życiu, jeszcze zanim się pobrali, jechała za nim do jego mieszkania lub vice versa. Zabawiali się po drodze: machali tylnymi wycieraczkami niczym pies ogonem, nadawali sobie komunikaty alfabetem Morse'a, migając kierunkowskazami.

Lewis skierował się na północ, jakby zmierzał do więzienia, i Lacy na chwilę ogarnęło zwątpienie: czyżby Peter oszukał ją z jakiegoś niezrozumiałego powodu? Prawdę powiedziawszy, nie wydawało jej się to prawdopodobne. Ale, z drugiej strony, to samo powiedziałyby, jeśli chodzi o Lewisa.

Kiedy dojechali do Lyme, zaczęło padać. Lewis skręcił na parking przed niewielkim kompleksem handlowym, mieszczącym między innymi bank, pracownię artystyczną i kwiaciarnię. Nie mogła zatrzymać w tym samym miejscu – natychmiast rozpoznałby jej samochód – więc zajechała na tyły niewielkiego sklepiku z artykułami żelaznymi.

Może chce skorzystać z bankomatu, pomyślała, ale kiedy wysiadła z samochodu i skryła się za cysterną, zobaczyła, jak jej mąż wchodzi do kwiaciarni, by pięć minut później wyjść z bukietem łososiowych róż.

Coś gwałtownie wysało powietrze z jej płuc. Czyżby Lewis wdał się w jakiś romans? Aż do tej pory nie przyszło jej do głowy, że sytuacja mogłaby być jeszcze bardziej dramatyczna, że ich maleńka rodzina jeszcze bardziej mogłaby się zdeintegrować.

Na chwiejnych nogach Lacy dotarła do swojego auta i zmusiła się do dalszego śledzenia męża. To prawda, ostatnio obsesyjnie się skupiła na procesie Petera. I rzeczywiście nie chciała słuchać Lewisa, kiedy próbował nawiązać z nią rozmowę, ponieważ to, co mówił na temat seminariów ekonomicznych, nowych publikacji czy wydarzeń ogólnościatowych, nie miało dla niej żadnego znaczenia – nie teraz, gdy jej syn siedział w więzieniu. Ale Lewis i romans?! Lacy zawsze uważała, że to ona jest wolnym duchem w ich związku, a Lewis – stabilną kotwicą.

Rzecz w tym, że poczucie bezpieczeństwa to złudna iluzja;

zakotwiczenie niczego nie daje, jeżeli puści węzeł na drugim końcu liny.

Otarła łzy rękawem. Lewis z pewnością powie, że to tylko seks, że nie ma nic wspólnego z miłością. Że to przelotna przygoda bez znaczenia. Że ludzie na najróżniejsze sposoby próbują się uporać z rozpaczą, załatać dziurę w sercu.

Lewis ponownie włączył kierunkowskaz i tym razem skrzył ku cmentarnej bramie.

Lacy poczuła ostre pieczenie w piersi. To już było perwersyjne. Po prostu chore. Czy tutaj właśnie się spotykają?

Wysiadł z samochodu z bukietem w rękę, ale bez parasola. Deszcz lał teraz nie na żarty, ale Lacy postanowiła, że dziś doprowadzi sprawę do końca. Zachowując bezpieczną odległość, podążyła za mężem do najnowszej części cmentarza, gdzie znajdowały się najświeższe mogiły. Nawet nie zostały jeszcze oznakowane kamieniami nagrobnymi i układały się w patchwork regularnych prostokątów brunatnej ziemi i zielonej, starannie przystrzyżonej trawy.

Lewis przyklęknął i położył różę na pierwszej z mogił. A potem na następnej i następnej, i jeszcze kolejnej. Mokre włosy opadały mu na twarz, przemoczona koszula kleiła się do pleców, ale dziesięć róż znalazło się na swoim miejscu.

Lacy podeszła od tyłu, kiedy kładł ostatni kwiat.

– Wiem, że tu jesteś – powiedział, nie oglądając się za siebie.

Głos uwiązał Lacy w gardle. Przekonała się, że mąż jej nie zdradzał, powinna więc poczuć radość i ulgę, jednak wszelkie pozytywne emocje stłumiła świadomość tego, w jaki sposób Lewis spędzał czas.

– Jak śmiesz! – wybuchnęła. – Jak śmiesz tutaj przychodzić, zamiast odwiedzać własnego syna?!

Uniósł głowę.

– Czy słyszałaś o teorii chaosu?

– Pieprzę wszystkie teorie, Lewis! Jedyne, co mnie teraz obchodzi, to Peter. Czego zdecydowanie nie można powiedzieć o...

– W wielkim skrócie rzecz ujmując... – wszedł jej w słowo – ...w linearnym ujęciu czasu jesteśmy w stanie określić przyczynę tylko

ostatniego zaobserwowanego zdarzenia... nie umiemy natomiast powiązać ze sobą wszystkich wcześniejszych epizodów, które do niego doprowadziły, bo nie dostrzegamy w nich logicznego ciągu. Nie potrafimy, na przykład, racjonalnie potwierdzić lub wykluczyć związku pomiędzy chłopcem puszczającym kaczkę po wodzie na plaży a wystąpieniem potężnego tsunami na drugim krańcu ziemi. – Lewis podniósł się znad grobu z rękami w kieszeniach. – Ja nauczyłem Petera posługiwać się bronią. Zachęcałem go do polowań, chociaż wcale nie przepadał za tym sportem. Wygłosiłem tysiące maksym. A co, jeżeli jedna z nich pchnęła Petera do tego kroku?

Zgiął się w pasie i załkał głośno. Lacy objęła go mocno, nie zważając na krople opadające na jej głowę i plecy niczym pałeczki werblisty.

– Zrobiliśmy, co w naszej mocy – powiedziała.

– To wyraźnie nie wystarczyło. – Skinął głową w stronę grobów. – Tylko popatrz! Tylko sama popatrz!

Lacy powiodła wzrokiem po mogiłach. I poprzez strugi deszczu ujrzała nagle twarze tych wszystkich dzieci, które żyłyby do dzisiaj, gdyby Peter nigdy się nie narodził.

Przycisnęła rękę do brzucha. Ostry ból przeciął ją na pół niczym piła magika, tyle że to nie był trik iluzjonisty – Lacy już nigdy więcej nie będzie sobą.

Jeden z jej synów zażywał narkotyki. Drugi wyrósł na mordercę. Czy ona i Lewis byli nieodpowiednimi rodzicami dla tych chłopców? A może w ogóle nie powinni się decydować na rodzicielstwo?

Dzieci same z siebie nie popełniają błędów. To rodzice bezwiednie prowadzą je ku przepaści. Lacy i Lewis szczerze wierzyli, że zmierzają w dobrym kierunku, ale może w pewnym momencie powinni przystanąć i spytać o drogę. Niewykluczone, że wówczas nie musieliby patrzeć, jak najpierw Joey, a potem Peter stawiają o jeden tragiczny krok za dużo i spadają w otchłań.

Lacy przypomniała sobie, jak nieustannie konfrontowała doskonałe oceny Joeya ze słabszymi stopniami Petera; jak wymuszała na młodszym synu, żeby dołączył do drużyny piłki nożnej, ponieważ jego

brat czerpał tak wiele przyjemności z gry w szkolnej reprezentacji. Akceptacja zaczyna się w rodzinie, podobnie jak nietolerancja. Lacy zdała sobie sprawę, że zanim Peter został odrzucony przez rówieśników, czuł się już banitą we własnym domu.

Zacisnęła powieki. Do końca życia pozostanie dla reszty świata matką Petera Houghtona. Swego czasu o tym marzyła – co tylko ilustruje, jak słuszny jest przesąd, że należy bardzo uważać z wygłaszaniem życzeń pod adresem losu. Jeżeli chcemy pławić się w blasku dokonań naszych dzieci, musimy być także gotowi na przyjęcie odpowiedzialności za ich katastrofy. W tej chwili dla Lacy oznaczało to jedno: zamiast podejmować symboliczne próby zadośćuczynienia leżącym tu ofiarom, muszą się zająć osobą najbliższą – Peterem.

– On nas potrzebuje – powiedziała. – Teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Lewis stanowczo pokręcił głową.

– Nie mogę się z nim zobaczyć.

Lacy odskoczyła od męża.

– Dlaczego?

– Ponieważ do tej pory codziennie myślę o tym pijanym kierowcy, który zabił Joeya. I nadal gorąco żałuję, że nie on zginął zamiast naszego syna, bo w moim przekonaniu zasługiwał na śmierć. Rodzice tych dzieci dzień w dzień myślą tak samo o Peterze. I wiesz co, Lacy... żadnemu z nich nie mam tego za złe.

Lacy zaczęła się powoli cofać, dygocząc na całym ciele. Lewis zgniół w dłoniach bibułkę, która osłaniała róże, i włożył ją do kieszeni. A przez cały czas deszcz padał gęsto i rześście, rozdzielając tych dwoje migotliwą kurtyną.

Jordan siedział w pizzerii zlokalizowanej nieopodal więzienia i czekał na Kinga Wah, który miał się tu zjawić, gdy skończy rozmowę z Peterem. Psychiatra był spóźniony już dobre dziesięć minut i Jordan nie umiał powiedzieć, czy to dobry czy zły znak.

W końcu King wpadł przez drzwi wejściowe w obłoku wydętych pół płaszcza. Wsunął się na siedzenie łoża, w której siedział Jordan, i chwycił kawałek pizzy z jego talerza.

– Z psychologicznego punktu widzenia młodociana ofiara prześladowania rówieśniczego niczym się nie różni od dorosłej kobiety, poddawanej systematycznemu maltretowaniu. W jednym i w drugim przypadku mamy do czynienia z zespołem stresu pourazowego. – Rzucił spieczony brzeg z powrotem na talerz. – Czy wiesz, co powiedział mi Peter?

Oczywa duszy Jordan ujrzał swojego klienta.

– Że w więzieniu jest do dupy?

– To to oni wszyscy mówią. Oznajmił, że wolałby umrzeć, niż znowu drzeć na myśl o tym, co następnego dnia może go spotkać w szkole. Co ci to przypomina?

– Katie Riccobono – odparł Jordan. – Po tym, jak załatwiła mężowi potrójne bypassy nożem do steków.

– Katie Riccobono, wzorzec z Sèvres syndromu maltretowanej kobiety – uściślił King.

– Peter natomiast ma zostać pierwszym zdiagnozowanym przypadkiem dzieciaka dotkniętego syndromem ofiary prześladowania rówieśniczego – mruknął Jordan. – Powiedz mi, King, tylko szczerze. Sądzisz, że przysięgli zidentyfikują się z chłopakiem dotkniętym urazem psychicznym, który oficjalnie nawet nie istnieje w literaturze fachowej?

– W ławie przysięgłych nie zasiadają jedynie maltretowane kobiety, a jednak wiele takich osób uniewinniono. Z drugiej strony, każdy członek ławy musiał przejść przez jakieś szczeble systemu edukacyjnego. – King sięgnął po colę Jordana i pociągnął zdrowy łyk. – Czy wiesz, że poniżenie przeżyte w szkole jest równie traumatyczne jak doświadczenie przemocy seksualnej?

– Chyba żartujesz.

– Tylko pomyśl o tym przez chwilę. Oba te toksyczne incydenty sprowadzają się w istocie do wspólnego mianownika – głębokiego

upokorzenia. Jakie jest twoje najbardziej żywe wspomnienie z okresu szkoły średniej?

Jordan musiał się skupić na dłuższą chwilę, by przypomnieć sobie cokolwiek z tamtego okresu, nawet niekoniecznie wydarzenie, które można by nazwać kamieniem milowym. Ale już po chwili uśmiechnął się szeroko.

– Lekcja WF, test sprawnościowy. Żeby go zaliczyć, trzeba było między innymi wspiąć się po linie zawieszanej u sufitu. W owych czasach nie odznaczałem się równie imponującą tężyzną fizyczną, jak obecnie...

– Co ty powiesz?

– ...więc bardzo się przejmowałem, że nie zdołam wejść na górę. Okazało się jednak, że nie wejście, ale zejście jest problemem. Gdy się wspinałem po tej linie sunącej między nogami, tak mi stanął, jak jeszcze nigdy przedtem.

– Sam widzisz – odparł King. – I powiem ci więcej. Pięć na dziesięć osób nie przypomni sobie ani jednego zdarzenia z okresu szkoły, tak skutecznie je powypierali. Druga połowa będzie pamiętać przede wszystkim jakiś wyjątkowo przykry, upokarzający moment.

– To cholernie dołujące – zauważył Jordan.

– Cóż, większość z nas w miarę dorastania dochodzi do wniosku, że owe wydarzenia będą nieistotnymi detalami w całym obrazie naszego życia.

– A ci, którym się to nie udaje?

King zerknął na Jordana spod oka.

– Stają się Peterami Houghtonami.

Alex tylko dlatego zaczęła przeszukiwać szafę Josie, że potrzebowała czarnej spódnicy, którą córka swego czasu od niej pożyczyła i której nie oddała do tej pory. Alex umówiła się na wieczór z Whitem Hobartem, swoim byłym szefem w biurze obrońców z urzędu, od paru lat już emerytem. Po dzisiejszej sesji, podczas której oskarżenie

formalnie przedstawiło wniosek o zmianę sędziego w sprawie Houghtona, potrzebowała mądrej, życzliwej rady.

Wkrótce znalazła spódnice, znalazła też mały skarbczyk córki. Usiadła na podłodze i położyła otwarte pudełko na kolanach. Na jej dłoń spłynęła z szelestem cichym jak szept lamówka starego fikuśnego kostiumu Josie. Jedwab był przyjemnie chłodny w dotyku. Kiedy Josie miała sześć czy siedem lat, włożyła ten kostium na Halloween, a potem zachowała, bo uznała, że może jej się jeszcze przydać na jakiś bal przebierańców. Był on też pierwszą i ostatnią wyprawą Alex w tajemny świat krawiectwa. W połowie pracy dała jednak za wygraną i zgrzała szwy tkaniny za pomocą specjalnego kleju, wprasowywanego gorącym żelazkiem. Owego roku zamierzała osobiście zabrać Josie na obchód po okolicznych domach, ale wówczas pracowała w biurze obrońców z urzędu i jeden z jej klientów został ponownie aresztowany. Josie spędziła tamten wieczór z sąsiadką i jej dziećmi, a kiedy późną porą Alex wróciła w końcu do domu, córka wyrzuciła z poszewki na jej łóżko wszystkie zdobyczne słodycze. „Połowa jest twoja – powiedziała. – Bo ominęła cię cała zabawa”.

Alex przekartkowała atlas geograficzny, który Josie wykonała w pierwszej klasie – córka sama pokolorowała wszystkie kontynenty i zalaminowała każdą kartkę; potem przejrzała świadectwa córki. Znalazła fantazyjną gumkę do włosów i naciągnęła ją na przegub. Na samym spodzie pudełka leżała notka napisana niewprawnym, dziecięcym pismem: „Kohana mamusiu. Bardzo cię koham. Dużo buziaków”.

Alex powiodła palcem po literach, zastanawiając się, czemu ten liścik wciąż jest u córki. Czy zapomniała, że go napisała? Czy może pognewała się o coś na matkę i postanowiła nie dawać jej tej karteczki?

Alex podniosła się powoli i odłożyła pudełko dokładnie tam, gdzie je znalazła. Przerzuciła czarną spódnice przez rękę i wróciła do swojej sypialni. Większość rodziców przeczesywała pokoje dzieci w poszukiwaniu kondomów, torebek z marihuaną czy innych równie inkryminujących dowodów. Jednak nie Alex. Ona przeglądała rzeczy

Josie, by zapamiętać, co ją ominęło w życiu.

Jednym z bardziej ponurych aspektów samotnego życia był fakt, że Patrick nie widział powodu, dla którego miałby się zajmować gotowaniem w domu. I tak większość posiłków zjadał, stojąc nad zlewem, nie było więc sensu zawracać sobie głowy brudzeniem garnków, patelni i zapychaniem lodówki. Ostatecznie nie mógł liczyć na to, że ktoś spojrzy na niego z podziwem i powie: „Rany, Patrick, ale bomba, skąd wytrzasnąłeś ten przepis?”.

Problem posiłków rozwiązał systemowo. Poniedziałek – pizza. Wtorek – bar kanapkowy. Środa – chińszczyzna. Czwartek – zupa. Piątek – hamburger w knajpce, w której zazwyczaj wypijał też piwo przed powrotem do domu. Weekendy – resztki z tygodnia, których zazwyczaj zostawało sporo. Niekiedy, gdy składał zamówienie, ogarniała go melancholia (czy istnieje jakieś żałośniejsze wyrażenie niż „talerz przystawek dla jednej osoby”?), ale ogólnie rzecz biorąc, bilans był pozytywny: dzięki swojemu systemowi zyskał grono nowych przyjaciół. Chłopak w barze kanapkowym wskazywał na Patricka palcem i z szerokim uśmiechem wołał: „Kanapka-alla-italiana-indyk - ser-majonez-oliwki-ekstra-pikle-sól-i-pieprz”, co stanowiło sekretny ekwiwalent serdecznego uścisku dłoni.

Ponieważ był środowy wieczór, Patrick stał w Złotym Smoku i czekał na realizację swojego zamówienia na wynos. Kiedy May pobiegła do kuchni (Patrick zawsze się zastanawiał, skąd, u licha, wytrzasnęli tak ogromny wok), zwrócił się w stronę zawieszzonego nad barem telewizora: leciała transmisja meczu Red Soksów. Nieopodal siedziała samotna kobieta i w oczekiwaniu na zamówionego drinka strzepiła brzeg papierowej serwetki.

Była odwrócona do Patricka plecami, ale dzięki swoim detektywistycznym zdolnościom i tak mógł wiele o niej powiedzieć już na pierwszy rzut oka. Po pierwsze, miała świetny tyłek. Po drugie, zamiast upinać ten staropanieński koczek, powinna puścić włosy luzem:

pozwolić, by swobodnie wiły się po ramionach. Następnie zauważył, że barman (Koreańczyk imieniem Spike, co zawsze rozbawiało Patricka po pierwszym tsing-tao) otwiera butelkę pinot noir, i z tego też wyciągnął odpowiedni wniosek: kobieta ma klasę. Żadne kolorowe drinki z parasolką nie wchodziły w grę – nie w tym wypadku.

Stanął za jej plecami i wręczył Spike'owi dwudziestkę.

– Na mój koszt – zadysponował.

Kobieta się odwróciła i wówczas Patricka dosłownie wmurowało: Jakim cudem ta tajemnicza nieznajoma miała twarz sędzi Cormier?

Przypomniał sobie licealne czasy: czasami widywało się z daleka matkę jakiegoś kolegi i w myślach wpisywało ją na listę ekstraseksownych lasek, póki się nie okazywało, kto to taki.

Sędzia wyrwała banknot z ręki Spike'a i oddała Patrickowi.

– Nie może pan stawiać mi drinków – oświadczyła. Wyjęła z torebki portfel i zapłaciła za siebie.

Patrick przysiadł na sąsiednim stołku.

– W takim razie... nie mam nic przeciwko temu, żeby pani postawiła drinka mnie.

– To nie najlepszy pomysł. – Rozejrzała się ukradkiem po restauracji.

– Nikt nie powinien widzieć, że w ogóle ze sobą rozmawiamy.

– Jedyne naoczne świadkami naszego spotkania są karpie w tym akwariu przy kasie. Więc myślę, że jest pani kryta – odparł Patrick. – Poza tym prowadzimy tylko niezobowiązującą pogawędkę. Nie rozmawiamy o słynnej sprawie. Chyba pani jeszcze pamięta, czym jest towarzyska wymiana zdań, toczona poza murami sądu?

Podniosła kieliszek do ust.

– A właściwie co pan tu robi?

Patrick zniżył głos do szeptu.

– Kontrolowany zakup narkotyków od kuriera chińskiej mafii. Szmuglują czystą heroinę w saszetkach z cukrem.

Spojrzała na niego oczami okrągłymi ze zdumienia.

– Naprawdę?

– Nie. Czy przyznałbym się, gdybym rzeczywiście prowadził taką

akcję? Czekam na realizację mojego zamówienia na wynos. A pani?

– Czekam na kogoś, z kim się tu umówiłam.

Dopóki nie wypowiedziała tych słów, nie zdawał sobie sprawy, że jej towarzystwo sprawia mu prawdziwą przyjemność. Dobrze się bawił, wprawiając kobietę w zakłopotanie, co, między Bogiem a prawdą, wcale nie było trudne. Sędzia Cormier przywodziła mu na myśl Czarnoksiężnika z Oz: dzwonki, gwizdki, aura nieprzystępnego majestatu, ale gdy spada zasłona, ukazuje się zwykła istota ludzka.

Która przy okazji ma świetny tyłek.

Poczuł, że się rumieni.

– Szczęśliwa rodzina – rzucił.

– Słucham?

– Tak się nazywa danie, na które czekam. Próbuję pomóc w podtrzymaniu niezobowiązującej pogawędki.

– Zamówił pan jedno danie? Nikt nie przychodzi do chińskiej restauracji tylko po jedną potrawę!

– Nie wszyscy z nas mają w domu dorastające dzieci.

Przejechała palcem po brzegu kieliszka.

– Pan ich nie ma?

– Nigdy się nie ożeniłem.

– Dlaczego?

Patrick potrząsnął głową i uśmiechnął się smętnie.

– W ten temat nie będziemy się zagłębiać.

– Rany – odparła sędzia. – Musiał ją pan bardzo kochać.

Mimo woli otworzył usta. Do diabła, aż tak łatwo go rozszyfrować?

– Nie pan jeden ma nadzwyczajne zdolności detektywistyczne – uzupełniła ze śmiechem. – Tyle że w tym wypadku to się nazywa kobiecą intuicją.

– Dzięki niej błyskawicznie zarobiłaby pani na złotą odznakę. – Spojrzał na jej dłoń bez obrączki. – A dlaczego pani nie jest mężatką?

W odpowiedzi powtórzyła jego własne słowa:

– W ten temat nie będziemy się zagłębiać.

Przez chwilę popijała w milczeniu wino, aż w końcu Patrick

zabębnił palcami po barze.

– Była już zajęta – wyznał.

Sędzia odstawiała pusty kieliszek.

– On też – przyznała, a gdy Patrick zwrócił się w jej stronę, spojrzała mu prosto w oczy.

Jej tęczęwki były jasnoszare, przywodzące na myśl wieczorny zmierzch, srebrne pociski i pierwszy szron zimowy. Miały ten sam kolor, jaki przybierało niebo tuż przedtem, zanim rozdarła je błyskawica.

Patrick nigdy wcześniej nie zwrócił na to uwagi i dopiero teraz zorientował się dlaczego.

– Jest pani bez okularów.

– Nawet pan sobie nie wyobraża, jak się cieszę, że dobrych mieszkańców Sterling ochrania ktoś równie spostrzegawczy i błyskotliwy.

– Zawsze ma je pani na nosie.

– Tylko gdy pracuję. Używam ich do czytania.

Do tej pory spotykałem cię jedynie w pracy, pomyślał.

I z tego też powodu nigdy nie zauważył, że Alex Cormier jest w istocie bardzo atrakcyjną kobietą: gdy wcześniej krzyżowały się ich ścieżki, zawsze była zapięta pod szyję, miała na sobie jakiś sztywny i bardzo oficjalny strój. Mało... człowieczy.

W każdym razie nie wyginała się wdzięcznie przy barze niczym egzotyczny, cieplarniany kwiat.

– Alex! – Głos dobiegł z za ich pleców.

Mężczyzna był wyjątkowo elegancki, miał kosztowny garnitur, także buty i dokładnie tyle siwizny na skroniach, ile trzeba, by wyglądać dystyngowanie. Każdy szczegół jego wyglądu zdradzał, że jest prawnikiem. Bez wątplenia bogatym i rozwiedzionym; typ faceta, który nie przejdzie do seksu, póki nie wygłosi błyskotliwej pogadanki na temat kodeksu karnego; który po spełnionym akcie przesuwa się na swoją połowę łóżka, bo nie przychodzi mu do głowy, że najcudowniej się zasypia z kobietą w objęciach.

Jezu Chryste! – sklął się w duchu Patrick i opuścił wzrok na podłogę. Skąd u niego te idiotyczne myśli?!

Przecież tak naprawdę wcale go nie obchodziło, że sędzia Cormier spotyka się z facetem, który na dobrą sprawę mógłby być jej ojcem!

– Whit, jakże się cieszę, że cię widzę – mówiła tymczasem Alex. Pocałowała mężczyznę w policzek i trzymając go za rękę, zwróciła się do Patricka: – Pozwól, proszę. To detektyw Patrick Ducharme. Detektywie, przedstawiam Whita Hobarta.

Facet miał silny, męski uścisk dłoni, co dodatkowo rozsierdziło Patricka. Zastanawiał się, czy sędzia powie swojemu przyjacielowi coś jeszcze na jego temat. Chociaż, prawdę mówiąc, nie bardzo miała co. Patrick nie należał do jej starych przyjaciół. Nie był też mężczyzną przygodnie spotkanym w barze. No, a Alex nie mogła przecież powiedzieć, że oboje się zajmują sprawą Houghtona, ponieważ w takim wypadku w ogóle nie wolno by jej było z nim rozmawiać.

Co, jak Patrick właśnie sobie uświadomił, próbowała mu przez cały czas wytłumaczyć.

W tej samej chwili z kuchni wynurzyła się May z papierową torbą, spiętą starannie zszywaczem.

– Bardzo proszę, Pat. A więc do zobaczenia za tydzień?

Poczuł na sobie wzrok sędzi.

– Szczęśliwa rodzina – powtórzyła Alex i w ramach nagrody pocieszenia posłała mu najłżejszy z uśmiechów.

– Miło było panią spotkać, sędzio – pożegnał się kurtuazyjnie Patrick.

Pociągnął drzwi restauracji tak mocno, że aż odbiły w zawiasach i trzasnęły o przeciwległą ścianę. Był już w połowie drogi do samochodu, gdy nagle do niego dotarło, że odechciało mu się wszelkiego jedzenia.

Wiodącym newsem w wiadomościach o dwudziestej trzeciej było rozpatrzenie wniosku prokuratury o zmianę sędziego rozpoznającego sprawę Petera Houghtona. Jordan i Selena leżeli w łóżku przy

zgaszonych światłach, balansując miseczkami płatków na brzuchu. Tymczasem na ekranie ukazała się zapłakana matka dziewczyny sparalizowanej od pasa w dół.

– Nikt nie uwzględnia sytuacji naszych dzieci – szlochała do kamery. – Jeżeli ten proces zostanie unieważniony z powodu jakichś zawirowań prawnych... one nie będą miały siły przeżywać tego po raz drugi...

– To zupełnie tak samo jak Peter – zauważył Jordan.

Selena odłożyła na bok łyżkę.

– Cormier nie ustąpi. Zasiądzie na sędziowskim podwyższeniu w tej sprawie, nawet gdyby się musiała na nie wczłgać.

– Nie mogę przecież wynająć jakiegoś przyjemniaczka, gotowego przetrącić jej kolana, prawda?

– Spójrzmy na to od pozytywnej strony – zaproponowała Selena. – W zeznaniach Josie nie ma nic takiego, co mogłoby zaszkodzić Peterowi.

– Święta racja! – Jordan usiadł tak gwałtownie, że mleko wylało się na kołdrę. – To wprost genialne! – Odstawił miseczkę na nocny stolik.

– Co takiego?

– Diana nie wezwała Josie na świadka oskarżenia, ponieważ w zeznaniach dziewczyny nie ma nic przydatnego dla prokuratury. W takim razie ja mogę powołać ją na świadka obrony.

– Kpisz sobie? Chcesz umieścić na swojej liście córkę sędzi prowadzącej sprawę?!

– A czemu nie? Swego czasu była przyjaciółką Petera. A on ma tak niewielu przyjaciół, że każda osoba jest na wagę złota. Nikt nie może mi zarzucić złych intencji.

– Ale chyba nie chcesz rzeczywiście...

– Nieee, wcale nie zamierzam jej sadzać na miejscu dla świadków. Ale oskarżenie nie musi o tym wiedzieć. – Uśmiechnął się do Seleny. – Podobnie jak szanowna pani sędzia... gdy już o tym mowa.

Teraz i Selena odstawiła miskę.

– Jeżeli wciągniesz Josie na listę świadków, Cormier BĘDZIE MUSIAŁA ustąpić.

– Właśnie.

Selena chwyciła twarz męża w dłonie i głośno cmoknęła go w usta.

– Jesteś cholernie dobry.

– Co proszę?

– Doskonale usłyszałeś za pierwszym razem.

– Ale chętnie usłyszę jeszcze raz!

Kołdra opadła, gdy otoczył ramionami Selene.

– Jesteśmy zachłanni, co? – mruknęła.

– Czyż nie dlatego straciłaś dla mnie głowę?

Selena wybuchnęła śmiechem.

– Z pewnością nie z powodu twojego nieprzepartego uroku osobistego, skarbie.

Jordan zaczął namiętnie całować żonę w nadziei, że zmieni jej prześmiewczy nastrój na bardziej romantyczny.

– Zróbmy sobie następnego dzidziusia – szepnęła.

– Jeszcze wciąż karmię poprzedniego!

– To poćwiczmy robienie dzidziusiów.

Jordan uważał, że nie ma na świecie drugiej równie wspaniałej kobiety jak jego żona – posągowo piękna, o wiele od niego inteligentniejsza (choć za żadne skarby nie powiedziałaby jej tego w oczy) i tak cudownie z nim zestrojona pod każdym względem, że był nawet w stanie pożegnać się ze swoim wrodzonym sceptycyzmem i uwierzyć w istnienie zjawisk paranormalnych. Wtulił twarz w miejsce, które kochał najbardziej: zagłębienie między szyją a ramieniem, gdzie skóra Seleny była koloru karmelu i smakowała równie słodko.

– Jordan! – odezwała się niespodziewanie. – Czy czasami się martwisz o nasze dzieci? No wiesz... robiąc to, co robisz, i widząc, co widzisz...

Przewrócił się na plecy.

– Ty to wiesz, jak zgasić faceta – jęknął.

– Pytam poważnie.

Jordan westchnął.

– Oczywiście, że tak. Martwię się o Thomasa. I o Sama. I o wszystkie

inne dzieci, które może jeszcze powołamy do życia. – Oparł się na łokciu i w ciemności poszukał wzrokiem jej oczu. – Ale wtedy dochodzę do wniosku, że właśnie dlatego je mamy.

– Jak to?

Zerknął ponad ramieniem Seleny na pulsujący zieloną diodą monitor niemowlęcy.

– Bo może to one w końcu zdołają zmienić świat.

Whit tak naprawdę nie wpłynął na decyzję Alex; ona już ją podjęła przed pójściem na tę kolację. Ale okazał się balsamem na jej duszę, którego tak potrzebowała, i podsunął jej argument, którego sama bała się użyć. „W końcu trafi ci się kolejna wielka sprawa – oświadczył. – A straconych chwil z Josie nikt ci nie zwróci”.

Weszła więc żwawym krokiem do swojego gabinetu, ponieważ wiedziała, że to, co zaraz uczyni, nie będzie ją wiele kosztować. Rezygnacja z przewodniczenia rozprawie i sporządzenie odnośnego wniosku ani w połowie nie przerażały Alex tak bardzo jak to, co miało nastąpić nazajutrz, gdy już zostawi za sobą sprawę Houghtona.

Wejście w rolę matki.

Eleanor nie było nigdzie w zasięgu wzroku, ale zanim zniknęła, zostawiła dokumenty na biurku. Alex usiadła i przebiegła wzrokiem pierwszy z nich.

Jordan McAfee, który wczoraj w sali rozpraw nawet nie otworzył ust, anonsował swój zamiar wciągnięcia Josie na listę świadków obrony.

W trzewiach Alex rozgorzał ogień. Dla uczucia, które ją ogarnęło, nawet nie umiała znaleźć słów; to był jakiś zwierzęcy instynkt, który się budzi w sytuacjach ekstremalnych, na przykład wtedy, gdy dociera do nas, że ukochana osoba została porwana jako zakładnik.

McAfee popełnił śmiertelny grzech, wciągając Josie w tę awanturę, i teraz Alex nie myślała o niczym innym, tylko jak go wyłączyć z uczestnictwa w tym procesie albo, jeszcze lepiej – na zawsze usunąć z palestry. Nie obchodziło jej nawet, czy osiągnie to za pomocą działań

zgodnych z literą prawa, czy wręcz odwrotnie.

Aż niespodziewanie zastygła jak kamień. Przecież tak naprawdę to nie za Jordanem McAfee'em była gotowa gnać na koniec świata – ale za Josie. To córkę za wszelką cenę chciała chronić przed cierpieniem.

Może więc w zasadzie powinna podziękować McAfee'emu, ponieważ dzięki niemu uświadomiła sobie, że ma jednak zadatki – jakkolwiek mikroskopijne – na dobrą matkę.

Otworzyła laptop i zaczęła stukać w klawisze. Serce waliło jej jak oszalałe, gdy przeszła do sekretariatu i wręczyła Eleanor wydruk świeżo sporządzonego dokumentu – ale to przecież normalne tuż przed skokiem z wysokiego klifu w przepaść, czyż nie?

– Musisz zadzwonić do sędziego Wagnera – poleciła.

To nie Patrick potrzebował tego nakazu przeszukania. Ale kiedy usłyszał, jak jeden z policjantów skarży się, że musi jechać do sądu, natychmiast wykorzystał okazję.

– Właśnie zmierzam w tamtą stronę – oświadczył. – Mogę to dla ciebie załatwić.

Tak naprawdę wcale się nie wybierał w kierunku sądu, przynajmniej do chwili, gdy nie zgłosił się do tego zadania na ochotnika. I nie był aż tak dobrym samarytaninem, żeby zasuwać sześćdziesiąt pięć kilometrów z czystej szlachetności serca. Patrick chciał tam pojechać z jednego jedyne powodu: to był dobry pretekst do spotkania z Alex Cormier.

Zatrzymał wóz na wolnym miejscu parkingowym przed sądem, wysiadł i natychmiast dostrzegł jej hondę. To go ucieszyło, bo podczas drogi zdał sobie sprawę, że nie wie, czy ona dzisiaj w ogóle będzie w sądzie. Nagle coś przykuło jego uwagę... nie, to niemożliwe... spojrzał po raz drugi... a jednak ktoś naprawdę znajdował się w jej samochodzie. I to była... ależ tak, sędzia Cormier we własnej osobie.

Siedziała w idealnym bezruchu, ze wzrokiem utkwionym w przednią szybę. I chociaż nie padało, wycieraczki pracowały pełną parą.

Wyglądało na to, że Alex nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że płacze.

Patrick poczuł taki sam niemiły ucisk w dołku jak wtedy, gdy przybywał na miejsce przestępstwa i widział łzy ofiar.

Spóźniłem się, pomyślał. Ponownie.

Podszedł do hondy, ale sędzia go nie zauważyła. Kiedy zastukał w boczną szybę, podskoczyła na kilometr w górę i dyskretnie otarła oczy. Gestem poprosił, żeby opuściła szybę.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– W jak najlepszym.

– Na moje oko to nie wygląda najlepiej.

– Więc proszę nie patrzeć – odparowała.

Oparł się o dach samochodu i zajął do środka.

– Miałaby pani ochotę pojechać gdzieś i pogadać? Postawię pani kawę.

Sędzia westchnęła.

– Pan nie może stawiać mi kawy.

– Co nie wyklucza jej wspólnego picia. – Okrążył auto, otworzył drzwi i usiadł na miejscu pasażera.

– Pan jest na służbie – zauważyła.

– Mam przerwę na lunch.

– O dziesiątej rano?

Wyciągnął rękę i przekręcił kluczyk w stacyjce, uruchamiając silnik.

– Po wyjeździe z parkingu proszę skrócić w lewo.

– A co pan zrobi, jeżeli nie posłucham?

– Na Boga jedyne, chyba ma pani dość rozumu, by się nie sprzeciwiać facetowi, który ma pod pachą glocka?

Posłała mu długie spojrzenie.

– A pan chyba nie zamierza mnie porwać? – odparła, ale posłusznie wykonała polecenie.

– Proszę mi koniecznie przypomnieć, że po wszystkim mam się aresztować.

Ojciec zawsze wpajał Alex, że jeżeli już podejmuje jakieś działanie, powinna to robić z pełnym zaangażowaniem. Najwidoczniej tak wzięła sobie do serca tę uwagę, że nawet kiedy skakała w przepaść, to już na całego: bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że za jednym zamachem zrezygnowała z największej sprawy swojego życia, wzięła bezpłatny urlop i pojechała na kawę z detektywem, który prowadził dochodzenie w przedmiotowej sprawie?

Ale z drugiej strony, gdyby się nie zdecydowała na przyjęcie zaproszenia detektywa Ducharme'a, nigdy by się nie dowiedziała, że Złoty Smok otwiera podwoje już o dziesiątej rano.

Gdyby nie przyjęła tego zaproszenia, musiałaby jechać do domu i rozpocząć swoje życie od nowa.

Wszyscy pracownicy restauracji zdawali się dobrymi znajomymi detektywa i nikt nie protestował, gdy poszedł do kuchni, by osobiście przynieść Alex filiżankę kawy.

– To, czego pan był świadkiem... – zaczęła niepewnym głosem – ...pozostanie...

– Chodzi o to, że mam nikomu nie wspominać o pani drobnym załamaniu w samochodzie?

Wpatrzyła się w stojącą przed nią kawę, bo nie bardzo wiedziała, jak zareagować. Doświadczenie nauczyło ją, że gdy się okaże ludziom słabość, oni natychmiast wykorzystają to przeciwko tobie.

– Niekiedy trudno być sędzią. Wszyscy oczekują stosownego zachowania, nawet gdy człowiek ma ostrą gripę i najchętniej zwinąłby się w kulę, by spokojnie skonać w kącie, czy gdy aż świerzbi człowieka język, żeby skląć kasjerkę, która celowo źle wydała resztę. W tym zawodzie nie ma miejsca na margines błędu.

– Pani sekret jest bezpieczny – zapewnił Patrick. – Nikomu, kto ma jakikolwiek związek z wymiarem sprawiedliwości, nigdy nie wyjawię, że miewa pani niekiedy ludzkie odruchy.

Upiła łyk kawy, po czym podniosła na niego wzrok.

– Mogę prosić o cukier?

Podał jej miseczkę pełną małych saszetek.

– Przecież tak naprawdę nic wielkiego się nie stało. Każdy od czasu do czasu miewa kiepski dzień.

– A panu się zdarza łać łzy w samochodzie?

– Nie ostatnio. Ale słynę z tego, że w przystępie frustracji przewracam szafki z dokumentami. – Nalał mleka do dzbanuszka i postawił na barze. – Wie pani, to się wzajemnie nie wyklucza.

– Co mianowicie?

– Bycie sędzią i człowiekiem zarazem.

– Proszę to powiedzieć tym wszystkim, którzy się domagają mojej rezygnacji.

– Czy to nie w takim właśnie momencie przypominała mi pani, że nie możemy rozmawiać o procesie?

– Owszem. Tyle że ja już nie mam nic wspólnego z tą sprawą. Wraz z wybiciem południa ten fakt zostanie podany do wiadomości publicznej.

Spoważniał.

– Czy dlatego była pani tak bardzo przygnębiona?

– Nie. Już wcześniej zdecydowałam, że zrezygnuję. Ale rano się dowiedziałam, że Josie została wciągnięta na listę świadków obrony.

– Po co? – zdziwił się Patrick. – Przecież ona nic nie pamięta.

– Nie wiem. – Alex uniosła wzrok. – Ale jeśli to moja wina? Jeżeli adwokat zrobił to tylko dlatego, że byłam zbyt uparta, by się wycofać, gdy po raz pierwszy pojawiły się kontrowersje? – Ku własnemu zażenowaniu zdała sobie sprawę, że znowu zaczyna płakać, szybko więc opuściła powieki. Może Patrick nie zauważy. – A teraz Josie będzie musiała usiąść w nabitej ludźmi sali rozpraw i na nowo przeżywać ten koszmar? – Detektyw podał jej papierową serwetkę, którą otarła oczy. – Przepraszam – powiedziała. – Zazwyczaj się tak nie zachowuję.

– Każda matka, której dziecko tak blisko się otarło o śmierć, ma prawo do chwil załamania – odparł Patrick. – Proszę posłuchać. Osobiście dwukrotnie rozmawiałem z Josie. Znam jej zeznania na pamięć. To nie ma większego znaczenia, czy McAfee posadzi ją na miejscu dla świadków: ona nie jest w stanie przywołać żadnych

wspomnień, które mogłyby ją zranić. Natomiast jest też dobra strona takiego rozwoju sytuacji: już nie musi się pani pilnować na każdym kroku, by nie popaść w konflikt interesów. Josie potrzebuje teraz dobrej matki o wiele bardziej niż dobrej sędzi.

Alex uśmiechnęła się smętnie.

– Ma więc prawdziwego pecha, że trafiła na mnie.

– Och, proszę dać spokój.

– Kiedy to prawda. Moje życie z Josie to jedno wielkie pasmo zaniku komunikacji.

– Cóż, jeśli coś zanikło, to znaczy, że kiedyś jednak istniało.

– Żadna z nas już tego nie pamięta. Ilekroć odzywam się do Josie, popełniam jakąś niezrozumiałą dla mnie gafę. W każdym razie ona patrzy na mnie jak na przybysza z obcej planety. Jakbym nie miała prawa być teraz zatroskanym rodzicem, ponieważ nim nie byłam, zanim to się stało.

– A dlaczego pani nie była?

– Ciężko pracowałam – odparła Alex.

– Wielu rodziców ciężko pracuje...

– Rzecz w tym, że jestem naprawdę dobrym sędzią. I beznadziejną matką. – Alex zakryła usta dłonią, ale już było za późno, by cofnąć słowa prawdy, które wiły się teraz przed nią na barze niczym jadowity wąż. Co jej strzeliło do głowy? Jak mogła obcemu człowiekowi mówić rzeczy, o których sama bała się choćby myśleć?

– Może wobec tego powinna pani porozmawiać z Josie w taki sposób, w jaki rozmawia pani z ludźmi, którzy zjawiają się na rozprawach?

– Ona nienawidzi, gdy zachowuję się przy niej jak prawnik. Poza tym na sali rzadko się odzywam. Przede wszystkim słucham.

– Cóż, wysoki sędzie. To akurat mogłoby zdziałać cuda.

Pewnego razu, gdy Josie była jeszcze mała, Alex spuściła ją z oczu na dość długo, by córeczka zdołała się wdrapać na wysoki stołek. Z drugiego końca pokoju ona, matka, z przerażeniem patrzyła, jak małe ciało balansuje na chwiejącym się taborecie. Nie zdołałyby przebiec

przez pokój na tyle szybko, by uchronić Josie przed upadkiem; nie chciała krzyknąć, bo się bała, że przestraszy córeczkę, i ona wówczas też spadnie. Stała więc jak skamieniała i czekała na katastrofę.

Tymczasem Josie zdołała się utrzymać na stołku, wyprostować na całą swoją wysokość i sięgnąć do kontaktu, co od początku było jej celem. I wówczas zaczęła zapalać światło, gasić i znowu zapalać, a na jej ustach pojawiał się uśmiech zachwytu, ilekroć uświadamiała sobie, że własnym działaniem jest w stanie zmieniać świat.

– Ponieważ nie jesteśmy w sądzie... – zaczęła niepewnie Alex – ...może zechciałbyś mówić mi po imieniu?

Patrick uniósł kącik ust w półuśmiechu.

– Ja natomiast byłbym zobowiązany, gdybyś zechciała do mnie mówić wasza najjaśniejsza wysokość, królu Kamehameho.

Nie zdołała powstrzymać się od śmiechu.

– Ale jeżeli to zbyt trudne do zapamiętania, reaguję również na imię Patrick. – Podniósł dzbanek i ponownie napełnił jej filiżankę. – Dolewki są darmowe.

Potem dodał cukru i mleka dokładnie w takich samych ilościach, jak ona za pierwszym razem. Był detektywem; jego praca polegała na rejestrowaniu szczegółów. Alex jednak doszła do wniosku, że nie to czyni z niego tak dobrego gliniarza. Miał wszelkie prawo odwoływać się do użycia siły i autorytetu odznaki, jak każdy oficer policji – on jednak osaczał ludzi dobrocią i życzliwością.

Co, jak wiedziała Alex, potrafiło być o wiele bardziej zabójcze niż przemoc.

Jordan zapewne nie umieściłby tego w swoim CV, ale posiadał pewien niekłamany talent: jak nikt na świecie potrafił skutecznie karkołomnie łączyć do piosenek Wigglesów. Jego ulubioną była „Hot Potato”, Sama natomiast nakręcała najbardziej „Fruit Salad”. Podczas gdy żona brała na górze kąpiel, Jordan skorzystał z okazji i wrzucił do odtwarzacza DVD z Wigglesami. Selena zdecydowanie się sprzeciwiała

bombardowaniu synka kulturą masową – nie chciała, aby wiedział, jak przeliterować „Myszka Miki”, zanim pozna pisownię własnego imienia – i dlatego oczekiwała od Jordana ambitniejszych zabaw z synkiem, w rodzaju nauki dramatów Szekspira na pamięć czy rozwiązywania równań różniczkowych. Jordan jednak niezachwianie wierzył w potęgę kultury popowo-obrazkowej: nic innego nie było w stanie zrobić człowiekowi z mózgu takiej wody, aby zaczął pisać radośnie do idiotycznych melodyjek.

– Sałatka owocowa, mniem-mniem – wyśpiewywał teraz, trzymając synka w ramionach i wyginając się w wymyślnych figurach, aż w końcu Sam się rozjaśnił i zaczął chichotać rozkosznie.

Rozległ się dźwięk dzwonka. Ze swoim maleńkim partnerem na rękę Jordan ruszył tanecznym krokiem do holu. Wtórując Jeffowi, Murrayowi, Gregowi i Anthony’emu, otworzył frontowe drzwi.

– Zróbmy więc już dziś sałatkę owocową, la-la-la – zakończył brawurowo i dopiero wówczas zobaczył, kto stoi w progu.

– Sędzia Cormier!

– Przepraszam, że przeszkadzam...

Wiedział już, że zrezygnowała z przewodniczenia rozprawie; ta szczęśliwa nowina została obwieszczona światu wczesnym popołudniem.

– Ależ skąd. Proszę... hm... do środka. – Jordan zerknął na zabawki, które porzucali z Samem (i które bezwzględnie powinny zniknąć, nim Selena się pojawi na dole). Wkopnął tak wiele z nich, jak się tylko dało, za kanapę, po czym wprowadził sędziego do salonu i wyłączył DVD.

– To zapewne pański synek...

– Owszem. – Jordan zerknął na dziecko, które teraz intensywnie rozważało, czy głośnym płaczem nie zmanifestować swojego niezadowolenia z powodu wyłączenia muzyki.

– Sam.

Cormier wyciągnęła rękę i Sam natychmiast zacisnął rączkę na jej wskazującym palcu. Chłopaczkę miał w sobie tyle uroku, że zdołałby rozbroić samego Hitlera, a tymczasem jego widok zdawał się podsycać

zdenerwowanie sędzi.

– Dlaczego wciągnął pan moją córkę na listę świadków?

A! Tutaj jest pies pogrzebany.

– Ponieważ Josie i Peter przyjaźnili się swego czasu – odparł Jordan.

– Mogłaby wiele o nim opowiedzieć.

– Moja córka nie utrzymuje żadnych kontaktów z Peterem Houghtonem już od dziesięciu lat. Proszę po prostu przyznać, że zrobił pan to tylko dlatego, by mnie zmusić do rezygnacji z prowadzenia procesu.

Jordan usadził synka wyżej na biodrze.

– Pani sędzio, z całym szacunkiem, ale nie pozwolę, by ktokolwiek próbował wpływać na moją linię obrony. Szczególnie sędzia, który nie jest już w żaden sposób związany ze sprawą.

W oczach Alex Cormier coś się zapaliło, ale natychmiast zgasło.

– Naturalnie. Rozumiem – powiedziała spiętym głosem. Odwróciła się na pięcie i wyszła.

Zapytajcie pierwszego lepszego z brzegu dzieciaka, czy chce należeć do szkolnej elity, a powie, że nigdy w życiu, chociaż tak naprawdę, gdyby umierał z pragnienia na pustyni i dostał do wyboru: szklanka wody lub natychmiastowa popularność – najprawdopodobniej wybrałby to drugie.

Na odgłos pukania do drzwi Josie szybko wetknęła notatnik pod materac łóżka. To była najbardziej beznadziejna skrytka na świecie, zdawała sobie z tego sprawę, ale nie przyszła jej do głowy żadna inna.

Kiedy matka weszła do pokoju, Josie się zdawało, że coś jest nie w porządku, ale w pierwszej chwili nie mogła się zorientować, o co chodzi. W końcu to do niej dotarło: na dworze jeszcze nie zapadły ciemności. Zazwyczaj matka przyjeżdżała do domu w porze kolacji, a tymczasem zegar wskazywał piętnastą czterdzieści pięć; Josie dopiero co wróciła ze szkoły.

– Musimy porozmawiać – oświadczyła Alex, siadając obok córki na łóżku. – Dzisiaj zrezygnowałam z prowadzenia tej sprawy.

Josie dosłownie postawiła oczy w śłup. Za jej świadomego życia jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby matka się uchyliła od podjęcia jakiegoś prawniczego wyzwania; poza tym, czyż zaledwie przed paroma dniami nie rozmawiały o tym, że rezygnacja w żadnym razie nie wchodzi w grę?

– Co się stało? – Josie miała nadzieję, że matka jest zbyt zaabsorbowana swoim oświadczeniem, by wychwycić drżenie jej głosu.

– Właśnie o tym chciałabym z tobą pomówić... Obrona wciągnęła cię na listę świadków. Niewykluczone, że będziesz musiała zeznawać w sądzie.

– Co takiego?! – wykrzyknęła Josie. Ogarnęło ją przerażające wrażenie, że gubi oddech, że krew przestaje krążyć w jej żyłach, że opuszczają ją resztki odwagi. – Nie mogę iść do sądu, mam. Nie zmuszaj mnie do tego. Proszę... błagam...

Matka objęła ją ramionami, co doskonale się złożyło, bo przez chwilę Josie miała wrażenie, że po prostu zniknie, wyparuje. Sublimacja, pomyślała. Proces, w którym ciało stałe nagle wyparowuje. Uczyła się o tym do pamiętnego testu z chemii...

– Rozmawiałam z detektywem prowadzącym śledztwo i wiem, że nic nie jesteś w stanie sobie przypomnieć z tamtego dnia. Znalazłaś się na liście obrony tylko dlatego, że kiedyś, przed wieloma laty, przyjaźniłaś się z Peterem.

Josie się wysunęła z objęć matki.

– Przysięgnij, że nie będę musiała zeznawać...

Matka się zafrasowała.

– Skarbie, nie mam takiej...

– Musisz!

– Może wobec tego pójdziemy we dwie porozmawiać z adwokatem Petera?

– A co to da?

– Niewykluczone, że gdy zobaczy, jak jesteś roztrzęsiona

perspektywą zeznań, dwa razy się zastanowi, zanim cię posadzi na miejscu dla świadków.

Josie rzuciła się twarzą na łóżko, matka zaczęła gładzić ją po włosach i chyba w pewnej chwili wyszeptała „przepraszam”. A potem wstała i cicho opuściła pokój.

– Matt – jęknęła cicho Josie, jakby mógł ją usłyszeć, udzielić odpowiedzi.

Matt. Chłoneła to imię, jakby było życiodajnym tlenem, którego cząsteczki zaczynają krążyć w jej krwiobiegu i pulsować w rytmie szaleńczo bijącego serca.

Peter złamał ołówek na pół, po czym wetknął końcówkę z gumką w pajdę kukurydzianego chleba.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin dla mnie samego – mruknął pod nosem. Nie życzył sobie „stu lat”, bo ta perspektywa nie wyglądała zachęcająco.

– Hej, Houghton! – odezwał się jeden ze strażników. – Przygotowaliśmy dla ciebie prezent-niespodziankę.

Za jego plecami stał chłopak niewiele starszy od Petera. Kołysał się nerwowo na piętach, a z nosa spływał mu smark. Strażnik otworzył drzwi celi i wprowadził nowego więźnia do środka.

– Podziel się swoim tortem ze współlokatorem – rzucił w stronę Petera i odszedł.

Peter się rozsiadł na dolnej pryczy, żeby z miejsca pokazać dzieciakowi, kto tu rządzi. Chłopak stał z oczami utkwionymi w podłodze i przyciskał kurczowo do piersi przydziałowy koc. Po chwili podsunął wyżej okulary na nosie i wówczas Peter zdał sobie sprawę, że z tym nowym jest coś nie tak: miał szklisty wzrok i gumowate usta osoby niedorozwiniętej umysłowo.

Do Petera dotarło nagle, czemu do jego celi przydzielono tego dzieciaka: personel uznał, że istnieją niewielkie szanse, by Peter spuścił mu wpierdol.

Ręce mimowolnie zacisnęły mu się w pięści.

– Hej, ty!

Chłopak posłusznie odwrócił się w stronę Petera.

– Mam psa – oznajmił. – A ty masz?

Peter wyobraził sobie, jak funkcjonariusze więzienni pochylają się nad niewielkim monitorem i przyglądają z rozbawieniem tej farsie, oczekując, że Peter pokornie się podda każdej, nawet najbardziej gównianej sytuacji.

Ale niedoczekanie ich.

Jednym szybkim ruchem zerwał nowemu okulary z nosa. Szkła były grube niczym denka butelek, ujęte w plastikową oprawkę. Dzieciak zakrył rękami twarz i zaczął się wydzierać na całe gardło. Jego wrzask ogłuszał niczym ryk alarmu przeciwlotniczego.

Peter rzucił okulary na podłogę i przydeptał je z całej siły nogą, ale miękkie klapki nie wyrządziły im większej szkody. Podniósł je więc i zaczął walić nimi o kraty, aż w końcu soczewki się roztrzaskały.

Niemal natychmiast nadbiegli strażnicy, żeby odciągnąć Petera od współlokatora, chociaż on nawet palcem nie tknął dzieciaka. Gdy skuwali go kajdankami, pozostali więźniowie wiwatowali na jego cześć. Jeden z funkcjonariuszy wyciągnął Petera z celi i powlókł go do biura naczelnika.

Tam posadził go na krześle i śledził każdy jego oddech aż do nadejścia pryncypała.

– Co to miało znaczyć, Peterze? – surowo spytał naczelnik.

– Dzisiaj są moje urodziny. Chciałem je spędzić w samotności.

Zabawne. Przed dniem strzelaniny uważał, że nie ma nic lepszego na świecie niż własne towarzystwo, bo wówczas nikt nie mógł mu wykazać, jak bardzo nie przystaje do reszty świata. Tymczasem odkrył (choć z tego w żadnym razie nie zamierzał się zwierzać naczelnikowi), że w gruncie rzeczy wcale siebie nie lubi.

Naczelnik zaczął się rozwodzić nad konsekwencjami niestosownego zachowania; bredził coś na temat negatywnego wpływu kar więziennych na wysokość przyszłego wyroku i utraty tych niewielu

przywilejów, jakie przysługują osadzonym. Peter puszczał jego słowa mimo uszu.

Zastanawiał się natomiast, czy bardzo się wkurzą pozostali więźniowie, gdy z powodu jego drobnego wybryku dostaną zakaz oglądania telewizji przez tydzień.

I co ma naprawdę myśleć o wymyślonym przez Jordana syndromie ofiary prześladowania rówieśniczego; czy ktokolwiek w ogóle to kupi?

A także dlaczego ani matka, ani jego adwokat nie powiedzieli mu najważniejszego: że spędzi w więzieniu resztę życia, umrze w celi podobnej do tej, w której teraz siedzi.

Gdyby miał w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia, zdecydowanie wolałby kulę w łeb.

Myślał także o tym, że nocą w więzieniu słyszeć jedynie szelest skrzydeł nietoperzy kryjących się po kątach – oraz krzyki. Bo nikt nie jest na tyle głupi, żeby płakać.

Gdy o dziewiątej rano, w sobotę, Jordan otworzył drzwi wejściowe, miał na sobie spodnie od pizamy i nic więcej.

– To już zakrawa na kpinę – rzekł.

Sędzia Cormier rozciągnęła usta w sztucznym uśmiechu.

– Doprawdy bardzo mi przykro, że nasze kontakty rozpoczęły się tak niefortunnie – zaczęła. – Ale zapewne pan rozumie, co czuje matka czy ojciec, gdy dziecko się znajdzie w trudnym położeniu... wówczas niekiedy traci się panowanie nad sobą. – Stała ramieniem w ramię ze swoją młodszą kopią. Josie Cormier, pomyślał Jordan, mierząc wzrokiem dziewczynę drżącą jak liść osiki. Miała kasztanowe włosy, sięgające poniżej ramion, i niebieskie oczy, których spojrzenie uparcie umykało na boki.

– Josie jest przerażona – ciągnęła sędzia. – Pomyślałam więc, że może zechciałby pan porozmawiać z nią przez chwilę... przygotować ją do roli świadka. Wysłuchać, co córka ma do powiedzenia, i zdecydować, czy to ogóle będzie przydatne dla obrony...

– Jordanie, kto przyszedł?

Jordan odwrócił się przez ramię i ujrzał Selenę z Samem na rękach. Miała na sobie flanelową piżamę, co od biedy można by uznać za ubiór nieco bardziej oficjalny od jego stroju.

– Sędzia Cormier przyszła prosić, abyśmy porozmawiali z jej córką na temat ewentualnych zeznań – rzucił znaczącym tonem w desperackiej próbie uzmysłowienia Selenie, w jak poważnych się znalazł opałach, skoro wszyscy – ewentualnie z wyjątkiem samej Josie – zdają sobie sprawę, że jedynym powodem umieszczenia dziewczyny na liście świadków było zmuszenie Cormier do wycofania się ze sprawy.

Jordan ponownie zwrócił się w stronę sędzi.

– Przykro mi, ale nie jestem jeszcze na etapie tak szczegółowego konstruowania argumentacji.

– Ale musi pan wiedzieć, czego mniej więcej oczekuje od mojej córki, jeśli postanowił ją pan posadzić na miejscu dla świadków – nie dawała za wygraną Alex.

– Proponuję, żeby zadzwoniła pani do mojej kancelarii. Sekretarka umówi nas na spotkanie...

W tym momencie do akcji wkroczyła Selena.

– Prosimy do środka – powiedziała, wolną ręką obejmując dziewczynę. – Josie, prawda? Poznaj, proszę, Sama.

Josie uśmiechnęła się nieśmiało do niemowlaka.

– Cześć, Sam.

– Kochanie, może poczęstujesz panią sędzię kawą lub sokiem pomarańczowym?

Jordan z niedowierzaniem wpatrywał się w żonę, kompletnie nie pojmując, co tym razem strzeliło jej do głowy.

– Hm... naturalnie... proszę wejść.

Na szczęście dom wyglądał zupełnie inaczej niż wtedy, gdy Cormier po raz pierwszy wparowała tu bez zapowiedzi. W zlewku nie było żadnych brudnych naczyń; na stole nie wały się papiery; zabawki w cudowny sposób się zdematerializowały. Selena miała kota na punkcie porządku i Jordan nic nie mógł na to poradzić. Od kuchennego stołu

odsunął dwa krzesła – dla sędzi i dla Josie.

– Jaka panie pijają kawę?

– O, proszę sobie nie zawracać głowy – odparła Cormier i ścisnęła dłoń córki.

– Pójdziemy z Samem pobawić się w pokoju – zdecydowała Selena.

– Może jednak zostanieie z nami? – Wzrokiem błagał żonę, by nie zostawiała go samego na pastwę tych kobiet.

– Tylko byśmy przeszkadzali – odparła Selena i wyszła.

Jordan usiadł ciężko naprzeciwko matki i córki. Był mistrzem improwizacji, jakoś wybrnie z tej sytuacji.

– Nie ma się czego bać – zapewnił na wstępie. – Zamierzam zadać ci tylko kilka pytań, dotyczących przyjaźni z Peterem.

– My się nie przyjaźnimy – sprostowała Josie.

– Tak, wiem. Ale kiedyś było inaczej. Kiedy się poznaliście?

Josie zerknęła na matkę.

– W przedszkolu albo trochę wcześniej.

– Rozumiem. Czy wówczas odwiedzaliście się nawzajem?

– Tak.

– Czy w owym okresie przyjaźniłaś się jeszcze z kimś innym?

– Nie bardzo.

Alex pilnie się przysłuchiwała pytaniom McAfee’ego swoim wyczulonym, prawniczym uchem. On nic nie ma, doszła do wniosku. Błądzi po omacku.

– Kiedy przestaliście się kolegować?

– W szóstej klasie – odparła Josie. – Każde z nas zaczęło się interesować innymi rzeczami.

– Czy widywałaś się potem z Peterem?

– Tylko przelotnie, na szkolnych korytarzach.

– Swego czasu pracowaliście też razem, zgadza się?

Josie znów spojrzała z ukosa na Alex.

– Ale bardzo krótko.

Obie, matka i córka, wpatrywały się w Jordana z napięciem, co było zabawne, ponieważ wymyślał swoje pytania na poczekaniu.

– A jak się układały stosunki Petera z Mattem?

– Mhm... Nijak.

– Czy Matt traktował Petera w sposób, który można by odebrać jako wrogi?

– Chyba tak...

– Zechciałabyś przytoczyć jakieś przykłady?

Pokręciła energicznie głową i mocno zacisnęła usta.

– Kiedy po raz ostatni widziałaś ich razem?

– Nie pamiętam – szepnęła.

– Pokłócili się wówczas, może wręcz pobili?

W jej oczach zaszklily się łzy.

– Nie wiem. – Odwróciła się w stronę matki, a potem powoli położyła głowę w zgięciu łokcia.

– Skarbie, może byś nas zostawiła na moment? – zaproponowała sędzia równym, opanowanym głosem.

Josie usiadła na fotelu w salonie, otarła oczy i pochyliła się do przodu w stronę bawiącego się na podłodze malucha.

– Proszę posłuchać – westchnęła Cormier – już zrezygnowałam z przewodniczenia tej rozprawie. Wiem, że tylko w tym celu wciągnął pan Josie na listę świadków i tak naprawdę nigdy nie zamierzał wykorzystać jej zeznań w sądzie. Nie chcę jednak teraz dyskutować na temat aspektów prawnych tego posunięcia. Zwracam się do pana jak rodzic do rodzica, mecenasie. Jeżeli przekażę panu sądownie zaprzysiężone oświadczenie, stwierdzające, że Josie niczego nie pamięta, czy przemyśli pan wówczas raz jeszcze powołanie jej na świadka procesowego?

Jordan zerknął w stronę salonu. Selena zachęciła Josie, by usiadła na podłodze obok niej i dziecka, i teraz dziewczyna bawiła się z Samem plastikowym samolocikiem. Kiedy chłopczyk wybuchnął niepohamowanym śmiechem – do jakiego są zdolne tylko niemowlaki – na ustach Josie także się pojawił lekki uśmiech.

Selena podchwyciła wzrok męża, uniosła brwi w niemym pytaniu.

Ostatecznie dostał to, na czym mu zależało: Cormier złożyła

rezygnację. Może więc sobie pozwolić na wielkoduszność.

– W porządku – zwrócił się do sędzi. – Proszę mi dostarczyć takie oświadczenie.

– Owszem, przepis mówi, żeby dobrze zagotować mleko – przyznała Josie, szorując metalowym zmywakiem poczerniałe dno garnka. – Jednak raczej nie o taki efekt tu chodziło.

Matka chwyciła ścierkę do naczyń.

– Skąd mogłam o tym wiedzieć?

– Może powinnyśmy zacząć od czegoś łatwiejszego niż budyni – zasugerowała Josie.

– Na przykład?

– Od tostu? – odparła z uśmiechem.

Teraz, kiedy matka spędzała całe dni w domu, rozpierała ją energia. Z tego właśnie powodu zabrała się do nauki gotowania, co może było nawet szczytnym zamierzeniem, jednak pod warunkiem, że się pracowało w straży pożarnej i szykowało do kolejnego egzaminu sprawnościowego. Nawet gdy matka usiłowała ściśle się trzymać przepisu, i tak nic jej nie wychodziło; wówczas szukała ratunku u Josie i oczywiście się okazywało, że użyła proszku do pieczenia zamiast sody oczyszczonej lub mąki z pełnego przemiału zamiast kartoflanej („Nie miałyśmy takiej w domu” – tłumaczyła).

Z początku Josie zaproponowała wieczorne lekcje gotowania, wiedzona instynktem samozachowawczym; doprawdy nie wiedziała, co powiedzieć, gdy z rewerencją należną świętemu Graalowi matka stawiała na stole kolejny twardy jak kamień, przypalony klops mięsny. Wkrótce okazało się jednak, że wspólne gotowanie może być całkiem odjazdowe. Jeżeli matka się nie zachowywała, jakby pozjadała wszelkie rozumy (a w kuchni była tak totalnie beznadziejna, że nie mogłaby tego robić, nawet gdyby chciała), dobrze się razem bawiły. Fajnie też było odzyskać poczucie panowania nad sytuacją – jakkolwiek sytuacją! – choćby sprowadzała się ona do przyrządzania budyniu czekoladowego

czy zeszkrobywania jego żalonych pozostałości z dna stalowego rondla.

Dzisiaj upiekły pizzę, co Josie by zaliczyła do niekwestionowanych sukcesów, gdyby w czasie wyjmowania z pieca matka nie zwinęła jej na pół i nie upuściła na rozżarzoną spiralę grzejną. Zjadły więc na kolację grillowany ser, a do tego sałatkę z foliowej torebki, której matka nie mogła zepsuć, choćby nie wiedzieć jak się starała. No a teraz, z powodu katastrofy z budyniem, zostały bez deseru.

– Właściwie jakim cudem wyrosłaś na Julię Child? – spytała matka.

– Julia Child nie żyje.

– W takim razie na Nigellę Lawson.

Josie wzruszyła ramionami, zakręciła kran i zdjęła żółte gumowe rękawice.

– Chyba znudziła mi się zupa z kartonu, podgrzewana w mikrofalówce.

– Przecież surowo przykazywałam, żebyś w czasie mojej nieobecności pod żadnym pozorem nie włączała kuchenki.

– Owszem, ale cię nie posłuchałam.

Kiedy Josie chodziła do piątej klasy, dostali specjalną pracę domową: każde dziecko musiało zbudować most z patyków do lodów. Chodziło o to, by stworzyć konstrukcję najbardziej odporną na naprężenia. Wówczas, ilekroć przejeżdżała przez rzekę Connecticut, pilnie studiowała łuki i wsporniki rzeczywistych mostów, a potem się starała jak najwierniej je skopiować. Gdy już wszystkie budowle były gotowe, przyjechało dwóch oficerów z jednostki inżynieryjnej armii i specjalnym urządzeniem sprawdzali, która konstrukcja jest najmocniejsza.

Na okoliczność tego testu do szkoły zostali zaproszeni rodzice. Matka Josie, zajęta w sądzie, była jedyną, która nie przyszła. Tak się przynajmniej zdawało Josie aż do tej pory, bo nagle sobie uświadomiła, że matka się jednak zjawiała dziesięć minut przed końcem pokazu. Co prawda, nie była świadkiem próby ogniowej mostu córki – podczas której patyki zatrzeszczały, popękały i zawaliły się jak domek z kart – ale jednak pomogła jej uprzątnąć skutki katastrofy.

Dno rondla błyszczało srebrzyście, zostało jeszcze całe pół kartonu mleka.

– Możemy zacząć wszystko od nowa – zaproponowała Josie.

Kiedy nie usłyszała odpowiedzi, obejrzała się przez ramię.

– Bardzo bym chciała – odparła matka, ale teraz już żadna z nich nie myślała o gotowaniu.

Rozległo się pukanie do frontowych drzwi i ta cienka nić porozumienia, która je połączyła, zerwała się niczym spłoszony motyl.

– Czekasz na kogoś? – spytała Alex córkę.

Nie czekała, ale i tak poszła otworzyć. W progu stał detektyw, który dwukrotnie ją przesłuchiwał.

Czyż pojawienie się detektywa w drzwiach domu nie było zwiastunem poważnych kłopotów?

Oddychaj, nakazała sobie Josie w duchu, i dopiero gdy matka wyszła do holu, aby sprawdzić, co się dzieje, zauważyła, że policjant trzyma w ręku butelkę wina.

– O! – rzuciła Alex. – Patrick.

Patrick?!

Josie odwróciła się szybko i spostrzegła, że matka się rumieni.

Tymczasem detektyw wyciągnął przed siebie butelkę.

– Ponieważ wino okazało się kością niezgody między nami...

– Wiecie co? – Josie czuła się dosyć głupio. – Pójdę do siebie i... hm... trochę się pouczę – powiedziała. Matka wie, że ona odrobiła pracę domową jeszcze przed kolacją, ale niech sobie wyciąga dowolne wnioski z tego oświadczenia.

Pobiegła na górę, umyślnie bardzo głośno tupiąc, żeby zagłuszyć głos matki. W swoim pokoju wrzuciła do odtwarzacza CD i puściła muzykę na cały regulator, rzuciła się na łóżko i wpatrzyła w sufit.

Matka swego czasu wyznaczyła godzinę policyjną na dwunastą w nocy – co teraz zresztą nie miało dla Josie żadnego znaczenia. Ale wcześniej ich układ wyglądał następująco: Matt odwoził Josie do domu o północy; w zamian Alex ulatniała się jak dym – zostawiając salon do ich dyspozycji – i szła do siebie na górę. Josie nie wiedziała dokładnie,

jakie było rozumowanie matki, ale najprawdopodobniej uważała, że córka będzie bezpieczniejsza, uprawiając seks z chłopakiem w domu rodzinnym, a nie w samochodzie czy pod trybunami na boisku szkolnym. Josie doskonale pamiętała te miłosne złączenia w ciemności salonu; świadomość, że matka może zejść na dół po szklanekę wody czy tabletkę aspiryny, tylko jeszcze bardziej ich podniecała.

O trzeciej lub czwartej nad ranem, gdy oczy im się kleiły, a zarost Matta zaczynał drapać policzki Josie, całowała go na do widzenia, po czym patrzyła, jak tylne światła jego samochodu znikają niczym żar gasnącego papierosa. Następnie wchodziła na palcach na górę, a mijając pokój matki, myślała: Ty mnie w ogóle nie znasz.

– Skąd ci przyszło do głowy, że skoro nie pozwoliłam, byś zafundował mi drinka, przyjmę od ciebie całą butelkę?

Patrick uśmiechnął się szeroko.

– Kto powiedział, że zamierzam ci ją dawać? Możesz sobie najwyżej pożyczyć ode mnie trochę wina.

Minął hol pewnym krokiem człowieka, który dobrze zna rozkład domu. Wszedł do kuchni i mocno pociągnął nosem – w powietrzu wciąż się unosił zapach spalenizny – po czym zaczął na chybił trafił otwierać szafki i szuflady.

Alex objęła się ramionami; nie dlatego, że było jej zimno, ale ponieważ czuła się tak lekko, jakby cały zapas helu ze słońca – z kilku słońc naraz – wypełnił jej ciało. Tymczasem Patrick wyjął dwa kieliszki, napełnił je winem, po czym wzniósł toast.

– Za twoje przejście do cywila.

Wino przyjemnie rozlewało się w ustach, łagodne jak aksamit, i pachniało bogatymi aromatami jesieni. Alex przymknęła powieki. Chciała, aby ta chwila przeciągnęła się w czasie, rozrosła, wypełniła jej pamięć, przesłoniła sobą wiele wcześniejszych wspomnień.

– No więc, jak to jest na bezrobociu? – spytał Patrick.

– Dzisiaj udało mi się upiec grzanekę z serem i nie doprowadzić przy

okazji do zwęglenia grilla.

– Mam nadzieję, że ją oprowiłaś.

– Nieee, rolę oprawcy pozostawiam prokuraturze – zażartowała, ale jej uśmiech zgasł, gdy przed oczami ujrzała twarz Diany Leven. – Czy kiedykolwiek odzywa się w tobie poczucie winy? – spytała.

– Z jakiego powodu?

– Że na ułamek chwili zapomniałeś o wszystkim, do czego tu doszło.

Patrick odstawił kieliszek.

– Czasami, kiedy przeglądam materiały dowodowe i natykam się na odcisk palca, zdjęcie lub but jednego z zabitych dzieciaków, przyglądam się im ze szczególną uwagą. Może to głupie, ale robię tak dlatego, bo uważam, że ktoś powinien im poświęcić kilka myśli więcej. – Podniósł wzrok. – Kiedy ktoś umiera, to nie tylko jego życie się kończy, wiesz?

Alex wypiła do końca swoje wino.

– Opowiedz mi, jak ją znalazłeś.

– Kogo?

– Josie. Tamtego dnia.

Patrick zajrzał jej w oczy, jakby chciał ocenić, ile prawdy może wyjawić; jak w pełni uszanować jej prawo do poznania przeżyć córki, a jednocześnie nie sprawić zbyt wiele bólu.

– Natknąłem się na nią w szatni gimnastycznej... – zaczął z namysłem. – I w pierwszej chwili pomyślałem... pomyślałem, że nie żyje, ponieważ była zakrwawiona i leżała twarzą do podłogi obok Matta Roystona. Ale wówczas się poruszyła i... – głos mu się załamał – ...i to był najpiękniejszy widok, jaki widziałem w życiu.

– Zdajesz sobie sprawę, że jesteś bohaterem, prawda?

Patrick zdecydowanie pokręcił głową.

– Jestem tchórzem. Wbiegłem w strefę zagrożenia z jednego powodu: wiedziałem, że jeżeli tego nie zrobię, do końca życia będą mnie prześladować senne koszmary.

Alex drgnęła.

– Mnie one prześladowają, a przecież nie widziałam tak strasznych

obrazów jak ty.

Patrick ujął jej dłoń i wpatrzył się w linie papilarne, jakby chciał z nich odczytać przyszłość.

– Może w takim razie nie powinnaś poświęcać zbyt wiele nocy na sen – powiedział.

Z tak bliskiej odległości jego skóra miała miętowo-pieprzowy zapach. Alex czuła rytm własnego serca w koniuszkach palców. A więc zapewne on też to teraz wyczuwał.

Nie wiedziała, co się za moment wydarzy – ale wiedziała, że będzie to coś przypadkowego, nieprzewidywalnego i wzbudzającego niepokój. Już miała się odsunąć, gdy Patrick objął ją ramionami.

– Zdejmij wreszcie tę sędziowską togę, Alex – szepnął i zaczął ją całować.

Kiedy powracają uczucia pod postacią burzy kolorów, fali energii i bogactwa zmysłów, wszystko, co można zrobić, to przyłgnąć do najbliższego człowieka w nadziei, że przetrzyma się ten potężny napór. Alex zamknęła oczy i szykowała się na najgorsze – ale nic złego się nie stało. Tylko życie wydało jej się trochę inne – bardziej chaotyczne, bardziej skomplikowane.

Po krótkim wahaniu odwzajemniła pocałunek Patricka, dochodząc do wniosku, że najpierw trzeba stracić nad sobą panowanie, by racjonalnie ocenić, co się właściwie utraciło.

Miesiąc wcześniej

Gdy dwoje ludzi się kocha, ich ciała się zestrzajają ze sobą jak w tańcu o ściśle ustalonej choreografii: ręka położona na biodrze, muśnięcie palcami włosów, szybki pocałunek, oderwanie ust, dłuższy pocałunek, dłoń wsuwająca się pod koszulę. To rutyna, ale nie w negatywnym znaczeniu tego słowa. Jeden człowiek zestraja się z drugim, i dlatego, gdy się jest tak długo z jakimś facetem, podczas pocałunku nie zderzacie się nosami, zębami czy łokciami.

Matt i Josie też mieli swoje rytuały. Kiedy zamierzali się kochać, on nachylał się w jej stronę i patrzył tak, jakby poza nią nic innego nie istniało na świecie. Hipnotyzował ją tym spojrzeniem, bo wkrótce ona też nie widziała nic prócz niego. Potem zaczynał ją całować – tak lekko, że ledwo czuła jego wargi na swoich wargach, aż w końcu to ona przyciągała go do siebie. Potem wędrował ustami niżej – ku jej szyi i piersiom, a po chwili jego palce wsuwały się za pasek jej dżinsów. Trwało to wszystko mniej więcej dziesięć minut, po których Matt staczał się z niej i wyjmował z kieszeni kondom.

Josie nie miała nic przeciwko temu rytuałowi – szczerze mówiąc, całkiem go lubiła. Czuła się jak na rollercoasterze – sunęła w górę, napięcie narastało, ponieważ wiedziała, co za chwilę nastąpi, i miała świadomość, że nie jest w stanie tego powstrzymać.

Leżeli w salonie jej domu, w ciemnościach, a w tle cicho grał telewizor. Matt zdjął już z Josie ubranie, a teraz ściągał swoje bokserki.

Zawisł między jej nogami.

– Hej – odepchnęła go, gdy próbował w nią wejść – czy przypadkiem o czymś nie zapomniałeś?

– O, Jo! Tylko ten jeden raz. Nie chcę, żeby bez przerwy coś nas rozdzielało.

Jego słowa miały na nią równie zniewalający wpływ jak pocałunki. Poza tym nienawidziła tego zapachu gumy, który przenikał powietrze od chwili, gdy rozerwał folię prezerwatywy, do czasu, aż skończyli. No i czy mogło istnieć wspanialsze uczucie od tego, które ją ogarniało, gdy wypełniał ją sobą? Przesunęła się nieznacznie, rozsunęła drżące nogi...

I wówczas coś jej się przypomniało. Kiedy dostała okresu w wieku trzynastu lat, matka nie odbyła z nią typowej rozmowy od serca. Przyniosła jej za to książkę pełną danych statystycznych. „Pamiętaj – powiedziała – za każdym razem, gdy uprawiasz seks, możesz zajść w ciążę. Szanse wynoszą 1:1. Nie łudź się jednak, że jak zrobisz to tylko raz bez zabezpieczenia, rachunek prawdopodobieństwa zadziała na twoją korzyść”.

Josie odepchnęła Matta.

– Nie powinniśmy – szepnęła.

– Kochać się?

– Kochać się... bez niczego.

Był zawiedziony, Josie to wyczuła po sposobie, w jaki na moment znieruchomiał. Ale posłusznie się wycofał, wyjął kondom, który ona pomogła mu nałożyć.

– Pewnego dnia... – mruknęła cicho, ale wówczas Matt zaczął ją całować, więc natychmiast zapomniała, co właściwie chciała powiedzieć.

Od początku listopada do końca zimy Lacy wykładała zboże na tyłach domu, żeby pomóc jeleniom przetrwać najtrudniejszy okres. Wielu sąsiadów nie pochwalało sztucznego dokarmiania leśnej zwierzyny – głównie dlatego, że ostańcy po zimie w lecie niszczyli im

ogrody – Lacy uważała jednak, że to jej obowiązek, forma zadośćuczynienia naturze. Tak długo, jak Lewis się upierał przy polowaniach, ona zamierzała choć w niewielkim stopniu neutralizować skutki jego poczynań.

Włożyła ciężkie buty – uzasadniał to leżący jeszcze gdzieniegdzie śnieg, chociaż było na tyle ciepło, że z klonów zaczęto spuszczać sok, co przynajmniej w teorii zwiastowało nadejście wiosny. Ledwo Lacy wyszła na zewnątrz, poczuła zapach syropu klonowego, dobiegający z przydomowej rafinerii sąsiadów. Jakby w powietrzu unosiły się drobiny karmelków. Dodźwigała wiadro wypełnione zbożem do huśtawki: drewnianej konstrukcji, uwielbianej przez chłopców w dzieciństwie, której Lewis wciąż jakoś nie mógł zdemontować.

– Cześć, mammo.

Obejrzała się i ujrzała Petera z rękami wsuniętymi głęboko w kieszenie dżinsów. Miał na sobie jedynie T-shirt i puchową kamizelkę, musiał więc kostnieć z zimna.

– Cześć, skarbie. Co słychać?

Na palcach jednej ręki mogłaby policzyć, ile razy Peter ostatnio wysuwał nos ze swojego pokoju, nie mówiąc już o wychodzeniu do ogrodu. Lacy zdawała sobie sprawę, że takie zachowanie jest typowe dla wieku dojrzewania: zakopywanie się w sanktuarium własnej przestrzeni i oddawanie temu, czemu oddają się nastolatki za zamkniętymi drzwiami. W wypadku jej syna był to komputer. Całymi godzinami siedział w sieci – ale nie zajmował się bezmyślnym przeglądaniem rozmaitych witryn, lecz programowaniem, jakże więc mogłaby potępiać tego typu hobby?

– Nic szczególnego. Co robisz?

– To samo co zawsze o tej porze roku.

– Naprawdę?

Spojrzała uważniej na syna. Sprawiał wrażenie istoty z innego świata w tym krajobrazie przesyconym rześkim, chłodnym powietrzem. Jego rysy wydawały się zbyt delikatne na tle poszarpanych zboczy gór, widniejących w tle; jego skóra – bielsza nawet od śniegu. Nie pasuje do

tego miejsca, pomyślała Lacy, i nagle dotarło do niej, że podobna refleksja nachodziła ją na widok Petera bez względu na to, gdzie się w danej chwili znajdował.

– Trzymaj. – Podała mu wiadro. – Pomożesz mi.

Peter chwycił za pałąk i zaczął rozrzucać garściami zboże.

– Czy mogę cię o coś spytać, mamó?

– Oczywiście.

– Czy to prawda, że pierwsza zaprosiłaś tatę na randkę?

Lacy uśmiechnęła się radośnie.

– Gdybym tego nie zrobiła, prawdopodobnie do dziś czekałabym na telefon. Twój ojciec ma wiele zalet, jednak spostrzegawczość do nich nie należy.

Poznała Lewisa na wiecu w sprawie legalizacji aborcji. Chociaż osobiście uważała, że nie ma wspanialszego daru niż narodziny dziecka, patrzyła na świat chłodnym okiem realistki – za wiele widziała kobiet w ciąży, które były zbyt młode, zbyt biedne lub zbyt zaharowane, żeby zapewnić dziecku godziwe życie. Poszła więc z przyjaciółką na marsz protestacyjny, który się kończył wiecem pod budynkiem legislatury stanowej w Concord. Kiedy stała na wysokich schodach wśród siostrzanych dusz, dzierżących transparenty, na których widniało hasło: JESTEM ZA WOLNYM WYBOREM I GŁOSUJĘ... PRZECIWKO ABORCJI, zaczęła się rozglądać po zgromadzonym tłumie i nagle dostrzegła samotnego mężczyznę w eleganckim garniturze. Zafascynował ją – zupełnie nie pasował do obrazu typowego aktywisty.

– Rany – zagadnęła Lacy, przepychając się w jego stronę. – Co za dzień.

– W rzeczy samej – odparł.

– Czy byłeś tu już kiedyś?

– Nie, to mój debiut – odparł Lewis.

– Mój również.

Nowy napływ manifestantek maszerujących środkiem schodów niespodziewanie ich rozdzielił. Ze sterty papierów, które Lewis trzymał

na rękę, sfrunęła jedna kartka, ale zanim Lacy ją pochwyciła, tajemniczy nieznajomy już zniknął w tłumie. Okazało się, że to strona tytułowa jakiegoś większego opracowania, którego temat niemal zwałił Lacy z nóg. „Przydziały funduszy w systemie szkolnictwa publicznego stanu New Hampshire: raport analityczny”. Pod spodem dane autora: Lewis Houghton, Sterling College, Wydział Ekonomii.

Zadzwoiła i powiedziała Lewisowi, że ma stronę tytułową jego pracy. Okazało się, że jej nie potrzebował, ponieważ wydrukował nową kopię całego dokumentu.

– Rozumiem. Ale i tak muszę przywieźć ci tę kartkę.

– Dlaczego?

– Żebyś mógł mi wytłumaczyć sens tytułu podczas kolacji.

Dopiero nad talerzem sushi Lacy się dowiedziała, że obecność Lewisa na schodach stanowego Kapitolu nie miała nic wspólnego z manifestacją. Był po prostu umówiony z gubernatorem.

– Ale jak mu to powiedziałaś? – dopytywał się Peter. – No wiesz, że go lubisz, i w ogóle...

– O ile pamięć mnie nie myli, po trzeciej randce złapałam go w objęcia i zaczęłam całować. Ale niewykluczone, że zrobiłam to tylko po to, aby przestał wreszcie nadawać na temat wolnego handlu. – Zerknęła na syna i nagle sens tych pytań stał się całkowicie jasny. – Peter – odezwała się z szerokim uśmiechem – czy w szczególny sposób spodobała ci się jakaś dziewczyna?

Nie musiał nawet odpowiadać – zdradziły go wypieki na twarzy.

– Powiesz mi, o kogo chodzi?

– Nie!

– Trudno, jakoś to przeżyję. – Objęła syna ramieniem. – Rany, szczerze ci zazdroszczę. Nic się nie może równać z tymi pierwszymi miesiącami, kiedy nie myśli się o niczym innym, tylko o sobie nawzajem. To znaczy... miłość w każdej postaci jest cudowna... ale pierwsze zakochanie... ach...

– Nie jest tak, jak ci się zdaje – wtrącił Peter. – To... hm... uczucie jednostronne.

– Założę się, że jest tak samo oszołomiona jak ty.

Skrzywił się.

– Mamo, ona ledwo zdaje sobie sprawę z mojego istnienia. Ja nie jestem... nie trzymam z tymi samymi ludźmi co ona.

Lacy zerknęła na syna.

– W takim razie musisz to zmienić.

– Jak?

– Nawiązać z nią kontakt. Może podejść do niej w miejscu, gdzie nie będzie jej znajomych. I pokazać takiego siebie, jakiego ona jeszcze nie zna.

– To znaczy?

– Odkryć przed nią swoje serce. – Lacy postukała Petera w pierś. – Jeżeli wyznasz, co do niej czujesz, sam się zdziwisz jej reakcją.

Peter zwiesił głowę, kopnął grudkę zmarzniętego śniegu. Ale po chwili spojrzał na matkę nieśmiało.

– Naprawdę?

Lacy skinęła głową.

– W moim wypadku zadziałało.

– Okay. Dzięki, mamo.

Przez chwilę patrzyła, jak po wzniesieniu trawnika syn wspina się z powrotem do domu, po czym znowu się skoncentrowała na problemach jeleni. Będzie je dokarmiać aż do stopnienia śniegów. Gdy raz się roztoczy nad nimi opiekę, nie można zaniedbać obowiązku, bo inaczej nie przetrwają.

Leżeli na podłodze w salonie niemal całkiem nadsy. Od Matta dobiegał zapach piwa, ale jej oddech musiał pachnieć tak samo. Wypili po parę butelek u Drew – nie tyle, żeby się zalać, ale nakręcić, dlatego gdy tylko się znaleźli sam na sam, Matt natychmiast zaczął błędzić rękami po jej ciele, a każdy jego dotyk rozpalał w niej żar.

Z przyjemnością poddała się rytuałowi. Matt ją pocałował – najpierw delikatnie, potem mocno, a w końcu sięgnął ręką do zapięcia

stanika. Leżała leniwie rozciągnięta, gdy ściągał z niej dzinsy. Ale potem, zamiast zrobić to, co zwykle, Matt się na nią rzucił i zaczął ją całować tak gwałtownie, że aż poczuła ból.

– Mmmm – próbowała protestować i odpychać go od siebie.

– Spokojnie – mruknął Matt i lekko ugryzł ją w ramię. Potem wyciągnął jej ręce nad głowę, przycisnął do ziemi, a sam zaczął się ocierać o jej ciało biodrami. Wyraźnie czuła dużego, twardego członka na swoim brzuchu.

To było odstępstwo od rytuału, ale Josie musiała przyznać, że całkiem podniecające. Chwyciła Matta za ramiona i pociągnęła ku sobie.

– Taaak, taaak – jęknął i roztrącił jej uda. I nagle znalazł się w jej wnętrzu, po czym ruszył w tak oszalałym tempie, że aż szurał nią po dywanie, ocierając Josie pośladki.

– Poczekaj! – Próbowała się spod niego wydostać, ale tylko zatkał jej dłońią usta i zaczął pompować coraz mocniej i mocniej. Aż w końcu doszedł.

Nasienie – lepkie, gorące – zaczęło z niej wypływać na dywan. Matt ujął twarz Josie w dłonie.

– Jezu, jak ja cię strasznie kocham.

Odwróciła głowę.

– Ja też cię kocham.

Leżała w jego ramionach przez kilka minut, a potem powiedziała, że jest zmęczona i musi się natychmiast położyć. Tradycyjnie pocałowała Matta na do widzenia w progu, po czym poszła do kuchni po ścierkę do podłogi, która leżała pod zlewem. Wróciła do pokoju i zaczęła wywabiać mokrą plamę z dywanu, modląc się w duchu, by nie pozostał żaden trwały ślad.

Peter wystukał na klawiaturze kilka komend, które jednak chwilę później zaciemnił i usunął jednym kliknięciem. Chociaż wydawało mu się, że to superpomysł – otwierasz maila, a przez cały ekran przewija się

napis: „Kocham cię”, ostatecznie doszedł do wniosku, że nie wszystkim musiało się to spodobać, a niektórzy mogliby się wręcz przestraszyć.

Zdecydował się wysłać maila, bo jeżeli zostanie brutalnie odrzucony, dowie się o tym w zaciszu własnego pokoju. Oszczędzi sobie publicznego upokorzenia. Problem w tym, że matka poradziła, by odsłonił swoje serce, a on nie czuł się najpewniej w operowaniu słowem. uświadomił sobie, że często widywał obiekt swoich westchnień tylko we fragmentarycznych obrazach: ręka oparta na odkręconej szybie auta, kosmyki włosów, wyfruwające z samochodowego okna. Jakże często zdarzało mu się marzyć, że to on siedzi za kierownicą tego wozu.

„Błąkałem się bez celu na ścieżce życia, dopóki na jednym z zakrętów nie spotkałem Ciebie” – napisał.

Jęknął głośno i szybko usunął zdanie. Gniot jak spod pióra autora tekstów pocztówkowych, i to tak marnego, że nikt nie chciałby go zatrudnić.

Zawiesił ręce nad klawiaturą i zaczął się zastanawiać, co tak naprawdę by jej powiedział, gdyby miał w sobie dość odwagi.

Wiem, że nigdy o mnie nie myślisz.

I z pewnością nie widzisz w nas pary.

Ale masło orzechowe było tylko zwykłym masłem orzechowym, dopóki ktoś nie wpadł na pomysł, że doskonale się komponuje z marmoladą. Sól była zawsze tą samą solą, aż tu nagle się okazało, że z pieprzem smakuje lepiej. A jaki sens miałyby masło bez chleba?

(Czemu wszystkie skojarzenia, które przychodziły mu do głowy, miały wyłącznie związek z JEDZENIEM?!?!?!?)

Bez Ciebie jestem nikim. Ale z Tobą, jak sądzę, mógłbym zostać kimś wyjątkowym.

Teraz przyszła pora na najtrudniejsze – zakończenie.

Twój przyjaciel Peter Houghton.

Hm... z formalnego punktu widzenia to nieprawda.

Szczerze oddany Peter Houghton.

To było prawdziwe, ale brzmiało staroświecko i formalnie. Pozostało więc najprostsze i najbardziej oczywiste:

Kochający Peter Houghton.

Szybko wystukał te słowa, raz jeszcze przeczytał całość. A potem, zanim miał czas się rozmyślić, nacisnął klawisz ENTER i via Internet wysłał swoje serce do Josie Cormier.

Courtney Ignatio umierała z nudów.

Josie była jej przyjaciółką i w ogóle, ale... nic kompletnie się nie działo. Obejrzały już trzy filmy z Paulem Walkerem na DVD, weszły na stronę „Zagubionych”, żeby przejrzeć biografię faceta, który grał Sawyera, przekartkowały wszystkie stare egzemplarze „Cosmopolitana”, które jeszcze nie wylądowały na śmietniku, ale Josie nie miała HBO ani nic czekoladowego w lodówce i nawet na kampusie miejscowego college’u nikt nie organizował żadnej imprezy, pod którą można by się podłączyć. Courtney już drugą noc spędzała w domu sędzi Cormier z powodu swojego brata mózgowca, który porwał rodziców na szalony objazd uniwersytetów zaliczanych do Ivy League. Courtney posadziła sobie na brzuchu pluszowego hipopotama i marszcząc czoło, wpatrzyła się w jego guzikowe ślepia. Przez cały wieczór próbowała wyciągnąć od Josie coś na temat Matta – ważne informacje, w rodzaju, czy ma dużego kutasa i czy wie, jaki robić z niego użytek – ale za każdym razem przyjaciółka przybierała kamienny wyraz twarzy i zachowywała się tak, jakby nigdy wcześniej w życiu nie słyszała słowa „seks”.

Teraz była w łazience i brała prysznic; Courtney słyszała szum leżącej wody. Przewróciła się na bok i zaczęła studiować oprawioną w ramkę fotografię, przedstawiającą Josie i Matta. Josie mogła wzbudzać nienawiść innych dziewczyn, ponieważ Matt był superfacetem – na imprezach zawsze szukał wzrokiem swojej dziewczyny i nigdy się od niej za bardzo nie oddalał; dzwonił, żeby powiedzieć jej dobranoc, nawet jeżeli się pożegnali zaledwie pół godziny wcześniej (owszem, to

prawda, Courtney była tego świadkiem nie dalej jak ubiegłego wieczoru). W odróżnieniu od innych chłopaków z drużyny hokejowej – Courtney to też dobrze wiedziała, bo z wieloma się umawiała – Matt zdecydowanie przedkładał towarzystwo Josie nad towarzystwo kumpli. Ale w Josie było coś takiego, że Courtney nie czuła wobec niej zazdrości. Czasami jej twarz zmieniała się wprost niesamowicie – jakby spadała z niej maska – jakby wypłynęła z oka barwna soczewka kontaktowa, ukazując prawdziwy kolor tęczówki. Josie mogła być połówką najbardziej oddanej sobie pary w szkole, ale trudno się było wyzbyć wrażenia, że tkwi w tym układzie z jednego jedyne powodu: tylko dzięki niemu jest w stanie się samookreślić.

MASZ POCZTĘ – odezwał się metalicznym głosem automat w komputerze Josie.

Aż do tej pory Courtney nie zdawała sobie sprawy, że się nie wylogowały z sieci. Podeszła do biurka i poruszyła myszą, żeby przywrócić aktywny ekran. Może to Matt... może przysłał Josie jakieś cyberporno... Zabawnie będzie się podszyć pod przyjaciółkę i trochę namieszać mu w głowie.

Adres nadawcy był jednak Courtney nieznany – a ostatecznie miały z Josie identyczną listę adresową. Temat maila nie został wpisany. Courtney kliknęła na załącznik, teraz już niemal pewna, że to jakieś reklamowe śmieci: powiększ penisa w trzydzieści dni; weź kredyt hipoteczny na kosmicznie korzystnych warunkach; kup toner do drukarki po zabójczo niskiej cenie.

Na ekranie ukazała się treść załącznika i Courtney przebiegła ją wzrokiem.

– Wielki Boże! – mruknęła. – Zajebisty odlot!

Zaciemniła treść postu i przekierowała pod RTWING90@yahoo.com.

Drew – wystukała szybko. – *Roześlij to całemu światu.*

Otworzyły się drzwi łazienki i Josie weszła do pokoju w szlafroku, z ręcznikiem zamotanym na głowie. Courtney szybko wylogowała się z sieci.

DO ZOBACZENIA – odezwał się automat.

– Co jest? – spytała Josie.

Courtney odwróciła się w jej stronę z uśmiechem.

– Nic. Tylko sprawdzałam swoją skrzynkę mailową.

* * *

Josie nie mogła zasnąć; w jej głowie kłębiły się tysiące myśli. Bardzo żałowała, że nie ma u boku bratniej duszy, z którą mogłaby omówić swój obecny problem. Bo z kim miałyby o tym pogadać. Z matką? Dobry dowcip. Matt w ogóle nie wchodził w rachubę. Courtney czy któraś z ich wspólnych koleżanek – jak wyżej. Tak naprawdę Josie się bała, że gdy wyartykułuje swoje najgorsze obawy, czarny scenariusz się spełni.

Poczekala, aż oddech Courtney stanie się równy i głęboki. A potem wymknęła się z łóżka i wśliznęła do łazienki. Starannie zamknęła drzwi i ściągnęła spodnie od pizamy.

Nic. Ani śladu.

Okres się spóźniał już trzy dni.

We wtorkowy wieczór Josie siedziała na sofie w piwnicy Matta i pisała dla niego esej, który miał omawiać przypadek nadużycia władzy, wybrany z dowolnego okresu historii USA, podczas gdy Matt i Drew dźwigali sztangę.

– Jest milion tematów do wyboru – powiedziała. – Watergate. Abu Ghraib. Uniwersytet stanowy w Kent.

Matt, ubezpieczony przez Drew, stękał pod ciężarem sztangi.

– Byle to było oczywiste i łatwe do zapamiętania, Jo.

– No, dawaj, mięczaku – odezwał się Drew. – Jak tak dalej pójdzie, cofną cię do juniorów.

Matt wyszczerzył zęby w uśmiechu i uniósł sztangę na całą wysokość wyciągniętych ramion.

– Zobaczymy, czy ty tyle wyciśniesz – wystękał.

Josie patrzyła na jego grające mięśnie – na tyle silne, by udźwignąć podobny ciężar, a jednocześnie zdolne obejmować ją z niesłychaną delikatnością. Matt się podniósł, po czym otarł pot z czoła i z ławeczki do ćwiczeń; teraz przysłała kolej na Drew.

– W swojej pracy mogłabym omówić Patriot Act – mruknęła w zamyśleniu Josie, gryząc koniec ołówka.

– Ja działałam w twoim najlepiej pojętym interesie, chłopie – ciągnął tymczasem Drew. – Jeżeli nie chcesz się wysilać dla trenera, zrób to dla swojej kobiety.

Josie podniosła wzrok znad notatnika.

– Drew, urodziłeś się idiotą, czy to przyszło z wiekiem?

– Jestem INTELIGENTNYM PROJEKTEM – zażartował. – Mówię tylko, że Matt powinien się mieć teraz na baczności, skoro na horyzoncie pojawił się rywal.

– Co ty bredzisz? – Josie popatrzyła na Drew jak na ostatniego debila, ale tak naprawdę zdjęła ją panika. To nieważne, czy ona rzeczywiście okazywała komuś innemu względy, czy nie; liczyło się jedynie, co na ten temat sądził Matt.

– To był żart, Josie – oznajmił Drew, kładąc się na ławce i zaciskając dłonie na sztandze.

Matt wybuchnął śmiechem.

– Wyjątkowo trafne określenie Petera Houghtona.

– Dasz mu popalić?

– Z pewnością – odparł Matt. – Tylko jeszcze nie zdecydowałem jak.

– Może do opracowania planu przyda ci się inspiracja poetycka – zachichotał Drew. – Hej, Jo, wyjmij mój segregator. E-mail jest w kieszonce z przodu.

Josie chwyciła plecak leżący na drugim krańcu sofy. Wyciągnęła złożoną kartkę, a kiedy ją rozwinęła, na górze ujrzała swój własny adres internetowy, a poniżej adnotację, że wiadomość rozesłano wszystkim uczniom Sterling High.

Skąd ten mail w plecaku Drew, skoro ona sama nigdy nie widziała

go na oczy?!

– Przeczytaj na głos.

Josie zaczęła niepewnie.

– Wiem, że nigdy o mnie nie myślisz. I z pewnością nie widzisz w nas pary...

Słowa uwięzły jej w gardle jak kamienie. Przerwała czytanie, ale to już nie miało większego znaczenia, bo Drew i Matt wyrecytowali resztę tekstu z pamięci:

– Bez Ciebie jestem nikim...

– Ale z Tobą... jak sądzę... – Drew wpadł w tak konwulsyjny chichot, że sztanga opadła na swoje leże. – Kurwa, nie mogę dźwigać, gdy mnie tak skręca.

Matt usiadł na sofie obok Josie i zarzucił jej rękę na ramię, wodząc kciukiem po piersi. Odsunęła się, ponieważ nie chciała, żeby Drew to widział, ale Mattowi właśnie na tym zależało, więc przesunął się wraz z nią.

– Zostałaś muzą poezji – powiedział z uśmiechem. – Co prawda, marnej, ale nawet Helena Trojańska musiała na początek się zadowolić... limerykiem czy czymś takim, no nie?

Josie paliły policzki. Wprost nie mieściło jej się w głowie, że Peter napisał do niej coś podobnego. Jak w ogóle mógł pomyśleć, że ona zareagowałaby pozytywnie na jego wyznania! I na dodatek teraz cała szkoła wiedziała, że Houghton się w niej kochał. W tej sytuacji Josie musiała zrobić wszystko, by nikt nie pomyślał, że ona żywi wobec niego jakiegokolwiek uczucia.

Choćby litości.

Ale jeszcze bardziej przygnębiał ją fakt, że ktoś ze znajomych postanowił wyciąć jej taki numer. Wykradnięcie postu ze skrzynki mailowej nie stanowiło żadnego problemu: wszyscy nawzajem znali swoje hasła dostępu. Mogła to więc zrobić każda z jej koleżanek albo nawet sam Matt. Jednak dlaczego jedno z jej przyjaciół chciało ją tak totalnie upokorzyć?

Josie w zasadzie dobrze znała odpowiedź. Ci ludzie tak naprawdę

wcale nie byli jej przyjaciółmi. Najpopularniejsze dzieciaki w szkole z nikim się nie przyjaźnią – one jedynie zawierają alianse. Przy nich jesteś bezpieczny tak długo, jak się chowasz za podwójną gardą i nigdy z niczego nie zwierzasz – w innym wypadku szybko wystawią cię na pośmiewisko, ponieważ gdy świat się śmieje z innych, nie śmieje się z nich.

Josie cierpiała wewnętrzne katusze, ale miała też świadomość, że ten idiotyczny dowcip miał między innymi przetestować jej reakcję. Gdyby z oburzeniem oskarżyła swoich znajomych o włamanie do jej skrzynki, o naruszenie prywatności – byłaby skończona. Przede wszystkim nie mogła okazać śladu emocji. Ostatecznie miała tak wysoki status towarzyski, tak bardzo przewyższała w hierarchii szkolnej Petera Houghtona, że podobny mail mógł co najwyżej wywołać u niej uśmiech politowania.

– Co za totalny palant – rzuciła lekkim tonem, jakby ta sytuacja w ogóle jej nie obeszła. Jakby ona podzielała rozbawienie Matta i Drew. Zmiała kartkę w drżących rękach i rzuciła za sofę.

Matt położył na jej kolanach głowę wciąż wilgotną od potu.

– To o czym w końcu zdecydowałem się napisać?

– O rdzennych Amerykanach – odparła machinalnie. – O tym, jak rząd systematycznie naruszał postanowienia wszelkich traktatów i zagarniał ich terytoria.

Josie doszła do wniosku, że potrafi się doskonale wczuć w położenie tych ludów: wykorzenienie, świadomość, że już nigdzie nie odnajdzie się dla siebie miejsca.

Drew usiadł okrakiem na ławce.

– Jak mógłbym znaleźć sobie dziewczynę, która poprawi mi końcówą średnią?

– Zapytaj Petera Houghtona – odparł Matt ze śmiechem. – On jest mistrzem podbojów miłosnych.

Drew zarechotał, a Matt sięgnął po rękę Josie – tę, w której trzymała ołówek. Delikatnie zaczął całować kostki jej palców.

– Jesteś dla mnie zbyt dobra – powiedział.

Szafki w Sterling High tłoczyły się w niewielkiej części korytarza, ustawione jedna na drugiej. Więc jeżeli się miało szafkę w dolnym rzędzie, oznaczało to, że ilekroć do niej zaglądałeś podczas przerwy, ktoś inny dosłownie wchodził ci na głowę. Szafka Petera nie tylko należała do tych dolnych, ale była również wciśnięta w róg, stąd właściciel musiał się zwijać w podwójny precel, żeby się do niej dostać.

Wyszedł z klasy natychmiast po dzwonku, zgodnie ze szczegółowo opracowanym planem: jeżeli błyskawicznie weźmie, co ma wziąć z szafki na następne zajęcia, wędrówkę po korytarzach będzie odbywał w największym tłoku, dzięki czemu zdecydowanie zmniejszy się ryzyko, że wpadnie w oko któremuś z mięśniaków i zostanie po raz kolejny sponiewierany. Ze zwieszoną głową, z oczami utkwionymi w podłogę, szybko dopadł swojego kąta.

Przykleknął, by wymienić podręcznik do matematyki na notatki z socjologii, gdy zatrzymała się przed nim para czarnych butów na wysokim obcasie. Powędrował w górę wzrokiem po ażurowych rajstopach, tweedowej minispódnicy, asymetrycznym swetrze i kurtynie blond włosów. Courtney Ignatio stała ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, jakby Peter niepotrzebnie marnował jej czas, mimo że to nie on ją zaczepił, ale ona jego.

– Wstawaj – zarządziła – bo nie zamierzam się spóźnić na lekcję.

Peter szybko się poderwał, kolanem zatraskując szafkę. Nie chciał, aby Courtney zauważyła, że w środku przykleił zdjęcie z dzieciństwa, przedstawiające jego i Josie. Musiał się po nie pofatygować aż na strych, gdzie matka trzymała stare albumy od czasu, gdy dwa lata temu przeszła na system cyfrowy i wszystkie fotki przechowywała na płytach CD.

Na tym zdjęciu siedzieli na obramowaniu przedszkolnej piaskownicy, a Josie trzymała rękę na jego ramieniu. I to mu się właśnie najbardziej podobało.

– Słuchaj, ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzyła, to rozmowa z tobą na oczach połowy szkoły, ale Josie jest moją przyjaciółką i w ogóle, dlatego podjęłam się tego zadania. – Courtney rozejrzała się ukradkiem

po korytarzu, by się upewnić, że nikt nie nadchodzi. – Ona cię lubi...

Peter jedynie wybałuszał oczy.

– Lubi cię w ten szczególny sposób, matole. Ma już totalnie dosyć Matta; nie chce go jednak spławić, póki nie nabierze pewności, że ty na serio o niej myślisz. – Courtney zerknęła na Petera spod oka. – Tłumaczyłam jej, że to towarzyskie samobójstwo, ale ostatecznie czego ludzie nie robią z miłości...

Peter poczuł, jak krew napływa mu do twarzy z siłą oceanicznej fali.

– Dlaczego miałbym ci uwierzyć?

Courtney postrząsnęła włosami.

– Nic mnie nie obchodzi, czy mi wierzysz, czy nie. Jestem jedynie posłańcem. Co zrobisz z tą wiadomością, to już twoja rzecz.

Oddaliła się korytarzem i zniknęła za rogiem akurat w chwili, gdy odezwał się dzwonek. A więc teraz Peter się spóźni na zajęcia, czego nienawidził, bo gdy w takiej sytuacji wchodził do klasy, wszystkie oczy się na niego kierowały, a spojrzenia przeszywały jak szydła.

Ale dzisiaj to nie miało znaczenia; dzisiaj świat stanął przed nim otworem.

Najlepszym daniem w kafeterii były pieczone talarki ziemniaczane, nieprzytomnie przesycone tłuszczem. Jedząc je, praktycznie się czuło, jak spodnie stają się za ciasne, a policzki pęcznieją – a mimo to Josie nie mogła się im oprzeć. Czasami się zastanawiała, czy gdyby były równie zdrowe jak brokuły, też tak by za nimi przepadała. Czy smakowałyby równie doskonale, jeżeli nie byłyby takie tuczące?

Dla większości koleżanek Josie cały posiłek sprowadzał się do małej butelki wody mineralnej lub innego dietetycznego napoju; jeżeli jakaś dziewczyna pochłaniała wysokokaloryczne i węglowodanowe potrawy, od razu zarabiała na etykietkę tłuściocha lub bulimiczki. Zazwyczaj Josie ograniczała się do trzech talarków, a resztę oddawała chłopakom. Ale dzisiaj przez dwie ostatnie lekcje dosłownie się śliniła na samą myśl o tych ziemniaczkach, więc pozwoliła sobie na dwa talarki więcej niż

normalnie. Jeżeli w grę nie wchodziły ogórki kiszzone lub lody, czy też można było podejrzewać zachciankę ciężową?

Courtney przechyliła się przez stół i maznęła palcem po tacce, na której podawano talarki.

– Ohyda – zawyrokowała. – Dlaczego benzyna jest tak koszmarnie droga, skoro te małe skarby są pokryte taką ilością paliwa energetycznego, że wystarczyłoby do napełnienia baku pikapa, którym jeździ Drew?

– Do samochodów leje się inne paliwo, Einsteinie – zauważył Drew. – Czy doprawdy sądzisz, że na stacji Mobilu sprzedają olej do frytek?

Josie nachyliła się do leżącego na podłodze plecaka. Rano wrzuciła do niego jabłko, więc musiało się gdzieś tam znajdować. Poszukiwania wśród luźnych kartek i kosmetyków pochłaniały całą jej uwagę, dlatego nie zarejestrowała, że wymiana zdań między Courtney i Drew gwałtownie się urwała; że w istocie umilkły wszystkie rozmowy w kafeterii.

Obok ich stolika stał Peter Houghton z brązową papierową torbą w jednym i kartonikiem mleka w drugim ręku.

– Hej, Josie! – rzucił radosnym głosem, jakby nie dostrzegał, że ona go wcale nie słucha, bo właśnie w tej sekundzie coś w niej umiera. – Pomyślałem, że może miałabyś ochotę zjeść ze mną lunch.

Josie zmartwiała; miała wrażenie, że się zmienia w bryłę granitu, i teraz nie mogłaby drgnąć, nawet gdyby od tego zależało zbawienie jej duszy. Wyobraziła sobie, jak za kilkanaście lat uczniowie wskazują na wciąż przyrośniętego do plastikowego krzesła kamiennego gargulca, który kiedyś był żywą Josie, i mówią: „A tak, wiem, co jej się przydarzyło”.

Usłyszała jakiś szurgot za plecami, ale po prostu nie mogła się ruszyć. Zerknęła na Petera. Gdybyż tylko istniał jakiś tajemny kod, automatycznie sygnalizujący wybranym osobom, że nie mówimy tego, co naprawdę myślimy!

– Uhm – zaczęła Josie – może bym się skusiła, ale...

– Szybciej piekło zetną lody, niż ona się na to zgodzi! – rzuciła

Courtney.

Wszyscy siedzący przy stole zaczęli się zwijać ze śmiechu z przyczyn zupełnie dla Petera niezrozumiałych – jakby słowa Courtney były jakimś sekretnym dowcipem.

– Co masz w tej torbie, Houghton? – zainteresował się Drew. – Masło orzechowe i marmoladę?

– Sól i pieprz? – zaćwierkała Courtney.

– Chleb z masłem?

Uśmiech zniknął z twarzy Petera, bo nagle uświadomił sobie, w jak głęboki dał się wpuścić kanał i jak wielu ludzi wie, co się tu rozgrywa. Przesunął spojrzeniem po Drew, Courtney, Emmie, po czym znowu się skupił na Josie – ale ona natychmiast umknęła wzrokiem, żeby nikt, nawet Peter, nie zauważył, jak wielką przykrość sprawia jej zadawanie komuś bólu.

Co jednak nie zmieniało faktu, że – wbrew przekonaniu Petera – ona nie jest wcale lepsza od całej reszty.

– Myślę, że Josie powinna przynajmniej obejrzeć oferowany towar – odezwał się Matt, który, jak się okazało, już nie siedział przy stole. Stał teraz tuż za Peterem. Jednym płynnym ruchem wsunął kciuki w szlufki jego spodni i pociągnął je gwałtownie w dół.

W ostrym, jarzeniowym świetle skóra Petera była przeraźliwie biała; na tle cienkich, rzadkich włosów łonowych odznaczał się maleńki ślimak penisa. Peter odruchowo zakrył brązową torbą przyrodzenie i przy okazji wypuścił z ręki karton z mlekiem, które się rozlało u jego stóp.

– Hej, patrzcie! – zakrzyknął Drew. – Przedwczesny wytrysk!

Cała kafeteria zaczęła wirować przed oczami Josie niby karuzela pełna jaskrawego światła i kolorów. W uszach dudnił jej głośny śmiech, który starała się naśladować. Pan Isles, nauczyciel hiszpańskiego, całkiem pozbawiony szyi, podbiegł do Petera podciągającego w pośpiechu spodnie. Złapał za ramię i jego, i Matta.

– Już skończyliście te wygłupy? – warknął. – Czy mam was obu zaprowadzić do dyrektora?

Peter dał nogę z kafeterii, ale i tak wszyscy wciąż od nowa napawali się tą wspianą chwilą, gdy został pozbawiony gaci. Drew przybił piątkę z Mattem.

– Chłopie, jeszcze nigdy tak zajebicie się nie bawiłem podczas lunchu!

Josie znowu zaczęła grzebać w plecaku, udając, że szuka swojego jabłka, chociaż tak naprawdę kompletnie straciła apetyt. Po prostu nie chciała, żeby ktoś na nią patrzył, i ona nie chciała patrzeć na swoich kolegów.

Torba z lunchem Petera Houghtona leżała nieopodal jej nóg – dokładnie w tym miejscu, w którym ją upuścił, kiedy uciekał z kafeterii. Josie zajrzała do środka. Kanapka – najprawdopodobniej z indykiem. Pacuszka precli. I marchewki – starannie obrane i pokrojone w słupki przez kogoś, kto otaczał Petera czułą opieką.

Josie wsunęła brązową torbę do plecaka, wmawiając sobie, że odnajdzie Petera i ją zwróci albo chociaż położy obok jego szafki, ale w głębi duszy wiedziała, że nie zrobi ani jednego, ani drugiego. Będzie za to trzymać tę torbę w swoim plecaku tak długo, aż zacznie śmierdzieć, aż wtedy ona wreszcie ją wyrzuci, wmawiając sobie, że wszystko można rozwiązać w tak prosty i oczywisty sposób.

Peter wyskoczył z kafeterii i pognął korytarzem niczym stalowa kulka pinballa, wystrzelona z kosmiczną siłą. Zatrzymał się dopiero przy swojej szafce. Opadł na kolana i oparł czoło o chłodny metal. Jak mógł być taki głupi! Jak mógł zaufać Courtney – uwierzyć, że Josie chciałaby obdarzyć ciepłym uczuciem kogoś takiego jak on?!

Uderzał głową o metal, dopóki nie poczuł przeszywającego bólu w czaszce, a potem przekręcił szyfrowy zamek. Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy po otwarciu drzwiczek, to zdjęcie przedstawiające jego i Josie. Zmiał je ze złością w dłoni, odwrócił się na pięcie i ponownie ruszył przez hol.

Po drodze natknął się na pana McCabe'a, który popatrzył na niego

spod zmarszczonych brwi, po czym położył rękę na ramieniu chłopca, chociaż musiał widzieć, że Peter w owej chwili nie jest w stanie znieść cudzego dotyku, bo ten piekł gorzej od ukłucia tysiąca igieł.

– Peterze? Wszystko w porządku?

– Muszę do łazienki – burknął. Przepchnął się obok nauczyciela i jeszcze szybciej ruszył przed siebie.

Zamknął się w jednej z kabin, wrzucił zmięte zdjęcie do klozetu, a potem rozpiął rozporek i na nie nasikał.

– Pierdolę cię – szepnął. A potem na całe gardło wrzasnął tak, że aż się zatrzęsły ściany toalety. – Pierdolę was wszystkich!

Ledwo matka wyszła z pokoju, Josie wyciągnęła z ust termometr i przyłożyła go do żarówki swojej lampki nocnej. Zmrużyła oczy, żeby widzieć, jak się zmieniają maleńkie cyferki, a na odgłos kroków matki znowu wetknęła sobie termometr w usta.

– Mmm... – Matka podeszła do okna i wpatrywała się w słupek rtęci. – Ty naprawdę jesteś chora.

Josie wydała z siebie cichy jęk w nadziei, że zabrzmii przekonująco w uszach matki, po czym przewróciła się na bok.

– Jesteś pewna, że poradzisz sobie sama?

– Uhm.

– Gdybyś mnie potrzebowała, dzwoń bez wahania. Odroczę sesję i natychmiast przyjadę.

– Okay.

Alex przysiadła na łóżku i pocałowała córkę w czoło.

– Miałabyś ochotę na zupę? Sok owocowy?

Josie pokręciła głową.

– Chciałabym się przespać. – Zamknęła oczy, żeby do matki dobitniej dotarł ten przekaz.

Kiedy usłyszała oddalający się warkot silnika samochodowego, odczekała spokojnie jeszcze dziesięć minut, bo chciała mieć absolutną pewność, że przez najbliższe parę godzin będzie zupełnie sama w

domu. A potem wstała, usiadła przed komputerem i wbiła w Google hasło: środki poronne.

Josie długo rozważała ten problem. Nie chodziło o to, że nie chciała dziecka; czy nawet o to, że nie chciała dziecka z Mattem. Po prostu uznała, że jeszcze za wcześnie na podobną decyzję.

Gdyby powiedziała o wszystkim matce, matka zaczęłaby wrzeszczeć i się wściekać, ale w końcu zgodziłaby się ją zawieźć do centrum planowania rodziny czy do jakiegoś prywatnego gabinetu lekarskiego. Szczerze mówiąc, nie perspektywa krzyków i złości wzbudzała niepokój Josie, ale świadomość, że gdyby matka uczyniła podobny krok siedemnaście lat temu – ona, Josie, nie miałyby nawet okazji do przeżywania obecnego dylematu, bo po prostu nie byłoby jej na świecie.

Przez chwilę nawet się nosiła z zamiarem nawiązania ponownego kontaktu z ojcem, choćby za cenę ciężkiego upokorzenia. Skoro jednak on nie chciał, by Josie kiedykolwiek się urodziła, niewykluczone, że pomógłby jej załatwić aborcję.

Tyle że...

Nie mogła się jakoś zdobyć na wizytę u lekarza, w klinice, czy nawet zwrócenie się po pomoc do rodziców. Taki ruch wydawał jej się... zbyt wyrozumowany.

Zanim więc będzie do tego zmuszona, postanowiła samodzielnie posprawdzać wszelkie możliwe opcje. Bała się, że jeżeli do tych celów wykorzysta komputer szkolny, ktoś może to odkryć; postanowiła więc zwagarować. Usiadła w fotelu przed biurkiem na podwiniętej nodze i szczerze się zdziwiła, gdy w odpowiedzi na jej hasło wyświetliło się aż 90 000 pozycji.

Niektóre porady dla kobiet w kłopotcie były powszechnie znane. To stare ludowe sposoby w rodzaju grzebania szydełkiem w macicy, zażywania dużej ilości środków przeczyszczających czy oleju rycynowego. Pewne zalecenia wydały jej się egzotyczne dosłownie i w przenośni: łykanie sporych kawałków świeżego imbiru czy odżywianie się niedojrzałym ananasem. Do tego dochodziła cała gama środków

ziołowych: napar z tataraku, bylicy, szaławii i gauterii; koktajle z mięty polnej i wrotyczu, którego pod żadnym pozorem nie należało mylić z krostawcem. Josie się zastanawiała, skąd miałyby wziąć te wszystkie składniki – bo raczej trudno liczyć, że znajdzie je na półce w dziale farmaceutycznym supermarketu obok butelek z witaminami.

Według źródeł internetowych, środki ziołowe były skuteczne w czterdziestu, czterdziestu pięciu procentach. Jak na początek całkiem zachęcająco.

Przysunęła bliżej twarz do ekranu i pilnie czytała dalsze zalecenia.

Nie rozpoczynaj kuracji ziołowej po 6. tygodniu ciąży.

Pamiętaj, że nie są to stuprocentowo pewne sposoby usunięcia niechcianej ciąży.

Pij napary ziołowe również w nocy, by utrzymać stałe stężenie czynnych substancji w organizmie.

W czasie krwawienia zbierz krew, rozcieńcz wodą, sprawdź, czy są drobne skrzepy i fragmenty tkanki stałej, by się upewnić, że łożysko również zostało usunięte.

Josie mimowolnie się skrzywiła.

Zaparzaj ½ do 1 łyżeczki ziół na filiżankę.

Chwilę później znalazła poradę zdecydowanie mniej średniowieczną: witamina C. To z pewnością nie mogło jej zaszkodzić, prawda? Josie kliknęła na odpowiedni link. *Kwas askorbinowy, 8 gramów dziennie przez pięć dni. Menstruacja powinna się pojawić szóstego bądź siódmego dnia.*

Josie wstała od komputera, poszła do łazienki matki i zajrzała do jej apteczki. Stała tam wielka biała butla z witaminą C oraz trzy mniejsze: z pałeczkami kwasu mlekowego, witaminą B₁₂ oraz suplementem wapniowym. Otworzyła białą butlę... i po chwili ją zakręciła. Na wszystkich stronach znalazła jedno główne zalecenie: zanim podejmiesz jakiegokolwiek kroki, upewnij się, że jest sens bombardować organizm różnymi substancjami.

Josie wróciła do swojego pokoju i z plecaka wyjęła test ciążowy,

wciąż tkwiący w firmowej torebce apteki, w której go wczoraj kupiła, wracając ze szkoły.

Dwukrotnie przeczytała sposób użycia. Jak ktoś jest w stanie sikać przez tak długi czas? Poszła jednak do łazienki i trzymając pałeczkę między nogami, postarała się starannie wypełnić zalecenie. Potem odłożyła ją do specjalnego pojemnika i starannie umyła ręce.

Usiadła na brzegu wanny i patrzyła, jak wskaźnik kontrolny zabarwia się na niebiesko. Po chwili pojawiła się druga, prostopadła niebieska linia – plus, wynik pozytywny, krzyż, który ona musi dźwigać.

Kiedy maszyna do odśnieżania zacharczała i stanęła w połowie podjazdu, Peter poszedł do garażu, gdzie trzymali zapasowy kanister paliwa, który jednak okazał się pusty; choć przewrócił go do góry nogami, ze środka się wytoczyła tylko jedna kropla.

Zazwyczaj trzeba było mu powtarzać co najmniej sześć razy, żeby się ruszył i odśnieżył dojście do drzwi – zarówno frontowych, jak i kuchennych, ale dzisiaj zabrał się do pracy niepoganiany przez rodziców. Chciał – nie, poprawka – MUSIAŁ wyjść na dwór, by aktywnym działaniem zagłuszyć wszelkie myśli. A i tak ilekroć mrużył oczy przed zachodzącym słońcem, pod powiekami przesuwały mu się żywe wspomnienia ostatnich wydarzeń: zimne powietrze, owiewające tyłek, gdy Matt Royston ściągnął mu gacie; mleko rozchlapujące się na tenisówkach; umykające spojrzenie Josie.

Peter powlókł się do domu sąsiada mieszkającego po drugiej stronie ulicy. Pan Weatherhall był emerytowanym gliniarzem, co się od razu rzucało w oczy. Przed domem wznosił maszt, na którym powiewała amerykańska flaga; w lecie systematycznie strzygł trawę na rekruta, a jesienią na jego trawniku nie uświadczyło się ani jednego opadłego liścia. Peter niekiedy się zastanawiał, czy sąsiad przypadkiem nie wstaje w środku nocy, żeby uporządkować posesję przed wschodem słońca.

O ile Peter zdołał się zorientować, obecnie pan Weatherhall spędzał

całe dni na oglądaniu wszelkich możliwych teleturniejów oraz pielęgnowaniu ogrodu, do którego zazwyczaj wychodził w sandałach włożonych na czarne skarpetki. Ponieważ u niego trawa nigdy nie osiągała wysokości większej niż 1,2 cm, pan Weatherhall zawsze miał pod ręką zapasowy galon paliwa i Peter, w imieniu ojca, nieraz latał do sąsiada z prośbą o użyczenie diesla do kosiarki lub maszyny odśnieżającej.

Nacisnął dzwonek (wygrywający fragment znanego marsza wojskowego) i niemal natychmiast w progu stanął gospodarz domu.

– Witaj, synu – powiedział, chociaż od wieków wiedział, jak Peter ma na imię. – Co u ciebie słychać?

– Dziękuję, wszystko dobrze, panie Weatherhall. Przyszedłem zapytać, czy byłby pan tak uprzejmy i pożyczył nam trochę paliwa do odśnieżarki. To znaczy, paliwa, które mógłbym zużyć, bo już tego samego nie sposób oddać.

– Nie stój na dworze, wyjdź do środka. – Sąsiad otworzył szerzej drzwi i Peter znalazł się we wnętrzu, w którym pachniało cygarami i kocim żarciem. W salonie, na stoliku, obok miski z chipsami leżał wielofunkcyjny pilot, a na ekranie telewizora asystentka prowadzącego „Koło Fortuny” właśnie odśpiewała kolejną samogłoskę.

– „Wielkie nadzieje”! – wrzasnął pan Weatherhall w stronę uczestników teleturnieju. – Ależ z was banda tępaków!

Zaprowadził Petera do kuchni.

– Poczekaj tutaj – polecił. – Piwnica to nie jest odpowiednie miejsce dla gości.

Co zapewne oznaczało, że na jednej z półek zagnieździła się odrobina kurzu, pomyślał Peter.

Oparł się o kuchenną szafkę, położył dłonie płasko na laminowanym blacie. Lubił pana Weatherhalla, bo chociaż ten udawał szorstkiego służbistę, robił to tylko dlatego, że brakowało mu pracy w policji i nie miał pod ręką nikogo, na kim mógłby ćwiczyć dawny dryl. Kiedy Peter był młodszy, Joey i jego kumple zawsze uprzykrzali Weatherhallowi życie – zwalali śnieg na jego wymieciony podjazd,

prowadzali psy na wypielegnowany trawnik, żeby robiły tam kupę. Kiedy Joey miał jakieś jedenaście lat, w Halloween obrzucili dom emerytowanego policjanta jajami. Zostali przyłapani na gorącym uczynku. Weatherhall zaciągnął ich do siebie i próbował pogrózkami wlać im trochę oleju do głowy. „Weatherhall to pedał – oznajmił Joey bratu po tym incydencie. – Trzyma spluwę w puszcze z mąką”.

Peter nadstawił ucha w kierunku piwnicznych schodów. Usłyszał, że były policjant wciąż się tłucze na dole w poszukiwaniu kanistra z paliwem.

Przesunął się bliżej zlewu i stalowych pojemników. Napis na najmniejszym głosił: SODA. Dalej, w kolejności według rozmiarów, stały: BRAZOWY CUKIER, CUKIER KRYSTAŁ i MAKA. Peter ostrożnie otworzył największą z puszek.

W twarz strzeliła mu chmura białego pyłu.

Zakasłał i z politowaniem pokręcił głową. Tego się należało spodziewać; Joey łągał jak z nut.

Z rozpędu podniósł wieko pojemnika z cukrem i jego wzrok padł na półautomatyczny pistolet kaliber 9 mm.

To był glock 17, prawdopodobnie służbowa broń pana Weatherhalla z policyjnych czasów. Peter wiedział, że w te modele często bywają wyposażeni funkcjonariusze porządku publicznego; wiedział, ponieważ znał się na broni, ostatecznie miał z nią do czynienia od wczesnego dzieciństwa. Oczywiście, istnieje zasadnicza różnica pomiędzy karabinkiem a takim poręcznym, kompaktowym cackiem. Ojciec Petera utrzymywał, że każdy, kto trzyma w domu broń krótkolufową – z przyczyn innych niż praca w służbach mundurowych – jest ostatnim idiotą; zazwyczaj pistolety przynoszą więcej nieszczęścia niż pożytku. Lufa jest tak krótka, że się zapomina o trzymaniu broni w bezpiecznej odległości od ciała, a wycelowanie w cokolwiek jest dziecinnie proste, nie wymaga żadnego namysłu – jak wyciągnięcie przed siebie dwóch palców.

Peter dotknął glocka. Był przyjemnie chłodny i gładki. Musnął palcem spust, objął dłonią kolbę. Cudownie wyważona, lekka, smukła

broń.

Odgłos ciężkich kroków.

Peter wcisnął wieczko na puszkę, odwrócił się na pięcie i skrzyżował ręce na piersi. Pan Weatherhall ukazał się u szczytu schodów; trzymał w ramionach czerwony kanister.

– Gotowe – sapnął. – Pamiętaj, że masz zwrócić napełniony pod korek.

– Obiecuję – odparł Peter, po czym wyszedł z kuchni, ani razu nie zerkając w stronę puszek, chociaż właśnie na to miał największą ochotę.

Matt zjawił się po szkole z rosółem kupionym w pobliskiej restauracji i naręczem komiksów.

– Dlaczego nie leżysz w łóżku? – zapytał z wyrzutem.

– Przecież musiałam otworzyć ci drzwi, prawda?

Narobił tyle zamieszania, jakby Josie została powalona przez raka w ostatnim stadium, a nie zwykłego wirusa – bo taką wersję przedstawiła, gdy zadzwonił rano na komórkę. Otulił ją starannie kołdrą, a potem podał jej talerz z gorącą zupą.

– Ponoć nic tak nie leczy jak rosół, prawda?

– A co z tymi komiksami?

Matt wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ale kiedy chorowałem w dzieciństwie i musiałem leżeć w łóżku, mama zawsze je przynosiła. Od razu poprawiał mi się nastrój.

Josie podniosła jeden z komiksowych zeszytów. Dlaczego Wonder Woman miała takie bujne kształty? Czy przy biuście rozmiaru 38 DD można swobodnie skakać z budynku na budynek i zwalczać skutecznie zbrodnie, nie zaopatrując się wcześniej w solidny, dobrze dobrany biustonosz?

Te rozmyślenia przypomniały Josie, że ostatnio sama ma kłopoty z wkładaniem tej części bielizny, ponieważ jej piersi się zrobiły bardzo bolesne. Natychmiast też wróciło wspomnienie testu ciążowego, który owinęła w kilka warstw papierowych ręczników i wyrzuciła do kubła

na ulicy, żeby przypadkiem matka się na niego nie natknęła.

– Na piątek wieczór Drew planuje odlotową imprezę – oznajmił Matt. – Jego rodzice wyjeżdżają na weekend do Foxwoods. – Zmarszczył brwi. – Mam nadzieję, że do tej pory już wyzdrowiejesz. A właściwie co ci dolega?

Odwróciła się w jego stronę i zaczerpnęła głęboki oddech.

– Tak naprawdę problem w tym, co mi NIE DOLEGA. Mój okres się spóźnia ponad dwa tygodnie. I dzisiaj zrobiłam test ciążowy.

– Drew już gadał z jednym koleśkiem z college’u, który kupi dla nas kilka beczek browaru na kampusie po specjalnej cenie. Mówię ci, ta impreza to będzie niezła jazda.

– Czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię?

Matt uśmiechnął się pobłaźliwie jak do dziecka, które oznajmia, że niebo się rozsypuje na tysiące kawałków.

– Myślę, że niepotrzebnie się tak przejmujesz.

– Wynik był pozytywny.

– Może na skutek stresu.

Josie nie wierzyła własnym uszom.

– A jeżeli to nie stres? Jeżeli to... prawdziwa ciąża?

– Zawsze będę przy tobie. – Matt pochylił się i pocałował ją w czoło.

– Skarbie – powiedział – tak czy owak, już nigdy w życiu nie zdołasz się mnie pozbyć.

Kilka dni później, po kolejnym opadzie śniegu, Peter z rozmysłem spuścił paliwo z odśnieżarki, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy do domu pana Weatherhalla.

– Nie mów mi, że znowu wam zabrakło paliwa – powitał go sąsiad od progu.

– Obawiam się, że tata nie zdołał się jeszcze wybrać na stację benzynową – odparł Peter.

– Na takie ważne rzeczy trzeba znajdować czas – pouczył pan Weatherhall, ale już ruszył w głąb domu, pozostawiając szeroko otwarte

drzwi. – Należy opracować grafik, a potem się go trzymać.

Z salonu tradycyjnie dochodziły odgłosy jakiegoś teleturnieju. Ledwie pan Weatherhall zniknął na schodach wiodących do piwnicy, Peter otworzył w kuchni pojemnik z cukrem. Pistolet wciąż tam leżał. Wystarczył jeden ruch, żeby go zwinąć.

Podniecenie zapierało Peterowi dech w piersi. Szybko zamknął puszkę, a broń wcisnął za pasek dżinsów lufą do dołu. Na szczęście jego puchowa kurtka była taka gruba, że nawet się nie wybrzuszyła w miejscu ukrycia pistoletu.

Peter ukradkiem otworzył szufladę ze sztukami, zaczął zaglądać do szafek, a kiedy przejeżdżał dłonią po zakurzonej górze lodówki, jego palce natrafiły na kolejną sztukę broni.

– Zawsze należy trzymać dwa zapasowe kanistry... – dobiegł z piwnicy głos pana Weatherhalla, po którym natychmiast rozległ się tupot szybkich kroków.

Peter oderwał dłoń od drugiego pistoletu, przycisnął ręce do boków.

Był cały zlany potem, gdy pan Weatherhall wszedł do kuchni.

– Nic ci nie dolega, synu? – Policjant obrzucił go baczny spojrzeniem. – Jesteś jakiś dziwnie blady.

– Do późna w nocy odrabiałem lekcje. Dziękuję za paliwo. Raz jeszcze.

– Powiedz ojcu, że następnym razem już go nie poratuję – zagroził pan Weatherhall i machnięciem ręki odprawił Petera.

Chłopak odczekał, aż pan Weatherhall zamknie drzwi na zasuwę, a potem biegiem ruszył w stronę domu, rozkopując nogami śnieg. Przekręcił klucz w zamku swojego pokoju, wyjął zza paska broń i usiadł na łóżku.

Pistolet był czarny, masywny, wykonany ze stopowej stali. Zdumiewało Petera to, że glock wygląda zupełnie jak dziecinna zabawka – chociaż w gruncie rzeczy zachwyłt powinna budzić raczej dokładność wytwórców zabawek; pieczołowitość, z jaką odtwarzali szczegóły oryginału.

Jednym wprawnym ruchem Peter usunął magazynek.

A potem uniósł pistolet i przytknął lufę do skroni.

– Bang! – wyszeptał.

Odłożył broń na łóżko i wyjął z komody poszewkę na poduszkę. Owinął nią glocka dokładnie, jakby bandażował ranę. Potem całość wsunął pod materac, na którym sam się rozłożył.

Czuł się tak jak w tej bajce o księżniczce, którą pomimo kilku warstw puchowych pierzyn uwierało ziarnko grochu, fasoli czy innego cholerstwa. Tyle że Peter nie był księciem, więc wsunięte pod materac zawiniątko nie przeszkodzi mu we śnie.

Niewykluczone, że będzie wręcz odwrotnie – ze świadomością, że ma pod ręką pistolet, uda mu się spać dużo lepiej.

W swoim śnie Josie stała pośrodku przecudnego tipi z jasnoczekoladowych skór jeleni, zszywanych złotą nicią. Na ścianach namiotu, różnymi odcieniami ochry, czerwieni, fioletu i błękitu, wymalowano sceny ilustrujące przypowieści o łowach, miłości i śmierci. Grube skóry bizonów piętrzyły się naprzeciwko wejścia, tworząc posłanie; a pośrodku, w palenisku, węgielki połyskiwały barwą rubinów. Kiedy Josie spojrzała w górę, przez otwór dymnika ujrzała spadające gwiazdy.

I nagle zdała sobie sprawę, że jej stopy zaczynają tracić kontakt z podłożem, przedziwnie umykają. Co gorsza, nie mogła temu zaradzić. Zerknęła w dół, ale ujrzała pod sobą tylko niebo i wówczas zaczęła się zastanawiać, czy doprawdy była tak głupia, by uwierzyć, że może spacerować wśród chmur.

Ledwo to pomyślała, zaczęła spadać. Leciąca w dół na łeb na szyję; jej długą spódnicę wydał wiatr i zaczął tańczyć wokół jej ud. Bała się otworzyć oczy, ale jednocześnie nie mogła się powstrzymać, by nie zerknąć na świat spod wpół przymkniętych powiek: ziemia się przybliżała z alarmującą prędkością, maleńkie kwadraciki zieleni, brązu i błękitu stawały się coraz większe, coraz bardziej wyraziste i realistyczne w szczegółach.

Josie ujrzała swoją szkołę. Swój dom. Dach nad swoim pokojem. Pędziła ku niemu z zawrotną prędkością, przekonana, że zaraz zginie. Ale w snach nigdy nie dochodzi do ostatecznej katastrofy; w snach nie widzimy własnej śmierci. Usłyszała za to cichy plusk, jej ubranie wybrzuszyło się jak meduza i Josie poczuła, że brodzi w ciepłej wodzie.

Obudziła się bez tchu i uświadomiła sobie, że wciąż jej mokro. Usiadła, odrzuciła kołdrę i ujrzała kałużę krwi.

Po trzech testach ciążowych, wykazujących wynik pozytywny, po trzech tygodniach ciężkich rozterek – właśnie poroniła.

Łaska boska, łaska boska, łaska boska, łaska boska.

Josie wtuliła twarz w poduszkę i zaczęła szlochać.

W niedzielny poranek, gdy Lewis siedział przy kuchennym stole, czytając najświeższy numer tygodnika „The Economist” i metodycznie żując dietetycznego gofra, zadzwonił telefon. Lewis zerknął na Lacy; stała przy zlewozmywaku, więc formalnie rzecz biorąc, była bliżej aparatu, ale ona tylko uniosła ręce ociekające pienistą wodą.

– Może byś jednak odebrał...?

Wstał od stołu i podniósł słuchawkę.

– Pan Houghton?

– Przy telefonie.

– Mówi Tony, z Burnside’s. Nadeszły zamówione przez pana pociski HP⁸.

Burnside’s to był specjalistyczny sklep z bronią i wszelkimi akcesoriami myśliwskimi. Lewis zajeżdżał tam każdej jesieni po smary oraz amunicję, a raz czy dwa, gdy dopisało mu szczęście, zawiózł do nich także poroże do zważenia. Teraz jednak był luty, sezon polowań na jelenie dobiegł końca.

– Nie zamawiałem nic podobnego. To jakieś nieporozumienie.

⁸ Pociski *hollow-point* (z wgłębieniem czubkowym), charakteryzujące się m.in. tym, że nie przeszywają na wylot obiektu, do którego oddano strzałę, ale ulegają rozpryskowi w miejscu uderzenia (przyp. tłum.).

Rozłączył się i z powrotem zasiadł do swojego gofra. Lacy wyjęła dużą patelnię ze zlewu i odłożyła na suszarkę.

– Kto dzwonił? – zapytała.

Lewis odwrócił kartkę czasopisma.

– Nikt. To była pomyłka.

Tego dnia Matt grał w Exeter. Josie zawsze oglądała jego mecze, rozgrywane na miejscowym lodowisku, ale rzadko te wyjazdowe. Dzisiaj jednak pożyczyła od matki samochód i pojechała na wybrzeże; specjalnie wyruszyła na tyle wcześnie, żeby złapać Matta jeszcze przed pierwszym gwizdkiem. Wsunęła głowę za drzwi szatni drużyny gości i natychmiast uderzył ją odór hokejowego sprzętu. Matt stał zwrócony do niej plecami, już częściowo ubrany w kostium, z łyżwami na nogach.

Pierwszy zauważył ją jednak inny zawodnik, uczeń klasy maturalnej.

– Hej, Royston. Zdaje się że przybyła przewodnicząca twojego fanklubu.

Matt nie lubił, kiedy się zjawiała przed meczem. Po walce – a, to zupełnie co innego; zejście na dół było wówczas obowiązkowe – Matt łaknął komplementów i gratulacji za dobrą grę. Jednak od początku jasno postawił sprawę: nie ma czasu dla Josie, kiedy się szykuje do gry. Poza tym na widok nieodstępującej go dziewczyny koledzy tylko by mu dogryzali; no i trener wymagał, by przez ostatnie minuty koncentrowali się na taktyce.

Ona jednak uznała, że dzisiejszy szczególny dzień usprawiedliwia złamanie tej żelaznej zasady.

Mroczny cień przebiegł przez jego twarz, gdy inni zawodnicy zaczęli kpić:

– Matt, sam nie zdołasz wciągnąć ochraniacza na jaja?

– Hej, maleńka, szybciej, wydłuż mu kija...

– Aha. – Matt odwrócił się w stronę dowcipnisa, zmierzając jednocześnie w stronę Josie po gumowej macie. – Chciałbyś mieć

kobietę, co tak się, że obciągnęłyby chrom z twojego emblematu samochodowego, no nie?

Josie się zarumieniła, gdy cała szatnia zatrzęsa się od śmiechu i poleciało więcej pieprznych uwag. Matt chwycił ją z całej siły za ramię i bezceremonialnie wywlókł na zewnątrz.

– Mówiłem, że masz nigdy nie przeszkadzać mi przed meczem!

– Tak, wiem. Ale to ważna sprawa...

– Nie, Josie. Teraz tylko TO się liczy. – Machnął ręką w stronę lodowiska.

– Wszystko ze mną w porządku – poinformowała krótko.

– To dobrze.

Spojrzała na niego znacząco.

– Nie, Matt... chodzi o to, że wszystko wróciło do normy. Miałeś rację.

Kiedy dotarło do niego wreszcie, co Josie powiedziała, chwycił ją wpół i uniósł wysoko w górę. Zahaczyła o jego napierśniki i natychmiast stanęli jej przed oczami średniowieczni rycerze. Oni wyruszali na bitwę, kobiety zostawały w domu.

– Ja mam zawsze rację – powiedział, odrywając usta od jej ust. – Nigdy o tym nie zapominaj.

CZĘŚĆ DRUGA

Jeżeli zamierzasz wkroczyć na drogę zemsty, zacznij od wykopania dwóch grobów: jednego dla swojego wroga, drugiego dla siebie.

PRZYSŁOWIE CHIŃSKIE

Sterling to nie inner city⁹. Na głównej ulicy nie napotkacie dealerów cracku ani walących się ruder. Przestępczość tu praktycznie nie istnieje.

Dlatego ludzie są wciąż tak nieprawdopodobnie zszokowani.

I dlatego w kółko powtarzają: Jak to się mogło u nas wydarzyć?

No cóż. A jak mogło się nie wydarzyć?

Ostatecznie wszystko, czego trzeba, to zaburzony nastolatek z dostępem do broni.

A kogoś takiego można spotkać wszędzie, nie tylko w dzielnicy slumsów. Wystarczy uważniej się przyjrzeć. Wreszcie otworzyć szeroko oczy. Kolejny kandydat na mordercę może siedzieć na górze, w swoim pokoju, lub leżeć rozciągnięty przed waszym telewizorem. Ale hej! Wy wolicie udawać, że to absolutnie niemożliwe. Wmawiacie sobie, że jesteście zabezpieczeni przed podobną tragedią, ponieważ

⁹ Centra wielkich miast, które na skutek przenoszenia się klasy średniej na przedmieścia uległy dewastacji i zostały opanowane przez biedotę oraz stały się siedliskiem gangów (przyp. tłum.).

mieszkacie w przyjemnym miejscu lub cieszycie się określonym prestiżem.

Tylko dlatego, że tak jest prościej, czyż nie?

Pięć miesięcy później

Można wiele powiedzieć o ludziach na podstawie ich nawyków i przyzwyczajzeń. Jordan spotykał kandydatów na przysięgłych, którzy z nabożną regularnością zasiadali z kawą przed swoimi komputerami i czytali od deski do deski internetowe wydanie „New York Timesa”. A także takich, którzy nie dopuszczali, by w ich laptopach wyświetlały się strony choćby anonsujące newsy dnia, ponieważ uważali, że to zbyt przygnębiające. Wśród potencjalnych członków ławy znajdowali się ludzie z obszarów wiejskich, którzy oglądali tylko jeden kanał telewizji publicznej na śnieżących telewizorach, ponieważ nie stać ich było na doprowadzenie kabłówki do swoich domostw, położonych na krańcu dróg zapomnianych przez Boga; oraz tacy, którzy zainwestowali majątek w wymyślne systemy telewizji satelitarnej, żeby oglądać japońskie opery mydlane czy „Godzinę modlitw z siostrą Margaret” o trzeciej nad ranem. Byli wśród kandydatów widzowie CNN oraz zagorzali zwolennicy FOX News.

Mijała właśnie szósta godzina dzisiejszego kompletowania grupy dwunastu sprawiedliwych (plus jeden rezerwowy), którzy wkrótce mieli wydać werdykt w sprawie Petera. Ta procedura ciągnęła się całymi dniami: w obecności Jordana, Diany Leven i sędziego Wagnera kandydaci na przysięgłych pojedynczo zasiadali na miejscu dla świadków i odpowiadali na rozmaite pytania obrony oraz oskarżenia. Celem tej zabawy było wyselekcjonowanie ludzi, którzy nie zostali

osobiście dotknięci skutkami strzelaniny, a ich sytuacja życiowa pozwalała na uczestnictwo w długiej rozprawie bez konieczności zamartwiania się o stan swoich interesów czy los maleńkich dzieci, zostawionych pod cudzą opieką. Ludzi, którzy jednocześnie nie pasjonowali się nadchodzącym procesem, nie chłonęli z zapartym tchem medialnych sensacji. Inaczej mówiąc, szukali – jak to trafnie ujmował Jordan – tych błogosławionych nielicznych, którzy przez pięć ostatnich miesięcy żyli pod kloszem lub na bezludnej wyspie.

Nadszedł sierpień, a wraz z nim temperatury sięgające w ciągu dnia 38o C. Na domiar złego klimatyzacja w sali rozpraw nie należała do szczególnie sprawnych, więc sędzia Wagner rozsiewał wokół zapach naftaliny i przeпоconych stóp.

Jordan już parę godzin temu zdjął marynarkę i rozpiął guzik koszuli pod rozluźnionym krawatem. I nawet Diana – którą w duchu uważał za robotę ze Stepford – zamotała włosy wokół ołówka i skrzyła je na czubku głowy.

- Kto następny? – odezwał się sędzia.
- Przysięgły numer 6 736 000 – mruknął Jordan.
- Przysięgły numer 88 – zaanonsował sekretarz.

Tym razem na miejscu dla świadków zasiadł mężczyzna w spodniach khaki i koszuli z krótkimi rękawami. Miał rzednące włosy, mokasyny na nogach, a na palcu obrączkę ślubną, co Jordan skrzętnie zanotował.

Diana wstała z za stołu, przedstawiła się i rozpoczęła swoją litanię pytań. Na podstawie odpowiedzi trzeba było przede wszystkim ustalić, czy kandydat nie powinien zostać zwolniony z przyczyn czysto formalnych – czy, na przykład, nie jest rodzicem jednego z dzieci zastrzelonych w Sterling High, co by z definicji wykluczało jego bezstronność. Jeżeli względy formalne nie wchodziły w grę, obrona lub oskarżenie mogły odrzucić po piętnaścioro kandydatów na zasadzie własnego widzimisię – czy raczej wiary w swój prawniczy instykt. Do tej pory Diana zrezygnowała z usług niskiego, łysego, cichego programisty komputerowego. Jordan natomiast zakwestionował

kandydaturę byłego komandosa z oddziałów Navy SEAL.

- Czym się pan zajmuje, panie Alstrop? – spytała Diana.
- Ukończyłem architekturę i pracuję w swoim zawodzie.
- Jest pan żonaty?
- W październiku będziemy obchodzić dwudziestą rocznicę ślubu.
- Ma pan dzieci?
- Dwoje. Czternastoletniego syna i dziewiętnastoletnią córkę.
- Czy chodzą do publicznych szkół?
- Syn tak. Córka jest już studentką... W Princeton – dodał z dumą.
- Czy coś panu wiadomo o przedmiotowej sprawie?

Sam ten fakt nie był podstawą do formalnego wyeliminowania kandydata. Liczyły się jego ewentualne związki ze sprawą czy wyjątkowa podatność na wpływ mediów.

– Tylko tyle, ile wyczytałem z gazet – odparł Alstrop, a Jordan zacisnął powieki.

– Jaką gazetę czytuje pan regularnie?

– Kiedyś był to „Union Leader” – odparł – ale niektóre artykuły doprowadzały mnie do szału. Przerzuciłem się więc na „New York Timesa”.

Jordan zaczął się zastanawiać nad tym, co usłyszał. „Union Leader” miał ultrakonserwatywne zabarwienie, „New York Times” był zdecydowanie liberalny.

– A telewizja? – zainteresowała się Diana. – Jakie programy należą do pana ulubionych?

Żaden prawnik nie chciałby mieć w składzie ławy faceta, który przez dziesięć godzin dziennie ogląda kanał Court TV. Ani takiego, który się nie odrywa od maratonów powtórkowych programu Pee Wee Hermana, skoro już o tym mowa.

– „60 minut” – odpowiedział Alstrop. – Oraz „Simpsonowie”.

A! Wreszcie ktoś normalny, pomyślał Jordan. Poderwał się na nogi, ponieważ nadeszła kolej na jego pytania.

– Co pan pamięta ze swojej lektury na temat tej sprawy?

Alstrop wzruszył ramionami.

– W szkole średniej doszło do strzelaniny, został o to oskarżony jeden z uczniów.

– Czy zna pan jakichś nastolatków, którzy uczęszczają do owej szkoły?

– Nie.

– A kogoś zatrudnionego w Sterling High?

– Nie.

– Czy rozmawiał pan z osobą bądź osobami bezpośrednio związanymi z tą sprawą?

– Nie.

Jordan podszedł do miejsca dla świadków.

– Jeden z przepisów kodeksu drogowego New Hampshire stanowi, że może pan skręcić w prawo przy czerwonym świetle, pod warunkiem że wcześniej się pan zatrzyma. Czy jest panu znany ten przepis?

– Naturalnie.

– A gdyby sędzia zdecydował, że nie może pan skręcać na czerwonym, nawet gdy na sygnalizatorze widnieje zielona strzałka. Że bezwzględnie musi pan poczekać na zmianę świateł. Co by pan zrobił?

Alstrop zerknął na Wagnera.

– Myślę, że bym się zastosował do sędziowskiego zalecenia.

Jordan uśmiechnął się w duchu. Miał gdzieś stosunek Alstropa do przepisów drogowych. Tego typu pytania zadawał tylko po to, by odsiać ludzi niezdolnych do wyjścia poza sztywne ramy norm kodeksowych. Ze względu na przyjętą linię obrony potrzebował przysięgłych, którzy mieli na tyle otwarte głowy, by rozumieć, że reguły nie zawsze są tym, czym nam się wydają, więc czasami należy je zmieniać w trakcie gry.

Po skończonym przesłuchaniu podszedł razem z Dianą do stołu Wagnera.

– Istnieje podstawa do wykluczenia tego przysięgłego z przyczyn formalnych? – spytał sędzia.

– Nie, wysoki sędzie – odparli zgodnie.

– Co więc decydujecie?

Diana skinęła potakująco głową, a Jordan raz jeszcze zerknął na mężczyznę wciąż siedzącego na miejscu dla świadków.

– Jak dla mnie, okay.

Alex się obudziła, ale nie otworzyła oczu, nieznacznie tylko uniosła powieki i spod rzęs przyglądała się mężczyźnie leżącemu u jej boku. Ich związek, trwający już od czterech miesięcy, był wciąż dla niej zagadką. Odnosiła wrażenie, że Patrick wślizguje się w jej życie gładko i niepostrzeżenie: ni stąd, ni zowąd wśród swojego prania znajdowała jego koszulę; wyczuwała zapach jego szamponu na swojej poduszce; sięgała po słuchawkę, by do niego zadzwonić, a w tej samej chwili rozlegał się dzwonek telefonu i głos Patricka siedzącego po drugiej stronie linii. Alex przez szmat czasu wiodła życie singla; była praktyczna, zdecydowana, przywiązana do swoich przyzwyczajzeń (och, kogo ona chciała oszukiwać... te wszystkie słowa to jedynie eufemizmy, za którymi krył się ośli upór) – spodziewała się więc, że ta inwazja na jej prywatność wzbudzi w niej irytację. A tymczasem ilekroć Patricka nie było w pobliżu, ogarniała ją dezorientacja – niczym marynarza, który po niezwykle długim rejsie znalazł się na lądzie, lecz wciąż czuje pod stopami kołysanie morza.

– Wiem, że mi się przyglądasz – mruknął Patrick. Miał wciąż zamknięte oczy, ale na jego ustach pojawił się leniwy uśmiech. – Czuję to.

Alex nachyliła się ku niemu, wsunęła dłoń pod kołdrę.

– Co właściwie czujesz?

– Absolutnie wszystko. – Złapał ją za przegub i wturlał pod siebie. Jego oczy, wciąż zamglone od snu, były koloru chłodnego błękitu, który kazał Alex myśleć o lodowcach i arktycznych oceanach. Pocałował ją, a ona owinęła się wokół niego.

Aż nagle coś sobie uświadomiła.

– Niech to szlag!

– Niezupełnie takiej reakcji...

– Czy wiesz, która godzina?

Poprzedniej nocy zaciągnęli rolety w jej pokoju, ponieważ blask

pełni księżycyca raził oczy. A tymczasem teraz przez mikroskopijną szparę między roletą a parapetem wciskała się jaskrawa smuga słońca. I było wyraźnie słyszeć, jak na dole, w kuchni, Josie szczerka naczyniami.

Patrick sięgnął po zegarek, który położył na nocnej szafce.

– Jasny szlag! – powtórzył i odrzucił kołdrę na bok. – Jestem już godzinę spóźniony do pracy.

Wciągnął bokserki; Alex też wyskoczyła z łóżka i sięgnęła po szlafrok.

– A Josie? – spytała nagle.

Nie ukrywali przed nią swojego związku – Patrick często wpadał po pracy na kolację lub żeby po prostu spędzić wspólnie wieczór. Alex kilka razy próbowała rozmawiać z córką na jego temat – wy badać, co ona sądzi o tym cudzie, jakim był mężczyzna w życiu matki, ale Josie bardzo starannie unikała takich rozmów. Alex sama nie wiedziała, dokąd to wszystko zmierza, była natomiast pewna jednego: przez tak długi czas tworzyły z Josie wspólnotę, że włączenie do niej Patricka mogło wzbudzić w córce poczucie osamotnienia, a do tego właśnie Alex w żadnym razie nie zamierzała dopuścić. Teraz bardzo pragnęła nadrobić stracony czas, w każdej sytuacji stawiać Josie na pierwszym miejscu. Dlatego, ilekroć Patrick zostawał na noc, pilnowała, by wyszedł, zanim córka się obudzi.

Niestety, dzisiaj, w ten leniwy letni poranek, cały plan się zawalił – dochodziła dziesiąta.

– Może w takim razie powinniśmy jej powiedzieć – zasugerował Patrick.

– Co mianowicie?

– Że ty i ja... – Spojrzał na nią znacząco.

Alex też się w niego wpatrywała, ale nie była w stanie dokończyć tego zdania; w zasadzie nie bardzo wiedziała, co powinna powiedzieć. Nigdy nie przypuszczała, że do takiej rozmowy z Patrickiem dojdzie w podobnych okolicznościach. Czy zeszli się dlatego, że wiedział, jak wyciągnąć z otchłani drugiego człowieka, który potrzebuje wsparcia? Czy po zakończeniu procesu wciąż jeszcze tu będzie?

– Że jesteśmy razem – oświadczył Patrick stanowczym tonem.

Alex odwróciła się do niego plecami i mocno zawiązała szlafrok. Nie zamierzała się od niego odcinać, ale tak naprawdę skąd się brała u Patricka ta niezachwiana pewność? Gdyby zapytał ją w tej chwili, czego oczekuje od tego związku... cóż, w gruncie rzeczy wiedziała: oczekiwała miłości. Chciała mieć do kogo wracać popołudniami z pracy. Marzyć o wakacjach, na które pojedą po sześćdziesiątce; wierzyć, że wówczas wciąż będzie istniało jakieś „razem”. Ale nigdy w życiu nie powiedziała by tego głośno. Bo co by się stało, gdyby to zrobiła, a on popatrzyłby na nią jedynie kamiennym wzrokiem?

Gdyby ją zapytał o to wszystko teraz, po prostu by nie odpowiedziała, ponieważ odpowiedź na tak zadane pytanie prowadziła w prostej drodze do odrzucenia.

Alex zajrzała pod łóżko w poszukiwaniu swoich pantofli. Znalazła tylko pasek Patricka i rzuciła w jego stronę. Być może fakt, że nie powiedziała Josie o tym, iż sypia z Patrickiem, nie miał nic wspólnego z ochronieniem córki, ale z ochroną siebie samej.

Patrick z wolna przeciągał pasek przez szlufki. – To nie musi być opatrzone klauzulą najwyższej tajności – powiedział. – Ostatecznie wolno ci... no wiesz...

– Uprawiać seks?

– Prawdę mówiąc, szukałem jakiegoś sympatyczniejszego określenia.

– Ale wolno mi także zachować prawo do prywatności – przypomniała Alex.

– W takim razie chyba powinienem wycofać zaliczkę wpłaconą na ogłoszenie billboardowe.

– To byłoby rozsądne posunięcie.

– Mógłbym ci za to kupić coś z biżuterii.

Alex szybko spuściła wzrok; nie chciała, żeby Patrick zobaczył, jak rozbiera to ostatnie zdanie na czynniki pierwsze w poszukiwaniu upragnionych podtekstów.

Chryste, czy utrata kontroli nad sytuacją jest zawsze tak cholernie

frustrująca?

– Mamo! – dobiegł z dołu krzyk Josie. – Usmażyłam naleśniki. Zapraszam!

– Posłuchaj – westchnął Patrick z rezygnacją – wciąż możemy ukryć to przed Josie. Wystarczy, że ją zagadasz, a ja się jakoś wymknę.

Skinęła głową.

– Zatrzymam ją w kuchni. A ty... – zerknęła spod oka na Patricka – ...po prostu się pośpiesz.

Już miała wychodzić z pokoju, gdy Patrick chwycił ją za rękę.

– Hej! Nie powiedziałaś mi do widzenia! – Nachylił się i zaczął ją całować.

– Mamo! Wszystko stygnie!

– Do zobaczenia. – Alex wyrwała się z objęć Patricka.

Zbiegła na dół i w kuchni zobaczyła Josie zajądającą naleśniki z jagodami.

– Cudowny zapach... wprost nie mogę uwierzyć, że aż tak zasnęłam... – zaczęła Alex i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że stół jest nakryty na trzy osoby.

Josie skrzyżowała ramiona.

– No więc, jaką kawę on lubi najbardziej?

Alex opadła na krzesło stojące naprzeciwko córki.

– Nie chcieliśmy, żebyś się dowiedziała.

– Po pierwsze, jestem już dużą dziewczynką. Po drugie, jeśli tak, nasz błyskotliwy detektyw nie powinien zostawiać samochodu na podjeździe.

Alex chwyciła kawałek beańskiej nitki, przyklejony do śniadaniowej maty.

– Bez mleka, dwie kostki cukru – odparła.

– Super. Następnym razem już będę wiedziała.

– Co naprawdę o tym sądzisz? – spytała cicho Alex.

– Co sądzę o jego kawowych upodobaniach?

– Nie. Miałam na myśli to „następnym razem”.

Josie dźgnęła palcem pulchną jagodę, wyłaniającą się z

naleśnikowego ciasta.

– W tej sprawie mój głos nie ma chyba większego znaczenia, prawda?

– Owszem, ma. Jeżeli tylko czujesz w związku z tym jakiś dyskomfort, Josie, natychmiast przestanę się z nim spotykać.

– Lubisz go?

– Uhm.

– A on ciebie?

– Tak sędzę.

Josie spojrzała matce prosto w oczy.

– W takim razie nie powinno cię obchodzić, co inni sądzą na ten temat.

– Obchodzą mnie jedynie TWOJE odczucia. Nie chcę, abyś uważała, że z jego powodu stałaś się dla mnie mniej ważna.

– Bylebyś tylko zachowała rozsądek – odparła Josie, rozciągając usta w uśmiechu. – Pamiętaj, za każdym razem, gdy uprawiasz seks, możesz zajść w ciążę. Szanse wynoszą jeden do jednego.

Alex uniosła brwi w zdumieniu.

– Rany! Nie sądziłam, że w ogóle słuchałaś, gdy wygłaszałam tę przemowę.

Josie spuściła wzrok i przyłożyła palec do kropli syropu klonowego, która wcześniej niepostrzeżenie kapnęła na blat stołu.

– Więc... jak to jest naprawdę... kochasz go i w ogóle? – Te słowa zdawały się przepelnione bólem.

– Nie – odparła pośpiesznie Alex; jeżeli uda jej się przekonać Josie, może sama też zdoła uwierzyć, że to, co czuje do Patricka, jest jedynie zwykłym pociąganiem erotycznym i nie ma nic wspólnego z... z żadnymi wzniosłymi uczuciami. – Przecież znamy się zaledwie od paru miesięcy.

– Nie wydaje mi się, żeby w takiej sytuacji istniał jakiś określony czas karencji – zauważyła Josie.

Alex szybko zdecydowała, że najbezpieczniejszym sposobem przebrnięcia przez to pole minowe będzie oszczędzenie sobie i córce cierpienia: udawanie, że to jedynie przelotna przygoda, drobna

zachcianka.

– Nie wiedziałabym, czym jest miłość do mężczyzny, nawet gdybym się z nią czołowo zderzyła – rzuciła żartobliwie.

– Nie przypomina tego, co pokazują w telewizji. Wszystko wokół nie staje się nagle niezwykle i cudowne – powiedziała ledwie słyszalnym głosem Josie. Po czym dodała w zamyśleniu: – Ale kiedy cię to już spotka, niemal przez cały czas się zastanawiasz, co mogłoby pójść nie tak i jak temu zapobiec.

Alex zamarła.

– O, Josie...

– Nieważne.

– Nie chciałam, żebyś...

– Po prostu zostawmy ten temat, dobrze? – Josie zmusiła się do uśmiechu. – Wiesz, jak na kogoś tak starego, on naprawdę nieźle wygląda.

– Jest o rok młodszy ode mnie – zauważyła Alex.

– Moja matka, deprawatorka młodocianych. – Josie podała jej naleśniki. – Jeszcze chwila, a nie będą się nadawały do jedzenia.

Alex wzięła podany talerz.

– Dziękuję ci – powiedziała, patrząc córce natarczywie w oczy, by na pewno zrozumiała, za co matka tak naprawdę jest jej wdzięczna.

W tej samej chwili Patrick zszedł na palcach po schodach. Zatrzymał się na ostatnim stopniu i uniósł kciuk w triumfalnym geście.

– Patricku! – zawołała wówczas Alex. – Josie usmażyła dla nas naleśniki!

Selena doskonale zdawała sobie sprawę, co głosi obowiązująca opinia – mali chłopcy i małe dziewczynki niczym się nie różnią między sobą. Ale wiedziała również, że wystarczy zapytać o to samo jakąkolwiek matkę czy nauczycielkę przedszkolną, a nieoficjalnie, poza protokołem, oznajmią coś dokładnie odwrotnego.

Tego ranka siedziała na ławce w parku i przyglądała się Samowi

urzędującemu w piaskownicy wraz z grupką rówieśników. Dziewczynki udawały, że pieką minipizze ulepione z piasku i kamyków. Natomiast chłopiec siedzący nieopodal Sama usiłował unicestwić plastikową wywrotkę, systematycznie waląc nią o drewniane obramowanie piaskownicy.

Zero różnicy – pomyślała Selena. Dobre sobie!

Z zainteresowaniem patrzyła, jak Sam odwraca się plecami do pochłoniętego niszczycielską pasją chłopczyka, i próbuje naśladować dziewczynki, przesypując piasek do wiaderka.

Selena uśmiechnęła się radośnie w nadziei, że być może została świadkiem symbolicznego wydarzenia: drobnego zwiastuna, że jej synek wyrośnie na człowieka nieulegającego stereotypom, który zajmie się w życiu tym, na co naprawdę będzie miał ochotę. Ale czy tak rzeczywiście działają mechanizmy rozwojowe? Czy można na podstawie obserwacji małego dziecka wywnioskować, kim będzie w przyszłości? Niekiedy, gdy patrzyła na Sama, dostrzegała cień mężczyzny, którym chłopiec się pewnego dnia stanie. W jego oczach widziała zalążki dorosłości. Ale przecież nie fizyczna strona dorastania tak naprawdę najbardziej intryguje rodziców. Czy te małe dziewczynki z piaskownicy wyrosną na zaprzątnięte domem i dziećmi mamuśki, czy też zostaną prężnymi kobietami biznesu? Czy destrukcyjne ciągoty małych chłopców znajdują odzwierciedlenie w narkomanii lub alkoholizmie? Czy Peter Houghton bił rówieśników łopatką po głowie, z zamiłowaniem rozdeptywał polne koniki lub oddawał się równie karygodnym zabawom w dzieciństwie, mogącym sugerować, że wyrośnie na mordercę?

Chłopiec z piaskownicy odstawił swoją wywrotkę i teraz tak intensywnie kopał w piasku, jakby zamierzał się przebić do Chin. Sam natomiast porzucił swoje wypieki i wyciągnął rękę po plastikowy pojazd, ale zachwiał się na nogach i upadając, uderzył kolanem o drewno obramowania.

Selena poderwała się z ławki, żeby chwycić go w ramiona, zanim się zanieśie niepohamowanym płaczem. Tymczasem Sam z uwagą potoczył

wzrokiem po pozostałych dzieciach, jakby już doskonale zdawał sobie sprawę, że jest wystawiony na publiczny osąd. I chociaż twarz mu się zmarszczyła i pociemniała jak rodzynek, z jego oczu nie popłynęły łzy.

Dla dziewczynek świat był łaskawszy. Mogły śmiało powiedzieć: To mnie boli albo tamto budzi we mnie niemiłe uczucia; ich narzekania i skargi spotykały się z powszechną uwagą. Chłopcy nie znali takiego języka. Selena przypomniała sobie, jak zeszłego lata Jordan pojechał na ryby ze starym przyjacielem, którego żona właśnie złożyła pozew o rozwód.

– O czym rozmawialiście? – spytała męża, gdy wrócił do domu.

– O niczym – odparł. – Zajmowaliśmy się łowieniem.

Dla Seleny to zabrzmiało wręcz absurdalnie: przecież ci faceci spędzili ze sobą sześć bitych godzin! Jak można przez tyle czasu siedzieć obok kogoś w małej łódce i nie odbyć rozmowy od serca; nie zapytać przyjaciela, jak sobie radzi w kryzysowej sytuacji i czy nie lęka się przyszłości.

Spojrzała na Sama, który teraz trzymał w ręku wywrotkę i jeździł nią po niedawnych pizzach. Dzieci tak szybko dorastają! Selena przypomniała sobie te wszystkie sytuacje, w których synek obejmował ją z całej siły i cmokał głośno po policzkach, w których przybiegał do niej, gdy tylko otworzyła ramiona. Ale wcześniej czy później Sam zauważył, że jego koledzy już nie trzymają mam za rękę podczas przechodzenia przez ulicę; że nie pieką ciasteczek w piaskownicy, lecz budują miasta i drążą tunele. Pewnego dnia – w szkole średniej albo nawet jeszcze wcześniej – Sam zaczął się zamykać we własnym pokoju. Będzie unikał jej dotyku, odpowiadał monosylabami, zachowywał się szorstko, budował wizerunek twardego mężczyzny.

Może to cholerna wina matek, czy też dorosłych w ogóle, że chłopcy wyrastają na istoty o kamiennych sercach. Może empatia, podobnie jak niewykorzystywany mięsień, najzwyczajniej w świecie ulega atrofii.

Josie powiedziała matce, że tego lata podejmie pracę wolontariuszki – w ramach systemu wyrównywania szans będzie pomagać dzieciom z podstawówki, a może nawet i z gimnazjum, w nauce matematyki. Zajęcia miały się odbywać na terenie szkoły. Z racji pracy córki Alex usłyszała o Angie, której rodzice się rozwiedli w czasie roku szkolnego, co wywołało u dziecka szok, okupiony pałą z algebry. Poznała też dramatyczny los Josepha cierpiącego na białaczkę, który z powodu częstych kuracji opuścił wiele godzin zajęć i miał problemy z opanowaniem ułamków. Każdego dnia podczas kolacji Alex wypytywała córkę o pracę, a Josie snuła barwne opowieści. Rzecz w tym, że były to zwykłe bajki – fikcja w najczystszej postaci. Joseph i Angie po prostu nie istnieli, podobnie zresztą jak owa wakacyjna praca.

Tego ranka, jak we wszystkie poprzednie, Josie wyszła z domu, wsiadła do autobusu i przywitała się z Ritą, która w okresie letnim była kierowcą na najdłuższej trasie w mieście. Jeden z przystanków znajdował się niedaleko szkoły, ale choć wysiadało na nim sporo pasażerów, Josie do nich nie należała. Podnosiła się dopiero, gdy autobus dojeżdżał do końcowej pętli, oddalonej o półtora kilometra od cmentarza Whispering Pines.

Josie polubiła to miejsce. Na cmentarzu nie groziło jej, że się natknie na ludzi, z którymi nie miała ochoty gadać. Tutaj w ogóle nie musiała się odzywać, jeżeli nie była w nastroju do rozmowy.

Ruszyła wijącą się ścieżką, teraz już tak znajomą, że z zamkniętymi oczami umiała określić, gdzie płyta chodnika lekko się zapada i za ile kroków trzeba skrócić w lewo. Wiedziała, że w połowie drogi do grobu Matta rośnie kępa jaskrawoniebieskich hortensji; a gdy się jest niemal u celu, uderza w nozdrza zapach kapryfolium.

Teraz leżała tu już płyta nagrobna – blok śnieżnobiałego marmuru ze starannie wrytym imieniem i nazwiskiem. Miejsce wokół powoli zarastało trawą. Josie siadała na niewielkiej nierówności ziemi, zawsze cieplej, jakby promienie słońca przenikały do jej wnętrza i utrzymywały to ciepło specjalnie dla niej. Sięgnęła do plecaka; wyjęła butelkę wody mineralnej, kanapkę z masłem orzechowym i paczkę rodzyneków.

– Możesz uwierzyć, że już za tydzień rozpoczyna się szkoła? – zapytała Matta, bo czasami z nim rozmawiała. Nie znaczy to, że oczekiwała jakiegokolwiek odpowiedzi. Po prostu lepiej się czuła, gdy mogła coś mówić po tak długim okresie nieodzywania się do niego. – Jednak na razie to wciąż nie będzie Sterling High. Podobno mamy tam wrócić dopiero po Święcie Dziękczynienia, gdy na dobre zakończy się remont.

Ta historia z remontem była dosyć zagadkowa. Josie często przejeżdżała koło szkoły, widziała więc, że wyburzono bibliotekę, salę gimnastyczną i kafeterię. Zastanawiała się, czy władze szkolne są na tyle naiwne, by uwierzyć, że jeżeli zmiotą z powierzchni ziemi miejsce zbrodni, uczniowie ulegną ułudzie i dojdą do wniosku, że w szkole nigdy nic złego się nie wydarzyło.

Kiedys Josie gdzieś przeczytała, że duchy nie tylko zamieszkują rozmaite miejsca, ale nawiedzają także poszczególnych ludzi. I chociaż z zasady nie wierzyła w zjawiska paranormalne, ta teoria do niej przemawiała. Bo wiedziała, że od pewnych wspomnień nie uwolni się już nigdy w życiu.

Położyła się na świeżo wyrosłej trawie.

– Czy się cieszysz, że tu przychodzę? – spytała szeptem. – A może, gdybyś mógł mówić, kazałbyś mi się wynosić do diabła?

Wolałaby nigdy nie usłyszeć odpowiedzi na to pytanie. W gruncie rzeczy nawet nie lubiła na ten temat rozmyślać. Otworzyła oczy najszerzej, jak umiała, i wbijała wzrok w niebo, aż jaskrawy błękit sprawił, że poczuła w nich pieczenie nie do zniesienia.

Lacy stała w dziale męskim eleganckiego domu towarowego i przesuwiała dłonią po ostrych tweedach i lekkich wełnach sportowych marynarek. Poświęciła dwie godziny na jazdę samochodem do Bostonu, ponieważ tam był szeroki wybór, a chciała kupić dla Petera coś naprawdę ekstra na rozprawę. Hugo Boss, Brooks Brothers, Calvin Klein, Ermenegildo Zegna. Garnitury szyte we Włoszech, Francji, Anglii

i Kalifornii. Lacy zerknęła na metkę, z wrażenia wstrzymała oddech i... nagle pojęła, że cena nie ma teraz znaczenia. Przecież najprawdopodobniej już nigdy więcej w życiu nie będzie kupowała ubrań dla swojego syna. Zapewne robiła to po raz ostatni.

Metodycznie zaczęła przeglądać cały asortyment działu. Zdecydowała się na bokserki z najdelikatniejszej egipskiej bawełny, komplet białych podkoszulków Ralph Laurena, kaszmirowe skarpetki. Znalazła spodnie khaki w odpowiednim rozmiarze. Wyszukała koszulę z miękkim kołnierzykiem – Peter nie znosił takich, które sztywno sterczały znad swetra. W końcu wybrała marynarkę – granatową, zgodnie z przykazaniem Jordana. „Chcę, żeby wyglądał tak, jakbyśmy go wysyłali do najekskluzywniejszej prywatnej szkoły z internatem” – oznajmił.

Lacy przypomniała sobie, że mniej więcej w wieku jedenastu lat Peter nabrał awersji do guzików. Wydawałoby się, że to przeszkoda dość łatwa do obejścia – a tymczasem eliminowała większość spodni. Lacy jeździła na koniec świata, by wynaleźć flanelowe, dobrze skrojone portki od piżamy na gumkę w pasie. Teraz uświadomiła sobie, że zaledwie w zeszłym roku widziała dzieciaki idące do szkoły w takich flanelowych spodniach, i zaczęła się zastanawiać, czy Peter był prekursorem trendu, czy po prostu zawsze funkcjonował gdzieś poza obowiązującą rzeczywistością.

Nawet gdy Lacy już wybrała wszystkie niezbędne sztuki odzieży, wciąż wędrowała po dziale męskim. Dotykała jedwabnych chustek we wszelkich możliwych kolorach, które zdawały się roztapiać pod jej palcami, i w końcu zdecydowała się na jedną z nich – w odcieniu oczu Petera. Przerzuciła kilka skórzanych pasków – czarnych, brązowych, ze skóry aligatora – oraz krawatów – w kropki, paski i maleńkie francuskie lilie. Wzięła w rękę szlafrok tak miękki, że niemal pobudził ją do płaczu; pantofle domowe z delikatnej skórki, wiśniowe kąpielówki. Wybierała coraz to nowe rzeczy, aż w końcu jej ramiona nie mogły unieść większego ciężaru.

– Proszę pozwolić, że pomogę. – Do Lacy podskoczyła ekspedientka

i zaniósła część ubrań na ladę przy kasie. – Doskonale wiem, jakie to uczucie – dodała ze współczującym uśmiechem. – Gdy mój syn miał zniknąć z domu, myślałam, że pęknie mi serce.

Lacy odniosła wrażenie, że się przesłyszała. Czyżby nie była jedyną matką na świecie, która musiała przeżywać podobną tragedię? A gdy się już jej doświadczyło, czy automatycznie zyskiwało się zdolność – taką, jaką posiadała ta ekspedientka – wyłapywania nieszczęsnych kobiet z tłumu, jak gdyby istniało tajne stowarzyszenie matek, których dzieci się dopuściły strasznych czynów?

– Człowiekowi się zdaje, że to na zawsze – ciągnęła kobieta – ale proszę mi wierzyć, gdy przyjeżdżają na bożonarodzeniowe ferie czy na wakacje letnie, jedzą za trzech i przewracają cały dom do góry nogami, zaczyna się żałować, że zajęcia na uniwersytecie nie trwają przez okrągły rok.

Rysy Lacy stężały.

– Naturalnie – potwierdziła sztywno. – Wyjazd do college’u.

– Moja córka studiuje na uniwersytecie stanowym New Hampshire, a syn w Rochester – wyjaśniła ekspedientka.

– Mój rozpoczyna w tym roku naukę na Harvardzie.

Kiedys na ten temat rozmawiali – Peterowi bardziej odpowiadał wydział informatyki na Uniwersytecie Stanforda, a Lacy zażartowała wówczas, że wyrzuci wszelkie materiały promocyjne szkół położonych na zachód od Missisipi, ponieważ to straszny kawał świata.

Za to więzienie stanowe w Concord było oddalone od domu o niecałe sto kilometrów.

– Na Harvardzie – powtórzyła z podziwem w głosie ekspedientka. – Musi mieć pani bardzo zdolnego syna.

– Rzeczywiście, jest wyjątkowo zdolny – przyznała Lacy, po czym zaczęła snuć opowieść o fikcyjnych studiach Petera i mówiła tak długo, aż kłamstwo przestało napępniać usta goryczą, a ona niemal sama w nie uwierzyła.

Tuż po trzeciej po południu Josie przewróciła się na brzuch, rozpostarła ramiona i przycisnęła twarz do trawy. Dla postronnego obserwatora mogło to wyglądać tak, jakby próbowała wtopić się w ziemię, co w istocie niewiele odbiegało od prawdy. Zaczęła głęboko wciągać nosem powietrze – zazwyczaj nie czuła nic poza aromatem ziemi i roślinności, ale czasami, zazwyczaj po deszczu, dobiegał ją cień zapachu lodowej tafli i męskiego szamponu, jak gdyby gdzieś w tych czeluściach Matt wciąż pozostawał dawnym Mattem.

Po pewnym czasie wstała, wsadziła do plecaka opakowanie po kanapce oraz pustą butelkę po wodzie i ruszyła wijącą się ścieżką ku cmentarnej bramie. Wjazd do niej zastawiał jakiś samochód; tylko dwa razy w ciągu tego lata Josie była świadkiem ceremonii pogrzebowej i za każdym razem robiło jej się słabo. Przyśpieszyła więc kroku w nadziei, że zanim zaczną się egzekwie, ona już będzie siedziała w autobusie wiozącym ją do miasta – gdy nagle zdała sobie sprawę, że samochód stojący w bramie to nie karawan i że auto nawet wcale nie jest czarne. Natomiast wyglądało zupełnie tak samo jak to, które zaledwie tego ranka parkowało na podjeździe jej własnego domu.

Oparty o maskę, ze skrzyżowanymi ramionami, stał Patrick.

– Co ty tu robisz?

– O to samo mógłbym spytać ciebie.

Josie wzruszyła ramionami.

– To wolny kraj.

Tak naprawdę nie miała nic przeciwko Patrickowi Ducharme'owi jako człowiekowi. Problem w tym, że wzbudzał w niej niepokój. Przede wszystkim jego widok zawsze budził wspomnienia Tamtego Dnia. A teraz Josie musiała bez przerwy oglądać Patricka, ponieważ został kochankiem jej matki (czy to wyrażenie już zawsze będzie brzmieć tak idiotycznie?), co na swój sposób było jeszcze bardziej dołujące niż wspomnienia. Oto Alex bujała w siódmym niebie, przeżywała upojne chwile miłości, a tymczasem Josie, żeby odwiedzić swojego chłopaka, musiała się chyłkiem wymykać na cmentarz.

Patrick odepchnął się od samochodu i podszedł parę kroków bliżej.

– Twoja mama jest przekonana, że w tej chwili uczysz dzielenia.

– Czy kazała mnie szpiegować?

– Osobiście wolę słowo „inwigilacja” – odparł Patrick.

Josie parsknęła szyderczo. W gruncie rzeczy nie chciała się wrednie zachowywać wobec Patricka, ale nic nie mogła na to poradzić. Sarkazm działał jak pole siłowe; gdyby z niego zrezygnowała, detektyw mógłby spostrzec, że Josie jest o włos od zupełnej rozsypki.

– Twoja mama nie wie, że tu jestem – odezwał się Patrick. – Po prostu uznałem, że powinniśmy porozmawiać.

– Lada moment ucieknie mi autobus.

– Bądź spokojna, podwiozę cię, dokąd zechcesz – zapewnił. – Wiesz, Josie, przez tę moją pracę nieustannie żałuję, że nie jestem w stanie cofnąć czasu: dotrzeć do ofiary gwałtu, zanim zostanie skrzywdzona; poddać obserwacji posesję przed najściem włamywaczy. Dlatego dobrze wiem, jak przygnębiające jest przekonanie, że bez względu na to, co powiemy lub zrobimy, niczego już nie zdołamy naprawić. I wiem także, co znaczy budzić się w środku nocy, po czym odtwarzać w pamięci jeden szczególnie moment, aż staje się on tak żywy, tak plastyczny, jakby przeżywało się go na nowo. Prawdę powiedziawszy, jestem gotów się założyć, że ty i ja często odtwarzamy dokładnie ten sam moment.

Josie poczuła ściskanie w gardle. Przez te wszystkie miesiące ani jedna osoba, która z nią rozmawiała, kierując się zresztą zawsze najlepszymi intencjami – czy to lekarz, czy psychiatra, czy nawet inne dzieciaki ze Sterling High – tak trafnie i dogłębnie nie opisała jej własnych uczuć, jak zrobił to Patrick. Nie mogła jednak tego przyznać – nie wolno było okazać słabości, nawet jeżeli on i tak ją w niej dostrzegął.

– Nie udawaj, że cokolwiek nas łączy – rzuciła szorstko.

– Wcale nie muszę udawać, ponieważ tak jest w istocie – odparł Patrick. – Łączy nas osoba twojej mamy. – Spojrzał Josie prosto w oczy. – Ona jest mi bliska. Nawet bardzo. Dlatego chciałbym wiedzieć, czy ty nie masz nic przeciwko temu.

Ściskanie w gardle stawało się coraz gorsze. Josie próbowała sobie

przypomnieć, w jakich chwilach Matt mówił, że jest mu niezmiernie bliska; zaczęła się też zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek usłyszy takie słowa.

– Moja mama jest dużą dziewczynką. Może więc sama decydować, z kim chce się pie...

– Nie rób tego.

– Czego?

– Nie wypowiadaj słów, których będziesz potem żałować.

Josie odskoczyła do tyłu z ogniem w oczach.

– Jeżeli sądzisz, że zaprzyjaźniając się ze mną, zyskasz u niej dodatkowe punkty, grubo się mylisz. O wiele lepsze efekty zapewnią bukiety kwiatów i czekoladki. Ja nic jej nie obchodzę.

– To nieprawda.

– Nie jesteś w obrazku na tyle długo, by wypowiadać się tak autorytatywnie, nie sądzisz?

– Josie... ona szaleje na twoim punkcie.

Teraz prawda zaczęła już tak bardzo dławić dziewczynę w gardle, że nie mogła nawet przełknąć śliny.

– Ale nie tak bardzo, jak szaleje za tobą. Jest szczęśliwa jak nigdy dotąd i... wiem, że powinnam się cieszyć jej szczęściem...

– Tymczasem jesteś tutaj. – Patrick powiódł ręką po cmentarzu. – Zupełnie sama.

Josie skinęła głową i wybuchnęła płaczem. Odwróciła się zawstydzona i wówczas poczuła, jak Patrick otacza ją ramionami. Nie odezwał się przy tym ani słowem, i za to prawie go polubiła, bo jakiegokolwiek słowo, nawet najżyczliwsze, wcisnęłoby się w przestrzeń zarezerwowaną dla jej bólu.

Patrick pozwolił się Josie wypłakać – po prostu cierpliwie czekał. Łzy w końcu przestały płynąć, mimo to ona wciąż nie oderwała głowy od szerokiej piersi, bo nie była pewna, czy cyklon już wytracił moc, czy jedynie wpadła w jego oko.

– Jestem wredną suką – szepnęła. – Zżera mnie zazdrość.

– Myślę, że Alex to zrozumie.

Josie odsunęła się od Patricka i otarła oczy.

– Masz zamiar jej powiedzieć, że tutaj przychodzę?

– Nie.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Byłaby gotowa przysiąc, że Patrick zawsze i w każdej sytuacji stanie po stronie matki.

– Bardzo głęboko się mylisz – powiedział.

– W czym się tak mylę?

– W przekonaniu, że zostałam sama.

Josie zerknęła na wzgórze. Spod bramy nie można było dojrzeć grobu Matta, ale on tam był naprawdę – jedna z rozlicznych konsekwencji Tamtego Dnia.

– Duchy się nie liczą.

Patrick uśmiechnął się ciepło.

– Ale matki tak.

Tym, co Lewis uznał za najbardziej nienawistne, był szcęk zatraskiwanych metalowych drzwi. A fakt, że mógł opuścić te mury w dowolnej chwili, nie miał w tym wypadku żadnego znaczenia. Liczyło się jedynie to, że podobny luksus był nieosiągalny dla osadzonych tu więźniów, wśród których znajdował się ten sam chłopiec, którego Lewis uczył jeździć na dwukołowym rowerku; ten sam chłopiec, który w przedszkolu zrobił przycisk do papierów, wciąż leżący na biurku Lewisa; ten sam chłopiec, którego Lewis trzymał na ręku tuż po urodzeniu.

Zdawał sobie sprawę, że Peter przeżyje szok na jego widok. Przez ileż to miesięcy Lewis obiecywał sobie, że w tym tygodniu już zdobędzie się na odwagę i odwiedzi syna w więzieniu, zawsze jednak w ostatniej chwili się okazywało, że musi przestudiować jakąś publikację lub załatwić inną pilną sprawę? Tymczasem kiedy otworzyły się drzwi i strażnik wprowadził Petera na salę, Lewis uprzytomnił sobie, że we własnych rachubach nie uwzględnił wstrząsu, jakiego sam dozna na widok syna.

Peter zmężniał. Nie tyle urósł, ile znacznie rozrósł się w ramionach, na których teraz ciasno się opinała więzienna koszula. Nabrał mięśni. Jego skóra była tak jasna i przezroczysta, że w tym nienaturalnym oświetleniu zdawała się wręcz niebieskawa. Peter nieustannie poruszał dłońmi – zaciskał i rozprostowywał palce, nawet wtedy gdy usiadł i swobodnie zwiesił ramiona po bokach krzesła.

– No, no – odezwał się na widok ojca. – Kto by to pomyślał?

Przed przyjściem na widzenie Lewis przećwiczył starannie kilka przemów, w których zamierzał wyjaśnić, dlaczego nie był w stanie wcześniej odwiedzić syna, ale na widok Petera siedzącego po drugiej stronie czerwonego pasa zdołał wypowiedzieć tylko jedno słowo:

– Wybacz.

Peter zacisnął usta.

– Co mam ci wybaczyć? Że mnie olewałeś przez pół roku?

– Myślałem raczej o osiemnastu latach – wyznał Lewis.

Peter rozsiadł się wygodniej na krześle, nie spuszczając ojca z oczu. Choć nie było to łatwe, Lewis zmusił się do wytrzymania synowskiego wzroku. Czy Peter zgodziłby się udzielić mu rozgrzeszenia, nawet jeżeli on nie był w stanie odwzajemnić się tym samym?

Peter potarł ręką twarz, potrząsnął głową. A potem się uśmiechnął. Na ten widok każdy mięsień, każdy nerw w ciele Lewisa począł się rozluźniać. Aż do tej pory właściwie Lewis nie wiedział, czego ma się spodziewać. Mógł w duchu toczyć sam ze sobą zażarte polemiki i za każdym razem dochodzić do wniosku, że przeprosiny z pewnością zostaną przyjęte; mógł sobie powtarzać niezliczoną ilość razy, że to on jest rodzicem, a więc stoi za nim siła autorytetu – ale trudno było o tym wszystkim pamiętać, gdy się siedziało w sali widzeń więzienia pomiędzy kobietą, która próbuje ukradkiem pieścić nogą ukochanego ponad zakazaną strefą, a mężczyzną, który potrafi się porozumieć jedynie za pomocą najordynarniejszych przekleństw.

Uśmiech na twarzy Petera przeszedł w sardoniczny grymas.

– Pierdolę cię – wypalił. – Pierdolę ciebie i twoje odwiedziny. Tak naprawdę gówno cię obchodzi. I wcale ci nie zależy na moim

przebaczeniu. Zrobiłeś to jedynie dla samego siebie. Chciałeś, by to słowo zabrzmiało w twoich własnych uszach.

W tym momencie Lewisa ogarnęło uczucie, że głowę wypełniły mu kamienie. Musiał się pochylić, podeprzeć ją ręką, ponieważ szyja nie była zdolna do udźwignięcia takiego ciężaru.

– Nie jestem w stanie na czymkolwiek się skoncentrować, Peterze – szepnął. – Nie mogę pracować, nie mogę spać, nie mogę jeść. – Powoli uniósł twarz. – W tej chwili do kampusu przybywają nowi studenci. Patrzę na nich z okna mojego gabinetu: zawsze na coś wskazują palcem lub pilnie słuchają objaśnień przewodników, którzy ich oprowadzają po terenie. Tak jak w moich marzeniach ja oprowadzałem ciebie.

Wiele lat temu, po narodzinach Joeya, Lewis napisał pracę na temat czynników warunkujących wzrost lub spadek poczucia dobrostanu w postępie geometrycznym. We wnioskach stwierdził, że wartość ilorazu szczęścia jest zależna nie tylko od kategorii wydarzenia, jakie było bodźcem zmiany, ale może przede wszystkim naszego nastawienia psychicznego do zaistniałego faktu i okoliczności, w których do niego doszło. Na przykład, narodziny dziecka mają zupełnie inny wpływ na mężczyznę żyjącego w szczęśliwym związku małżeńskim i planującego powiększenie rodziny niż na szesnastolatka, który zaliczył wpadkę z równie niedojrzałą jak on dziewczyną. Niskie temperatury cieszą podczas wakacji narciarskich, stanowią natomiast źródło zawodu w czasie weekendu na plaży. Człowiek swego czasu bogaty może się nie posiadać ze szczęścia, gdy trafi mu się dolar w środku szalejącej recesji; mistrz kuchni gotów jest jeść surowe robaki, jeżeli znajdzie się na bezludnej wyspie i od tego zależy jego przetrwanie. Ojciec, który przez większość życia karmił się nadzieją, że jego syn wyrośnie na wykształconego, niezależnego, spełnionego człowieka, w całkowicie odbiegającej od tych marzeń sytuacji potrafi być szczęśliwy, widząc swoje dziecko przy życiu, choćby dlatego, że wciąż jeszcze może powiedzieć mu, jak bardzo je kocha.

– Ale wiesz, co mówią o uniwersytetach – podjął Lewis, prostując się. – Nie są warte swojej ceny.

Słowa ojca zdumiały Petera.

– Pomyśleć, że mnóstwo nieszczęsnych rodziców wywala w błoto czterdzieści tysięcy rocznie – rzucił z uśmiechem. – Tymczasem ja, siedząc tutaj, robię sensowny użytek z twoich podatków.

– Czegóż więcej mógłby sobie życzyć ekonomista? – spróbował zażartować Lewis, chociaż wcale nie było mu do śmiechu. Za moment jednak uświadomił sobie, że nawet w tak dramatycznych okolicznościach można odnaleźć znamiona szczęścia: człowiek powiedziałby wszystko – nawet jeżeli każde słowo miałyby ranić jak tłuczone szkło – byle tylko jego syn mógł się częściej uśmiechać.

Patrick siedział z nogami założonymi na prokuratorskie biurko, podczas gdy Diana Leven przebiegała wzrokiem wyniki ekspertyzy balistycznej, przygotowując się do rozprawy – a ściślej rzecz ujmując, do przesłuchania Patricka.

– Na miejscu przestępstwa znaleźliśmy dwa karabinki, z których nie strzelano – wyjaśniał Patrick – oraz dwa pistolety glock siedemnaście, zarejestrowane na nazwisko sąsiada Houghtonów. Byłego gliniarza.

Diana uniosła wzrok znad dokumentów.

– No, cudnie.

– Tak, wiem. Ale przecież znasz gliniarzy. Jaki jest sens trzymania broni pod kluczem, skoro tylko wtedy, gdy leży pod ręką, możesz w razie potrzeby szybko po nią sięgnąć? W każdym razie niemal wszystkie strzały w szkole oddano z broni A – wskazują na to rowkowania na zebranych przez nas łuskach. Mamy pewność, że z broni B również strzelano – potwierdza to analiza balistyczna pistoletu – ale nie udało nam się odnaleźć ani jednego wystrzelonego z niej pocisku. Znaleźliśmy ją na podłodze w szatni gimnastycznej z zaciętym mechanizmem spustowym. Houghton w chwili zatrzymania trzymał w ręku broń A.

Diana odchyliła się na krześle i zetknęła dłonie czubkami palców.

– McAfee z pewnością zapyta, po co Houghton sięgnął po broń B w

szatni, skoro broń A tak rewelacyjnie działała.

Patrick wzruszył ramionami.

– Może z niej właśnie postrzelił Roystona w brzuch, a gdy się zacięła, powrócił do pistoletu A. Niewykluczone też, że wytłumaczenie jest dużo prostsze. Ponieważ nie odnaleźliśmy pocisku z broni B, istnieje duże prawdopodobieństwo, że właśnie z niej oddano pierwszy strzał. Pocisk mógł się wbić w grubą izolację ściany kafeterii i ukryć przed wzrokiem techników. Kiedy pistolet się zaciął, dzieciak wymienił go na broń A, a uszkodzonego glocka wetknął do kieszeni... po dopełnieniu zaś dzieła zniszczenia wyrzucił go lub najzwyczajniej w świecie zgubił.

– „Lub”. Nienawidzę tego słowa. Składa się zaledwie z trzech liter, a wprost pęka w szwach od uzasadnionych wątpliwości...

Urwała na odgłos pukania do drzwi, w których pojawiła się głowa sekretarki.

– Przyszedł ten dzieciak, umówiony na drugą.

Diana zwróciła się w stronę Patricka.

– Będę przygotowywać Drew Girarda do zeznań. Może zostaniesz i posłuchasz?

Patrick przesiadł się w kącie, zwalniając miejsce naprzeciwko Diany dla chłopaka, który przed wejściem do pokoju taktownie zapukał.

Diana wyszła mu naprzeciw.

– Drew. Dzięki, że przyszedłeś. – Ręką wskazała na Patricka. – Pamiętasz detektywa Ducharme'a?

Drew skinął Patrickowi głową. Tymczasem detektyw bacznie studiował jego odprasowane spodnie, zapiętą starannie koszulę, uprzejmą grzeczność na pokaz. To nie była ta sama bezczelna, rozpanoszona gwiazda hokeja, jaką opisywali w swoich zeznaniach inni uczniowie; no, ale z drugiej strony, Drew na własne oczy oglądał śmierć najlepszego przyjaciela, sam też został postrzelony w ramię. Tak czy inaczej, świat, w którym należał do uprzywilejowanych, obrócił się w nicość.

– Drew – podjęła Diana – zaprosiłam cię tu dzisiaj, ponieważ dostałeś wezwanie do stawienia się w sądzie, a to oznacza, że w

przyszłym tygodniu będziesz musiał złożyć zeznania przed ławą przysięgłych. Naturalnie, zostaniesz powiadomiony o dokładnym terminie... teraz natomiast chciałabym cię przygotować na to, co cię czeka, żebyś się niepotrzebnie nie stresował w sali rozpraw. Omówimy procedury sądowe i pytania, na jakie będziesz musiał odpowiedzieć. Jeżeli ty chciałbyś się czegoś dowiedzieć, jestem do dyspozycji. Okay?

– Tak jest, proszę pani.

Patrick się nachylił w stronę chłopaka.

– Jak tam ramię?

Drew mimowolnie napiął mięśnie barku.

– Wciąż muszę chodzić na fizjoterapię, ale ogólnie jest już dużo lepiej. Tyle że...

– Tyle że co? – podchwyciła Diana.

– W nadchodzącym sezonie nie będę mógł grać w hokeja.

Diana zerknęła znacząco na Patricka; ten fakt wzbudzi współczucie dla świadka.

– A myślisz, że w przyszłości jeszcze zdołasz wrócić do gry?

Drew zaczerwienił się gwałtownie.

– Lekarze twierdzą, że nie, ale ja uważam, że się mylą. – Zawiesił na moment głos. – Za chwilę zacznę maturalną klasę, liczyłem na stypendium sportowe z jakiegoś uniwersytetu...

Po tych słowach zapadła pełna konsternacji cisza.

– No cóż, Drew. – Diana przełamała ją pierwsza. – Kiedy usiądziesz na miejscu dla świadków, najpierw cię zapytam o imię, nazwisko, miejsce zamieszkania i o to, czy owego feralnego dnia byłeś w szkole.

– Okay.

– To może zrobmy małą próbę. Od jakiej lekcji zaczął się dla ciebie ów dzień?

Drew usadowił się pewniej w fotelu.

– Od historii Stanów Zjednoczonych.

– A co miałeś potem?

– Angielski.

– Gdzie poszedłeś po zajęciach z angielskiego?

– Podczas trzeciej lekcji miałem okienko. Zazwyczaj przesiadujemy wtedy w kafeterii.

– Czy tam właśnie poszedłeś?

– Aha.

– W towarzystwie?

– Poszedłem sam, ale już na miejscu dosiadłem się do przyjaciół.

– Ile czasu tam spędziliście?

– Nie jestem pewien... jakieś pół godziny?

Diana skinęła głową.

– I co dalej?

Drew spuścił głowę i zaczął jeździć kciukiem wzdłuż kantu spodni. Patrick zauważył, że chłopakowi drżą ręce.

– No więc, byliśmy w środku jakiejś rozmowy... i wówczas usłyszałem głośny huk.

– Domyślałeś się, co było przyczyną owego huku?

– Nie miałem pojęcia.

– Czy coś wówczas zauważyłeś?

– Nie.

– A jak zareagowałeś?

– Zażartowałem. Powiedziałem coś w rodzaju: „Wreszcie wybuchły te radioaktywne hamburgery”.

– Czy po tym głośnym huku pozostaliście w kafeterii?

– Tak.

– I co się potem wydarzyło?

Drew znowu spuścił wzrok.

– Rozległy się takie odgłosy, jakby ktoś odpalał fajerwerki. Zanim ktokolwiek z nas uświadomił sobie, co to za dźwięk, do środka wszedł Peter Houghton. Miał plecak przerzucony przez ramię, a w ręku pistolet. I zaczął strzelać.

Diana uniosła dłoń.

– Muszę ci na moment przerwać, Drew. Gdy wypowiesz te słowa na sali sądowej, poproszę, żebyś spojrział na oskarżonego i formalnie go zidentyfikował. Zrozumiałeś?

– Tak.

Tymczasem Patrick uświadomił sobie, że słuchając tego chłopaka, nie postrzega tamtej strzelaniny w takich samych kategoriach, jak wszystkich innych zbrodni, z którymi się zetknął do tej pory. Przetwarza słowa Drew na obrazy, ale nie widzi w nich wstępu do mroźnego krew w żyłach nagrania z kamery umieszczonej w kafeterii. Staje mu natomiast przed oczami Josie siedząca razem z przyjaciółmi przy długim stole, rejestrująca odgłos „fajerwerków”, ale zupełnie nieświadoma tego, co się za chwilę wydarzy.

– Od jak dawna znasz Petera? – spytała Diana.

– Obaj dorastaliśmy w Sterling. Praktycznie od zawsze chodziliśmy razem do szkoły.

– Byliście przyjaciółmi? – Diana potrząsnęła głową. – A może wrogami?

– Nie – zaprzeczył. – Nie byliśmy wrogami.

– Czy kiedykolwiek dochodziło między wami do scysji?

Drew zerknął na Dianę spod oka.

– Nie, nigdy.

– Czy zdarzało ci się go prześladować?

– Absolutnie nie, proszę pani.

Patrick poczuł, jak ręce mimowolnie zaciskają mu się w pięści. Z zeznań wielu innych uczniów jasno wynikało, że Drew Girard nękał Petera Houghtona: zamykał go w szafce, podstawiał mu nogę na schodach, posyłał w jego stronę kulki-plujki. To wszystko, naturalnie, nie stanowiło usprawiedliwienia dla zbrodni Petera, niemniej... Dziesięć ciał rozkładało się w grobach, jeden dzieciak gnił w więzieniu, dziesiątki musiały się poddać różnym operacjom i terapiom medycznym. Do tego dochodziły setki osób takich jak Josie, które od czasu tragedii nie przeżyły jednego dnia bez płaczu; oraz rodzice, tacy jak Alex, którzy za wszelką cenę chcieli wierzyć, że prokuratura wywalczy dla nich sprawiedliwość. A tymczasem ten mały, bezczelny gnojek łął jak najęty.

Diana uniosła wzrok znad papierów i spojrzała Drew prosto w oczy.

– Więc jeżeli pod przysięgą będziesz musiał odpowiedzieć na pytanie, czy prześladowałeś Petera Houghtona, co wówczas powiesz?

Drew spojrział na Dianę, tym razem bez dotychczasowej pewności siebie, i wówczas Patrick pojął, jak śmiertelnym przerażeniem zdejmuje tego gówniarza myśl, że oskarżenie może wiedzieć dużo więcej, niż pierwotnie przypuszczał. Diana zerknęła na Patricka i upuściła na biurko długopis, który uderzył o blat, po czym stoczył się na podłogę. Patrick nie potrzebował wyraźniejszej zachęty – błyskawicznie poderwał się z krzesła i chwycił chłopaka za gardło.

– Posłuchaj mnie uważnie, mały kutasie. Nie dopuszczę, żebyś spieprzył tę sprawę. Wszyscy doskonale wiemy, co wyczyniałeś z Peterem Houghtonem. Poniżałeś tego dzieciaka na każdym kroku i tkwisz w tym gównie po uszy. My tymczasem mamy dziesięć ofiar śmiertelnych i osiemnaście kolejnych, które nigdy już nie będą mogły żyć tak, jak to sobie wymarzyły. Do tego dochodzi niezliczona liczba członków tej społeczności, którzy do końca swoich dni nie otrząsną się z rozpacz i szoku. Nie mam najmniejszego pojęcia, w co właściwie próbujesz pogrywać – czy odstawiasz niewiniątko, by chronić swoją reputację, czy po prostu jesteś zbyt śmierdzącym tchórzem, by wyznać prawdę – ale wierz mi, jeżeli spróbujesz kłamać na miejscu dla świadków, osobiście się postaram, żebyś wylądował w pudle za utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości.

Puścił chłopaka, odwrócił się do niego plecami i zaczął wyglądać przez okno. Tak naprawdę nie miał mandatu prawnego do aresztowania Drew Girarda – nawet gdyby ten popełnił krzywoprzysięstwo – nie mówiąc już o posyłaniu go do więzienia, ale gówniarz nie mógł tego wiedzieć. Niewykluczone więc, że taka pogrożka wystarczy, by przywołać go do porządku.

Patrick odetchnął głęboko, schylił się po upuszczony długopis i podał go Dianie.

– Zapytam raz jeszcze, Drew – podjęła Diana gładko, jak gdyby nigdy nic się nie stało. – Czy kiedykolwiek nękałeś Petera Houghtona?

Drew zerknął na Patricka i z trudem przełknął ślinę. A potem

otworzył usta, z których się zaczęło wylewać morze słów.

– To lasagne z grilla – zaczęła Alex, gdy Patrick i Josie niepewnie unieśli widelce do ust. – I co o tym sądzicie?

– Nie miałam pojęcia, że to można grillować – powiedziała z wolna Josie, odrywając warstwę spieczonego sera od brunatnego ciasta, jakby je skalpowała.

– I skąd właściwie wzięłaś ten przepis? – spytał Patrick, sięgając po dzbanek z wodą.

– Tak naprawdę zamierzałam podać to danie w wersji tradycyjnej. Tylko że część farszu wypłynęła na płytę piekarnika, trochę się zwęgliła i... już miałam zacząć wszystko od nowa, ale wtedy uzmysłowiłam sobie, że przez to, co się stało, potrawa nabierze szczególnego dymnego posmaku... – Alex uśmiechnęła się promiennie. – Genialne, prawda? Wiesz, Josie, przejrzałam wszystkie książki kucharskie i okazało się, że jeszcze nikt niczego podobnego nie próbował.

– Nigdy bym na to nie wpadł... – mruknął Patrick, krztusząc się w serwetkę.

– Gotowanie sprawia mi coraz większą przyjemność – ciągnęła z zachwytem w głosie Alex. – A szczególnie wariacje na temat jakiegoś wybranego dania.

– Ja natomiast sądzę, że z przepisami kulinarnymi jest mniej więcej tak jak z przepisami prawa – odparł Patrick. – Jeżeli się ich nie przestrzega, prowadzi to w prostej drodze do zbrodni...

– Nie jestem głodna – oświadczyła nagle Josie. Odsunęła talerz, wstała od stołu i pobiegła na górę.

– Jutro rozpoczyna się proces – rzuciła tonem usprawiedliwienia Alex.

Ruszyła za Josie, nawet nie próbując przeproszać Patricka za pozostawienie go samemu sobie, ponieważ wiedziała, że on wszystko zrozumie. Josie trzasnęła drzwiami swojego pokoju i włączyła muzykę tak głośno, że pukanie na nic by się nie zdało. Alex weszła do środka i

wyłączyła odtwarzacz.

Josie leżała na łóżku twarzą w dół, z poduszką na głowie. Kiedy matka przysiadła obok, nawet nie drgnęła.

– Chcesz o czymś porozmawiać? – spytała Alex.

– Nie. – Zduszony głos Josie zdawał się dobiegać z mrocznej pieczary.

Alex zdecydowanym ruchem zerwała poduszkę z głowy córki.

– Jednak spróbuj.

– Rzecz w tym, że... Jezu, mamó... co się właściwie ze mną dzieje? Dla wszystkich innych ludzi świat znowu normalnie się kręci, a tymczasem ja nie mogę wskoczyć na tę karuzelę. Nawet wy oboje... rany, przecież wiem, że musicie cały czas zadrećcać się tym procesem – a jednak śmiejecie się i żartujecie; choć na krótką chwilę umiecie wyrzucić z głowy to, co się wydarzyło i co się jeszcze wydarzy, a ja nie jestem w stanie przestać o tym myśleć! – Josie spojrzała na matkę oczami pełnymi łez. – Każdy zdołał zostawić przeszłość za sobą. Każdy oprócz mnie.

Alex zaczęła gładzić Josie po plecach. Doskonale pamiętała, jaką rozkosz po urodzeniu córki czerpała z samego faktu jej fizycznego istnienia; z tego, że jakimś cudem, zupełnie z niczego, stworzyła tę maleńką, ciepłą, doskonałą istotę. Godzinami leżała na łóżku z Josie u boku, wodząc palcem po aksamitnej skórze niemowlęcia, krągłych paluszkach stóp, pulsującym ciemiączku.

– Pewnego razu – zaczęła Alex – kiedy jeszcze pracowałam w biurze obrońców z urzędu, kolega zaprosił mnie na przyjęcie z okazji Czwartego Lipca, które urządzał dla współpracowników i ich rodzin. Zabrałam cię ze sobą, chociaż byłaś bardzo mała, nie miałaś więcej jak trzy lata. Kiedy się rozpoczął pokaz ogni sztucznych, spuściłam cię z oka dosłownie na parę sekund, a gdy z powrotem odwróciłam wzrok, ciebie już nie było. Podniosłam straszny alarm i wówczas ktoś cię zauważył – na dnie basenu.

Josie usiadła energicznie, szczerze zainteresowana opowieścią, której nigdy wcześniej nie słyszała.

– Zanurkowałam, wyciągnęłam cię na brzeg, podjęłam reanimację i niemal natychmiast zaczęłaś dawać oznaki życia. Mimo to byłam tak przerażona, że nie mogłam wydać z siebie głosu. Ty natomiast zaczęłaś mnie okładać pięściami, po prostu wpadłaś w furję, bo – jak mi oświadczyłaś – wybrałaś się na poszukiwanie syrenek morskich, a ja ci wszystko popsułam.

Josie podciągnęła kolana pod brodę. Uśmiechnęła się nieśmiało.

– Naprawdę?

Alex skinęła głową.

– Ja zaś wtedy oświadczyłam, że następnym razem musisz zabrać mnie ze sobą.

– Czy był jakiś następny raz?

– Ty mi powiedz – odparła Alex. Po czym dodała z wahaniem w głosie: – Można mieć poczucie, że się tonie, nawet jeśli w zasięgu wzroku nie ma skrawka wody, prawda?

Josie skinęła głową i zaczęła płakać. A potem przesunęła się odrobinę i wpadła wprost w objęcia matki.

Patrick zdawał sobie sprawę, że to może doprowadzić go do zguby. Już po raz drugi w życiu jakaś kobieta i jej dziecko stawały mu się tak bliskie, że coraz częściej zapominał, iż nie należy do rodziny i może nigdy nie będzie należał. Rozejrzał się po stole, na którym leżały pozostałości ohydneho posiłku, i zabrał się do uprzątnięcia talerzy z niemal nietkniętym jedzeniem.

Lasagne z grilla zastygła w poczerniałą, twardą bryłę. Patrick wstawił wszystkie naczynia do zlewu, opłukał je gorącą wodą i zaczął szorować.

– O rany! – odezwała się Alex zza jego pleców. – Ty naprawdę jesteś mężczyzną doskonałym.

Patrick odwrócił się w jej stronę. Ręce ociekały mu pianą.

– Wyjątkowo daleko mi do ideału. – Sięgnął po ścierkę. – Czy Josie...

– Już w porządku. Wszystko się ułoży. A nawet jeżeli to tylko

pobożne życzenie, gdy będziemy je dostatecznie często powtarzać, w końcu się spełni.

– Tak mi przykro, Alex.

– A komu nie jest? – Usiadła okrakiem na krześle i oparła policzek na krawędzi oparcia. – Jutro wybieram się do sądu.

– Nawet nie przeszło mi przez myśl, że mogłoby być inaczej.

– Sądysz, że McAfee zdoła doprowadzić do uniewinnienia?

Patrick starannie złożył ścierkę, położył ją obok zlewozmywaka, podszedł do Alex i przyklęknął obok krzesła.

– Posłuchaj. Ledwo ten dzieciak wjechał na teren szkoły, zaczął się zachowywać tak, jakby wcielał w życie drobiazgowo opracowany plan taktyczny. Na parkingu odpalił bombę, by odwrócić od siebie uwagę. Potem ruszył w stronę budynku i już na schodach wejściowych zranił pierwszą osobę. Wszedł do kafeterii, ostrzelał masę dzieciaków, niektóre z nich zabił, a potem usiadł przy stole i zjadł miskę pieprzonych płatków śniadaniowych, jakby chciał nabrać sił przed kolejnym śmiercionośnym rajdem. Uważam, że w świetle takiego przebiegu wydarzeń, udokumentowanego masą materiału dowodowego, nie ma możliwości, by jakakolwiek ława przysięgłych oddaliła zarzuty.

Alex nie odrywała od Patricka wzroku.

– Powiedz mi coś, proszę... dlaczego Josie miała szczęście?

– Bo przeżyła.

– Nie... miałam na myśli co innego. O to właśnie chodzi; co sprawiło, że przeżyła? Była w kafeterii i w szatni gimnastycznej. Dookoła niej umierali ludzie. Dlaczego Peter do niej nie strzelił?

– Nie wiem. Bez przerwy dzieje się mnóstwo rzeczy, których nie potrafię zrozumieć. Niektóre są straszne, jak ta masakra. A inne... – Położył dłoń na ręku Alex. – Piękne.

Alex posłała mu przeciągłe spojrzenie i Patrick po raz kolejny doszedł do wniosku, że poznanie tej kobiety było niczym odkrycie pierwszego krokusa, wychylającego się spod śniegu. Gdy człowieka już ogarnia ponure przekonanie, że zima nigdy się nie skończy,

niespodziewanie na jego drodze pojawia się cudowny zwiastun wiosny i napełnia go wiarą, że jeśli się roślinki nie spuści z oczu, śniegi w końcu stopnieją.

– Czy jeśli o coś cię spytam, udzielisz mi szczerzej odpowiedzi?

Patrick skinął głową.

– Moja kolacja nie była zbyt udana, prawda?

Uśmiechnął się szeroko spoza szczebelków oparcia.

– Na twoim miejscu nigdy bym nie rezygnował z pracy zawodowej.

Kiedy minęła północ, a sen wciąż nie nadchodził, Josie wymknęła się na dwór i położyła na frontowym trawniku. Wpatrzyła się w niebo, wiszące tak nisko o tej porze nocy, że czuła ukłucia gwiazd na twarzy. Tutaj, na świeżym powietrzu, poza ścianami pokoju, które zdawały się na nią napierać, można było niemal uwierzyć, że w proporcji do ogromu wszechświata wszystkie ludzkie problemy są nic nieznaczącymi pyłkami.

Jutro Peter Houghton miał stanąć przed sądem, oskarżony o popełnienie dziesięciu morderstw. Na samą myśl o ostatnim z nich Josie robiło się niedobrze. Chociaż bardzo chciała, nie mogła się przyglądać rozprawie. Ponieważ jej nazwisko znalazło się na tej idiotycznej liście świadków, w myśl prawa musiała siedzieć odizolowana od stron procesu.

Dziewczyna westchnęła głęboko. Przypomniała sobie, jak na lekcji socjologii, jeszcze w gimnazjum, dowiedziała się, że wedle wierzeń jakichś ludów – czy nie eskimoskich? – gwiazdy są dziurami w niebie, przez które umarli mogą spoglądać na tych, co pozostali na ziemi. Z założenia miało to podnosić żywych na duchu, Josie jednak uważała, że w tej koncepcji jest coś z lekka upiornego – jakby bez przerwy szpiegowały człowieka niewidzialne oczy.

Z niewiadomych powodów przyszedł jej też do głowy głupi kawał o facecie, który przechodził koło szpitala psychiatrycznego, odgradzonego od ulicy wysokim płotem. Zza tego płotu dobiegały

okrzyki: „Dziesięć! Dziesięć! Dziesięć!”. Zaintrygowany poszukał dziury w ogrodzeniu, przez którą mógłby zajrzeć do środka. Ledwo przyłożył do niej oko... ktoś mu je wydłubał celnym dźgnięciem patyka, a pacjenci zaczęli wykrzykiwać zgodnym chórem: „Jedenaście! Jedenaście! Jedenaście!”.

Matt opowiedział jej ten dowcip.

Być może Josie nawet się wówczas roześmiała.

A w eskimoskim wierzeniu, nawet jeżeli umarli rzeczywiście mogą nas oglądać, muszą w tym celu pofatygować się nocą do dziur w niebie. My natomiast potrafimy ich zobaczyć w dowolnym miejscu i czasie. Wystarczy tylko, że przymkniemy powieki.

O poranku, w którym miał się rozpocząć proces jej syna, oskarżonego o wielokrotne morderstwo, Lacy wyjęła z szafy czarną spódnicę, czarną bluzkę i czarne rajstopy. Ubrała się tak, jakby szła na pogrzeb, i niewykluczone, że wiele się nie pomyliła. Przez cały czas ręce trzęsły jej się niepoohamowanie i w rezultacie podarła trzy pary rajstop. W końcu postanowiła iść do sądu z gołymi nogami, co oznaczało, że pod koniec dnia będzie miała już pęcherze na stopach. Może to i lepiej, zdecydowała w duchu. Przynajmniej skoncentruje się na bólu, którego źródło jest oczywiste i namacalne.

Nie miała pojęcia, gdzie jest jej mąż i czy w ogóle wybiera się dzisiaj do sądu. Od dnia, w którym pojechała za nim na cmentarz, praktycznie ze sobą nie rozmawiali. Lewis zaczął też sypiać w dawnym pokoju Joeya.

Natomiast żadne z nich nigdy nie wchodziło do pokoju Petera.

Tego ranka jednak Lacy, zamiast w prawo, skrzyła w lewo na podeście schodów i przekrzyła gałkę w drzwiach prowadzących do sanktuarium młodszego syna. Po odejściu policji zrobiła w tym pokoju jaki taki porządek, wmawiając sobie, na przekór logice, że syn przecież tu wróci i nie powinien wówczas zastać bałaganu. Mimo to od progu rzucały się w oczy dziury ziejące po zarekwirowanych przedmiotach:

biurko zdawało się nagie bez komputera; przygnębiający był widok opustoszałych półek. Lacy podeszła do jednej z nich i wyjęła pierwszą stojącą z brzegu książkę. Oscar Wilde, „Portret Doriana Graya”. Lektura szkolna, którą Peter czytał tuż przed aresztowaniem. Ciekawe, czy zdążył ją skończyć.

Dorian Gray, dekadenski dandys, zdawał się człowiekiem, którego czas się nie ima: lata mijały, a on zachowywał świeżą i niewinną twarz. Natomiast jego portret, namalowany w latach bezgrzesznej młodości, odzwierciedlał proces starzenia się i postępującej zgnilizny moralnej modela. Może opanowana, zdystansowana matka, świadcząca podczas procesu na rzecz syna mordercy, też miała gdzieś swój portret, na którym jej twarz była zorana poczuciem winy, zniekształcona niewypowiedzianym bólem. Może kobiecie z portretu wolno było krzyczeć z rozpacz, rwać włosy z głowy, chwycić swoje dziecko za ramiona i potrząsając nim z całej siły, pytać w kółko: „Coś ty uczynił?!”.

Lacy odwróciła się na odgłos otwieranych drzwi. W progu stał Lewis, ubrany w swój najlepszy garnitur, z błękitnym krawatem w dłoni, i patrzył na nią w milczeniu.

Wyjęła krawat z rąk męża, włożyła mu go na szyję, stanęła za jego plecami. Związała starannie węzeł, podciągnęła do góry i poprawiła kołnierzyk koszuli. Wówczas Lewis chwycił ją za rękę i już nie chciał puścić.

Nie istniały słowa, które można by wypowiedzieć w podobnej sytuacji – gdy rodzice uświadamiają sobie, że na zawsze utracili jednego syna, a teraz drugi wymyka się z ich życia. Ściskając mocno dłoń Lacy, Lewis wyprowadził ją z pokoju Petera, po czym cicho zamknął za sobą drzwi.

O szóstej rano Jordan zszedł na palcach do kuchni, by w spokoju przejrzeć notatki przed rozpoczynającym się tego dnia procesem, i ujrzał stół nakryty dla jednej osoby. Miseczka, łyżka, pudełko płatków czekoladowych, które zawsze pochłaniał przed bitwą. Uśmiechnął się

pod nosem. Żeby to przygotować, Selena musiała się wymknąć z sypialni w środku nocy, ponieważ poprzedniego wieczoru położyli się do łóżka o tej samej porze.

Jordan otworzył lodówkę i sięgnął po mleko.

Na kartonie zobaczył samoprzylepną karteczkę, a na niej jedno słowo: POWODZENIA.

Ledwo usiadł przy stole, rozległ się dzwonek telefonu. Jordan błyskawicznie chwycił za słuchawkę – Selena i Sam wciąż jeszcze spali.

– Halo?

– Tato?

– Thomas! Co robisz na nogach o tak nieludzkiej porze?

– Ja... hm... jeszcze się w zasadzie nie położyłem.

Jordan uśmiechnął się szeroko.

– Ach, być znowu młodym i wieść studenckie życie! – westchnął.

– Rozumiem, co masz na myśli. Dzwonię jednak w innej sprawie.

Chciałem ci życzyć szczęścia. Bo to dzisiaj, prawda?

Jordan zerknął na miseczkę z płatkami i nagle przypomniał sobie nagranie zarejestrowane w kafeterii Sterling High – Peter zasiadający do płatków śniadaniowych w otoczeniu ciał martwych i rannych uczniów.

Zdecydowanym ruchem odsunął od siebie miskę.

– Owszem – odparł. – To już dziś.

Funkcjonariusz więzienny otworzył drzwi celi i podał Peterowi naręczę starannie złożonych ubrań.

– No, Kopciuszku, czas na bal – powiedział.

Peter wiedział, że matka kupiła dla niego wszystkie te ciuchy. Zostawiła nawet metki, aby mógł się przekonać, że nie wyciągnęła ich z szafy Joeya. Były sztywne do bólu i z pewnością uchodziły za cholernie szpanerskie w tych kręgach, które wolny czas spędzały na meczach polo.

Peter zdjął kombinezon, włożył bokserki i skarpetki. Potem usiadł na pryczy, żeby wciągnąć spodnie, które okazały się trochę przyciasne

w pasie. Zapiął guziki koszuli, ale zrobił to krzywo, musiał więc powtórzyć czynność. Nie miał natomiast pojęcia, jak zawiązać krawat. Zwinął go więc i schował do kieszeni. Poprosił o pomoc Jordana.

W celi nie było żadnego lustra, ale Peter doszedł do wniosku, że wygląda teraz całkiem zwyczajnie. Gdyby go teleportować na nowojorską ulicę lub trybunę stadionu futbolowego, nikt nie zwróciłby na niego najmniejszej uwagi. Ludzie nie mieliby pojęcia, że pod tą gładką wełną i egipską bawełną kryje się człowiek, który dokonał czegoś niewyobrażalnego. Innymi słowy, nawet po tym wszystkim nic się w gruncie rzeczy nie zmieniło.

Już się szykował do opuszczenia celi, gdy uprzytomnił sobie, że tym razem nie dostał kuloodpornej kamizelki. Zapewne nie z tego powodu, że nagle przestał być powszechnie znienawidzony; najprawdopodobniej to zwykłe przeoczenie ze strony władz więziennych.

Już otwierał usta, żeby zapytać o to strażnika, ale szybko zacisnął zęby.

Może dzięki temu przeoczeniu po raz pierwszy w życiu uśmiechnie się do niego szczęście.

Alex ubrała się tak, jakby szła do pracy, i tak właśnie było: miała się znaleźć w miejscu, gdzie wykonywała swój zawód, tyle że tym razem nie w roli sędzi.

Wiedziała, że będzie przeżywała ciężkie chwile podczas rozprawy. Że przyjdzie jej wciąż na nowo rozpamiętywać, jak niewiele brakowało, a straciłaby Josie. Alex przestała już sobie wmawiać, że chce się znaleźć na sali sądowej z zawodowej ciekawości. Nakazywała to matczyrna powinność. Pewnego dnia Josie sobie przypomniała, czego była świadkiem, i wówczas musi stanąć obok niej ktoś, kto pomoże jej się uporać z tym ciężarem. Alex nie mogła chronić córki w trakcie tych przerażających wydarzeń, teraz musi poznać wszystkie fakty.

Zbiegła na dół i ujrzała córkę siedzącą przy kuchennym stole, ubraną w czarny golf i spódniczkę.

Jeszcze nigdy wcześniej nie doświadczyła tak przejmująco zjawiska *déjà vu* – identyczną scenę widziała w dniu odczytania zarzutów przez prokuraturę. Zdarzyło się to jednak wieki temu, gdy obie były jeszcze zupełnie innymi kobietami. Dzisiaj nazwisko Josie figurowało na liście świadków, nie dostarczono jej jednak wezwania do stawiennictwa, co oznaczało, że w ogóle nie musiała się zjawiać w sądzie.

– Wiem, że nie będę mogła się przysłuchiwać rozprawie, ale przecież Patrick też jest objęty zakazem wstępu na salę, prawda?

Gdy poprzednim razem Josie chciała jechać do sądu, Alex stanowczo się sprzeciwiła i odmówiła wszelkiej dyskusji na ten temat. Teraz usiadła naprzeciwko córki i podjęła próbę rzeczowej rozmowy.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co tam się będzie wyprawiało? Pojawią się rzesze reporterów uzbrojonych w kamery i mikrofony. Uczniowie na wózkach. Zrozwaczeni, pałający nienawiścią rodzice. I Peter.

– Znowu chcesz mnie trzymać z daleka od sądu.

– Nie chcę, żeby ktoś rozdrapywał twoje rany.

– Rzecz w tym, że ja nie odniosłam żadnych ran – oświadczyła stanowczo Josie. – Dlatego muszę tam pojechać.

Pięć miesięcy temu Alex zdecydowała za córkę. Teraz zrozumiała, że Josie ma prawo do podjęcia własnej decyzji.

– W takim razie spotkamy się w samochodzie – powiedziała spokojnym głosem. Zdołała zachować maskę opanowania do chwili, gdy Josie wyszła z kuchni. Chwilę później popędziła na górę do swojej łazienki i zwymiotowała.

Oparła głowę o chłodne obrzeże wanny. Bała się, że córka znowu będzie cierpieć, że dozna szoku, z którego już nie zdoła się otrząsnąć. A ona w żaden sposób nie mogła temu zaradzić.

Wstała, wyszorowała zęby, opłukała twarz zimną wodą. Potem pośpieszyła do samochodu, w którym już czekała Josie.

Ponieważ opiekunka do dziecka się spóźniła, Selena i Jordan musieli się teraz przedzierać przez tłumy okupujące schody sądu. Selena teoretycznie wiedziała, czego się spodziewać, a i tak przeżyła wstrząs na

widok dzikich hord reporterów, telewizyjnych vanów i gapiów, którzy wznosili w górę telefony komórkowe, by sfotografować to medialne pandemonium.

Lwią część tłumu stanowili mieszkańcy Sterling, którzy natychmiast obsadzili Jordana w roli czarnego charakteru. Ponieważ Peter miał być doprowadzony do sądu przez podziemny tunel, jego adwokat został kozłem ofiarnym per procura.

– Jak pan może spać spokojnie? – wykrzyknęła jedna z kobiet, gdy Jordan wbiegał po schodach.

Inna wymachiwała transparentem, który głosił: W NEW HAMPSHIRE WCIAŻ JESZCZE MAMY KARĘ ŚMIERCI.

– O rany – mruknął Jordan pod nosem. – Czeka mnie niezła zabawa.

– Z pewnością sobie poradzisz – zapewniła Selena.

Tymczasem Jordan stanął jak wryty. Na jednym ze stopni stał mężczyzna z tablicą w dłoni, na której widniały dwie fotografie – nastoletniej dziewczyny i ładnej kobiety w średnim wieku. Selena natychmiast rozpoznała te twarze: Kaitlyn Harvey. I jej matka. Nad zdjęciami widniał duży napis: DZIEWIĘTNAŚCIE MINUT.

Jordan spojrzał mężczyźnie w oczy. Selena zgadywała, co w tej chwili się rozgrywa w głowie męża: dociera do niego, jak bardzo by cierpiał, gdyby sam doznał podobnej straty.

– Tak mi przykro – szepnął Jordan.

Selena natychmiast chwyciła go pod ramię i pociągnęła schodami w górę.

Na ich szczycie stała zupełnie inna grupa, ubrana w jaskrawożółte T-shirty z nadrukiem OPS USA, wykrzykująca zgodnym chórem:

– Peter! Nie jesteś sam! Peter! Jesteśmy z tobą!

Jordan nachylił się ku żonie.

– A co to, do cholery?

– Ofiary Prześladowań Szkolnych w USA.

– Chyba sobie kpisz? Naprawdę istnieje takie stowarzyszenie?

– Jak widać na załączonym obrazku – odparła Selena.

Jordan się uśmiechnął – po raz pierwszy od chwili, gdy wsiedli do

samochodu i ruszyli w stronę sądu.

– Ty ich wynalazłaś?

Selena ścisnęła jego ramię.

– Jeszcze zdążysz mi za to podziękować.

Jego klient wyglądał tak, jakby za moment miał stracić przytomność. Jordan skinął głową zastępcy szeryfa, który wpuścił go do sądowej celi, po czym usiadł na ławce.

– Głęboko oddychaj – zarządził.

Peter głośno wciągnął powietrze i nappełnił nim płuca. Dygotał na całym ciele. Dla Jordana ta reakcja nie była zaskoczeniem – widywał ją tuż przed procesem u każdego oskarżonego, którego kiedykolwiek reprezentował. Nawet najbardziej zatwardziali przestępcy wpadali w panikę, gdy uświadamiali sobie, że nadszedł dzień, który miał rozstrzygnąć o reszcie ich życia.

– Przyniosłem coś dla ciebie – powiedział Jordan i wyjął z kieszeni okulary.

Oprawki były grube i szylkretowe, zupełnie inne od cienkich drucików, które na co dzień siedziały na nosie Petera.

– Ja... ja nie potrzebuję nowej pary – rzekł chłopak łamiącym się głosem.

– Mimo to chcę, żebyś je włożył.

– Dlaczego?

– Ponieważ każdemu będą się rzucać w oczy. A zależy mi na tym, byś wyglądał na człowieka, który za żadne skarby nie zdoła z rozmysłem wycelować w dziesięć osób.

Peter zacisnął dłoń na metalowym oparciu ławki.

– Jordan? Co się ze mną stanie?

Większość klientów trzeba mamić i oszukiwać, bo inaczej nie przebrnąłby przez proces. Ale Jordan doszedł do wniosku, że na tym etapie jest winien temu dzieciakowi szczerść.

– Nie wiem, Peterze. Nie dysponujemy silną linią obrony w świetle

takiego ogromu dowodów przemawiających przeciwko tobie. Prawdopodobieństwo uniewinnienia jest nikłe, niemniej będę walczył o ciebie jak lew. Okay?

Peter skinął głową.

– Chcę jedynie, żebyś zachował spokój. I wyglądał najżałośniej, jak potrafisz.

Twarz Petera zapadła się i pomarszczyła. Zwiesił głowę.

Dokładnie w ten sposób, pomyślał Jordan i w tej samej chwili spostrzegł, że Peter płacze.

Wstał z ławki i podszedł do drzwi celi. Kolejna rutyna w zawodzie adwokata. Jordan zazwyczaj pozwalał, by klient przeżywał w samotności tę chwilę załamania, która dopadała niemal wszystkich oskarżonych tuż przed wejściem na salę rozpraw. To nie była jego sprawa, a przecież Jordan znajdował się tutaj tylko po to, by dbać o rozwój własnej kariery. Jednak w łkaniach Petera pobrzmiwała taka nuta, która do głębi poruszała nawet jego twarde prawnicze serce. Zanim więc Jordan zdołał na chłodno rozważyć sens swojego postępowania, znalazł się z powrotem na ławce. Objął Petera ramieniem i natychmiast poczuł, jak chłopak się rozluźnia.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił, modląc się w duchu, by jego słowa nie okazały się jednym wielkim kłamstwem.

Diana Leven rozejrzała się po nabitej do granic możliwości sali, po czym poprosiła funkcjonariusza sądowego o zgaszenie świateł. Nacisnęła jeden z klawiszy w swoim laptopie i rozpoczęła prezentację.

Na ekranie wiszącym za sędzią Wagnerem ukazał się widok Sterling High o poranku. Po niebieskim niebie płynęły białe obłoki, przypominające kule cukrowej waty. Flaga wciągnięta na maszt powiewała na wietrze. Na szkolnej pętli parkowały w równym rzędzie trzy szkolne autobusy.

Diana stała w milczeniu, pozwalając, by ta sielska sceneria zapadła w pamięć wszystkim zgromadzonym.

W sali zaległa taka cisza, że słycać było wyraźnie szum komputera sądowej stenotypistki.

Jezu Chryste! – jęknął w duchu Jordan. Będę musiał w tym tkwić przez najbliższe trzy tygodnie.

W końcu Diana rozpoczęła swoją mowę wstępną.

– Oto jak wyglądało Sterling High w dniu szóstego marca 2007 roku, o siódmej pięćdziesiąt rano, tuż po rozpoczęciu zajęć. W owej chwili Courtney Ignatio znajdowała się w laboratorium chemicznym, gdzie pisała test z całego działu. Whit Obermeyer czekał w sekretariacie na wydanie przepustki, ponieważ spóźnił się do szkoły z powodu awarii samochodu. Grace Murtaugh opuszczała gabinet higienistki, do którego się zgłosiła po tabletkę paracetamolu na ból głowy. Matt Royston wraz ze swoim najlepszym przyjacielem, Drew Girardem, siedział na lekcji historii. Ed McCabe wypisywał na tablicy zadania dla swoich uczniów na późniejsze zajęcia. Szóstego marca o siódmej pięćdziesiąt żadna z tych osób nie podejrzewała, że będzie to dzień w jakikolwiek sposób różniący się od innych. Nie mieli też o tym pojęcia inni uczniowie czy pracownicy Sterling High.

Diana nacisnęła kolejny klawisz i na ekranie pojawiło się nowe zdjęcie: Ed McCabe leżący na podłodze z ziejącą raną jamy brzusznej, z której wylewają się wnętrzności. Obok niego – zapłakany chłopak, przyciskający ręce do brzucha nauczyciela.

– A oto obraz Sterling High szóstego marca o godzinie dziesiątej dziewiętnaście. Ed McCabe nie zdążył rozwiązać ze swoimi uczniami wypisanych na tablicy zadań, ponieważ dziewiętnaście minut wcześniej Peter Houghton, siedemnastoletni uczeń klasy przedmaturalnej, wpadł do szkoły z plecakiem, w którym znajdowały się cztery sztuki broni: dwa karabinki i dwa samopowtarzalne pistolety kaliber dziewięć milimetrów.

Jordan poczuł, że ktoś szarpie go za ramię.

– Jordan? – dobiegł go szept Petera.

– Nie teraz.

– Ale chce mi się rzygać...

– Łykaj szybko ślinę.

Diana tymczasem powróciła do poprzedniej fotografii – idyllicznego obrazka Sterling High.

– Przed chwilą powiedziałam, panie i panowie, że nikt w szkole nie zdawał sobie sprawy, iż ten dzień będzie w czymkolwiek odbiegał od typowego szkolnego dnia. Ale to nie do końca prawda. Była bowiem jedna osoba, która doskonale wiedziała, co się wydarzy. – Diana podeszła do stołu obrony i wskazała na Petera, uparcie wbijającego wzrok we własne kolana. – Rankiem szóstego marca 2007 roku Peter Houghton zapakował do plecaka cztery sztuki broni, parę bomb własnej roboty oraz taką ilość amunicji, która potencjalnie pozwalała na zabicie stu dziewięćdziesięciu ośmiu osób. Na podstawie materiału dowodowego oskarżenie wykaże, że tuż po przybyciu na teren szkoły oskarżony podłożył jedną z bomb pod samochodem Matta Roystona, aby jej odpaleniem odwrócić uwagę od swoich poczynań. W chwili eksplozji był już na frontowych schodach, gdzie postrzelił Zoe Patterson. W holu, nieopodal drzwi wejściowych, strzelił do Alyssy Carr. Potem przeszedł do kafeterii – tam ofiarą jego strzałów padli: Angela Phlug, Maddie Shaw, Courtney Ignatio, Haley Weaver, Brady Pryce, Natalie Zlenko, Emma Alexis, Jada Knight i Richard Hicks. Podczas gdy wokół umierali lub wili się w mękach ranni uczniowie, Peter Houghton zrobił coś wprost niewyobrażalnego: usiadł przy stole i ze stoickim spokojem spożył miskę płatków śniadaniowych.

Diana efektownie zawiesiła głos, by wszyscy, a przede wszystkim przysięgli, dobrze przyswoili sobie tę ostatnią informację.

– Kiedy już się posilił, zabrał plecak z bronią i ruszył dalej. W holu oddał strzały do Jareda Weinerja, Whita Obermeyera i Grace Murtaugh oraz do Lucii Ritolli – nauczycielki francuskiego, która próbowała wyprowadzić swoich uczniów ze strefy zagrożenia. Potem Peter Houghton wpadł do męskiej toalety, gdzie strzelił do Stevena Babouriasa, Mina Horuki i Tophera McPhee, a następnie przemieścił się do toalety damskiej, gdzie śmiertelnie ranił Kaitlyn Harvey. Wciąż ogarnięty żądzą zabijania wbiegł na pierwsze piętro. W holu jego

ofiarami padli Ed McCabe, nauczyciel matematyki, oraz dwaj uczniowie: John Eberhard i Trey MacKenzie. Następnie Peter Houghton ruszył w stronę sali gimnastycznej, gdzie oddał strzały do Austina Prokiova, trenera Dusty'ego Spearsa, Noaha Jamesa, Justina Friedmana i Drew Girarda. W końcu, w szatni gimnastycznej, oskarżony strzelił dwukrotnie do Matthew Roystona – raniąc go w brzuch i głowę. Zapewne pamiętacie państwo nazwisko tej ostatniej ofiary – to właściciel samochodu, pod którym Peter Houghton umieścił ładunek wybuchowy tuż przed rozpoczęciem swojej „akcji”.

Diana zwróciła się w stronę ławy przysięgłych.

– Ten śmiercionośny rajd trwał dziewiętnaście minut, ale oskarżenie wykaże, że już nigdy nie uda się zniwelować jego skutków. Panie i panowie, materiał dowodowy w tej sprawie jest przytłaczający i niepodważalny. W trakcie postępowania wysłuchają państwo zeznań dziesiątków świadków... I nim ten proces dobiegnie końca, oskarżenie zdoła wykazać ponad wszelką wątpliwość, że Peter Houghton z pełną premedytacją zamordował w szkole Sterling High dziesięć osób, a dziewiętnaście innych usiłował z rozmysłem pozbawić życia.

Diana podeszła do Petera.

– W dziewiętnaście minut można skosić frontowy trawnik, ufarbować włosy, obejrzeć tercję meczu hokejowego. Dziewiętnaście minut wystarczy, żeby zaplombować ząb, upiec ciastka, poskładać pranie pięcioosobowej rodziny. Lub też... jak to zrobił Peter Houghton, w dziewiętnaście minut można doprowadzić do zagłady istniejący dotychczas świat.

Jordan, z rękami w kieszeniach, podszedł swobodnym krokiem do ławy przysięgłych.

– Przed chwilą pani Leven oznajmiła wszystkim zgromadzonemu, że rankiem 6 marca 2007 roku Peter Houghton wszedł do budynku Sterling High z plecakiem wyładowanym bronią, a następnie postrzelił wiele osób. Nie negujemy tego faktu. Jest on potwierdzony

zgrupowanym materiałem dowodowym, którego prawdziwości nie zamierzamy kwestionować. Zdajemy sobie sprawę, że doszło do niewyobrażalnej tragedii, która dotknęła wielu członków naszej społeczności. Śmierć zebrała żniwo, wiele osób codziennie zmagają się z rozpaczą. Jednakże pani Leven nie powiedziała państwu najważniejszego: gdy Peter Houghton wybierał się owego dnia do szkoły, nie zamierzał wcielić się w postać wielokrotnego mordercy. Chciał natomiast dysponować środkami obrony przed przemocą, której doświadczał nieustannie przez dwanaście lat.

W pierwszym dniu swojej nauki Peter – wówczas pięcioletni przedszkolak – wsiadł do szkolnego autobusu z nowiusieńkim pudełkiem na lunch, ozdobionym wizerunkiem Supermana. Wymarzonym prezentem od mamy. Zanim autobus dotarł do miejsca przeznaczenia, pudełko wyrwano mu z rąk i wyrzucono za okno. Cóż... Zapewne każdy z nas, panie i panowie, przeżył w dzieciństwie jakiś traumatyczny epizod, wywołany okrucieństwem rówieśników, ale większość z nas szybko się z tego otrząsnęła. Problem w tym, że w wypadku Petera Houghtona to nie były jedynie okazjonalne incydenty. Od pierwszego dnia w przedszkolu doświadczał przemocy fizycznej, upokorzeń i zastraszania. To dziecko zamykano w uczniowskich szafkach, wsadzano mu głowę do miski klozetowej, podstawiano nogi, kopano je i okładano pięściami. Wykradziono jego prywatną korespondencję ze skrzynki mailowej i rozesłano do wszystkich uczniów Sterling High. Obnażono intymne części jego ciała na środku kafeterii. Peter znalazł się w świecie, w którym – bez względu na to, jak bardzo się starał nie rzucać ludziom w oczy i schodzić każdemu z drogi – padał nieustannie ofiarą prześladowań. W rezultacie wycofał się do świata wirtualnej rzeczywistości, którą kreował za pomocą programów komputerowych. Stworzył własną stronę internetową oraz projektował gry, zaludniając je postaciami, w których otoczeniu chciałby się znaleźć w realnym życiu.

Jordan przesunął dłonią po barierce oddzielającej przysięgłych od reszty sali.

– Jednym ze świadków, których zeznań państwo wysłuchają, jest doktor King Wah, psychiatra sądowy, który gruntownie przebadał Petera. Wyjaśni on państwu, że Peter cierpi na zaburzenie, zwane zespołem stresu pourazowego. To skomplikowana i powszechnie niezbyt jeszcze znana przypadłość, niemniej potwierdzona przez medycynę. Osoby, które są nią dotknięte, nie potrafią odróżnić zagrożenia rzeczywistego od wyobrażonego. Większość z nas na widok przechodzącego w oddali niedawnego prześladowcy jest w stanie racjonalnie ocenić, że w zaistniałej sytuacji nic nam z jego strony nie grozi. Ale nie Peter. Gdy ta sama osoba zamajaczy na jego horyzoncie, natychmiast znacząco wzrośnie mu tętno, a nieświadomy odruch każe się przycisnąć do ściany w postawie obronnej... przygotować na bicie bądź poniżenie. Doktor Wah nie tylko opowie państwu o wynikach badań przeprowadzonych na dzieciach poddawanych takiemu nękananiu jak Peter, ale przedstawi również obraz zmian, jakie zaszły w psychice Petera na skutek prześladowań, których nieustannie doświadczał w środowisku Sterling High.

Jordan ponownie powiódł wzrokiem po przysięgłych.

– Zapewne pamiętają państwo nasze pierwsze spotkanie kilka dni temu, gdy kompletowaliśmy skład ławy przysięgłych, prawda? Każdego kandydata pytałem wówczas, czy rozumie, że w trakcie procesu musi pilnie wysłuchać świadków obu stron, przeanalizować przedstawione dowody, a następnie ściśle się zastosować do instrukcji sędziego. Niewątpliwie pewne podstawy wiedzy prawnej zdobywamy w gimnazjum na lekcjach wychowania obywatelskiego, a potem pogłębiany je, oglądając co środa kolejny odcinek „Prawa i porządku” ... jednak dopiero na sali rozpraw, słuchając pouczeń wysokiego sądu, jesteśmy w stanie w pełni zrozumieć istotę wykładni prawa.

Jordan skrzyżował spojrzenie z każdym członkiem ławy z osobna.

– Na przykład, gdy większość ludzi słyszy określenie „obrona własna”, z góry zakłada, że to reakcja na bezpośrednie fizyczne zagrożenie życia – nóż przyłożony do gardła czy wycelowany pistolet. Ale w przedmiotowej sprawie ów termin może mieć inne znaczenie od

funkcjonującego w powszechnym obiegu. Na podstawie materiału dowodowego obrona wykaże, że osoba, która weszła do budynku Sterling High i oddała te wszystkie strzały, nie była wyrachowanym, zimnym mordercą, jak będzie próbowało przekonywać oskarżenie. – Jordan stanął za stołem obrony i położył dłonie na ramionach Petera. – Ale przerażonym chłopcem, który wiele razy zwracał się o pomoc i ochronę... niestety, nigdy jej nie otrzymał.

Siedząc na miejscu dla świadków, Zoe Patterson nerwowo ogryzała paznokcie, chociaż matka wielokrotnie jej przykazywała, że ma się od tego powstrzymać, i chociaż kierowały się na nią tryliony par oczu, a na dodatek (rany Julek!) obiektywy rozlicznych kamer.

– Na jakie zajęcia udałaś się po francuskim? – rzuciła prokurator. Wcześniej już zdążyła zapytać Zoe o jej imię, nazwisko, adres i początek owego okropnego dnia.

– Na matematykę z panem McCabe'em.

– O której rozpoczęła się lekcja?

– O dziewiątej czterdzieści.

– Czy przed matematyką widziałaś Petera Houghtona?

Zoe powędrowała wzrokiem w stronę stołu obrony – po prostu nie mogła się powstrzymać. Co za dziwna historia: Zoe chodziła do Sterling High od roku, a w ogóle nie знаła tego chłopaka. I nawet teraz, po tym jak ją postrzelił, mogłaby przejść obok niego na ulicy i nie skojarzyć jego twarzy – ba, w ogóle go nie zauważyć.

– Nie – odparła.

– Czy na lekcji matematyki wydarzyło się coś szczególnego?

– Nie.

– Czy zostałaś do końca zajęć?

– Nie. Na dziesiątą piętnaście miałam wyznaczoną wizytę u ortodonty, wyszłam więc trochę przed dziesiątą, żeby zostawić zwolnienie w sekretariacie i czekać przed szkołą na mamę.

– Gdzie dokładnie się umówiłyście?

- Na frontowych schodach.
- Czy zostawiłaś zwolnienie w sekretariacie?
- Tak.
- Stałaś na schodach?
- Tak.
- Czy był tam ktoś oprócz ciebie?
- Nie. O tej porze wszyscy siedzieli na lekcjach.

Prokuratorka zawiesiła na stojaku wielkie zdjęcie Sterling High i przyszkolnego parkingu z czasu przed strzelaniną. Zoe przejeżdżała tamtędy niedawno, ale cały teren zasłaniał wysoki płot, jakim z reguły otacza się miejsca budowy.

- Czy możesz na tym zdjęciu pokazać, gdzie dokładnie stałaś?

Zoe pokazała.

- Proszę o zaprotokołowanie, że świadek wskazał na frontowe schody Sterling High – powiedziała pani Leven. – A czy w czasie, gdy czekałaś na mamę, wydarzyło się coś szczególnego?

- Doszło do eksplozji.

- Gdzie?

- Gdzieś na tyłach budynku szkolnego – odparła Zoe i zerknęła na wielkie zdjęcie takim wzrokiem, jakby się spodziewała, że teraz ono lada chwila eksploduje.

- Co było potem?

Zoe potarła dłonią udo.

- On... on wyszedł zza rogu szkoły i zaczął wchodzić po schodach.

- Mówiąc „on”, masz na myśli oskarżonego Petera Houghtona?

Zoe skinęła głową.

- Spojrzałam na niego, a wtedy on... on wycelował do mnie z pistoletu i wystrzelił. – Zamrugnęła gwałtownie, żeby powstrzymać łzy napływające do oczu.

- Gdzie cię postrzelił? – spytała łagodnym głosem prokuratorka.

- W nogę.

- Czy odezwał się do ciebie, zanim oddał strzał?

- Nie.

– Czy w owym czasie znałaś jego nazwisko?

Zoe zaprzeczyła.

– Rozpoznałaś jego twarz?

– Znałam go z widzenia, to znaczy, chyba go widywałam w szkole...

Pani Leven odwróciła się do przysięgłych, ale wcześniej puściła oko do dziewczynki, co sprawiło, że Zoe od razu poczuła się lepiej.

– Z jakiej broni do ciebie strzelał? Czy to był pistolet, czy strzelba?

– Pistolet.

– Ile razy wystrzelił?

– Raz.

– Czy powiedział coś po tym, jak oddał strzał?

– Nie pamiętam.

– Co się działo później?

– Chciałam od niego uciec, ale noga piekła mnie żywym ogniem. Dosłownie. Jakby ktoś ją podpalił. Próbowałam poderwać się do biegu, ale nie dałam rady. Zwinęłam się wpół, upadłam na schody i wówczas nie mogłam już także ruszać ręką.

– Co zrobił oskarżony?

– Wszedł do szkoły.

– Jaki jest obecnie stan twojej nogi?

– Wciąż muszę chodzić o lasce – przyznała Zoe. – Rana została zainfekowana, ponieważ strzał wbił w ciało włókna moich dzinsów. Poza tym ścięgno styka się bezpośrednio ze zbliznowaceniem, więc to miejsce jest bardzo wrażliwe. Lekarze zastanawiają się nad kolejną operacją; istnieje jednak ryzyko, że po operacji stan się pogorszy.

– Zoe, czy w ubiegłym roku byłaś członkiem jakiejś szkolnej reprezentacji sportowej?

– Tak. W piłce nożnej. – Zoe zerknęła ze smutkiem na swoje udo. – Dzisiaj rozpoczynają się treningi.

Pani Leven spojrzała na sędziego.

– Nie mam więcej pytań – powiedziała. Po czym raz jeszcze zwróciła się w stronę świadka. – Zoe, mecenas McAfee chciałby ci teraz zadać

kilka pytań.

Adwokat podniósł się z za stołu i Zoe poczuła się nieswojo. Pani Leven poinformowała, o co będzie ją pytać, odbyły nawet małą próbę. Teraz natomiast dziewczyna zupełnie nie wiedziała, czego się spodziewać. A najbardziej jej zależało, żeby udzielać samych poprawnych odpowiedzi – zupełnie jak na teście w szkole.

– Kiedy Peter wyciągnął broń, był od ciebie oddalony o mniej więcej metr, zgadza się?

– Tak.

– Nie sprawiał wrażenia osoby, która chce cię bezpośrednio zaatakować, prawda?

– Prawda.

– Można było odnieść wrażenie, że tylko szybko chce pokonać schody, mam rację?

– Tak.

– Schody, na których ty stałaś?

– Tak.

– Czy można wobec tego zaryzykować twierdzenie, że znalazłaś się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim czasie?

– Sprzeciw! – wykrzyknęła pani Leven.

Sędzia, potężny mężczyzna z grzywą siwych włosów, który trochę przerażał Zoe, pokręcił głową.

– Oddalony.

– Nie mam więcej pytań – powiedział prawnik Petera Houghtona i wówczas ponownie podniosła się pani Leven.

– Zoe, co zrobiłaś po tym, jak Peter wszedł do budynku szkoły?

– Zaczęłam wzywać pomocy. – Zoe rozejrzała się po widowni, szukając wzrokiem matki. Bo jak ją zobaczy, łatwiej przyjdzie jej wypowiedzieć kolejne słowa. – Najpierw nikt się nie zjawił – mruknęła.

– A potem... potem wybiegli wszyscy.

Zanim Michael Beach usiadł na miejscu dla świadków, spędził ponad godzinę w sali służącej za miejsce odosobnienia świadków oskarżenia. Zebrało się tu dziwaczne grono ludzi – zaczynając od

frajerów takich jak on, Michael, a kończąc na gwiazdach sportu w rodzaju Brady'ego Pryce'a. Co jeszcze bardziej niesamowite, nikt się nie zamykał w obrębie własnych kast. Wszyscy siedzieli jak popadnie przy długim stole. Komputerowcy wymieszani z mięśniakami, mózgowcy z ćpunami. Emma Alexis – jedna z pięknych księżniczek Sterling High – teraz sparaliżowana od pasa w dół, zatrzymała swój wózek u boku Michaela. Poprosiła nawet, żeby się z nią podzielił swoim lukrowanym pączkiem.

Ale to było jakiś czas temu, bo teraz Michael znajdował się w sali rozpraw i odpowiadał na pytania oskarżenia.

– Jak się zachowywał Peter, gdy wpadł na salę gimnastyczną?

– Wymachiwał bronią – odparł Michael.

– Widziałeś, jaki to był rodzaj broni?

– Pistolet.

– Czy coś przy tym mówił?

Michael zerknął w stronę stołu obrony.

– Wykrzyknął: „Wszyscy mięśniacy wystąp!”.

– I co się wówczas wydarzyło?

– Jeden chłopak ruszył w jego stronę, jakby chciał go obezwładnić.

– Czy znałeś tego chłopca?

– Tak. To jest... to był Noah Jones, maturzysta. Peter do niego strzelił i Noah padł na podłogę.

– Co było potem?

Michael wziął głęboki oddech.

– Peter zapytał: „Kto następny?”. Wówczas mój przyjaciel, Justin, chwycił mnie za ramię i zaczął ciągnąć w stronę drzwi.

– Od kiedy przyjaźniłeś się z Justinem?

– Od trzeciej klasy podstawówki.

– Jak dalej potoczyły się wydarzenia?

– Peter musiał zauważyć jakiś ruch, bo się odwrócił i zaczął strzelać.

– Czy w rezultacie zostałeś ranny?

Zacisnął usta i pokręcił głową.

– Michaelu – odezwała się Diana Leven cichym głosem – kto został

postrzelony?

– Justin... Stał przede mną, gdy wybuchła strzelanina. I nagle... nagle upadł. Wszędzie tryskała krew. Próbowałem ją zatamować, tak jak pokazują w telewizji. Naciskałem ranę na brzuchu. Nie zwracałem już na nic uwagi, koncentrowałem się tylko na Justinie, i wtedy Peter przycisnął lufę do mojej głowy.

– No i?

– Zacisnąłem powieki... Byłem pewien, że mnie zastrzeli.

– I co dalej?

– Usłyszałem szcęk, otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Peter wyjmuję z pistoletu pojemnik na pociski i wymienia go na następny.

Diana podeszła do stołu i uniosła w górę magazynek. Na sam jego widok Michael się wzdrygnął.

– Czy to właśnie miałeś na myśli, mówiąc „pojemnik”?

– Tak.

– Co się następnie wydarzyło?

– Nie strzelił do mnie – odparł Michael. – Jego uwagę odwróciła trójka ludzi, którzy biegli przez salę gimnastyczną w stronę szatni.

– A Justin?

– Patrzyłem na jego twarz... – szepnął Michael. – Patrzyłem... na jego śmierć.

Pierwszą rzeczą, jaka stawała mu przed oczami, gdy się budził rano, i ostatnią, jaką widział pod powiekami, gdy wieczorami zasypiał, był moment, w którym zgasło światło w oczach Justina. Życie nie opuszcza człowieka powoli. Dzieje się to w ułamku chwili, jakby ktoś raptownie spuścił rolę w oknie.

Pani prokurator podeszła bliżej.

– Michael? Wszystko w porządku?

Skinął głową.

– Czy ty i Justin należeliście do „mięśniaków”?

– W żadnym razie. Byliśmy strasznymi łamagami – przyznał.

– Należeliście do grupy popularnych uczniów?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek któryś z kolegów bił was lub upokarzał? Czy kiedykolwiek padliście ofiarą nękania?

Michael po raz pierwszy spojrział na Petera Houghtona.

– A kto nie padł? – zapytał retorycznie.

Czekając, aż przyjdzie kolej na jej zeznania, Lacy rozpamiętywała moment, gdy po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że można znienawidzić własne dziecko.

Niemal dwa lata temu Lewis zaprosił do domu na obiad cholernie ważnego ekonomistę z Londynu. Lacy wzięła wolny dzień, żeby zrobić generalne porządki. Charakter jej pracy sprawiał, że toalety nie były pucowane z idealną regularnością, a pod meblami, po kątach, kłębiły się niekiedy koty kurzu. Zazwyczaj nie brała sobie tego szczególnie do serca. Uważała, że dom noszący wyraźne ślady zamieszkania jest przyjaźniejszy od pomieszczeń kłujących w oczy sterylną czystością. Chyba że mieli się zjawić goście – wtedy dochodziła do głosu ambicja i duma gospodyni.

Owego dnia wstała więc o świcie, przygotowała śniadanie i zdążyła już odkurzyć salon, gdy Peter – wówczas uczeń drugiej klasy liceum – opadł ze złością na kuchenne krzesło.

– Nie mam żadnych czystych majtek – oznajmił ciężko urażonym tonem, chociaż panująca w domu zasada głosiła, że sam ma się zajmować praniem swoich rzeczy. Ponieważ Lacy tak niewiele od niego wymagała, uznała, że nie jest to wygórowane żądanie. Przyjęła jednak komunikat syna ze stoickim spokojem. Zaproponowała, aby sobie pożyczył parę bokserek od Lewisa, co Peter z jakichś względów uznał za odrażające, zostawiła go więc sam na sam z jego problemem. Tego dnia miała aż nadto innych spraw na głowie.

Pokój syna zazwyczaj przypominał chlew, a nie pomieszczenie zamieszkane przez cywilizowaną istotę, ale Lacy była z tym wystarczająco pogodzona, by unikać jakiegokolwiek ingerencji w istniejący bałagan. Kiedy jednak przechodziła przez hol, kątem oka

dojrzała kosz na brudy, stojący w pokoju Petera. Ostatecznie i tak zajmowała się tego dnia domowymi porządkami, syn siedział w szkole, postanowiła więc w drodze wyjątku wyświadczyć mu przysługę. Zanim Peter się zjawił z powrotem w domu, Lacy nie tylko zdążyła odkurzyć cały dom, przetrzeć na mokro wszystkie podłogi, ugotować czterodaniowy posiłek i wyszorować kuchnię – ale jeszcze trzykrotnie załadowała pralkę brudami Petera, przepuściła je przez suszarkę i poskładała. Teraz na całej długości jego łóżka piętrzyły się czyste, posegregowane ubrania: oddzielnie spodnie, koszulki, majtki, skarpetki. Jedyne, co Peter powinien zrobić, to powkładać je do szafy i szuflad.

Zjawił się w domu chmurny i rozdrażniony, po czym natychmiast pognął do swojego pokoju i komputera, przed którym spędzał ostatnio lwią część czasu. Lacy – akurat urabiająca ręce po łokcie w toalecie – czekała, aż syn życzliwie doceni, co dla niego zrobiła. Tymczasem usłyszała przeciągły jęk.

– Jeeezuu! I ja mam teraz to wszystko pochować?!

Trzasnął drzwiami tak mocno, że aż się zatrzęśły ściany domu.

W tym momencie Lacy ujrzała mroczki przed oczami. Oto ona z dobrego serca pomogła synowi – swojemu absurdalnie rozpaskudzonemu synowi – i w zamian spotkała się z taką reakcją?! Zdecydowanym ruchem ściągnęła z rąk rękawice ochronne, wrzuciła je do umywalki, popędziła do pokoju Petera i z impetem otworzyła drzwi.

– W czym problem? – rzuciła wojowniczo.

Peter spiorunował ją wzrokiem.

– W czym problem?! Tylko popatrz na ten bajzel.

Tego już było za wiele! Lacy miała wrażenie, że w jej wnętrzu jakaś spirala rozjarza się na podobieństwo wolframu żarnika.

– Uprane przeze mnie rzeczy nazywasz bajzlem? Ja ci dopiero pokażę, jak wygląda bajzel!

Jednym ruchem ręki roztrąciła stos starannie poskładanych T-shirtów. Następnie chwyciła stertę synowskich bokserów i porozrzuciła je po podłodze. Szurnęła spodniami przez całą długość pokoju, tak że część z nich wylądowała na komputerze, a jedna z par zahaczyła o

stojak z kompaktami, posyłając srebrne krążki na wszystkie strony.

– Nienawidzę cię! – wrzasnął Peter.

A Lacy odparowała bez namysłu:

– Ja ciebie też!

I wtedy po raz pierwszy spostrzegła, że już są z Peterem tego samego wzrostu.

Wycofała się z pokoju syna, a on z całej siły trzasnął za nią drzwiami. Lacy niemal natychmiast się rozplakała. Przecież tak naprawdę nie czuła nienawiści do własnego dziecka... nie, w żadnym razie... to przecież niemożliwe. Kochała Petera. W tym momencie po prostu nie była w stanie przełknąć tego, co powiedział, jak się zachowywał.

Zapukała do drzwi. Nie zareagował.

– Peter! Peter, przepraszam za swoje słowa.

Przycisnęła ucho do gładkiego drewna. Z wnętrza nie dochodziły żadne odgłosy. Lacy zeszła więc na dół i dokończyła sprzątanie łazienki. Podczas obiadu zachowywała się jak zombi – mechanicznie prowadziła rozmowę z londyńskim profesorem, nie rejestrując tego, co sama mówiła. Peter się do nich nie przyłączył. Zobaczyła go dopiero nazajutrz.

Kiedy rano poszła obudzić syna, w pokoju go nie było, panował tam natomiast idealny porządek. Ubrania poskładane w równą kostkę leżały w szufladach. Łóżko zostało starannie zasłane. Kompakty znalazły się na stojaku, odpowiednio posegregowane.

Lacy zeszła do kuchni. Peter siedział przy stole i jadł swoje płatki. Nie spojrzał na matkę, ona też umykała wzrokiem. Wciąż jeszcze znajdowali się na dość grząskim gruncie. Lacy naląła do szklanki soku i postawiła przed synem. Grzecznie podziękował.

Żadne z nich nigdy nie wróciło do owego incydentu i słów, które między nimi padły. Ale Lacy poprzysięgła sobie, że bez względu na to, do jakiej frustracji doprowadzi ją nastoletni syn, bez względu na to, jak będzie egoistyczny i skoncentrowany na samym sobie, ona nigdy już nie dopuści, by ogarnęła ją prawdziwa, szarpiąca trzewia nienawiść do

własnego dziecka.

Teraz, gdy siedziała w sądowej salce konferencyjnej, a po drugiej stronie korytarza ofiary strzelaniny w Sterling High opowiadały o swoich przeżyciach, mogła się tylko karmić nadzieją, że nie złożyła swojej przysięgi na próżno.

W pierwszej chwili Peter jej nie rozpoznał. Dziewczyna wprowadzona przez pielęgniarkę na miejsce dla świadków – o twarzy poznaczonej połyskliwymi zbliznowaceniami, dodatkowo zniekształconej przez pomiażdżone kości, z włosami wystrzyżonymi tak, by się mieściły pod bandażami – usiadła w fotelu za barierką w sposób, który nasunął Peterowi skojarzenie z rybą wpuszczoną do nieznanego jej akwarium. Takie ryby opływają zbiornik z wielką ostrożnością, jakby wiedziały, że muszą starannie ocenić stopień ewentualnego zagrożenia, zanim zaczną normalnie bytować.

– Proszę podać imię i nazwisko do protokołu – odezwała się prokurator.

– Haley... Haley Weaver.

– W zeszłym roku była pani uczennicą maturalnej klasy w Sterling High?

Wargi dziewczyny się wydęły, po czym dziwnie zapadły. Blizna przecinająca skroń wybrzuszyła się jak szew piłki baseballowej i gwałtownie pociemniała – jej różowa barwa przeszła w gniewny szkarłat.

– Tak – odparła cicho Haley i zamknęła oczy. Po jej nienaturalnie wklęśniętym policzku spłynęła łza. – Byłam także królową piękności. – Zaczęła się lekko kołysać w rytm cichego łkania.

Peter poczuł ostry ból w piersiach, jak gdyby za chwilę miało mu eksplodować serce. Może, o ile dobrze pójdzie, padnie trupem na miejscu i oszczędzi wszystkim konieczności brnięcia przez ten koszmar. Bał się podnieść wzrok, ponieważ wówczas znowu miałby przed oczami Haley Weaver.

Pewnego razu, kiedy był jeszcze mały, bawił się w sypialni rodziców gąbkową piłką i niechcący strącił z toaletki flakon do perfum, który swego czasu należał do jego prababki. Cienki kryształ rozprysnął się na wiele kawałków. Mama powiedziała, że wypadki się zdarzają, po czym posklejała kawałki w całość. Postawiła pokancerowany flakon z powrotem na toalecie, więc ilekroć Peter przechodził obok pokoju rodziców, widział wyraźnie krechy przecinające szkło. I zawsze wówczas myślał, że to jest gorsze od najgorszej kary.

– Zarządzam krótką przerwę – odezwał się sędzia Wagner.

Peter oparł głowę o blat stołu; w tej chwili była zbyt ciężka, by mógł ją udźwignąć.

Świadkowie obrony i świadkowie oskarżenia zostali umieszczeni w oddzielnych pomieszczeniach, a jeszcze inny pokój zajmowali zeznający w sprawie policjanci. Teoretycznie osoby z owych trzech grup nie powinny się ze sobą stykać, ale w praktyce każdy mógł iść do sądowej kafeterii na kawę czy pączka – i tam właśnie godzinami przesiadywała Josie. Tam też natknęła się na Haley, która akurat piła sok pomarańczowy przez słomkę. Siedzący obok Brady podtrzymywał jej szklanekę.

Byli uszczęśliwieni widokiem Josie; ona jednak ucieszyła się dopiero wtedy, kiedy sobie poszli. Odczuwała wręcz fizyczny ból, gdy musiała się zmuszać do uśmiechu i udawać, że nie dostrzega koszmarnych zniekształceń na twarzy niedawnej przyjaciółki. Haley opowiadała, że przeszła już trzy operacje plastyczne w Nowym Jorku, które doskonali specjalista wykonał bezpłatnie.

Brady przez cały czas nie puszczał ręki ukochanej; chwilami gładził ją po włosach. Josie w tych momentach zbierało się na płacz, ponieważ wiedziała, że gdy on patrzył na Haley, miał przed oczami dziewczynę o twarzy, której już nikt nigdy nie zobaczy.

Przez kafeterię przewijały się również inne osoby, niewidziane przez Josie od czasu masakry. Nauczyciele – trener Spears i pani Ritolli

– podeszli nawet się przywitać. Pojawił się także DJ prowadzący szkolne radio – szóstkowy uczeń o twarzy pokrytej wyjątkowo zjadliwym trądzikiem.

Niespodziewanie na krześle naprzeciwko wyładował Drew.

– Dlaczego nie siedzisz w tej sali, co my wszyscy? – zapytał.

– Ponieważ jestem na liście świadków obrony.

Czyli, jak zapewne sądzili pozostali, na liście zdrajców.

– Ach, tak – mruknął Drew takim tonem, jakby wszystko pojmował, chociaż Josie była pewna, że kompletnie nic nie rozumiał. – Jesteś gotowa na to, co cię czeka?

– Nie muszę. Nie zostanę wezwana na salę rozpraw.

– Dlaczego więc tutaj jesteś?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Drew zaczął wymachiwać rękami, i wówczas spostrzegła, że w kafeterii pojawił się John Eberhard.

– Cześć! Sie ma! – wykrzyknął Drew i John skierował się w ich stronę. Poważnie kulał, ale przynajmniej był w stanie chodzić o własnych siłach. Pochylił się, by przybić piątkę z Drew, i wówczas Josie dostrzegła wklęśnięcie w jego czaszce – ślad po ranie wlotowej.

– Gdzieś ty się podziewał? – spytał Drew, gdy John usiadł na sąsiednim krześle. – Liczyłem na to, że spędzimy razem lato.

– Jestem... John...

Uśmiech Drew zniknął jak płomyk zdmuchniętej świecy.

– A... to...

– A to się, kurwa, w pale nie mieści – mruknął Drew.

– On cię słyszy – oburzyła się Josie i przyklękła przed Johnem.

– Cześć, John. Ja jestem Josie.

– Jooooooz.

– Właśnie. Josie.

– A... ja... John.

Od pierwszej klasy liceum John był bramkarzem w stanowej młodzieżowej drużynie hokejowej all-stars. Po każdym meczu zbierał niezliczone mnóstwo pochwał za swój niebywały refleks.

– Buuuuut – powiedział i wysunął do przodu nogę.

Josie zerknęła w dół i ujrzała, że puścił jeden z rzepów w adidasach Johna.

– Już się robi – powiedziała i docisnęła rzep. – Bardzo proszę.

Nagle poczuła, że nie jest w stanie dłużej na to wszystko patrzeć.

– Muszę iść – oświadczyła, wstając.

Ruszyła na oślep przed siebie, skręciła w bok i... zderzyła się z jakimś mężczyzną.

– Przepraszam – mruknęła.

– Josie? – dobiegł ją głos Patricka. – Wszystko w porządku?

Wzruszyła ramionami, ale zaraz pokręciła przecząco głową.

– W takim razie witam w klubie. – Patrick trzymał w ręku kubek z kawą i pączka. – Tak, wiem. Jestem chodzącym stereotypem gliniarza. Masz ochotę na coś słodkiego?

Wzięła oferowane ciastko, chociaż wcale nie była głodna.

– Idziesz do czy z kafeterii?

– Do – odparła i dopiero wtedy uprzytomniła sobie, że to nieprawda.

– W takim razie dotrzymaj mi towarzystwa. – Poprowadził ją do stolika stojącego naprzeciw tego, przy którym siedzieli Drew i John; Josie czuła na sobie ich wzrok – zapewne się zastanawiali, co ona robi u boku gliniarza. – To wyczekiwanie jest najgorsze – rzucił Patrick.

– Ciebie przynajmniej nie przeraża perspektywa składania zeznań.

– Oczywiście, że przeraża.

– Przecież z racji zawodu ciągle musisz zeznawać w sądzie, prawda? Patrick skinął głową.

– Mimo to za każdym razem zdejmuję mnie trema przed publicznym wystąpieniem. Kompletnie nie pojmuję, jak twoja mama sobie z tym radzi.

– Więc jak zwalczasz tę trewę? Wyobrażasz sobie sędziego w samych majtkach?

– Z pewnością nie tego sędziego – odparł Patrick i zaczerwienił się gwałtownie, gdy zdał sobie sprawę z niezamierzonego podtekstu swoich słów.

– To chyba rzeczywiście nie byłby najlepszy widok.

Patrick odgryzł kawałek pączka, po czym z powrotem oddał go Josie.

– Kiedy siadam na miejscu dla świadków, tłumaczę sobie, że wystarczy, jak będę mówił prawdę, po czym w pełni się zdaję na Dianę.

– Upił łyk kawy. – Masz na coś ochotę? Jakiś sok? Drugi pączek?

– Nie, dzięki.

– W takim razie odprowadzę cię do twojego pokoju odosobnienia. Chodźmy.

Salka przeznaczona dla świadków obrony należała do najmniejszych w sądzie, ponieważ było ich tak niewielu. Znajdował się w niej jakiś nieznany Josie Azjata, odwrócony plecami do wejścia i pochłonięty stukaniem w klawisze swojego laptopa. Przy niewielkim stole siedziała kobieta, której wcześniej nie było w tym pomieszczeniu; jej twarz pozostawała niewidoczna dla stojącej przy drzwiach Josie.

– Jak myślisz, co się dzieje na sali rozpraw? – zapytała na pożegnanie Patricka.

Po krótkiej chwili wahania odpowiedział:

– Wszystko się toczy swoim rytmem.

Josie przemknęła obok zastępcy szeryfa, który niańczył świadków obrony, i skierowała się na swoje miejsce przy oknie, gdzie przez cały ranek czytała książkę. W ostatniej chwili zmieniła jednak zdanie i usiadła przy stole, naprzeciwko kobiety, która złożyła ręce na blacie i patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Pani Houghton...?

Mama Petera zwróciła się w jej stronę.

– Josie? – Zmrużyła oczy, jak gdyby próbowała wywołać z pamięci dawno zapomniany obraz.

– Tak mi przykro – szepnęła Josie.

Pani Houghton skinęła głową.

– No cóż...

– Jak się pani miewa? – Ledwo Josie zadała to pytanie, zaczęła gorzko żałować, że nie może cofnąć tego, co powiedziała. Gdzie ona ma

rozum?! Jak, na Boga, matka Petera może się miewać w takiej sytuacji?! Zapewne całą energię wkładała teraz w zachowanie panowania nad sobą, bo w innym wypadku zamieniłaby się w opar i rozwiała w powietrzu. A to oznaczało, jak uprzytomniła sobie Josie, że coś jednak je łączyło.

– Nie przypuszczałam, że cię tutaj spotkam – odezwała się pani Houghton cicho.

Mówiąc „tutaj”, nie miała na myśli gmachu sądu, ale ten jakże mały i boleśnie pusty pokój, przeznaczony dla osób, które mogłyby powiedzieć coś dobrego na temat Petera.

Josie zakaszłała, żeby łatwiej przeszły jej przez gardło słowa, których nie wypowiadała od lat – które bałaby się wypowiedzieć w obecności kogokolwiek innego, bo mogłyby się odbić przerażającym echem.

– Peter jest moim przyjacielem.

– Poderwaliśmy się do biegu – powiedział Drew. – To przypominało masowy exodus. W tamtej chwili chciałem się po prostu znaleźć jak najdalej od kafeтерии, dlatego popędziłem w stronę sali gimnastycznej. Po drodze natknąłem się na dwoje moich przyjaciół, którzy nie mieli pojęcia, skąd padają strzały, więc im powiedziałem, żeby uciekali ze mną.

– Co to byli za przyjaciele? – spytała Leven.

– Matt Royston i Josie Cormier.

Na dźwięk imienia córki Alex przeszył dreszcz. Nagle ta cała sytuacja wydała jej się tak... rzeczywista... niemal namacalna. Tym bardziej że Drew wypatrzył Alex w tłumie i patrzył jej prosto w oczy, gdy wypowiadał imię Josie.

– Dokąd się razem udaliście?

– Uznaliśmy, że jeżeli zdołamy dobiec do szatni gimnastycznej, przedostaniemy się z okna na ten wielki klon, który rośnie na dziedzińcu, i wówczas już będziemy bezpieczni.

– Czy dotarliście do szatni?

– Matt z Josie tak. Ja zostałem wcześniej postrzelony.

Prokurator wdała się następnie z Drew w dyskusję na temat jego obrażeń, które definitywnie kładły kres wymarzonej karierze hokeisty. W końcu powróciła do zasadniczego wątku.

– Czy przed feralnym dniem znałeś Petera Houghtona?

– Tak.

– Skąd?

– Jesteśmy z tego samego rocznika. Wszyscy rówieśnicy w Sterling dobrze się znają.

– Przyjaźniliście się? – spytała Leven.

Alex zerknęła na Lewisa Houghtona, który siedział po przeciwnej stronie przejścia, tuż za synem, i nie odrywał wzroku od sędziego. Przypomniała sobie, jak lata temu otworzył jej drzwi, gdy przyszła po Josie bawiącą się w domu Houghtonów. Wówczas Lewis rzucił jakiś mało zabawny dowcip.

– Czy się przyjaźniliście?

– Nie.

– Czy Peter Houghton stwarzał ci jakieś problemy?

Chwila zawahania.

– Nie.

– Czy wdawaliście się w kłótnie lub sprzeczki?

– Czasami pewnie zdarzało nam się powiedzieć o parę słów za wiele.

– Czy szydziłeś z Petera? Stroiłś sobie żarty jego kosztem?

– Czasami. Ale to były zwykłe wygłupy.

– Czy kiedykolwiek zaatakowałeś go fizycznie?

– Gdy byliśmy dziećmi, może go czasami poszturchiwałem.

Alex ponownie zerknęła na Lewisa Houghtona, który teraz kurczowo zaciskał powieki.

– A zdarzało ci się go „poszturchiwać”, kiedy znaleźliście się w liceum?

– Tak – przyznał Drew.

- Czy kiedykolwiek groziłeś Peterowi bronią?
- Nie.
- Groziłeś, że go zabijesz?
- Skąd. My... tylko się wygłupialiśmy, jak to dzieciaki.
- Dziękuję.

Leven usiadła i teraz podniósł się Jordan McAfee. Był doskonałym prawnikiem – lepszym niż Alex miałaby ochotę przyznać. Na użytek przysięgłych odtwarzał dobrze wyreżyserowany spektakl: nieustannie szeptał coś Peterowi do ucha, w trudnych momentach kładł rękę na jego ramieniu, spisywał mnóstwo uwag podczas przesłuchania prowadzonego przez stronę przeciwną i dzielił się treścią tych notatek ze swoim klientem. Jeszcze nie nadszedł czas na przedstawienie argumentów obrony, a on już intensywnie ucłowieczał Petera – w przeciwieństwie do oskarżenia, które chciało za wszelką cenę uczynić z niego potwora.

- A więc Peter nie stwarzał ci problemów – rozpoczął McAfee.

- Nie.

- Za to ty nieustannie przysparzałeś problemów Peterowi, prawda?

Drew milczał.

- Panie Girard, czekamy na odpowiedź – włączył się sędzia Wagner.

- Czasami – niechętnie zgodził się Drew.

- Czy częstowałeś go kuksańcami?

Drew umknął wzrokiem.

- Mogło się zdarzyć... przez przypadek.

- Naturalnie. Wszystkim się zdarza od czasu do czasu ze zdumieniem skonstatować, że łokieć sam z siebie wyskoczył w bok w całkiem nieoczekiwanym momencie...

- Sprzeciw...

McAfee uśmiechnął się rozbrajająco.

- W istocie to nie były przypadki, prawda?

Siedząca przy stole oskarżenia Diana Leven podniosła długopis i upuściła go na podłogę. Ten odgłos zmusił Drew do podniesienia wzroku; jednocześnie mocno zadrgał mu mięsień na szczęcie.

– To były zwykłe żarty.

– Czy kiedykolwiek wpychałeś siłą Petera do szafki?

– Mogło się zdarzyć.

– Zwykłe żarty? – rzucił lekko McAfee.

– Tak.

– Rozumiem. Czy przewracałeś go na ziemię? Podstawiałeś mu nogę?

– Czasami.

– Chwileczkę... niech zgadnę... zwykłe żarty?

Drew spiorunował adwokata wzrokiem.

– Tak!

– Ściśle rzecz biorąc, uprawiałeś te „żarty” kosztem Petera od czasu, gdy byliście małymi dziećmi, zgadza się?

– Po prostu nigdy się nie przyjaźniliśmy. On nie był taki jak my! – wyrzucił z siebie Drew.

– My? To znaczy kto?

Drew wzruszył ramionami.

– Matt Royston, Josie Cormier, John Eberhard, Courtney Ignatio. Ludzie naszego pokroju. Którzy trzymali się razem od lat.

– Peter zna jakieś osoby z tego grona?

– Jasne. To małe miasto.

– A czy zna Josie Cormier?

Siedząca na widowni Alex mimo woli wstrzymała oddech.

– Tak.

– Czy kiedykolwiek byłeś świadkiem rozmowy tych dwojga?

– Nie pamiętam.

– Mniej więcej miesiąc przed strzelaniną, gdy wszyscy siedzieliście w kafeterii, Peter do was podszedł, ponieważ chciał porozmawiać z Josie. Mógłbyś nam o tym opowiedzieć?

Alex w napięciu pochyliła się do przodu. Poczwała na sobie czyjeś spojrzenie – palące niczym promienie słońca na pustyni. Teraz Lewis Houghton na nią przeniósł wzrok.

– Nie wiem, o czym rozmawiali.

– Ale byłeś świadkiem tej sytuacji?

– Tak.

– Josie należy do grona twoich przyjaciół... więc automatycznie nie należała do przyjaciół Petera?

– Nie. Ona jest jedną z nas.

– Czy pamiętasz, w jaki sposób zakończyła się rozmowa w kafeterii? Drew szybko spuścił wzrok.

– Chętnie odświeżę ci pamięć. Matt Royston zaszedł Petera od tyłu i ściągnął mu spodnie, gdy Peter próbował zamienić parę słów z Josie Cormier. Czy tak to mniej więcej wyglądało?

– Tak.

– W owym czasie w kafeterii było pełno uczniów?

– Tak.

– A Matt się nie ograniczył do ściągnięcia spodni... ściągnął również Peterowi majtki, prawda?

– Tak. – Usta Drew wykrzywił grymas.

– A ty byłeś tego świadkiem.

– Tak.

McAfee zwrócił się w stronę przysięgłych.

– Niech zgadnę raz jeszcze... zwykły żart?

W sali zapanowała cisza jak makiem zasiał. Drew wpatrywał się uporczywie w Dianę Leven, niemo błagając, by przerwała to przesłuchanie. Alex zrozumiała w tym momencie, że Drew jest pierwszą osobą – nie licząc Petera – złożoną przez oskarżenie na ołtarzu ofiarnym, z premedytacją wydaną na łup bezlitosnej opinii publicznej.

Jordan McAfee podszedł tymczasem do stołu obrony i wziął w rękę arkusz papieru.

– Czy przypominasz sobie, w jakim dokładnie dniu doszło do obnażenia intymnych części ciała Petera? – zwrócił się ponownie do Drew.

– Nie.

– W takim razie służę pomocą. Oto dowód rzeczowy obrony numer 1. Poznajesz ten tekst?

Podał kartkę Drew, który przebiegł jej treść wzrokiem, po czym wzruszył ramionami.

– To mail, który dotarł do ciebie trzeciego lutego, dwa dni przedtem, zanim doszło do incydentu w kafeterii Sterling High. Możesz nam powiedzieć, od kogo on jest?

– Od Courtney Ignatio.

– Czy ten mail został wysłany na jej adres i przeznaczony dla jej oczu?

– Nie – odparł Drew. – Został napisany do Josie.

– Przez kogo?

– Przez Petera.

– Czego dotyczył?

– Josie. Tego, że on coś do niej ma.

– Przez „on coś do niej ma” rozumiesz zaangażowanie uczuciowe?

– Tak – odparł Drew.

– Co zrobiłeś z tym mailem?

– Rozesłałem wszystkim ludziom ze Sterling High.

– Uściślijmy fakty – powiedział McAfee. – Wszedłeś bezprawnie w posiadanie listu, w którym Peter przedstawiał swoje najskrytsze uczucia, i rozesłałeś go wszystkim dzieciakom, uczęszczającym do waszego liceum?

Drew milczał.

Uderzeniem dłoni Jordan McAfee rozpląszczył kartkę papieru na balustradzie barierki oddzielającej miejsce dla świadków.

– I co, Drew? Uważasz, że udał ci się żart?

Drew Girard pocił się jak szalony. Po jego plecach spływały małe strumyki wilgoci, pod pachami wykwitwały mokre plamy. I trudno się temu dziwić. Ta suka, prokuratorka, nieźle go załatwiła. Pozwoliła, żeby jakiś adwokacki kutas przeciągnął go przez wyżymaczkę; w rezultacie wszyscy już do końca życia będą go mieli za totalną szmatę, podczas

gdy on – jak każdy dzieciak w Sterling High – chciał się tylko trochę zabawić.

Podniósł się z fotela, by jak najszybciej wyprysnąć z sali i zatrzymać się dopiero gdzieś za granicami miasta, ale w tej samej chwili podeszła do niego Diana Leven.

– Jeszcze nie skończyliśmy – oznajmiła.

Zrezygnowany opadł z powrotem na fotel.

– Czy oprócz Petera Houghtona kogoś jeszcze obrzucałeś wyzwiskami?

– Taaak... – odparł nieufnie.

– To dość typowe dla nastoletnich chłopców?

– Chyba tak.

– Czy którakolwiek z osób, które obrzucałeś wyzwiskami, kiedykolwiek do ciebie strzelała?

– Nie.

– Czy byłeś świadkiem publicznego ściągnięcia majtek komukolwiek innemu niż Peter Houghton?

– Jasne – odparł Drew.

– Czy którakolwiek z tych osób kiedykolwiek do ciebie strzelała?

– Nie.

– Czy poza wspomnianym wypadkiem zdarzyło ci się rozesłać po całej szkole cudzą korespondencję?

– Raz lub dwa.

Diana skrzyżowała ramiona.

– Którakolwiek z tych osób kiedykolwiek strzelała do ciebie?

– Nie, proszę pani.

Prokurator wróciła na swoje miejsce.

– Nie mam więcej pytań.

Dusty Spears doskonale rozumiał mentalność dzieciaków pokroju Drew Girarda, ponieważ swego czasu należał do tej samej rasy. W jego opinii agresywni pogromcy słabeuszy albo byli na tyle dobrzy, że

zdobywali stypendia sportowe do jednego z dziesięciu najlepszych uniwersytetów w kraju, gdzie zawierali odpowiednie znajomości biznesowe, dzięki którym resztę życia spędzali na grze w golfa, albo – zanim to osiągnęli – rozwalali sobie kolana i lądowali jako nauczyciele WF w jednej z publicznych szkół średnich.

Dzisiaj Dusty musiał włożyć koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i krawat, co go nieźle wpięprzało, bo obwód szyi miał nadal taki sam jak w czasach, gdy w osiemdziesiątym ósmym grał na pozycji ofensywnego skrzydłowego w futbolowej reprezentacji Sterling High, choć może jego pozostałe mięśnie już nie przedstawiały równie imponującego widoku.

– Peter nie miał w sobie sportowego ducha – poinformował Dianę Leven. – Widywałem go jedynie na lekcjach WF. Nigdy nie przychodził na żadne z dodatkowych zajęć.

– Czy był pan świadkiem nękania Petera przez innych uczniów?

Dusty wzruszył ramionami.

– Zwykle przepychanki w szatni gimnastycznej.

– Interweniował pan?

– Pewnie kazałem dzieciakom wziąć na wstrzymanie. Ale ostatecznie takie zabawy to część dorastania, prawda?

– Czy kiedykolwiek słyszał pan, by Peter komuś groził?

– Sprzeciw – czujnie zareagował Jordan McAfee. – Spekulacje.

– Uwzględniam – zdecydował sędzia.

– Gdyby jednak usłyszał pan tego typu pogróżki, czy uznałby za stosowne interweniować?

– Sprzeciw!

– Podtrzymany. Pani prokurator, ostrzegam.

Diana nawet nie mrugnęła okiem.

– Tak czy inaczej, Peter nigdy się nie zgłaszał do pana z prośbą o pomoc?

– Nie.

Usiadła za swoim stołem i teraz podniósł się prawnik Houghtona. Należał do gatunku pieprzonych, zarozumiałych snobów, którzy doprowadzali Dusty'ego do białej gorączki; zapewne w dzieciństwie ten

facet nie potrafił nawet porządnie rzucić piłki, ale gdy chciało się go nauczyć tej sztuki, tylko krzywił się szyderczo, ponieważ już wtedy wiedział, że pewnego dnia będzie zarabiał kilka razy więcej od ludzi takich jak Dusty.

– Czy w Sterling High opracowano zasady postępowania w sytuacji prześladowania uczniów przez kolegów?

– Nie pozwalamy na podobne zachowania.

– Ach tak – rzucił sucho McAfee. – To brzmi bardzo pokrzepiająco. Powiedzmy więc, że codziennie, tuż pod pańskim nosem, dochodzi w szatni gimnastycznej do aktów fizycznej bądź werbalnej agresji... co powinien pan zrobić, zgodnie z wypracowanymi zasadami?

Dusty spojrział na adwokata pustym wzrokiem.

– Opisano to w instrukcji dla nauczycieli. Z przyczyn oczywistych nie zabrałem jej ze sobą.

– Ale tak się szczęśliwie składa, że ja ją mam przy sobie – odparł McAfee. – Oto dowód rzeczowy obrony numer 2. Czy to zasady postępowania, dotyczące incydentów, w których dochodzi do jakiejś formy przemocy?

Dusty wziął w rękę zadrukowany arkusz papieru i rzucił na niego wzrokiem.

– Tak.

– Wszyscy nauczyciele otrzymują tę informację, wraz z innymi wytycznymi, zawsze w sierpniu przed rozpoczęciem zajęć?

– Tak.

– A to jest najświeższa wersja z roku szkolnego 2006/2007?

– Tak sędzę.

– Panie Spears, proszę przeczytać uważnie te zasady – całe dwie strony, na których je pomieszczono – i powiedzieć nam, jak pan, będąc nauczycielem, powinien się zachować, gdy widzi, że któryś z uczniów jest nękany.

Dusty westchnął teatralnie i jął przebiegać wzrokiem wręczony tekst. Zwykle, gdy otrzymywał wytyczne dla nauczycieli, natychmiast wpychał je do szuflady, w której trzymał menu restauracji

specjalizujących się w daniach na wynos. Te najważniejsze reguły od dawna znał na pamięć: pod żadnym pozorem nie opuszczać dnia, w którym ma się zjawić wizytacja z kuratorium; wszelkie zmiany programowe zgłaszać na piśmie w dyrekcji; unikać przebywania sam na sam z uczennicami.

– Tutaj napisano... – zaczął odczytywać – ...że rada szkolna dołoży wszelkich starań, aby środowisko szkolne było bezpieczne dla wszystkich uczniów oraz pracowników. Przemoc fizyczna i psychiczna, nękanie, zastraszanie, wulgarny język, akty poniżania nie będą pod żadnym pozorem tolerowane. – Dusty uniósł wzrok znad kartki. – Czy to pana satysfakcjonuje?

– Nie, obawiam się, że ani trochę. Jak pan, jako nauczyciel, ma się zachować, gdy się zetknie z podobnym zachowaniem?

Dusty czytał dalej. Znalazł definicję poniżania, zastraszania, nękania. Wspomniano tu także, że jeżeli jakiś uczeń będzie świadkiem niestosownego zachowania jednego kolegi wobec drugiego, ma o tym zameldować nauczycielowi lub pracownikowi administracji szkolnej. Nie opisano jednak żadnego trybu postępowania dla samych nauczycieli lub pracowników administracyjnych.

– Nie mogę znaleźć – odparł Dusty.

– Dziękuję, panie Spears. Nie mam więcej pytań.

Jordan McAfee z pewnością chętnie wpisałby Dereka Markowitza na listę świadków obrony, ponieważ Derek był jedynym przyjacielem Petera. Ale Diana wiedziała, że powinna go wykorzystać jako świadka oskarżenia z racji tego, co ten chłopak widział i słyszał. W najmniejszym stopniu nie przejmowała się natomiast ewentualnymi więzami lojalności – przez lata pracy w swoim zawodzie wielokrotnie była świadkiem obsmarowywania ludzi przez najlepszych przyjaciół.

– A więc, Dereku – zaczęła przyjaznym tonem, by ośmielić chłopaka – jesteś przyjacielem Petera.

Derek spojrzał Peterowi w oczy i spróbował się uśmiechnąć.

– Tak.

– I zdarzało wam się spędzać razem sporo czasu także po zajęciach szkolnych?

– Tak.

– Czym się wówczas zajmowaliście?

– Obaj pasjonujemy się komputerami. Najpierw graliśmy w różne ogólnie dostępne gry, ale potem zaczęliśmy się uczyć programowania, żeby tworzyć własne.

– Czy Peter kiedykolwiek projektował i realizował jakieś gry komputerowe samodzielnie, bez twojego udziału?

– Jasne.

– I co z nimi robił?

– Graliśmy w nie razem. Umieszczał je też na specjalnych stronach internetowych, gdzie inni ludzie mogli wystawiać im ocenę.

Derek podniósł wzrok i wówczas ujrzał stojące na końcu sali kamery telewizyjne. Szczeka mu opadła z wrażenia i dosłownie zastygł jak skamieniały.

– Derek... Derek? – Diana poczekała, aż chłopak ponownie skoncentruje na niej uwagę. – Pokażę ci teraz pewien kompakt. Jest to dowód rzeczowy oskarżenia numer 302... Możesz nam powiedzieć, co zawiera ta płyta?

– Jedną z najnowszych gier Petera.

– Jaką nosi nazwę?

– „Hide-n-Shriek”.

– Mógłbyś w zarysie przedstawić jej fabułę?

– To jedna z tak zwanych strzelanek. Przemierza się określony obszar i zabija czarne charaktery.

– Jakie postaci są w tej grze czarnymi charakterami?

Derek ponownie zerknął na Petera.

– Gwiazdy sportu.

– W jakiej scenerii rozgrywa się ta gra?

– W szkole.

Kątem oka Diana zauważyła, że Jordan niespokojnie poruszył się na

krześle, szykując się do sprzeciwu. Zmieniła taktykę.

– Derek, czy byłeś w Sterling High 6 marca 2007 roku?

– Uhm.

– Jaka była twoja pierwsza lekcja owego dnia?

– Matematyka.

– A po niej?

– Angielski.

– Czy pozostałeś na tych zajęciach do końcowego dzwonka?

– Nie. Na następnej godzinie miałem WF, a dostałem zwolnienie lekarskie z ćwiczeń, ponieważ zaostrzyła się moja astma. Tak się złożyło, że przed czasem skończyłem pisać esej na angielskim, poprosiłem więc panią Eccles, by pozwoliła mi pójść do samochodu po to zwolnienie.

Diana skinęła głową.

– Gdzie w owym czasie znajdował się twój samochód?

– Na parkingu dla uczniów. Za szkołą.

– Czy możesz nam pokazać na tym diagramie, którymi drzwiami opuściłeś budynek pod koniec drugiej godziny lekcyjnej?

Derek wziął do ręki wskaźnik i pokazał jedno z tylnych wyjść.

– Co zobaczyłeś, gdy się znalazłeś na zewnątrz?

– Mhm... mnóstwo samochodów.

– Czy kogoś spotkałeś?

– Owszem – odparł Derek. – Petera. Wydawało mi się, że wyjmuję coś z tylnego siedzenia swojego auta.

– Co wówczas zrobiłeś?

– Podszedłem, żeby się przywitać. Zapytałem, czemu tak późno przyjechał do szkoły, a on się wówczas wyprostował i bardzo dziwnie na mnie spojrzał.

– Dziwnie? To znaczy?

Derek potrząsnął głową.

– Trudno powiedzieć. Jakby przez moment kompletnie nie wiedział, kim jestem.

– Czy się do ciebie odezwał?

– Powiedział: „Wracaj do domu. Tu się zaraz coś wydarzy”.

– Uznałeś, że to niezwykle?

– Jakby żywcem wyjęte z „Twilight Zone” ...

– Czy Peter kiedykolwiek wypowiedział podobne słowa?

– Tak – przyznał Derek.

– Kiedy?

Zgodnie z przewidywaniami Diany Jordan zgłosił sprzeciw i zgodnie z jej pobożnym życzeniem sędziego Wagner go odrzucił.

– Kilka tygodni temu. Gdy po raz pierwszy graliśmy w „Hide -n- Shriek”.

– Co dokładnie wówczas powiedział?

Derek spuścił wzrok i mruknął coś pod nosem. Diana podeszła do barierki.

– Muszę prosić, żebyś mówił głośniej.

– Powiedział: „Kiedy do czegoś podobnego dojdzie w rzeczywistości, to będzie dopiero niesamowite”.

Przez salę niczym rój dzikich pszczoł przeleciał szmer gniewnych głosów.

– Czy wiesz, co miał wówczas na myśli?

– Uznałem... że po prostu żartuje.

– Gdy spotkałeś Petera na parkingu w dniu strzelaniny, widziałeś, co robił w samochodzie?

– Nie... – Derek urwał, odkaszlnął. – Skwitowałem jego słowa śmiechem i powiedziałem, że muszę wracać na zajęcia.

– Co się następnie wydarzyło?

– Wszedłem do budynku tymi samymi drzwiami i pognałem do sekretariatu, żeby moje zwolnienie podpisała pani Whyte. Akurat była zajęta. Rozmawiała z jakąś dziewczyną, zwalnającą się z lekcji z powodu wizyty u ortodonty.

– I co dalej? – spytała Diana.

– Wkrótce po wyjściu dziewczyny usłyszeliśmy z panią Whyte huk eksplozji.

– Czy widziałeś, gdzie do niej doszło?

– Nie.

– Jak następnie potoczyły się wydarzenia?

– Zerknąłem na monitor komputera, stojący na biurku pani Whyte. Przez ekran biegło coś w rodzaju wiadomości...

– Jak była jej treść?

– „Raz, dwa, trzy... szukam”. – Derek nerwowo przełknął ślinę. – I zaraz usłyszeliśmy ciche „pał”, jakby strzelały korki od szampana. Pani Whyte chwyciła mnie za rękę i zaciągnęła do gabinetu dyrektora.

– Czy tam również znajduje się komputer?

– Tak.

– Co widniało na ekranie monitora?

– „Raz, dwa, trzy... szukam”.

– Jak długo przebywaliście w gabinecie?

– Nie wiem. Dziesięć... dwadzieścia minut. Pani Whyte próbowała zadzwonić na policję, ale nie działały telefony.

Diana zwróciła się w stronę podwyższenia sędziowskiego.

– Wysoki sędzie, wnoszę o przedstawienie ławie przysięgłych materiału oznaczonego jako dowód rzeczowy oskarżenia numer 302. In extenso.

Poczekala, aż jeden z zastępców szeryfa wtoczy na salę duży monitor z komputerem, w którym umieściła CD-ROM.

Na ekranie wyświetlił się duży napis: HIDE-N-SHRIEK. DOKONAJ WYBORU BRONI.

Potem w animacji 3-D pojawił się chłopiec w grubych okularach oraz golfie i zaczął przeglądać zestawy kusz, uzi, kałasznikowów oraz broni biologicznej. Sięgnął po jeden z karabinów i załadował go amunicją. Następnie ukazało się zbliżenie jego twarzy: piegi, aparat korekcyjny na zębach, rozgorączkowany wzrok.

Ekran pokrył się błękitem i od góry do dołu zaczął przepływać kolejny napis.

RAZ, DWA, TRZY... SZUKAM.

Derek lubił pana McAfee'ego. Nie należał do szczególnych przystojniaków, a i tak miał za żonę ekstraseksowną laskę. Poza tym był chyba jedyną osobą w Sterling, niespokrewnioną z Peterem, która autentycznie mu współczuła.

– Derek, przyjaźnicie się z Peterem od szóstej klasy, zgadza się? – zapytał mecenas.

– Tak.

– Spędzaliście razem wiele czasu zarówno w szkole, jak i po lekcjach?

– Tak.

– Czy byłeś świadkiem nękania Petera przez innych kolegów?

– Cały czas – odparł Derek. – I jego, i mnie wyzywali od ciot i pedałów. Ciągnęli za gumki od majtek, żeby wrzynały nam się w tyłek. Kiedy przechodziliśmy korytarzem, podstawiali nam nogi lub zamykali nas w szafkach. I tak dalej.

– Czy mówiłeś o tym nauczycielom?

– Parę razy, jak byłem młodszy. Ale to tylko pogorszyło sprawę. Dostawałem dodatkowy wycisk za to, że donoszę na kolegów.

– Czy rozmawialiście kiedykolwiek z Peterem na temat tego, co was spotyka?

Derek pokręcił głową.

– Nie. Nie musieliśmy o tym gadać, bo każdy z nas wiedział, co znaczy być poniżanym na każdym kroku.

– Jak często dochodziło do podobnych incydentów... raz w tygodniu?

Derek prychnął.

– Co najmniej raz dziennie.

– Czy tylko ciebie i Petera spotykały te przykrości?

– Nie. Byli też inni.

– Kto najczęściej stosował te praktyki?

– Mięśniacy – odparł Derek. – Matt Royston, Drew Girard, John Eberhard...

– Czy jakieś dziewczęta również celowały w poniżaniu innych?

– Jasne. Te, które patrzyły na nas tak, jakbyśmy byli jakimś paskudztwem, rozpląsnętym na przedniej szybie samochodu. Courtney Ignatio, Emma Alexis, Josie Cormier, Maddie Shaw.

– Jak należy się zachować, gdy ktoś cię próbuje zamknąć w ciasnej szafce?

– Nie sposób się przed tym obronić, ponieważ te gwiazdy sportu są silniejsze... więc trzeba po prostu to przeczekać.

– Czy prawdziwe byłoby stwierdzenie, że grupa osób, którą wymieniałeś – Matt, Drew, Courtney, Emma i reszta – prześladowała kogoś bardziej zajadle niż pozostałych kolegów?

– Owszem – odparł Derek. – Petera.

Po tych słowach mecenas zasiadł za stołem, a podniosła się pani prokurator.

– Derek, powiedziałeś nam, że ty również bywałeś ofiarą przemocy werbalnej i fizycznej – zaczęła.

– Tak.

– Jednak z tego powodu nie pomagałeś Peterowi w konstruowaniu bomby mającej posłużyć do wysadzenia w powietrze cudzego auta, zgadza się?

– Nie pomagałem.

– Nie pomogłeś Peterowi włamać się do komputerów i centrali telefonicznej Sterling High, by uniemożliwić wezwanie pomocy?

– Nie.

– Nie ukradłeś nikomu broni i nie ukrywałeś jej w swoim pokoju?

– Nie.

Diana Leven postąpiła krok do przodu.

– W odróżnieniu od swojego przyjaciela nie opracowałeś planu spacyfikowania szkoły i wystrzelania kolegów, którzy ci najbardziej dokuczali?

Derek zwrócił się w stronę Petera i spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie – odparł. – Ale czasami bardzo żałuję, że nie miałem na to dość odwagi.

W ciągu lat pracy w zawodzie położnej Lacy często spotykała swoje dawne pacjentki – w supermarkecie, w banku, na ścieżce rowerowej. Większość z nich zawsze z dumą prezentowała swoje dzieci – wówczas już trzy-, siedmio- czy piętnastoletnie. „Popatrz, jak cudownie się spisałaś” – mówiły niektóre, jakby pomoc w sprowadzeniu na świat dziecka miała jakikolwiek wpływ na jego dalszy rozwój.

Teraz, w konfrontacji z Josie Cormier, Lacy nie umiała precyzyjnie zdefiniować swoich odczuć. Pół dnia spędziły na grze w wisielca – co w tej sytuacji było doprawdy ironią losu. Lacy przyjęła Josie na świat, ale znała ją również jako małą dziewczynkę, która przyjaźniła się z jej synem. A potem serdecznie ją znienawidziła za okrucieństwo, z jakim porzuciła Petera. Może Josie nie zapoczątkowała prześladowań, których w szkole średniej doświadczał Peter, ale też nie zrobiła nic, bym im zapobiec, co w opinii Lacy czyniło tę dziewczynę winną na równi z innymi.

I nagle się okazało, że Josie nie tylko wyrosła na piękną młodą kobietę, ale również na osobę zrównoważoną, cichą i myślącą. Nie miała nic wspólnego z pustymi, materialistycznie nastawionymi pannicami, paradującymi po głównej galerii handlowej. Stanowiły one trzon elity Sterling High, a Lacy zawsze przywodziły na myśl pajęczycę – czarne wdowy, bezustannie rozglądające się za kimś, komu mogłyby zrujnować życie. Lacy była też szczerze zdumiona, gdy Josie zaczęła ją wypytywać o Petera: Czy się denerwował przed rozprawą? Czy życie w więzieniu jest ciężkie? Czy nikt go tam nie prześladowuje? „Napisz do niego list – zasugerowała Lacy. – Z pewnością sprawisz tym Peterowi prawdziwą przyjemność”.

Josie szybko umknęła wzrokiem i wówczas Lacy sobie uprzytomniła, że tak naprawdę ta dziewczyna nie przejmuje się losem Petera – stara się jedynie być uprzejma.

Rozprawa została odroczonej do następnego dnia; sędzia zwolnił świadków do domu, wydając przez zastępców szeryfa surowe zalecenie, by nie oglądali wiadomości telewizyjnych, nie czytali gazet i z nikim nie rozmawiali na temat toczącego się procesu. Lacy wyszła z

salki i skierowała się do toalety; minie dobrych kilka minut, zanim będzie mogła wsiąść do samochodu i pojechać do domu, ponieważ Lewis nieszybko zdoła się przebić przez hordy reporterów koczujących pod salą rozpraw.

Kiedy wyszła z kabiny i myła ręce, do łazienki weszła Alex Cormier.

Wraz z nią wtargnął z holu zgiełk, który jednak ucichł jak nożem uciał po zamknięciu drzwi. Oczy obu kobiet spotkały się w długim lustrze, umieszczonym nad umywalkami.

– Lacy... – mruknęła Alex.

Lacy sięgnęła po papierowy ręcznik. Nie wiedziała, jak zareagować na obecność Alex Cormier. Teraz wprost nie mogła uwierzyć, że w pewnym momencie życia miały sobie w ogóle coś do powiedzenia.

Swego czasu w gabinecie Lacy stała trzykrotka, która powoli obumierała, dopóki sekretarka nie przesunęła sterty książek leżących na parapecie i blokujących dopływ światła. Zapomniała jednak przestawić roślinę i połowa pędów zaczęła się garnać do odsłoniętego okna, wyginając się w sposób przeczący prawom grawitacji. Lacy i Alex przypominały tę trzykrotkę: Alex nadała swojemu życiu nowy kierunek, a Lacy... cóż, ona tego nie zrobiła. W rezultacie karłała, wiedziała, dusiła się w plątaninie własnych dobrych chęci.

– Tak mi przykro – powiedziała Alex. – Tak mi przykro, że musisz przez coś podobnego przechodzić.

– Mnie również przykro.

Wyglądało na to, że Alex chce jeszcze coś dodać, ale w końcu się nie odezwała. Lacy też nie miała ochoty na rozmowę. Skierowała się więc ku drzwiom z zamiarem odszukania Lewisa. Zatrzymał ją jednak głos Alex.

– Lacy... ja niczego nie zapomniałam.

Lacy się odwróciła.

– Peter lubił kanapki z piankami owocowymi i masłem orzechowym. – Alex uśmiechnęła się blado. – I miał najdłuższe rzęsy, jakie kiedykolwiek widziałam u małego chłopca. Poza tym umiał znaleźć nawet najdrobniejszą rzecz, jaką zdarzyło mi się upuścić –

kolczyk, szkło kontaktowe, szpilkę – zanim bezpowrotnie zginęła.

Podeszła do Lacy.

– Tak długo, jak coś żyje w ludzkiej pamięci, nie rozplywa się w niebycie, prawda?

Lacy spojrzała na Alex poprzez łzy.

– Dziękuję – szepnęła. Po czym szybko wyszła z toalety, by całkowicie się nie załamać na oczach tej kobiety – teraz już zupełnie obcej – która umiała zrobić coś, do czego Lacy nie była zdolna: spojrzeć na przeszłość jak na cenny skarb, a nie źródło klęski.

– Josie – odezwała się matka po drodze do domu – dzisiaj w sądzie odczytano pewien mail. Ten, który Peter wysłał na twój adres.

Josie odwróciła się w stronę Alex przerażona. Powinna była przewidzieć, że sprawa tego maila wyjdzie na rozprawie; jak mogła być taka głupia i wcześniej o tym nie pomyśleć?!

– Nie miałam pojęcia, że Courtney go rozesłała – rzuciła pośpiesznie. – Nawet go nie widziałam na oczy, dopóki go nie przeczytała cała szkoła.

– To musiało być bardzo przykre.

– Cóż... było. Wszyscy się dowiedzieli, że on się we mnie kocha.

Matka posłała jej spojrzenie z ukosa.

– Miałam na myśli PETERA.

Josie przypomniała sobie nagle dzisiejsze spotkanie z Lacy Houghton. Minęło zaledwie dziesięć lat, a Lacy tak bardzo zapadła się w sobie i niemal całkiem posiwiła. Czy to możliwe, że rozpacz gwałtownie przyspiesza bieg czasu? Zmieniony wygląd matki Petera był dla Josie straszliwie przygnębiający, ponieważ pamiętała ją jako radosną osobę, która nigdy nie nosiła zegarka i zupełnie się nie przejmowała, że dzieci robią bałagan, o ile w jego następstwie powstawało coś godnego uwagi. Kiedy Josie była mała i spędzała popołudnia u Petera, Lacy czasami piekła dla nich ciastka ze wszystkiego, co akurat znajdowało się w spizarce. Z płatków

zbożowych, pszenicznych kielków, żelków i pianek owocowych. Z chleba świętojańskiego, skrobi kukurydzianej i dmuchanego ryżu. Pewnej zimy kazała zrzucić do piwnicy całą wywrotkę świeżego piasku, aby Peter i Josie mogli budować zamki. Pozwalała im malować chleb do kanapek farbami spożywczymi, rozpuszczonymi w mleku, tak że nawet lunch był dziełem sztuki. Josie uwielbiała przesiadywać u Petera; w jej wyobrażeniach tak właśnie wyglądał prawdziwy rodzinny dom.

Odwróciła twarz do okna.

– Myślisz, że to moja wina, prawda?

– Nieeee...

– Czy tak twierdzili dzisiaj w sądzie prawnicy? Że doszło do tej strzelaniny, ponieważ nie lubiłam Petera... tak jak on mnie?

– Żaden prawnik nie powiedział nic podobnego. Obrona koncentrowała się przede wszystkim na szykanach, jakie spotykały Petera. Podkreślała, że praktycznie nie miał żadnych przyjaciół. – Zatrzymały się na czerwonym świetle. Opierając lekko dłoń o kierownicę, Alex zwróciła się w stronę córki. – Właściwie dlaczego przestałaś utrzymywać z nim przyjazny kontakt?

Funkcjonowanie na marginesie jest chorobą zakaźną. Josie przypominała sobie, jak w podstawówce Peter zrobił sobie berecik z antenką z aluminiowej folii po kanapkach i chodził w nim po całym placu zabaw, bo chciał przechwycić komunikaty nadawane przez UFO. Nie zdawał sobie sprawy, że inni się z niego nabijają. Nie zdawał sobie z tego sprawy ani wtedy, ani później.

Mignął jej też w głowie obraz Petera skamieniałego w kafeterii, ze spodniami opadłymi do kostek, usiłującego zakryć ręką krocze. Zadźwięczały jej w uszach słowa Matta: „Obiekty odbite w lustrze są z reguły mniejsze niż w naszych wyobrażeniach”.

Może Peter w końcu pojął, co naprawdę ludzie o nim myślą.

– Nie chciałam, żeby mnie traktowano jak Petera – odpowiedziała. Podczas gdy tak naprawdę powinna powiedzieć: „Nie miałam dość odwagi”.

Powrót do więzienia wiąże się z degradacją. Trzeba zwrócić

atrybuty przynależności do cywilizowanej rasy ludzkiej – buty, marynarkę, krawat – a następnie poddać się rewizji: mocno nachylić, by strażnik ręką w gumowej rękawiczce sprawdził, czy w jakimś otworze ciała nie przemyca się kontrabandy. Potem się dostaje czysty więzienny kombinezon, za szerokie gumowe klapki i znowu człowiek się idealnie upodobnia do wszystkich innych wokół. Wówczas już nawet przed samym sobą nie można udawać, że jednak jest się kimś lepszym od reszty.

Peter rzucił się na swoją pryczę i zakrył oczy ramieniem. Facet dzielący z nim celę, oczekujący na proces za zgwałcenie sześćdziesięciosześcioletniej kobiety, dopytywał się, jak poszło w sądzie, ale Peter nie zaszczycił go odpowiedzią. Prawo do milczenia było jedną z nielicznych swobód, jakie mu jeszcze pozostały. Poza tym chciał zatrzymać dla siebie prawdę: gdy się znalazł w więzieniu, poczuł ulgę, że wrócił (czy doprawdy wolno mu już tak powiedzieć?) do siebie.

Tutaj nikt nie patrzył na niego niby na zrakowaciałą narośl. Tutaj w ogóle nikt na niego nie patrzył. Kropka.

Tutaj nikt o nim nie mówił jak o wynaturzonej bestii.

Tutaj nikt go nie potępiał, ponieważ wszyscy jechali na tym samym wózku.

Więzienie w gruncie rzeczy niewiele się różniło od publicznej szkoły. Strażnicy pełnili te same funkcje co nauczyciele – utrzymywali jaki taki poziom dyscypliny, zapewniali więźniom podstawowe potrzeby bytowe i pilnowali, żeby nikt nikomu nie wyrządził poważniejszej krzywdy. Poza tym się nie wtrącali. Każda wykonywana tutaj praca też nie miała większego sensu – codzienne czyszczenie toalet czy zasuwanie z wózkiem bibliotecznym po korytarzu oddziału o minimalnym nadzorze było równie bezużyteczne jak pisanie rozprawki na temat cnót obywatelskich czy wkuwanie na pamięć wszystkich liczb pierwszych – żadna z tych umiejętności nikomu na nic nie mogła się przydać w codziennym życiu. I tak jak w szkole średniej, jedynym sposobem na przetrwanie więzienia było zaciśnięcie zębów i odbębnienie tego, co do człowieka należy.

Nie wspominając już, że tutaj – podobnie jak w szkole – Peter też nie cieszył się popularnością.

Przypomniał sobie dzisiejszą paradę uczniów Sterling High, których Diana Leven podprowadzała, wciągała czy dowoziła wózkiem na miejsce dla świadków. Jordan wyjaśniał, że chodziło o wzbudzenie powszechnego współczucia; oskarżenie chciało zaprezentować te wraki ludzkie, zanim będzie musiało przejść do twardych konkretów. Jordan utrzymywał, że wkrótce będą mieli szansę pokazać, jaką ruiną stało się życie Petera. To akurat coraz bardziej Peterowi wisało. Nie mógł się natomiast nadziwić, jak niewiele w gruncie rzeczy się zmieniło.

Przez chwilę wbijał wzrok w sprężyny górnej pryczy, a potem odwrócił się twarzą do ściany i wetknął róg poduszki do ust, żeby nikt nie usłyszał jego płaczu.

Chociaż John Eberhard już nigdy nie mógłby nazwać Petera ciotą... bo z ledwością był w stanie wybełkotać swoje imię...

Chociaż Drew Girard już nigdy nie zostanie gwiazdą sportu...

Chociaż uroda Haley Weaver już nigdy nikogo nie zwali z nóg...

Ale oni wciąż należeli do kasty, do której Peter nigdy, przenigdy nie zdołałby awansować.

Tamten Dzień, 6:30 rano

– Peter. Peter?

Przewrócił się na bok i ujrzał ojca stojącego w progu pokoju.

– Wstałeś już?

Czy wyglądało na to, że już wstał?! Peter jęknął i wyciągnął się na wznak. Zamknął na moment oczy i przebiegł w myślach rozkład czekającego go dnia. Angielskifrancuskimatmahistoriachemia. Jeden monotonny ciąg; amalgamat nudy.

Usiadł. Przeczesał palcami włosy, tak że stanęły na baczność. Z dołu dobiegała symfonia techno garnków i naczyń, wyjmowanych przez ojca ze zmywarki. Za chwilę ojciec sięgnie po swój termokubek, napełni go kawą i wreszcie zostawi Petera samemu sobie.

Przydeptując nogawki spodni od piżamy, Peter powłókł się do biurka i zalogował w Internecie. Chciał sprawdzić, czy ktoś nowy wypowiedział się na temat „Hide-n-Shriek”. Jeżeli ta gra okaże się tak dobra, jak mu się wydaje, będzie mógł ją zgłosić do półprofesjonalnego konkursu. W tym kraju – ba, na całym świecie – aż się roiło od nastolatków takich samych jak on, które z pewnością gotowe byłyby zapłacić 39,99 za grę, gdzie karty rozdają ci pogardzani. Peter już wyobrażał sobie, jaką fortunę zbije na sprzedaży licencji na swój pomysł. Niewyklucone, że wówczas mógłby olać college – podobnie jak zrobił to Bill Gates. I niewyklucone, że pewnego dnia ludzie zaczną wydzwaniać do niego jak szaleni i utrzymywać, że kiedyś byli jego

najlepszymi przyjaciółmi.

Zmrużył oczy, po czym sięgnął po okulary, które trzymał przy klawiaturze. Ponieważ była pieprzona 6:30 rano – pora, o której od nikogo normalnego nie można wymagać dobrej koordynacji ruchowej – etui wymknęło mu się z rąk i uderzyło o któryś z klawiszy funkcyjnych.

Okno Internetu uległo minimalizacji, za to wyświetliła się zawartość jednego z plików umieszczonych w koszu.

Wiem, że nigdy o mnie nie myślisz.

I z pewnością nie widzisz w nas pary.

Peter poczuł nagły zawrót głowy. Uderzył silnie w klawisz DELETE, ale nie osiągnął zamierzonego rezultatu.

Bez Ciebie jestem nikim.

Ale z Tobą, jak sądzę, mógłbym zostać kimś wyjątkowym.

Spróbował zresetować komputer, ale ten się już totalnie zawiesił. Peter nie był w stanie złapać oddechu ani ruszyć się z miejsca. Mógł jedynie wbijać wzrok w dowód własnej głupoty, który czarno na białym miał przed oczami.

Czuł ostry ból w piersiach. Pomyślał, że to albo atak serca, albo jego mięśnie obracają się w kamień. Niezdarnie podrygując, schylił się, by dosięgnąć do kabla zasilania, i przy okazji trzasnął głową o kant blatu. To sprawiło, że w oczach stanęły mu łzy – a przynajmniej w tym właśnie chciał upatrywać przyczyny płaczu.

Wyciągnął wtyczkę z kontaktu i ekran wypełniła martwa czern.

Peter opadł z powrotem na krzesło i wówczas się okazało, że wyłączenie komputera niczego nie zmieniło. Wciąż widział te słowa, absolutnie wyraźnie, na ekranie monitora. Czuł pod palcami dotyk klawiszy, w które stukał, gdy pisał:

Kochający Peter Houghton.

W uszach zadudnił mu śmiech wszystkich zgromadzonych w kafeterii.

Raz jeszcze zerknął na monitor. Matka zawsze powtarzała, że każde przykre doświadczenie można interpretować w kategorii porażki lub szansy na zmianę życia.

Niewykluczone więc, że właśnie otrzymał znak z nieba.

Łapiąc z trudem ustami powietrze, opróżnił plecak z podręczników, segregatorów i luźnych papierów. Sięgnął pod materac i wyszarpnął stamtąd dwa pistolety, które trzymał, na wypadek gdyby kiedyś mogły się przydać.

Kiedy byłam mała, posypywałam ślimaki solą, po czym z lubością patrzyłam, jak rozplywają się na moich oczach. Okrucieństwo często przysparza nam radości, póki nie uświadomimy sobie, że niesie ze sobą również cierpienie jakiejś innej istoty.

Można spokojnie należeć do frajerów, jeżeli nikt nie zwraca na ciebie uwagi, ale w szkole jest to równoznaczne z natychmiastowym prześladowaniem. Ty jesteś ślimakiem, oni trzymają w garściach sól. A do tego są całkowicie pozbawieni sumienia. Absolutnie obce jest im takie uczucie jak empatia.

Niedawno na lekcji socjologii poznaliśmy nowe słowo: Schadenfreude. Oznacza czerpanie przyjemności z cudzego nieszczęścia. Myślę, że ma to wiele wspólnego z instynktem samozachowawczym. A także z faktem, że poczucie więzi z grupą zdecydowanie się wzmacnia poprzez zdefiniowanie wspólnego wroga i zwanie przeciwko niemu szeregów. To nieistotne, że ów wróg nigdy nie wyrządził nam żadnej krzywdy – jest potrzebny, by można było udawać, że istnieje ktoś, kogo nienawidzimy bardziej niż samych siebie.

A wiecie, dlaczego sól tak działa na ślimaki? Ponieważ jest rozpuszczalna w wodzie, z której w dużym stopniu składa się skóra

ślimaka. Nieszczęsne stworzenie po prostu całkowicie się rozpuszcza. Podobnie sprawa ma się z pijawkami. Oraz ludźmi takimi jak ja.

Praktycznie z każdym stworzeniem o skórze zbyt cienkiej, by skutecznie broniła przed światem.

Pięć miesięcy później

Przez cztery godziny spędzone na miejscu dla świadków Patrick odtwarzał na nowo najkoszmarniejsze wspomnienia swojego życia.

Komunikat, który dotarł do niego przez policyjne radio, kiedy czekał w samochodzie na zmianę świateł; fale studentów, wylewające się z budynku Sterling High na podobieństwo straszliwego, masywnego krwotoku; kałuże krwi, na których ślizgały się podeszwy jego butów, gdy przebiegał szkolne korytarze. Płyty sufitowe, dosłownie walące się na głowę. Rozpaczliwe wołania o pomoc. Epizody, które wryły mu się w pamięć, ale których w danej chwili świadomie nie rejestrował: chłopiec siedzący w sali gimnastycznej na linii rzutów za trzy punkty, trzymający w ramionach umierającego przyjaciela; szesnaścioro dzieciaków, odnalezionych w schowku gospodarczym trzy godziny po zakończeniu strzelaniny, które bały się stamtąd wyjść, bo nie wierzyły, że zagrożenie już minęło; ostry zapach wodoodpornych markerów, którymi ratownicy wypisywali cyfry na czołach rannych, by później dokonać ich formalnej identyfikacji.

Pierwszej nocy po masakrze, gdy w gmachu wciąż uwijali się śledczy z laboratorium kryminalistycznego, Patrick wyruszył na wędrowkę po klasach i korytarzach. Czuł się chwilami jak strażnik zbiorowej pamięci – przewodnik, który musi niepostrzeżenie przeprowadzić całą społeczność od rzeczywistości dawnej do obecnie zastanej. Omijając kałuże krwi, lustrował sale, w których wciąż na

krzesłach wisały kurtki uczniów, jakby ci wyskoczyli tylko na moment i lada chwila mieli tu powrócić. Wszędzie widniały dziury po kulach, a mimo to jakiś dowcipniś, siedzący w bibliotece, miał czas i ochotę ułożyć figurki: Gumby i Pokey – w wysoce kompromitującej pozycji. Spryskiwacze przeciwpożarowe zamieniły jeden z korytarzy w małe jezioro, ale na ścianach wciąż widniały barwne plakaty, zapowiadające doroczny wiosenny bal.

Diana uniosła w górę dowód rzeczowy oskarżenia numer 522.

– Detektywie, czy poznaje pan tę wideokasetę?

– Owszem. Zawiera zapis obrazu z kamery zamontowanej w kafeterii Sterling High. Są na niej zarejestrowane wydarzenia, do jakich doszło 6 marca 2007 roku.

– Czy jest to oryginał pozyskany na miejscu przestępstwa?

– Tak.

– Kiedy po raz ostatni pan ją oglądał?

– W przeddzień rozpoczęcia procesu.

– Czy nagranie poddano jakiegokolwiek obróbce?

– Nie.

Diana zwróciła się w stronę Wagnera.

– Wysoki sędzie, wnoszę o przedstawienie ławie przysięgłych zapisu utrwalonego na kasecie.

Chwilę później jeden z zastępców szeryfa wtoczył na salę kombo TV/wideo.

Nagranie nie porażało ostrością, ale ukazywało wszystkie najważniejsze szczegóły. W górnym prawym rogu widoczna była kobieta prowadząca kafeterię, nakładająca wielką łyżką potrawy i podająca talerze uczniom stojącym w długiej kolejce, przesuwanym się pojedynczo, powoli niczym krople w dożylnym wlewie. Na pierwszym planie – stoliki pozajmowane przez uczniów. Patrick mimowolnie powędrował wzrokiem ku umieszczonej centralnie, przy którym siedziała Josie ze swoim chłopakiem.

Który zjadał jej talarki kartoflane.

Przez znajdujące się po lewej stronie drzwi wkroczył jakiś chłopiec.

Na ramieniu miał niebieski plecak i chociaż jego twarz pozostawała niewidoczna, odznaczał się tą samą drobną budową ciała i charakterystycznym nachyleniem ramion, co Peter Houghton. Chwilę później nowo przybyły znalazł się poza zasięgiem obiektywu kamery. Rozległ się natomiast huk wystrzału i jedna z dziewcząt opadła bezwładnie na oparcie krzesła, a na przodzie jej bluzki wykwitła krwawa plama.

Rozległ się rozzwierający krzyk, a po nim dziesiątki następnych, zagłuszanych kolejnymi wystrzałami. Na ekranie znowu się pojawił Peter Houghton, tym razem z pistoletem w dłoni. Uczniowie rzucili się do panicznej ucieczki; niektórzy próbowali się kryć pod stołami. Automat do napojów, przeszyty kulami, wydał z siebie serię przenikliwych poświstów, po czym eksplodował strugami coli, sprite'a i wody gazowanej. Niektórzy trafieni studenci natychmiast padali na podłogę zwinięci jak embriony, inni próbowali się czołgać do wyjścia. Jedną z jeszcze poruszających się dziewcząt tratowali pędzący na oślep koledzy; i w końcu ona także zamarła w bezruchu. Kiedy w kafeterii pozostali już tylko zabici i ranni, Peter obszedł pobojuwisko, zatrzymując się tu i ówdzie dla dokonania dokładniejszej inspekcji. Następnie zatrzymał się przy stoliku sąsiadującym z tym, przy którym siedziała Josie, i położył broń na blacie. Otworzył nietknięte pudełko z płatkami śniadaniowymi, nappełnił nimi plastikową miskę i dolał mleka z kartonika. Usiadł. Zjadł pięć pełnych łyżek. Potem wyjął z plecaka nowy magazynek, przeładował pistolet i wyszedł z kafeterii.

Diana zatrzymała odtwarzanie nagrania, a następnie spod stołu oskarżenia wyciągnęła nieduży plastikowy worek i podała go Patrickowi.

– Detektywie Ducharme, czy rozpoznaje pan ten dowód rzeczowy?

Pudełko z płatkami Rice Krispies.

– Owszem.

– Gdzie został znaleziony?

– W kafeterii. Stał na tym samym stole, który przed chwilą widzieliśmy na nagraniu.

Patrick wreszcie pozwolił sobie spojrzeć na Alex siedzącą na widowni. Do tej pory nie chciał tego robić – nie byłby w stanie należycie się wywiązać ze swojego zadania, gdyby jednocześnie musiał się przejmować, w jaki sposób składane przez niego zeznania wpływają na kochaną przez niego kobietę. Była blada jak płótno i bardzo sztywno siedziała na krześle. Ostatnim wysiłkiem woli powstrzymał się, by nie wstać z fotela, nie przeskoczyć przez barierkę i nie klęknąć u jej stóp.

Już dobrze, chciał powiedzieć. Niemal dobrnęliśmy do końca.

– Detektywie – ponownie odezwała się Diana – co oskarżony trzymał w dłoni w chwili zatrzymania?

– Pistolet.

– Czy w pobliżu znajdowały się jeszcze inne sztuki broni?

– Tak. Mniej więcej trzy metry dalej leżał drugi pistolet identycznego typu.

Diana uniosła w górę dużą fotografię.

– Czy może pan powiedzieć, co przedstawia to zdjęcie?

– Szatnię gimnastyczną, w której doszło do zatrzymania Petera Houghtona. – Wskazał na pistolet leżący obok szafek, a następnie na drugiego glocka, znajdującego się nieopodal. – Oto broń, którą oskarżony upuścił tuż przed aresztowaniem, oznakowana symbolem A. To natomiast broń opisana jako B.

Mniej więcej trzy metry dalej leżało ciało Matta Roystona. Jego biodro spoczywało w kałuży krwi, górna część czaszki nie istniała.

Wszyscy przysięgli, jak jeden mąż, wstrzymali oddech. Ale Patrick nie zwracał na nich najmniejszej uwagi – wpatrywał się w Alex; ona z kolei w ogóle nie patrzyła na zwłoki Matta, nie mogła natomiast oderwać wzroku od cieniutkiej strużki krwi, która pociekła z rozbitej głowy Josie.

Życie ludzkie można postrzegać w kategorii ciągu potencjalnych alternatyw – jakże inaczej by się przedstawiało, gdybyśmy poprzedniego dnia zakupili los na loterię; gdybyśmy rozpoczęli studia na innej uczelni; zainwestowali w akcje, a nie obligacje; nie zaprowadzili dziecka do przedszkola pamiętnego 11 września. Gdyby chociaż jeden

nauczyciel zareagował w chwili, gdy Petera maltretowali koledzy. Gdyby Peter wetknął sobie lufę pistoletu w usta, zamiast kierować jej wylot na kogoś innego. Gdyby Josie stała przed Mattem, to ona mogłaby teraz spoczywać na cmentarzu. Do równie tragicznego finału mogłoby także dojść, gdyby Patrick zjawił się w szatni kilka sekund później. A gdyby nie był śledczym prowadzącym tę sprawę, pewnie nigdy w życiu nie poznałby Alex.

– Detektywie, czy ta broń została zabezpieczona przez policję?

– Tak.

– Czy poddano ją badaniom daktyloskopijnym?

– Tak. W laboratorium stanowym.

– Czy wykryto odciski palców na broni A?

– Owszem. Jeden. Na uchwycie.

– Czy pobrano odciski palców od Petera Houghtona?

– Tak. W izbie zatrzymań miejscowej komendy.

Diana poprosiła następnie Patricka, aby przybliżył przysięgłym istotę badań daktyloskopijnych. Patrick wyjaśnił, że do celów identyfikacji sprawcy nadaje się odcisk, w którym można rozróżnić przynajmniej dziesięć wyraźnych minucji linii papilarnych – haczyków, rozwidleń, oczek, skrzyżowań. Tylko w takim wypadku można przeprowadzić analizę porównawczą, do której obecnie wykorzystuje się komputery.

– Czy odcisk znaleziony na uchwycie broni A porównano z odciskami palców którejkolwiek z osób przebywających feralnego dnia na terenie Sterling High?

– Tak. Z odciskami Matta Roystona, pobranymi podczas autopsji.

– Czy wykazano zgodność linii papilarnych Matta Roystona z liniami odcisku zdjętego z broni A?

– Nie.

– Czy wykazano zgodność linii papilarnych Petera Houghtona z liniami odcisku zdjętego z broni A?

– Tak.

Diana skinęła głową.

- A co analiza daktyloskopijna wykazała w wypadku broni B?
- Zdjęto częściowy odcisk z języka spustowego. Bezwartościowy.
- Jak należy to rozumieć?

Patrick zwrócił się w stronę przysięgłych.

– Odcisk wartościowy z punktu widzenia kryminalistyki to taki, który jest dostatecznie wyraźny i zawiera wystarczającą liczbę minucji, by można go było skutecznie porównać z innymi odciskami. Ludzie zostawiają odciski swoich linii papilarnych na wszystkich przedmiotach, których dotykają, ale nie wszystkie z tych odcisków nadają się do wykorzystania przez policję. Niektóre są zbyt niewyraźne, inne – zbyt fragmentaryczne.

– A więc, detektywie, nie sposób jednoznacznie stwierdzić, kto zostawił odcisk palca na broni B?

– Nie.

– Ale jednocześnie nie można wykluczyć, że ów odcisk jest odciskiem Petera Houghtona?

– Nie można.

– Czy odkryto poszlaki sugerujące, że poza Peterem Houghtonem jakaś inna osoba, przebywająca na terenie Sterling High owego dnia, również miała przy sobie broń?

– Nie.

– Ile ostatecznie egzemplarzy broni znaleziono w szatni gimnastycznej?

– Cztery – odparł Patrick. – Dwa wspomniane pistolety oraz dwa karabinki, które się znajdowały w plecaku oskarżonego.

– Czy oprócz badań daktyloskopijnych broń poddano jeszcze innym badaniom laboratoryjnym?

– Owszem. Testom balistycznym.

– Czy mógłby pan wyjaśnić przysięgłym, na czym polegają owe testy?

– Z broni zabezpieczonej na miejscu przestępstwa wystrzeliwuje się pocisk do specjalnego zbiornika z wodą – odparł Patrick. – Po uderzeniu iglicy i przejściu przez lufę na pocisku oraz jego łusce pozostają

mikroślady, które są unikalne dla każdego pistoletu czy karabinka. Dlatego też oddając strzały testowe, jesteśmy w stanie określić wzór owych mikrośladów charakterystyczny dla danej broni i zdecydować, z którego egzemplarza wystrzelono określone pociski. Natomiast badając pozostałości substancji chemicznych w lufie, możemy stwierdzić, czy w ogóle strzelano z danej broni, i w przybliżeniu określić czas, jaki upłynął od oddania strzału.

– Czy podobnym badaniom poddano wszystkie cztery sztuki broni, znalezione na miejscu przestępstwa?

– Tak.

– Jaki był rezultat testów?

– Strzelano tylko z obu pistoletów. Wszystkie pociski i łuski, które zebrano na miejscu przestępstwa, zostały wystrzelone z broni A. W chwili zabezpieczenia mechanizm spustowy broni B nie działał, ponieważ do komory zostały wprowadzone dwa pociski jednocześnie.

– Ale z broni B również strzelano owego dnia?

– Przynajmniej raz. – Patrick spojrział na Dianę. – Jednak do chwili obecnej nie udało nam się odnaleźć ani wystrzelonego pocisku, ani jego łuski.

Następnie Diana przeszła do szczegółowych pytań, dotyczących identyfikacji rannych oraz zabitych uczniów. Patrick rozpoczął swoją opowieść od chwili, gdy z budynku Sterling High wyniósł na rękach Josie Cormier, a zakończył na odtransportowaniu ostatniego ciała do kostnicy miejskiej.

Wówczas sędzia Wagner zarządził odroczenie procesu do następnego rana.

Opuściwszy miejsce dla świadków, Patrick podszedł do Diany, która przedstawiła mu plan batalii na kolejny dzień. Dwuskrzydłowe drzwi sali rozpraw stały otworem, ukazując tłumy reporterów osaczających każdego pałającego oburzeniem rodzica, który wykazywał choć cień gotowości do udzielenia wywiadu. Patrick rozpoznał matkę

jednej z uczennic – Jady Knight – postrzelonej w plecy podczas ucieczki z kafeterii.

– Moja córka za nic nie pojedzie do szkoły przed jedenastą, ponieważ przeraża ją sama myśl o dzwonku zwiastującym początek trzeciej lekcji – mówiła z przejęciem kobieta. – Strach towarzyszy jej na każdym kroku. Ta masakra zrujnowała jej życie. Peter Houghton powinien zapłacić za swój czyn przynajmniej tym samym.

Patrick nie miał najmniejszej ochoty na kontakt z dziennikarzami; a na niego z pewnością rzuciliby się przedstawiciele wszystkich stacji telewizyjnych i gazet, ponieważ tego dnia był jedynym zeznającym w procesie świadkiem. Postanowił więc przez czas jakiś nie opuszczać sali. Przysiadł na barierce oddzielającej strony procesu od galerii i czekał, aż w holu opadnie fala medialnego szaleństwa.

– Hej...

Odwrócił się na dźwięk głosu Alex.

– Co tu robisz? – zdziwił się. Był pewien, że tak jak poprzedniego dnia, poszła na górę po Josie, siedzącą w pokoju przeznaczonym dla świadków obrony.

– O to samo mogłabym zapytać ciebie.

Patrick skinął głową w stronę drzwi.

– Nie jestem w nastroju do bitwy.

Alex podeszła, objęła go ramionami, wtuliła twarz w jego szyję. A potem wzięła głęboki, konwulsyjny oddech, który Patrick poczuł we własnej piersi.

To nie był najlepszy dzień w życiu Jordana McAfee'ego. Gdy już miał wychodzić z domu, synek wypluł na niego część swojego śniadania. Kiedy zajechał pod gmach sądu, nie mógł znaleźć miejsca do zaparkowania, ponieważ wany tych cholernych mediów mnożyły się jak oszalałe króliki. W rezultacie spóźnił się dziesięć minut i sędzia Wagner udzielił mu reprimendy. Na domiar złego Peter, z bliżej nieznanых przyczyn, ograniczył komunikację z Jordanem do niesprecyzowanych

pomruków. I jakby tego było mało, pierwszym zadaniem, które go czekało tego dnia, było przesłuchanie rycerza w złocistej zbroi, który z narażeniem życia wpadł do budynku Sterling High, by poskromić bestialskiego napastnika... Doprawdy, rozkoszna perspektywa dla adwokata.

– Detektywie – Jordan podszedł do miejsca dla świadków – przed spotkaniem z naczelnym patologiem wrócił pan z miejsca przestępstwa do komendy?

– Owszem.

– Tam w owym czasie znajdował się Peter?

– Tak.

– W więziennej celi... z kratami i ciężkimi zamkami?

– W celi aresztanckiej – skorygował Patrick.

– Czy wówczas Peter był o coś oskarżony?

– Nie.

– W istocie nie postawiono mu żadnych zarzutów aż do następnego ranka?

– Zgadza się.

– Gdzie mój klient spędził ową noc?

– W więzieniu hrabstwa Grafton.

– Detektywie, czy tamtego dnia rozmawiał pan z Peterem Houghtonem?

– Owszem.

– O co pan go pytał?

Patrick skrzyżował ramiona.

– Czy ma ochotę na kawę.

– I miał?

– Tak.

– Czy pytał go pan o incydent, do którego doszło w szkole?

– Zapytałem, co się wydarzyło.

– Jakiej Peter udzielił odpowiedzi?

– Powiedział, że chce do mamy.

– Rozpłakał się?

– Tak.

– Ściśle rzecz biorąc, przez cały czas, gdy próbował pan go przesłuchiwać, on płakał, zgadza się?

– Tak.

– Czy zadawał mu pan jeszcze jakieś inne pytania, detektywie?

– Nie.

Jordan podszedł bliżej do barierki.

– Nie zwracał pan sobie głowy dalszymi pytaniami, ponieważ mój klient nie był w stanie poddać się przesłuchaniu, prawda?

– Nie zadawałem żadnych więcej pytań – odparł Ducharme beznamytnym tonem. – Nie mam pojęcia, w jakim wówczas znajdował się stan.

– I zaprowadził pan to dziecko – siedemnastoletniego chłopca, który płakał i prosił o kontakt z matką – z powrotem do celi?

– Tak. Ale zapewniłem, że chcę mu pomóc.

Jordan zerknął na przysięgłych, by sprawdzić, czy dobrze zapamiętali ostatnie słowa.

– I jak na to zareagował Peter?

– Spojrzał na mnie, a potem powiedział: „To oni wszystko rozpętał”.

Curtis Uppergate był psychiatrą sądowym z dwudziestopięcioletnim doświadczeniem. Swoją wiedzę medyczną zdobywał na trzech uniwersytetach, zaliczanych do Ivy League, i szczyił się tak grubym CV, że mogłoby służyć za ogranicznik do ciężkich drzwi. Chociaż miał liliowobiałą skórę, nosił włosy splecione w siwe dredy sięgające za ramiona, a do sądu przyszedł w afrykańskiej barwnej tunice. Prowadząca przesłuchanie Diana nie mogła wyzbyć się wrażenia, że lada chwila Curtis zacznie się zwracać do niej per „siostró”.

– Dokładnie w jakiej dziedzinie jest pan ekspertem, doktorze?

– Pracuję z nastolatkami, którzy dopuścili się aktów agresji. Na

potrzeby sądu badam naturę ich zaburzeń psychicznych – jeżeli takie wchodzi w grę – i opracowuję plan terapeutyczny. Diagnozuję również stan umysłu młodocianych przestępców w chwili popełnienia przestępstwa. Pomagałem FBI w stworzeniu psychologicznego portretu typowego sprawcy szkolnej strzelaniny; dokonałem analizy porównawczej masakr w Thurston High, Paducah, Rocori i Columbine.

– Kiedy po raz pierwszy zetknął się pan z przedmiotową sprawą?

– W kwietniu.

– Czy przestudiował pan akta Petera Houghtona?

– Owszem – odparł Curtis. – Wszystkie, które otrzymałem z pani biura: dokumenty szkolne, karty medyczne, raporty policyjne, zapis przesłuchań prowadzonych przez detektywa Ducharme’a.

– Na czym przede wszystkim się pan koncentrował, doktorze?

– Na poszukiwaniu oznak mogących świadczyć o chorobie psychicznej – organicznym podłożu agresywnego zachowania. A także na uwarunkowaniach psychosocjologicznych, wspólnych dla wszystkich sprawców przemocy szkolnej.

Diana zerknęła na przysięgłych; mieli puste spojrzenia.

– Czy na podstawie przeprowadzonych badań jest pan w stanie, z medycznego punktu widzenia, określić stan psychiczny Petera Houghtona w dniu 6 marca 2007 roku?

– Tak – zdecydowanie potwierdził Uppergate, zwracając się w stronę ławy. – Peter Houghton – zaczął powoli i dobitnie – nie cierpiał na żadne zaburzenia psychiczne w chwili, gdy oddawał strzały w Sterling High. Z punktu widzenia prawa był w pełni poczytalny.

– Na jakiej podstawie wyciągnął pan powyższy wniosek?

– Definicja poczytalności zakłada zdolność do rozpoznania znaczenia popełnianego czynu i pokierowania swoim zachowaniem. Zebrany materiał dowodowy jasno wskazuje, że Peter od pewnego czasu planował atak – zdobył broń, zgromadził amunicję, stworzył listę celów, a dodatkowo przećwiczył ten Armagedon w wirtualnym świecie stworzonej przez siebie gry. Te wszystkie czynniki świadczą o premedytacji.

– Czy ową premedytację poświadczają jeszcze inne fakty?

– Owszem. Kiedy Peter przyjechał do szkoły i spotkał na parkingu przyjaciela, próbował go ostrzec, nakłonić do opuszczenia strefy zagrożenia. W ramach dywersji odpalił bombę pod jednym z samochodów, żeby bez przeszkód wnieść do budynku swój arsenał. Ukrył uprzednio załadowaną broń. Skoncentrował się na obszarach szkoły, gdzie wcześniej doznawał najdotkliwszych upokorzeń. Tak nie działa osoba, która nie zdaje sobie sprawy z własnych poczynań – to zachowanie cechujące racjonalnie myślącego, ogarniętego gniewem – być może cierpiącego, ale w pełni poczytalnego – młodego człowieka.

Diana zaczęła się przechadzać przed ławą przysięgłych.

– Doktorze, czy na potrzeby oceny stanu psychicznego oskarżonego – którego uznał pan za działającego świadomie i z rozmysłem – przeprowadził pan analizę porównawczą omawianego przez nas wydarzenia z wcześniejszymi wypadkami masakr szkolnych?

Uppergate przerzucił za ramię jeden ze zmierzwionych warkoczków.

– Żaden ze sprawców – a mówimy tu o Columbine, Paducah, Rocori i Thurston – nie cieszył się w szkole wysokim prestiżem społecznym. Żaden też nie był całkowicie wyobcowany, jednak nie uważał się za pełnoprawnego członka społeczności. Dotyczy to również Petera. Na przykład, należał do reprezentacji szkoły w piłce nożnej, ale był jednym z dwóch zawodników nigdy niewystawianych do składu. Peter odznacza się wysokim stopniem inteligencji, ale nie znajdowało to odzwierciedlenia w jego ocenach. Zaangażował się uczuciowo, ale jego awanse zostały odrzucone. Pewnie i swobodnie czuł się jedynie w wykreowanej przez siebie rzeczywistości gier komputerowych... gdzie był bogiem.

– Czy to oznacza, że 6 marca 2007 roku Peter tkwił w świecie własnych fantazji?

– W żadnym wypadku. Wówczas nie zaplanowałby swojego ataku tak metodycznie i racjonalnie.

Diana odwróciła się w stronę świadka.

– Doktorze, pewne poszlaki wskazują, że Peter był nękanym przez kolegów. Czy w swojej analizie uwzględnił pan ten aspekt?

– Owszem.

– Od lat prowadzi pan badania nad przemocą młodocianych. Proszę powiedzieć, jaki wpływ, według pana wiedzy, ma nękanie rówieśnicze na nastolatków w rodzaju Petera?

– W każdym przypadku masakry szkolnej próbowano grać tą kartą. Utrzymywano, że to właśnie z powodu prześladowań kolegów sprawca w pewnym momencie nie wytrzymał napięcia i postanowił odpowiedzieć aktem agresji. Jednakże we wszystkich przypadkach – nie wyłączając obecnego – napastnik wyolbrzymiał problem szyskan. Dotykały one sprawcę w takim samym stopniu, jak wielu innych uczniów.

– Dlaczego więc doszło do tych masakr?

– Chodziło o publiczną manifestację przejęcia kontroli nad otoczeniem, w którym do tej pory sprawca czuł się bezsilny – wyjaśnił Curtis Uppergate. – Co jest kolejnym dowodem na działanie planowane i racjonalne.

– Świadek do dyspozycji obrony – obwieściła Diana.

Jordan podniósł się z krzesła i podszedł do miejsca dla świadków.

– Doktorze, kiedy po raz pierwszy spotkał się pan z Peterem?

– Nie zostaliśmy sobie formalnie przedstawieni.

– Jest pan psychiatrą?

– O ile mi wiadomo.

– Zawsze sądziłem, że istota tego zawodu opiera się na osobistych kontaktach z pacjentem, na poznaniu jego sposobu postrzegania świata i relacji, w jakich z nim pozostaje.

– To jeden z aspektów, owszem.

– Czyż nie jest to aspekt o fundamentalnym znaczeniu? – spytał Jordan.

– Można tak powiedzieć.

– Czy w tej chwili wypisałby pan receptę dla Petera?

– Nie.

– Ponieważ musiałby pan zbadać go osobiście, by zdecydować, czy zaaplikowanie leku ma sens?

– Zgadza się.

– Doktorze, czy rozmawiał pan osobiście ze sprawcami strzelaniny w Thurston High?

– Tak, rozmawiałem – odparł Uppergate.

– A z chłopcem z Paducah?

– Też.

– Z Rocori?

– Tak.

– Ale nie z chłopcami z Columbine...

– Jestem psychiatrą, panie McAfee – oświadczył Uppergate. – Nie medium spirytystycznym. Niemniej przeprowadziłem długie rozmowy z rodzinami owych chłopców. Przestudiowałem ich pamiętniki. Obejrzałem wszystkie nagrania wideo.

– Doktorze, czy chociaż raz porozmawiał pan z Peterem Houghtonem?

Curtis Uppergate miał niewyraźną minę.

– Nie... nigdy z nim nie rozmawiałem.

Jordan wrócił na swoje miejsce.

Diana zwróciła się w stronę sędziego.

– Oskarżenie kończy prezentację materiału dowodowego.

– Proszę. – Jordan wszedł do aresztanckiej celi i rzucił opakowaną kanapkę w stronę Petera. – Czy może zarządziłeś również strajk głodowy?

Peter spiorunował go wzrokiem, ale odwinął woskowany papier i odgryzł kawałek.

– Nie lubię indyka.

– Mam to gdzieś. – Jordan oparł się plecami o betonową ścianę. – No więc powiesz mi, co cię dziś ukąsiło?

– Wyobrażasz sobie, co się czuje, gdy trzeba wysłuchiwać ludzi,

którzy mówią o tobie w taki sposób, jakby ciebie w ogóle obok nich nie było? Jakbyś nie słyszał tego, co wygadują?

– To reguły tej gry – odparł Jordan. – Teraz przyjdzie nasza kolej.

Peter zerwał się z ławki i podszedł do krat celi.

– Czy tak właśnie traktujesz tę rozprawę? Jak jakąś cholerną grę?

Jordan zamknął oczy i policzył w duchu do dziesięciu, modląc się przy tym o cierpliwość.

– Oczywiście, że nie.

– Ile zgarniesz kasy za tę sprawę? – spytał Peter.

– To nie twój...

– Ile?

– Zapytaj rodziców – odparł Jordan sucho.

– Ale zainkasujesz swoje honorarium bez względu na to, czy wygrasz, czy przegrasz?

Po krótkiej chwili wahania Jordan skinął głową.

– Więc właściwie możesz mieć w dupie, jak się to wszystko skończy?

Nagle Jordan ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że Peter ma zadatki na doskonałego adwokata. Ten typ nielinearnego myślenia, powiązany z uporczywym wałkowaniem delikwenta, był wartością wyjątkowo cenną na sali sądowej.

– No co? – rzucił wojowniczo Peter. – Teraz i ty się ze mnie nabijasz?

– Nie. Prawdę powiedziawszy, właśnie doszedłem do wniosku, że byłbyś świetnym prawnikiem.

Peter opadł z powrotem na ławkę.

– Super. Może więzienie stanowe oferuje wykształcenie uniwersyteckie w pakiecie razem z maturą.

Jordan wyjął kanapkę z rąk Petera i odgryzł spory kęs.

– Pożyjemy, zobaczymy, jak się potoczą sprawy.

Dorobek naukowy i referencje Kinga Wah zawsze wywoływały wielkie wrażenie na przysięgłych. King w swojej karierze zdiagnozował

i opisał przypadki ponad pięciuset pacjentów. Wystąpił w charakterze głównego eksperta w 248 procesach sądowych – nie licząc obecnego. Ogłosił drukiem więcej publikacji niż jakikolwiek inny psychiatra, prowadzący badania nad zespołem stresu pourazowego. A na dodatek – to doprawdy przepiękne! – Curtis Uppergate doksztalał się na trzech prowadzonych przez niego seminariach.

– Doktorze Wah – zaczął Jordan – od kiedy pracuje pan nad tą sprawą?

– Od czerwca. Wówczas, na pańską prośbę, wyraziłem zgodę na spotkanie z Peterem.

– Czy do niego doszło?

– Tak. Poświęciłem łącznie ponad dziesięć godzin na przeprowadzenie wywiadu medycznego. Przystudiowałem również wnikliwie raporty policyjne, karty zdrowia oraz akta szkolne zarówno Petera, jak i jego starszego brata. Rozmawiałem z rodzicami chłopca. Następnie skierowałem go do doktora Lawrence’a Ghertza, neuropsychiatry dziecięcego.

– Dlaczego?

– Doktor Ghertz bada zmiany strukturalne mózgu dzieci i młodzieży za pomocą metody diagnostycznej, zwanej obrazowaniem rezonansem magnetycznym, w skrócie MRI. Pozwala ona na wykrywanie takich zaburzeń, jak schizofrenia czy choroba afektywna dwubiegunowa, ale także ustalenie rozwojowych przyczyn absurdalnych zachowań nastolatków, które rodzice z reguły zrzucają na karb burzy hormonów. Naturalnie, niestabilność hormonalna wieku dojrzewania to fakt niezaprzeczalny, niemniej u podstaw problemu leży zazwyczaj wciąż słabo wykształcona samokontrola i zaburzone funkcje poznawcze.

Jordan zwrócił się w stronę przysięgłych.

– Czy państwo cokolwiek z tego zrozumieli? Bo ja już zupełnie się pogubiłem...

King uśmiechnął się szeroko.

– Przekładając to na ludzki język? Sporo można powiedzieć o

dziecku na podstawie obrazu jego mózgu. Chociaż większość rodziców nie zdaje sobie z tego sprawy, przyczyny, dla których siedemnastolatek, usłyszawszy, że ma wstawić mleko do lodówki, kiwa potakująco głową, po czym całkowicie ignoruje polecenie, mogą być natury fizjologicznej.

– Czy dlatego skierował pan Petera do doktora Ghertza, że podejrzewał pan schizofrenię lub psychozę afektywną?

– Nie. Ale rzetelność lekarska nakazywała mi sprawdzić, czy w grę nie wchodzi podobne zaburzenie, zanim zacznę szukać innych przyczyn określonych zachowań.

– Rozumiem, że doktor Ghertz przysłał panu raport ze swoich badań?

– Tak.

Jordan uniósł w górę diagram mózgu, który już wcześniej włączył do materiałów dowodowych obrony, po czym podał go Kingowi.

– Czy mógłby pan objaśnić nam istotę przedstawionego tu zjawiska?

– Na podstawie skanów MRI doktor Ghertz doszedł do wniosku, że mózg Petera wykazuje cechy typowe dla wielu nastolatków: przede wszystkim niedojrzałość strukturalną kory przedczołowej.

– Prr! – wtrącił Jordan. – Znowu zacznym się gubić.

– Kora przedczołowa jest niejako strażnikiem naszych emocji, zawiadującym planowaniem i kontrolą zachowań. To najpóźniej dojrzewająca struktura mózgu, stąd nastolatki – u których nie jest w pełni rozwinięta – tak często popadają w poważne tarapaty. – King wskazał na niewielki punkt w diagramie, zlokalizowany w środkowym obszarze. – Tutaj mamy ciało migdałowe. Ponieważ centrum decyzyjne jeszcze nie jest u nastolatków odpowiednio ukształtowane, młodzi ludzie działają z poziomu zawiadywanego przez tę małą strukturę. A ona stanowi epicentrum reakcji impulsywnych, dyktowanych silnymi emocjami – jak gniew czy strach – lub pierwotnymi odruchami. Innymi słowy, jest to obszar mózgu, odpowiedzialny za motywacje w rodzaju: „Ponieważ moi kumple też uznali, że to doskonały pomysł”.

Większość przysięgłych zareagowała śmiechem, Jordan natomiast

zerknał w stronę Petera. Chłopak nie kulił się już zrezygnowany na krzesła, ale wyprostowany, z żywym zainteresowaniem śledził wywód psychiatry.

– To doprawdy fascynujące zagadnienie – ciągnął King. – Dwudziestokilkulatek jest zdolny do podejmowania racjonalnych decyzji w zależności od kontekstu sytuacyjnego... natomiast często jest to nieosiągalny wyczyn dla siedemnastolatka.

– Czy doktor Ghertz przeprowadził jakieś dodatkowe badania?

– Tak. Za pomocą wspomnianej techniki rezonansu magnetycznego zobrazował pracę mózgu Petera podczas wykonywania prostego testu psychologicznego. Peterowi pokazano kilka fotografii ludzkich twarzy i poproszono go o rozpoznanie wyrażanych mimiką emocji. W odróżnieniu od grupy kontrolnej, złożonej z ludzi dorosłych, Peter nieustannie popełniał błędy. W szczególności mylił strach z gniewem lub smutkiem. Skan MRI wykazał, że strukturą, która ulegała aktywizacji podczas wykonywania przez Petera tego testu, było ciało migdałowate, a nie – jak u osób dojrzałych – kora przedczołowa.

– Jakie płyną z tego wnioski, doktorze Wah?

– Obszar mózgu odpowiedzialny za podejmowanie świadomego, racjonalnego i planowego działania jest u Petera wciąż w fazie rozwojowej. Inaczej mówiąc, z fizjologicznego punktu widzenia, nie jest on jeszcze zdolny do takich działań.

Jordan powiódł wzrokiem po przysięgłych, by sprawdzić, jak przyjęli to ostatnie stwierdzenie.

– Doktorze Wah, powiedział pan, że również osobiście badał Petera.

– Owszem. W zakładzie penitencjarnym. Odbyłem z nim dziesięć ponadgodzinnych sesji.

– Gdzie dokładnie pan się z nim spotykał?

– W małej salce konferencyjnej. Wyjaśniłem mu, kim jestem i że współpracuję z jego adwokatem.

– Czy Peter wykazywał niechęć do rozmowy?

– Wręcz przeciwnie. Powiedziałbym... – King zawiesił głos – ...że towarzystwo drugiego człowieka sprawiało mu przyjemność.

– Czy coś szczególnego uderzyło pana w jego zachowaniu?
– Nie okazywał emocji. Nie uśmiechał się, nie płakał, nie reagował wrogością. W naszym fachu określamy takie zjawisko spłaszczeniem afektu.

– Na jaki temat rozmawiał pan z chłopcem?

King spojrzał na Petera z uśmiechem.

– Na temat drużyny Red Sox – odparł. – I jego rodziny.

– Czego się pan dowiedział?

– Że bostończycy zasłużyli na kolejne mistrzostwo. Co – jako zagorzały fan Jankesów – już samo w sobie mógłbym uznać za dowód niezdolności Petera do racjonalnego myślenia.

– A co Peter powiedział na temat swojej rodziny?

– Że mieszka z ojcem i matką. Że miał starszego o prawie dwa lata brata, Joeya, który zginął w wypadku samochodowym, spowodowanym przez pijanego kierowcę. Rozmawialiśmy także o hobby Petera – programowaniu komputerowym – oraz o jego dzieciństwie.

– Czego się pan dowiedział na ten ostatni temat?

– Wspomnienia Petera koncentrują się na epizodach, kiedy padał ofiarą szykan ze strony rówieśników, bądź nieadekwatnego potraktowania przez dorosłych, którzy w jego mniemaniu mogli, ale nie chcieli mu pomóc. Opisał przypadki wysuwania gróźb pod jego adresem („Zjeżdżaj albo ci przywalę”), niczym niesprobowanych ataków fizycznych oraz poniżających i boleśnie raniących ataków werbalnych – jak na przykład wyzywanie od pedałów lub ciot.

– Czy Peter powiedział, kiedy rozpoczęły się te szykany?

– W pierwszym dniu przedszkola, już w szkolnym autobusie, gdy najpierw jeden z chłopców podstawił mu nogę, a następny wyrzucił przez okno nowe, wymarzone pudełko na lunch. Prześladowania się ciągnęły do czasu tragicznych wydarzeń z szóstego marca – ostatni, wyjątkowo przykry epizod miał miejsce zaledwie parę tygodni przed strzelaniną: doszło wówczas do publicznego upokorzenia Petera po tym, jak osoba trzecia ujawniła, że żywi on głębsze uczucie do jednej ze

szkolnych koleżanek.

– Doktorze, czy Peter zgłaszał się do kogokolwiek o pomoc?

– Owszem, ale i takie sytuacje obracały się przeciwko niemu. Na przykład, pewnego razu, zaatakowany przez kolegę, Peter zaczął się bronić. Świadkiem tej sytuacji był jeden z nauczycieli, który obu chłopców zaprowadził do dyrektora. W rezultacie obaj zostali ukarani zawieszeniem, mimo że w przypadku Petera chodziło jedynie o samoobronę. – King rozsiadł się wygodniej w fotelu. – Na wspomnienia z okresu ostatnich kilkunastu miesięcy silnie rzutuje śmierć brata i przykre przeświadczenie, że Peter nie zdoła dorównać Joeyowi w żadnej dziedzinie i z tego też powodu będzie źródłem rozczarowania dla rodziców.

– Co jeszcze mówił o rodzicach?

– Że ich kocha, ale nie może na nich liczyć.

– W jakim sensie?

– Nie wierzył, by byli zdolni chronić go przed szykanami. Uważał, że nie rozumieją jego doświadczeń ani uczuć.

Jordan zwrócił się w stronę przysięgłych.

– Czy na podstawie rozmów z Peterem oraz wyników badań doktora Gertza jest pan w stanie postawić diagnozę medyczną odnośnie do stanu umysłu Petera w dniu 6 marca 2007 roku?

– Owszem. Peter cierpiał na zespół stresu pourazowego. Na PTSD.

– Zechciałby pan wyjaśnić, co to takiego?

King skinął głową.

– Jest to zaburzenie wywołane głęboko traumatycznym przeżyciem – często związanym z poniżeniem fizycznym i/lub psychicznym. Wszyscy słyszeliśmy o żołnierzach, którzy po powrocie z wojny nie są w stanie się przystosować do normalnego życia na skutek PTSD. Ludzie cierpiący na to zaburzenie często bywają nękani przez reminiscencyjne koszmary senne; izolują się od innych, nie czują więzi z otoczeniem. W wypadkach ekstremalnych doświadczają halucynacji lub dysocjacji osobowości.

– Mamy rozumieć, że rankiem 6 marca Peter halucynował?

– Nie. Jestem natomiast przekonany, że znajdował się w stanie dysocjacji.

– Co to takiego?

– Stan, w którym czasowo dochodzi do oddzielenia sfery poznawczej od afektywnej. Ujmując to obrazowo: ktoś jest obecny ciałem, ale nieobecny duchem. Mechanicznie wykonuje jakieś czynności, ale świadomie nad nimi nie panuje.

– Chwileczkę, doktorze... – Jordan teatralnie zmarszczył brwi. – Chce nam pan powiedzieć, że osoba w takim stanie może normalnie prowadzić samochód?

– Naturalnie.

– I odpalić ładunek wybuchowy?

– Tak.

– Załadować broń?

– Tak.

– Oddać z niej strzałę?

– Oczywiście.

– I przez cały ten czas owa osoba nie będzie miała świadomości, co czyni?

– Tak jest, panie McAfee – odparł Wah.

– W pana opinii, w którym momencie doszło do dysocjacji?

– Podczas jednej z naszych rozmów Peter opowiadał, jak rankiem szóstego marca chciał się zalogować do Internetu, żeby sprawdzić, czy pojawiły się nowe opinie na temat jego najnowszej gry. Przez pomyłkę jednak otworzył stary plik – mail wysłany do Josie Cormier, w którym wyznawał jej swoje uczucia. To ten sam mail, który kilka tygodni wcześniej został rozesłany do wszystkich uczniów Sterling High, a następnie stał się przyczyną jeszcze gorszego poniżenia, jakiego doznał Peter, gdy jeden z kolegów ściągnął mu spodnie w szkolnej kafeterii. Peter utrzymuje, że nie pamięta, co się wydarzyło po tym, jak ponownie zobaczył ów mail.

– Doktorze, ja co chwila otwieram pomyłkowo jakieś stare pliki, a jednak nie popadam w stan dysocjacji – zauważył Jordan, wcielając się

w rolę adwokata diabła.

– Należy pamiętać, że komputer odgrywał w życiu Petera rolę szczególną: był dla niego ostoją bezpieczeństwa. Pomagał stworzyć świat stojący w opozycji do rzeczywistości – zaludniony postaciami ceniącymi Petera, wśród których czuł się swobodnie i w pełni panował nad sytuacją. Gdy i do tego ostatniego bastionu wtargnęło upokorzenie, włączył się potężny mechanizm obronny, jakim jest dysocjacja osobowości.

Jordan skrzyżował ramiona.

– Doktorze... mówimy tutaj o jednym mailu. O nękanii przez kolegów. Czy doprawdy możemy podobne incydenty stawiać na równi z traumą, jakiej doświadczyli weterani wojny w Iraku czy też ocalali z ataku na WTC?

– Gdy mówimy o PTSD, musimy uwzględnić jeden niezwykle istotny fakt: reakcja emocjonalna na określone wydarzenia jest subiektywna i osobnicza. Dramatycznym epizodem, leżącym u podłoża PTSD, dla jednej osoby będzie brutalny gwałt, dla innej – nieprzyjemne, ale niegroźne obmacywanie w metrze. Wszystko zależy od konstrukcji psychicznej podmiotu.

King zwrócił się w stronę przysięgłych.

– Niewykluczone, że niektórzy z państwa słyszeli o syndromie maltretowanej kobiety. To właśnie za jego sprawą dochodzi do pozornie absurdalnego wydarzenia: kobieta poddawana przez lata maltretowaniu zabija swojego prześladowcę, gdy jest on pogrążony w głębokim śnie, a więc zupełnie jej nie zagraża.

– Sprzeciw! – wykrzyknęła Diana. – Czy ktoś widzi na ławie przysięgłych maltretowaną kobietę?

– Ja jednak dopuszczam kontynuowanie wywodu – zarządził sędzia Wagner.

– Kobieta cierpiąca na PTSD – będąca ofiarą nieustannej i eskalującej przemocy – przestaje dostrzegać granicę pomiędzy zagrożeniem rzeczywistym a wyobrażonym, czy wręcz w danej chwili nieistniejącym. Żyje w ciągłym strachu przed tym, co się może lada moment zdarzyć, i

w końcu chwyta za broń, nawet jeżeli jej mąż akurat chrapie w najlepsze. Dla niej on nawet w owej chwili stanowi źródło bezpośredniego zagrożenia – wyjaśnił King. – Dziecko, które jak Peter cierpi na PTSD, żyje w przeświadczeniu, że prześladowca w końcu go zabije. Nawet jeżeli w danej chwili nie wpycha go do szafki lub nie okłada pięściami, może zaatakować w każdej sekundzie. Stąd, podobnie jak maltretowana kobieta, podejmuje działanie w sytuacji, gdy – dla mnie czy dla państwa – nie istnieją podstawy do racjonalnych obaw.

– Czy taki irracjonalny strach jest zauważalny dla otoczenia?

– Z reguły nie. Dziecko cierpiące na PTSD na pewnym etapie prosi o pomoc, ale jeżeli jej nie otrzymuje – zamyka się w sobie, wycofuje z kontaktów społecznych, ponieważ boi się, że każda interakcja doprowadzi do kolejnych prześladowań. Taki młody człowiek zaczyna snuć myśli samobójcze. Ucieka w świat fantazji, w którym jest panem sytuacji. W miarę upływu czasu robi to coraz częściej, aż w końcu ma poważne problemy z rozróżnieniem świata wykreowanego od realnie istniejącego. W trakcie doświadczania aktu przemocy dziecko z PTSD może się więc przenieść na alternatywny poziom świadomości, by nie odczuwać bólu. Osobiście uważam, że tak się stało w przypadku Petera 6 marca 2007 roku.

– Mimo że żadnego z szykanujących Petera kolegów nie było w pobliżu, gdy ów nieszczęsny mail pojawił się na ekranie?

– Tak jest. Całe życie Petera układało się w pasmo gróźb i prześladowań, aż w końcu nabrał on pewności, że jeżeli nie podejmie działania, któryś z jego prześladowców pozbawi go życia. Mail, będący swego czasu źródłem potwornego poniżenia, doprowadził Petera do takiego stanu, że wszedł do Sterling High i zaczął strzelać, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi.

– Jak długo człowiek może pozostawać w owym stanie?

– To zależy. W przypadku Petera stan ten trwał zapewne kilka godzin.

– Godzin?!

– Owszem. Prześledziłem cały przebieg tragicznych wydarzeń w

szkole i nie dostrzegam ani jednego momentu, który by sugerował rozmyślne i świadome działanie.

Jordan spojrzał na Dianę Leven.

– Wszyscy mieliśmy okazję zobaczyć zapis wideo, ukazujący, jak Peter – po oddaniu wielu strzałów w kafeterii – ze stoickim spokojem siada przy jednym ze stolików i zabiera się do jedzenia. Czy takie zachowanie nie kłóci się z postawioną przez pana diagnozą?

– Absolutnie nie. Ściśle rzecz biorąc, trudno o dobitniejszy dowód, że Peter znajdował się w fazie dysocjacyjnej. Oto widzimy chłopca, do którego w ogóle nie dociera, że wokół leżą zabici oraz ranni koledzy. Jest nieświadomy, że doprowadził do masakry, dlatego niewzruszony pałaszuje płatki z mlekiem.

– A jak wytłumaczyć fakt, że wiele z osób postrzelonych przez Petera nie należało do tak zwanej popularnej elity? Że wśród ofiar znaleźli się prymusi, uczniowie specjalnej troski, a nawet jeden nauczyciel?

– To kolejna oznaka irracjonalności poczynań – odparł psychiatra. – One nie były wyrachowane i zaplanowane. U Petera doszło do zaburzeń percepcji otoczenia. Każdy, kto w trakcie tych dziewiętnastu minut stanął Peterowi na drodze, był potencjalnym zagrożeniem.

– W którym momencie, w pańskiej opinii, Peter powrócił do rzeczywistości?

– Kiedy detektyw Ducharme próbował nawiązać z nim rozmowę. Wtedy Peter odniósł się adekwatnie do sytuacji, zważywszy rozmiary tragedii. Uderzył w płacz i poczuł potrzebę kontaktu z matką – dotarły do niego realia, na które zareagował w sposób typowy dla każdego dziecka.

Jordan oparł się o barierkę okalającą ławę przysięgłych.

– Doktorze, zgromadzony materiał dowodowy wskazuje, że Peter nie był jedyną osobą, poddawaną szykanom przez kolegów. Dlaczego więc akurat on zareagował w taki sposób?

– Cóż, jak już wspomniałem, reakcja na stres jest bardzo zindywidualizowana. W mojej opinii Peter się odznacza ogromną

wrażliwością emocjonalną, co skądinąd legło u podstaw szykan. Peter nie postępował zgodnie z kodem kulturowym, wyznaczającym zachowania chłopców. Nie pasjonował się sportami. Nie należał do twardzieli. Wykazywał duży stopień empatii. A dzieci i nastolatki nie respektują odmienności. W tym wieku każdy dąży do wtopienia się w grupę, a nie promowania własnej indywidualności.

– Ale jak to możliwe, że dziecko odznaczające się wyjątkową wrażliwością pewnego dnia chwyta za broń i zabija bądź rani dwadzieścia dziewięć osób?

– Częściowo to rezultat PTSD – odpowiedź na nieustanną wiktyimizację. Ale w dużej mierze są za to odpowiedzialne normy wyznaczone przez nasze społeczeństwo, które wykreowało zarówno Petera, jak i jego prześladowców. Reakcja tego chłopca została wymuszona przez świat, w którym funkcjonujemy. Półki w sklepach uginają się od gier komputerowych, ociekających przemocą; teksty wielu popularnych grup muzycznych są gloryfikacją mordu i gwałtu. Peter dzień w dzień stykał się z rówieśnikami, którzy bili go i upokarzali. Na dodatek mieszka w stanie, którego motto – widniejące na tablicach rejestracyjnych wszystkich samochodów – głosi: „Żyj wolny lub giń”. – King potrząsnął głową. – Pewnego ranka Peter po prostu przyjął postawę, jakiej od początku od niego oczekiwano.

Nikt o tym nie wiedział, ale Josie kiedyś zerwała z Mattem Roystonem.

Chodzili ze sobą niemal od roku, gdy Matt przyjechał po nią pewnego sobotniego wieczoru i oznajmił, że jeden z czołowych szkolnych futbolistów – kolega Brady’ego – urządza akurat wielką imprezę w swoim domu.

– Miałabyś ochotę tam wpaść? – zapytał Matt, ale dopiero wtedy, kiedy już niemal byli na miejscu.

Dom tętnił muzyką, a na całej ulicy i na frontowym trawniku ciasno parkowały samochody. W oknach widać było tańczące pary; gdy Josie i

Matt szli do frontowych drzwi, natknęli się na dziewczynę wymiotującą w krzakach.

Matt nie puszczał ręki Josie. Przez gęsty tłum przebili się do kuchni, gdzie stała beczka z piwem, a potem przeszli do jadalni, która została przemieniona w parkiet taneczny. Ludzie, których mijali, nie byli jedynie uczniami Sterling High, ale przyjechali również z innych miast. Niektórzy spoglądali szklistym, niewidzącym wzrokiem palaczy marihuany. Wszyscy szukali okazji do szybkiego seksu.

Josie nie znała nikogo z obecnych, ale to nie miało znaczenia, ponieważ była z Mattem. Pod naporem setki ciał przysunęli się bliżej do siebie. Zaczęli tańczyć, a muzyka tętniła w rytm bicia ich serc.

Wszystko było okay do chwili, gdy Josie powiedziała, że musi iść do toalety. Najpierw Matt się upierał, by jej towarzyszyć; twierdził, że sama nie będzie bezpieczna. W końcu go przekonała, że zajmie jej to tylko pół minuty, ale po drodze pewien wysoki chłopak w koszulce z logo grupy punkowej i kolczykiem w uchu odwrócił się gwałtownie i niechcący oblał Josie piwem.

– O cholera – speszył się.

– Nic się nie stało – zapewniła Josie. Miała w kieszeni chusteczkę higieniczną i nią próbowała osuszyć bluzkę.

– Pozwól, że pomogę – powiedział chłopak, wyjmując bibułkę z jej ręki.

W tej samej chwili oboje zdali sobie sprawę, jak niedorzeczna jest próba wysuszenia mokrej bluzki taką maleńką chusteczką. Wybuchnęli śmiechem. Ręka chłopaka wciąż spoczywała lekko na ramieniu Josie, gdy nagle jak spod ziemi wyrósł Matt i wyprowadził celny cios pięści.

– Co ty wyprawiasz! – wrzasnęła Josie.

Znokautowany chłopak leżał ogłuszony na podłodze. Ludzie się rozstapili, ale nie odsunęli się zbyt daleko, by nie uronić nic z szykującej się bójki. Matt złapał Josie za nadgarstek z taką siłą, że myślała, iż popękają jej kości. Zaciągnął ją do samochodu i wepchnął na siedzenie.

– Chciał tylko pomóc – zaprotestowała Josie.

Matt wrzucił wsteczny bieg i nacisnął na gaz.

– Wolałabyś tutaj zostać? – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Zmienić się w najzwyczajszą dziwkę?

Prowadził jak szalencie: przejeżdżał na czerwonych światłach, ścinał zakręty, dwukrotnie przekraczał dozwoloną prędkość. Josie trzy razy prosiła, żeby zwolnił, ale wreszcie tylko zamknęła oczy i modliła się w duchu, by ten rajd jak najszybciej dobiegł końca.

Kiedy Matt z piskiem opon stanął przed jej domem, odwróciła się w jego stronę, ogarnięta jakimś niezwykłym spokojem.

– Nie chcę już z tobą chodzić – oświadczyła i wysiadła z samochodu.

Głos Matta dogonił ją przy frontowych drzwiach.

– No i bardzo dobrze! Kto by chciał mieć za dziewczynę jakąś pieprzoną kurwę!

Josie uniknęła rozmowy z matką, wymawiając się bólem głowy. W łazience popatrzyła w lustro, zastanawiając się, kim jest ta dziewczyna, zdolna do tak niespodziewanej stanowczości, i dlaczego cały czas chce jej się płakać. Potem przez godzinę leżała bez ruchu na łóżku, a łzy spływały z kącików oczu. Próbowwała zrozumieć, czemu czuje się tak bardzo nieszczęśliwa, skoro to ona podjęła decyzję o zerwaniu.

Telefon zadzwonił po trzeciej nad ranem. Josie chwyciła za słuchawkę i od razu rzuciła ją z powrotem na widełki. Dzięki temu, gdyby przypadkiem odebrała też matka, uznałaby, że to pomyłka. Josie przez kilka chwil wstrzymywała oddech, a potem połączyła się z odpowiednim numerem, by automat ukazał na wyświetlaczu numer dzwoniącego. Ale zanim jeszcze spojrzała na znajomy ciąg cyfr, wiedziała, że to był Matt.

– Josie, czy kłamałaś? – zapytał, gdy oddzwoniła.

– Kiedy?

– Gdy mówiłaś, że mnie kochasz?

Przycisnęła policzek do poduszki.

– Nie – szepnęła.

– Nie mogę bez ciebie żyć – rzekł Matt i wówczas Josie usłyszała coś, co przypominało grzechot tabletek w plastikowej buteleczce.

Zdrętwiała.

– Co ty wyprawiasz?

– Przecież ciebie to już nie obchodzi... – Dramatycznie zawiesił głos.

Umysł Josie zaczął pracować na przyspieszonych obrotach. Miała pozwolenie na prowadzenie samochodu, lecz tylko w towarzystwie osoby dorosłej i przed zapadnięciem zmroku. A Matt mieszkał zbyt daleko, żeby mogła pokonać ten dystans biegiem...

– Poczekaj... Nic... nic nie rób.

Zbiegła do garażu, gdzie stał rower, na którym nie jeździła od czasów gimnazjum. Wskoczyła na siodełko i popedałowała ponad sześć kilometrów, które dzieliły ją od domu Roystonów. Zanim tam dotarła, lunął deszcz, więc włosy i ubranie lepiły się do jej skóry. Na parterze, w pokoju Matta, wciąż paliło się światło. Josie zapukała w szybę i wśliznęła się do środka. Na biurku stały dwie butelki – mała, z paracetamolem, i duża – z burbonem. Josie zajrzała Mattowi w oczy.

– Czy... – zaczęła.

Matt otoczył ją ramionami. Bił od niego mocny zapach alkoholu.

– Przecież mi zabroniłaś. Dla ciebie zrobiłbym wszystko. – Odsunął ją od siebie na długość ramienia. – A ty zrobiłabyś wszystko dla mnie?

– Wszystko – wyszeptwała.

Matt znowu ją przytulił.

– Więc odwołaj to, co dziś wieczorem powiedziałaś.

Josie poczuła, jak zatraskują się za nią drzwi klatki. Zbyt późno się zorientowała, że Matt zwabił ją w pułapkę. I teraz, jak każde pochwycone w potrzask zwierzę, mogła się uwolnić tylko w jeden sposób – pozostawiając we wnykach część siebie.

– Tak mi przykro – powtarzała Josie tej nocy przynajmniej tysiąc razy, ponieważ sama była wszystkimu winna.

– Doktorze Wah – rozpoczęła Diana – ile wyniesie pańskie honorarium za pracę nad tą sprawą?

– Moja stawka to dwa tysiące za dzień.

– Czy słuszne będzie stwierdzenie, że swoją diagnozę oparł pan w głównej mierze na wywiadzie medycznym, przeprowadzonym z oskarżonym?

– Tak jest.

– Podczas tych dziesięciu sesji zakładał pan całkowitą szczerą stronę oskarżonego?

– Owszem.

– I nie miał pan możliwości zweryfikowania wielu jego twierdzeń i opowieści?

– Pracuję w tym zawodzie już od wielu lat, pani Leven – zauważył psychiatra. – Przeprowadziłem wywiady z olbrzymią liczbą osób, więc nie tak łatwo zamydlić mi oczy.

– Zapewne niepośledni wpływ na pańską ocenę prawdomówności osoby badanej ma jej sytuacja życiowa, zgadza się?

– Naturalnie.

– A gdy rozmawiał pan z Peterem, siedział on w więzieniu oskarżony o wielokrotne zabójstwo pierwszego stopnia?

– Tak.

– Miał więc silną motywację, by za wszelką cenę zmienić swoje położenie, czyż nie?

– Lub też, pani Leven, nie miał nic do stracenia – odparował doktor Wah. – Dlatego nic go nie powstrzymywało przed mówieniem prawdy.

Diana zacisnęła wargi; osobiście wystarczyłoby jej proste „tak” lub „nie”.

– Powiedział pan, że jednym z czynników, przemawiających za PTSD, był fakt, iż Peter prosił o pomoc, ale jej nie uzyskał. Czy dowiedział się pan o tym od niego?

– Owszem. Ale znalazłem potwierdzenie jego słów w rozmowach z rodzicami, a także nauczycielami, których pani sama powołała na świadków oskarżenia, pani Leven.

– Powiedział pan również, że wycofanie do świata fantazji należy do objawów PTSD, zgadza się?

– Tak.

– A w przypadku Petera uznał pan, że gry, o których panu opowiadał, były takim zastępczym, wymyślnym światem?

– Tak.

– Czy wysyłając oskarżonego na badania do doktora Ghertza, poinformował go pan o skanowaniu mózgu?

– Tak.

– Nie można więc wykluczyć, że Peter z rozmysłem błędnie identyfikował uczucia ujawniające się na twarzach sfotografowanych ludzi, ponieważ chciał w ten sposób podbudować pana diagnozę?

– Teoretycznie to możliwe...

– Oznajmił pan także, doktorze, że to widok maila w dniu 6 marca spowodował u niego dysocjację – stan, w którym Peter pozostawał przez cały czas tej orgii zabijania...

– Sprzeciw!

– Podtrzymany – zdecydował sędzia.

– Czy swoją diagnozę oparł pan na informacjach wykraczających poza to, co usłyszał pan od Petera Houghtona – siedzącego w więziennej celi, oskarżonego o dziesięć zabójstw pierwszego stopnia i próbę dokonania dziewiętnastu innych?

King Wah pokręcił głową.

– Nie. Ale to rutynowe postępowanie każdego psychiatry.

Diana sceptycznie uniosła brew.

– W szczególności psychiatry, który pobiera dwa tysiące dolarów za dzień – rzuciła. Po czym wycofała swoją uwagę, zanim jeszcze Jordan zdążył zgłosić sprzeciw. – Mówił pan, że Peter mógł snuć wizje samobójcze.

– Tak.

– Mamy więc rozumieć, że chciał się zabić.

– Tak. To typowe dla osób cierpiących z powodu stresu pourazowego.

– Detektyw Ducharme zeznał, że feralnego dnia policja odnalazła na terenie szkoły sto szesnaście łusek. Dodatkowe trzydzieści nabojów Peter miał przy sobie, a kolejne pięćdziesiąt dwa znajdowały się w plecaku razem z karabinkami, z których nie strzelano. Może więc zechce pan wykonać dla nas proste działanie matematyczne, doktorze. O ilu sztukach amunicji tu mówimy?

– O stu dziewięćdziesięciu ósmiu.

Diana zwróciła się w jego stronę.

– W ciągu owych tragicznych dziewiętnastu minut Peter mógł niemal dwieście razy pozbawić się życia, zamiast oddawać strzały do innych uczniów Sterling High. Czy mam rację, doktorze?

– Owszem. Ale samobójstwo od zabójstwa dzieli niezwykle cienka granica. Osoby pogrążone w głębokiej depresji, które zamierzają się zastrzelić, często w ostatniej chwili zmieniają zdanie i strzelają do kogoś innego.

Diana zmarszczyła czoło.

– Wydawało mi się, że Peter znajdował się w stanie rozszczepienia osobowości... A więc nie był zdolny do podejmowania racjonalnych wyborów.

– Peter znajdował się w tym stanie. Dlatego, gdy pociągał za spust, nie myślał o konsekwencjach swojego działania. W ogóle nie miał świadomości tego, co robi.

– Albo po prostu poczuł, że miałby ochotę przekroczyć tę niezwykle cienką granicę, o której pan przed chwilą wspomniał.

Jordan poderwał się na równe nogi.

– Sprzeciw! Oskarżenie nęka mojego świadka!

– Och, na Boga, Jordan. Nie możesz wykorzystywać swojej linii obrony przeciwko mnie osobiście.

– Przywołuję obie strony do porządku – wtrącił sędzia.

– Zeznał pan również, że faza dysocjacyjna dobiegła końca, gdy detektyw Ducharme podjął próbę przesłuchania Petera na posterunku policji, zgadza się?

– Tak.

– Czy można zaryzykować tezę, że przyjął pan takie założenie, ponieważ wówczas oskarżony zachował się adekwatnie do sytuacji?

– Tak.

– Jak więc wyjaśni pan fakt, że gdy trzy godziny wcześniej funkcjonariusze policji wycelowali z pistoletów do Petera i kazali mu rzucić broń, on się zastosował do ich polecenia?

Doktor Wah wyraźnie się zawahał.

– Cóż...

– Czy nie jest to reakcja adekwatna w sytuacji, gdy policjanci mierzą do kogoś z broni?

– Peter odłożył pistolet – podjął psychiatra – ponieważ na poziomie podprogowym docierało do niego, że jeśli tego nie zrobi, zostanie zastrzelony.

– Ależ doktorze... – zdumiała się Diana – ...przecież przed chwilą usłyszeliśmy od pana, że Peter chciał umrzeć.

Usiadła za stołem obrony wysoce zadowolona z siebie, bo wiedziała, że podczas repliki Jordan nie zdoła już zniwelować jej osiągnięć.

– Doktorze Wah, spędził pan wiele czasu z Peterem, prawda? – zaczął Jordan.

– Owszem. W odróżnieniu od niektórych moich kolegów po fachu. – King położył silny nacisk na te słowa. – Uważam, że należy poznać pacjenta, na którego temat będzie się zeznawać w sądzie pod przysięgą.

– Dlaczego jest to takie istotne?

– By wytworzyć więź pomiędzy lekarzem a pacjentem.

– Czy we wszystko, co opowiadają pacjenci, wierzy pan bez zastrzeżeń?

– Oczywiście, że nie. Szczególnie gdy w grę wchodzi tak dramatyczne okoliczności.

– Ma pan możliwość weryfikacji słów pacjenta?

– Naturalnie. W konkretnym przypadku – Petera – przeprowadziłem długie rozmowy z rodzicami. Przystudiowałem akta szkolne, gdzie wspomina się o niektórych incydentach prześladowania Petera, choć, niestety, nie wynika z owych zapisów, by wdrożono odpowiednie środki administracyjne wobec sprawców. W raportach policyjnych znalazłem potwierdzenie opowieści Petera o rozesłaniu wspomnianego przez nas maila do wszystkich uczniów szkoły.

– A czy jakieś obiektywne, nie pochodzące od Petera informacje wskazują na to, że 6 marca rano doszło u niego do dysocjacji? – spytał Jordan.

– Tak. Policja stwierdziła, że Peter sporządził listę celów, ale większość osób, które postrzelił, na niej się nie znajdowała... co więcej, byli to uczniowie często zupełnie nieznanymi Peterowi.

– Jakże to ma znaczenie?

– Stanowi oczywisty dowód, że podczas strzelaniny Peter nie mierzył do wytypowanych osób. Nie wyszukiwał z rozmysłem swoich wrogów. Po prostu działał wiedziony nieświadomym odruchem.

– Dziękuję, doktorze – zakończył Jordan i skinął głową w stronę Diany.

Diana przez chwilę przyglądała się psychiatrze.

– Doktorze Wah – odezwała się w końcu – Peter wyznał panu, że doznał w kafeterii wielkiego upokorzenia. Czy w kontekście szykan wymienił jeszcze jakieś miejsca?

– Przedszkolny plac zabaw. Autobus dowożący uczniów do szkoły. Toaletę męską. Szatnię gimnastyczną.

– Czy rozpętując strzelaninę w Sterling High, Peter wpadł do gabinetu dyrektora?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– A do biblioteki?

– Chyba nie.

– Do pokoju nauczycielskiego?

– Nie.

– Do pracowni plastycznej?

– Nie sądzę.

– Z materiału dowodowego jasno wynika, że Peter poszedł do kafeterii, następnie wszedł do toalet, by w końcu skierować się do sali oraz szatni gimnastycznej. Metodycznie przemieszczał się do miejsc, gdzie zazwyczaj spotykały go największe przykrości, czyż nie?

– Tak się zdaje.

– Powiedział pan, doktorze, że Peter działał wiedziony nieświadomym odruchem, czy jednak nie przypominało to bardziej realizacji starannie obmyślonemu planu?

Kiedy tego dnia Peter wrócił do więzienia, strażnik prowadzący go do celi wręczył mu list.

– Ominęło cię dzisiejsze roznoszenie poczty – powiedział.

A Petera dosłownie zamurowało, bo nie miał pojęcia, jak zareagować na tak rzadki wobec niego akt cudzej życzliwości.

Potem usiadł na prycy, oparł się plecami o ścianę i nieufnie zaczął lustrować kopertę. Poczta wprowadzała go w nerwowy niepokój od czasu, gdy Jordan opieprzył go za sławetną rozmowę z reporterką. Adres na tej kopercie nie był jednak wydrukiem komputerowym – jak w tamtym wypadku. Został napisany odręcznie, a zamiast kropek nad każdym „i” widniały małe kółeczka, przypominające przepływające po niebie obłoki.

Zdecydowanym ruchem Peter rozdarł kopertę i rozłożył kartkę, którą wyjął ze środka. List pachniał świeżymi pomarańczami.

Witaj, Peterze,

Wiem, że nie kojarzysz mojej twarzy ani mojego nazwiska, ale jestem jedną z tych osób, które próbowałeś zabić. Owego pamiętnego dnia opuściłam gmach szkoły jako numer 9 – bo taką cyfrę na moim czole wypisali ratownicy medyczni niezmywalnym markerem.

Nie śledzę Twojego procesu, więc nie wypatruj mnie wśród tłumu zgromadzonego w sali rozpraw. Nie byłam w stanie dłużej znieść tego miasta, dlatego wraz z rodziną wyprowadziliśmy się stąd na zawsze z górą miesiąc temu. Tutaj, w Minnesocie, dopiero za tydzień rozpocznę szkołę, a już wszyscy zdążyli się dowiedzieć, że jestem ofiarą strzelaniny w Sterling High. Nie mam żadnych sprecyzowanych zainteresowań, nie wyróżniam się wyjątkową osobowością, w moim życiu nie wydarzyło się nic godnego uwagi – poza tym, że Ty się w nim pojawiłeś.

W Sterling High byłam czwórkowo-piątkową uczennicą, ale obecnie już nie zależy mi na ocenach. Bo i dlaczego miałoby zależeć? Kiedyś snułam marzenia dotyczące przyszłości, teraz natomiast nie jestem pewna, czy w ogóle pójde do college’u. Cierpię na bezsenność. Dostaję też

napadów lęku, gdy ktoś podchodzi do mnie od tyłu, gdy usłyszę trzask drzwi czy odgłos odpalanych fajerwerków. Od tyłu miesiący chodzę na terapię, że jedno mogę stwierdzić na pewno: moja noga już nigdy w życiu nie postanie w Sterling.

Postrzeliłeś mnie w plecy, na wysokości barku. Lekarze powiedzieli, że miałam dużo szczęścia – wystarczyłoby, abym kichnęła lub się odwróciła, by na Ciebie popatrzeć, a dzisiaj siedziałabym na wózku inwalidzkim. W obecnej sytuacji najgorsze, z czym mam do czynienia, to natarcywe ludzkie spojrzenia, gdy się zapomnę i włożę bluzkę na ramiączkach – każdemu natychmiast rzucają się w oczy blizny po kuli, po szwach i drenach. Chociaż, szczerze powiedziawszy, mam gdzieś tych ludzi i ich rozbiegane oczy – kiedyś się gapili na pryszcze na mojej twarzy, teraz mogą się skoncentrować na innych rejonach.

Często o Tobie myślę. I doszłam do wniosku, że powinieneś pójść do więzienia. Postąpiłeś nie fair, a taki wyrok byłby sprawiedliwy, więc znowu zapanowałby stan pewnej równowagi.

Zapewne nie wiesz, że chodziłam z Tobą na francuski. Siedziałam w rządzie przy oknie, w drugiej ławce od tyłu. Zawsze wydawałeś mi się interesująco tajemniczy i podobał mi się Twój uśmiech.

Bardzo chciałam się wtedy z Tobą zaprzyjaźnić.

*Z poważaniem,
Angela Phlug*

Peter starannie złożył list i wsunął w poszewkę poduszki. Ale dziesięć minut później go stamtąd wyciągnął. Przebiegał zdania wzrokiem raz po raz przez całą noc – aż do świtu. Potem zaś już nie musiał patrzeć na zapisane słowa, bo z zamkniętymi oczami mógł wyrecytować cały tekst – co do kropki i przecinka.

Tego dnia Lacy wybrała strój z myślą o synu. Chociaż na dworze temperatura dochodziła do 30o C, włożyła wygrzebany gdzieś na strychu sweter z różowej angory, którą maleńki Peter gładził niczym

kocie futerko. Na rękę wsunęła bransoletkę z dużych kolorowych koralików, własnoręcznie wykonaną przez niego w czwartej klasie z papier mâché. Wciągnęła szarą spódnicę, drukowaną w graficzny deseń, na której widok Peter swego czasu wybuchnął śmiechem, bo – jak powiedział – przypomina tapetę w komputerze. Włosy splotła starannie w warkocz, ponieważ pamiętała, jak jego koniec muskał policzek Petera, gdy po raz ostatni w życiu całowała go na dobranoc.

Złożyła też sobie solenną obietnicę. Bez względu na to, jak będzie jej ciężko, bez względu na to, do jakiego rozstroju emocjonalnego doprowadzą ją zadawane pytania, ani na moment nie spuści syna z oczu. Peter będzie dla niej tym, czym dla rodzających wizualizacje białych, tropikalnych plaż. Widok jego twarzy zmusi ją do koncentracji, nawet gdy puls będzie się rwał, a serce gubiło rytm. Lacy zrobi wszystko, by pokazać Peterowi, że ktoś wciąż nad nim czuwa i ku niemu kieruje swoje myśli.

Kiedy Jordan McAfee wywołał jej nazwisko, wydarzyła się przedziwna rzecz. Weszła na salę w towarzystwie zastępcy szeryfa, ale zamiast się skierować w stronę niewielkiego, drewnianego balkoniku, gdzie siadywali świadkowie, jej ciało samoistnie skręciło w zupełnie innym kierunku. Diana Leven zorientowała się w sytuacji – jeszcze zanim sama Lacy zdała sobie sprawę z tego, co robi – i już się podnosiła, żeby zgłosić sprzeciw, w ostatniej chwili jednak zmieniła zdanie. Tymczasem Lacy zdecydowanym krokiem podeszła do stołu obrony. Uklękła przed Peterem, tak że teraz tylko jego twarz znajdowała się w polu jej widzenia. A potem wyciągnęła przed siebie lewą rękę i przytknęła dłoń do synowskiego policzka.

Skóra Petera wciąż była gładka jak u dziecka i ciepła w dotyku. Kiedy ręka Lacy zamknęła się na krągłości policzka, kobieta poczuła na palcu mrugnięcie jego rzęs. Co tydzień odwiedzała syna w więzieniu, ale wtedy zawsze odgradzał ich ten czerwony pas. Natomiast to niepowtarzalne wrażenie – żywa tkanka pod jej ręką – było szczególnym darem, który się przechowuje w skarbczyku najcenniejszych wspomnień, wydobywa od czasu do czasu i ogląda ze

wszystkich stron, zdumiewając się, że wciąż jest on w naszym posiadaniu. Lacy przypomniała sobie chwilę, kiedy po raz pierwszy trzymała w ramionach Petera, jeszcze oblepionego śluzem i krwią – okrągłe czerwone usteczka rozwarłe w krzyku noworodka; ramionka i nóżki wciąż nieprzywykłe do tak rozległej, nieograniczonej przestrzeni. Pochylając się do przodu, Lacy uczyniła to samo, co wówczas: zacisnęła powieki, zmówiła krótką modlitwę i ucałowała syna w czoło.

Poczuła na ramieniu dotyk zastępcy szeryfa.

– Proszę pani...

Lacy zdecydowanym ruchem strąciła tę obcą dłoń, wstała i podeszła do miejsca dla świadków. Odsunęła zasuwkę małej furtki i usiadła w fotelu.

Jordan McAfee podszedł do niej z pudełkiem chusteczek w ręku. Odwrócił się plecami do przysięgłych, by nie mogli usłyszeć, co mówi.

– W porządku? – szepnął.

Lacy skinęła głową, skierowała wzrok na syna i złożyła nieznanym bogom w ofierze niepewny uśmiech.

– Proszę podać swoje imię i nazwisko do protokołu – rozpoczął przesłuchanie Jordan.

– Lacy Houghton.

– Obecny adres zamieszkania?

– 1616 Goldenrod Lane, Sterling, New Hampshire.

– Czy pod podanym adresem zamieszkuje ktoś jeszcze?

– Tak. Mój mąż Lewis. Oraz mój syn Peter.

– Czy poza Peterem ma pani jakieś inne dzieci?

– Miałam jeszcze jednego syna, Josepha, ale ponad rok temu został zabity przez pijanego kierowcę.

– Proszę nam powiedzieć, kiedy po raz pierwszy usłyszała pani, że szóstego marca w Sterling High wydarzyło się coś niezwykłego?

– Miałam całonocny dyżur w szpitalu. Jestem położną. Dowiedziałam się o tym rano, po przyjęciu pierwszego tego dnia porodu. Poszłam do dyżurki pielęgniarek... wszystkie siedziały przy odbiorniku radiowym. Chwilę wcześniej wiadomości podały, że w

Sterling High doszło do jakiejś eksplozji.

– Jak pani zareagowała?

– Poprosiłam kogoś, żeby mnie zastąpił, wsiadłam w samochód i pojechałam do szkoły. Musiałam się osobiście przekonać, że Peterowi nie zagraża żadne niebezpieczeństwo.

– Jakim środkiem transportu Peter jeździł do szkoły?

– Własnym samochodem – odparła Lacy.

– Pani Houghton, proszę opowiedzieć, jakie były pani relacje z synem.

Lacy uśmiechnęła się mimowolnie.

– Był moim ukochanym maleństwem. Miałam dwóch synów, ale Peter był cichszy i bardziej wrażliwy. Wymagał więcej wsparcia i zachęty.

– Czy w okresie dorastania Petera nadal pozostawaliście sobie bliscy?

– Oczywiście.

– A jakie relacje miał Peter z bratem?

– Dobrze...

– A z ojcem?

Lacy zawahała się przez moment. Wyraźnie wyczuwała obecność Lewisa w tej sali, jakby siedział u jej boku, i niemal natychmiast przypomniała sobie scenę na cmentarzu, przygarbioną sylwetkę męża, wędrującego wśród grobów w strugach deszczu.

– Myślę, że Lewisa łączyła ściślejsza więź z Joeyem. Peter natomiast miał więcej wspólnego ze mną.

– Czy Peter kiedykolwiek wspominał pani o szykanach, jakie go spotykały ze strony innych dzieci?

– Sprzeciw – wtrąciła prokurator. – Świadek nie może zeznawać na temat faktów, które nie wynikają z bezpośredniego doświadczenia świadka.

– Chwilowo dopuszczę do kontynuacji tej linii przesłuchania – zdecydował sędzia. – Panie McAfee, proszę się jednak mieć na baczności.

Jordan ponownie się zwrócił w stronę Lacy.

– Jak pani sądzi, czemu koledzy obrali Petera za obiekt swoich prześladowań?

– Ponieważ bardzo się od nich różnił. Nie uprawiał sportów. Nie lubił się bawić w policjantów i złodziei. Był zawsze myślący i twórczy, miał artystyczne usposobienie, i to drażniło inne dzieci.

– Jakie działania podjęła pani, by położyć kres szykanom?

– Próbowałam obudzić w nim ducha walki – przyznała Lacy. Skierowała te słowa do Petera i łudziła się nadzieją, że odczyta je jako prośbę o wybaczenie. – Ale co tak naprawdę może uczynić matka, gdy się dowiaduje, że jej dziecku dokuczają rówieśnicy? Mówiłam Peterowi, że go kocham; tłumaczyłam, że jego koledzy są bezmyślni. Powtarzałam, że jest interesujący, miły, inteligentny i wrażliwy na uczucia innych. Miał te wszystkie cechy, które tak wysoko cenimy u dorosłych. Wiedziałam, że przymioty, które prowokują prześladowania rówieśnicze w wieku lat pięciu, będą wielką siłą Petera, gdy skończy lat trzydzieści... ale nie mogłam przenieść go w czasie. Nie jesteśmy w stanie posunąć naprzód biegu naszego życia jak na szybkim przewijaniu, choćbyśmy nie wiadomo jak tego pragnęli.

– Pani Houghton, kiedy Peter rozpoczął naukę w liceum?

– Jesienią 2004 roku.

– Czy w nowej szkole Petera również spotykały szykany?

– Problem jeszcze bardziej się zaognił – odparła Lacy. – Poprosiłam nawet Joeya, żeby miał oko na brata.

Jordan podszedł do barierki.

– Proszę nam opowiedzieć o Joeyu.

– Był powszechnie lubiany. Wyróżniał się w nauce i w sporcie. Równie łatwo nawiązywał kontakt z dorosłymi, jak z rówieśnikami. Joey... cóż, on należał do niekwestionowanych gwiazd Sterling High.

– Musiała pani być z niego bardzo dumna.

– Byłam. Ale myślę, że z powodu Joeya nauczyciele i uczniowie mieli bardzo wygórowane oczekiwania względem Petera na długo przedtem, zanim się pojawił w liceum. A kiedy w końcu rozpoczął tam

naukę i wszyscy spostrzegli, jak bardzo się różni od brata – znalazł się w dramatycznym położeniu.

Pod wpływem jej słów twarz Petera przechodziła gwałtowne przeobrażenia, niczym natura podczas zmieniających się pór roku. Teraz Lacy nie mogła sobie darować, że nie poświęciła odpowiednio dużo czasu – gdy jeszcze miała ku temu sposobność – by wyjaśnić Peterowi, że rozumie jego trudną sytuację; że zdaje sobie sprawę, iż Joey rzuca tak potężny cień, iż trudno pochwycić choćby małe promyki słońca.

– Ile lat miał Peter, gdy zginął jego brat?

– Kończył drugą klasę.

– Cała rodzina musiała ciężko przeżywać tę stratę.

– Owszem.

– Co pani zrobiła, by pomóc Peterowi... by w miarę bezboleśnie przeprowadzić go przez okres żałoby?

Lacy zmieszana spuściła wzrok.

– Nie byłam w stanie mu pomóc. Z ledwością radziłam sobie z własnymi emocjami.

– A pani mąż? Czy on w owych dramatycznych chwilach zapewniał emocjonalne wsparcie Peterowi?

– Myślę, że wówczas oboje koncentrowaliśmy się jedynie na dotrwanii do końca każdego kolejnego dnia. W istocie to na Petera spadł ciężar scalania rodziny...

– Pani Houghton, czy Peter kiedykolwiek wspominał, że chciałby wyrządzić krzywdę któremuś ze swoich szkolnych kolegów?

– Nie – wykrztusiła Lacy przez gwałtownie zaciskające się gardło.

– Czy jakiś rys charakteru Petera mógłby nasuwać przypuszczenie, że jest on zdolny do podobnego czynu?

– Kiedy matka patrzy dziecku w oczy – zaczęła cicho Lacy – widzi potencjał potrzebny do spełnienia jej najskrytszych marzeń... a nie ziszczenia się najgorszych możliwych koszmarów.

– Czy kiedykolwiek natknęła się pani na jakieś zapiski bądź szkice sugerujące, że syn planuje ten atak?

Po policzku Lacy spłynęła pojedyncza łza.

– Nie.

– A czy kontrolowała pani otoczenie Petera? – spytał Jordan miękkim głosem.

Lacy wróciła myślami do dnia, w którym opróżniała biurko Joeya; do chwili, gdy stała nad miską klozetową i spuszczała do kanalizacji narkotyki znalezione w jednej z szuflad.

– Nie – wyznała Lacy. – Nigdy tego nie robiłam. Uważałam, że okazując mu zaufanie, wzmacniam naszą więź. Po śmierci Joeya zależało mi jedynie na tym, by mieć Petera blisko przy sobie. Nie chciałam naruszać jego prywatności, nie chciałam doprowadzać do konfliktów, ranić jego uczuć. Pragnęłam natomiast, by na zawsze pozostał dzieckiem. – Podniosła oczy, teraz już pełne łez. – Ale rodzicom nie wolno pielęgnować w sobie takich życzeń. Nasze zadanie polega na tym, by pomóc dzieciom dorosnąć i całkowicie się od nas uniezależnić – również, a może przede wszystkim, emocjonalnie.

Na widowni nagle wybuchło zamieszanie; jakiś mężczyzna poderwał się z krzesła tak gwałtownie, że nieomal przewrócił jedną z kamer telewizyjnych. Lacy nigdy przedtem nie widziała tego człowieka. Miał czarne przerzedzone włosy i krótko przystrzyżone wąsy, a jego oczy zdawały się płonąć żywym ogniem.

– Odpowiem ci na to tylko jedno – zwrócił się w stronę Lacy. – Przez twojego syna moja córka, Maddie, już nigdy nie dorośnie. – Wyciągnął palec i wskazał na kobietę siedzącą obok, a następnie na kolejne osoby, zajmujące miejsca w tym samym rzędzie. – Ani jego syn. Ani jej córka. Ani jej syn. Ty cholerna suko! Gdybyś się należycie przyłożyła do swoich rodzicielskich obowiązków, ja bym mógł nadal sprawować swoje!

Sędzia zaczął walić młotkiem o stół.

– Proszę pana! Nakazuję, aby...

– Twój syn jest potworem! Pieprzoną bestią! – wrzeszczał mężczyzna, podczas gdy dwaj funkcjonariusze chwycili go pod ramiona i powlekli przez salę do drzwi.

Pewnego razu Lacy przyjmowała poród dziecka, u którego nie doszło do wykształcenia jednej połowy serca. Rodzice wiedzieli, że ich córeczka nie ma najmniejszych szans na przeżycie, a jednak zdecydowali się na donoszenie ciąży, aby spędzić z nią tych kilka ulotnych chwil, zanim małeństwo rozplynie się w niebycie. Lacy wycofała się w drugi koniec pokoju, gdy rodzice trzymali noworodka w ramionach. Nie była w stanie spojrzeć na ich twarze. Widziała natomiast, jak nieruchome, sinoniebieskie małeństwo poruszyło drobną piąstką tak wolno, jak astronauta operujący w próżni kosmosu. A potem miniaturowe paluszki rozwarły się jeden po drugim... i dziewczynka zmarła.

Patrząc teraz na Petera, Lacy wyraziście przypomniała sobie ów moment przechodzenia dziecka do innego, nieznanego świata. Spojrzała synowi prosto w oczy. „Przepraszam” – wypowiedziała bezgłośnie, a potem zakryła twarz rękami i zaczęła szlochać.

Ledwo Wagner zarządził przerwę i przysięgli opuścili salę, Jordan podszedł do sędziowskiego podwyższenia.

– Wysoki sędzie, obrona prosi o chwilę rozmowy. Chcielibyśmy zgłosić wniosek o unieważnienie procesu.

Chociaż Jordan stał zwrócony do Diany plecami, wyczuł, że przewróciła oczami.

– Dobrze sobie – mruknęła.

– Na jakiej podstawie, panie McAfee? – zapytał sędzia.

Na takiej, że nie przychodzi mi do głowy żaden lepszy pomysł na uratowanie tej pieprzonej sprawy, pomyślał Jordan.

– Wysoki sędzie, właśnie doszło do publicznego, niezwykle emocjonalnego wystąpienia ojca jednej z ofiar. Nie sposób uwierzyć, by przysięgli wymazali z pamięci ów incydent, bez względu na pouczenia, których wysoki sąd zechce im udzielić.

– Czy to wszystko, mecenasie?

– Nie. Zanim doszło do owego wybuchu, przysięgli mogli sobie nie

uświadamiać, że na widowni zasiadają najbliższe rodziny śmiertelnych ofiar. Teraz już są tego pewni – i to będzie stanowiło dla nich dodatkowe obciążenie, które już i tak jest niemałe, jako że proces został równie nagłośniony przez media i wzbudził mnóstwo emocji. Jak mają zachować bezstronność, gdy śledzą ich oczy rodziców zabitych dzieci?

– Chyba sobie kpisz – wtrąciła się Diana. – Czy myślisz, że do tej pory przysięgli żyli w przekonaniu, iż na sali zasiadła grupa przypadkowych osób, które przejeżdżały akurat przez Sterling i postanowiły dla rozrywki wpaść do sądu? To dla każdego oczywiste, że widownię wypełniają ludzie, których bezpośrednio dotknęła ta tragedia.

Sędzia Wagner uniósł wzrok znad dokumentów.

– Panie McAfee, nie zamierzam unieważniać tego procesu. Doskonale rozumiem pańskie obiekcje, dlatego wydam przysięgłym odpowiednie instrukcje, nakazujące ignorowanie reakcji obserwatorów. Wszystkie osoby zaangażowane w tę sprawę doskonale zdają sobie sprawę z poziomu emocji, nad którymi nie wszystkim udaje się zapanować. Dlatego dodatkowo wygłoszę surowe ostrzeżenie pod adresem widowni – zapowiem, że jeżeli dojdzie do kolejnych tego typu ekscesów, rozprawa będzie się dalej toczyć za zamkniętymi drzwiami.

Jordan wstrzymał na moment oddech.

– Wysoki sędzie, proszę jednak, by mój wniosek został wniesiony do protokołu.

– Naturalnie, panie McAfee. – Wagner podniósł się z fotela. – Do zobaczenia za piętnaście minut.

Kiedy zniknął w czeluściach sędziowskich gabinetów, Jordan zasiadł za stołem obrony, zastanawiając się, jaki cud mógłby jeszcze uratować Petera. Bo brutalna prawda przedstawiała się następująco: bez względu na to, jak przekonująco przemawiał King Wah; bez względu na to, jak dogłębnie przysięgli pojęli problemy ludzi cierpiących na PTSD; bez względu na to, jak dalece utożsamiali się z nieszczęściem Petera – współczucie dla ofiar i ich rodzin przeważało nad wszystkimi innymi czynnikami.

Wychodząca z sali Diana posłała mu koleżeński uśmiech.

– Nie zaszkodziło spróbować – mruknęła. ulubionym pomieszczeniem Seleny w gmachu sądu była maleńka salka, sąsiadująca z kantorkiem woźnego i pełna starych map. Selena nie miała pojęcia, dlaczego mapy znajdują się akurat w tym pokoiku, a nie w bibliotece, ale głównie dzięki nim lubiła się tutaj chronić, kiedy już miała dość patrzenia na Jordana paradującego przed sędziowskim podwyższeniem. Tutaj też przyszła kilka razy nakarmić Sama w te dni, gdy nie mogła się nim zająć opiekunka.

Teraz zabrała do swojej cichej przystani Lacy i usadziła ją przed mapą świata, w którego centrum znajdowała się półkula południowo-wschodnia, z Australią w kolorze fioletowym i zieloną Nową Zelandią. Tę mapę Selena lubiła najbardziej. Zachwyciły ją fantazyjnie wymalowane smoki, zaludniające morza, i groźne burzowe chmury, czające się w narożach. Podziwiała starannie wyrysowaną różę wiatrów. Z przyjemnością myślała, że z tamtej perspektywy świat się przedstawia zupełnie inaczej.

Lacy Houghton przez cały czas nie mogła powstrzymać płaczu, a było to konieczne, by podczas przesłuchania oskarżenia – które czekało ją po przerwie – nie doszło do katastrofy.

Selena usiadła u boku Lacy.

– Czy miałabyś na coś ochotę? Na kawę? Albo zupę?

Lacy pokręciła głową i otarła wilgotny nos.

– Już nic nie mogę zrobić, by go ocalić.

– To zadanie Jordana – zauważyła Selena. Chociaż, szczerze powiedziawszy, nie wyobrażała sobie, by dla Petera ta rozprawa zakończyła się inaczej niż wyrokiem wieloletniego więzienia. Teraz jednak gorączkowo się zastanawiała, w jaki sposób mogłaby uspokoić Lacy, gdy nagle Sam wyciągnął łapkę i szarpnął za jeden z matczynych warkoczyków.

Bingo!

– Lacy? Mogłabyś potrzymać mojego synka? Muszę spokojnie poszukać czegoś w torbie...

Lacy spojrzała z niedowierzaniem na Selenę.

– Naprawdę... naprawdę nie miałabyś nic przeciwko temu?

Selena pokręciła głową i usadziła dziecko na kolanach Lacy. Sam uważnie popatrzył jej w oczy, usiłując jednocześnie wepchnąć do buzi własną piąstkę, po czym obwieścił wszem i wobec:

– Gaa gaa...

Przez twarz Lacy przebiegł cień uśmiechu.

– Maleńki mężczyzna – szepnęła i pewniejszym ruchem podsunęła dziecko do góry.

– Przepraszam?

Selena odwróciła się w stronę uchylonych drzwi, ujrzała twarz Alex Cormier i natychmiast poderwała się z miejsca.

– Pani sędzio, nie może pani tutaj...

– Wpuść ją – zdecydowała Lacy.

Selena usunęła się na bok i Alex Cormier weszła do pokoiku, po czym usiadła obok Lacy. Postawiła na stole plastikowy kubek z kawą, a następnie wyciągnęła rękę w stronę Sama, który natychmiast pochwycił jej palec i zaczął go radośnie tarosić.

– Kawa jest tutaj ohydna, mimo to postanowiłam ci przynieść.

– Dzięki.

Selena niepostrzeżenie zaczęła się przesuwać w stronę map, aż się znalazła za plecami obu kobiet, które obserwowała teraz z takim zainteresowaniem, jakby miała przed sobą lwicę tulącą się do gazeli.

– Dobrze wypadłaś na miejscu dla świadków – zawyrokowała sędzia.

Lacy pokręciła głową.

– Nie tak dobrze, jak powinnam.

– Leven nie zada ci wiele pytań, jeżeli w ogóle się zdecyduje na przesłuchanie.

Lacy przytuliła Sama do piersi, gładząc go po plecach.

– Nie sądzę, bym zdołała tam wrócić – powiedziała łamiącym się głosem.

– Oczywiście, że zdołasz – odparła Cormier. – Ponieważ Peter cię

potrzebuje.

– Wszyscy go nienawidzą. I mnie też.

Sędzia położyła dłoń na ramieniu Lacy.

– Nie wszyscy – oświadczyła. – Kiedy znowu wejdiesz na salę, ja będę siedzieć w pierwszym rzędzie. Odpowiadając na pytania oskarżenia, nie spuszczaaj ze mnie wzroku.

Selena mimo woli aż rozchyliła usta ze zdumienia. Często świadkom o słabej konstrukcji psychicznej lub małym dzieciom podstawiali z Jordanem jakąś znajomą osobę, by ci mieli poczucie, że w tłumie zalegającym na widowni znajduje się przynajmniej jedna przyjazna dusza – dzięki temu przesłuchanie stawało się mniej przerażające.

Sam tymczasem wsunął do buzi kciuk i ssąc go, zapadł w sen na piersi Lacy. Alex wyciągnęła rękę i pogładziła czarne sprężynki włosów niemowlęcia.

– Panuje powszechne przekonanie, że najwięcej błędów popełniamy w młodości – mruknęła sędzia, spoglądając na Lacy. – Osobiście uważam, że w dojrzałym wieku na naszym koncie pojawia się ich równie dużo.

Ledwo Jordan przekroczył próg aresztanckiej celi, zajął się minimalizacją strat emocjonalnych.

– Ten występ nam nie zaszkodzi – oznajmił pewnym siebie głosem. – Sędzia surowo pouczy przysięgłych, że mają bezwzględny obowiązek ignorowania podobnych incydentów.

Peter siedział na metalowej ławce z twarzą schowaną w dłoniach.

– Peterze, słyszałeś, co powiedziałem? Wiem, że robiło to fatalne wrażenie i z pewnością było przykre, jednakże z punktu widzenia prawa nie miało żadnego znaczenia...

– Muszę wyjaśnić, dlaczego to zrobiłem – przerwał mu Peter.

– Twojej matce? – spytał Jordan. – To niemożliwe. Wciąż obowiązuje ją nakaz izolacji... – Zawiesił głos. – Słuchaj, gdy tylko zdołam nawiązać

z nią kontakt, postaram się, byście mogli...

– Nie. Chciałem powiedzieć, że muszę to wyjaśnić wszystkim ludziom.

Jordan spojrzął uważniej na swojego klienta. Miał suche oczy; zwinięte dłonie oparł na ławce. Kiedy uniósł twarz, nie malował się na niej wyraz dziecięcego przerażenia z pierwszego dnia procesu. Teraz można by odnieść wrażenie, że przez jedną noc Peter dojrzał i wydorósł.

– Przedstawimy wydarzenia z twojego punktu widzenia – zapewnił Jordan. – Musisz się jedynie uzbroić w cierpliwość. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale nasze argumenty zaczynają trafiać do przysięgłych. Idzie nam doprawdy doskonale, biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności.

– Nie „nam” – wtrącił Peter – ale tobie. – Podniósł się z ławki i podszedł do Jordana. – Obiecałeś. Powiedziałeś, że nadejdzie NASZA kolej. Ale kiedy tak mówiłeś, w gruncie rzeczy miałeś na myśli tylko siebie, prawda? Nigdy nie zamierzałeś usadzić mnie na miejscu dla świadków, bym mógł wszystkim opowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło.

– Sam widziałeś, jak potraktowali twoją matkę – argumentował Jordan. – Czy zdajesz sobie sprawę, co się będzie działo, gdy zaczniesz zeznawać?

W tym momencie coś pękło w Peterze. Jordan dopiero po chwili się zorientował, że była to ostatnia wąła nić nadziei. Przypomniał sobie przesłuchanie Michaela Beacha – ten fragment, gdy chłopak opowiadał, jak uchodzi z człowieka życie. I nagle dotarło do niego, że nie trzeba być świadkiem śmierci, by doświadczyć czegoś podobnego.

– Jordanie – odezwał się Peter – jeżeli mam spędzić resztę życia w więzieniu, chcę, aby ludzie usłyszeli o wszystkim z moich własnych ust.

Jordan już miał powiedzieć swojemu klientowi, że szybciej, kurwa, padnie trupem, niż pozwoli, by z powodu jednego głupiego posunięcia runął domek z kart, który wznosił z takim mozołem w nadziei na uniewinnienie. Komu jednak mógł zamydląć oczy tym tekstem? Bo z

pewnością nie Peterowi.

Westchnął głęboko.

– W porządku – wyraził zgodę. – Ale najpierw muszę usłyszeć, co zamierzasz powiedzieć.

Diana Leven nie miała żadnych pytań do Lacy, co w ostatecznym rozrachunku Jordan uznał za szczęśliwe zrządzenie losu. Pomijając fakt, że nic, co powiedziałyby Lacy, nie przysłużyłoby się prokuraturze lepiej niż wystąpienie ojca Maddie Shaw, Jordan nie miał pojęcia, ile jeszcze matka Petera byłaby w stanie znieść, zanim sędzia by zdecydował, że świadek nie jest zdolny do dalszego przesłuchania.

Gdy Lacy została wyprowadzona z sali, Wagner uniósł wzrok znad akt.

– Panie McAfee, proszę wezwać swojego następnego świadka.

Jordan zaczerpnął głęboki oddech.

– Obrona powołuje Petera Houghtona.

Na widowni zawrzało. Reporterzy wyciągnęli nowe długopisy, zaczęli gorączkowo poszukiwać świeżych kartek w notesach. Rozległy się gniewne pomruki rodzin ofiar, pilnie śledzących każdy krok Petera. Jordan odnalazł wzrokiem Selenę – miała oczy szeroko otwarte ze zdumienia, ponieważ w najśmielszych snach nie przewidywała podobnego rozwoju sytuacji.

Peter usiadł na miejscu dla świadków i wbił wzrok w Jordana, zgodnie z wcześniejszymi przykazaniami. Dobry dzieciak, pochwalił go adwokat w duchu.

– Proszę podać raz jeszcze nazwisko do protokołu – rozpoczął Jordan.

– Houghton – powiedział Peter, ale siedział zbyt daleko od mikrofonu, więc system nagłośnienia nie przeniósł jego głosu. – Houghton. Peter Houghton – powtórzył. Tym razem tak głośno, że w głośnikach rozległ się przykry pisk.

– Do której klasy uczęszczasz, Peterze?

– Kiedy zostałem aresztowany, byłem w przedmaturalnej.

– Ile masz obecnie lat?

– Osiemnaście.

Jordan podszedł do barierki okalającej miejsce dla świadków. – Peterze, czy w dniu 6 marca 2007 roku wszedłeś na teren Sterling High, po czym postrzelełeś śmiertelnie dziesięć osób?

– Tak.

– I ciężko zraniłeś dziewiętnaście?

– Tak.

– Ponadto na skutek twoich działań pomniejsze obrażenia odniosły dziesiątki innych uczniów oraz doszło do znacznych strat materialnych?

– Tak... wiem...

– Nie zaprzeczasz tym faktom?

– Nie.

– Czy mógłbyś wyjaśnić przysięgłym, co pchnęło cię do owego desperackiego kroku?

Peter spojrzął Jordanowi prosto w oczy.

– To oni wszystko rozpętali.

– Oni? To znaczy kto?

– Agresywni mięśniacy. Ci, którzy przez całe życie wyzywali mnie od świrów.

– Czy mógłbyś przytoczyć nazwiska?

– Było ich tak wielu... – odparł Peter.

– Dlaczego uznałeś, że musisz się odwołać do przemocy?

Jordan przykazał Peterowi, że pod żadnym pozorem nie wolno mu okazywać gniewu. Przez cały czas przesłuchania musi być spokojny i opanowany albo sytuacja dramatycznie się obróci przeciwko niemu.

– Z początku starałem się postępować zgodnie ze wskazówkami mamy – zaczął swoje wyjaśnienie Peter. – Próbowałem się stać taki sam jak oni. Jednak nic z tego nie wyszło.

– Jak mamy to rozumieć?

– Zapisalem się do drużyny piłki nożnej, lecz nigdy nie grałem ani minuty w reprezentacji. Pewnego razu pomogłem kilku kolegom w zrobieniu kawału jednemu z nauczycieli: przeniesieniu jego samochodu z parkingu do sali gimnastycznej... Zostałem zawieszony, natomiast

innym się upiekło, ponieważ należeli do reprezentacji szkoły w koszykówce, a w najbliższą sobotę miał się odbyć kolejny mecz.

– No dobrze, Peterze – odezwał się Jordan. – Ale dlaczego doszło do aktu aż tak wielkiej przemocy?

Peter zwilżył wargi.

– To nie miało się potoczyć w taki sposób.

– Czy zamierzałeś zabić te wszystkie osoby?

Całe przesłuchanie przećwiczyli w sądowej celi. Peter powinien w tej chwili odpowiedzieć jedynie: „Nie. W żadnym wypadku”.

Tymczasem spojrział na swoje dłonie, po czym odparł cichym głosem:

– Kiedy grałem w moją grę, zawsze wygrywałem.

Jordan zamarł. Peter odbiegł od scenariusza, i teraz jemu trudno było znaleźć odpowiednią kwestię. Jak tak dalej pójdzie, kurtyna opadnie, zanim spektakl dobiegnie końca. Jordan gorączkowo odtworzył w myśli odpowiedź Petera. Nie było aż tak tragicznie, jak się początkowo zdawało. Podobne słowa mogły świadczyć o depresji i osamotnieniu.

Jeszcze zdołam uratować sytuację, zdecydował Jordan w duchu.

Podszedł jak najbliżej miejsca dla świadków, desperacko próbując przekazać Peterowi językiem ciała, że musi się skoncentrować, podążyć za swoim adwokatem. Okazać wobec przysięgłych skruchę.

– Czy teraz już pojąłeś, Peterze, że owego dnia nie było żadnych zwycięzców?

W oku Petera pojawił się szczególny błysk – małe ogniki optymizmu. A więc Jordan, na własną zgubę, wykonał swoją pracę aż za dobrze. Po pięciu miesiącach wbijania Peterowi do głowy, że istnieje szansa na uniewinnienie, że opracowali doskonałą strategię, że wszystko skończy się jak najlepiej... chłopak wybrał najgorszy możliwy moment, by wreszcie uwierzyć w słowa swojego obrońcy.

– Przecież gra jeszcze nie dobiegła końca, prawda? – powiedział Peter, posyłając Jordanowi uśmiech pełen nadziei.

Gdy dwoje przysięgłych z niechęcią odwróciło głowy, Jordan

rozpaczliwie próbował odzyskać równowagę. Powrócił do stołu obrony, klnąc jak najszeptniej w duchu. To zawsze była największa słabość Petera, za którą przychodziło mu słono w życiu płacić. Nie zdawał sobie sprawy, jak wygląda w oczach postronnego obserwatora, który nie ma pojęcia, że on wcale nie próbuje pozować na zimnokrwistego zabójcę, ale dzieli się z jedynym życzliwie doń nastawionym człowiekiem swoistym dowcipem.

– Mecenasio – odezwał się sędzia – czy ma pan dalsze pytania do świadka?

Jordan miał ich co najmniej tysiąc: „Jak mogłeś mi coś podobnego zrobić? Jak mogłeś zrobić coś podobnego sobie? Jak mam przekonać przysięgłych, że za twoimi słowami kryło się coś zupełnie innego, niż im się zdawało?”.

Jordan potrząsnął głową, gorączkowo poszukując w myślach wyjścia z tej fatalnej sytuacji, sędzia jednak potraktował jego gest jak odpowiedź na swoje pytanie.

– Pani Leven? – zwrócił się teraz do Diany.

Jordan nagle zdał sobie sprawę, co się dzieje. Chciał wykrzyknąć: „Czekajcie, wciąż jeszcze się zastanawiam...”. Ale w porę ugryzł się w język. Wystarczy, że Diana zapyta Petera o cokolwiek – chociażby poprosi, by powtórzył swoje nazwisko – a Jordan zyska prawo do repliki. I wówczas z pewnością zdoła sprawić, że przysięgli spojrzą na Petera innym okiem.

Diana przekartkowała swoje notatki, po czym je odłożyła.

– Oskarżenie nie ma pytań, wysoki sędzie.

Wagner wezwał do siebie zastępcę szeryfa.

– Proszę wprowadzić oskarżonego – powiedział.

Po czym zarządził weekendową przerwę w rozprawie.

Gdy tylko sędzia i przysięgli zniknęli z sali, zerwał się ogłuszający huragan pytań. Reporterzy parli pod prąd wylewającej się do holu rzeki ludzkiej w nadziei, że zdołają osaczyć Jordana i wymusić na nim odpowiedź na kilka pytań.

Adwokat szybko pochwycił teczkę i skoczył w stronę bocznych

drzwi – tych, przez które funkcjonariusze wyprowadzili Petera.

– Chwileczkę! – wykrzyknął. Podbiegł do zastępców szeryfa, między którymi siedł Peter ze skutymi rękami. – Muszę porozmawiać z klientem na temat poniedziałkowej sesji.

Funkcjonariusze spojrzeli po sobie, po czym przenieśli wzrok na Jordana.

– Dwie minuty – zdecydowali, ale nie odstąpili od więźnia. Jeżeli Jordan chciał zamienić kilka zdań z klientem, musiał to zrobić na ich warunkach.

Peter, zarumieniony z podniecenia, uśmiechnął się radośnie.

– I co, dobrze się spisałem?

Jordan nerwowo poszukiwał właściwych słów.

– Czy powiedziałaś to, co chciałaś powiedzieć?

– Uhm.

– W takim razie spisałeś się na medal – odparł Jordan.

Stał w wąskim korytarzu i patrzył, jak funkcjonariusze odprowadzają Petera. Zanim skręcili za węgiel, Peter się odwrócił i uniósł skute dłonie w geście pozdrowienia. Jordan skinął głową w odpowiedzi i wsunął rękę do kieszeni.

Wymknął się z sądu tylnymi drzwiami. Przeszedł obok trzech wozów transmisyjnych z antenami satelitarnymi na dachu, przypominającymi olbrzymie, białe ptaki. Przez tylne okna wanów dostrzegał ludzi montujących materiał do wieczornych wiadomości. Na każdym z monitorów widniała jego twarz.

Gdy mijał ostatni z samochodów, przez uchylone okno usłyszał głos Petera:

„Gra jeszcze nie dobiegła końca”.

Jordan mocniej ścisnął teczkę pod pachą i przyspieszył kroku.

– Owszem, już dobiegła – mruknął półgłosem.

Jak zawsze w przeddzień wygłoszenia mowy końcowej przez Jordana Selena upiekła gęś, którą on nazywał „ostatnim posiłkiem

skazańca”, ona natomiast kwitowała bardziej kolokwialnym zwrotem: „No i po ptokach”.

Położyła Sama spać, po czym podała mężowi kolację, a sama usiadła przy stole naprzeciwko niego.

– Zupełnie nie wiem, co powiedzieć – przyznała.

Jordan odsunął talerz.

– Jeszcze nie jestem gotowy.

– Co masz na myśli?

– Nie mogę dopuścić, by dzisiejsze przesłuchanie było finałowym akordem procesu.

– Skarbie, Peter swoim zeznaniem wzniecił pożar, którego nawet kilka zastępów straży pożarnej nie zdołaloby ugasić – zauważyła Selena.

– Nie mogę się tak łatwo poddać. Ostatecznie to ja powtarzałem Peterowi, że mamy szanse na sukces. – Posłał żonie udręczone spojrzenie. – Pozwoliłem mu usiąść na miejscu dla świadków, chociaż wiedziałem, że to błąd. Muszę teraz coś zrobić, żeby to przesłuchanie nie było ostatnim, jakie pozostanie w pamięci członków ławy przysięgłych przed udaniem się na obrady.

Selena westchnęła i sięgnęła po odsunięty talerz. Wzięła sztucce Jordana, odkroiła spory kawałek mięsa i zanurzyła w wiśniowym sosie.

– To cholernie pyszna gęś, Jordanie – oświadczyła. – Nawet sobie nie wyobrażasz, ile tracisz.

– Lista świadków – mruknął Jordan. Poderwał się i zaczął przerzucać papiery leżące na drugim końcu stołu. – Musi się na niej znajdować jakaś osoba, której zeznanie wybawi nas z opresji. – Przebiegł wzrokiem rządek nazwisk. – Louise Herman... Kto to taki?

– Była nauczycielką Petera na początku podstawówki – poinformowała męża Selena z pełnymi ustami.

– Podstawówki? Więc co, u diabła, robi na naszej liście?

– Sama się zgłosiła. Powiedziała, że w razie potrzeby zaświadczy, jakim grzecznym i kochanym chłopcem był Peter w trzeciej klasie.

– To nam nie pomoże. Potrzebny nam ktoś z niedawnej przeszłości.

– Westchnął głęboko. – Nikogo takiego tu nie widzę... – Odwrócił stronę i rzuciło mu się w oczy jedno nazwisko. – Z wyjątkiem Josie Cormier... – powiedział powoli.

Selena gwałtownie odłożyła widelec.

– Chcesz powołać na świadka córkę Alex?!

– Od kiedy to jesteś z sędzią Cormier po imieniu?

– Cóż, dziewczyny zazwyczaj nie przywiązują wagi do takich drobiazgów.

– No, tak czy owak, mam kompletnie przerąbane. Może Josie zdołała sobie coś do tej pory przypomnieć. Posadźmy ją na miejscu dla świadków... zobaczymy, co nam powie.

Selena zaczęła się przedzierać przez sterty papierów pokrywających sporą część stołu, parapet kominka, chodzik Sama.

– A! Oto i jej zeznania.

Jordan wziął z rąk żony dwie kartki. Na pierwszej widniało zaprzysiężone oświadczenie, przesłane przez sędzię Cormier. Na drugiej – zapis późniejszej rozmowy, przeprowadzonej z Josie przez detektywa Ducharme'a.

– Ostatecznie ona się przyjaźni z Peterem – mruknął Jordan.

– Przyjaźniła – skorygowała Selena.

– Mam to gdzieś. Ostatecznie Diana sama przygotowała dla mnie grunt pod to przesłuchanie – pierwsza uświadomiła przysięgłym, że Peter się kochał w Josie. Gdy połączymy to z faktem, że zastrzelił jej chłopaka... Nawet jeśli nie zdołamy nakłonić dziewczyny do powiedzenia paru życzliwych słów na temat Petera – najchętniej do wyznania, że mu przebacza – może uda nam się przedstawić sprawę w kategoriach nieszczęśliwej miłości. Istnieje duża szansa, że przysięgli to kupią... – Jordan wstał od stołu. – Wracam do sądu – oznajmił. – Potrzebne mi wezwanie do stawiennictwa.

Gdy w sobotni poranek rozległ się dzwonek do drzwi, Josie wciąż jeszcze paradowała w piżamie. Tej nocy spała jak zabita i trudno się

dziwić, skoro przez cały miniony tydzień godzinami nie mogła zmrużyć oka, a gdy już się to zdarzyło, nękały ją koszmary. W swoich snach widziała autostrady, po których sunęły jedynie wózki inwalidzkie; zamki szyfrowe bez cyfr na panelach; królowe piękności pozbawione twarzy.

Teraz była już jedyną osobą, siedzącą w pokoiku dla świadków obrony, co oznaczało, że proces dobiega końca. Że jeszcze dzień lub dwa i znowu będzie mogła oddychać pełną piersią.

Z rozmachem otworzyła drzwi wejściowe i ujrzała w progu piękną Afroamerykankę, żonę Jordana McAfee'ego, uśmiechniętą promiennie i wyciągającą przed siebie rękę, w której trzymała jakiś papier.

– Josie – odezwała się miękko – muszę ci dostarczyć ten dokument. Czy twoja mama jest w domu?

Josie wzięła od kobiety starannie złożony, błękitny arkusz. Może to zaproszenie na przyjęcie dla wszystkich uczestników procesu? To byłoby naprawdę super. Odwróciła się przez ramię i zawołała matkę. Zaraz też w holu pojawiła się Alex w towarzystwie Patricka.

– Ehm... – Selena z wrażenia zamrugowała oczami.

Matka Josie, zupełnie niewzruszona, skrzyżowała ramiona.

– O co chodzi?

– Pani sędzio, przepraszam, że niepokoję w sobotę, ale mój mąż byłby wdzięczny, gdyby Josie zechciała się dzisiaj zjawić w jego kancelarii.

– Po co?

– Ponieważ właśnie dostarczyłam pani córce wezwanie do stawienia. W poniedziałek będzie musiała zeznawać przed ławą.

Josie miała wrażenie, że wszystko wokół zaczęło wirować.

– Zeznawać? – powtórzyła drżącym głosem.

Matka ruszyła do przodu, a sądząc po wyrazie jej twarzy, posunęłyby się do rękoczynów, gdyby Patrick nie chwycił jej w pól i nie przytrzymał. Wyjął niebieski dokument z ręki Josie i szybko przebiegł wzrokiem jego treść.

– Ja nie mogę zeznawać w sądzie...

Matka z irytacją potrząsnęła głową.

– Przecież dysponujecie zaprzysiężonym oświadczeniem, w którym Josie jednoznacznie stwierdza, że nic nie pamięta...

– Rozumiem pani zdenerwowanie – odparła Selena. – Ale tak czy inaczej, w poniedziałek Josie będzie musiała usiąść na miejscu dla świadków. Uznaliśmy, że dla obu stron będzie lepiej, jeżeli nie wejdzie całkiem surowa na salę rozpraw... – Zawiesiła głos. – Może pani wypowiedzieć nam wojnę lub przyłączyć się do koalicji. Decyzja należy do pani, pani sędzio.

Matka Josie przybrała kamienny wyraz twarzy.

– Druga po południu – wycodziła przez zaciśnięte zęby i zatrzasnęła Selenie drzwi przed nosem.

– Obiecałaś! – wrzasnęła Josie. – Obiecałaś, że nie będę musiała zeznawać! Że moja noga nie postanie na sali rozpraw!

Matka ujęła ją za ramiona.

– Skarbie, rozumiem, że przeraża cię ta perspektywa, a sala sądowa to ostatnie miejsce, w którym chciałabyś się znaleźć. Ale pamiętaj, że cokolwiek powiesz, w najmniejszym stopniu nie wpłynie na wynik tego procesu. Ani się obejrzysz, jak będzie po wszystkim. – Alex zerknęła na Patricka. – Czemu, do cholery, McAfee to robi?

– Ponieważ sprawa kompletnie mu się posypała. I teraz ludzie się nadziejają, że Josie zdoła ją jeszcze dla niego poskładać.

To jedno zdanie wystarczyło, by Josie wybuchnęła płaczem.

Punktualnie o drugiej po południu Josie Cormier i jej matka zjawiły się w kancelarii Jordana, który powitał je z Samem na rękę. Sędzia Cormier przywodziła na myśl granitową turnię, jej córka natomiast drżała jak osika.

– Dziękuję, że panie zechciały przyjść. – Jordan uśmiechnął się najszerzej i najprzyjaźniej, jak potrafił. Zależało mu, żeby Josie poczuła się swobodnie.

Żadna z kobiet ani słowem nie odpowiedziała na powitanie.

– Bardzo przepraszam za to. – Wskazał na synka. – Żona miała się zjawić już jakiś czas temu i zabrać Sama, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać, ale na drodze numer dziesięć rozkraczyła się wielka ciężarówka do zwożenia drewna i Selena utknęła w korku. – Jeszcze bardziej rozciągnął kącki ust. – Ale to już nie potrwa długo.

Uczył zapraszający gest, wskazując wielką sofę, fotele... Na stole konferencyjnym stał talerz z ciastkami i dzbanek z wodą.

– Czy mogę paniom zaoferować coś do jedzenia lub picia...?

– Nie – ucięła sędzia.

Jordan usiadł w fotelu za biurkiem, podrzucając synka na kolanie.

– No tak...

Wpatrzył się w wiszący na ścianie zegar; wprost nie do wiary, jak wolno mija sześćdziesiąt sekund, gdy chciałoby się, żeby przemknęły jak błyskawica... Nagle drzwi otworzyły się z impetem i do środka wbiegła Selena.

– Przepraszam... Bardzo przepraszam... – zaczęła od progu. Pośpiesznie ruszyła w stronę synka i gdy wyciągała po niego rękę, z jej ramienia spadł plecak z pieluchami. Odbił się parę razy i wylądował u stóp Josie.

Dziewczyna poderwała się na równe nogi, nie odwracając wzroku od plecaka. Zaczęła się gwałtownie cofać; potknęła się o nogi matki, o brzeg kanapy.

– Nie – jęknęła cicho.

Zwinęła się w kłębek w rogu pokoju, zakryła głowę rękami i zanosła się szlochem. Na ten odgłos Sam również wybuchnął płaczem... Jordan natomiast patrzył na to wszystko kompletnie oniemiały.

Sędzia Cormier przykucnęła obok córki.

– Josie, o co chodzi? Josie? Co się stało?

Josie kołysała się w przód i tył, wciąż cicho szlochając.

– Ja pamiętam – wyszeptła przez łzy. – Pamiętam dużo więcej, niż mówiłam.

Sędzia zaniemówiła z wrażenia i Jordan postanowił wykorzystać ten

moment do maksimum.

– A co dokładnie pamiętasz? – On również przykucnął obok dziewczyny.

Sędzia Cormier odepchnęła go jednak bezceremonialnie, po czym pomogła córce się podnieść. Posadziła ją na kanapie i podała jej szklanę wody.

– Już dobrze – mruknęła.

Josie konwulsyjnie wciągnęła powietrze.

– Plecak... – powiedziała, wskazując głową na podłogę. – Plecak spadł Peterowi z ramienia... jak ten przed chwilą. Zamek był rozpięty i... i ze środka wypadł pistolet. Matt go chwycił... Wystrzelił do Petera, ale spudłował. A wtedy Peter... wtedy on... – zacisnęła powieki. – Wtedy Peter zabił Matta.

Jordan spojrzał znacząco na Selenę. Obrona Petera była zbudowana wokół PTSD – wokół reminiscencji wywołanych z pozoru banalnymi zdarzeniami; wokół obronnego wypierania przez ludzki umysł pewnych incydentów. W tej chwili Josie stanowiła ucieleśnienie przedstawianej przez Jordana linii obrony – na widok upadającego plecaka przypomniała sobie niespodziewanie, do czego doszło przed miesiącami w gimnastycznej szatni. Przypomniała sobie, że Peter stał naprzeciwko swojego odwiecznego prześladowcy, który mierzył do niego z pistoletu – stanowił realne zagrożenie dla jego życia.

A to z kolei oznaczało, że od samego początku prawniczy instynkt prowadził Jordana w dobrym kierunku – ku prawdzie.

– Niezły pasztet – powiedział do Seleny, gdy zostali sami. – Ale zadziała na moją korzyść.

Selena już jakiś czas temu ułożyła synka do snu w pustej szufladzie, a teraz siedziała z Jordanem przy konferencyjnym stole; wspólnie omawiali wyznania Josie. Dziewczyna w końcu przyznała, że już dawno temu zaczęły do niej wracać fragmenty wspomnień z feralnego dnia, ale nie powiedziała o tym nikomu, ponieważ bała się zeznawać w

sądzie. A teraz, na widok toczącego się po ziemi plecaka, przypomniała sobie wszystko z drobiazgową dokładnością.

– Gdybym się o tym dowiedział przed rozpoczęciem procesu, wymógłbym na Dianie ugodę. Niewykluczone jednak, że przed ławą przysięgłych uda mi się wykorzystać te rewelacje jeszcze skuteczniej.

– Nie ma to jak dar niebios, ratujący z opresji w ostatniej chwili – mruknęła Selena.

– Kiedy Josie opowie o wydarzeniach w szatni, poczynania Petera nagle ukażą się w całkiem nowym świetle. Zeznania tej dziewczyny postawią też pod znakiem zapytania wiele sugestii, które Diana przedstawiła ławie. Innymi słowy: skoro oskarżenie nie zdołało ustalić tak istotnych faktów, jakie jeszcze inne ważne poszlaki lub dowody umknęły śledczym prokuratury?

– Poza tym słowa Josie idealnie podbudują zeznania Kinga – zauważyła Selena. – Peter miał powody do strachu; tamtego dnia chłopak, który go najdotkliwiej szykanował, skierował na niego broń. Tyle że przyniesioną przez Petera...

– To bez znaczenia – zdecydował Jordan. – Nie muszę wiązać wszystkich sznurków. – Mocno ucałował Selenę w usta. – Muszę się tylko postarać, żeby oskarżenie też tego nie zrobiło.

Alex siedziała na ławce i patrzyła na grupę studentów college'u, zabawiających się w parku freesbie, zupełnie nieświadomych, że przed chwilą rozpadł się świat. Josie, która przycupnęła obok matki, podciągnęła kolana pod brodę.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – spytała cicho Alex.

– Nie mogłam. Miałaś przewodniczyć tej rozprawie.

Alex odniosła wrażenie, że nagle jakieś cienkie ostrze przeszło jej mostek.

– Ale czemu nie zrobiłaś tego, kiedy zrezygnowałam? Kiedy poszłyśmy do Jordana, wciąż twierdziłaś, że nic nie pamiętasz... Złożyłaś pod przysięgą oświadczenie tej treści...

– Myślałam, że tobie zależy na tym oświadczeniu – odparła Josie. – Powiedziałaś, że jeśli je podpiszę, nie będę musiała zeznawać w sądzie... a ja bardzo nie chciałam zeznawać. Nie chciałam patrzeć na Petera.

Jeden ze studentów wyskoczył w górę, ale i tak nie zdołał złapać plastikowego talerza, który ostatecznie w chmurze pyłu wylądował u stóp Alex.

– Przepraszam! – krzyknął chłopak, unosząc rękę.

Alex podniosła freesbie i odesłała zgrabnym lobem. Wiatr poniosł lekki dysk hen, wysoko, plamiąc nieskazitelny błękit nieba.

– Mamusiu... – Josie już od lat nie zwracała się do matki tym słowem. – Co się teraz ze mną stanie?

Alex nie umiała udzielić odpowiedzi na tak zadane pytanie. Ani jako prawnik, ani jako sędzia, ani jako matka. Mogła jedynie wesprzeć córkę zdroworozsądkową radą w nadziei, że ta okaże się pomocna.

– Od tej chwili musisz mówić tylko prawdę.

Tego ranka Patrick został wezwany jako negocjator do Cornish, gdzie jeden z policjantów interweniujących w sprawie przemocy domowej został zatrzymany w charakterze zakładnika. Gdy dotarł z powrotem do Sterling, dochodziła północ. Nie pojechał jednak do siebie, ale do Alex – gdzie już od dłuższego czasu czuł się bardziej w domu niż we własnym mieszkaniu. Parę razy w ciągu dnia próbował się z nią skontaktować – był ciekaw, jak przebiegło spotkanie u Jordana McAfee’ego – ale miał problemy ze znalezieniem zasięgu.

Zastał Alex siedzącą w pogrążonym w ciemności salonie. Padł na kanapę u jej boku i przez chwilę także wpatrywał się w milczeniu w ścianę.

– Co my właściwie robimy? – zapytał w końcu szeptem.

Spojrzała na niego i wówczas dopiero zauważył, że płakała. Natychmiast zaczął czynić sobie wyrzuty: Powinieneś pilnie szukać tego zasięgu! Powinieneś przyjechać wcześniej!

– Co się stało?

– Nawaliłam na całej linii – oznajmiła Alex. – Myślałam, że jej pomagam. Myślałam, że wiem, co robię. A nagle się okazało, że o niczym nie miałam pojęcia.

– Gdzie jest Josie? – zapytał Patrick, próbując powiązać niespójne fragmenty w całość.

– U siebie. Śpi. Kazałam jej zażyć środek uspokajający.

– Opowiesz mi, co się stało?

– Poszliśmy na spotkanie z Jordanem McAfee'em i Josie wyznała... wyznała, że pamięta to i owo z tamtego dnia. A ściśle rzecz biorąc, pamięta wszystko.

Patrick gwizdnął cicho przez zęby.

– A więc z rozmysłem kłamała?

– Nie wiem. Z pewnością bała się zeznawać. – Alex zerknęła na Patricka z ukosa. – Ale na tym nie koniec rewelacji. Josie utrzymuje, że Matt pierwszy strzelił do Petera.

– CO TAKIEGO?!

– Plecak z bronią ześliznął się Peterowi z ramienia, wylądował nieopodal Matta, wypadła z niego broń, Matt chwycił za pistolet... Strzelił, ale chybił.

Patrick przejechał dłonią po twarzy. Diana Leven nie będzie uszczęśliwiona, gdy o tym usłyszy.

– Wyobrazasz sobie, co teraz czeka Josie? – denerwowała się Alex. – W najlepszym wypadku całe miasto znienawidzi ją za zeznania na korzyść Petera. W najgorszym – skłamię na miejscu dla świadków i zostanie oskarżona o krzywoprzysięstwo.

– Przestań się zamartwiać. Ty już nie masz na to wpływu. Uważam jednak, że Josie sobie poradzi. Ma w sobie siłę tych, co potrafią wszystko przetrwać.

Nachylił się i zaczął całować Alex, by nie składać żadnych obietnic w obawie, że mogą się nie spełnić. Całował ukochaną tak długo, aż poczuł, że opuszcza ją napięcie.

– Powinnaś teraz iść na górę i sama wziąć jedną z tych tabletek na

uspokojenie – szepnął.

Alex zerknęła na niego z ukosa.

– Nie zostaniesz?

– Nie mogę. Jeszcze czeka mnie praca.

– Przejechałeś taki szmat drogi tylko po to, by mi powiedzieć, że wychodzisz?

Patrick spojrział na nią czule, żałując, że nie może jej wyjaśnić, czym musi się teraz zająć.

– Do zobaczenia wkrótce, Alex.

Patrick nie mógł zachować w sekrecie tego, co usłyszał od Alex – z czego ona, jako prawnik, z pewnością zdawała sobie sprawę. W poniedziałek będzie musiał pójść do Diany i powiedzieć, że wedle jego najnowszej wiedzy, Matt Royston pierwszy wystrzelił do Petera Houghtona. Prawo obligowało Patricka do dzielenia się z prokuraturą każdą nową poszlaką. Dziś jednak była niedziela, a to oznaczało, że do poniedziałku może robić ze świeżo zdobytą informacją, co mu się żywnie podoba.

Gdyby znalazł ślady potwierdzające wersję Josie, zdjąłby z niej część odium, jakie czekało ją po złożeniu zeznań, i wyrósłby na bohatera w oczach Alex. Ale Patrick miał także całkiem inny powód, by po raz kolejny przeszukać szatnię gimnastyczną. Osobiście przecesał w swoim czasie to niewielkie pomieszczenie kawałek po kawałku i nie odnalazł pocisku. A gdyby Matt rzeczywiście wystrzelił pierwszy – Patrick musiałby go znaleźć.

Nie chciał mówić tego Alex, ale podejrzewał, że Josie znowu kłamie.

O szóstej rano Sterling High było pogrążone w sennym letargu. Patrick otworzył frontowe drzwi i ruszył przed siebie mrocznymi korytarzami. Zostały profesjonalnie wyczyszczone i posprzątane, ale Patrickowi i tak stawały przed oczami plamy na podłodze i miejsca, gdzie kule roztrzaskały szyby. Szedł szybkim krokiem. Energicznym ruchem odgarniał brezentowe plandeki, zręcznie wymijał sterty desek.

Otworzył dwuskrzydłowe drzwi sali gimnastycznej i sięgnął do panelu z włącznikami. Chwilę później pomieszczenie zalała fala światła. Gdy był tu po raz ostatni, na parkiecie wciąż leżały kawałki termalnego koca z numerami odpowiadającymi tym wypisanym na czołach Drew Girarda, Noaha Jamesa, Justina Friedmana, Dusty'ego Spearsa i Austina Prokiova. Śledczy z laboratorium kryminalistycznego pełzali po podłodze, by pozbierać łuski i sfotografować najmniejsze ubytki w dolnych fragmentach ścian, w parkiecie i listwach podłogowych. Inni wchodzili na drabiny, by wyciągnąć kule, które utkwily pod sufitem i w tablicy do kosza.

Po wyjściu od Alex Patrick pojechał na posterunek, gdzie przez kilka godzin badał odcisk zdjęty ze spustu broni B, zbyt fragmentaryczny i rozmazany, żeby przepuścić go przez komputer. Patrick, ulegając lenistwu umysłowemu, z góry założył, że to odcisk Petera. A jeżeli należał do Matta? Czy można w jakikolwiek sposób udowodnić, że Royston trzymał tę broń w ręku – jak utrzymywała Josie? Patrick godzinami porównywał linie z tajemniczego odcisku z liniami papilarnymi Roystona. Obracał je pod różnymi kątami, wpatrywał się w minucje, aż w końcu wszystko zaczęło mu się rozmazywać przed oczyma.

Ten odcisk do niczego go nie doprowadzi. A to oznaczało, że jeżeli ma znaleźć jakikolwiek dowód na potwierdzenie słów Josie, musi szukać go w szkole.

Wnętrze szatni przedstawiało się identycznie jak na dużej fotografii, którą Diana prezentowała w sądzie podczas przesłuchania Patricka – tyle że, naturalnie, teraz nie było tu ciała Matta. W odróżnieniu od klas i korytarzy szkolnych, tutaj nie przeprowadzono prac remontowo-porządkowych. Zarząd szkoły podjął jednomyślną uchwałę, że ta szatnia, a także sala gimnastyczna i kafeteria zostaną wyburzone pod koniec miesiąca. Z miejscami tymi wiązało się zbyt wiele cierpienia i traumatycznych wspomnień, by je zachować w dotychczasowym kształcie.

Szatnie zbudowano na planie prostokąta. Drzwi wiodące z sali

gimnastycznej znajdowały się pośrodku długiej ściany. Pod przeciwległą ścianą stały metalowe szafki oraz niskie drewniane ławki. W skrajnym lewym rogu było wejście pod prysznic. Tam także leżało ciało Matta Roystona, a obok niego – zemdlona Josie. Dziesięć metrów dalej, niemalże naprzeciwko, w prawym skrajnym rogu siedział w kucki Peter Houghton. Niebieski plecak został odnaleziony po lewej stronie drzwi.

Gdyby przyjąć wersję Josie, sytuacja przedstawiałaby się następująco. Peter wpadł do szatni, gdzie Matt i Josie postanowili się przed nim ukryć. Najprawdopodobniej trzymał w ręku pistolet A. Upuścił plecak i Matt – który w takiej sytuacji musiałby stać mniej więcej pośrodku pomieszczenia – pochwycił pistolet B. Strzelił do Petera i chybił. Pytanie – gdzie się podziała kula? Kiedy Royston chciał wystrzelić po raz drugi, mechanizm spustowy się zaciął. Wówczas Peter oddał dwa strzały do Matta – w tym jeden śmiertelny.

Problem w tym, że ciało Roystona znaleziono ponad cztery metry od miejsca, gdzie upadł plecak, z którego wysunęła się broń.

Dlaczego Matt miałby się cofnąć o kilka metrów i dopiero wówczas wystrzelić do Petera? To nie miało najmniejszego sensu. Z tej broni, przy amunicji tego kalibru, strzał też nie mógł odrzucić ciała rosnącego Matta na taką odległość. Poza tym rozbryzgi krwi wykluczały, by Matt się znajdował w pobliżu plecaka, gdy Peter do niego wystrzelił. Wszystkie analizy potwierdzały, że Royston padł mniej więcej w tym samym miejscu, w którym stał, gdy dosięgła go kula.

Patrick podszedł do kąta, w którym kulił się Peter. Zaczął systematycznie przeszukiwać każde miejsce – centymetr po centymetrze. Zbadał raz jeszcze wszystkie szafki, położył się nawet na podłodze i sprawdził spód ławki. Przejechał dokładnie latarką po suficie. Gdyby Matt wystrzelił do Petera w tak niewielkim pomieszczeniu i chybił, po uderzeniu kuli musiałby gdzieś pozostać wyraźnie widoczny ślad. Nic takiego nie było. A więc w stronę Petera nikt nie oddał strzału.

Patrick przemieścił się w przeciwległy róg szatni. Na podłodze

wciąż widniała plama krwi i krwawy odcisk męskiego buta. Omijając je, detektyw wszedł do pomieszczenia z prysznicami.

Gdyby znalazł zaginioną kulę tutaj, nieopodal miejsca, w którym znaleziono ciało Matta, toby oznaczało, że Royston nie mógł strzelać z pistoletu B. Innymi słowy, byłby to dowód na to, że Josie okłamała Jordana McAfee'ego.

Poszukiwanie śladów w pomieszczeniu z prysznicami było zadaniem łatwym, ponieważ wszystkie ściany pokrywały białe, błyszczące kafelki, na których każdy ślad, każdy odprysk natychmiast rzucałby się w oczy.

Wszystkie kafle były w idealnym stanie.

Patrick odwrócił się i zaczął badać miejsca, które z pozoru zdawały się absurdalne – sitka prysznicowe, sufit, kratki odpływowe. Zdjął buty i skarpetki, po czym zaczął się przesuwac powoli po posadzce pryszniców.

I właśnie wówczas małym palcem stopy wyczuł dziwną nierówność przy jednym z sitek odpływu.

Opadł na czworaki i zaczął delikatnie obmacywać to miejsce. Jedna z białych terakotowych płytek była uszkodzona na brzegu. Technicy to przeoczyli, ponieważ z racji usytuowania odprysku uznali, że to osad. Patrick poświecił latarką w głąb odpływu; jeżeli kula tam trafiła – dawno nie pozostało po niej ani śladu. Z drugiej strony – otwory wlotowe były tak małe, że mało prawdopodobne, by przeleciał przez nie pocisk kalibru 9 mm.

Czyżby więc rykoszet?

Patrick otworzył jedną z szafek i z wewnętrznej strony jej drzwiczek oderwał niewielkie lusterko. Położył je stroną odbicia do góry, w miejscu uszkodzenia płytki. Potem zgasił światło i wyjął wskaźnik laserowy. Stał w miejscu, w którym kucał Peter, i skierował wiązkę lasera na lusterko. Smuga odbitego światła padła na ścianę prysznic, wolną od jakichkolwiek uszkodzeń.

Obchodził wkoło szatnię, cały czas puszczając światło na lusterko, aż w pewnym momencie wiązka odbita uderzyła w sam środek

niewielkiego okienka. Wówczas Patrick przyklęknął, wyjął z kieszeni długopis i wyraźnie oznaczył miejsce, w którym się znajdował. A potem wyjął z kieszeni komórkę i szybko wybrał numer.

– Diano, musisz zrobić wszystko, co w twojej mocy, by przedłużyć przerwę w rozprawie do wtorku.

– Zdaję sobie sprawę, że to niecodzienna prośba – tłumaczyła Diana nazajutrz w sędziowskim gabinecie, tuż po wznowieniu procesu. – Wiem, że przysięgli są już na sali, niemniej proszę o odroczenie rozprawy do czasu przybycia mojego detektywa. Niespodziewanie pojawił się nowy wątek w sprawie... być może oczyszczający oskarżonego z części zarzutów.

– Dzwoniła pani do swojego detektywa? – spytał Wagner.

– Kilkakrotnie.

Patrick nie odbierał telefonu. Gdyby to zrobił, Diana powiedziała by mu osobiście, że w tej chwili ma ochotę zamordować go gołymi rękami.

– Obrona nie wyraża zgody na odroczenie, wysoki sędzie – wtrącił Jordan. – Jesteśmy gotowi do prezentacji argumentów. Osobiście nie wątpię, że pani Leven podzieli się ze mną wszelkimi informacjami, mogącymi działać na korzyść mojego klienta – gdy tylko wejdzie w ich posiadanie. W obecnej chwili jednak zaryzykuję kontynuację swojej linii obrony. Poza tym na przesłuchanie czeka już mój kolejny świadek.

– Świadek? – zaniepokoiła się Diana. – Jaki świadek? Przecież ty już nie masz żadnych świadków.

Jordan uśmiechnął się rozbijając.

– Córka sędzi Cormier.

Przed salą rozpraw Alex mocno ścisnęła rękę córki.

– Zanim się obejrzysz, już będzie po wszystkim – powtórzyła po raz nie wiedzieć który.

Cóż za ironia! Kilka miesięcy temu – kiedy walczyła jak lew, by przewodniczyć temu procesowi – wiedziała, że nie potrafi zapewnić

Josie emocjonalnego wsparcia; była jednak pewna, że przynajmniej zdoła rozwiązać wszelkie niepokoje córki w kwestiach prawniczych i proceduralnych. I oto teraz Josie miała stanąć na scenie, którą Alex znała tak dobrze jak niewielu innych, a mimo to nie umiała w tej trudnej chwili udzielić swojemu dziecku żadnej mądrej rady.

To będzie doświadczenie budzące lęk. I bolesne wspomnienia. Wszystko jednak, co Alex mogła teraz zrobić, to jedynie biernie patrzeć na cierpienie córki.

Do ławki, na której siedziały, podszedł zastępca szeryfa.

– Pani sędzio? Czy córka jest gotowa do złożenia zeznań?

Alex wstała, by zająć miejsce na sali. Wcześniej jednak raz jeszcze uściśniła mocno rękę Josie.

– Po prostu powiedz wszystko, co wiesz, kochanie.

– Mamo...? A jeżeli to, co się wie, nie jest tym, co ludzie chcieliby usłyszeć?

Alex próbowała przywołać uśmiech na usta.

– Powiedz prawdę. To zawsze najlepsze wyjście.

By zadośćuczynić przepisom, które nakazywały równoważny dostęp stron do materiału dowodowego, Jordan – podchodząc do miejsca dla świadków – położył na biurku Diany streszczenie zeznań Josie, złożonych w sobotę w jego kancelarii.

– Kiedy to do Ciebie trafiło? – wysyczała prokurator.

– Dopiero w weekend. Bardzo mi przykro – powiedział, chociaż ostatnie słowa były wierutnym kłamstwem.

Podszedł do Josie, która wydawała się bardzo blada i krucha. Miała włosy gładko ściągnięte w koński ogon; dłonie złożyła na kolanach. Pilnie się starała nie patrzeć na nikogo ze zgromadzonych; uporczywie wbijała wzrok w drewno balustrady.

– Proszę podać swoje nazwisko do protokołu.

– Josie Cormier.

– Gdzie mieszkasz, Josie?

– Mój adres to 45 East Prescott Street, Sterling.

– Ile masz lat?

– Siedemnaście.

Jordan podszedł jeszcze bliżej, żeby nikt poza Josie nie usłyszał, co ma jej do powiedzenia.

– No widzisz? – mruknął. – Bułka z masłem. – Puścił oko i wydało mu się, że przez twarz dziewczyny przebiegł cień uśmiechu.

– Gdzie byłaś rankiem 6 marca 2007 roku?

– W szkole.

– Jaka była twoja pierwsza lekcja owego dnia?

– Angielski – odparła Josie cicho.

– A druga?

– Matematyka.

– A następna?

– Na trzeciej godzinie miałam okienko.

– Jak je spędziłaś?

– Z moim chłopakiem... z Mattem Roystonem. – Zamrugowała szybko, żeby powstrzymać łzy.

– Gdzie się z Mattem udaliście?

– Do kafeterii. Tam siedzieli nasi przyjaciele. Ale wyszliśmy wcześniej, bo przed następnymi zajęciami Matt chciał coś wyjąć ze swojej szafki.

– Co się wówczas wydarzyło?

Josie spuściła oczy.

– Usłyszeliśmy okropny hałas i ludzie zaczęli się rozbiegać na wszystkie strony. Niektórzy coś krzyczeli na temat broni. O tym, że w szkole pojawił się ktoś z pistoletem. Jeden z naszych przyjaciół, Drew Girard, powiedział, że to Peter strzela do wszystkich na oślep.

Uniosła wzrok i spojrzała wprost na Petera. Przez dłuższą chwilę oboje spoglądali sobie prosto w oczy, a potem Josie zacisnęła powieki i odwróciła głowę.

– Czy miałaś świadomość, co się naprawdę dzieje?

– Nie.

- Widziałaś, by ktoś oddawał strzały?
 - Nie.
 - Dokąd się udałaś?
 - Do sali gimnastycznej. Chcieliśmy się dostać do szatni. Gdy bieглиśmy, wiedziałam, że Peter jest coraz bliżej, bo wyraźnie słyszałam strzały.
 - Kto dotarł z tobą do celu?
 - W pierwszej chwili myślałam, że Matt i Drew, ale kiedy się odwróciłam za siebie, Drew już z nami nie było. Został postrzelony.
 - Widziałaś, jak doszło do jego postrzelenia?
- Josie pokręciła głową.
- Nie.
 - Czy widziałaś Petera, zanim znalazłaś się w szatni?
 - Nie. – Twarz Josie wykrzywił grymas płaczu; otarła oczy.
 - I co się następnie wydarzyło?

Tamten Dzień, 10:16 rano

– Na ziemię – syknął Matt i pchnął Josie tak mocno, że wylądowała za ławką.

Nie najlepsza kryjówka. Ale w szatni właściwie nie było gdzie się schować. Matt miał plan: chciał, żeby wydostali się na zewnątrz przez okienko w pomieszczeniu z prysznicami. Nawet już je otworzył, ale wówczas w sali gimnastycznej rozległy się strzały, zrozumieli więc, że nie ma czasu na przyciągnięcie ławki z szatni i ucieczkę. Niechcący sami zapędzili się w pułapkę.

Josie zwinęła się w kulkę, Matt przykucnął przed nią. Serce waliło jej jak młotem; chwilami zapominała oddychać.

Matt sięgnął do tyłu i chwycił Josie za rękę.

– Gdyby wydarzyło się coś złego, Jo – wyszeptał – pamiętaj, że zawsze cię kochałem.

Zaczęła płakać. Jeszcze chwila, a zginie. Oboje zginą. Pomyślała o tych wszystkich rzeczach, które tak bardzo chciała zrobić w życiu. Pojechać do Australii. Popływać z delfinami. Nauczyć się całego tekstu „Bohemian Rhapsody” na pamięć. Skończyć studia.

Wyjść za mąż.

Otarła twarz o tył koszulki Matta i wtedy drzwi szatni otworzyły się z trzaskiem. Do środka wpadł Peter z ogniem w oczach i pistoletem w dłoni. Josie zauważyła, że jego lewy trampek jest rozsznurowany, i w tej samej chwili pomyślała, że to nie do wiary, by w takich okolicznościach

zwracać uwagę na równie trywialne drobiazgi.

Peter wycelował w Matta i Josie odruchowo krzyknęła.

Może sprawił to sam krzyk, a może Peter rozpoznał jej głos. W każdym razie drgnął gwałtownie i wówczas plecak zsunął się z jego ramienia, uderzył o podłogę i ze środka wypadł drugi pistolet. Sunął po gładkiej posadzce, po czym zatrzymał się tuż przy nodze Josie.

Każdy przeżywa choć raz taką chwilę, w której świat niebywale zwalnia obroty: wyczuwa się wówczas wyraźnie drgnięcie najdrobniejszego mięśnia w ciele, przepłynięcie przez umysł najbardziej przelotnej myśli. I nabiera się pewności, że bez względu na to, co jeszcze się wydarzy w życiu, wszystkie sekundy tej jednej minuty utkwiają w pamięci już na zawsze. Josie patrzyła na swoją leniwie wysuwającą się dłoń, na palce obejmujące chłodny, czarny uchwyt.

Podniosła się niezdarnie i skierowała wylot lufy na Petera.

Matt cofnął się w stronę pryszniców, stanął za jej plecami. Peter wciąż trzymał pistolet pewnym chwytem i cały czas celował w głowę Matta.

– Josie – odezwał się cicho. – Pozwól mi to skończyć.

– Zabij go, Jo! – wykrzyknął Matt. – Po prostu, kurwa, go zastrzel!

Jednym płynnym ruchem Peter przesunął dźwignię zamka, wprowadzając tym samym nabój z magazynka do komory. Obserwująca go pilnie Josie postąpiła w identyczny sposób.

Przypomniały jej się czasy, gdy chodziła z Peterem do przedszkola. Inni chłopcy chwyтали kamienie i patyki, a potem biegali dookoła i wydzierali się na całe gardło: „Ręce do góry!”. A co ona i Peter robili z patykami?

Nie mogła sobie przypomnieć.

– Josie, na Boga jedyne! – Matt pocił się gwałtownie i miał oczy okrągłe z przerażenia. – Czy cię, kurwa, totalnie pojebało?

– Nie odzywaj się do niej w ten sposób! – krzyknął Peter.

– Zamknij się, dupku – odparował Matt. – Myślisz, że ona daruje ci życie? – Odwrócił się w stronę Josie. – No, na co czekasz? Strzelaj!

Więc strzeliła.

Gdy pistolet wypalił, zdarł jej kawałek skóry z miejsca, gdzie kciuk łączy się z dłonią. Ręka Josie odskoczyła w górę – zdrętwiała, dziwnie pulsująca. Krew na T-shircie Matta zdawała się czarna jak smoła. Matt stał przez chwilę bez ruchu i zszokowany przyciskał dłoń do rany w brzuchu. Josie zauważyła, że jego usta układają się w jej imię, ale wciąż słyszała tylko wibrujący huk wystrzału.

Bezgłośnie „J-o-s-i-e”.

I Matt zwał się z nóg.

Ręka zaczęła jej drżeć tak gwałtownie, że pistolet upadł na podłogę. Wcześniej zdawał się kleić do dłoni, teraz się wymknął, jakby jej dotyk miał w sobie coś odrażającego.

– Matt!

Rzuciła się do przodu. Przycisnęła obie dłonie do rany, bo tak przecież powinno się robić, ale Matt zaczął się wic w agonii bólu i rozdzierająco krzyczeć. Z ust wydobywała mu się pienista krew i spływała po szyi.

– Zrób coś! – zaszlochała Josie, zwracając się w stronę Petera. – Pomóż mi!

Peter podszedł bliżej, uniósł pistolet w górę i strzelił Mattowi prosto w głowę.

Niezdarnie, na czworakach, zdjęta przerażeniem Josie zaczęła się wycofywać, byle znaleźć się jak najdalej od nich obu.

Przecież nie o to jej chodziło. To niemożliwe, by tego właśnie chciała.

Wpatrzyła się w Petera i nagle uświadomiła sobie, że przez ten jeden krótki moment, gdy zatraciła jasność myślenia, poczuła to, co musiał czuć Peter, wędrując po korytarzach Sterling High z plecakiem wyładowanym bronią. Każdy dzieciak w szkole odgrywał jakąś rolę: aroganckiego sportowca, podziwianej piękności, mózgowca lub frajera. Peter zrobił to, o czym sekretnie marzyli wszyscy inni: był, choćby tylko przez dziewiętnaście minut, kimś, kto nie pozwolił się osądzać.

– Nikomu ani słowa – wyszeptał Peter, a Josie zdała sobie sprawę, że on ofiarowuje jej wybawienie: zawiera z nią pakt przypieczętowany

krwią; zawiązuje znowę milczenia. „Nie wydam twoich sekretów, jeżeli ty nie wydasz moich”.

Josie powoli pokiwała głową, a potem osunęła się w ciemność.

Życie powinno przybierać format filmu na DVD. Można by wówczas oglądać wersję kinową, przeznaczoną dla przeciętnego odbiorcy, lub wybrać wersję reżyserską – dzieło, które powstało wedle pierwotnego zamysłu twórcy, zanim mnóstwo innych ludzi wtrąciło swoje trzy grosze.

Obowiązkowe menu z wyborem scen pozwalałoby wracać tylko do dobrych chwil, a omijać wszystkie nieudane. Swoją egzystencję mierzyłoby się wówczas liczbą epizodów chętnie przeżywanym na nowo lub minut spędzonych na ich wyszukiwaniu.

Problem w tym, że w rzeczywistości życie o wiele bardziej przypomina nudną wideokasetę, rejestrującą obraz z kamery przemysłowej. Rozmyte, niewyraźne kształty, choćby nie wiem jak bardzo wyteżęło się wzrok. Oraz tryb wielokrotnego zapisu i odtwarzania: nieznośna monotonia powtarzalności.

Pięć miesięcy później

Po tych wyznaniach sala eksplodowała oburzeniem i niedowierzaniem. Alex rzuciła się do przodu, by za wszelką cenę przedostać się do Josie. Gdzieś w tym tłumie znajdowali się Roystonowie, którzy właśnie usłyszeli, że ich syn został postrzelony przez córkę sędzi Cormier, ale Alex nie chciała w tej chwili o tym myśleć. Teraz koncentrowała się jedynie na swoim dziecku, pochwyconym w pułapkę miejsca dla świadków, podczas gdy ona próbowała sforsować barierkę oddzielającą widownię od czynnych uczestników procesu.

Do jasnej cholery! Przecież była sędzią, miała prawo przejść na drugą stronę, a tymczasem rośli zastępcy szeryfa stanowczo ją od tego powstrzymywali.

Wagner walił młotkiem w stół, nikt jednak nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

– Zarządzam piętnastominutową przerwę! – wrzasnął.

Gdy funkcjonariusze wywlekali Petera z sali, sędzia zwrócił się do Josie:

– Młoda damo, przypominam, że jest pani cały czas związana przysięgą.

Alex bezsilnie patrzyła, jak jej córkę wyprowadzają z sali bocznymi drzwiami. Zaczęła ją wołać i jednocześnie zdała sobie sprawę z obecności Eleanor u swojego boku. Asystentka zdecydowanie chwyciła

ją pod ramię.

– Pani sędzio, proszę za mną. W tej chwili nie jest pani tu bezpieczna.

I wówczas, po raz pierwszy w życiu, Alex pozwoliła, by ktoś – choćby na krótki moment – przejął nad nią kontrolę.

Patrick dotarł do sądu w najbardziej krytycznym momencie. Ujrzał Josie szlochającą na miejscu dla świadków i sędziego Wagnera bezskutecznie usiłującego zapanować nad salą. Ale całą swoją uwagę skupił przede wszystkim na Alex, która desperacko usiłowała przedrzeć się do córki.

W tej chwili był gotów wyciągnąć broń, byle pomóc jej w osiągnięciu celu.

Zanim jednak zdołał sforsować tłum, Alex zniknęła za drzwiami prowadzącymi do sędziowskich gabinetów. Mimo to jednym susem przeskoczył barierkę i wtedy poczuł, że ktoś łapie go za rękaw. Zirytowany odwrócił głowę i ujrzał Dianę Leven.

– Co tu się, do cholery, wyprawia? – zapytał.

– Ty pierwszy.

Patrick westchnął głęboko.

– Cały wczorajszy dzień spędziłem w Sterling High, szukając potwierdzenia zeznań Josie. Ale nic mi się nie składało w spójną całość; gdyby Matt strzelił do Petera, musiałbym znaleźć miejsce uderzenia pocisku, który chybił celu. Doszedłem więc do wniosku, że Josie znowu skłamała, a nasze pierwotne założenie było słuszne – Peter bez dania racji strzelił do Matta. W końcu udało mi się jednak odnaleźć miejsce, w które trafiła kula. Za pomocą wiązki laserowej sprawdziłem azymut rykoszetu i wówczas stało się jasne, czemu nie mogliśmy odnaleźć tego pocisku. – Wyjął z kieszeni marynarki plastikowy woreczek na dowody, w którym znajdował się pojedynczy nabój. – Strażacy pomogli mi go wydobyć z pnia klonu rosnącego pod oknem pomieszczenia z prysznicami. Natychmiast zawiozłem ten pocisk do laboratorium

stanowego i stałem nad nimi jak kat nad dobrą duszą tak długo, aż w końcu poddali go ekspresowym badaniom. Okazało się, że nie tylko został wystrzelony z broni B, ale są na nim również ślady tkanki i krwi Matta Roystona. Problem w tym, że gdy wyznaczyłem azymut odwrotny – puściłem wiązkę laserową od drzewa ku wnętrzu szatni, by sprawdzić, z którego dokładnie miejsca oddano strzał – od razu stało się jasne, że nie zrobił tego Peter Houghton, ale...

– Josie Cormier właśnie wyznała, że postrzeliła Matta Roystona – weszła mu w słowo Diana i ze znużeniem przesunęła dłoń po twarzy.

– No, proszę. A więc w końcu powiedziała prawdę – mruknął Patrick, przekazując Dianie woreczek z dowodem rzeczowym.

Jordan oparł się o kraty aresztanckiej celi.

– Nie wspomniałeś o tym drobnym epizodzie, ponieważ tak jakoś wyleciał ci z pamięci?

– Nie – odparł Peter.

– Gdybym wiedział o tym wcześniej, wynik twojego procesu mógłby być zupełnie inny.

Peter leżał na metalowej ławce z rękami pod głową. I ku niewypowiedzianemu zdumieniu Jordana uśmiechał się pogodnie.

– Znowu została moją przyjaciółką – powiedział Peter. – A obietnic składanych przyjaciołom nigdy nie wolno łamać.

Alex usiadła w mrocznej salce konferencyjnej, do której zazwyczaj na czas krótkich przerw w rozprawie wprowadzano oskarżonych, i nagle zdała sobie sprawę, że jej córka w istocie też już się zalicza do tej kategorii. Wkrótce odbędzie się kolejny proces, tym razem z Josie w roli głównej.

– Dlaczego? – spytała cicho, wpatrując się w jasny profil córki.

– Ponieważ kazałaś mi powiedzieć prawdę.

– Ale jak ta prawda wygląda naprawdę?

– Kochałam Matta. A jednocześnie go nienawidziłam. I

nienawidziłam siebie za to, że go kocham. I za to, że gdybym go zostawiła, utraciłabym poczucie tożsamości.

– Nie bardzo rozumiem...

– Bo jak mogłabyś zrozumieć? Ty jesteś chodzącym ideałem. – Josie potrząsnęła głową. – Jednak my, zwykli śmiertelnicy... nie różnimy się niczym od Petera. Tyle że niektórym z nas udaje się to ukryć lepiej od pozostałych. Ale w gruncie rzeczy jakie to ma znaczenie, czy udajesz, że jesteś niewidzialnym człowiekiem, czy też kimś, kogo każdy chciałby w tobie widzieć? Tak czy inaczej – nie jesteś sobą.

Alex przypomniała sobie niezliczone eleganckie przyjęcia, gdzie pierwszym pytaniem, jakie jej zadawano, było: „Czym się zajmujesz zawodowo?” – jak gdyby odpowiedź wyczerpywała całą wiedzę o człowieku. A tymczasem tożsamość jest pojęciem o wiele bardziej pojemnym. Można być sędzią, matką i marzycielką zarazem. Rodzicem i jednocześnie dzieckiem. Samotnikiem, wizjonerem i pesymistą. Ofiarą lub katem. Jednego dnia można cierpieć, następnego – tryskać zdrowiem.

Daleko mi do ideału, pomyślała Alex.

I niewykluczone, że tym samym się do niego zbliżyła.

– Co się ze mną stanie? – Josie zadała to samo pytanie, co przed kilkoma dniami, gdy Alex w swojej naiwności – a może zadufaniu? – wciąż jeszcze wierzyła, że zna wszystkie odpowiedzi.

– Co się stanie z NAMI – poprawiła córkę.

Przez twarz Josie przemknął cień uśmiechu.

– Ja zapytałam pierwsza.

Drzwi salki konferencyjnej uchylły się nieznacznie; szparę wypełniło żółte światło korytarza. Alex chwyciła dłoń córki i wzięła głęboki oddech.

– Chodź. Wkrótce się przekonamy.

Peter został uznany za winnego ośmiu zabójstw pierwszego i dwóch zabójstw drugiego stopnia. Przysięgli uznali, że w wypadku Matthew

Roystona i Courtney Ignatio nie działał z premedytacją. Został sprowokowany.

Po ogłoszeniu werdyktu Jordan spotkał się z Peterem w aresztanckiej celi. Peter pozostanie w więzieniu hrabstwa tylko do ogłoszenia uzasadnienia wyroku; potem czeka go przeniesienie do więzienia stanowego w Concord. Przy zasądzonym trybie łącznego odbywania kary za osiem morderstw nie istniał cień szansy, by Peter opuścił za życia zakład penitencjarny.

– Trzymasz się jakoś? – spytał Jordan, kładąc dłoń na ramieniu Petera.

– Uhm. – Peter wzruszył ramionami. – W zasadzie od początku wiedziałem, że to się tak skończy.

– Przynajmniej przysięgli uważnie wysłuchali twoich racji. Dlatego uznali, że w dwóch przypadkach nie działałeś z premedytacją.

– Powinienem ci podziękować za wysiłki. – Peter uśmiechnął się szelmowsko. – Życzę udanego życia.

– Ilekroć będę w Concord, wpadnę z wizytą – obiecał Jordan.

Przyjrzał się baczniej Peterowi. W ciągu sześciu miesięcy, które upłynęły od dnia, gdy ta sprawa spadła mu na kark, jego klient dojrzał i wydorósł. Był już teraz wzrostu Jordana, ale lepiej umięśniony. Miał niski, męski głos i cień zarostu na twarzy. Jordan wprost nie mógł uwierzyć, że do tej pory tego wszystkiego nie zauważył.

– Cóż – dodał – bardzo mi przykro, że wypadki nie potoczyły się zgodnie z naszymi życzeniami.

– Mnie również przykro.

Peter wyciągnął rękę; Jordan jej nie przyjął, lecz chwycił chłopaka w objęcia.

– Uważaj na siebie – przykazał.

I już miał wyjść z celi, gdy Peter przywołał go z powrotem. W rękę trzymał okulary, które Jordan niegdyś mu przyniósł.

– Są twoje.

– Zatrzymaj je. Ty zrobisz z nich lepszy użytek.

Peter wetknął okulary do górnej kieszonki marynarki Jordana.

– Będę się czuł lepiej ze świadomością, że są pod twoją opieką. Poza tym nie ma tak wielu rzeczy na tym świecie, którym chciałbym się dokładniej przyjrzeć.

Jordan skinął głową. Powolnym krokiem wyszedł z celi i pożegnał się z zastępcami szeryfa. Potem ruszył w stronę holu, gdzie już czekała na niego Selena.

Kiedy do niej podchodził, wsunął na nos okulary Petera.

– A co to ma znaczyć?

– Jakoś je polubiłem.

– Masz przecież sokoli wzrok.

Na brzegach soczewek świat ulegał dziwnemu odkształceniu, więc w tych okularach Jordan musiał stąpać z większą ostrożnością i rozwagą.

– Nie zawsze i nie wszędzie – odparł.

Parę tygodni po zakończeniu procesu Lewis powrócił do swoich zabaw liczbami. Dokonał już wstępnych obliczeń i teraz przepuszczał je przez komputer, by sprawdzić, czy wyłania się określona prawidłowość. Najbardziej interesujące w tym wszystkim było to, że jego najnowsze zainteresowania nie miały nic wspólnego ze szczęściem. Lewis podjął obecnie badania nad społecznościami, w których doszło do szkolnych masakr; chciał poszukać zależności pomiędzy pojedynczym, drastycznym aktem przemocy a stabilnością ekonomiczną społeczeństwa. Lub, inaczej rzecz ujmując, pragnął odpowiedzieć na pytanie, czy człowiek, któremu grunt usunął się spod nóg, ma jeszcze szansę twardo na nich stanąć.

Poza tym znowu prowadził wykłady w Sterling College – tym razem z podstaw makroekonomii. Zajęcia się rozpoczęły w drugiej połowie września i Lewis gładko wszedł w nowy rytm. Rozprawianie na temat teorii Keynesa przychodziło mu z niezwykłą łatwością.

Prowadził teraz wykłady, przechadzając się po całej auli. Stało się to nieznośną koniecznością od czasu, gdy college został naszpikowany hot

spotami, a studenci, zamiast się koncentrować na słowach wykładowcy, nagminnie grywali w internetowego pokera lub wymieniali maile.

To właśnie w jednej ze swoich wędrówek Lewis się zapędził na szczyt auli. Tam dwóch zawodników drużyny futbolowej zabawiło się strzykaniem wodą w kask innego dzieciaka, siedzącego dwa rzędy niżej. Chłopak co chwila się odwracał, żeby sprawdzić, kto jest tym dowcipnisiem, ale wówczas dwaj mięśniacy z minami niewiniątek wbijali wzrok w wykres wyświetlany na ekranie.

– No dobrze – ciągnął niewzruszenie Lewis – kto mi teraz powie, co się stanie, gdy ceny wzrosną powyżej punktu A? – Zdecydowanym ruchem wyjął butelkę z ręki futbolisty. – Dziękuję, panie Graves. Właśnie zaczynało zasychać mi w gardle.

Ręka chłopca siedzącego dwa rzędy niżej wystrzeliła w górę niczym strzała i Lewis udzielił mu głosu.

– Nikt nie zechce kupić wyprodukowanych dóbr za tak wygórowaną cenę. Spadnie więc popyt, a to oznacza, że trzeba będzie drastycznie obniżyć ceny albo ponosić wysokie koszty składowania nadwyżek produkcyjnych w magazynach.

– Doskonale – pochwalił Lewis, po czym zerknął na zegar. – No dobrze, panie i panowie. Na poniedziałek proszę przeczytać kolejny rozdział z Mankiwa. Niewykluczone, że przy okazji zafunduję wam drobny test-niespodziankę.

– Skoro pan już nam o tym powiedział, test nie będzie niespodzianką – zauważyła jedna z dziewcząt.

– Ups – mruknął Lewis, uśmiechając się szeroko.

Staął przy krześle studenta, który udzielił poprawnej odpowiedzi na jego pytanie. Chłopak wciskał książki do plecaka już tak zapchanego papierami, że zasunięcie suwaka było absolutnie niewykonalnym zadaniem. Dzieciak miał zbyt długie włosy jak na obowiązującą modę i był ubrany w T-shirt z portretem Einsteina.

– Dobrze się pan dzisiaj spisał.

– Dzięki – odparł dzieciak, przestępując z nogi na nogę; Lewis widział, że chłopak nie bardzo wie, co ze sobą począć; w końcu się

zdecydował na wyciągnięcie ręki. – Miło pana poznać, profesorze. To znaczy, wszyscy już się poznaliśmy, tyle że nie... no, nie osobiście.

– W rzeczy samej. Proszę mi przypomnieć, jak panu na imię?

– Peter. Peter Granford.

Lewis już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale ostatecznie tylko potrząsnął głową.

– Profesorze...? – Chłopak speszył się. – Przepraszam... przez chwilę mi się zdawało, że chce pan powiedzieć coś ważnego.

Lewis patrzył na tego imiennika swojego syna – przygarbionego, wciągającego szyję w ramiona, jakby uważał, że nie zasługuje na zajmowanie większej przestrzeni, niż to absolutnie konieczne – i poczuł ten dobrze znany ból, jakby ciężki młot opadł mu na mostek. Ból, który odzywał się zawsze, gdy myślał o swoim Peterze; o życiu, które miało się zmarnować w więzieniu. Jakże teraz żałował, że nie przyglądał się baczniej synowi, gdy ten był jeszcze w zasięgu jego wzroku, ponieważ teraz Lewis musiał kompensować te stracone chwile fragmentarycznymi wspomnieniami czy też – co jeszcze tragiczniejsze – poszukiwać cech syna w twarzach obcych dzieci.

Lewis sięgnął w głąb siebie i wydobył na powierzchnię uśmiech zarezerwowany dla takich właśnie sytuacji – gdy nie odnajdował żadnych powodów do szczęścia czy radości.

– To rzeczywiście było ważne – rzekł. – Chciałem panu powiedzieć, że przypomina mi pan chłopca, którego kiedyś znałem.

Lacy dopiero po trzech tygodniach zebrała się na odwagę i weszła do pokoju Petera. Teraz, gdy już ogłoszono wyrok – gdy stało się oczywiste, że Peter nigdy w życiu nie powróci do domu rodzinnego – nie było sensu utrzymywać tego miejsca w dotychczasowym stanie.

Usiadła na łóżku i przycisnęła poduszkę do twarzy. Wciąż był w niej uwieczony zapach Petera i Lacy zastanowiło, ile potrzeba czasu, żeby całkowicie się ulotnił. Rozejrzała się po stojących na półkach książkach – tych, które się jeszcze ostały po policyjnym przeszukaniu. Otworzyła

szufladę szafki nocnej: przejechała palcami po jedwabistej zakładce do książek i metalowej paszczy zszywacza do papierów. Po pilocie opróżnionym z baterii. Po lupie. Po pliku kart z pokemonami i po przenośnym twardym dysku, przyczepionym do smyczy.

Chwyła karton przyniesiony z piwnicy i zaczęła wkładać do środka wszystkie te przedmioty po kolei.

Zwinęła kołdrę, prześcieradła, zdjęła powłoczkę z poduszki. Nagle przypomniała sobie pewną wypowiedź Lewisa, wygłoszoną wieki temu przy jakimś obiedzie. Za jedyne sto tysięcy dolarów można zburzyć dom do imentu i wywieźć cały gruz. To wprost niebywałe, o ile mniej kosztuje niszczenie niż budowanie: za niecałą godzinę ten pokój będzie wyglądał tak, jakby Peter nigdy w nim nie mieszkał.

Kiedy wszystkie rzeczy syna leżały już starannie ułożone w stos, Lacy znów usiadła na łóżku i rozejrzała się po ścianach, gdzie miejsca po plakatach odcinały się żywszym odcieniem koloru od tła. Dotknęła szwu na brzegu materaca, zastanawiając się, jak długo jeszcze będzie nazywać go w myślach materacem Petera.

Miłość ponoć przenosi góry, może poruszyć z posad świat, jest wszystkim, czego nam potrzeba, ale zawodzi w zderzeniu z realiami życia. Miłość nie ocaliła żadnego z dzieci, które Tamtego Dnia zjawily się w Sterling High, nieświadome, że za chwilę zmieni się ich życie – ani tych zabitych i poranionych, ani Josie Cormier, ani Petera. Czy więc miłość wymagała jakiejś domieszki? Szczęścia? Nadziei? Przebaczenia?

Nagle Lacy przypomniała sobie, co powiedziała Alex jeszcze podczas procesu: „Tak długo, jak coś żyje w ludzkiej pamięci, nie rozplywa się w niebycie”.

Wszyscy zapamiętają jedynie te dziewiętnaście minut z życia Petera. A co z pozostałymi dziewięcioma milionami? Lacy będzie musiała zostać ich strażniczką, bo inaczej zaginie pamięć o tamtym dawnym Peterze. Na każde wspomnienie o swoim dziecku, związane z hukem wystrzałów i krzykiem ofiar, ona odpowie dziesiątkami innych. Ujrzy małego chłopca pluskającego się w stawie, po raz pierwszy jeżdżącego na rowerku, machającego radośnie ze szczytu drabinek. Stanie jej przed

oczami pocałunek na dobranoc i laurka na Dzień Matki, z rysunkiem kredkami. W uszach zabrzmiała piosenka wyśpiewywana fałszywie pod prysznicem. Lacy naniże na jedną długą nić wspomnienia tych chwil, gdy jej dziecko niczym się nie różniło od innych dzieci. I będzie codziennie nosić je przy sobie, bo gdyby zaginęły, zaginąłby również bezpowrotnie ten chłopiec, którego kochała.

Wstała i rozłożyła na łóżku prześcieradło. Zarzuciła na nie kołdrę, starannie podwijając brzegi. Przetrzepała poduszkę. Odstawiła książki na półkę. Odłożyła wszystkie skarby z powrotem do szuflady nocnej szafki. Na końcu rozwinęła rulony plakatów i powiesiła je na ścianach, bardzo uważając, by pinezki znalazły się na swoich miejscach. By nie poczynić już żadnych więcej szkód.

Minął dokładnie miesiąc od wyroku skazującego.

Gdy światła przygasły, a strażnicy zakończyli swój wieczorny obchód, Peter odwrócił się twarzą do ściany, powoli ściągnął skarpetę z prawej stopy i zaczął wpychać ją sobie do gardła.

Kiedy już nie mógł oddychać, zapadł w sen. Wciąż był osiemnastolatkiem, ale cofnął się do pierwszego dnia przedszkola. Miał na ramionach prawie pusty plecak, a w ręku pudełko z Supermanem. Nadjechał żółty autobus i z dychawicznym westchnieniem rozwarł szeroko paszczę drzwi. Peter wspiał się po schodkach do środka. Tym razem był jedynym pasażerem. Przeszedł przez całą długość pojazdu i usiadł na samym końcu, tuż przy wyjściu awaryjnym. Obok siebie położył pudełko na lunch i wyrzucił przez tylną szybę. Zobaczył taką jasność, jakby samo słońce ruszyło w pościg za autobusem.

– Już prawie dojeżdżamy – odezwał się jakiś głos.

Peter zerknął w stronę kierowcy, ale się okazało, że za kierownicą nikt nie siedzi.

Najbardziej niesamowite było to, że na ten widok wcale nie poczuł strachu. Gdzieś w głębi duszy wiedział, że dotrze dokładnie tam, dokąd od dawna pragnął dotrzeć.

6 marca 2008

Sterling High zmieniło się nie do poznania. Gmach został pokryty nowym, zielonym dachem, frontowy trawnik porastała świeża trawa, a z tyłu wznosiło się szklane atrium na wysokość całego budynku. Przy drzwiach wejściowych umieszczono mosiężną tabliczkę, a na niej wygrawerowano napis: BEZPIECZNA PRZYSTAŃ.

Później tego dnia odbędzie się uroczystość poświęcona pamięci tych, co przed rokiem stracili tu życie, ale Patrick – który opracował dla szkoły procedury zapewniające zwiększenie bezpieczeństwa – zdołał przemycić Alex do środka na krótką, przedpremierową wycieczkę.

Teraz w szkole nie było żadnych zamykanych szafek, lecz jedynie otwarte przegródki na książki i inne pomoce naukowe. W tej chwili trwały lekcje, więc uczniowie siedzieli w klasach; przez korytarze od czasu do czasu przechodzili jedynie nauczyciele. Wszyscy mieli na piersi duże identyfikatory. Alex nie bardzo pojmowała sens tego oznakowania – ostatecznie największe zagrożenie zawsze pochodziło z wewnątrz, a nie z zewnątrz – ale Patrick jej wyjaśnił, że identyfikatory mają zbawienne działanie psychologiczne – a to już połowa sukcesu.

Odezwał się dzwonek komórki Alex i Patrick westchnął z niezadowolaniem.

– Myślałem, że im przykazałaś...

– Przykazałam – odparła Alex.

Odebrała jednak połączenie i usłyszała głos sekretarki z biura

obrońców z urzędu, rozpoczynającej litanię nieszczęść, jakie właśnie spadły na to biuro.

– Przystań – przerwała jej Alex. – Przecież wyraźnie zapowiedziałam, że dziś przysługuje mi status zaginionej w akcji.

Alex zrezygnowała ze stanowiska sędziego. Josie została oskarżona o współudział w zabójstwie drugiego stopnia, poszła na ugodę z prokuraturą i otrzymała wyrok pięciu lat więzienia. Od tamtej pory Alex nie byłaby zdolna do zachowania bezstronności, gdyby przyszło jej sądzić jakiegoś nastolatka. Wzbudzałoby to w niej zbyt wiele emocji i nie pozwalałoby na zimno oceniać wartości dowodów. Powrót do korzeni – do biura obrońców z urzędu – wydał jej się całkiem naturalny. I, o dziwo, bardzo dobrze czuła się teraz w tej roli. Na skutek osobistych przeżyć doskonale rozumiała sytuację swoich klientów. Gdy otrzymywali wyrok, odwiedzała ich przy okazji odwiedzin u córki, odbywającej karę w zakładzie dla kobiet. Oskarżeni lubili ją, ponieważ nigdy nie traktowała ich z góry, a poza tym jasno i wprost przedstawiała całą sytuację. Niczego nie owijała w bawełnę, nikomu nie mydliła oczu.

Patrick zaprowadził ją do tej części budynku, gdzie rok temu znajdowały się tylne schody. Teraz wznosiło się tu ogromne szklane atrium – obejmujące także powierzchnię dawnej sali gimnastycznej i szatni. Stąd rozciągał się widok na szkolne boiska. Ponieważ tego roku wiosna nadeszła wcześniej i stopniały już śniegi, na jednym z nich rozgrywał się mecz piłki nożnej.

Wewnątrz atrium stały drewniane stoły i taborety. Tutaj uczniowie mogli się pouczyć, poczytać w spokoju, coś przegryźć. W tej chwili grupa dzieciaków przygotowywała się do testu z geometrii. Ich szepty wznosiły się niczym smugi dymu: przeciwprostokątna... cięciwa... punkt przecięcia... kąt dopełniający...

Po jednej stronie, tuż przy szklanej ścianie, stało dziesięć białych krzeseł. Trzeba by mieć bardzo bystre oko, by zauważyć, że zostały przynitowane do podłogi, a nie przyciągnięte w owo miejsce przez uczniów. Nie stały w rzędzie; nie były ustawione w żadnym

określonym porządku. Nie widniały na nich żadne plakietki, ale i bez tego każdy wiedział, co symbolizują.

Gdy Alex chciała sobie przysunąć stołek do szklanej ściany, Patrick natychmiast wyrwał go z jej ręki.

– Chryste – mruknęła. – Jestem tylko w ciąży, nie śmiertelnie chora.

To było kolejne niespodziewane wydarzenie w jej życiu. Dziecko miało przyjść na świat pod koniec maja. Alex starała się nie myśleć o nim jako o substytucji córki, którą czekały jeszcze cztery lata pobytu w więzieniu; wyobrażała sobie natomiast, że to nowe życie będzie dla nich wszystkich ocaleniem.

Patrick usiadł obok i zerknął na jej zegarek.

10:02.

Wzięła głęboki oddech.

– To miejsce nie wygląda już tak jak dawniej.

– Tak, wiem – odparł Patrick.

– Myślisz, że to dobrze?

– Myślę, że to był rozsądny pomysł.

Alex dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że wielki klon, który rósł pod oknami szatni gimnastycznej, nie został wycięty podczas przebudowy. Z miejsca, w którym siedziała, wyraźnie widziała dziurę wyciętą w celu odzyskania kuli. Drzewo było ogromne, o grubym pniu i powyginanych konarach. Zapewne rosło tu na długo przed wzniesieniem budynku Sterling High, być może nawet przed powstaniem samego Sterling.

10:09.

Alex przeniosła wzrok na boisko, na którym rozgrywał się mecz piłki nożnej. Drużyny zdawały się być przerażająco niedobre. Po jednej stronie grali chłopcy już niemal dorośli, po drugiej niewyrośnięte dzieciaki. Jeden z napastników natarł na drobnego obrońcę i niemal wdeptał go w ziemię, przy okazji posyłając piłkę w górny róg siatki.

Taka tragedia, pomyślała Alex, a w istocie nic nie uległo zmianie.

Znów ponownie zerknęła na zegarek. 10:13. Najtrudniejsze, naturalnie, były te ostatnie minuty. Alex wstała i przycisnęła dłonie do

szyby. Poczwała kopnięcia dziecka.

10:16.

10:17.

Napastnik się cofnął i wyciągnął rękę, by pomóc drobniejszemu chłopcu podnieść się z ziemi. A potem razem ruszyli w stronę środka boiska, żywo o czymś rozprawiając.

10:19.

Alex raz jeszcze spojrzała na klon. Soki już na nowo zaczęły krążyć. Za parę tygodni na gałęziach pojawią się czerwono-brunatne zawiązki liści. A potem pączki, które szybko wybuchną soczystą zielenią.

Wzięła Patricka za rękę. W milczeniu przeszli przez atrium, potem podążyli długim korytarzem, minęli rzędy drewnianych przegródek. Przeszli próg szkoły i tą samą drogą, jaką przyszli, wrócili do domu.

PODZIĘKOWANIA

To zapewne zabrzmiało intrygująco: na początku chciałabym podziękować komuś, kto przyszedł do naszego domu, by nauczyć mnie posługiwania się pistoletem. Kapitan Frank Moran przyjął prostą metodę – kazał mi strzelać do sągu drewna, stojącego w naszym ogrodzie. Dziękuję również jego koledze, porucznikowi Michaelowi Evansowi, za szczegółowe informacje na temat broni palnej, a także komendantowi Nickowi Giaccone za cierpliwość, z jaką odpowiadał na miliony moich maili, wysyłanych za pięć dwunasta z zapytaniami o wszelkiego rodzaju policyjne procedury. Królowej badań kryminalistycznych, detektyw policji stanowej, Claire Demarois, jestem winna szczególną wdzięczność za to, że poprowadziła Patricka przez miejsce zbrodni o tak monstrualnej skali. Przyznaję, jestem szczęściarą: wielu członków mojej rodziny to eksperci w różnych dziedzinach, którzy godzą się na wykorzystanie swoich osobistych doświadczeń w moich książkach. Dziękuję Jane Picoult, doktorowi Davidowi Toubowi, Wyattowi Foksovi, Chrisowi Keatingowi, Suzanne Serat, Conradowi Farnhamowi, Chrisowi i Karen van Leerom. Dziękuję Guentherowi Frankensteinowi za wkład w rozbudowę Hanover's Howe Library, a także za zgodę na wykorzystanie swojego cudownego nazwiska. Glen Libby nieustrudzenie odpowiadał na moje pytania, dotyczące życia codziennego w więzieniu hrabstwa Grafton, natomiast Ray Fleer, zastępca szeryfa hrabstwa Jefferson, był uprzejmy udostępnić mi wiele

materiałów na temat masakry w Columbine. Dziękuję Davidowi Plautowi i Jake'owi van Leerowi za zabawianie mnie matematycznymi dykteryjkami; Dougowi Irwinowi za podzielenie się ze mną wiedzą na temat ekonomii szczęścia; Kyle'owi van Leerowi i Axelowi Hansenowi za konstrukcję „Hide-n-Shriek”; Luke'owi Hansenowi za informacje dotyczące programowania komputerowego oraz Ellen Irwin za pomysł diagramu obrazującego status społeczny uczniów w liceum.

Jak zwykle jestem dozgonnie wdzięczna całemu zespołowi wydawnictwa Atria Books, dzięki któremu uchodzę za zdecydowanie lepszą pisarkę, niż jestem w rzeczywistości: Carolyn Reidy, Davidowi Brownowi, Alyson Mozzarelli, Christine DuPlessis, Gary'emu Urda, Jeanne Lee, Lisie Keim, Sarah Branham i niestrudzonej Jodi Lipper. Judith Curr dziękuję gorąco za nieustanne wychwalanie mnie pod niebiosa. Camille McDuffie – wielkie dzięki, że w świecie książki uczyniłaś ze mnie markę. Małą szklaneczką szkockiej wznoszę też toast na cześć Laury Gross, bez której nie wyobrażam sobie funkcjonowania w tym biznesie. Gdy zaś chodzi o Emily Bestler... cóż, odsyłam na sąsiednią stronę. Chylę też nisko czoło przed sędzią Jennifer Sargent – bez jej pomocy nigdy nie narodziłaby się postać Alex Cormier. Pani prokurator Jennifer Sternick – mogę tylko powiedzieć, że jesteś jedną z najinteligentniejszych kobiet, jakie spotkałam w życiu; praca z tobą jest świetną zabawą (wiwat King Wah!), więc w istocie sama jesteś sobie winna, że w kółko zwracam się do ciebie o pomoc. Jak zwykle winna jestem wdzięczność mojej rodzinie – Kyle Jake i Sammy nieustannie przypominają mi, co tak naprawdę liczy się w życiu; oraz mojemu mężowi, Timowi, który sprawia, że jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie. Wreszcie chciałabym podziękować grupie ludzi będących solą tej książki – to ocalali z prawdziwych masakr szkolnych. Betsy Bicknase, Donna O'Connel, Linda Liebl i niesamowity Kevin Braun – dziękuję gorąco za waszą wielką odwagę, której wymagał powrót do tak bolesnych wydarzeń, hojność, z jaką się dzieliliście swoimi doświadczeniami, i pozwolenie na ich wykorzystanie w niniejszej powieści. Na koniec zwracam się do tysięcy młodych ludzi, którzy nie

do końca odnajdują swoje miejsce wśród rówieśników, którzy codziennie odczuwają podskórny, nękający lęk, którzy nie należą do „popularnej elity” – tę książkę pisałam z myślą o was wszystkich.